



DLA UKOCHANEGO
OSZUKAŁA ŚMIERĆ.
DLA SWOJEGO ŚWIATA
STANIE SIĘ BRONIĄ.

DWOR MGIEL 'FURII

SARAH J. MAAS



Sarah J. Maas

DWÓR MGIEŁ I FURII

przełożył Jakub Radziwiński



Tytuł oryginału: *A Court Of Mist And Fury*

Copyright © Sarah J. Maas 2016

This translation of *A Court Of Mist And Fury* is published by Grupa Wydawnicza Foksal by arrangement with Bloomsbury Publishing Plc.

Copyright © for the Polish edition by Grupa Wydawnicza Foksal,
MMXVII

Copyright © for the Polish translation by Jakub Radzimiński,
MMXVII

Wydanie I

Warszawa MMXVII

Spis treści

Dedykacja

Mapa

Część pierwsza. Dom bestii Rozdział 1 Rozdział 2 Rozdział 3
Rozdział 4 Rozdział 5 Rozdział 6 Rozdział 7 Rozdział 8 Rozdział 9
Rozdział 10 Rozdział 11 Rozdział 12 Rozdział 13

Część druga. Dom wiatru Rozdział 14 Rozdział 15 Rozdział 16
Rozdział 17 Rozdział 18 Rozdział 19 Rozdział 20 Rozdział 21 Rozdział
22 Rozdział 23 Rozdział 24 Rozdział 25 Rozdział 26 Rozdział 27
Rozdział 28 Rozdział 29 Rozdział 30 Rozdział 31 Rozdział 32 Rozdział
33 Rozdział 34 Rozdział 35 Rozdział 36 Rozdział 37 Rozdział 38
Rozdział 39 Rozdział 40 Rozdział 41 Rozdział 42 Rozdział 43 Rozdział
44 Rozdział 45 Rozdział 46 Rozdział 47 Rozdział 48 Rozdział 49
Rozdział 50 Rozdział 51

Część trzecia. Dom mgieł Rozdział 52 Rozdział 53 Rozdział 54
Rozdział 55 Rozdział 56 Rozdział 57 Rozdział 58 Rozdział 59 Rozdział
60 Rozdział 61 Rozdział 62 Rozdział 63 Rozdział 64 Rozdział 65
Rozdział 66 Rozdział 67 Rozdział 68. Rhysand Rozdział 69. Feyra
Podziękowania

Dla Josha i Annie – mojego Dworu Snów

Może zawsze byłam rozbita, może moje wnętrze zawsze było mroczne.

Może ktoś urodzony w jedności z samym sobą, ktoś z natury dobry, odłożyłby ten jesionowy sztylet i przyjął śmierć zamiast tego, co teraz czekało mnie.

Wszędzie dokoła widziałam krew.

Z trudem utrzymywałam sztylet w śliskiej od krwi drżącej dłoni. Gdy bezwładne ciało fae wysokiego rodu stygło na marmurowej posadzce, ja rozpadałam się na coraz mniejsze kawałki.

Nie mogłam wypuścić ostrza z ręki, nie mogłam ruszyć się z miejsca, uciec od jego wzroku.

– Dobrze – zamruczała rozparta na tronie Amarantha. – Jeszcze raz.

Czekał na mnie kolejny jesionowy sztylet, przede mną klęczała kolejna ofiara. Kobieta.

Wiedziałam, co powie. Znałam słowa modlitwy, którą żarliwie wyszepcze.

Wiedziałam, że ją zamorduję, tak jak zamordowałam przed chwilą tego młodzieńca.

Aby ich wszystkich uwolnić, aby wyzwolić Tamlina – zrobię to.

Byłam morderczynią niewinnych – i zbawczynią Prythianu.

– Jak tylko będziesz gotowa, słodka Feyro – szydziła Amarantha. Jej rude włosy lśniły równie jasno jak krew plamiąca moje dłonie. Plamiąca marmur.

Morderczyni. Rzeźniczka. Potwór. Kłamca. Oszustka.

Nie wiedziałam, kogo właściwie mam na myśli. Granica między mną a królową już dawno uległa zatarciu.

Rozchyliłam palce zaciśnięte dotąd na rękojeści i sztylet upadł ze stukiem na posadzkę, rozbryzgując kałużę krwi. Kilka kropli upadło na moje znoszone buty – pozostałość śmiertelnego życia pozostawionego tak daleko za plecami, że równie dobrze mogło być tylko jednym z majaków wywołanych gorączką trawiącą mnie przez długie tygodnie.

Zwróciłam się twarzą do kobiety oczekującej na śmierć. Worek wciąż zakrywał jej głowę; smukłe ciało zastygło w wyczekiwaniu. Była gotowa na koniec, który miałam na nią sprowadzić; gotowa zostać złożona w ofierze.

Sięgnęłam po drugi jesionowy sztylet spoczywający na czarnej aksamitnej poduszce. W zetknięciu z ciepłymi, wilgotnymi palcami jego rękojeść wydawała się lodowato zimna. Strażnicy zerwali kaptur z głowy kobiety.

Znałam twarz, która uniosła się ku mnie.

Znałam te szaroniebieskie oczy, te złociście brązowe włosy, te pełne usta i te wyraźnie zarysowane kości policzkowe. Znałam te uszy, które teraz były lekko spiczaste; te kończyny, które zyskały na smukłości i zatętniły nową siłą. Wszystkie ludzkie niedoskonałości wygładzone i zatarte subtelną poświatą nieśmiertelności.

Znałam tę pustkę, tę rozpacz, to zepsucie, które wyzierały z oczu.

Dłoń mi nie zadrżała, gdy przyszykowałam się do zadania ciosu.

Gdy chwyciłam drobnokościste ramię i spojrzałam wprost w znieawidzoną twarz – *moją* twarz.

Wbiłam jesionowy sztylet wprost w me wyczekujące serce.

Część pierwsza
Dom bestii

Rozdział 1

Zwymiotowałam do ustępu, ściskając kurczowo jego chłodne brzegi, starając się narobić jak najmniej hałasu.

Księżycowa poświata sączyła się do przestronnej, wyłożonej marmurem komnaty łazienkowej. Tylko miesiąc oświetlał moją skuloną sylwetkę, targaną kolejnymi cichymi spazmami nudności.

Tamlin nawet się nie poruszył, gdy obudziłam się z koszmaru. A kiedy nie zdołałam odróżnić mroku panującego w sypialni od nieskończonej nocy lochów Amaranthy, kiedy zalewający mnie zimny pot zdał mi się krwią zamordowanych przeze mnie fae, rzuciłam się w stronę ustępu.

Tkwiałam tak już kwadrans w oczekiwaniu, aż nudności zelżeją, aż targające mną wstrząsy rozproszą się i zanikną niczym kręgi na tafli wody.

Dysząc ciężko, zbierałam się w sobie nad miską i liczyłam kolejne oddechy.

To tylko koszmar. Jeden z wielu, które mnie prześladowały w te dni, we śnie i na jawie.

Od wydarzeń pod Górą minęły już trzy miesiące. Trzy miesiące przystosowywania się do nieśmiertelnego ciała, do świata próbującego posklejać się z powrotem w całość z kawałków pozostałych po działaniach Amaranthy.

Skoncentrowałam się na oddychaniu – wdech przez nos, wydech przez usta. I jeszcze raz, i jeszcze.

Kiedy uznałam, że nie grożą mi już kolejne torsje, odsunęłam się od miski ustępowej, ale nie odpełzłam daleko. Tylko do sąsiedniej ściany, koło pękniętego okna, przez które mogłam wyrzeć na nocne niebo, przy którym chłodny wiatr mógł pieścić moją lepka od potu twarz. Oparłam głowę o kamień i przycisnęłam dłonie do chłodnych marmurowych płyt posadzki. Prawdziwej.

Wszystko wokół było prawdziwe. Przeżyłam. Udało mi się.

Chyba że to był tylko sen – kolejne wywołane gorączką majaki w lochach Amaranthy. Lada chwila obudzę się w swojej celi i...

Przyciągnęłam kolana do piersi. Prawdziwe. *Prawdziwe.*

Szeptalam to słowo raz po raz.

Szeptalam je, aż mogłam przestać kurczowo przyciągać do siebie nogi i unieść głowę. Ból przeszył moje dłonie...

Nawet nie zauważyłam, kiedy zacisnęłam je w pięści tak mocno, że paznokcie zaczęły przebijać skórę.

Siła nieśmiertelnych – bardziej przekleństwo niż dar. Przez trzy dni po powrocie tutaj zgniatałam i wyginałam każdy element zastawy i każdy sztuciec, jakiego dotknęłam. Notorycznie potykałam się nieprzyczajona do dłuższych i zwinniejszych nóg; w końcu Alis nakazała usunąć z moich komnat wszystkie cenne przedmioty (najbardziej gderała, kiedy przewróciłam stół z osiemsetletnim wazonem). Strzaskałam też nie jedno, nie dwoje, ale *pięcioro* szklanych drzwi, niechcący zbyt zamasyście je zamykając.

Westchnęłam przez nos i rozprostowałam palce.

Prawą dłoń miałam zwykłą, gładką. Perfekcja fae.

Obróciłam lewą dłoń. Zawijasy ciemnego atramentu pokrywające palce, nadgarstek i przedramię aż do łokcia zdawały się wchłaniać mrok z całego pomieszczenia. Oko umieszczone na środku dłoni sprawiało wrażenie, jakby mnie nieustannie obserwowało. Spokojne i przebiegłe, jak u kota. Jego pionowa źrenica była zauważalnie szersza niż w ciągu dnia. Tak jakby dostosowywała się do oświetlenia, jak w normalnym oku.

Skrzywiłam się gniewnie w jego stronę.

W stronę kogokolwiek, kto mnie obserwował przez ten tatuaż.

Przez trzy miesiące mojej bytności tutaj Rhys w żaden sposób się ze mną nie skontaktował. Nie odezwał się nawet słowem. Nie śmiałam zapytać Tamlina, Luciena czy kogokolwiek innego; obawiałam się, że mogłabym w ten sposób przywołać księcia Dworu Nocy, w jakiś sposób przypomnieć mu o tym nieprzemyślanym targu, którego dobiłam z nim pod Górą. Tydzień z nim z każdego miesiąca w zamian za ocalenie mnie od śmierci.

Ale nawet jeśli Rhys w jakiś cudowny sposób o tym zapomniał, ja nie potrafiłam. Ani Tamlin, ani Lucien, ani ktokolwiek inny. Nie w sytuacji, gdy moją rękę pokrywał ten tatuaż.

Nawet jeśli Rhys na sam koniec... nawet jeśli właściwie nie okazał

się moim wrogiem.

Wrogiem Tamlina – owszem. Każdego innego dworu – zgadza się. Tak niewielu zdołało przekroczyć granice Dworu Nocy i powrócić. Na dobrą sprawę nikt nie wiedział, co się znajduje na północnych krańcach Prythianu.

Góry, ciemność, gwiazdy i śmierć.

Ale podczas ostatniej rozmowy z Rhysandem kilka godzin po śmierci Amaranthy nie czułam, żeby był moim wrogiem. Nikomu nie mówiłam o tym spotkaniu, o tym, co mi powiedział, ani o tym, co ja mu wyznałam.

„Ciesz się swoim ludzkim sercem, Feyro. Żałuj tych, którzy nie czują już nic”.

Zwinęłam palce w pięść, zasłaniając oko, zasłaniając tatuaż. Dźwignęłam się na nogi, splukałam ustę i poczłapałam w stronę umywalki, aby wypłukać usta i umyć twarz.

Chciałam nic nie czuć.

Pragnęłam, żeby moje ludzkie serce zostało przemienione razem z resztą mojego ciała, żeby zastygło w nieśmiertelnym marmurze. Chciałam pozbyć się tego poszarpanego strzępka czerni, który sączył we mnie swój jad.

Tamlin nie obudził się, gdy ostrożnie wróciłam do ciemnej sypialni. Spojrzałam na jego nagie ciało rozpostarte na pościeli. Przez chwilę jedynie podziwiałam imponujące mięśnie na jego plecach, tak cudownie podkreślone światłem księżyca; jego złociste włosy, rozwichrzzone snem i moimi palcami, które w nie wplatałam, gdy wcześniej się kochaliśmy.

To dla niego to zrobiłam, to dla niego ochoczo obróciłam siebie i swoją nieśmiertelną duszę w ruinę.

A teraz miałam wieczność, aby z tym żyć.

Ruszyłam w stronę łóżka. Każdy kolejny krok sprawiał mi coraz większą trudność. Pościel była już chłodna i sucha. Wślizgnęłam się w nią, zwinęłam w kłębek i przylgnęłam plecami do Tamlina. Oddychał głęboko i miarowo. Ale dzięki moim nieśmiertelnym uszom... czasem mi się zdawało, że słyszałam krótką przerwę w oddechu, tylko na jedno uderzenie serca. Nigdy nie zdobyłam się na odwagę, aby spytać, czy nie

śpi.

Ani razu się nie obudził, gdy koszmary wyrywały mnie ze snu; gdy noc za nocą wykrztuszałam swoje wnętrze do ustępu. Nawet jeśli wiedział albo coś usłyszał, nigdy nie wspomniał o tym ani słowem.

Wiedziałam, że podobne sny spędzają mu sen z powiek równie często, jak ja uciekałam przed swoimi. Za pierwszym razem zbudziłam się i próbowałam z nim o tym pomówić. On jednak strząsnął z ramienia moją dłoń; zauważyłam, że skórę miał bardzo lepką. Potem przemienił się w bestię złożoną z futra, pazurów, rogów i kłów. Resztę nocy spędził przyczajony w nogach łóżka, czujnie obserwując drzwi i okna.

Od tamtego czasu spędził w ten sposób wiele nocy.

Zwinęłam się jeszcze ciaśniej w kłębek i naciągnęłam mocniej koc, aby jego ciepło przegnało chłód nocy. To była nasza niewypowiedziana umowa – nie pozwolić Amarancie wygrać poprzez przyznanie, że wciąż nas dręczyła we śnie i na jawie.

Zresztą łatwiej było nic nie wyjaśniać. Nie wspominać, że choć uwolniłam jego, jego lud i cały Prythian od Amaranthy... sama rozpadłam się na kawałki.

Chyba całej wieczności nie wystarczy, aby mnie posklejać z powrotem.

Rozdział 2

Chcę jechać.

– Nie.

Skrzyżowałam ramiona, wytatuowaną dłoń wsuwając pod prawą pachę, i rozstawiłam stopy nieco szerzej na klepisku stajni.

– Minęły już trzy miesiące. Nic się nie wydarzyło, a do wioski nie ma nawet pięciu mil...

– Nie.

Promienie porannego słońca wpadały przez otwarte wrota stajni i rozjaśniały złociste włosy Tamlina, który właśnie kończył zapinać na piersi sprzączki pasa ze sztyletami. Jego twarz – zawadiacko przystojna, kropla w kroplę taka, jaką widywałam w snach przez te długie miesiące, kiedy nosił maskę – przybrała zacięty wyraz, a mocno zaciśnięte usta tworzyły cienką linię.

Siedzący na jabłkowitym koniu, otoczony trójką konnych strażników fae, Lucien w milczeniu pokręcił ostrzegawczo głową i zwęził źrenicę metalowego oka. Zdawał się mówić: „Nie naciskaj go”.

Ale gdy Tamlin ruszył w stronę swojego już osiodłanego karego ogiera, zazgrzytałam zębami i pobiegłam za nim.

– W wiosce potrzebują każdej pomocy.

– A my wciąż tropimy bestie Amaranthy – odparł, jednym płynnym ruchem dosiadając konia. Czasem zastanawiałam się, czy konie nie służyły wyłącznie zachowaniu pozorów ucywilizowania, normalności. Dzięki nim mógł udawać, że nie potrafi biegać szybciej od nich i nie żyje jedną nogą zawsze w lesie. Gdy ogier ruszył stępą, zielone oczy Tamlina przypominały odłamki lodu. – Nie mam tylu strażników, żeby posłać kilku z tobą.

Chwyciłam uzdę.

– Nie potrzebuję ich eskorty. – Zacisnęłam mocniej dłoń na skórzanym pasie i zmusiłam konia do zatrzymania. Promienie słońca zalśniły na zdobiącym mój palec złotym pierścieniu z osadzonym w nim kwadratowym szmaragdem.

Już dwa miesiące minęły od oświadczyn Tamlina; dwa miesiące wypełnione zmundnymi ustaleniami dotyczącymi wyboru kwiatów,

strojów, potraw i rozsadzenia gości. Tydzień temu zdołałam trochę odsapnąć dzięki uroczystościom z okazji przesilenia zimowego, chociaż oznaczało to tylko tyle, że zamiast koronek i jedwabi musiałam wybierać wieńce i girlandy z gałęzi zimozielonych drzewek. Ale przynajmniej dało mi to oddech od planowania wesela.

Trzy dni ucztowania, picia i wręczania sobie nawzajem drobnych upominków, z kulminacją w postaci długiej i raczej odpychającej ceremonii na szczycie wzgórza w najdłuższą noc roku, która miała zapewnić pomyślne przejście ze starego roku do nowego, podczas gdy słońce umierało i rodziło się na nowo. Czy coś takiego. Świątowanie przesilenia zimowego w miejscu, w którym panowała wieczna wiosna, nie wprowadziło mnie niestety w świąteczny nastrój.

Nie słuchałam zbyt uważnie wyjaśnień dotyczących pochodzenia tego zwyczaju – same fae nie mogły się zgodzić, czy wywodzi się on z Dworu Zimy czy Dworu Dnia. Obecnie oba uważały przesilenie za swoje najważniejsze święto. Właściwie wiedziałam tylko tyle, że będę musiała wytrzymać dwie ceremonie: jedną o zachodzie słońca, rozpoczynającą niemającą końca noc wręczania prezentów, tańca i opijania śmierci starego słońca, a potem drugą o poranku, z zamglonymi oczami i obolałymi stopami, aby powitać nowo narodzone słońce.

Celowo nie wspominałam komukolwiek, że moje urodziny przypadają właśnie na najdłuższą noc roku. Wystarczyło, że musiałam stać przed zebranymi dworzanami i pomniejszych fae, podczas gdy Tamlin wznosił liczne toasty i wygłaszał mowy pochwalne. Podarków też dostałam dość – a zapewne jeszcze wiele, wiele więcej dostanę w dniu ślubu. Nie potrzebowałam tak wielu rzeczy.

Teraz już tylko dwa tygodnie dzieliły mnie od naszej ceremonii. Jeśli nie wydostanę się z rezydencji, jeśli nie spędzę dnia na robieniu czegokolwiek innego niż wydawanie pieniędzy Tamlina i przyjmowanie unizonych hołdów...

– Proszę cię. Odbudowa posuwa się tak powoli. Mogłabym polować dla mieszkańców wioski, zdobyć dla nich jedzenie...

– To nie jest bezpieczne – wszedł mi w słowo Tamlin, ponownie zmuszając swojego konia do chodu. Sierść ogiera lśniła niczym ciemne

lustro, nawet w cieniu stajni. – Zwłaszcza dla ciebie.

Powtarzał to za każdym razem, kiedy się o to sprzeczaaliśmy. Raz po raz błagałam go, żeby pozwolił mi udać się do pobliskiej wioski fae wysokiego rodu, aby pomóc im w odbudowie tego, co Amarantha spaliła lata temu.

Wyszłam w ślad za nim poza stajnie. Dzień był jasny, niebo – bezchmurne. Trawa porastająca pobliskie pagórki falowała na lekkim wietrze.

– Oni chcą wrócić do swoich domów, chcą mieć gdzie zamieszkać...

– Oni postrzegają cię jako błogosławieństwo. Jesteś dla nich ostoją. Gdyby coś ci się stało... – Urwał i zatrzymał się na skraju ubitej ścieżki prowadzącej do wschodniej kniei. Lucien czekał kawałek dalej. – Odbudowywanie czegokolwiek nie ma sensu, jeśli stwory Amaranthy miałyby ponownie napaść te ziemie i wszystko zniszczyć.

– Czary ochronne działają...

– Zanim zostały naprawione, trochę się prześlizgnęło; choćby wczoraj Lucien dorwał piątkę nag.

Obróciłam gwałtownie twarz w stronę Luciena, który się skrzywił pod moim spojrzeniem. Nie powiedział mi o tym podczas wczorajszej kolacji. *Skłamał*, kiedy zapytałam, czemu utyka. Zmroziło mnie. Nie tylko mnie okłamał, ale... Nagi... Czasem śniłam o ich krwi tryskającej na mnie, gdy ginęły od moich ciosów; o ich węzowych twarzach, gdy próbowały mnie wypatroszyć w leśnej głuszy.

– Nie będę mógł zrobić tego, co do mnie należy, jeśli będę się cały czas martwił o twoje bezpieczeństwo – powiedział łagodnie Tamlin.

– Ależ nic mi nie grozi. – Jako fae wysokiego rodu, z obecną siłą i szybkością, miałabym duże szanse uciec w razie kłopotów.

– Proszę, błagam, zrób to dla mnie – podjął Tamlin, gładząc dłonią potężną szyję swojego ogiera, który zarżał ze zniecierpliwieniem. Pozostali ruszyli już przed siebie lekkim kłusem. Pierwszy ze strażników miał lada chwila wjechać między drzewa. Tamlin wskazał brodą alabastrową rezydencję za moimi plecami. – Jestem pewien, że w domu znajdziesz mnóstwo zajęć, przy których mogłabyś pomóc. Albo możesz coś namalować. Wypróbuj te nowe farby, które ci dałem na przesilenie.

W domu nie czekało na mnie nic poza planowaniem wesela, ponieważ Alis nie zgodziła się, abym choćby ruszyła palcem przy innych pracach. Nie zrobiła tego z uwagi na to, kim byłam dla Tamlina, kim miałam się dla niego stać, ale... ze względu na to, co robiłam dla niej, dla jej siostrzeńców i dla całego Prythianu. Cała służba zachowywała się w ten sposób. Niektórzy wciąż łkali z wdzięcznością, gdy mijali mnie w korytarzach. Jeśli zaś chodziło o malowanie...

– Niech ci będzie – wyszeptalam. Zmusiłam się do spojrzenia mu w oczy i przywołania uśmiechu na twarz. – Uważaj na siebie – powiedziałam szczerze. Na samą myśl o nim ruszającym w las, polującym na potwory, które niegdyś służyły Amarancie...

– Kocham cię – powiedział cicho Tamlin.

Kiwnęłam głową i wymamrotałam te same słowa, podczas gdy on pokłusował do wciąż czekającego Luciena. Brwi Tamlinowego posła były lekko zmarszczone. Nie patrzyłam za nimi, kiedy odjeżdżali.

Wracałam nieśpiesznie przez labirynt żywopłotów w ogrodach, wsłuchując się w radosny świergot wiosennych ptaków i chrzęst żwiru pod moimi cienkimi trzewikami.

Nienawidziłam jasnych sukien, które stały się moim codziennym ubiorem, ale nie miałam serca, żeby to powiedzieć Tamlinowi – nie w sytuacji, kiedy kupił mi ich tak wiele; nie kiedy wyglądał na tak szczęśliwego, gdy tylko mnie w nich widział. Poza tym miał rację: w dniu, w którym włożyłabym swoje spodnie i tuniki, kiedy obwiesiłabym się bronią niczym biżuterią, posłałabym w kraj wyraźne przesłanie. Nosiłam więc suknie i pozwalałam Alis układać mi włosy. Skoro miało to przynieść mieszkańcom tych ziem trochę spokoju i pociechy...

Tamlin przynajmniej nie oponował, kiedy na zdobionym drogimi kamieniami pasku nosiłam przy sobie sztylet. Oba otrzymałam od Luciena – sztylet wiele miesięcy temu, przed konfrontacją z Amaranthą, a pasek w pierwszych tygodniach po jej upadku, kiedy nie rozstawałam się z bronią. „Jeśli zamierzasz się zbroić aż po zęby, możesz przynajmniej wyglądać gustownie” – powiedział mi wtedy.

Ale jeśli nawet spokój panowałby przez całe sto lat, wątpiłam, czy zdołałabym się obudzić któregoś ranka i nie zabrać ze sobą noża.

Sto lat.

Tyle czasu miałam przed sobą... Czekały mnie całe wieki życia. Całe wieki z Tamlinem, całe wieki w tym pięknym, cichym miejscu. Może kiedyś w końcu poradzę sobie sama ze sobą. A może nie.

Przystanąłam przed schodami prowadzącymi do porośniętego pnącymi różami i bluszczem domu i spojrzałam w prawo – w stronę zadbanego różanego ogrodu w stylu dworskim i dalej, w stronę widniejących za nim okien.

Od powrotu weszłam do tamtej komnaty – mojego dawnego studia malarskiego – tylko raz, ale wyszłam po kilku chwilach i już nigdy więcej tam nie wróciłam. Wszystkie te obrazy, wszystkie pędzle i farby, wszystkie puste płótna tylko czekające, aż przeleję na nie swoje opowieści, uczucia i marzenia... Nienawidziłam ich. Przestałam katalogować barwy i badać faktury, przestałam zwracać na nie uwagę. Ledwo potrafiłam znieść widok obrazów wiszących na korytarzach rezydencji.

Z otwartych drzwi domu dobiegł mnie słodki kobiecy głos, raz za razem powtarzający szczebiotliwie moje imię. Na jego dźwięk dręczące mnie przygnębienie nieco zelżało.

Iantha. Wysoka kapłanka, a także szlachcianka fae i przyjaciółka Tamlina z dzieciństwa, która zaoferowała swoją pomoc w przygotowywaniu wesela.

I która postanowiła wielbić mnie i Tamlina, tak jakbyśmy byli nowo narodzonymi bóstwami, wybranymi i pobłogosławionymi przez sam Kocioł.

Nie narzekałam jednak – Iantha знаła wszystkich na dworze i poza nim. Towarzyszyła mi dyskretnie podczas oficjalnych okazji i posiłków, szepcząc mi do ucha informacje o wszystkich zebranych. To głównie dzięki niej przetrwałam radosny młyn zimowego przesilenia. To ona prowadziła wszystkie ceremonie, a ja bardzo chętnie pozwalałam jej wybierać wieńce i girlandy do udekorowania rezydencji i jej otoczenia czy rodzaj zastawy do podania poszczególnych posiłków. Poza tym... chociaż Tamlin płacił za moje ubrania, to oko Ianthy je wybierało.

To ona dodawała ducha i nadziei okolicznym mieszkańcom, wskazana ręką Bogini, wybrana, aby wyprowadzić fae z rozpacz

i mroku.

Nie miałam żadnych podstaw, by wątpić w jej dobre zamiary. Ani razu mnie nie zawiodła, a ja w żadnym razie nie chciałam powrotu dni, kiedy ona była zajęta sprawami świątyni – pielgrzymami i akolitykami. Ale dzisiaj... Tak, spędzenie czasu z Ianthą było lepsze od alternatywy.

Uniosłam zwiewną spódnicę jasnoróżowej sukni i wspięłam się po marmurowych schodach prowadzących do rezydencji.

„Następnym razem” – obiecałam sobie. Następnym razem przekonam Tamlina, aby pozwolił mi udać się do wioski.

– Nie możemy pozwolić, żeby *ona* siedziała obok niego. Rozerwaliby się nawzajem na strzępy i poplamiliby krwią obrus. – Iantha zmarszczyła brwi częściowo przesłonięte jasnym, błękitnoszarym kapturem, zniekształcając zdobiący czoło tatuaż przedstawiający księżyc w różnych fazach. Wykreśliła z planu rozmieszczenia gości imię, które przed chwilą tam wpisała.

Dzień się ocieplił, a powietrze w komnacie zrobiło się nieco duszne, czemu nie potrafił zaradzić nawet lekki wiatr wpadający przez otwarte okna. Iantha jednak nie zdejmowała swych grubych szat.

Wszystkie wysokie kapłanki nosiły obszerne szaty z licznymi fałdami kunsztownie ułożonego materiału, przy czym zdecydowanie nie wyglądały w nich na stateczne matrony. Smukła talia Ianthy była wyraźnie podkreślona eleganckim pasem inkrustowanym błękitnymi kryształami oprawionymi w srebro. Na kapturze nosiła pasujący do pasa diadem – delikatną srebrną opaskę z osadzonym na środku dużym kamieniem. Za diadem założony był woal, który mogła opuszczać na oczy, kiedy potrzebowała zmówić modlitwę, prosić Kocioł i Matkę o wstawiennictwo lub zwyczajnie coś przemyśleć.

Kiedyś Iantha zademonstrowała, jak wygląda z opuszczonym welonem: widać było tylko nos i pełne zmysłowe usta. Głos Kotła. W moim odczuciu sprawiało to niepokojące wrażenie, tak jakby przesłonięcie ledwie górnej połowy twarzy nagle przemieniało bystrą i sprytną kobietę w jakąś kukłę, w coś całkowicie innego. Na szczęście przez większość czasu nosiła welon zatknięty za diadem. Czasem nawet

całkiem zdejmowała kaptur, pozwalając słońcu bawić się w jej długich, łagodnie falujących złocistych włosach.

Srebrne pierścienie zaśniły na zadbanych palcach kapłanki, gdy zanotowała inne imię.

– To jest jak gra – wyjaśniła i wypuściła powietrze zadartym nosem. – Wszystkie te figury żadne potęgi lub władzy, gotowe rozlać krew, jeśli zajdzie taka potrzeba. Musi ci być trudno się w tym wszystkim odnaleźć.

Zbytek i elegancja nie wyeliminowały jej brutalności. Fae wysokiego rodu w niczym nie przypominali chichoczących moźnych z krain śmiertelników. O, nie! Jeśli się waśnili, *zawsze* kończyło się to rozerwaniem kogoś na krwawe strzępy. Dosłownie.

Kiedyś drżałam na samą myśl o oddychaniu tym samym powietrzem co oni.

Poruszyłam kilkakrotnie palcami dłoni, rozciągając i ściągając linie tatuażu.

Teraz mogłam walczyć razem z nimi i przeciwko nim. Nie żebym próbowała.

Zbyt dobrze mnie pilnowano – obserwowano, osądzano. Dlaczego narzeczona księcia miałaby uczyć się walczyć, skoro powrócił pokój? Taki właśnie argument przedstawiła Iantha, gdy popełniłam błąd i wspomniałam o tym przy kolacji. Tamlin przynajmniej potrafił dostrzec obie strony medalu: nauczyłabym się sama siebie bronić... ale rozeszłyby się plotki.

– Ludzie nie są wiele lepsi – powiedziałam w końcu, ponieważ Iantha była chyba jedyną z moich nowych towarzyszek, która nie sprawiała wrażenia oszołomionej lub wystraszonej moją obecnością.

Iantha przechyliła głowę na bok. Błękitny kamień nad brzegiem kaptura zaśnił w słońcu.

– Czy twoja śmiertelna rodzina przybędzie?

– Nie. – Nie myślałam o zapraszaniu ich. Nie chciałam ich narażać na styczność z Prythianem. Ani z tym, czym się stałam.

Postukała długim smukłym palcem w stół.

– Ale przecież mieszkają tak blisko muru, prawda? Jeśli ich obecność byłaby dla ciebie ważna, moglibyśmy z Tamlinem

zagwarantować im bezpieczną podróż. – W tym długim czasie, który spędzałyśmy razem, zdążyłam opowiedzieć jej o wiosce, o domu, w którym teraz mieszkały moje siostry, o Isaaku Hale’u i Tomasie Mandrayu. Nie potrafiłam się zmusić do wspomnienia o Klarze Beddor ani o tym, jaki los spotkał jej rodzinę.

– Moja siostra Nesta sama poradziłaby sobie z trudami podróży – powiedziałam, starając się odgonić wspomnienie tamtej ludzkiej dziewczyny i tego, co jej zrobiono – ale nienawidzi waszej rasy.

– *Naszej* rasy – poprawiła mnie cicho Iantha. – Już o tym mówiliśmy.

Kiwnęłam tylko głową. Ona jednak kontynuowała:

– Jesteśmy rasą starą i przebiegłą, lubimy używać słów jak ostrzy czy pazurów. Każde słowo opuszczające twoje usta, każde użyte sformułowanie zostanie osądzone i prawdopodobnie użyte przeciwko tobie. – Po chwili dodała, jakby chcąc złagodzić ostrzeżenie: – Strzeż się, moja pani.

Pani. Bezsensowny zwrot. Nikt nie wiedział, jak się właściwie do mnie zwracać. Nie urodziłam się jako fae wysokiego rodu.

Zostałam uczyniona fae; wskrzeszona i obdarowana nowym ciałem przez siedmiu książąt Prythianu. Z tego, co wiedziałam, nie byłam uważana za towarzyszkę Tamlina. Nie łączyła nas więź godowa – jeszcze nie.

Prawdę mówiąc... Prawdę mówiąc, Iantha – z jej jasnozłotymi włosami, morskimi oczami, eleganckimi rysami i smukłym ciałem – zdecydowanie bardziej wyglądała na towarzyszkę Tamlina. Kogoś równego jemu. Formalny związek między nią a Tamlinem – księciem i wysoką kapłanką – posłałby w świat wyraźny przekaz, stanowiłby demonstrację siły mającą odstraszyć wszelkie potencjalne zagrożenia dla naszych ziem. Dałby też Iancie władzę, do której bez wątplenia dążyła.

Wśród fae wysokiego rodu kapłanki nadzorowały przebieg ceremonii i rytuałów, spisywały historię i podania, a także doradzały swoim suwerenom w sprawach ważkich i błahych. Ani razu nie widziałam, aby parała się magią. Gdy spytałam o to Luciena, zmarszczył brwi i wyjaśnił, że ich magia pochodzi z ceremonii i gdyby kapłanki chciały, mogłyby być śmiertelnie groźne. Obserwowałam ją podczas

przesilenia zimowego, wypatrując oznak magii. Uważnie przypatrywałam się temu, jak się ustawia, tak aby wschodzące słońce znalazło się między jej ramionami, ale ani powietrze nie zafalowało, ani nie poczułam żadnego wezbrania mocy. Ani od niej, ani od strony ziemi.

Nie wiedziałam, czego tak właściwie oczekiwałam od Ianthy – jednej z dwunastu wysokich kapłanek, które wspólnie sprawowały nadzór nad swoimi siostrami rozproszonymi po całym Prythianie. Kiedy Tamlin zakomunikował, że jego dawna znajoma wkrótce wprowadzi się do sypiącego się ze starości kompleksu świątynnego na naszych ziemiach i przywróci mu dawną chwałę, spodziewałam się osoby bardzo starej, spokojnej i żyjącej w czystości, zwłaszcza że nasłuchiwałam się opowieści powtarzanych szeptem przez śmiertelników. Ale gdy następnego ranka Iantha wparowała do rezydencji, wszystkie moje wyobrażenia przysły. Zwłaszcza to o życiu w czystości.

Kapłanki mogły brać sobie mężów, rodzić dzieci i romansować do woli. Kiedyś powiedziała mi, że stłumienie instynktów, tej przyrodzonej kobiecej magii przywoływania na świat nowego życia, stanowiłoby zbezczeszczenie daru płodności, jaki otrzymała od Kotła.

Tak więc podczas gdy siedmiu księżąt władało Prythianem ze swoich tronów, dwanaście wysokich kapłanek panowało z ołtarzy, a ich dzieci cieszyły się wpływami i szacunkiem równymi potomkom najmożniejszych. Iantha jednak – najmłodsza wysoka kapłanka od trzech stuleci – wciąż była niezamężna, bezdzietna i chętna „cieszyć się najprzedniejszymi mężczyznami całej krainy”.

Często zastanawiałam się, jak to jest być tak wolną i jednocześnie tak wewnętrznie zrównoważoną.

Gdy dłuższy czas nie odpowiadałam na jej łagodne upomnienie, zapytała:

– Zastanawiałaś się może nad kolorem róż? Białe? Różowe? Żółte? Czerwone...

– Nie czerwone.

Nienawidziłam tego koloru. Bardziej niż czegokolwiek innego. Włosy Amaranthy, cała przelana krew, pręgi na zmaltretowanym ciele Klary Beddor, przyszpilonym do ściany pod Górą...

– Herbaciane mogą wyglądać ładnie przy całej tej zieleni... Ale

może bardziej pasują do Dworu Jesieni. – Ponownie zaczęła stukać palcem o stół.

– Jakiegokolwiek chcesz. – Powinnam szczerze przyznać, że Iantha była dla mnie podporą. Ale ona zdawała się chętnie wchodzić w tę rolę i dbać o różne rzeczy, kiedy ja nie mogłam się na to zdobyć.

Ale teraz uniosła lekko brwi.

Chociaż była wysoką kapłanką, uciekła wraz z rodziną i uniknęła wszystkich okropieństw, jakie miały miejsce pod Górą. Jej ojciec, jeden z największych sprzymierzeńców Tamlina na Dworze Wiosny, głównodowodzący jego wojska, przeczuł zbliżające się kłopoty i spakował Ianthę, jej matkę oraz dwie młodsze siostry, po czym wysłał je do Vallahanu, jednej z niezliczonych krain fae. Przez pięćdziesiąt lat żyły na obcym dworze, czekając cierpliwie, podczas gdy ich pobratymcy byli mordowani i niewoleni.

Ani razu nie wspomniała o tamtych czasach. Wiedziałam, że lepiej nie pytać.

– Każdy detal związany z przyjęciem weselnym jest istotny, wysyła komunikat nie tylko do wszystkich w Prythianie, ale też do całego świata poza nim – powiedziała. Zdusiłam westchnięcie. Wiedziałam o tym; już mi to wyjaśniała. – Wiem, że niezbyt ci się podoba suknia...

Eufemizm. Nienawidziłam tego tytułowego okropieństwa, które wybrała. Tamlin podzielał moją opinię – kiedy pokazałam mu się w sukni w swojej komnacie, śmiał się aż do rozpuku. Zapewnił mnie jednak, że choć strój wygląda absurdalnie, to kapłanka wiedziała, co robi. Miałam ochotę protestować. Byłam wściekła, że chociaż zgadza się ze mną, to jednak staje po jej stronie, ale... kosztowałoby mnie to więcej wysiłku, niż to było warte.

– ...ale przekazuje właściwy komunikat – ciągnęła Iantha. – Spędziłam dość czasu na różnych dworach, aby wiedzieć, na jakiej zasadzie funkcjonują. Zaufaj mi.

– Ufam ci – odparłam i machnięciem dłoni wskazałam rozłożone przed nami papiery. – Ty znasz się na tym wszystkim. Ja nie.

Zadzwończyły srebrne ozdoby na przegubach Ianthy, tak bardzo przypominające bransoletki noszone przez Dzieci Błogosławionych po

drugiej stronie muru. Czasem zastanawiałam się, czy ci głupi ludzie podkradli pomysł wysokim kapłankom Prythianu, czy też to kapłanki takie jak Iantha rozpowszechniły wśród nich ten bezsensowny zwyczaj.

– Dla mnie to też jest ważna chwila – powiedziała ostrożnie Iantha i poprawiła diadem na kapturze. Oczy barwy morza spotkały moje spojrzenie. – Jesteśmy do siebie takie podobne: młode, niedoświadczone wśród tych... wilków. Jestem wdzięczna tobie... i Tamlinowi, że pozwolicie mi poprowadzić ceremonię, że zaprosiliście mnie na swój dwór, że mogę być jego częścią. Pozostałe wysokie kapłanki nie poważają mnie i wzajemnie, ale... – Pokręciła głową. Skraje kaptura zafalowały. – Razem – wymamrotała cicho – nasza trójka może wiele zdziałać. Czwórka, jeśli liczyć Luciena. – Parsknęła. – Nie żeby miał szczególną ochotę się ze mną zadawać.

Ciekawe...

Częstokroć znajdowała sposoby, aby go spotkać, znaleźć się obok niego na ucztach, dotknąć jego łokcia lub ramienia. Ale on ją całkowicie ignorował. W zeszłym tygodniu zapytałam go w końcu, czy ona próbuje z nim flirtować. Lucien spojrzał tylko na mnie, warknął cicho i oddalił się bez słowa. Uznałam to za potwierdzenie swoich domysłów.

Jej związek z Lucieniem byłby niemal równie pożądany jak z samym Tamlinem: prawa ręka księcia i syn innego księcia... Ich dzieci miałyby bardzo silną pozycję, byłyby niezmiernie dobrymi partiami.

– Wiesz... jemu jest ciężko, jeśli chodzi o kobiety – rzuciłam od niechcena.

– Był z *wieloma* od śmierci swojej kochanki.

– Może w twoim przypadku jest inaczej. Może to znaczy, że nie jest gotowy na... – Wzruszyłam ramionami, szukając właściwych słów.

– Może to z tego powodu trzyma się na dystans.

Rozważyła moje słowa, a ja modliłam się w duchu, żeby uwierzyła w zakamuflowane kłamstwo. Iantha była ambitna, mądra, piękna i śmiała, ale nie sądziłam, aby Lucien jej wybaczył. Czy mógłby jej kiedykolwiek wybaczyć ucieczkę przed Amaranthą? Czasem nawet się zastanawiałam, czy mój przyjaciel byłby zdolny wyrwać jej z tego powodu gardło.

W końcu skinęła głową.

– A czy chociaż cieszysz się na wesele?

Obróciłam na palcu pierścioneł ze szmaragdem.

– To będzie najszczęśliwszy dzień mojego życia.

W dniu, w którym Tamlin mi się oświadczył, zdecydowanie tak właśnie się czułam. Płakałam z radości, odpowiadając „tak, tak, po tysiackroć tak”. A potem kochaliśmy się na łące pełnej polnych kwiatów, na którą mnie zaprowadził na tę okazję.

Iantha pokiwała głową.

– Wasz związek cieszy się błogostawieństwem Kotła. Dowodzi tego choćby to, że przeżyłaś okropieństwa, jakie cię spotkały pod Górą.

Dostrzegłam jej ukradkowe spojrzenie na moją lewą rękę, na tatuaż.

Przemogłam się, by nie schować dłoni pod stołem.

Tatuaż na jej czole został wykonany ciemnogranatowym tuszem przywodzącym na myśl nocne niebo, ale w jakiś sposób mimo to pasował do niej, podkreślał styl jej kobiecych strojów, współgrał z jasnosrebrną biżuterią. Zupełnie inaczej niż mój rysunek – elegancki, lecz brutalny.

– Moglibyśmy zorganizować dla ciebie rękawiczki – rzuciła lekko.

To by posłało w świat kolejny komunikat; może dotarłby aż do osoby, o której istnieniu tak usilnie próbowałam zapomnieć.

– Zastanowię się nad tym – odparłam z bladym uśmiechem.

Tylko tyle mogłam zrobić, aby powstrzymać się przed ucieczką, zanim wybije pełna godzina i Iantha oddali się do swojej osobistej komnaty modlitwnej, którą Tamlin kazał wyszykować dla niej zaraz po jej powrocie, aby złożyć Kotłowi dzięki za oswobodzenie krainy, moje zwycięstwo i swoje dalsze panowanie nad tymi ziemiami.

Czasem zastanawiałam się, czy może powinnam ją poprosić o modlitwę również w mojej intencji.

Żebym któregoś dnia nauczyła się kochać te suknie, przyjęcia i moją rolę ślicznej oblewającej się rumieńcem panny młodej.

Leżałam już w łóżku, gdy Tamlin wszedł do mojej komnaty – cicho niczym jeleń przemierzający las. Uniosłam głowę i odruchowo

sięgnęłam po sztylet, który zawsze trzymałam na stoliku nocnym, ale po chwili rozluźniłam się na widok szerokich ramion, błysku światła świec na opalonej skórze i gry cieni na jego twarzy.

– Nie śpisz? – zapytał cicho. W jego głosie wyczułam zdziwienie. Od kolacji nie wychodził ze swojego gabinetu, gdzie przekopywał się przez stosy dokumentów rzuconych na biurko przez Luciena.

– Nie mogłam zasnąć – odparłam.

Przyglądałam się grze mięśni pod skórą, gdy zmierzał do komnaty łaziennej. Już godzinę czekałam na nadejście snu, ale za każdym razem, gdy zamykałam oczy, ciało mi sztywniało, a ściany komnaty zdawały się na mnie napierać. Nawet otworzyłam na oścież okna, ale... Szykowała się długa noc.

Oparłam się o poduszki i nasłuchiwałam odgłosów jego metodycznego i sprawnego szykowania się do snu. Wciąż korzystał z oddzielnych komnat; uznał, że powinnam mieć jakieś miejsce dla siebie samej.

Ale i tak spał tu każdej nocy. Jeszcze ani razu nie zawitałam do jego łóżka. Zastanawiałam się, czy w noc poślubną to się zmieni. Modliłam się w duchu, żebym znowu nie obudziła się w środku nocy i nie zwymiotowała na pościel, nie rozpoznając otoczenia; nie wiedząc, czy otaczająca mnie ciemność jest trwała, czy przejściowa.

Może dlatego jeszcze nie poruszał tej sprawy.

Opuścił komnatę łazienką, po czym zrzucił z siebie tunikę i koszulę. Uniosłam się na łokciach, aby mu się przyjrzeć, gdy zatrzymał się na chwilę tuż obok łóżka.

Moja uwaga momentalnie skupiła się na silnych zwinnych palcach zajętych rozwiązywaniem troczków przy spodniach.

Tamlin zawarczał cicho i aprobująco. Nogawki i bielizna opadły na podłogę, odsłaniając jego potężne ciało w całej okazałości. Zaszło mi w ustach; przesunęłam wzrokiem w górę, po mięśniach brzucha, po muskularnej piersi aż do...

– Chodź tu – warknął tak ostro, że ledwo można było rozróżnić poszczególne słowa.

Odrzuciłam koce i odsłoniłam moje już nagie ciało. Syknął głośno.

Jego twarz przybrała dziki wyraz, gdy przyglądał się, jak pełnę

w poprzek łóżka i unoszę się na kolanach tuż przed nim. Ujęłam jego twarz w dłonie – jego złota skóra objęta w ramy palców barwy kości słoniowej i wijącej się czerni – i pocałowałam go.

Przez cały czas trwania pocałunku spoglądał mi prosto w oczy, nawet gdy przysunęłam się bliżej, powstrzymując cichy okrzyk, kiedy otarłam się o niego brzuchem.

Przesunął szorstkie dłonie z moich bioder na talię, po czym chwycił mnie pewnie i opuścił głowę, pogłębiając pocałunek. Jedno muśnięcie jego języka na moich wargach wystarczyło, abym otworzyła się na niego w pełni, a on skorzystał z zaproszenia i zawłaszczył mnie, naznaczył jako swoją.

Jęknęłam i odchyliłam głowę do tyłu, aby ułatwić mu zadanie. Dłonie obejmujące mnie w talii drgnęły, po czym jedna zsunęła się na mój pośladek, a druga wpełzła między nas.

Ta... ta chwila, kiedy byliśmy tylko on i ja, kiedy między naszymi ciałami nie było nic innego...

Przesunął językiem po moim podniebieniu, jednocześnie przesuwał palcem od obojczyków w dół. Nabrałam gwałtownie powietrza i wygięłam plecy z rozkoszy.

– Feyra – powiedział, nie odrywając ust od moich warg. Wymówił moje imię, jakby było modlitwą bardziej podniosłą od dowolnej spośród tych, jakie Iantha zanosila do Kotła w ciemny poranek przesilenia.

Ponownie poruszył językiem w moich ustach, jednocześnie wsuwając we mnie palec. Poruszyłam biodrami, domagając się więcej, pragnąc go całego. Jego warkot zawibrował w mojej piersi; dołączył drugi palec.

Napierałam na niego rytmicznie. Błyskawice mknęły moimi żyłami, cała moja uwaga skupiała się na jego palcach, jego ustach, jego ciele przyciśniętym do mojego. Napałł dłonią na kłębek nerwów u zbiegu moich ud. Wyjęczałam jego imię i rozpadłam się na kawałki.

Odrzuciłam głowę do tyłu, łykając łapczywie chłodne nocne powietrze, a on opuścił mnie na łóżko – łagodnie, delikatnie i czule.

Przesunął się nade mnie i opuścił usta do mojej piersi. Wystarczyło jedno ściśnięcie sutka zębami, aby moje paznokcie zaczęły orać jego plecy, aby moje nogi objęły jego biodra i przyciągnęły go do mnie.

Tego... potrzebowałam.

Zawahał się. Ramiona, na których się wspierał, zadrżały.

– Proszę – wyszeptałam.

Musnął ustami moją szczękę, szyję, moje usta.

– Tamlinie – błagałam. Przesunął dłonią po mojej piersi, trącąc kciukiem sutek. Krzyknęłam, a on wtedy wszedł we mnie potężnym pchnięciem.

Przez chwilę byłam niczym, nikiem.

Potem zaliśmy się w jedno: dwa serca biły jednym rytmem i przysięgłam sobie, że już zawsze tak będzie. Tamlin wysunął się o kilka cali, mięśnie na jego grzbiecie napięły się pod moimi dłońmi, po czym wtargnął z powrotem głęboko we mnie. I jeszcze raz, i jeszcze.

Pękałam i kruszyłam się o niego, gdy tak poruszaliśmy się wspólnym rytmem, gdy mruczał moje imię i zapewniał o miłości. A gdy błyskawice ponownie wypełniły moje żyły, moją głowę, gdy wydyszałam jego imię, on również znalazł spełnienie. Ścisakałam go mocno, podczas gdy jego ciałem wstrząsały kolejne potężne fale, rozkoszując się jego ciężarem, dotykiem jego skóry, jego siłą.

Przez parę chwil w komnacie słycać było jedynie nasze chrapliwe oddechy.

Gdy ostatecznie wysunął się ze mnie, zmarszczyłam brwi; ale on nie wstał: wyciągnął się na boku, wsparł głowę o dłoń zwiniętą w pięść i kreślił palcem kręgi na moim brzuchu i na piersiach.

– Przepraszam za wcześniej – wymruczał.

– Nie gniewam się – wyszeptałam. – Rozumiem.

Nie było to kłamstwo, ale też nie do końca prawda.

Przesunął palec niżej i począł nim krążyć wokół mojego pępka.

– Jesteś... jesteś dla mnie wszystkim – powiedział głosem pełnym napięcia. – Chcę... Chcę, żebyś była bezpieczna. Muszę mieć pewność, że nie mogą cię dostać, że nie mogą cię już skrzywdzić.

– Wiem. – Przesunął dłoń niżej. Przełknęłam z trudem ślinę i powtórzyłam: – Wiem. – Odsunęłam mu włosy z twarzy. – Ale co z tobą? Kto będzie dbał o twoje bezpieczeństwo?

Jego twarz stężała. Odkąd odzyskał swoją moc, nie potrzebował nikogo, by go chronił. Niemal widziałam jeżącą się niewidzialną sierść –

nie na mnie, ale na samą myśl o tym, czym był zaledwie kilka miesięcy temu: zdany na łaskę i niełaskę Amaranthy, z mocą stanowiącą ledwie leniwy strumyk w porównaniu z grzmiącym teraz w nim wodospadem. Odetchnął głęboko, aby się uspokoić, nachylił się i pocałował mnie tuż nad sercem, równo między piersiami. To mi wystarczyło za odpowiedź.

– Wkrótce – wymruczał i przesunął dłoń na moją talię. Niemal jęknęłam. – Wkrótce będziesz moją żoną i wszystko będzie w porządku. Wszystko to zostawimy za sobą.

Wygięłam plecy i zepchnęłam jego dłoń niżej. Zachichotał szorstko. Niemal nie słyszałam własnych słów, tak byłam skoncentrowana na palcach, które posłuchały mojego niewypowiedzianego polecenia.

– Jak będą mnie wtedy wszyscy nazywali? – Nachylił się, ocierając się o mój pępek, i zassał czubek jednej z piersi do ust.

– Hmm? – zapytał, a wibracje jego głosu na moim sutku przeszyły mnie silnym dreszczem.

– Czy wszyscy będą na mnie mówić „żona Tamlina”? Czy dostanę jakiś... tytuł?

Uniósł głowę, żeby na mnie spojrzeć.

– Chcesz otrzymać tytuł?

Zanim zdołałam odpowiedzieć, uszczypnął mnie w pierś, po czym polizał podrażnione miejsce i nie przestawał lizać, gdy w końcu wsunął palce między moje nogi. Poruszał nimi leniwie, kreśląc niewypowiedzianą obietnicę.

– Nie – wydyszałam. – Ale nie chcę, żeby inni... – Niech mnie w Kotle ugotują, te cholerne *palce*... – Nie wiem, czy zniosę nazywanie mnie księżną.

Ponownie wsunął we mnie palce i zawarczał zadowolony, gdy poczuł na nich wilgoć – zarówno moją, jak i jego.

– Nie będą cię tak nazywali – powiedział z wargami przyciśniętymi do mojej skóry, przesuając się z powrotem nade mnie i opadając na moje ciało, kolejnymi pocałunkami znacząc swoją drogę. – Nie ma czegoś takiego jak księżna.

Chwycił moje uda i rozchylił je szeroko, po czym opuścił głowę i...

– Jak to nie ma czegoś takiego jak księżna?

Żar, jego dotyk – wszystko ustało.

Spojrzał na mnie spomiędzy moich nóg. Niemal doszłam na sam ten widok. Ale to, co powiedział, co zasugerował... Pocałował skórę po wewnętrznej stronie uda.

– Książęta biorą żony. Kochanki. Nigdy nie było żadnej księżnej.

– Ale matka Luciena...

– Jest panią Dworu Jesieni, ale nie księżną. Tak jak ty będziesz panią Dworu Wiosny. Będą się do ciebie zwracali tak, jak zwracają się do niej. Będą cię szanowali tak, jak ją szanują. – Opuścił wzrok z powrotem na to, co widniało ledwie kilka cali od jego warg.

– Czyli matka Luciena...

– Nie chcę teraz słyszeć od ciebie imion innych mężczyzn – warknął i opuścił usta.

Po pierwszym dotknięciu języka przestałam oponować.

Rozdział 3

Tamlin musiał mieć bardzo silne poczucie winy, ponieważ chociaż następnego dnia go nie było, czekał na mnie Lucien z propozycją sprawdzenia postępów w odbudowie pobliskiej wioski.

Nie byłam nigdzie od ponad miesiąca. Tak właściwie nie mogłam sobie przypomnieć, kiedy konkretnie ostatni raz w ogóle opuściłam tereny pałacu. Kilku okolicznych mieszkańców zostało zaproszonych na obchody przesilenia zimowego, ale wtedy zebrały się takie tłumy, że zdołałam ich jedynie powitać.

Konie czekały już osiodłane przed frontowymi wrotami stajni. Policzyłam strażników rozstawionych przy odległej bramie (czterech), po obu stronach rezydencji (dwóch na każdym rogu) i przy ogrodzie, przez który właśnie przeszłam (dwóch). Chociaż żaden z nich nie odezwał się ani słowem, czułam na sobie ciężar ich spojrzeń.

Lucien właśnie zmierzał do swojej jabłkowitej klaczy, kiedy zaszłam mu drogę.

– Spadłeś ze swojego cholernego konia? – wysyczałam i popchnęłam go.

Lucien zatoczył się do tyłu, klacz zarżała cicho zaniepokojona, a ja spojrzałam zaskoczona na moją rękę. Nie przejmowałam się, jak mój gest mogli odczytać strażnicy. Zanim Lucien zdążył cokolwiek odpowiedzieć, zapytałam:

– Dlaczego skłamałeś mi na temat nag?

Zapytany skrzyżował ramiona, zmrużył metalowe oko i strząsnął kosmyk rudych włosów z twarzy.

Musiałam na chwilę odwrócić wzrok.

Włosy Amaranthy miały ciemniejszy odcień, a jej twarz była kremowobiała, zupełnie inna niż ozłocona słońcem skóra Luciena.

Przeniosłam wzrok na stajnie za jego plecami. Były duże, otwarte; stajenni znajdowali się teraz w innym skrzydle. Lubiłam tu przychodzić. Pojawiałam się tu głównie wtedy, gdy nuda dopiekła mi już tak bardzo, że nabierałam ochoty na odwiedzenie koni. W stajni było mnóstwo wolnego miejsca, mnóstwo możliwości ucieczki. Nawet ściany nie sprawiały wrażenia zbyt... trwałych.

Zupełnie inaczej niż w kuchni, gdzie sufit był zbyt niski, ściany – zbyt grube, a okna – nie dość duże, aby przez nie wyjść na zewnątrz. Inaczej niż w gabinecie, w którym było zbyt mało naturalnego światła i łatwych dróg ucieczki. Miałam w głowie długą listę miejsc w rezydencji, w których mogłam i w których nie mogłam wytrzymać, uszeregowane według stopnia tężenia mięśni i pocenia się, gdy w nich przebywałam.

– Nie skłamałem – powiedział sztywno Lucien. – Naprawdę spadłem z konia. – Poklepał zad swojego wierzchowca. – Po tym, jak jedna z nag wyrzuciła mnie z siodła.

Typowy dla fae sposób myślenia, sposób kłamania.

– Dlaczego?

Lucien zacisnął wargi.

– *Dlaczego?*

Odwrócił się bez słowa do czekającej cierpliwie klaczy, ale zdążyłam dostrzec wyraz jego twarzy... *litość* w jego oku.

– Możemy pójść na piechotę? – wyrzuciłam z siebie.

Obrócił się do mnie powoli.

– To trzy mile stąd.

– A ty mógłbyś tam dobiec w kilka minut. Chciałabym się przekonać, czy zdołam dotrzymać ci kroku.

Metalowe oko zawirowało i zrozumiałam, co ma zamiar powiedzieć, zanim zdążył otworzyć usta.

– Nieważne – rzuciłam i ruszyłam w stronę mojej białej klaczy, łagodnej i miłej bestii, może trochę leniwej i rozpieszczonej.

Lucien nie próbował mnie już przekonywać i zachował milczenie przez całą drogę od stajni do leśnego traktu. Wiosna była – jak zawsze – w pełnym rozkwicie. Powietrze przesyciła woń lilii, a w krzewach rosnących po obu stronach drogi ciągle coś szeleściło. Ani śladu bogge'a, nag czy jakichkolwiek innych stworów, które niegdyś sprowadzały na las nienaturalną ciszę.

– Nie chcę twojej cholernej litości – odezwałam się w końcu.

– To nie jest litość. Tamlin powiedział, że nie powinienem ci o tym wspominać... – Skrzywił się lekko.

– Nie jestem ze szkła. Chyba mogę się dowiedzieć, że nagi cię

zaatakowały...

– Tamlin jest moim księciem. On wydaje rozkaz, a ja go wykonuję.

– Nie przeszkadzało ci to w obchodzeniu jego poleceń, kiedy mnie wysłałeś na spotkanie z surielem. Co mnie niemal zabiło.

– Wtedy działałem w desperacji. Wszyscy tak się czuliśmy. Ale teraz... teraz potrzebujemy porządku, Feyro. Potrzebujemy zasad, hierarchii i *porządku*. Tylko w ten sposób mamy szansę odbudować naszą krainę. Tak więc co on powie, to zostaje wykonane. Jestem pierwszym, na którego oglądają się inni... To ja daję wszystkim przykład. Nie prosz mnie, żebym ryzykował stabilność tego dworu, dając się wciągnąć w utarczki z tobą. Nie teraz. On daje ci tyle swobody, ile tylko może.

Zebrałam się w sobie i wzięłam głęboki wdech, aby rozluźnić ściśnięte płuca.

– Chociaż robisz wszystko, żeby unikać Ianthy, mówisz dokładnie tak jak ona.

Syknął głośno.

– Nie masz *bladego pojęcia*, jak trudne jest dla niego choćby pozwolenie ci na opuszczenie terenów pałacowych. Jest pod większą presją, niż ci się wydaje.

– Wiem doskonale, pod jaką jest presją. Ale nie wiedziałam, że stałam się więźniem.

– Nie jesteś... – Zacisnął mocno szczękę. – Nie o to chodzi i dobrze o tym wiesz.

– Nie miał najmniejszych problemów z puszczaniem mnie na polowanie czy samotne wędrówki, kiedy byłam tylko człowiekiem. A granice były wtedy o wiele mniej bezpieczne.

– Wtedy nie czuł do ciebie tego, co czuje teraz. Do tego po tym, co się wydarzyło pod Górą... – Jego słowa zadudniły głośno w mojej głowie, a mięśnie napięły się jak postronki. – Jest przerażony. Panicznie boi się, że mógłby znowu ujrzeć cię w rękach jego wrogów. I oni też zdają sobie z tego sprawę... Wiedzą, że gdyby tylko chcieli mieć nad nim pełnię władzy, wystarczyłoby, żeby schwytali ciebie.

– Myślisz, że o tym nie wiem? Ale czy on naprawdę oczekuje, że resztę życia spędzę w rezydencji, nadzorując pracę służby i nosząc

piękne suknie?

Lucien utkwiał wzrok w wiecznie młodym lesie.

– Czy nie o tym właśnie marzą wszystkie ludzkie kobiety?

O przystojnym księciu fae, który pojąłby je za żonę i do końca życia obsypywał bogactwami?

Ściągnęłam wodze swojego konia tak mocno, że klacz aż zarzuciła łbem.

– Dobrze wiedzieć, że wciąż jesteś dupkiem, Lucien.

Zmrużył metalowe oko.

– Tamlin jest księciem. Ty będziesz jego żoną. Są pewne tradycje i oczekiwania, którym musisz uczynić zadość. Którym *my* musimy uczynić zadość, aby pokazać światu, że zaleczyliśmy rany zadane przez Amaranthę i stoimy zjednoczeni, gotowi zniszczyć każdego wroga, który tak jak ona spróbuje sięgnąć po to, co należy do nas. – Iantha wygłosiła mi wczoraj niemal identyczne kazanie. – Wkrótce nadejdzie czas zapłaty daniny – ciągnął, kręcąc głową. – Ogłosił jej ściągnięcie po raz pierwszy od... odkąd rzuciła na nas klątwę. – Skrzywił się lekko, niemal niezauważalnie. – Dał naszym poddanym trzy miesiące na uporządkowanie spraw. Chciał poczekać do nowego roku, ale już w przyszłym miesiącu zażąda daniny. Iantha powiedziała mu, że nadszedł właściwy czas; że mieszkańcy krainy są gotowi.

Zamilkł i czekał, a ja miałam ochotę splunąć na niego, bo wiedział, *doskonale wiedział*, że nie miałam pojęcia, o czym mówi, i chciał, żebym to przed nim przyznała.

– Opowiedz mi o tym – powiedziałam beznamiętnie.

– Dwa razy do roku, zwykle w okolicy przesilenia letniego i zimowego, każdy mieszkaniec Dworu Wiosny, czy to wysokiego, czy niskiego rodu, musi zapłacić daninę w wysokości zależącej od swojego dochodu i swojej pozycji. W ten sposób finansujemy działanie całego dworu; z tego płacimy strażnikom i służbie, z tego kupujemy jedzenie. W zamian Tamlin chroni całą krainę, rządzi nią i pomaga jej mieszkańcom, kiedy tylko może. Coś za coś. W tym roku opóźnił o miesiąc zebranie daniny, żeby dać im więcej czasu na zebranie pieniędzy i świętowanie. Ale wkrótce zaczną przybywać delegacje każdej grupy, każdej wioski, każdego klanu, aby zapłacić to, co należne.

Jako żona Tamlina będziesz musiała siedzieć u jego boku. A jeśli ktoś nie może zapłacić... Wszyscy będą od ciebie oczekiwali, że będziesz siedziała przy nim, podczas gdy on będzie ferował wyroki. Czasem może być bardzo nieprzyjemnie. Ja będę odnotowywał, kto się pojawi, a kto nie; kto zapłaci, a kto nie. Potem, jeśli nie złożą należnej daniny w ciągu dodatkowych trzech dni, które im oficjalnie da na zebranie pieniędzy, zwyczaj nakazuje mu zapolować na nich. Same najwyższe kapłanki, Iantha, dadzą mu na tę okoliczność święte prawo do łowów.

Okropne, brutalne. Chciałam to powiedzieć, ale gdy zobaczyłam, w jaki sposób Lucien na mnie patrzy... Dość już miałam protekcyjnego traktowania.

– Daj mu więc więcej czasu, Feyro – dokończył Lucien. – Zorganizujmy to wesele, potem zbiór daniny za miesiąc, a później... Później można się zająć całą resztą.

– Dałam mu dość czasu – odparłam. – Nie mogę wiecznie tkwić uwięziona w domu.

– On o tym wie. Nie powie ci tego, ale to wie. Zaufaj mi. Musisz mu to wybaczyć: los, jaki spotkał jego rodzinę, nie pozwalała mu podchodzić zbyt... liberalnie do twojego bezpieczeństwa. Stracił zbyt wielu z tych, na których mu zależało. Wszystkich nas zbyt wiele razy to dotykało.

Każde jego słowo było niczym oliwa dolewana do gorejącego paleniska w moich trzewiach.

– Nie chcę poślubić księcia. Chcę poślubić tylko *jego*.

– Jedno nie istnieje bez drugiego. Jest tym, kim jest. I zawsze, *zawsze* będzie się starał cię chronić; czy to ci się podoba, czy nie. Porozmawiaj z nim o tym, Feyro. Wszystko sobie wyjaśnicie. – Nasze spojrzenia się spotkały. Na szczęście Luciena drgnął mięsień. – Nie każ mi wybierać.

– Ale ty mi z rozmysłem nie mówisz wielu rzeczy.

– On jest moim księciem. Jego słowo jest prawem. Mamy tę jedną szansę, Feyro, jedną szansę na odbudowanie naszej krainy i uczynienie świata takim, jaki powinien być. Nie zacznę swojego życia w tym nowym świecie od zdradzenia jego zaufania. Nawet jeśli ty...

– Nawet jeśli ja co?

Pobladł i pogłaskał grzywę swojej klaczy.

– Zmuszono mnie, abym przyglądał się, jak mój ojciec morduje kobietę, którą kochałem. Moi bracia zmusili mnie, żebym na to patrzył.

Poczułam w sercu ukłucie współczucia dla niego. Tyle bolesnych wspomnień go prześladowało.

– Nie było żadnego zaklęcia, żadnego cudu, który by jej wrócił życie. Nie było przy niej wszystkich księżąt, którzy mogliby podnieść ją z martwych. Przyglądałem się jej śmierci. *Nigdy* nie zapomnę tej chwili, w której usłyszałem, jak jej serce przestaje bić.

Oczy mnie zapiekły.

– Tamlin dostał to, czego ja nie dostałem – dodał łagodnie, oddychając głośno. – Wszyscy słyszeliśmy, jak pęka twój kark. Ale ciebie sprowadzono na powrót do żywych. Wątpię, żeby on kiedykolwiek zapomniał ten dźwięk, tak jak ja nie mogę zapomnieć. I z tego powodu on zrobi wszystko, co tylko będzie w jego mocy, aby ochronić cię przed niebezpieczeństwem. Nawet jeśli będzie to wymagało utrzymywania niektórych rzeczy w tajemnicy przed tobą. Nawet jeśli będzie to wymagało przestrzegania zasad, które ci się nie podobają. Pod tym względem nie ustąpi ani na krok. Dlatego też nie proś go, aby to zrobił... Przynajmniej jeszcze nie teraz.

Nie mogłam znaleźć żadnych słów – ani w głowie, ani w sercu. Dać Tamlinowi czas, pozwolić mu się przyzwycząić... Mogłam zrobić dla niego choć tyle.

Hałas prac budowlanych zagłuszył świergotanie leśnych ptaków, na długo zanim dotarliśmy do wioski. Młotki wbijały gwoździe, majstrowie pokrzykiwali na robotników, rogacizna porykiwała.

Kiedy wyjechaliśmy spomiędzy ostatnich drzew, naszym oczom ukazała się w połowie już odbudowana osada: urocze niskie domy z kamienia i drewna, prowizoryczne szopy na zapasy i dla bydła... Na całkowicie już ukończone wyglądały tylko duża studnia w samym środku wsi oraz coś, co chyba było karczmą.

Normalność Prythianu – niesamowite podobieństwa między tymi ziemiami a krainą śmiertelników – czasem wciąż mnie zaskakiwała. Mogłam równie dobrze wjeżdżać do mojej rodzinnej wioski. Owszem, budynki były nowe i ładniejsze, ale sam układ, najważniejsze punkty...

Wszystko było takie samo.

I czułam się tu równie obco, gdy razem z Lucieniem wjechaliśmy w sam środek krzątania, a wszyscy nagle przerwali pracę, handel i plotki, aby się nam przyglądać.

Aby przyglądać się mnie.

Cisza rozchodziła się niczym fale na powierzchni stawu, aż ostatnie odgłosy ucichły nawet na najdalszych krańcach osady.

– Feyra Wyzwolicielka – dobiegł mnie czyjś szept.

Cóż, tego miana jeszcze nie słyszałam.

Cieszyłam się w duchu z długich rękawów mojej sukni do jazdy konnej i dopasowanych rękawiczek, które wciągnęłam na dłonie, zanim wjechałam między pierwsze zabudowania.

Lucien zatrzymał swoją klacz przed fae wysokiego rodu, który wyglądał na nadzorcę budowy domu przy studni z fontanną.

– Przybyliśmy, aby sprawdzić, czy nie potrzebujecie przypadkiem pomocy – powiedział mój towarzysz dość głośno, aby usłyszeli go wszyscy zebrani. – Dziś jesteśmy na wasze usługi.

Mężczyzna pokiwał głową.

– Jesteśmy wdzięczni, panie, ale niczego nam nie potrzeba. – Wpatrywał się we mnie rozszerzonymi oczami. – Dług został spłacony.

Pot pokrywający mi dłonie jakby zgęstniał i stał się gorący. Moja klacz uderzyła kopytem w ubity piasek na drodze.

– Prosimy – powiedział Lucien, skłaniając z wdziękiem głowę. – Dzielenie z wami trudu odbudowy jest naszym obowiązkiem. To będzie dla nas zaszczyt.

Mężczyzna pokręcił głową.

– Dług został spłacony.

I tak było za każdym razem, w każdym miejscu, w którym się zatrzymywaliśmy. Lucien zsiadał z konia, oferował pomoc, a mieszkańcy odmawiali uprzejmie i nabożnie.

Po nieco ponad kwadransie byliśmy już z powrotem w cieniu szumiącego na łagodnym wietrze lasu.

– Czy on pozwolił ci zabrać mnie dziś na tę przejażdżkę – zapytałam szorstko – abym przestała go prosić, żebym mogła pomóc w odbudowie?

– Nie. To była moja decyzja. Ale powód odgadłaś dobrze. Oni nie chcą ani nie potrzebują twojej pomocy. Twoja obecność by ich tylko rozpraszała i przypominała wszystko to, przez co musieli przejść.

Wzdrygnęłam się.

– Ale ich nie było pod Górą. Nie rozpoznałam żadnego z nich.

Lucien zadrżał.

– Nie, nie było ich tam. Amarantha... kazała zgromadzić ich w obozach. Możliwym i fae cieszącym się pewnymi względami pozwoliła zamieszkać pod Górą. Ale pozostali, jeśli nie pracowali nad zaopatrywaniem dworu w dobra i żywność, byli zamykani w obozach w tunelach wijących się głęboko pod jej dworem. Całe tysiące stłoczone w komnatach i tunelach bez dostępu do światła czy świeżego powietrza. Przez pięćdziesiąt lat.

– Nikt mi nigdy nie po...

– Zabroniła o tym mówić. Część z nich postradała zmysły i kiedy Amarantha zapomniała polecić strażnikom nakarmić tych nieszczęśników, napadali na towarzyszy niedoli. Niektórzy wręcz tworzyli bandy wędrujące po obozach i... – Potarł brwi palcami. – Dopuszczali się wielu okropieństw. A teraz starają się sobie przypomnieć, na czym polega bycie normalnym. Jak to jest zwyczajnie żyć.

Poczułam wzbierające pieczenie w gardle. Ale ślub... Tak, mógł oznaczać początek uzdrawiania tych ziem i jej mieszkańców.

Mimo to wciąż miałam wrażenie, jakby ciężki koc tłumił moje zmysły, dochodzące mnie dźwięki, zapachy i uczucia.

– Wiem, że chciałaś pomóc – dodał Lucien. – Przykro mi.

Mnie też było przykro.

Bezkres mojego teraz nieskończonego istnienia rozdziawiał swoją paszczę na wprost mnie.

Pozwoliłam mu pochłonąć mnie w całości.

Rozdział 4

Na kilka dni przed ceremonią zaślubin zaczęli się zjeżdżać goście. Dziękowałam losowi, że nigdy nie zostanę księżną; że nigdy nie będę równa Tamlinowi pod względem odpowiedzialności i władzy.

Niewielka, zapomniana już część mnie ryczała i wrzeszczała na taką myśl, ale...

Kolacja po kolacji, formalne koktajle, pikniki, polowania. Byłam przedstawiana i przekazywana z rąk do rąk. Twarz mnie bolała od nieustannego przyklejonego dzień i noc uśmiechu. Zaczęłam wyczekiwać wesela ze zniecierpliwieniem, bo po nim nie będę musiała być uprzejma, z nikim nie będę musiała rozmawiać czy nawet kiwnąć palcem. I tak przez cały tydzień. Miesiąc. Rok.

Tamlin znosił to wszystko spokojnie i cierpliwie jak przyczajony drapieżnik. Raz po raz zapewniał mnie, że celem wszystkich tych przyjęć jest wprowadzenie mnie na jego dwór i danie podwładnym powodu do świętowania. Zarzekał się, że nienawidzi tego wszystkiego równie mocno jak ja i że tak naprawdę jedyną osobą, której to sprawiało przyjemność, był Lucien, ale... czasem przyłapywałam go na szczyrzeniu zębów w szerokim uśmiechu. Musiałam jednak sama przed sobą przyznać, że zasłużył na to. Podobnie jak jego poddani.

Znosiłam więc wszystko, trzymając się boku Ianthy, gdy akurat nie było w pobliżu Tamlina, albo kiedy byli przy mnie oboje, pozwalając im zabawiać gości rozmową, podczas gdy ja odliczałam godziny do końca kolejnego przyjęcia.

– Powinnaś się już udać do łóżka – stwierdziła Iantha, przyglądając się wraz ze mną rozbawionym gościom wypełniającym wielką salę rezydencji.

Dostrzegłam ją pół godziny wcześniej stojącą przy otwartych głównych drzwiach wejściowych. Z ulgą przeprosiłam rozgadanych znajomych Tamlina, z którymi byłam zmuszona rozmawiać. Chociaż ciężko to było nazwać z mojej strony rozmową – albo się na mnie zwyczajnie gapili, albo próbowali na siłę znajdować niezobowiązujące tematy do rozmowy. Najczęściej schodziło na polowania. Zazwyczaj już po trzech minutach wymiana zdań utykała w martwym punkcie i moi

rozmówcy zajmowali się sami sobą, a ja stałam przy nich jak kołek.

– Została mi jeszcze godzina – odparłam.

Iantha przywdziała tę samą jasną suknię co zwykle. Kaptur założyła na głowę i zamocowała go srebrnym diademem z błękitnym kryształem. Mijający nas mężczyźni pochłaniali ją wzrokiem – z zachwytem lub pożądaniem, a może z jednym i drugim. Z rzadka czyjś wzrok przesunął się po mnie. Wiedziałam, że spojrzenia rozszerzonych źrenic nie miały nic wspólnego z moją jasnozieloną suknią czy ładną twarzą (choć dość pospolitą w zestawieniu z Ianthą). Starłam się ich ignorować.

– Jesteś gotowa na jutro? Czy mogę coś dla ciebie zrobić? – zapytała kapłanka między kolejnymi łykami musującego wina.

Moja dzisiejsza suknia była prezentem od niej. Kolor nazwała zielenią Dworu Wiosny. Gdy się ubierałam, Alis trzymała się na uboczu, zachowując nerwowe milczenie, podczas gdy Iantha przejmowała jej obowiązki.

– Dziękuję, niczego mi nie trzeba.

Nie chciałam prosić jej, by po weselu pozostała na dworze na stałe; to byłoby z mojej strony żalodne. Nie mogłam zdradzić, że drzę ze strachu na myśl o jej wyjeździe, o pozostawieniu mnie samej z całym dworem, z wszystkimi jego mieszkańcami aż do Nynsaru – pomniejszego wiosennego święta wyznaczającego koniec zasiewów, powiązanego z przekazywaniem sobie pierwszych zerwanych kwiatów. Za wiele, wiele miesięcy. Mimo że mieszkała w świątyni, mnie dzielący nas dystans zdawał się nieznośny.

Dwóch mężczyzn, którzy mijali nas już dwukrotnie, w końcu zebrało się na odwagę, aby podejść do nas – do niej.

Oparłam się o wyłożoną boazerią ścianę, czując pod plecami nierówności drewnianych płycin. Mężczyźni stanęli po obu stronach Ianthy. Byli przystojni w ten specyficzny sposób, w jaki przystojni byli wszyscy fae wysokiego rodu. Po bronii przy ich boku rozpoznałam w nich strażników ziem Tamlina. Może nawet służyli pod ojcem mojej towarzyszki.

– Kapłanko – pozdrowił ją pierwszy z głębokim ukłonem.

Zdążyłam się już przyzwycząć do tego, że wszyscy całowali jej

srebrne pierścienie i prosili o zmówienie modlitwy w intencji ich samych, ich rodzin lub ich ukochanych. Iantha przyjmowała to wszystko bez drgnięcia choćby jednego mięśnia twarzy.

– Bron – zwróciła się do stojącego po lewej wysokiego bruneta – i Hart – powiedziała do stojącego po prawej szatyna, nieco tęższego od swojego towarzysza. Wygięła usta w kokieteryjnym uśmiechu, który już nauczyłam się rozpoznawać jako oznakę rozpoczęcia polowania na stosowne towarzystwo na noc. – Sporo czasu minęło, odkąd widziałam was, nicponie, po raz ostatni.

Odpowiedzieli jej kokieteryjnymi ripostami, po czym zaczęli zerkać w moją stronę.

– Och. – Iantha obróciła się do mnie. – Pozwólcie, że przedstawię wam szlachetną Feyrę. – Spuściła wzrok, głęboko skłaniając głowę. – Zbawczynię Prythianu.

– Nie musisz nam jej przedstawiać – odparł cicho Hart, kłaniając mi się w pas razem z towarzyszem. – Byliśmy razem z tobą pod Górą, pani.

Zdołałam lekko skinąć im głową, gdy się prostowali.

– Racz przyjąć moje gratulacje z okazji jutrzejszej ceremonii, pani – powiedział Bron i uśmiechnął się szeroko. – Przyznasz chyba, że będzie to stosowne zakończenie tej historii?

Stosownym zakończeniem byłaby moja śmierć, po której spłonęłabym w piekle.

– Kocioł – wtrąciła Iantha – pobłogosławił nas wszystkich tym związkim.

Mężczyźni mruknęli zgodnie i ponownie skłonili głowy. Zignorowałam to.

– Muszę to powiedzieć, pani – ciągnął Bron. – Ta próba, walka z czerwim middengardzkim? Rozegrałaś to wprost genialnie. To była jedna z najzmyślniejszych taktyk, jakie widziałem w całym swoim życiu.

Sporym wysiłkiem woli powstrzymałam się od przyłgnięcia płasko plecami do ściany i odepchnęłam wspomnienia smrodu błota oraz szczęku zbliżających się nieuchronnie ostrych jak brzytwy zębów.

– Dziękuję.

– Och, to brzmiało okropnie – zauważyła Iantha i przysunęła się,

spostrzegłszy, że z mojej twarzy zniknął blady uśmiech. Położyła mi dłoń na ramieniu. – Taka odwaga budzi podziw.

Byłam jej wdzięczna, tak żałośnie wdzięczna za ten uspokajający dotyk. Za lekkie ściśnięcie. Wiedziałam, że zdoła zachęcić nieprzebrane rzesze młodych kobiet fae do wstąpienia do jej zakonu – nie z chęci oddawania czci Matce i Kotłowi, ale żeby nauczyły się żyć tak jak ona, żeby dowiedziały się, jak zdołała jaśnieć tak silnym blaskiem i kochać siebie, tak krążyć od mężczyzny do mężczyzny, jakby byli jedynie różnymi daniami na bankiecie.

– Ominęło nas polowanie – podjął swobodnie Hart – nie mieliśmy więc okazji podziwiać twoich umiejętności z bliska. Ale sądzę, że w przyszłym miesiącu księżę przydzieli nas do pilnowania terenów przylegających do ogrodów. Byłoby dla nas zaszczytem towarzyszyć ci w wyprawie, pani.

Tamlin nie pozwoliłby mi pojechać z nimi nawet za tysiąc lat. A ja nie miałam najmniejszej chęci wyjaśniać im, że nie chcę już nigdy używać łuku i strzał, że nie chcę już brać udziału w żadnych polowaniach. Ledwo wytrzymałam na tym, na które zostałam zaciągnięta dwa dni wcześniej. Wszyscy mnie obserwowali, a ja nie dobyłam nawet jednej strzały.

Wciąż czekali na moją odpowiedź. Powiedziałam więc:

– To byłaby dla mnie wielka przyjemność.

– Czy mój ojciec wyznaczył wam na jutro jakieś obowiązki, czy też weźmiecie udział w ceremonii? – zapytała Iantha i położyła dłoń na ramieniu Brona, wprawiając go w zakłopotanie. Właśnie dlatego szukałam jej towarzystwa podczas przyjęć.

Bron jej odpowiedział, ale Hart cały czas wpatrywał się we mnie, w moje skrzyżowane ramiona. Nie spuszczał wzroku z tatuażu pokrywającego moje palce, zapytał:

– Czy księżę kontaktował się z tobą, pani?

Iantha zeszywniała, a Bron zerknął na rysunek na mojej dłoni.

– Nie – odparłam, patrząc hardo prosto w oczy Harta.

– Prawdopodobnie podkulił ogon i uciekł, skoro księżę Tamlin odzyskał pełnię swojej mocy.

– Twoje słowa świadczą o tym, że zupełnie nie znasz Rhysanda –

zauważyłam chłodno.

Hart zamrugał. Nawet Iantha zaniemówiła. To była zapewne moja najbardziej asertywna wypowiedź ze wszystkich rozmów na wszystkich balach i przyjęciach.

– Cóż, jeśli zajdzie taka potrzeba, zajmiemy się nim – powiedział Hart, przestępując z nogi na nogę. Cały czas patrzyłam mu prosto w oczy z zastygłą twarzą.

– Wysokie kapłanki już się tym zajmują – wtrąciła Iantha. – Nie pozwolimy, aby nasza wybawicielka była traktowana w ten sposób.

Przybrałam obojętny wyraz twarzy. Czy to dlatego właśnie Tamlin ściągnął tu Ianthę? Żeby zawrzeć sojusz? Poczułam lekki ucisk w piersi. Obróciłam się do niej.

– Udam się teraz na spoczynek. Przekaż Tamlinowi, że zobaczę się z nim jutro.

Jutro, ponieważ dziś, jak mi powiedziała Iantha, musieliśmy spędzić noc w osobnych komnatach. Tak nakazywała odwieczna tradycja fae.

Kapłanka pocałowała mnie w policzek. Jej kaptur na chwilę zasłonił moją twarz przed wszystkimi gośćmi.

– Jestem do twojej dyspozycji, pani – powiedziała. – Zawezwij mnie, gdy tylko będziesz czegokolwiek potrzebowała.

Nie skorzystałam z jej propozycji, ale skinęłam głową.

Gdy się wyślizgnęłam z sali, spojrzałam w stronę frontowego wejścia, gdzie stali Tamlin i Lucien otoczeni kręgiem fae obu płci. Nie wydawali się tak wytworni jak goście zgromadzeni wewnątrz, ale... Wyglądali na dobrych znajomych. Takich, którzy niejedno już wspólnie przeszli, którzy nieraz walczyli ramię w ramię. Przyjaciele Tamlina. Przedstawił mi ich, ale ich imiona błyskawicznie uleciały mi z głowy. Nie poprosiłam go, żeby mi je przypomniał.

Tamlin odchylił głowę i wybuchnął śmiechem. Pozostali zawyli mu do wtóru.

Oddaliłam się, zanim zdążył mnie dostrzec. Przemykałam się korytarzami, nie zwalniając kroku, dopóki nie znalazłam się w półmroku pustego skrzydła mieszkalnego.

Gdy byłam już sama w swojej komnacie sypialnej, zorientowałam

się, że nie pamiętam, kiedy ostatni raz naprawdę się roześmiałam.

Krata wciąż sunęła w dół. Wielkie, tępo zakończone kolce były rozgrzane do czerwoności. Widziałam powietrze falujące wokół nich nawet z tej odległości, nawet z miejsca, w którym byłam przykuta do podłogi. Przykuta, ponieważ nie umiałam czytać i nie mogłam rozszyfrować zagadki wypisanej na ścianie. Wiedziałam, że Amarantha z chęcią będzie się przyglądała, jak kolce przybijają mnie do ziemi.

Coraz bliżej i bliżej. Nikt nie przybędzie i nie ocali mnie od tej okropnej śmierci.

Będzie bolało. Będzie bardzo bolało, śmierć nadejdzie nieśpiesznie, a ja zacznę krzyczeć... Może nawet będę wołała matkę, która nigdy o mnie nie dbała. Może będę ją błagać, aby mnie uratowała...

Wyskoczyłam z łóżka i zamachałam rękoma, usiłując wyrwać się z niewidzialnych łańcuchów.

Pobiegłabym do komnaty łaźiebnej, gdyby tylko nogi i ramiona nie trzęsły mi się tak mocno, gdybym tylko mogła zaczerpnąć oddechu, oddechu, *oddechu*...

Drżąc na całym ciele, rozejrzałam się po komnacie. Prawdziwe... *to* było prawdziwe. Te okropności były tylko koszmarem. Wydostałam się. Żyłam. Byłam bezpieczna.

Przez otwarte okno do pomieszczenia wleciał powiew nocnego wiatru, mierzwiąc moje włosy i osuszając skórę z potu. Ciemne niebo przyzywało mnie. Gwiazdy były przyćmione i małe niczym kropki szronu na szybie.

Bron mówił o mojej walce z czerwiem, jakby była ona ledwie jakimś zawodami. Tak jakby jeden błąd wcale nie miał oznaczać, że potwór mnie pożre w całości, przetrawi i wydali same kości.

Najwyraźniej byłam na równi wyzwolicielką i trefnisiem.

Podeszłam chwiejnie do okna i otworzyłam je szerzej, aby mieć lepszy widok na usianą gwiazdami ciemność.

Oparłam głowę o ścianę, rozkoszując się zimnem kamieni.

Za kilka godzin odbędzie się mój ślub. Otrzymam moje szczęśliwe zakończenie niezależnie od tego, czy na nie zasłużyłam. Ale ta kraina, jej mieszkańcy... oni *też* dostaną swoje szczęśliwe zakończenie. Pierwsze niepewne kroki do zaleczenia ran. Do pokoju. A potem wszystko będzie dobrze.

Potem ze mną będzie dobrze.

Naprawdę szczerze nienawidziłam swojej sukni ślubnej.

Był to koszmar z tiulu, szyfonu i muślinu, tak odmienny od luźnych strojów, które nosiłam na co dzień. Dopasowany stanik, dekolt uwypuklający biust, a te spódnice... Lśniący namiot praktycznie szybujący wokół mnie w ciepłym wiosennym powietrzu.

Nic dziwnego, że Tamlin zaczął się śmiać. Nawet Alis mruzczała coś pod nosem, kiedy skończyła mnie ubierać, ale wszystkie ewentualne uwagi zachowała dla siebie. Prawdopodobnie dlatego, że Iantha osobiście wybrała suknię, tak aby pasowała do opowieści, którą miała zamiar dzisiaj snuć – do legendy, którą miała przedstawić światu.

Może bym zniosła to wszystko, gdyby nie rękawy tak bufiaste, że nieustannie skrzyły się na skraju widzenia. Włosy miałam ułożone w loki; połowa upięta na głowie, połowa ułożona na plecach i ramionach. Pasma zdobiły perły, drogie kamienie i sam Kocioł wie co jeszcze. Musiałam sięgnąć do najgłębszych pokładów samokontroli, żeby nie krzywić się na widok mojego odbicia w lustrze, gdy schodziłam po szerokich schodach do głównego holu. Przy każdym kroku moja suknia syczała i szumiała.

Przystanęłam na chwilę przy zamkniętych drzwiach prowadzących na patio, za którymi rozpościerał się ogród obficie udekorowany wstęgami i latarniami we wszystkich odcieniach beżu, czerwieni i błękitu. Na największym placu ustawiono trzysta krzeseł. Na każdym siedział ktoś z dworu Tamlina. Miałam przejść między nimi, znosząc ich spojrzenia, aż do podestu ustawionego na drugim końcu przejścia, gdzie będzie na mnie czekał Tamlin.

Następnie Iantha – jako przedstawicielka *wszystkich dwunastu*

wysokich kapłanek – potwierdzi i pobłogosławi nasz związek przed zachodem słońca. W rozmowie ze mną zasugerowała, że należały, aby też się pojawić, ale dzięki swojemu sprytowi zdołała zapobiec przybyciu pozostałej jedenastki. Zapewne chciała skupić całą uwagę na sobie... albo oszczędzić mi osaczenia przez całą czeredę. Ciężko było orzec. Może i jedno, i drugie.

Zaschło mi w ustach. W cieniu drzwi do ogrodu Alis wyrównywała lśniący tren mojej sukni. Jedwab i muślin szeleściły i wzdychały, a ja dłonią obleczoną w rękawiczkę ściszałam bukiet bladych kwiatów, niemal krusząc cienkie łądygi.

Na obu rękach miałam długie do łokcia jedwabne rękawiczki. Żeby ukryć znaki na mojej dłoni. Iantha przyniosła mi je osobiście kilka godzin wcześniej w pudełku wykładanym aksamitem.

– Nie denerwuj się – powiedziała Alis i cmoknęła. Promienie wieczornego słońca malowały jej przypominającą korę skórę na kolor miodu.

– Nie denerwuję się – wychrypiałam.

– Trzęsiesz się jak mój młodszy siostrzeniec podczas strzyżenia włosów.

Skończyła poprawiać moją suknię i odgoniła kilkoro służących, którzy przyszli przyrzeć mi się przed ceremonią. Udałam, że ich nie widziałam. Starłam się też nie patrzeć na lśniący, ozłocony przez zachodzące słońce tłum czekający na mnie w ogrodzie. Zająłam się niewidzialnym pyłkiem na spódnicy.

– Wyglądasz pięknie – zauważyła cicho Alis.

Miałam podejrzenie graniczące z pewnością, że jej zdanie na temat sukni pokrywało się z moim. Jednak uwierzyłam jej.

– Dziękuję.

– Ale mówisz takim tonem, jakbyś się wybierała na czyjś pogrzeb.

Przykleiłam uśmiech do twarzy. Alis przewróciła oczami. Po chwili popchnęła mnie lekko w stronę drzwi, które otworzyły się poruszone nieśmiertelnym wiatrem. Z zewnątrz dobiegła nas melodyjna muzyka.

– Ani się obejrzysz, a będzie już po wszystkim – obiecała i łagodnie wypchnęła mnie na spotkanie ostatnich promieni słońca.

Trzy setki gości wstały i obróciły się w moją stronę.

Nie byłam obserwowana, oceniana przez tyle osób naraz od czasu mojej ostatniej próby. Wszyscy mieli na sobie piękne szaty, tak podobne do tych, które widziałam wtedy pod Górą. Ich twarze rozmywały się i zlewały w jedno.

Alis odkaszlnęła w cieniu ścian rezydencji i wybudziła mnie z otępienia. Spojrzałam w stronę podestu...

Na Tamlina.

Zaparło mi dech w piersiach. Ogromnym wysiłkiem ruszyłam w dół schodów, z trudem powstrzymując dygotanie kolan. Wyglądał olśniewająco w przepięknej zielono-złotej tunice, w koronie uplecionej ze lśniących w słońcu liści laurowych. Pozwolił nieco opaść swojemu urokowi maskującemu jego nieśmiertelne piękno, tę niezmierną światłość – dla mnie.

Skoncentrowałam się na nim, na moim księciu, na jego rozjaśnionych wewnętrznym blaskiem rozszerzonych oczach i zesłam na miękką trawę, na pokrywające ją białe płatki róż...

I czerwone.

Znaczące ścieżkę, którą musiałam kroczyć, niczym krople krwi wśród nieskazitelnej bieli.

Zmusiłam się do uniesienia wzroku i utkwienia spojrzenia w Tamlinie, w jego wypiętej dumnie piersi, uniesionej wysoko głowie.

Tak nieświadomego ruiny i mroku mojej duszy. Jakże niestosowne było przywdziać biel, gdy moje ręce były tak nieczyste.

Wszyscy wkoło o tym myśleli. Nie miałam co do tego wątpliwości.

Każdy mój krok był zbyt pośpieszny, zbyt szybko przybliżał mnie do podestu, do Tamlina i do Ianthy – dziś w ciemnoniebieskich szatach – unoszącej dumnie zakapturzoną głowę zwieńczoną srebrnym diademem.

Wszyscy czekali na mnie, tak jakbym była kimś dobrym; tak jakbym nie zamordowała dwójki ich pobratymców.

Byłam morderczynią i oszustką.

Zbliżałam się do niewielkiego skupiska czerwonych płatków, tak bardzo przypominających krew tego młodego fae tworzącą kałużę u moich stóp.

Dziesięć kroków od podestu, na skraju tego rozbryzgu czerwieni,

zwolniłam krok.

Zatrzymałam się.

Czułam na sobie wzrok wszystkich zebranych, tak samo jak wtedy, kiedy niemal zginęłam. Świadkowie mojej udręki.

Tamlin wyciągnął do mnie szeroką dłoń i lekko zmarszczył brwi. Serce biło mi w piersi tak szybko, zbyt szybko.

Czułam się, jakbym miała za chwilę zwymiotować.

Prosto na te płatki róż, na trawę, na wstęgi rozwieszane na krzesłach wzdłuż przejścia między rzędami.

Między skórą a kośćmi coś wibrowało i łomotało, wzbierało i napierało, pędziło żyłami i tętnicami...

Tyle spojrzeń, zbyt wiele spojrzeń wwiercających się we mnie; zbyt wielu świadków wszystkich moich przewin, wszystkich upokorzeń...

Nie wiedziałam, dlaczego w ogóle dbałam o założenie rękawiczek, dlaczego dałam się przekonać Iancie.

Zachodzące słońce prażyło zbyt mocno, otaczające mnie żywopłoty wydawały się zbyt wysokie. Otaczały mnie, odcinały drogę ucieczki tak jak przysięga, którą miałam zaraz złożyć, którą miałam się zaraz związać z nim na wieki, którą miałam przykuć go do mojej rozbitej i znużonej duszy. Wzbierające we mnie uczucie buzowało, wstrząsały mną coraz silniejsze dreszcze, jakby coś chciało się wydostać na zewnątrz...

Na zawsze... Nigdy nie dojdę ze sobą do ładu, nigdy się nie uwolnię od siebie samej, od tego lochu, w którym spędziłam trzy miesiące...

– Feyro – ponaglił mnie Tamlin, wciąż wyciągając do mnie swoją dłoń.

Dysk słońca skrył się za szczytem zachodniej ściany ogrodu. Cienie zaległy wszędzie dokoła i zrobiło się chłodno.

Jeśli zawrócę, plotkom nie będzie końca, ale nie mogłam zrobić tych kilku ostatnich kroków. Nie mogłam, nie mogłam, nie mogłam...

Byłam o włos od rozklejenia się, tu i teraz. Wtedy wszyscy zobaczyliby doskonale, w jakim byłam stanie.

„Pomocy, pomocy, pomocy” – błagałam kogoś, kogokolwiek.

Luciena stojącego w pierwszym rzędzie, mierzącego mnie swym metalowym okiem. Ianthę z poważną, cierpliwą i piękną twarzą okoloną skrajem kaptura. „Pomocy, błagam, ratunku. Niech mnie ktoś stąd zabierze. Niech ktoś to zakończy”.

Tamlin postąpił w moją stronę. W jego oczach pojawił się cień troski.

Cofnęłam się o krok. „Nie”.

Twarz księcia stężała. Przez zebrany tłum przetoczyła się fala szeptów. Kule złotego czarodziejskiego światła rozwieszane na jedwabnych wstęgach nad naszymi głowami i wszędzie wokół przebudziły się do życia.

– Podejź, panno młoda – przemówiła Iantha łagodnie – i połącz się ze swoim ukochanym. Podejź i niech w końcu zatriumfuje dobro.

Dobro. Nie byłam dobra. Byłam *niczym*, a moja dusza – moja nieśmiertelna dusza – była skazana na potępienie...

Usiłowałam zmusić moje zdradzieckie płuca do nabrania powietrza, abym mogła wymówić to słowo. „Nie, nie”.

Ale nie musiałam go wypowiadać.

Za moimi plecami rozległ się grzmot, jakby zderzyły się z impetem dwa głązy.

Rozległy się krzyki, goście zaczęli się cofać, część wręcz zniknęła w nagłej ciemności.

Odwróciłam się i przez mrok rozwiewający się niczym dym na wietrze dostrzegłam Rhysanda wyglądającego klapy czarnej marynarki.

– Witaj, Feyro, moja droga – wymruczał.

Rozdział 5

Nie powinno mnie to dziwić. Przecież Rhysand uwielbiał przedstawienia, a granie Tamlinowi na nerwach wyniósł do miana sztuki.

Tak czy owak, oto był.

Rhysand, księżę Dworu Nocy, stanął obok mnie. Ciemność wyciekała z niego i rozpraszała się w otaczającym go powietrzu, tak jak atrament rozmywa się w wodzie.

Przechylił głowę. Niebieskoczarne włosy lekko zafalowały. Złote czarodziejskie światło odbiło się w jego fioletowych oczach, gdy utkwiał swoje spojrzenie w Tamlinie i wyciągnął dłoń w stronę Luciena i strażników, którzy już dobywali mieczy z pochew i oceniali sytuację, szukali sposobu odsunięcia mnie na bok i obezwładnienia intruza...

Ale na widok jego wyciągniętej ręki zamarli.

Iantha wycofywała się powoli z bladą niczym papier twarzą.

– Jaki uroczy ślub – odezwał się Rhysand i gdy miecze wróciły do pochew, włożył dłonie do kieszeni.

Otaczający nas goście starali się odsunąć, potykając się o krzesła.

Rhys przyjrzał mi się nieśpiesznie i cmoknął z dezaprobatą, gdy jego wzrok spoczął na jedwabnych rękawiczkach. Cokolwiek wzbierało wcześniej pod moją skórą, znieruchomiało i ostygło.

– Wynoś się stąd – warknął Tamlin i postąpił w naszą stronę. Z jego palców wystrzeliły pazury.

Księżę Dworu Nocy ponownie cmoknął niezadowolony.

– Och, ani myślę. Przynajmniej dopóki nie przypomnę drogiej Feyrze o naszej umowie.

Poczułam silne ssanie w żołądku. Nie... nie, nie teraz.

– Dobrze wiesz, co się stanie, jeśli spróbujesz naruszyć warunki umowy – dodał Rhys i zachichotał na widok gości, którzy wciąż potykali się o siebie nawzajem, starając się jak najbardziej od niego odsunąć. Skinął brodą w moją stronę. – Dałem ci trzy miesiące wolności. Mogłabyś przynajmniej się ucieszyć na mój widok.

Trzęślam się zbyt mocno, aby móc z siebie wydusić choć słowo. Rhys spojrział na mnie z niesmakiem, jednak gdy ponownie zwrócił się

do Tamlina, po tym wyrazie nie było już ani śladu.

– Zabieram ją ze sobą.

– Ani mi się waż – warknął Tamlin.

Podest za jego plecami całkowicie opustoszał. Iantha zdążyła się już ulotnić. Tak samo zresztą jak większa część gości.

– Czyżbym wam przeszkodził? Sądziłem, że już po wszystkim. – Rhys posłał mi jadowity uśmiech. Wiedział, dzięki łączącej nas więzi, dzięki rzuconemu na mnie urokowi wiedział, że miałam właśnie powiedzieć „nie”. – A przynajmniej Feyra zdawała się tak myśleć.

– Pozwól nam dokończyć ceremonię... – zaczął Tamlin.

– Twoja wysoka kapłanka – nie dał mu skończyć Rhys – też chyba uznała, że już po wszystkim.

Tamlin obejrzał się i zeszytniał na widok pustego ołtarza. Gdy ponownie spojrzął w naszą stronę, pazury wsunęły się już częściowo z powrotem do wnętrza dłoni.

– Rhysandzie...

– Nie mam nastroju na targi – stwierdził książę Dworu Nocy – chociaż z pewnością zdołałbym wyciągnąć z tego dla siebie jakąś korzyść. – Aż podskoczyłam, gdy musnął dłonią mój łokieć. – Chodźmy już.

Ani drgnęłam.

– Tamlinie – wyszeptałam.

Tamlin zrobił krok w moją stronę ze wzrokiem cały czas utkwionym w Rhysandzie. Skóra na jego twarzy ze złocistej zrobiła się ziemista.

– Powiedz, co chcesz w zamian.

– Daruj sobie – odparł śpiewnie Rhys i dotknął mojego łokcia swoim.

Każdy najdrobniejszy jego dotyk był odrażający, nie do zniesienia. Zabierze mnie ze sobą na Dwór Nocy. W miejsce, na którym ponoć Amarantha się wzorowała, gdy szykowała swój pałac pod Górą. Miejsce wynaturzeń, tortur i śmierci...

– Tamlinie, proszę – błagałam.

– Cóż za dramatyzm – powiedział Rhysand i przyciągnął mnie do siebie.

Ale Tamlin ani drgnął – a po pazurach nie pozostało ani śladu, tylko gładka skóra. Nie spuszczał wzroku z Rhysa. Błysnął zębami i warknął gardłowo:

– Jeśli ją skrzywdzisz...

– Wiem, wiem – powiedział przeciągle Rhysand. – Oddam ci ją za tydzień.

Nie... Nie, Tamlin nie mógł wygłaszać takich gróźb, nie w sytuacji, kiedy one znaczyły tyle, że daje za wygraną. Nawet Lucien patrzył z niedowierzaniem na swojego księcia z twarzą pobladałą od wściekłości i szoku.

Rhys puścił mój łokieć, ale tylko po to, żeby objąć mnie w talii i przycisnąć do swojego boku.

– Trzymaj się – wyszeptał mi do ucha.

Ciemność zawirowała z rykiem, wiatr targał mną we wszystkie strony, straciłam grunt pod nogami, cały świat gdzieś przepadł. Został tylko książę Dworu Nocy. Nienawidziłam go za to, ale przylgnęłam do niego, do jedynej stałej w otaczającym mnie chaosie. Nienawidziłam go całym sercem...

Ciemność zniknęła równie nagle, jak się pojawiła.

Najpierw poczułam woń jaśminu. Potem ujrzałam gwiazdy. Morze gwiazd migoczących między lśniącymi kolumnami księżycowego kamienia, za którymi rozciągał się imponujący widok na bezkresne góry o ośnieżonych szczytach.

– Witaj na Dworze Nocy.

Było to najpiękniejsze miejsce, jakie widziałam w całym swoim życiu.

Budynek, w którym się znajdowaliśmy, stał na szczycie jednego z granitowych masywów. Sala, w której się pojawiliśmy, była wystawiona na działania żywiołów, pozbawiona okien, wyposażona w wysokie kolumny i muślinowe firany powiewające na łagodnym wietrze niosącym zapach jaśminu.

Tu musiała działać jakaś magia, bez niej powietrze nie byłoby takie ciepłe w środku zimy. Nie wspominając już o wysokości, na jakiej się

znajdowaliśmy, ani o śniegu pokrywającym szczyty i porywanym gwałtownymi podmuchami wiatru i opadającym w doliny niczym wędrująca mgła.

W sali zaaranżowano części wypoczynkową, jadalną i roboczą, oddzielone od siebie takimi samymi zwiewnymi firanami i rozłożystymi roślinami. Posadzkę wykonaną z księżycowego kamienia pokrywały grube dywany. Na łagodnym wietrze tańczyło leniwie kilka świetlnych kul. Tu i ówdzie z łuków podtrzymujących sufit zwiślały latarnie z szybkami z barwionego szkła.

Znikąd nie dobiegały żadne wrzaski, krzyki czy błagania.

Za moimi plecami wyrastała ściana z białego marmuru z kilkoma otworami drzwiowymi prowadzącymi na skąpane w półmroku schody. Te musiały prowadzić do pozostałej części Dworu Nocy. Nic dziwnego, że nie było słyhać niczych krzyków, skoro wszyscy znajdowali się gdzieś w środku.

– To moja prywatna rezydencja – powiedział niby od niechcienia Rhys.

Jego skóra miała ciemniejszy odcień, niż zapamiętałam. Teraz była złocista, nie blada wskutek spędzenia pod Górą pięćdziesięciu lat. Przyjrzałam się mu, poszukując jakiegokolwiek śladu olbrzymich nietoperzych skrzydeł, na których wedle jego własnych słów tak kochał latać. Ale nic takiego nie dostrzegłam. Widziałam tylko uśmiechającego się do mnie półgębkiem mężczyznę.

I tę aż nazbyt znajomą minę...

– Jak śmiesz...

Rhys parsknął.

– Zdecydowanie brakowało mi *tego* wyrazu twojej twarzy. – Zbliżył się do mnie. Jego ruchy były kocie, a spojrzenie fioletowych oczu nagle się ochłodziło, zrobiło się drapieżne. – Nie ma za co, swoją drogą.

– Niby za co miałabym ci dziękować?

Rhys zatrzymał się o mniej niż stopę ode mnie i wsunął dłonie do kieszeni. Tutaj noc nie zdawała się z niego spływać i wyglądał, pomimo doskonałej sylwetki i równie doskonałych rysów, niemal normalnie.

– Za uratowanie cię, kiedy o to poprosiłaś.

Zesztywniałam.

– O nic cię nie prosiłam.

Przesunął wzrok na moją lewą dłoń.

Bez najmniejszego ostrzeżenia chwycił moje ramię, warknął cicho i zerwał rękawiczkę z ręki. Jego dotyk palił niczym rozżarzone żelazo. Wzdrygnęłam się i spróbowałam zrobić krok do tyłu, ale trzymał mnie mocno, dopóki nie zerwał mi z dłoni drugiej rękawiczki.

– Słyszałem, jak błagasz kogoś, kogokolwiek, o ratunek, żeby ktoś cię stamtąd zabrał. Słyszałem, jak mówisz „nie”.

– Niczego nie powiedziałam.

Zacisnął mocniej palce na moim ramieniu, obrócił dłoń wnętrzem ku górze i przyjrzał się wytatuowanemu na niej oku. Po chwili postukał w nie palcem. Raz. Drugi.

– Słyszałem wyraźnie.

Wyrwałam rękę z jego uścisku.

– Zabierz mnie z powrotem. *Natychmiast*. Nie chciałam, żebyś mnie porywał.

Wzruszył ramionami.

– Czy mógłby być lepszy czas, żeby cię tu sprowadzić? Może Tamlin nie zauważył, że właśnie miałaś zamiar odtrącić go na oczach całego dworu... A teraz możesz zwyczajnie zrzucić winę na mnie.

– Jesteś draniem. Dałeś im wyraźnie do zrozumienia, że miałam... obiekcje.

– Cóż za wdzięczność, jak zwykle.

Z trudem odetchnęłam głęboko.

– Czego ode mnie chcesz?

– Czego *chcę*? Przede wszystkim chciałbym, abyś mi podziękowała. Następnie chciałbym, abyś zdjęła tę odrażającą suknię. Wyglądasz w niej... – Wykrzywił usta w okrutnym grymasie. – Wyglądasz dokładnie na panienkę o maślanym spojrzeniu, którą chcę w tobie widzieć twój książkę i ta cała kapłanka z głupkowskim uśmiechem.

– Nic o mnie nie wiesz. Ani o nas.

Rhys uśmiechnął się znacząco.

– A Tamlin wie? Czy choć raz zapytał cię, czemu każdej nocy

wykrztuszasz swoje wnętrze? Albo dlaczego nie możesz wchodzić do niektórych komnat? Dlaczego nie znosisz widoku niektórych kolorów?

Zamarłam. Równie dobrze mogłabym stać przed nim nago.

– Wynoś się z mojej głowy.

Wiedziałam, że Tamlin musiał stawić czoła własnym upiorom.

– I kto to mówi? – Odsunął się o kilka kroków. – Sądysz, że nagłe pobudki każdej nocy wywołane wizjami wymiotującej ciebie sprawiają mi przyjemność? Wysyłasz wszystko przez łączącą nas więź, a mi zdecydowanie nie odpowiada miejsce w pierwszym rzędzie, kiedy usiłuję zasnąć.

– Sukinsyn.

Ponownie zachichotał. Ale powstrzymałam chęć zapytania, co miał na myśli, mówiąc o łączącej nas więzi. Nie chciałam mu dać satysfakcji swoją ciekawością.

– Co zaś do pozostałych rzeczy, których od ciebie chcę... – Wskazał znajdujące się za nami schody. – O wszystkim ci opowiem przy jutrzejszym śniadaniu. Teraz idź się doprowadzić do porządku. Wypocznij. – Gdy omiół ponownie wzrokiem mój strój i moją fryzurę, w jego oczach na chwilę błysnął ten szal, który dostrzegłam wcześniej. – Zejdź poziom niżej schodami po prawej. Za pierwszymi drzwiami znajduje się twoja komnata.

– Nie cela w lochach? – zapytałam i od razu skarciłam się w myślach. Postąpiłam głupio, zdradzając przed nim swój strach i podsuwając mu ten pomysł.

Ale Rhys tylko obrócił się bokiem i uniósł brwi.

– Nie jesteś tu więźniem, Feyro. Zawarliśmy umowę i upomniałem się o swoje. Będiesz moim gościem, z wszelkimi przywilejami przysługującymi mieszkańcom mojego domu. Żadne z moich poddanych cię nie tknie, nie skrzywdzi, nawet o tobie źle nie pomyśli.

– A gdzie są twoi poddani? – zapytałam, z trudem zmuszając skołowaciały język do współpracy.

– Część mieszka tutaj: we wnętrzu góry pod naszymi stopami. – Przekrzywił głowę. – Mają zakaz wstępu do tej rezydencji. Wiedzą, że łamiąc go, podpisaliby na siebie wyrok śmierci. – Spojrzał mi w oczy,

surowo i bystro, tak jakby wyczuł narastającą we mnie panikę, cienie sączące się do mojego serca. – Amarantha nie wykazała się zbyt kreatywnością – powiedział z tłumioną złością. – Mój podziemny dwór budził postrach od wieków, a ona postanowiła go skopiować i naruszyć spokój świętej góry Prythianu. Więc tak: pod tą górą jest dwór. I twój Tamlin zapewne spodziewa się, że właśnie tam cię pošlę. Przewodzę mu co pewien czas, ale w zasadzie funkcjonuje bez mojej ingerencji.

– Kiedy... kiedy mnie tam zabierzesz?

Jeśli miałam zejść pod ziemię, znowu ujrzeć te wszystkie okropności... Błagałabym go, błagała na kolanach, żeby tego nie robił. Bez względu na to, jak żałośnie bym wyglądała w jego oczach. Już dawno straciłam wszelkie złudzenia, że są rzeczy, których bym nie zrobiła, żeby tylko przeżyć.

– Nie zrobię tego. – Wzruszył ramionami. – Tu jest mój dom. Dwór pod nami to moja... praca, jak to mówicie wy, śmiertelnicy. Staram się, żeby te dwie rzeczy nie przenikały się zbyt często.

Uniosłam lekko brwi.

– Wy, śmiertelnicy?

Światło gwiazd zatańczyło na jego twarzy.

– Mam cię uznawać za coś innego?

Wyzwanie. Odegnałam irytację wywołaną rozbawieniem, które ponownie wykrzywiało kąciki jego ust.

– A pozostali mieszkańcy twojego dworu?

Dwór Nocy był olbrzymi – większy od wszystkich pozostałych krain Prythianu. A wszędzie dokoła nas były tylko nagie, ośnieżone góry. Żadnych osad, miast – nic.

– Rozproszeni po moim władztwie. Żyją tak, jak im się podoba. Tak jak *ty* możesz udać się wszędzie tam, gdzie zechcesz.

– Chcę się udać do domu.

Rhys zaśmiał się, po czym ruszył nieśpiesznym krokiem ku przeciwległemu końcowi sali, w stronę werandy, nad którą rozpościerało się tylko rozgwieżdżone niebo.

– Wiesz, przyjmę twoje przeprosiny, kiedy tylko uznasz za stosowne je złożyć! – zawołał do mnie przez ramię, nie spoglądając jednak w moją stronę.

Czerwona płachta przesłoniła mi oczy, płuca nie nadążały za szaleńczym rytmem oddechu. W głowie huczało mi tak głośno, że nie mogłam zebrać myśli. W jednej chwili wpatrywałam się w jego plecy, a w następnej trzymałam w dłoni jeden ze swoich butów.

Cisnęłam go w niego z całej siły.

Z całej, dość pokaźnej, nieśmiertelnej siły.

Ledwo zarejestrowałam lot jedwabnego pantofla. Pomknął do celu z prędkością spadającej gwiazdy. Tak szybko, że nawet księżę fae nie zdążył w porę zareagować...

But uderzył go z całym impetem prosto w głowę.

Rhys odwrócił się błyskawicznie z rozszerzonymi oczami i uniósł dłoń, by rozmasować potylicę.

Drugi pantofel tkwił już w mojej dłoni.

Rhys wyszczerzył gniewnie zęby.

– Tylko spróbuj.

Tracił panowanie nad sobą... Musiał być dzisiaj w podłym nastroju, jeśli pozwolił sobie na taką chwilę słabości.

Świetnie. No to było nas dwoje.

Cisnęłam drugi but, także celując w jego głowę, równie mocno jak za pierwszym razem.

Poderwał rękę i chwycił pocisk ledwie kilka cali od twarzy. Syknął gniewnie i opuścił dłoń, patrząc mi cały czas w oczy. Jedwab obrócił się w jego zaciśniętej dłoni w lśniący czarny pył. Rozprostował palce. Resztki błyszczącego popiołu rozwiały się w niebyt. Wzrok Rhysanda omiótł moją rękę, ciało, twarz.

– Ciekawe – wymruczał, po czym odwrócił się i odszedł.

Przez chwilę rozważałam przewrócenie go na podłogę i okładanie twarzy pięściami, ale szybko porzuciłam ten pomysł. Nie byłam głupia: to był jego dom, do tego zbudowany na szczycie góry w środku zupełnego odludzia. Nikt by nie przybył mi na ratunek, nikt by nawet nie usłyszał mojego krzyku.

Odwrociłam się więc ku wskazanym przez niego schodom i ruszyłam w ich stronę.

Prawie dotarłam do przejścia, bojąc się nawet oddychać zbyt głośno, kiedy usłyszałam za sobą śpiewny, rozbawiony kobiecy głos.

Dobiegał z dala, z drugiego końca sali. Z miejsca, w które udał się Rhys.
– No, *to* ci się udało.

Rhys warknął w odpowiedzi, a ja przyśpieszyłam kroku.

Moja komnata była... jak ze snu.

Po dokładnym przeszukaniu jej pod kątem choćby najmniejszego zagrożenia, po zapamiętaniu wszystkich dróg wejścia i wyjścia, po ustaleniu najlepszych kryjówek stanęłam na środku i spokojnie omiotłam wzrokiem pomieszczenie, w którym miałam spędzić najbliższy tydzień.

Podobnie jak w sali na szczycie okna były tu otwarte na brutalny świat zewnętrzny – żadnych szyb, żadnych okiennic – a cienkie zasłony barwy ametystu powiewały na nienaturalnie łagodnym wietrzyku. Rozległe łoże utrzymane było w odcieniach kremowej bieli i kości słoniowej. Z zapasem poduszek, koców i narzut na kilka dni oraz dodającymi uroku bliźniaczymi złotymi lampami po obu stronach. Pod jedną ze ścian, między pozbawionymi szyb oknami, stały duża szafa i toaletka. Po drugiej stronie pomieszczenia wygięte w łuk drewniane drzwi prowadziły do komnaty łazienkowej z porcelanowymi umywalką i ustępem. Ale wanna...

Wanna.

Zajmowała drugą połowę sypialni i bardziej przypominała basen zwisający nad ciągnącym się w dół stromym zboczem góry. Basen do moczenia się i relaksu. Zewnętrzny brzeg pozbawiony był przegrody, a woda spływała cicho i spadała w bezkresną noc. Wąski występ na sąsiedniej ścianie został zastawiony grubymi, kapiącymi świecami, których blask rozświetlał złościście mrok, ozłacał szklistą powierzchnię wody w basenie i wijące się smużki pary.

Komnata godna cesarzowej. Tylko cesarzowa mogłaby sobie pozwolić na marmurowe posadzki, jedwabie, aksamity i eleganckie detale. Jeśli Rhys tak podejmował gości, wołałam się nie zastanawiać, jak wyglądała jego komnata.

Gość – nie więzień.

Cóż... komnata dowodziła prawdziwości jego słów.

Nie było sensu barykadować drzwi. Gdyby zechciał,

prawdopodobnie mógłby tu po prostu wlecieć. Wiedziałałam przecież, jak bez zmruczenia oka zniszczył umysł fae. Wątpiłam, żeby kawałek drewna zdołał zatrzymać kogoś tak potężnego.

Jeszcze raz rozejrzałam się po komnacie. Przy każdym ruchu moja suknia ślubna szeleściła na ciepłej marmurowej posadzce.

Spojrzałam po sobie.

„Wyglądasz idiotycznie” – pomyślałam.

Poczułam gorąco oblewające mi policzki i szyję.

To nie tłumaczyło tego, co zrobił. Nawet jeśli... mnie ocalił – skrzywiłam się na to słowo – od konieczności odrzucenia Tamlina. Od potrzeby tłumaczenia się.

Powoli powyjmowałam szpilki i klejnoty ze skreconych włosów i ułożyłam je w stos na toaletce. Na ich widok zazgrzytałam zębami i zgarnęłam wszystko do pustej szuflady, którą zatrzasnęłam potem tak mocno, że aż lustro zabręczało. Potarłam obolałą od ciężaru fryzury i pokłutą szpilkami skórę głowy. Jeszcze tego popołudnia wyobrażałam sobie, jak Tamlin wyciąga je po kolei z moich włosów, darowując mi pocałunek za każdą szpilkę, ale teraz...

Przełknęłam mocno ślinę, czując wzbierającą w przełyku żółć.

Rhys był najmniejszym z moich zmartwień. Tamlin dostrzegł moje wahanie, ale czy zrozumiał, że zamierzałam powiedzieć „nie”?

A Iantha? Musiałam mu to przekazać. Musiałam wytłumaczyć, że ślub nie wchodzi w grę, że jeszcze przez jakiś czas nie będzie to możliwe. Może powinnam poczekać, aż pojawi się między nami więź godowa, aż będę wiedziała na pewno, że to nie jest błąd; że... że byłam warta Tamlina.

Może powinnam poczekać, aż on też rozliczy się z nekającymi go koszmarami. Przestanie tak bardzo się wszystkim przejmować i pozwoli sprawom toczyć się własnym biegiem. Pozwoli mi cieszyć się swobodą. Nawet jeśli rozumiałam jego potrzebę zapewnienia mi bezpieczeństwa, lęk przed utratą mnie... Może powinnam mu wszystko wyjaśnić po powrocie.

Ale... tyle osób widziało to, było świadkami *mojego* wahania...

Zadrzała mi broda i zabrałam się do rozpinania sukni, po czym ściągnęłam ją z ramion.

Pozwoliłam warstwom materiału zsunąć się na ziemię z westchnieniem jedwabiu i tiulu, spocząć na posadzce niczym opadnięty suflet, po czym zrobiłam duży krok na podłogę obok. Nawet bielizna wyglądała idiotycznie: zwiewne paski koronki, założone tylko po to, by Tamlin mógł je przez chwilę podziwiać, zanim rozerwie je na strzępy.

Porwałam suknię z ziemi, podeszłam szybkim krokiem do szafy, wrzuciłam do niej szeleszczące warstwy materiału, po czym zdjęłam bieliznę i ją również cisnęłam do środka.

Tatuaż na mojej dłoni wyglądał ponuro na tle białego jedwabiu i koronek. Dyszałam coraz szybciej. Zorientowałam się, że płaczę, dopiero gdy porwałam z szafy pierwszy z brzegu strój – turkusową bieliznę nocną. Wsunęłam nogi w długie do kostek nogawki spodni, po czym wciągnęłam przez głowę dopasowaną koszulę z krótkim rękawem, kończąca się tuż poniżej pępka. Nie zastanowiło mnie, czy to jakaś moda Dworu Nocy. Nie zwróciłam uwagi, że ubranie było miękkie i ciepłe.

Wgramoliłam się na wielki, puszysty materac i wpełzłam pod gładką pościel, wręcz zachęcającą do snu. Z ledwością udało mi się uspokoić oddech na tyle, aby zdmuchnąć płomień z knotów obu lamp.

Gdy tylko komnatę zalał mrok, płacz zaatakował z pełną siłą i poczęły mną targać potężne, odrętwiające dreszcze. Moje łkanie wypływało przez okna i odlatywało w rozgwieżdżoną noc między ośnieżone szczyty gór.

Okazało się, że Rhys nie kłamał, kiedy wspominał o wspólnym śniadaniu.

Tuż po świcie pod moimi drzwiami pojawiły się służki, które zajmowały się mną pod Górą. Ale rozpoznałam te ładne ciemnowłose bliźniaczki tylko dlatego, że zachowywały się, jakby mnie doskonale znały. Wcześniej były zaledwie cieniami, a ich twarze wiecznie skrywała nieprzenikniona noc. Ale teraz były w pełni cielesne. Nie wiedziałam, czy wynikało to ze zmiany miejsca, czy też z usunięcia Amaranthy.

Nazywały się Nuala i Cerridwena. Zastanawiałam się, czy przedstawiały mi się wcześniej. Czy też może pod Górą byłam tak dalece otępiała, że nie zwróciłam na to uwagi.

Ich łagodne pukanie wyrwało mnie ze snu – nie żebym spała jakoś szczególnie długo w nocy. Przez krótką chwilę zastanawiałam się, dlaczego materac pode mną jest taki miękki, dlaczego w oddali widzę góry, a nie porośnięte zieloną trawą wzgórze... aż wszystko do mnie wróciło. Wraz z nieznośnym pulsującym bólem głowy.

Zapukały raz jeszcze, po czym przez grube drzwi zaczęły tłumaczyć mi, kim są. Dopiero wówczas wygramoliłam się z pościeli, aby je wpuścić. Po żałośnie niezręcznym i krępującym powitaniu poinformowały mnie, że śniadanie zostanie podane za pół godziny, w związku z czym wypadałoby się wykapać i ubrać.

Nawet nie pytałam, czy to ostatnie zasugerował Rhys, czy też one same podjęły tę decyzję, gdy ujrzały, jak ponuro wyglądam. Kobiety sprawnie przygotowały mi ubranie, ułożyły je na łóżku i wyszły, abym mogła się umyć.

Poczułam silną pokusę moczenia się w rozkosznie ciepłej wodzie basenu przez resztę dnia, ale wtedy przez ból głowy przebiło się nieznaczne *szarpnięcie*. Znałam to uczucie – już raz zostałam w ten sposób przyzwana w godzinach po upadku Amaranthy.

Zanurzyłam się po szyję w wodzie i spojrzałam w czyste zimowe niebo. Gwałtowny wiatr pędził chmury śniegu porwanego z pobliskich szczytów... Ani śladu jego obecności, żadnego łopotu skrzydeł. Ale ponownie poczułam szarpnięcie w myślach, we wnętrzościach – wezwanie. Jak dzwonek do przywoływania służby.

Przeklinając go siarczyście, wyszorowałam się i włożyłam ubranie pozostawione przez służki.

Gdy szłam przez zalaną słońcem górną salę, na ślepo podążając do źródła tych nieznośnych szarpnięć, niemal bezgłośnie sunąc po posadzce z księżycowego kamienia w pantoflach z fioletowego jedwabiu, miałam ochotę zedrzeć z siebie całe ubranie – choćby dlatego, że należało do tego miejsca, do niego.

Zebrane w kostkach nogawki brzoskwiniowych spodni z wysokim stanem były luźne i bufiaste, z aksamitnymi jasnozłotymi mankietami. Długie rękawy dopasowanej bluzki uszyto z muślinu. Podobnie jak nogawki spodni tak i one były zebrane na przegubach. Sama bluzka sięgała jedynie pępka, przy każdym kroku odsłaniając wąski pasek

skóry.

Ubranie było wygodne i zapewniało swobodę ruchu, mogłabym w tym nawet bez problemu biegać. Do tego kobiece. Egzotyczne. Było też wystarczająco cienkie; o ile tylko Rhysand nie zamierzał wyrzucić mnie w tym stroju na otaczające nas zimowe pustkowie, mogłam chyba założyć, że w najbliższym czasie nie wyjdę poza obręb magii, która utrzymywała w całym pałacu tak wysoką temperaturę.

Przynajmniej tatuaż prześwitujący przez przejrzysty materiał rękawa pasował teraz do wszystkiego. Ale... ubranie wciąż pozostawało jego własnością.

A także – bez wątplenia – miało służyć jego gierkom, w które zamierzał mnie wciągnąć.

Na środku kamiennej werandy na końcu górnej sali stał szklany stół, który mienił się, jakby wykonano go z rtęci. Błat zastawiono owocami, sokami, ciastami i wędliną. Obok stały trzy krzesła. Na jednym z nich... Chociaż Rhys spoglądał w dal, na ośnieżone szczyty gór odbijające niemal oślepiające promienie słońca, wiedziałam, że wyczuł moją obecność, gdy tylko pokonałam ostatni stopień schodów. Może nawet wiedział, kiedy dokładnie się obudziłam, na co wskazywałoby mentalne szarpanie.

Przystanąłam na chwilę między ostatnimi dwiema kolumnami i przyjrzałam się księciu rozpartemu przy stole śniadaniowym oraz podziwianemu przezeń widokowi.

– Nie jestem psem, żeby mnie tak przywoływać – oznajmiłam zamiast powitania.

Rhys powoli obejrzał się przez ramię. Fioletowe oczy lśniły żywo w blasku poranka. Gdy jego wzrok omiótł mnie od stóp do głów i z powrotem, zacisnęłam dłonie w pięści. Zmarszczył brwi z dezaprobatą, jakby coś w moim wyglądzie mu nie pasowało.

– Nie chciałem, żebyś się zgubiła – powiedział bezbarwnie.

Głowa pękała mi od bólu. Spojrzałam na srebrny dzbanek stojący na środku stołu, na zachęcająco unoszącą się z jego dzióbka parę. Filiżanka herbaty...

– Sądziłam, że tu zawsze będzie ciemno – zauważyłam w zasadzie tylko po to, żeby nie zdradzić obezwładniającego pragnienia życiodajnej

herbaty z samego ranka.

– Jesteśmy jednym z dworów słonecznych – odparł, wskazując moje krzesło pełnym gracji skinieniem dłoni. – Nasze noce są dalece piękniejsze, a nasze zachody słońca i świty nie mają sobie równych, niemniej jednak przestrzegamy praw natury.

Wślizgnęłam się na tapicerowane krzesło po drugiej stronie stołu. Zauważyłam, że rozpiął swoją tunikę pod szyją, odsłaniając fragment opalonej piersi.

– Czy inne dwory ich nie przestrzegają?

– Natura dworów pór roku jest powiązana z księżętami. To ich magia i wola utrzymują w ich władztwach wieczną wiosnę, zimę, jesień, lato. Zawsze tak było; taka dziwaczna stagnacja. Ale charakter dworów słonecznych – dnia, świtu i nocy – jest bardziej... symboliczny. Może i jesteśmy potężni, ale nawet my nie potrafimy zmienić drogi ani blasku słońca. Herbaty?

Słoneczny blask zatańczył na krzywiźnie srebrnego dzbanka. Ograniczyłam energiczne przytaknięcie do oszczędnego skinienia brodą.

– Przekonasz się jednak – podjął Rhysand, nalewając mi herbatę – że nasze noce są zdecydowanie bardziej olśniewające; tak piękne, że niektórzy z mieszkańców mojego dworu wstają o zachodzie słońca i kładą się spać o świcie. Tylko po to, żeby móc żyć w blasku gwiazd.

Dolałam do filiżanki odrobinę mleka i przyglądałam się, jak jasność i ciemność płynów mieszają się ze sobą.

– Dlaczego jest tu tak ciepło, podczas gdy na zewnątrz trwa w najlepsze zima?

– Magia.

– To oczywiste. – Odłożyłam łyżeczkę i upiłam niewielki łyk, niemal wzdychając z rozkoszą, gdy gorący aromatyczny napój wypełnił mi usta. – Ale dlaczego?

Rhys podążył wzrokiem za kłębamii śniegu unoszonego ze szczytów przez porywisty wiatr.

– Wy ogrzewacie swoje domy zimą. Dlaczego ja nie miałbym ogrzewać swojego? Przyznaję, że nie wiem, dlaczego moi przodkowie wybudowali pałac pasujący raczej do dworu lata w samym środku górskiego pasma, w którym w najlepszych miesiącach jest najwyżej

umiarkowanie ciepło, ale kimże ja jestem, aby kwestionować ich motywy?

Upiłam kilka kolejnych łyków. Ból głowy powoli mijał. Pozwoliłam sobie na nałożenie na talerz kilku owoców z pobliskiej szklanej misy.

Śledził każdy mój ruch.

– Schudłaś – zauważył cicho.

– Masz w zwyczaju przekopywać się przez moje myśli, kiedy tylko najdzie cię na to ochota – stwierdziłam, nabijając kawałek melona na widelczyk. – Dziwi mnie twoje zaskoczenie.

Jego spojrzenie nie złagodniało, choć na zmysłowych ustach zatańczył ponownie znajomy uśmiezek. Bez wątpienia była to jego ulubiona maska.

– Robię to tylko czasem. I nie mam wpływu na to, co *ty* wysyłasz łączącą nas więzią.

Podobnie jak poprzedniego wieczoru miałam powstrzymać się od pytania, jednak spytałam:

– Jak to działa, ta więź, która pozwala ci zaglądać mi do głowy?

Upił łyk ze swojej filiżanki.

– Wyobraź ją sobie jako łączący nas most. Na obu jego końcach znajdują się drzwi prowadzące do naszych umysłów. Stanowią tarczę. Dzięki moim wrodzonym zdolnościom potrafię prześlizgnąć się przez tarczę umysłu dowolnej osoby, nawet bez takiego mostu. No, chyba że trafię na kogoś bardzo, ale to bardzo silnego lub wyćwiczonego w utrzymywaniu szczelności bariery. Gdy byłaś człowiekiem, z mojego punktu widzenia bramy do twego umysłu były zawsze szeroko otwarte. Teraz, gdy jesteś fae... – Wzruszył lekko ramionami. – Czasem nieświadomie wzmacniasz swoją tarczę, a czasem, kiedy gotujesz się od silnych emocji, bariera znika. Czasami, kiedy drzwi do twojego umysłu są otwarte, mogłabyś równie dobrze stać w ich progu i wykrzykiwać swoje myśli w moją stronę. Czasem je słyszę, czasem nie.

Skrzywiłam się i ścisnęłam mocniej widelczyk.

– A jak często buszujesz po moich myślach, kiedy nie ma tej tarczy?

Z jego twarzy zniknęły wszelkie ślady wesołości.

– Kiedy nie potrafię ocenić, czy twoje koszmary są odbiciem prawdziwego zagrożenia, czy tylko wyobrażonego. Kiedy stajesz na ślubnym kobiercu i po cichu błagasz o pomoc kogokolwiek, kto akurat słucha. Tylko kiedy opuszczasz swoją barierę i nieświadomie rzucasz to wszystko na drugą stronę mostu. I odpowiadając na twoje pytanie, zanim je w ogóle zadasz: tak. Nawet gdy tarcza jest na swoim miejscu, mógłbym się przez nią przebić, gdybym tylko chciał. Mogłabyś jednak się wyćwiczyć, nauczyć utrzymywać barierę również przed kimś takim jak ja, nawet zważywszy łączącą nasze umysły więź i moje wrodzone zdolności.

Zignorowałam tę propozycję. Nie chciałam robić czegokolwiek razem z nim, nie chciałam z nim wchodzić w komitywę, z własnej woli zaakceptować targu, którego musiałam dobić.

– Czego ode mnie chcesz? Powiedziałeś, że powiesz mi, kiedy tu dotrzemy. No to mów.

Rhys odchylił się na krześle i skrzyżował ramiona, których potężnych mięśni nie potrafił ukryć nawet luźny elegancki strój.

– W tym tygodniu? Chcę, żebyś nauczyła się czytać.

Rozdział 6

Rhysand już raz kpił ze mnie z tego powodu. Gdy byliśmy razem pod Górą, zapytał, czy zmuszenie mnie do nauki czytania byłoby w moim odczuciu torturą.

– Nie, dziękuję – odparłam, ściskając mocniej widelczyk, aby się powstrzymać od ciśnięcia nim w jego głowę.

– Niedługo zostaniesz żoną księcia – zauważył Rhys. – Będzie się od ciebie oczekiwać prowadzenia korespondencji, może nawet wygłoszenia jakiejś mowy. I Kocioł jeden wie, co jeszcze uznają z Ianthą za niezbędne. Przygotowywanie menu na przyjęcia, pisanie podziękowań za wszystkie prezenty ślubne, wyszywanie uroczych sentencji na poduszkach... Przyda ci się umiejętność pisania. I wiesz co? Może dorzucimy do tego od razu utrzymywanie tej mentalnej bariery. Czytanie i ochrona swoich myśli... szczęśliwie obie te rzeczy możesz ćwiczyć jednocześnie.

– *Obie* te umiejętności są mi niezbędne – wycedziłam przez zęby – ale *nie ty* będziesz mnie uczył.

– A co innego będziesz ze sobą robiła? Sięgniesz po farby? Jak ci idzie ostatnio malowanie, Feyro?

– A co, do wszystkich piekieł, to cię w ogóle obchodzi?

– Oczywiście służy różnym moim celom.

– Jakim. Celom?

– Obawiam się, że musiałabyś zgodzić się zostać moją współpracowniczką, żeby się tego dowiedzieć.

Coś ostrego wbiło się w moją dłoń.

Zgniotłam widelczyk w kulkę.

Kiedy odłożyłam zwinięty metal na stół, Rhys zachichotał.

– Ciekawe.

– To samo powiedziałaś wczoraj.

– Nie wolno mi powiedzieć tego dwukrotnie?

– Nie to miałam na myśli i dobrze o tym wiesz.

Ponownie omiół mnie wzrokiem. Czułam się, jakby jego spojrzenie przenikało brzoskwiniowy materiał, przebijało skórę i rwało duszę na strzępy. Potem przeniósł oczy na zniszczony widelczyk.

– Czy ktoś ci powiedział, że jesteś raczej dość silna jak na fae wysokiego rodu?

– A jestem?

– Zakładam zatem, że dotychczas nikt tego nie zrobił – stwierdził i włożył do ust kawałek melona. – Próbowiałaś się z kimś?

– Dlaczego miałabym to robić?

I bez tego czułam się już wystarczająco żałośnie.

– Ponieważ zostałam przywrócona do życia, zrodzona na nowo dzięki połączonej potędze siedmiu książąt. Na twoim miejscu byłbym ciekaw, czy w tym czasie nie wniknęło we mnie coś jeszcze.

Jego słowa zmroziły mi krew.

– Nic innego we mnie nie wniknęło.

– Byłoby to zwyczajnie... ciekawe – uśmiechnął się półgębkiem, wypowiadając to słowo – gdyby tak się stało.

– Tak się nie stało. A ja nie mam zamiaru uczyć się od ciebie czytać czy bronić dostępu do swoich myśli.

– Czemu? Na złość? Sądziłem, że mamy to już za sobą po wydarzeniach pod Górą.

– Nawet mi nie przypominaj o tym, co mi zrobiłeś pod Górą.

Rhys zamarł.

Tak znieruchomiałego go jeszcze nie widziałam. Był sztywny jak śmierć wyzierająca z jego oczu. Potem jego klatka piersiowa zaczęła się unosić, szybciej i szybciej.

Przysięgłabym, że na kolumny za jego plecami padł cień olbrzymich skrzydeł.

Otworzył usta, pochylił się do przodu i zawahał. Cienie, chrapliwy oddech i napięcie zniknęły, a na jego twarz ponownie wypłynął grymas leniwego rozbawienia.

– Mamy towarzystwo. Wrócimy do sprawy później.

– Nie, nie wrócimy – zaczęłam protestować, ale wtedy za moimi plecami zabrzmiały czyjeś lekkie kroki; a potem ją zobaczyłam.

Jeśli Rhysand był najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego widziałam w życiu, to ona była jego kobiecym odpowiednikiem.

Jasnozłote włosy zebrała z tyłu w zwykły warkocz. Turkus stroju – stylem przypominającego mój – kontrastował z opalenizną skóry, co

sprawiła, że wręcz lśniła w promieniach porannego słońca.

– Cześć, cześć – zaświergotała, rozchyliła usta w olśniewającym uśmiechu i utkwiała we mnie spojrzenie głębokich piwnych oczu.

– Feyro – powiedział spokojnym, łagodnym głosem Rhys – poznaj moją kuzynkę, Morrigan. Mor, poznaj uroczą, czarującą Feyrę o otwartym umyśle.

Rozważyłam chluśnięcie mu herbatą w twarz, ale Mor podeszła do mnie i okazja minęła. Każdy jej krok był pewny, zdecydowany, pełen wdzięku i... ostrożny. Sprawiała wrażenie wesołej, ale czujnej. Kogoś, kto nie potrzebował broni... a przynajmniej nie musiał jej nosić przy boku.

– Tyle o tobie słyszałam – powiedziała, a ja wstałam z krzesła i niezdarnie podałam jej dłoń.

Zignorowała moją wyciągniętą rękę i zgmiotła mnie w niedźwiedzim uścisku. Pachniała cytrusami i cynamonem. Po chwili puściła mnie i cofnęła się, uśmiechając się raczej diabelsko. Spróbowałam rozluźnić zdrętwiałe mięśnie.

– Wygląda na to, że właśnie dawałaś Rhysowi szkołę – stwierdziła, zмирzając do wolnego krzesła między mną a Rhysandem. – Dobrze zatem, że się zjawiłam. Chociaż ucieszyłby mnie widok jego jaj przybitych do ściany.

Rhys posłał jej pełne niedowierzania spojrzenie i uniósł brwi.

Ukryłam uśmiech, który pchał mi się na usta.

– Mi... miło cię poznać – wydusiłam z siebie.

– Kłamczuszka – powiedziała Mor, naląła sobie filiżankę herbaty i zapełniła talerz. – Nie chcesz mieć z nami nic wspólnego, prawda?

A nikczemny Rhys każe ci tu siedzieć.

– Jesteś dziś... ożywiona, Mor – zauważył Rhys.

Mor uniosła oszałamiająco piękne oczy na twarzy kuzyna.

– Wybacz moje zadowolenie z tego, że *choć raz* mam towarzystwo.

– Mogłabyś zająć się swoimi sprawami – rzucił cierpko.

Zacisnęłam mocniej usta. Nigdy dotąd nie widziałam Rhysa tak... rozdrażnionego.

– Potrzebowałam chwili przerwy, a ty mówisz, że mogę tu

przychodzić, kiedy tylko zechcę. Czy może być lepsza okazja niż teraz, kiedy sprowadziłeś moją nową przyjaciółkę, aby mogła mnie w końcu poznać?

Zamrugałam intensywnie; zrozumiałam jednocześnie dwie rzeczy: po pierwsze, ona naprawdę mówiła szczerze; po drugie, to jej głos słyszałam wczoraj szydzący z Rhysa po naszej sprzeczce. „No, to ci się udało” – powiedziała wtedy. Tak jakby była jakakolwiek alternatywa, jakakolwiek szansa na miłą rozmowę między nim a mną.

Przy moim talerzu pojawił się nowy widelczyk. Podniosłam go i natychmiast wbiłam w kolejny kawałek melona.

– Jesteście do siebie zupełnie niepodobni – odezwałam się w końcu.

– Mor można uznać za moją kuzynkę według *najmniej ścisłej* definicji tego słowa – wyjaśnił Rhys. Wyszczrzyła do niego zęby w uśmiechu, po czym pochłonęła kilka plasterków pomidora i dojrzewającego sera. – Ale wychowywaliśmy się razem. To moja jedyna żyjąca krewna.

Nie miałam dość odwagi, żeby zapytać o los pozostałych. Albo przypomnieć sobie, czyj ojciec odpowiadał za brak rodziny na moim dworze.

– I jako moja jedyna żyjąca krewna – kontynuował Rhys – Mor jest przekonana, że może wpadać do mojego życia i wypadać z niego, kiedy tylko uzna to za stosowne.

– Ależ jesteś dzisiaj marudny – wtrąciła Mor, przekładając na swój talerz dwie babeczki.

– Nie widziałam cię pod Górą – rzuciłam; ostatnich dwóch słów nienawidziłam bardziej niż czegokolwiek innego.

– Och, nie było mnie tam – odparła. – Byłam w...

– Wystarczy, Mor – przerwał jej Rhys głosem podszytym grzmotem zbliżającej się burzy.

Musiałam się bardzo pilnować, żeby nie dać po sobie poznać, jak bardzo jestem zaintrygowana.

Rhysand odłożył serwetkę na stół i wstał.

– Mor zostanie tu do końca tygodnia, ale w żadnym wypadku nie musisz się czuć w obowiązku zaszczycać jej swoim towarzystwem. –

Mor pokazała mu język, a on przewrócił oczami. Było to najbardziej ludzkie zachowanie, jakie u niego kiedykolwiek widziałam. Spojrzał na mój talerz. – Zjadłaś dość?

Kiwnęłam głową.

– Dobrze. Zatem chodźmy już. – Skinął głową w stronę kolumn i powiewających zasłon za jego plecami. – Czas na twoją pierwszą lekcję.

Pewnym ruchem noża Mor przekroiła jedną z babeczek na dwoje. Chwył sztućca i ułożenie nadgarstka potwierdziły moje podejrzenia, że posługiwanie się bronią nie było jej obce.

– Jeśli cię wkurzy, Feyro, nie krępuj się i wyrzuć go przez balustradę najbliższego balkonu.

Płynnym ruchem dłoni Rhys pokazał jej wulgarny gest, po czym ruszył przez salę.

Wstała z krzesła, dopiero kiedy zdążył już się od nas nieco oddalić.

– Smacznego.

– Gdy tylko zapragniesz towarzystwa – powiedziała, kiedy obchodziłam stół – krzyknij.

Prawdopodobnie mówiła dosłownie.

Skinęłam jej w milczeniu głową i podążyłam w ślad za oddalającym się księciem.

Zgodziłam się usiąść przy długim drewnianym stole w odgradzonej zasłonami alkwie tylko dlatego, że w pewnym sensie miał rację. Pod Górą mój analfabetyzm niemal kosztował mnie życie. Niech mnie demony porwą, jeśli pozwolę sobie dłużej na tę słabość, niezależnie od tego, czy miał w tym jakiś swój ukryty cel. Jeśli zaś chodziło o mentalną barierę... Byłabym skończoną idiotką, gdybym nie przyjęła propozycji pobierania od niego nauk w tym zakresie. Na samą myśl o tym, że ktoś, zwłaszcza Rhys, mógłby przesiewać mętlik w mojej głowie i wyławiać zeń informacje o Dworze Wiosny, o osobach, które kochałam... Nigdy do tego nie dopuszczę. Na pewno nie świadomie.

Ale to nie czyniło obecności Rhysanda i piętrzącego się na stole stosu książek łatwiejszymi do zniesienia.

– Znam litery – powiedziałam ze złością, kiedy położył przede mną kartkę papieru. – Nie jestem aż tak głupia.

Przez chwilę wykręcałam palce pod stołem, po czym wetknęłam niespokojne dłonie pod uda.

– Nie powiedziałem, że jesteś głupia. Próbuję tylko ustalić, od czego powinniśmy zacząć. – Odchyliłam się na miękkie oparcie krzesła.
– Ponieważ nie chciałaś mi powiedzieć, co już wiesz.

Poczułam, jak rumieniec zalewa mi twarz.

– Nie możesz zatrudnić nauczyciela?

Uniósł brew.

– Czy tak trudno jest ci chociaż spróbować w mojej obecności?

– Jesteś księciem... Nie masz aby lepszych rzeczy do roboty?

– Oczywiście. Ale nie byłyby tak przyjemne jak przyglądanie się, jak się wijesz.

– Jesteś skończonym draniem, wiesz?

Rhys stłumił śmiech.

– Słyszałem już gorsze obelgi. Tak właściwie to chyba nawet od ciebie. – Postukał palcem w leżącą przede mną kartkę. – Przeczytaj to.

Plątanina liter. Ścisnęło mnie w gardle.

– Nie mogę.

– Spróbuj.

Na papierze widniało jedno zdanie zapisane eleganckim, oszczędnym pismem. Bez wątpienia jego ręką. Spróbowałam otworzyć usta, ale byłam cała sparaliżowana.

– Co tak naprawdę będziesz z tego miał? – wydusiłam z siebie w końcu. – Powiedziałeś, że mi to powiesz, jeśli będę z tobą współpracowała.

– Nie powiedziałem, *kiedy* ci to powiem.

Odsunęłam się od niego, szczerząc gniewnie zęby. Wzruszył ramionami.

– Może mierzi mnie wizja tych pochlebców i podżegających do wojny głupców z Dworu Wiosny wzbudzających w tobie poczucie, że jesteś gorsza. Może naprawdę lubię patrzeć, jak się wijesz. A może...

– Zrozumiałam.

Rhys parsknął.

– Spróbuj to przeczytać, Feyro.

Sukinsyn. Gwałtownym ruchem przysunęłam papier do siebie, niemal rozrywając go na pół. Przyjrzałam się pierwszej sylabie i przeczytałam ją w myślach na próbę.

– Wyyy... – kolejne sylaby częściowo składałam z liter, a częściowo odgadywałam – glą... dasz...

– Dobrze – mruknął.

– Nie prosiłam cię o aprobatę.

Zachichotał.

– Ab... so... lut... Absolutnie. – Rozszyfrowanie tego słowa sprawiło mi więcej trudności, niż chciałam przyznać. Następne było jeszcze gorsze. – Ol... ś-śni...

Spojrzałam na niego z ukosa z uniesionymi brwiami.

– Olśniewająco – zamruczał.

Moje brwi powędrowały w dół i skrzywiłam się gniewnie. Przeczytałam kolejne trzy słowa, po czym obróciłam gwałtownie ku niemu głowę.

– Wyglądasz absolutnie olśniewająco tego poranka, Feyro?! To napisałeś?

Rozparł się wygodniej w krześle. Gdy nasze spojrzenia się spotkały, ostre pazury musnęły moje myśli, a w głowie usłyszałam jego głos: „To prawda, czyż nie?”

Szarpnęłam się do tyłu. Krzesło zajęczało w proteście.

„Przestań!”

Ale pazury sięgnęły głębiej – teraz całe moje ciało, serce, płuca, *kręć* poddawały się jego dotykowi, oddawały mu się na rozkazy. „*Moda Dworu Nocy podkreśla twoją urodę*” – dodał.

Nie mogłam się poruszyć, nie zdołałam nawet mrugnąć.

„To się właśnie dzieje, gdy nie postawisz stosownej bariery. Ktoś o możliwościach podobnych moim mógłby wślizgnąć się do środka, zobaczyć, co tylko zechce, i zawładnąć twoim umysłem. Albo go roztrzaskać. W tej chwili stoję u progu twoich myśli... Gdybym miał wejść głębiej, a wymagałoby to ode mnie ledwie pół myśli, wszystko to, czym jesteś, co cię definiuje, cała twoja świadomość, zostałyby wymazane”.

Gdzieś w oddali kropla potu spłynęła po mojej skroni.

„Powinnaś się bać. Powinnaś się tego bardzo bać. I powinnaś dziękować przekłębemu przez bogów Kotłowi, że w ostatnich trzech miesiącach twoje ścieżki nie skrzyżowały się z nikim o darze podobnym mojemu. A teraz wyrzuć mnie”.

Nie mogłam. Te pazury były wszędzie, zagłębiały się w każdą myśl, każdy kawałek jaźni. Minimalnie zwiększył siłę nacisku.

„Powiedziałem. Wyrzuć. Mnie”.

Nie wiedziałam, od czego zacząć. Pchałam na oślep, rzucałam się na niego, prosto na te pazury, które były wszędzie, tak jakbym była bączkiem puszczonego w lustrzanym kręgu.

Jego śmiech – niski i miękki – wypełniał cały mój umysł, huczał mi w uszach.

„Tędy, Feyro”.

Jakby na zawołanie w moich myślach załśniła pusta ścieżka. Droga do wyjścia.

Całą wieczność zajęło mi odczepianie poszczególnych pazurów i wypchnięcie jego przytłaczającej obecności tym wąskim przejściem. Gdybym tylko mogła to zmyć...

Fala. Fala mnie, mojego jestestwa, żeby wymyć go z mojej głowy...

Ukryłam przed nim mój plan i zbierałam się w sobie, formując swoją jaźń w potężną falę, po czym uderzyłam.

Pazury puściły – niechętnie. Tak jakby pozwalał mi wygrać tę rundę.

– Dobrze – rzucił tylko.

Moje kości, oddech, krew – na powrót należały do mnie. Opadłam bezwładnie na oparcie krzesła.

– Jeszcze nie – powiedział. – Tarcza. Zablokuj mnie, abym nie mógł wejść z powrotem.

Chciałam już znaleźć się w jakimś cichym miejscu i trochę przespać...

Przy zewnętrznej warstwie mojego umysłu pojawiły się pazury. Drapnięcie...

Wyobraziłam sobie opadającą z góry ścianę z adamantu: czarną

niczym noc i grubą na całą stopę. Pazury cofnęły się na jeden oddech przed tym, gdy mur przeciął miejsce, w którym jeszcze chwilę temu były.

Rhys szczyrzył zęby w uśmiechu.

– Bardzo udatnie. Prymitywnie, ale udatnie.

Nie zdołałam się powstrzymać. Chwyciłam kartkę papieru i rozdarłam ją na połowy, potem na ćwierci.

– Świnia.

– Och, z pewnością. Ale spójrz na siebie: przeczytałaś całe zdanie, wyrzuciłaś mnie ze swojej głowy, a do tego zbudowałaś barierę.

Znakomicie.

– Nie traktuj mnie jak jakiejś głupiej smarkuli.

– Gdzieżbym śmiał. Czytasz dużo płynniej, niż się spodziewałem.

Policzki ponownie mi zapłonęły.

– Jestem prawie analfabetką.

– Na tę chwilę potrzebujesz ćwiczeń, słownika i jeszcze więcej ćwiczeń. Do Nynsaru będziesz czytać całe powieści. A jeśli jeszcze wzmocnisz tę barierę, może do tego czasu będziesz też potrafiła utrzymać mnie całkowicie z dala od swoich myśli.

Nynsar. Dla Tamlina i jego dworu będzie pierwszym, jaki będą świętować od blisko pięćdziesięciu lat. Amarantha zakazała tego święta pod wpływem chwili – razem z kilkoma pomniejszych, ale ukochanymi przez fae świętami, które ona uważała za *niepotrzebne*. Ale od Nynsaru dzieliły nas jeszcze całe miesiące.

– Czy to jest w ogóle możliwe? Całkowicie cię powstrzymać?

– Raczej nie, ale kto wie, jak głęboka tkwi w tobie moc? Ćwicz dalej i zobaczymy, co z tego wyjdzie.

– A będę dalej związana tą umową, gdy nadejdzie Nynsar?

Cisza.

– Po tym... Po tym, co się stało – zaczęłam nalegać, ale szczegóły tego, co się stało pod Górą, co on zrobił dla mnie podczas walki z Amaranthą, co zrobił potem, nie chciały mi przejść przez gardło. – Moim zdaniem możemy uznać, że nic ci nie jestem winna ani ty nic nie jesteś winien mnie.

Patrzył na mnie niewzruszenie.

– Czy nie wystarczy, że wszyscy odzyskaliśmy wolność? – ciągnęłam. Uderzyłam wytatuowaną dłoń w stół. – Pod koniec sądziłam, że tak naprawdę jesteś inny, że to była tylko maska, ale teraz, kiedy mnie zabrałeś, kiedy mnie tu *przetrzymujesz*...

Potrząsnęłam głową, nie mogąc znaleźć słów dość stanowczych, wystarczająco mądrych, aby przekonać go do odstąpienia od naszej umowy.

Oczy mu pociemniały.

– Nie jestem twoim wrogiem, Feyro.

– Według Tamlina jesteś. – Zaciśnęłam wytatuowaną dłoń w pięść.

– Wszyscy wokół powtarzają, że jesteś.

– A co *ty* uważasz? – Odchylił się wygodnie na krześle, ale wyraz twarzy miał śmiertelnie poważny.

– Doskonale ci idzie przekonywanie mnie, abym się z nimi zgodziła.

– Kłamczuszka – zamruczał. – Czy ty w ogóle powiedziałaś swoim przyjaciołom, *co dokładnie* ci zrobiłem pod Górą?

A więc ta uwaga przy śniadaniu istotnie załaziła mi za skórę.

– Nie chcę rozmawiać o niczym, co by się z tym wiązało. Z tobą czy z nimi.

– Nie, ponieważ o wiele łatwiej jest udawać, że to się nigdy nie wydarzyło, i pozwolić im się rozpieszczać.

– Nie pozwalam im się rozpieszczać...

– Wczoraj zapakowali cię jak jakiś prezent. Tak jakbyś była *jego* nagrodą.

– No i?

– No i? – Przez moment w jego oczach zalśniła wściekłość, ale szybko zniknęła.

– Jestem gotowa wrócić do domu – stwierdziłam.

– Gdzie będziesz tkwiła pod kloszem po kres swoich dni, zwłaszcza gdy już zaczniesz rodzić następców tronu. Nie mogę się doczekać, by zobaczyć, co Iantha robi, kiedy dorwie *ich* w swoje ręce.

– Zdajesz się nie mieć o niej najlepszego zdania.

Spojrzał zimno i drapieźnie.

– Nie, nie mogę temu zaprzeczyć. – Wskazał pustą kartkę papieru.

– Zaczynj przepisywać alfabet. Rób to, aż twoje litery będą idealne. Po każdej serii opuść swoją tarczę i postaw ją na nowo. Rób to, aż to się stanie twoją drugą naturą. Wracam za godzinę.

– Co?

– Przepisuj. Alfabet. Aż...

– Słyszałam, co powiedziałeś – wycedziłam.

Sukinsyn. Sukinsyn, sukinsyn, *sukinsyn*.

– No to zabieraj się do pracy. – Rhys dźwignął się na nogi. –

I przynajmniej zachowaj tyle przyzwoitości, żeby nazywać mnie sukinsynem tylko przy podniesionej barierze.

Rozpłynął się w paśmie ciemności, zanim pojęłam, że moja adamantowa ściana zdążyła zniknąć.

Do powrotu Rhysa mój umysł przemienił się w grząskie bagnisko.

Całą godzinę poświęciłam na wykonywanie zadanych ćwiczeń, chociaż aż podskakiwałam na każdy dźwięk dobiegający z pobliskich schodów: cichych kroków służących, strzepywania zmienianej pościeli, nuconej pięknej i zawilej melodii. Do tego nieustannie towarzyszył mi świergot ptaków mieszkających w nienaturalnym ciepłe góry i gnieźdzących się w drzewkach cytrusowych rosnących w licznych donicach. Ani śladu czekającej mnie udręki. Nie nadzorował mnie nawet żaden strażnik. Mogłam mieć całe to miejsce tylko dla siebie. Co było bardzo pozytywne, ponieważ próby opuszczania i podnoszenia mentalnej bariery często objawiały się grymasem na mojej udręczonej twarzy.

– Nieźle – stwierdził Rhys, zaglądając mi przez ramię.

Pojawił się ledwie kilka chwil wcześniej w bezpiecznej odległości. Gdybym go nie znała, mogłabym pomyśleć, że nie chciał mnie przestraszyć zmaterializowaniem się tuż obok mnie. Tak jakby wiedział o tej sytuacji, kiedy Tamlin podkraść się do mnie od tyłu, wzbudzając tak silny atak paniki, że obróciłam się i uderzyłam go w brzuch z siłą wystarczającą do posłania go na podłogę. Staralam się to wymazać z pamięci: zaskoczenie na twarzy Tama; łatwość, z jaką przyszło mi powalenie go; w końcu upokorzenie spowodowane okazaniem głupiego strachu...

Rhys przyjrzał się zapisanym przeze mnie kartkom. Przeglądał je jedna po drugiej i oceniał moje postępy.

Wtem poczułam pazury sięgające w głąb moich myśli, ale tylko zarysowały czarny lśniący adamant.

Gdy napały mocniej, szukając słabego punktu bariery, skoncentrowałam na niej całą swoją wolę.

– Proszę, proszę – mruknął zaskoczony Rhysand i zaprzestał prób dostania się do mojej głowy. – Jak dobrze pójdzie, dzisiaj w końcu się wyśpię, jeśli tylko utrzymasz tę ścianę na miejscu podczas snu.

Opuściłam tarczę, cisnęłam ze złością jedno słowo przez łączący nasze umysły most, po czym ponownie postawiłam barierę. Od wysiłku mój umysł zadygotał jak galareta. Potrzebowałam drzemki. I to pilnie.

– Może i jestem sukinsynem, ale spójrz tylko na siebie. Wygląda na to, że nasze lekcje będą mimo wszystko przyjemne.

Szłam bezpieczne dziesięć kroków za Rhysandem, wbijając wściekle spojrzenie w jego umięśnione plecy. Prowadził mnie przez korytarze głównego budynku kompleksu. Jedynymi świadkami naszej milczącej wędrówki były bezkresne góry i doskonale błękitne niebo.

Byłam zbyt wyczerpana, aby dopytywać się, dokąd mnie prowadzi. On z kolei najwyraźniej nie czuł się w obowiązku mi tego powiedzieć. Szliśmy w górę, cały czas w górę, aż w końcu dotarliśmy do okrągłego pomieszczenia na szczycie jakiejś wieży.

Na samym środku znajdował się okrągły stół z czarnego kamienia. Na najszerszym fragmencie granitowej ściany wisiała olbrzymia mapa świata. Cała była usiana różnymi oznaczeniami, wbitymi w nią flagami i pinezkami, pozornie bez żadnego ładu i składu. Po chwili mój wzrok spoczął na licznych oknach rozmieszczonych wszędzie dokoła. Było ich tak wiele, że pomieszczenie sprawiało wrażenie niemal otwartego, a powietrze było czyste i rześkie. Pomyślałam, że to idealny dom dla księcia pobłogosławionego skrzydłami.

Rhys podszedł do stołu, na którym leżała rozpostarta inna mapa, cała zastawiona różnymi figurkami. Mapa Prythianu... i Hybernii. Oznaczono wszystkie dwory naszej krainy, wraz ze wszystkimi osadami,

miastami, rzekami i przełęczami górskimi. Wszystkie dwory... poza Dworem Nocy.

Rozległy kraj zajmujący cały północny kraniec wyspy był całkowicie pusty. Nie zaznaczono w nim nawet jednego pasma górskiego. Wydało mi się to dziwne. Zapewne stanowiło część jakiegoś głębszego zamysłu, którego nie mogłam pojąć.

Spostrzegłam, że Rhysand mi się przygląda. Jego uniesione brwi wystarczyły, abym zamknęła usta i powstrzymała się od zadania pytania.

– Nie chcesz o nic zapytać? – zagadnął.

– Nie.

Wykrzywił wargi w kocim uśmiešku, po czym wskazał brodą mapę wiszącą na ścianie.

– Co widzisz? – zapytał.

– Czy to jest jeden z twoich sposobów na przekonanie mnie, bym się bardziej przykładala do nauki czytania?

Nie mogłam rozszyfrować żadnego z napisów. Rozpoznawałam tylko ogólne kontury. Na przykład mur rozcinający nasz świat grubą linią.

– Powiedz mi, co widzisz.

– Świat podzielony na dwoje.

– Czy twoim zdaniem powinno tak pozostać?

Obróciłam gwałtownie głowę w jego stronę.

– Moja rodzina... – zaczęłam i natychmiast urwałam.

Nie powinnam była przyznawać się do posiadania rodziny, do żywienia względem niej uczuć...

– Twoja ludzka rodzina – stwierdził Rhys – bardzo by odczuła zniknięcie muru, prawda? Tak blisko granicy... Gdyby mieli szczęście, zdołaliby uciec za morze w razie niebezpieczeństwa.

– Czy coś im grozi?

Rhysand zniósł moje spojrzenie.

– Może.

– Dlaczego?

– Ponieważ nadciąga wojna, Feyro.

Rozdział 7

Wojna”.

To jedno słowo odbiło się echem w moim ciele i zmroziło mi krew w żyłach.

– Nie rób tego – wyszeptałam. Upadłabym na kolana, żeby go ubłagać. Pełzałabym u jego stóp, gdyby było trzeba. – Nie napadaj ich... proszę.

Rhys przekrzywił głowę i ściągnął usta.

– Naprawdę masz mnie za potwora, nawet po tym wszystkim, co zrobiłem.

– Proszę – wydusiłam z siebie. – Są bezbronni, nie mają żadnych szans...

– Nie mam zamiaru najeżdzać ziem śmiertelników – powiedział aż nazbyt cicho.

Czekałam, żeby rozwinął swoją myśl, dziękując w myślach za przestronność komnaty, za rześkie powietrze, gdy posadzka zaczęła usuwać mi się spod nóg.

– Postaw tę cholerną barierę – warknął.

Spojrzałam w głąb siebie i odkryłam, że mój niewidzialny mur znów zniknął. Ale byłam tak zmęczona, a jeśli nadciągała wojna, jeśli moja rodzina...

– Bariera. I to już!

Niecierpiący sprzeciwu głos – głos księcia Dworu Nocy – sprawił, że zadziałałam instynktownie. Mój wycieńczony umysł odbudował mur cegła po cegle. Rhysand odezwał się ponownie, dopiero gdy mój umysł był na powrót odgradzony od łączącego nas mostu. Jego spojrzenie złagodniało nieco, niemal niezauważenie.

– Sądziłaś, że to się skończy wraz ze śmiercią Amaranthy?

– Tamlin nie mówił...

A dlaczego miałby mi powiedzieć? Ale rozesłał tyle patroli, zwołał tyle spotkań, na które mnie nie wpuszczano, wszędzie wokół panowało takie... napięcie. Musiał wiedzieć. A ja musiałam go zapytać, zażądać wyjaśnień, dlaczego nic mi nie powiedział...

– Król Hybernii planuje swoją kampanię mającą na celu

odzyskanie krain leżących na południe od muru od ponad stu lat – powiedział Rhys. – Amarantha była eksperymentem, czterdziestodziewięcioletnim testem. Chciał się przekonać, jak łatwo uda się jednej z jego dowódców podbić daną krainę i jak długo uda się utrzymać nad nią kontrolę.

Dla kogoś nieśmiertelnego czterdzieści dziewięć lat to tyle co nic. Nie zdziwiłabym się, gdyby się okazało, że swoje plany snuje już o wiele dłużej niż od wieku.

– Czy najpierw zaatakuje Prythian?

– Prythian – odparł Rhysand, wskazując leżącą na stole mapę wyspy – jest wszystkim, co stoi między królem Hybernii a kontynentem. Chce odzyskać znajdujące się tam krainy z rąk ludzi, może nawet podbić ziemie wciąż rządzone przez fae. Jeśli ktokolwiek mógłby przechwycić jego flotę, zanim ta dotrze do wybrzeży kontynentu, to tylko my.

Osunęłam się na jedno z krzesel. Kolana trzęsły mi się tak mocno, że utrzymanie pionu sprawiało mi wielkie trudności.

– Będzie chciał usunąć Prythian ze swojej drogi szybko i definitywnie – ciągnął Rhysand. – W którymś momencie rozbije mur. Już są w nim liczne dziury, chociaż szczęśliwie na tyle niewielkie, że ciężko byłoby mu szybko przeprowadzić przez nie swoje armie. Dlatego będzie chciał doszczętnie go zniszczyć... i zapewne wykorzystać powstałą panikę dla swoich potrzeb.

Każdy oddech przypominał mi próbę przełknięcia potłuczonego szkła.

– Kiedy... kiedy zaatakuje?

Mur stał niewzruszenie przez pięć stuleci, a nawet przecież w tym czasie przez te przekłete dziury przedostawały się najpodlejsze, najgłodniejsze bestie fae, które urządziły sobie następnie polowania na ludzi. Gdyby zabrakło muru, a Hybernia naprawdę zaatakowała ludzkie krainy... Pożałowałam, że zjadłam takie obfite śniadanie.

– I to jest kluczowe pytanie – odparł. – Dlatego właśnie cię tu sprowadziłem.

Uniosłam wzrok i napotkałam jego spojrzenie. Patrzył na mnie z pełną napięcia, ale spokojną twarzą.

– Nie wiem, kiedy ani gdzie zamierza najechać Prythian –

kontynuował Rhys. – Nie wiem też, jakich ma tu sprzymierzeńców.

– Ma sprzymierzeńców w Prythianie?

Powoli skinął głową.

– Tchórzy, którzy są gotowi pokłonić się mu i mu służyć, żeby tylko uniknąć konieczności walki z nim.

Przysięgłabym, że po podłodze za księciem przemknął strzęp ciemności.

– Czy... czy walczyłeś w Wielkiej Wojnie?

Przez chwilę sądziłam, że nie odpowie. Ale po dłuższym milczeniu skinął głową.

– Byłem młody... przynajmniej podług naszej miary. Ale mój ojciec wysłał swoje oddziały, aby wspomogły przymierze śmiertelników i fae na kontynencie. A ja go przekonałem, żeby pozwolił mi stanąć na czele jednego z legionów. – Usiadł na krześle obok i wbił nieobecny wzrok w mapę leżącą przed nami. – Stacjonowałem na południu, w samym sercu najcięższych walk. Rzeź była... – Przygryzł policzek. – Nie chcę nigdy więcej być świadkiem takiej masakry.

Zamrugnął, tak jakby chciał się pozbyć upiorów z myśli.

– Ale nie sądzę, żeby król Hybernii otwarcie na nas uderzył... przynajmniej nie od razu. Jest zbyt mądry na marnowanie tu swoich sił, bo w czasie, gdy on walczyłby z nami, krainy z kontynentu miałyby dość czasu, aby się przyszykować na odparcie inwazji. Jeśli będzie chciał zniszczyć Prythian i mur, sięgnie po podstęp i zdradę. Będzie chciał nas osłabić. Amarantha była pierwszą częścią tego planu. Teraz mamy kilku nieopierzonych książąt, rozbite dwory z wysokimi kapłankami walczącymi o władzę niczym wilki gryzące się nad parującym truchłem, a także lud, który nagle zdał sobie sprawę z tego, jak bardzo potrafi być bezbronny.

– Dlaczego mi to mówisz? – zapytałam słabym, ochrypłym głosem.

Ujawnienie mi swoich podejrzeń i lęków nie miało najmniejszego sensu.

A Iantha... może i była ambitna, ale była też przyjaciółką Tamlina. W pewnym sensie także *moją* przyjaciółką. Może wręcz jedynym naszym sojusznikiem przeciwko pozostałym wysokim kapłankom niezależnie od niechęci, jaką darzył ją Rhys...

– Robię to z dwóch powodów – odpowiedział z chłodną i spokojną miną, która wyprowadzała mnie z równowagi w równym stopniu jak prezentowane rewelacje. – Przede wszystkim jesteś... blisko z Tamlinem. Owszem, ma wielu ludzi, ale też sięgające daleko w przeszłość więzi z Hybernią...

– *Nigdy* nie pomógłby królowi...

Rhys uniósł dłoń.

– Chcę wiedzieć, czy Tamlin jest gotowy walczyć u naszego boku. Czy może wykorzysta swoje powiązania z korzyścią dla nas. Ponieważ stosunki między nami dwoma są cokolwiek napięte, miałabyś przyjemność bycia pośredniczką.

– Nie mówi mi o takich rzeczach.

– Może więc nadszedł czas, aby zaczął. Może nadszedł czas, żebyś zaczęła nalegać.

Przyjrzał się uważnie mapie; podążyłam za jego wzrokiem. Ku murowi na granicy Prythianu. Ku niewielkiej, bezbronnej śmiertelnej krainie. Zaszło mi w ustach.

– A drugi powód?

Rhys zlustrował mnie od stóp do głów, taksując, oceniając.

– Dysponujesz umiejętnościami, których potrzebuję. Krążą pogłoski, że udało ci się schwytać suriela.

– Nie było to takie trudne.

– Ja też próbowałem, ale mi się nie powiodło. Dwukrotnie. Ale to rozmowa na inną okazję. Widziałem, jak schwytałaś czerwia middengardzkiego w sidła niczym królika. – Dostrzegłam błysk w jego oku. – Potrzebuję twojej pomocy. Potrzebuję twoich umiejętności, aby wyśledzić to, co jest mi potrzebne.

– A co jest ci potrzebne? Zgaduję, że ma to związek z moją nauką czytania i odgradzania swoich myśli?

– Tego dowiesz się później.

Oczywiście, po co w ogóle spytałam?

– Musi być co najmniej tuzin łowców bardziej doświadczonych i uzdolnionych...

– Może i tak. Ale tylko tobie ufam.

Zamrugałam.

– Mogłabym cię zdradzić, kiedy tylko naszłaby mnie ochota.

– Mogłabyś. Ale tego nie zrobisz. – Zazgrzytałam zębami i już miałam mu się odszczeknąć, kiedy dodał: – Poza tym jest jeszcze kwestia twoich mocy.

– Nie mam żadnych mocy. – Zaprzeczyłam tak szybko, że nie miałam nawet co udawać, że nie wypieram faktów.

Rhys założył nogę na nogę.

– Czyżby? Siła, szybkość... Wyglądało to tak, jakbyście razem z Tamlinem bardzo dobrze udawali, że jesteś normalna, że nie przejawiasz mocy, które uprawniają zwykle młodego księcia do przejęcia tronu.

– Nie jestem księciem.

– Nie, ale otrzymałaś dar życia od całej naszej siódemki. Istota twojej jaźni jest powiązana z nami, zrodzona z nas. A jeśli daliśmy ci więcej, niż się spodziewaliśmy? – Ponownie omiół mnie wzrokiem. – A jeśli potrafiłabyś się nam sprzeciwić... uniezależnić... jako księżna?

– Nie ma żadnych księżnych.

Zmarszczył brwi i pokręcił głową.

– O tym też pomówimy później. Ale, Feyro, istnienie księżnych nie jest wykluczone. Może ty nią nie jesteś, ale... może jesteś kimś podobnym? Może potrafisz władać mocami wszystkich siedmiu książąt jednocześnie? Może potrafisz stapiać się z ciemnością, zmieniać swój kształt albo zamrozić całą komnatę... całą armię?

Zimny wiatr zdawał się wyć w odpowiedzi między pobliskimi szczytami. To było coś, co czułam wzbierające pod skórą...

– Czy rozumiesz, co to mogłoby oznaczać w zbliżającej się wojnie? Czy rozumiesz, że mogłoby to cię zniszczyć, jeśli nie nauczysz się nad tym panować?

– Po pierwsze, przestań zasypywać mnie tyloma retorycznymi pytaniami. A po drugie, nie wiemy, czy naprawdę mam takie moce...

– Masz. Ale musisz zacząć ćwiczyć panowanie nad nimi. Musisz się nauczyć tego, co otrzymałaś w spadku od nas.

– I zakładam, że to ty masz mnie tego uczyć? Czytanie i blokowanie dostępu do moich myśli to za mało?

– Jeśli zgodzisz się zapolować wraz ze mną na to, czego

potrzebuję, to owszem.

Zaczęłam kręcić głową.

– Tamlin się na to nie zgodzi.

– Tamlin nie jest twoim nadzorcą, dobrze o tym wiesz.

– Jestem jego poddaną, a on jest moim księciem...

– Nie jesteś *niczyją poddaną*.

Zesztywniałam na widok lśniących zębów i skrzydeł jakby uformowanych z dymu, które po chwili zniknęły równie szybko, jak się pojawiły.

– Powiem to raz i tylko raz – wymruczał Rhysand, po czym wstał i podszedł do mapy wiszącej na ścianie. – Możesz być pionkiem, cudzą nagrodą, i spędzić resztę swojego nieśmiertelnego życia na biciu pokłonów, szuraniu nogami i udawaniu, że jesteś kimś gorszym od niego, Ianthy czy kogokolwiek z nas. Jeśli chcesz podążać tą drogą, nie będę cię zatrzymywał. Byłaby to szkoda, ale to twój wybór. – Cień skrzydeł ponownie zafalował w powietrzu. – Ale znam cię – chyba nawet lepiej, niż podejrzewasz – i nie uwierzę przez jedną cholerną chwilę, że choć w najmniejszym stopniu odpowiada ci rola ślicznego trofeum, które ma przypaść w nagrodę komuś, kto tylko siedział na tyłku przez blisko pięćdziesiąt lat, a potem dalej siedział na tyłku, kiedy ty byłaś rozrywana na strzępy...

– Przestań...

– Ale – ciągnął niezrażony – możesz wybrać co innego. Możesz zapanować nad mocą, którą cię obdarzyliśmy, jakakolwiek by ona była, i użyć jej w słusznej sprawie. Możesz odegrać w tej wojnie ważną rolę. Ponieważ wojna nadejdzie, w ten czy inny sposób. Nie ludź się więc, że ktokolwiek spośród fae choć przez chwilę pomyśli o twojej rodzinie za murem, gdy wszystkie nasze krainy najpewniej przemienią się w jeden wielki dom umarłych.

Wbiłam wzrok w mapę, w Prythian i w ten wąski pasek lądu na jego południowym krańcu.

– Chcesz ocalić krainę śmiertelników? – zapytał. – Zatem zostań kimś, kogo Prythian wysłucha. Zostań kimś istotnym. Przeistocz się w broń. Gdyż może nadejść dzień, Feyro, kiedy tylko ty jedna będziesz stała między królem Hybernii a twoją ludzką rodziną. A sądzę, że

zdecydowanie nie chcesz stawić się na to spotkanie nieprzygotowana.

Uniosłam na niego wzrok. Z trudem łapałam oddech, każdy haust powietrza był okupiony bólem.

Po czym Rhysand dodał swobodnie, tak jakby wcale nie zburzył właśnie całego mojego świata:

– Przemyśl to. Myśl cały tydzień. Zapytaj Tamlina o radę, jeśli dzięki temu będziesz miała lżejszy sen. Przekonaj się, co czarująca Iantha ma do powiedzenia na ten temat. Ale to ty musisz podjąć tę decyzję. Nikt inny nie zrobi tego za ciebie.

Przez resztę tygodnia nie widziałam Rhysanda ani razu. Mor też nie.

Widywałam jedynie Nualę i Cerridwenę, które przynosiły mi posiłki, słały łóżko i od czasu do czasu pytały o moje samopoczucie.

Jedynym dowodem na to, że Rhys nie opuścił pałacu, były pozostawiane kartki z alfabetem i zdaniami, które miałam przepisywać każdego dnia. Wszystkie były do siebie podobne, zmieniało się tylko jedno słowo. Jedno gorsze od drugiego:

Rhysand jest najprzystojniejszym z książąt.

Rhysand jest najmilszym z książąt.

Rhysand jest najprzebieglejszym z książąt.

Każdego dnia jedno żałosne zdanie z różnymi słowami o różnym stopniu arogancji i próżności. Każdego dnia czekał na mnie też inny zestaw prostych instrukcji: tarczę podnieś, tarczę opuść; tarczę podnieś, tarczę opuść. I tak w kółko.

Skąd wiedział, czy w ogóle robię to, czego ode mnie oczekiwał? Nie dbałam o to, ale wykonywałam polecenia i to tworzyłam, to demontowałam barierę w moich myślach, czyniąc ją coraz grubszą

i solidniejszą. Robiłam to tylko dlatego, że nie miałam nic innego do roboty.

Wybudziłam się z koszmarów cała złana potem i z zawrotami głowy, ale komnata była tak przestronna, a światło gwiazd tak jasne, że nie czułam potrzeby pośpiesznego odwiedzenia ustępu. Ściany nie napierały na mnie, nie otaczała mnie atramentowa ciemność. Wiedziałam, gdzie jestem. Chociaż czułam odrazę na samą myśl o tym miejscu.

Na dzień przed końcem naszego tygodnia wlekłam się do stolika i już zawnocowałam na myśl o kolejnej partii rozkosznych zdań, jakie niechybnie czekały na mnie na blacie, i nieuchronnych umysłowych akrobacji, gdy nagle usłyszałam głosy Rhysa i Mor.

Te pomieszczenia nie były prywatne, tak więc nawet nie starałam się stąpać cicho, gdy zbliżyłam się do jednego z miejsc wyznaczonych do odpoczynku i rozmowy. Rhys chodził w tę i w tę przy niczym niezabezpieczonej krawędzi podłogi, za którą otwierała się głęboka przepaść. Mor siedziała rozparta w kremowym fotelu.

– Azriel chciałby się tego dowiedzieć – powiedziała Mor.

– Azriel może iść w cholerę – odszczeknął Rhys. – Poza tym i tak pewnie już wie.

– Ostatnim razem różnie pogrywaliśmy – stwierdziła Mor z powagą w głosie, na którą przystanęłam w bezpiecznej odległości i zamieniłam się w słuch. – I źle na tym wyszliśmy. Bardzo źle. Nie powtórzymy tego błędu.

– Powinnaś teraz pracować – odparował Rhysand. – Przekazałem ci uprawnienia z konkretnego powodu, pamiętasz?

Mor zacisnęła zęby i w końcu odwróciła się w moją stronę. Wykrzywiła twarz w grymasie, który chyba miał być uśmiechem.

Rhys obrócił się i spojrzał na mnie ze zmarszczonymi brwiami.

– Powiedz to, co przysłaś mi powiedzieć, Mor – rzucił wściekle i wrócił do nerwowego przechadzania się w tę i z powrotem.

Mor spojrzała na mnie i przewróciła oczami, ale gdy odpowiedziała kuzynowi, nagle spoważniała.

– Był kolejny atak – oznajmiła. – Na świątynię w Cesere. Zabito kapłanki, złupiono skarbiec.

Rhys stanął jak wryty. Nie wiedziałam, co analizować: usłyszane wieści czy kipiącą wściekłość bijącą z jednego jedynego słowa wymówionego przez Rhysa:

– Kto?

– Nie wiemy – odparła Mor. – Znaleźliśmy takie same ślady jak poprzednio: nieliczna grupa, rany kapłanek wskazywały na długie ostrza. Żadnych śladów pozwalających ustalić, skąd napastnicy przybyli ani w jaki sposób się ulotnili. Nikt nie przeżył. Ciała znalazła dopiero następnego dnia grupa pielgrzymów.

Na Kocioł. Musiałam wydać z siebie jakiś dźwięk, ponieważ Mor posłała mi poważne, ale współczujące spojrzenie.

Za to Rhys... Najpierw pojawiły się cienie, mroczne pióra wyrastające wprost z jego pleców.

Potem zaś, tak jakby gniew osłabił jego panowanie nad bestią, której – jak mi niegdyś powiedział – nienawidził się poddawać, skrzydła nabrały substancji.

Olbrzymie, piękne, groźne skrzydła, błoniaste i zakończone pazurami jak u nietoperza, ciemne jak noc i potężne jak u demona. Zmienił się nawet sposób, w jaki stał – stabilniej, pewniej. Jakby jakiś ostatni element jego samego właśnie wskoczył na swoje miejsce. Niemniej jednak gdy się odezwał, jego głos był wciąż aksamitny jak sam środek nocy.

– Co Azriel miał do powiedzenia na ten temat?

Mor posłała mi takie samo spojrzenie jak za pierwszym razem, tak jakby nie miała pewności, czy powinnam w ogóle być przy tej rozmowie.

– Jest wściekły. A Kasjan jeszcze bardziej. Jego zdaniem to musiała być któraś z ilyryjskich band szukających nowego terytorium.

– Warte rozważenia – powiedział w zamyśleniu Rhys. – Niektóre z ilyryjskich klanów ochoczo pokłoniły się Amarancie i służyły jej przez te długie lata. Próba poszerzenia swoich ziem może być ich sposobem na sprawdzenie, na ile mogą sobie pozwolić, co im ujdzie bezkarnie.

Wzdrygnęłam się na dźwięk jej imienia; skoncentrowałam się bardziej na nim niż na informacji, którą pozwolił mi usłyszeć.

– Kasjan i Az czekają... – rzuciła Mor i posłała mi przepaszające

spojrzenie. – Czeka ją tam gdzie zwykle na twoje rozkazy.

W porządku. Nie miałam jej tego za złe. Widziałam pustą mapę na ścianie. Byłam narzeczoną ich wroga. Nawet wzmianka o rozmieszczeniu ich oddziałów i ich planach mogła się okazać brzemienna w skutkach. Nie miałam nawet pojęcia, gdzie znajduje się Cesere... ani co to właściwie było.

Rhys spojrział w stronę odległych szczytów, nad którymi wyjący wichur przetaczał ołowiane skłębione chmury. Pomyślałam, że to zapewne jest dobra pogoda na latanie.

– Łatwiej będzie tam zwyczajnie przeskoczyć – powiedziała Mor, podążając za wzrokiem księcia.

– Powiedz tym dupkom, że dołączę do nich za kilka godzin – odparł.

Mor posłała mi niepewny uśmiech, po czym zniknęła.

Przyjrzałam się uważnie pustemu miejscu nad fotelem. Nie pozostał po niej żaden ślad.

– Jak działa to... znikanie? – zapytałam cicho.

Widziałam to tylko w wykonaniu kilku fae wysokiego rodu, ale nikt mi nigdy tego nie wytłumaczył.

Rhys opowiedział, nie patrząc na mnie:

– Przeskakiwanie? Pomyśl o tym jak... o dwóch różnych punktach na serwecie. Jeden z nich to twoja obecna pozycja w świecie. Drugi jest miejscem, w które chcesz się udać. Przeskakiwanie... to tak jakbyś złożyła serwetę na pół, tak aby oba punkty się zetknęły. Magia tak zagina rzeczywistość, a my jedynie robimy krok z jednego miejsca w drugie. Czasem trzeba solidnie wyciągnąć nogi. Wtedy wyraźnie czuć, jak się przebija ciemną materię świata. Przy krótszym kroku, powiedzmy z jednego końca komnaty na drugi, to jest ledwie zauważalne. To rzadki dar. I zdecydowanie przydatny. Jedynie najsilniejsi fae potrafią to zrobić. A im większą masz moc, tym dalej potrafisz przeskoczyć za jednym razem.

Wiedziałam, że to wyjaśnienie miało w równym stopniu zaspokoić moją ciekawość i odciągnąć jego myśli od dopiero co zakończonej rozmowy. Mimo to dodałam:

– Przykro mi z powodu świątyni... i kapłanek.

Gdy w końcu obrócił się twarzą do mnie, w jego oczach można było wciąż dostrzec tańczące iskry gniewu.

– Wkrótce i tak zginie o wiele więcej osób.

Może dlatego pozwolił mi się zbliżyć na tyle, żebym mogła usłyszeć całą rozmowę. Aby przypomnieć mi, co nam grozi ze strony Hybernii.

– Co to są... – zaczęłam – co to są ilyryjskie bandy?

– Aroganckie dranie, ot co – wymamrotał pod nosem.

Skrzyżowałam ramiona i czekałam.

Rhys rozpostarł skrzydła. Promienie słońca załśniły na ich skórzastej połyskliwej powierzchni.

– To rasa wojowników zamieszkująca moje ziemie. I zasadniczo niesamowite utrapienie.

– Część z nich popierała Amaranthę?

Ciemność zatańczyła w sali, gdy odległa burza wzmogła się na tyle, żeby przesłonić słońce.

– Niektórzy. Ale razem z pozostałymi doskonale się bawiłem, polując na nich w ostatnich miesiącach. I wybijając ich.

Brakującym słowem, którego nie musiał dodawać, było „powoli”.

– To dlatego tak długo nie dawałeś znaku życia? Byłeś zajęty polowaniem na nich?

– Byłem zajęty wieloma sprawami.

Nie odpowiedział na moje pytanie, ale wyglądało na to, że skończył ze mną rozmawiać. Kimkolwiek byli Kasjan i Azriel, spotkanie z nimi było najwyraźniej o wiele ważniejsze.

Bez słowa pożegnania Rhys zrobił krok do przodu i przekroczył próg werandy – prosto w przepaść.

Serce na chwilę mi zamarło, ale zanim zdołałam krzyknąć, pomknął niczym wiatr między szczytami pobliskich gór. Po kilku uderzeniach potężnych skrzydeł zniknął w burzowych chmurach.

– Tobie też do zobaczenia – wymamrotałam, posłałam za nim wulgarny gest, po czym przystąpiłam do moich codziennych zajęć, za towarzystwo mając jedynie nawałnicę szalejącą za barierą otaczającą pałac.

Przez cały czas, gdy śnieżycą atakowała zaciekle ochronną magię;

gdy ślęczałam nad papierem, mozolnie przepisując zdania: „Rhysand jest interesujący. Rhysand jest cudowny. Rhysand jest nieskazitelny”; gdy podnosiłam i opuszczałam tarczę chroniącą moje myśli aż do bólu głowy, rozmyślałam nad tym, co usłyszałam, co oni powiedzieli.

Zastanawiałam się, co Iantha mogłaby wiedzieć o śmierci tych kapłanek. Czy znała którąś z nich? Czy wiedziała, czym było Cesere? Jeśli napadano na świątynie, powinna wiedzieć. Tamlin powinien wiedzieć.

Ostatniej nocy ledwo co zmrużyłam oczy – po części ze strachu przed tym, że może Rhysand naprawdę zachował na sam koniec jakąś paskudną niespodziankę. Ale i noc, i burza minęły, a gdy nadszedł świt, ubrałam się, zanim cała słoneczna tarcza wyłoniła się zza horyzontu.

Przywykłam już do jedzenia samotnie w swojej komnacie, ale tym razem pomknęłam od razu w górę schodów i ruszyłam zdecydowanym krokiem przez olbrzymią salę na szczycie do stołu stojącego na werandzie po drugiej stronie pomieszczenia.

Rhys siedział rozparty wygodnie na tym samym krześle co zwykle. Miał na sobie to samo ubranie co poprzedniego dnia. Czarna marynarka była rozpięta pod szyją, a spod niej wystawała koszula – w takim samym nieładzie jak jego włosy. Szczęśliwie skrzydeł nie było. Zastanawiałam się, czy dopiero co wrócił ze spotkania z Mor i tymi, o których jego kuzynka wczoraj wspominała. Byłam ciekawa, czego się dowiedział.

– Tydzień minął – powiedziałam w ramach powitania. – Zabierz mnie do domu.

Rhys upił solidny łyk płynu wypełniającego jego filiżankę. Nie wyglądało to na herbatę.

– Dzień dobry, Feyro.

– Zabierz mnie do domu.

Przyjrzał się mojemu turkusowo-złotemu strojowi o takim samym kroju jak wszystkie poprzednie. Musiałam sama przed sobą przyznać, że nie miałam nic przeciwko niemu.

– Do twarzy ci w tym kolorze.

– Czy chcesz, żebym ci podziękowała? O to chodzi?

– Chcę, żebyś rozmawiała ze mną jak z osobą. Spróbuj zacząć od „dzień dobry”, a potem zobaczymy.

– Dzień dobry.

Lekki uśmiech. Drań.

– Czy jesteś gotowa stawić czoła konsekwencjom opuszczenia mojego pałacu?

Wyprostowałam się. Nie pomyślałam o ślubie. Cały tydzień wracałam do niego, ale dziś... dziś moje myśli zaprzętał tylko Tamlin, tylko pragnienie zobaczenia go, objęcia, zapytania o wszystko, co powiedział mi Rhys. Przez ostatnie kilka dni nie doświadczyłam w żaden sposób mocy, która zdaniem Rhysanda we mnie drzemała. Nie poczułam niczego kłębiącego mi się pod skórą. Dzięki Kotłowi.

– To nie twoja sprawa.

– No tak. Zapewne i tak to zignorujesz, zamieciesz pod dywan jak wszystko inne.

– Nikt cię nie prosił o opinię, Rhysandzie.

– Rhysandzie? – Zachichotał cicho. – Daruję ci tydzień życia w luksusie, a ty się do mnie zwracasz per Rhysandzie?

– Nie prosiłam o sprowadzenie mnie tutaj ani o darowanie tego tygodnia.

– Lecz spójrz na siebie. Twarz nabrała rumieńców, nawet te sińce pod oczami prawie zniknęły. Tak przy okazji: twoja mentalna tarcza jest doskonała.

– Proszę, zabierz mnie do domu.

Wzruszył ramionami i wstał.

– Przekażę Mor, że ją pozdrawiasz.

– Przez cały tydzień mało co ją widziałam.

W zasadzie tylko przy pierwszym spotkaniu i potem drugi raz, podczas wczorajszej rozmowy, w trakcie której nie zamieniłyśmy ani słowa.

– Czekala na zaproszenie. Nie chciała się narzucać. Jakże bym chciał, aby tak samo zachowywała się wobec mnie.

– Nikt mnie o tym nie poinformował.

Nie zważałam na to zbytnio. I tak na pewno miała dużo ważniejsze zajęcia.

– Nie zapytałaś. I dlaczego miałabyś to robić? Lepiej być nieszczęśliwą i samotną.

Zbliżył się. Każdy jego ruch był płynny, pełen wdzięku. Włosy miał wyraźnie zmierzwiłone, tak jakby wiele razy przeczesywał je palcami. Albo też jakby leciał godzinami w miejsce, którego nie chciał mi zdradzić.

– Czy przemyślałaś moją propozycję?

– Dam ci znać w przyszłym miesiącu.

Zatrzymał się o dłoń ode mnie. Złocista twarz zastygła w poważnym wyrazie.

– Już ci to mówiłem, a teraz to powtórzę. Nie jestem twoim wrogiem.

– Też ci to mówiłam, i teraz tak samo ci powtórzę. Jesteś wrogiem Tamlina. A to w zasadzie czyni cię też moim.

– Czyżby?

– Zwolnij mnie z obowiązku honorowania tego układu, to się przekonamy.

– Tego nie mogę uczynić.

– Nie możesz czy nie chcesz?

Tylko podał mi dłoń.

– Ruszamy?

Niemal rzuciłam się na jego ramię. Palce miał chłodne, silne – poznaczone zgrubieniami od rękojeści broni, której nigdy nie widziałam przy jego pasie.

Ciemność pochłonęła nas. Instynktownie uczepiłam się go kurczowo, gdy świat zniknął mi spod stóp. Jak to nazwał? Przeskakiwaniem? Silny wiatr napierał na mnie wściekle. Ramię Rhysa – rozbawionego moim przerażeniem, gdy pędziliśmy przez osnowę świata – było ciepłym, stabilizującym ciężarem na moich plecach.

Wtem poczułam pod stopami stały grunt – kamień brukowy – a moje oczy zaatakowało oślepiające słońce. Otaczała nas zieleń, wśród gałęzi świergotały ptaki...

Odepchnęłam go i zamrugałam intensywnie, usiłując pozbyć się powidoków i skoncentrować wzrok na potężnym dębie, którego gałęzie rozpościerały się nad nami. Poznawałam to drzewo. Rosło na skraju założenia ogrodowego rezydencji Tamlina... *mojego domu*.

Zerwałam się do biegu w stronę budynku, ale Rhys chwycił mnie

mocno za przegub dłoni. Strzelił oczami w stronę zabudowań, potem spojrzał mi w oczy.

– Powodzenia – powiedział półgłosem.

– Puść mnie.

Zachichotał i spełnił moje żądanie.

– Do zobaczenia w przyszłym miesiącu – powiedział i zniknął, zanim zdołałam na niego splunąć.

Tamline znalazłam w gabinecie, stojącego wraz z Lucieniem i dwójką strażników nad rozpostartą na stole mapą.

Lucien pierwszy obrócił się i dostrzegł mnie stojącą w wejściu. Urwał w pół zdania, w wyniku czego Tamlin poderwał głowę i chwilę później biegł już w poprzek pomieszczenia. Poruszał się tak szybko, że ledwie zdążyłam nabrać powietrza, a już miażdżył mnie w swoim uścisku.

Wymruczałam jego imię przez piekące gardło, aż nagle...

Trzymał mnie na długość ramion przed sobą i lustrował od stóp do głów.

– Wszystko w porządku? Nic ci nie zrobił?

– Nic mi nie jest – odparłam. Dostrzegłam zmianę na jego twarzy, gdy zarejestrował mój strój rodem z Dworu Nocy i pas nagiej skóry na brzuchu. – Nikt mnie palcem nie tknął.

Ale on nadal omiatał wzrokiem moją twarz, szyję. Następnie obrócił mnie i przyjrzał się plecom, tak jakby mógł ocenić ich stan przez ubranie. Wyrwałam się z jego uścisku.

– Powiedziałam, że nikt mnie nawet nie dotknął.

Dyszał ciężko z dzikim spojrzeniem w oczach.

– Nic ci nie jest – powiedział.

Potem powtórzył to jeszcze raz. I jeszcze.

Serce mi pękło. Wyciągnęłam dłoń i pogładziłam go po policzku.

– Tamlinie – zamruczałam.

Lucien i strażnicy taktownie opuścili gabinet. Nasz wspólny przyjaciel spojrzał mi w oczy, gdy nas mijał, i uśmiechnął się z ulgą.

– Może cię skrzywdzić na inne sposoby – wychrypiał Tamlin

i zamknął oczy, poddając się mojemu dotykowi.

– Wiem... ale nic mi nie jest. Naprawdę – powiedziałam tak łagodnie, jak tylko zdołałam.

Wtedy mój wzrok padł na ściany gabinetu, a raczej na pokrywające je bez reszty ślady pazurów. Były wszędzie. Stół, na którym leżała mapa... był nowy.

– Zniszczyłeś swój gabinet.

– Zniszczyłem pół domu. – Nachylił się ku mnie i przycisnął swoje czoło do mojego. – Zabrał mi ciebie, wykradł cię...

– I zostawił mnie samą.

Tamlin cofnął się z warkotem.

– Zapewne chciał wzbudzić w tobie fałszywe poczucie bezpieczeństwa. Nie masz pojęcia, jakie gierki prowadzi, do czego jest zdolny...

– Wiem – odparłam, chociaż to słowo było niczym popiół na moim języku. – Następnym razem będę ostrożna...

– Nie będzie następnego razu.

Zamrugalam.

– Znalazłeś sposób na wywiniecie się z tego układu?

Albo może Iantha znalazła.

– Nie puszczę cię.

– Powiedział, że złamanie magicznego paktu niesie ze sobą poważne konsekwencje.

– Mam gdzieś konsekwencje.

Widziałam wyraźnie, że tylko bezsilnie się odgrażał – i jak bardzo z tego powodu cierpiał. Bo tym właśnie był: obrońcą. Nie mogłam go prosić, żeby przestał się tak zachowywać; żeby przestał się o mnie martwić.

Stanęłam na palcach i pocałowałam go. Było tyle rzeczy, o które chciałam go zapytać, ale... później.

– Chodźmy na górę – powiedziałam w jego usta, a on mnie objął.

– Tęskniłem za tobą – wyznał między kolejnymi pocałunkami. – Odchodziłem od zmysłów.

To było wszystko, co potrzebowałam usłyszeć. Aż nagle...

– Muszę ci zadać kilka pytań.

Zamruczałam twierdząco, ale tylko przechyliłam głowę.

– Później.

Jego ciało było takie ciepłe, takie jędrne, a jego zapach – taki znajomy...

Tamlin chwycił mnie za boki i przycisnął czoło do mojego.

– Nie... teraz – powiedział, ale też zawarczał cicho, gdy musnęłam językiem jego zęby. – Dopóki... – Odsunął się, odrywając usta od moich warg. – Dopóki wszystko na świeżo pamiętasz.

Znieruchomiałam z jedną dłonią wplecioną w jego włosy, a drugą ściskającą tunikę na jego plecach.

– Co?

Tamlin odsunął się ode mnie, kręcąc głową, jakby chciał wytrząsnąć z niej pragnienie zaćmiewające mu zmysły. Nie musieliśmy znosić tak długiej rozłąki od czasu historii z Amaranthą, a on chciał teraz wyciągać ze mnie informacje na temat Dworu Nocy?

– Tamlinie.

Ale on uniósł dłoń i – cały czas patrząc mi głęboko w oczy – zawołał Luciena.

Przez te kilka chwil oczekiwania na przybycie zawezwanego doprowadziłam swoje ubranie do ładu, obciągnęłam bluzkę, która zawędrowała zbyt wysoko, i przeczesalam palcami włosy. Tamlin podszedł do biurka i opadł na fotel, po czym wskazał mi dłonią miejsce po drugiej stronie blatu.

– Przykro mi – powiedział cicho. Kroki Luciena rozbrzmiewały coraz bliżej. – Robię to dla naszego dobra. Dla naszego bezpieczeństwa.

Rozejrzałam się po pooranych pazurami ścianach, po zrytych i pooblupywanych meblach. Jakie koszmary musiały go gnębić – zarówno we śnie, jak i na jawie – kiedy mnie nie było? Jak musiał się czuć, wyobrażając sobie mnie w rękach wroga, gdy wcześniej musiał się przyglądać temu, co robiła ze mną Amarantha?

– Wiem – powiedziałam w końcu cicho. – Rozumiem, Tamlinie.

Albo przynajmniej starałam się zrozumieć.

Ledwo zdążyłam usiąść na fotelu z niskim oparciem, kiedy Lucien wszedł do gabinetu i zamknął za sobą drzwi.

– Dobrze jest cię widzieć w jednym kawałku, Feyro – powiedział,

siadając obok mnie. – Ale jak dla mnie mogłabyś pozbyć się tych szmat z Dworu Nocy.

Tamlin warknął potwierdzająco. Nic na to nie odpowiedziałam, ale rozumiałam – naprawdę rozumiałam – dlaczego ten strój był dla nich afrontem.

Tamlin i Lucien wymienili spojrzenia, porozumiewając się bez słów, jak ci, którzy są ze sobą blisko przez całe wieki. Lucien skinął lekko głową i odchylił się na oparcie swojego fotela – miał słuchać, obserwować.

– Musisz nam powiedzieć wszystko – zaczął Tamlin. – Rozkład Dworu Nocy, kogo widziałas, jaką bronią i jakimi mocami dysponują, co robił Rhys, z kim rozmawiał, każdy najmniejszy szczegół, jaki zdołasz sobie przypomnieć.

– Nie wiedziałam, że byłam tam szpiegiem.

Lucien poprawił się w fotelu, ale to Tamlin mi odpowiedział.

– Jakkolwiek mierzi mnie konieczność honorowania twojej umowy z nim, dzięki niej uzyskałaś wstęp na Dwór Nocy. Osoby z zewnątrz rzadko są tam wpuszczane, a jeśli już trafiają do środka, rzadko wracają w jednym kawałku. A nawet jeśli wydostaną się żywe, ich wspomnienia są zwykle... pomieszane. Cokolwiek Rhysand tam ukrywa, nie chce, żebyśmy o tym wiedzieli.

Zimny dreszcz przebiegł mi po plecach.

– Dlaczego chcesz to wiedzieć? Co zamierzasz zrobić?

– Poznanie planów mojego wroga, jego sposobu bycia jest niezmiernie istotne. A co do tego, co zamierzam... Nie będę tego robił ani tu, ani tam. – Wbił we mnie swoje zielone oczy. – Zaczynij od rozkładu pałacu. Czy naprawdę znajduje się we wnętrzu góry?

– Ta rozmowa strasznie mi przypomina przesłuchanie.

Lucien nabrał głośno powietrza, ale nic nie powiedział.

Tamlin położył dłonie płasko na blacie biurka.

– Musimy to wszystko wiedzieć, Feyro. Albo... albo może nie pamiętasz? – Na jego palcach zaśniły czubki pazurów.

– Pamiętam wszystko – odparłam. – Nie uszkodził mi umysłu.

I zanim zdążył zadać kolejne pytania, zaczęłam opisywać wszystko, co widziałam.

Rhysand powiedział, że mi ufa. I może – może coś pomieszał mi w myślach, pomimo mojej nowej zdolności zabezpieczania ich, bo próba opisania rozkładu jego domu, jego dworu i otaczających go gór przypominała kąpiel w oliwie i błocie. On istotnie *był* moim wrogiem i zmuszał mnie do honorowania umowy, którą zawarłam w skrajnej desperacji...

Mówiłam dalej. Teraz przeszłam do opisu sali na szczycie wieży. Tamlin wypytywał mnie o figury rozstawione na mapie, kazał dokładnie przypominać sobie każde słowo wypowiedziane przez Rhysa, aż wspomniałam to, co mi ciążyło najbardziej przez miniony tydzień: moc, którą zdaniem księcia Dworu Nocy posiadałam... i plany króla Hybernii. Opowiedziałam o rozmowie z Mor, o złupionej świątyni. Tamlin wyjaśnił, że Cesere było wysuniętą na północ placówką Dworu Nocy, jedną z niewielu znanych tamtejszych miejscowości. Powtórzyłam też dwa imiona, które usłyszałam z ust Rhysanda: Kasjan i Azriel. Gdy je usłyszeli, obaj przybrali ponure miny, ale nie zdradzili, czy ich znają lub czy choćby o nich słyszeli. Mówiłam więc dalej, przechodząc na temat Ilyrów i tego, jak Rhys ich ścigał i jak zabił zdrajców w ich szeregach. Gdy skończyłam, Tamlin milczał, a Lucien wręcz dygotał, jakby wielkim wysiłkiem woli powstrzymywał się od powiedzenia tego, co mu się kłębiło w głowie.

– Sądziś, że mogę naprawdę mieć takie zdolności? – zapytałam cicho, zmuszając się do spojrzenia mu prosto w oczy.

– To możliwe – odparł równie cicho Tamlin. – A jeśli to prawda...

– Jest to moc, dla której inni książęta mogliby zabić. Chociażby mój ojciec – odezwał się w końcu Lucien. Z trudem powstrzymałam się od wzdrygnięcia na terkot jego metalowego oka, tak jakby potrafiło ono dostrzec moc krążącą w moich żyłach. – Nie byłby zbyt zadowolony, gdyby się dowiedział, że brakuje mu kropli jego mocy lub że ma ją teraz narzeczona Tamlina. Zrobiliby wszystko, co w jego mocy, żebyś nie mogła się nią posłużyć. Posunąłby się nawet do próby zabicia cię. Są też inni książęta, którzy postąpiliby podobnie.

To coś pod moją skórą ponownie zaczęło się wić.

– Nigdy bym tego nie użyła przeciwko komukolwiek innemu...

– Nie chodzi o możliwość użycia ich przeciwko nim. Chodzi o to,

że masz nad nimi przewagę, a oni tego nie zniosą – wyjaśnił Tamlin. – A kiedy wieść o tym się rozniesie, będziesz w ciągłym zagrożeniu.

– Wiedziałaś o tym? – zapytałam. Lucien unikał mojego wzroku. – Podejrzywałaś?

– Miałem nadzieję, że to nieprawda – odparł ostrożnie Tamlin. – A teraz, skoro Rhys to podejrzewa, nie wiadomo, co zrobi z tą informacją...

– On chce, żebym ćwiczyła.

Nie byłam na tyle głupia, żeby powiedzieć im o treningu z odgradzania swoich myśli. Przynajmniej jeszcze nie teraz.

– Regularne ćwiczenia przyciągnęłyby zbyt wiele uwagi – powiedział Tamlin. – Poza tym *nie musisz* tego robić. Mogę cię obronić przed każdym zagrożeniem.

A przecież był czas, kiedy nie mógł tego zrobić. Kiedy nie miał dość sił, by obronić nawet siebie; kiedy przyglądał się, jak jestem torturowana i maltretowana. Kiedy nie mógł nijak powstrzymać Amaranthy przed...

Nie dopuszczę do pojawienia się kolejnej Amaranthy. Nie pozwolę królowi Hybernii sprowadzić tu swoich bestii i żołdaków, aby skrzywdziły kolejne rzesze niewinnych. Aby skrzywdziły mnie i moich bliskich. Aby zburzyły mur i skrzywdziły niezliczonych ludzi po jego drugiej stronie.

– Mogłabym wykorzystać swoją moc przeciwko Hybernii.

– Wykluczone – zaproponował Tamlin. – Zwłaszcza że nie będzie żadnej wojny z Hybnią.

– Rhys twierdził, że jest nieunikniona i że uderzą na nas z całą siłą.

– A Rhys jest wszechwiedzący? – wtrącił Lucien z przekąsem.

– Nie, ale... Sprawiał wrażenie zmartwionego. Jego zdaniem mogę wpłynąć na przebieg zbliżającego się konfliktu.

Tamlin rozprostował palce, starając się utrzymać pazury pod skórą.

– Nie masz żadnego doświadczenia bitewnego, co więcej, nie umiesz posługiwać się bronią. I nawet jeśli zacząłbym cię tego uczyć od razu, minęłyby całe lata, zanim zdołałabyś przetrwać na polu bitwy nieśmiertelnych. – Wziął niepewny wdech. – Dlatego też pomimo tego, co jego zdaniem potrafisz zrobić, Feyro, nie pozwolę ci choćby

powąchać wojny. Zwłaszcza że oznaczałoby to ujawnienie twoich ukrytych możliwości naszym wrogom. Miałybyś wojska Hybernii przed sobą i nieprzyjaciół o przyjaznych twarzach za sobą.

– Nie dbam o...

– Ale *ja* dbam – warknął Tamlin. Lucien westchnął donośnie. – Dbam o to, czy zginiesz, czy stanie ci się krzywda, czy będziesz w niebezpieczeństwie przez każdą chwilę reszty naszych żyć. Dlatego też nie będzie żadnego treningu, a ta informacja pozostanie między nami.

– Ale Hybernia...

– Moi informatorzy już się tym zajmują – wtrącił łagodnym głosem Lucien.

Spojrzałam na niego błagalnie.

Lucien westchnął cicho i zwrócił się do Tamlina:

– Może gdybyśmy ją szkolili w tajemnicy...

– Zbyt wielkie ryzyko, zbyt wiele zmiennych – nie dał mu dokończyć Tamlin. – Poza tym nie będzie żadnych walk z Hybernią, żadnej wojny.

– Myślenie życzeniowe – wypaliłam.

Lucien wymruczał pod nosem coś, co brzmiało jak prośba zanoszona do Kotła.

Tamlin zeszywniał.

– Opisz jeszcze raz to pomieszczenie z mapami.

Tylko tyle. Koniec dyskusji. Żadnego pola do debaty.

Przez chwilę prowadziliśmy pojedynek spojrzeń, a mnie coraz silniej skręcało w brzuchu.

On był księciem – *moim* księciem. Był tarczą i obrońcą swego ludu. Mnie. A jeśli zapewnienie mi bezpieczeństwa oznaczało, że jego poddani mogą dalej z nadzieją budować swoje życie na nowo; że on mógł robić to samo... czy nie powinnam mu ustąpić pod tym jednym względem?

Mogłam to zrobić.

„Nie jesteś niczyją poddaną”.

Może Rhysand jednak wpływał na mój osąd, niezależnie od mojej bariery.

Sama ta myśl wystarczyła, żebym jeszcze raz wszystko opisała

Tamlinowi ze wszystkimi szczegółami.

Rozdział 8

Po tygodniu przybyli poddani Tamlina, by zapłacić daninę.

Mieliśmy z Tamlinem dla siebie jeden dzień – spędzony na wspólnych wędrówkach po terenach pałacowych, kochaniu się w wysokiej trawie nagrzonej słońcem łąki, zjedzeniu kolacji tylko we dwoje – zanim został wezwany na granicę. Nie powiedział mi, dlaczego ani gdzie dokładnie jedzie. Powiedział tylko, że mam się nie oddalać od rezydencji i że na każdym kroku będą mnie pilnowali strażnicy.

Zatem kolejny tydzień spędziłam w samotności. Każdej nocy budziłam się zrana potem, wymiotowałam do skrętu kiszek i płakałam przez sen. Jeśli Iantha dowiedziała się o śmierci swoich sióstr na północy, nie zdradziła się ani słowem przy kilku okazjach, kiedy ją spotykałam. A ponieważ sama nie znosiłam rozmów o rzeczach, które mi spędzały sen z powiek, zdecydowałam się nie wspominać o tym, gdy przez długie godziny pomagała mi wybrać odpowiednią suknię, właściwą fryzurę i stosowną biżuterię na ceremonię przyjmowania daniny.

Kiedy zapytałam ją, czego powinnam się spodziewać, powiedziała tylko, że wszystkim zajmie się Tamlin. Ja powinnam siedzieć u jego boku i obserwować.

Nic prostszego – właściwie chyba czułam ulgę, że nie oczekiwano ode mnie przemawiania ani robienia czegokolwiek.

Z trudem jednak przychodziło mi niezerkanie na oko wytatuowane na mojej dłoni; niewracanie myślami do tego, co usłyszałam od Rhysa.

Tamlin wrócił dopiero w noc poprzedzającą przyjęcie daniny. Starłam się nie chować z tego powodu urazy – w końcu tak wiele rzeczy spoczywało na jego barkach. Nawet pomimo tego, że nie chciał mi powiedzieć o tym wiele ponad to, co usłyszałam od Ianthy.

Siedziałam u boku Tamlina na podeście ustawionym w marmurowo-złotej wielkiej sali rezydencji i musiałam wysłuchiwać niekończącej się litanii błogosławieństw i wyrazów wdzięczności za to, co zrobiłam.

Iantha, ubrana w swoją zwyczajową bladobłękitną szatę z kapturem, stała w pobliżu drzwi i obdarzała dobrym słowem

wszystkich opuszczających salę, pocieszała tych, którzy się całkowicie rozkleili w mojej obecności, zapewniała, że teraz świat jest lepszy, że dobro zwyciężyło nad złem.

Po nieco ponad kwadransie miałam trudności z usiedzeniem na miejscu. Po czterech godzinach przestałam słyszeć, co do mnie mówiono.

Wciąż przychodzili kolejni – wysłannicy wszystkich osad i ludów Dworu Wiosny niosący swoją część daniny w postaci złota, klejnotów, kurcząt, plonów lub ubrań. Nie było istotne, co to było, dopóki odpowiadało temu, co posiadają. Lucien stał u stóp podestu i oceniał każdy dar. Był uzbrojony po zęby, tak samo jak dziesięciu innych strażników rozmieszczonych w całej sali. Nazwał ją salą audiencyjną, chociaż w moich oczach cholernie przypominała salę tronową. Zastanawiałam się, czy może użył tej właśnie nazwy, ponieważ ta druga...

Spędziłam zdecydowanie zbyt wiele czasu w innej sali tronowej. Podobnie jak Tamlin.

Do tego wtedy nie siedziałam na podeście tak jak on, tylko klęczałam przed nim. Przed nami stał zdający się nie mieć końca szereg fae pomniejszych i tych wysokiego rodu. Teraz zbliżała się do nas chyłkiem smukła istota o szarej skórze.

Nie miała żadnego ubrania; długie ciemne włosy opadały wiotko na pełne jędrne piersi. Olbrzymie oczy fae były całkowicie czarne, niczym zastygły w bezruchu staw. Gdy istota się poruszała, promienie popołudniowego słońca lśniły na jej opalizującej skórze.

Lucien wykrzywił twarz w grymasie dezaprobaty, ale nie odezwał się ani słowem. Szaroskóra fae zniżyła trójkątną twarz o delikatnych rysach w pokłonie i złożyła chude dłonie o błoniastych palcach na piersi.

– Pozdrawiam cię, księżę, w imieniu wodnych zjaw.

Jej syczący głos brzmiał dziwnie. Zmysłowe wargi odsłoniły zęby ostre i nierówne jak w paszczy szczupaka. Wyraziste rysy twarzy dodatkowo uwydatniały smoliście czarne oczy.

Widziałam już istoty jej gatunku – w stawie tuż za granicą terenów pałacowych. Wśród trzciny i lilii wodnych żyła ich tam piątka. Rzadko widywałam cokolwiek więcej poza ich błyszczącymi głowami

prześwitującymi przez szklistą powierzchnię wody. Nie miałam pojęcia, jak strasznie wyglądają z bliska. Dzięki niech będą Kotłowi, że nigdy nie przyszło mi do głowy pójść pływać w tym stawie. Odnosiłam wrażenie, że pochwyciłaby mnie tymi błoniastymi palcami, wbiła zakrzywione paznokcie głęboko w ciało i wciągnęła pod wodę, zanim zdołałabym krzyknąć.

– Witaj – odpowiedział Tamlin.

Minęło już pięć godzin, a on wyglądał równie rzeško jak z samego rana.

Prawdopodobnie teraz, kiedy odzyskał pełnię swoich mocy, mało co było w stanie go zmęczyć.

Wodna zjawa zbliżyła się. Szarą skórę na jej błoniastej stopie pokrywały ciemniejsze plamy. Lucien niby od niechcienia stanął między nią a nami.

To dlatego stał po mojej stronie podestu, a nie po stronie Tamlina.

Zazgrzytałam zębami. Jeśli nie byli przekonani, że król Hybernii może nas napaść, kogo mogli podejrzewać o chęć zaatakowania w naszym domu, na naszej ziemi? Nawet Iantha przerwała swoje ciche szepty w głębi sali, aby przyjrzeć się tej scenie.

Najwyraźniej ta rozmowa była inna niż pozostałe.

– Błagam cię, książę – odezwała się ponownie fae zgięta w tak głębokim pokłonie, że jej atramentowe włosy opadły aż na marmur posadzki. – W stawie nie ma już ryb.

Twarz Tamlina była niczym wykuta z granitu.

– Pomimo to należy się zapłata.

Korona zdobiąca jego skronie lśniła w popołudniowym słońcu. Złoto uformowano na kształt wieńca z wczesnowiosennych kwiatów i udekorowano szmaragdami, szafirami i ametystami. Była to jedna z pięciu koron należących do jego rodu.

Fae wyciągnęła ku niemu otwarte dłonie, ale Tamlin nie dał jej dojść do słowa.

– Nie ma wyjątków. Masz trzy dni na przyniesienie tego, co należne, albo musisz ofiarować dwukrotnie więcej następnym razem.

Sporym wysiłkiem woli powstrzymałam się od gapienia się na jego nieruchomą twarz. Takie bezlitosne słowa. W głębi sali Iantha jakby

sama do siebie skinęła potwierdzająco głową.

Zjawa wodna sama głodowała – jak on mógł oczekiwać, że w takiej sytuacji przyniesie mu jedzenie?

– Błagam – wyszeptwała fae przez spiczaste zęby. Jej srebrzysta, nakrapiana skóra zamigotała, gdy zaczęła drżeć na całym ciele. – W stawie nic już nie zostało.

Wyraz twarzy Tamlina nie uległ zmianie.

– Masz trzy dni...

– Ale my nie mamy złota!

– Nie przerywaj mi.

Odwróciłam wzrok, nie mogąc znieść jego nieubłaganej miny.

Zjawa schyliła głowę jeszcze niżej.

– Wybacz, wasza miłość.

– Masz trzy dni na zapłatę albo za miesiąc musisz przynieść dwukrotnie więcej – powtórzył. – Jeśli tego nie zrobisz, wiesz, co cię spotka.

To powiedziawszy, Tamlin odprawił ją machnięciem dłoni. Koniec rozmowy.

Istota rzuciła ostatnie pozbawione nadziei spojrzenie na księcia i opuściła salę. Gdy kolejny fae – kozionogi faun niosący bodaj kosz grzybów – czekał cierpliwie, aż zostanie wezwany do podejścia, obróciłam się do Tamlina.

– Nie potrzebujemy kosza ryb – powiedziałam cicho. – Dlaczego każesz jej tak cierpieć?

Strzelił wzrokiem w stronę Ianthy, która z dłonią zaciśniętą na wysadzonym klejnotami pasie odsunęła się na bok, aby przepuścić wodną zjawę. Tak jakby się obawiała, że stwór zerwie z niej pas siłą, aby podarować księciu jako zapłatę. Tamlin zmarszczył brwi.

– Nie mogę robić wyjątków. Gdy raz się pójdzie na ustępstwa, wszyscy będą ich oczekiwali.

Zacisnęłam palce na poręczach mojego dębowego krzesła, które wydawało się takie maleńkie przy jego olbrzymim tronie rzeźbionym w pnącza róż.

– Ale my tego nie potrzebujemy. Po co nam złote runo czy słów konfitur? Jeśli skończyły jej się ryby, trzy dni w żaden sposób jej nie

pomogą. Dlaczego skazujesz ją na przymieranie głodem? Dlaczego nie pomożesz jej na powrót zarybić stawu?

Przeżyłam zbyt wiele lat z brzuchem bolącym z głodu, aby móc odpuścić tę sprawę, aby móc powstrzymać protesty przeciwko takiej jawnej niesprawiedliwości.

Smaragdowe oczy złagodniały, tak jakby wyczytał mi z twarzy wszystkie moje myśli, ale mimo to powiedział:

– Ponieważ tak już jest. W ten sposób postępował mój ojciec, a przed nim jego ojciec i tak będzie czynił mój syn. – Uśmiechnął się i sięgnął po moją dłoń. – Kiedyś.

Kiedyś. Jeśli w ogóle się pobierzemy. Jeśli kiedykolwiek przestanę być takim ciężarem i oboje uciekniemy nękającym nas cieniem. Nie poruszyliśmy jeszcze tego tematu ani razu. Iantha litościwie też nie wspomniała o tym ani słowem.

– Ale moglibyśmy jej pomóc, znaleźć sposób na zarybienie jej stawu.

– I bez tego mamy dość na głowie. Zapomoga nie poprawi jej sytuacji w dłuższej perspektywie.

Już otworzyłam usta, żeby mu na to odpowiedzieć, ale po chwili je zamknęłam. Nie był to właściwy czas na tę rozmowę.

Wysunęłam więc dłoń z jego uścisku, a on skinął na fauna, aby ten podszedł.

– Muszę się przewietrzyć – oznajmiłam i wstałam z krzesła.

Nie dałam Tamlinowi szansy na zaoponowanie i szybko zesłam z podestu. Starłam się nie zwracać uwagi na trzech strażników, których posłał za mną, ani na zebranych interesantów, którzy odprowadzali mnie spojrzeniami i szeptali między sobą, gdy przemierzałam salę.

Iantha próbowała mnie zatrzymać, ale ją zignorowałam i minęłam szybkim krokiem.

Wyszłam przez frontowe drzwi na zewnątrz i ruszyłam tak szybko, jak się tylko odważyłam, wzdłuż szeregu fae wijącego się po schodach i żwirze podjazdu. Między stłoczonymi różnymi istotami – zarówno nisko, jak i wysoko urodzonymi – dostrzegłam zjawę wodną zmierzającą za załom budynku, w stronę stawu poza terenami pałacowymi.

Powłóczyła nogami i co chwilę ocierała oczy.

– Przepraszam! – zawołałam, doganiając ją.

Podążający za mną strażnicy utrzymywali pełen szacunku dystans.

Przystanęła przy narożniku domu i obróciła się z nadnaturalną płynnością. Powstrzymałam chęć cofnięcia się na widok zdających się pożerać mnie żywcem niehumanoidalnych rysów jej twarzy. Stojący ledwie kilka kroków od nas strażnicy obserwowali nas bacznie z dłońmi spoczywającymi na rękojeściach mieczy.

Nos istoty był ledwie parą nozdrzy. Poniżej uszu poruszały się delikatne skrzela.

Pochyliła lekko głowę. Nie był to pełny pokłon, gdyż nie byłam nikim ważnym, raczej wyraz uznania dla książęcego bawidełka.

– Tak? – wysyczała, błyskając szczupaczymi zębami.

– Ile wynosi twoja danina?

Serce mi przyśpieszyło, gdy przyjrzałam się błoniastym palcom i ostrym jak brzytwy kłom. Tamlin powiedział mi kiedyś, że zjawy wodne mogą zjeść wszystko. A jeśli skończyły się ryby...

– Ile złota od ciebie chce... ile twoje ryby są warte w złocie?

– Wiele więcej, niż masz w kieszeni.

– Zatem proszę – powiedziałam, po czym odpięłam z nadgarstka wysadzaną rubinami złotą bransoletę, którą Iantha wskazała jako lepiej pasującą do mojego stroju niż srebrna, którą w pierwszej chwili wybrałam, i podałam ją fae. – Weź to. – Zanim zdążyła chwycić dar, zerwałam z szyi złoty naszyjnik, po czym wyjęłam z uszu kolczyki z diamentowymi łzami. – I to. – Wyciągnęłam ku niej ręce lśniące złotem i klejnotami. – Daj mu to, co jest należne, a za resztę kup jedzenie dla siebie.

Otworzyła szerzej oczy i przełknęła głośno ślinę. W pobliskiej wiosce co tydzień był dzień targowy. Na razie zjawiało się niewielu kupców, ale miałam nadzieję wspomóc rozwój targowiska. Jakoś.

– A jakiej oczekujesz zapłaty?

– Żadnej. Nie... nie dobijamy targu. Po prostu to weź. –

Wyciągnęłam ręce bardziej w jej stronę. – Proszę.

Zmarszczyła brwi i przyjrzała się klejnotom spoczywającym na moich dłoniach.

– Nie chcesz nic w zamian?

– Nic. – Fae czekające na swoją kolej przed domem gapiły się na nas bez zażenowania. – Proszę, po prostu je weź.

Po ostatnim taksującym spojrzeniu odebrała ode mnie biżuterię, muskając moje ręce zimnymi oślizgłymi palcami. W jej błoniastych dłoniach klejnoty migotały jak promienie słoneczne odbijające się od powierzchni wody.

– Dziękuję – powiedziała i pokłoniła się, tym razem głęboko. – Nie zapomnę twojej dobroci. – Jej głos zdawał się prześlizgiwać po schodach. Zadrżałam ponownie, gdy spojrzała na mnie swoimi czarnymi oczami, które zdawały się być gotowe pochłonąć mnie całą. – Moje siostry też tego nie zapomną.

Po tych słowach zawróciła w stronę rezydencji. Trójka towarzyszących mi strażników wykrzywiła twarze w grymasie odrazy.

Jadłam obiad wspólnie z Lucieniem i Tamlinem. Żaden z nich nie odezwał się choćby słowem, chociaż Lucien strzelał wzrokiem między mną, księciem i swoim talerzem.

Po dziesięciu minutach ciszy odłożyłam widelec i zwróciłam się do Tamlina:

– O co chodzi?

Nie wahał się ani chwili.

– Dobrze wiesz, o co chodzi.

Nie odpowiedziałam.

– Dałaś tej wodnej zjawie swoją biżuterię. Biżuterię, którą ja ci podarowałam.

– Cały cholerny dom mamy pełen złota i klejnotów.

Lucien wziął głęboki wdech. Przysięgłabym, że wymamrotał pod nosem: „No to się zaczyna”.

– A niby dlaczego miałabym jej tego nie dawać? – zapytałam. – Te błyskotki nic dla mnie nie znaczą. Nie zdarzyło się jeszcze, żebym to samo miała na sobie dwa razy! Kto o to w ogóle dba?

Tamlin zacisnął mocno usta.

– Zachowując się w ten sposób, podważasz prawa tego dworu. Te sprawy tak się tu załatwia. Gdy dajesz żarłocznej fae pieniądze, żeby

zapłaciła daninę, sprawiasz, że wyglądam na słabego, że cały mój dwór wygląda na słaby.

– Nie zwracaj się do mnie tym tonem – wycedziłam przez zęby.

Uderzył otwartą dłonią o stół. Przez skórę przebiły się czubki pazurów. Nie przelękłam się jednak, tylko oparłam o blat i pochyliłam w jego stronę.

– Nadal nie masz bladego pojęcia, co czułam. Nawet sobie nie wyobrażasz, jak to jest: całymi miesiącami być o krok od śmierci głodowej. Możesz ją sobie nazywać żarłokiem do woli, ale ja też mam siostry i pamiętam to uczucie, gdy wracałam z polowania z pustymi rękami. – Uspokoiliam nieco coraz szybszy oddech. Czułam, jak siła skryta pod moją skórą zawirowała i poczęła krążyć wzdłuż kości. – Może więc wyda to wszystko na głupoty, może ona i jej siostry nie potrafią nad sobą zapanować. Ale ja nie podejmę tego ryzyka i nie pozwolę im zdechnąć z głodu z powodu jakiejś *idiotycznej* zasady, którą wymyślili twoi przodkowie.

Lucien odchrząknął.

– Tam, ona nie chciała źle.

– Wiem, że nie chciała źle – odciął się Tamlin.

Lucien wytrzymał jego spojrzenie.

– Gorsze rzeczy się przydarzały, gorsze rzeczy wciąż *mogą* się wydarzyć. Uspokój się.

Szmaragdowe oczy księcia zapłonęły dziką furją, gdy warknął na Luciena:

– Prosiłem cię o zdanie?

Te słowa, spojrzenie, które posłał Lucienowi, i sposób, w jaki Lucien opuścił głowę... emocje buzowały mi w żyłach palącą rzeką. „Podnieś wzrok – zaklinałam go bezgłośnie. – Broń się. On się myli, to ty masz rację”. Ale on tylko zacisnął zęby. Moc ponownie zadudniła we mnie, wyciekając na zewnątrz porami skóry, mknąc ku Lucienowi. „Nie ustępuj mu...”.

Chwilę później opuściłam swoje ciało.

Wciąż tam byłam, wciąż widziałam swoimi oczyma, ale częściowo spoglądałam też z innego miejsca, z punktu widzenia kogoś innego...

Zaatakował mnie gąszcz myśli, obrazów i wspomnień; myśli tak

starych, mądrych i smutnych, tak bezgranicznie smutnych i przesiąkniętych poczuciem winy, beznadziei...

Chwilę później byłam już na powrót w sobie. Zamrugałam intensywnie. Nie minęło jedno uderzenie serca, kiedy wytrzeszczyłam oczy na Luciena.

Jego myśli. Byłam w jego myślach, przeniknęłam przez jego mentalną barierę...

Wstałam i cisnęłam serwetkę na stół rękoma niepokojąco niedrżącymi.

Wiedziałam, od kogo pochodził *ten* dar. Posiłek podszedł mi do gardła, ale zepchnęłam go z powrotem do żołądka.

– Jeszcze nie skończyliśmy jeść – warknął Tamlin.

– Och, daruj sobie – odszczeknęłam i wyparowałam z jadalni.

Przysięgłabym, że spod rzuconej serwetki wзираły dwa wypalone w blacie odciski dłoni. Modliłam się, żeby żaden z nich tego nie zauważył.

A także, żeby Lucien nie zorientował się, że byłam przez chwilę w jego głowie.

Rozdział 9

Przez dłuższy czas krążyłam po swojej komnacie. Może mi się tylko przywidziało i na blacie nie zostawiłam wypalonych odcisków moich dłoni, a może to nie były moje dłonie i te ślady były tam już wcześniej. Może wcale nie wywołałam nagłego wzrostu temperatury i nie zniszczyłam stołu. Może wcale nie wniknęłam do umysłu Luciena z równą swobodą, z jaką przechodziłam z jednego pomieszczenia do drugiego.

Alis pojawiła się tak jak zawsze, aby mi pomóc przebrać się do snu. Gdy usiadłam przy toaletce, aby mi rozczesać włosy, skrzywiłam się na widok mojego odbicia w lustrze. Fioletowe sińce pod oczami zdawały się już trwałe, a twarz mi niemiłosiernie zmizerniała. Nawet usta miałam blade. Westchnęłam i zamknęłam oczy.

– Podarowałaś swoje klejnoty wodnej zjawie – odezwała się Alis. Otworzyłam oczy i spojrzałam na jej odbicie w lustrze. Jej brązowa twarz wyglądała, jakby pokrywała ją spękana skóra zwierzęca. Ciemne oczy zaśniły na moment, zanim skupiła się na powrót na moich włosach. – Są strasznie śliskie.

– Powiedziała, że głodują, że nie mają już jedzenia – wymamrotałam.

Alis delikatnie rozplątywała kołtun.

– Żaden fae czekający dziś na posłuchanie nie dałby jej pieniędzy. Nawet jeden by się nie odważył. Zbyt wielu spoczęło w wodnistym grobie z powodu jej głodu. Niezaspokojony apetyt – to ich klątwa. Twoje klejnoty nie wystarczą jej na tydzień.

Postukałam stopą o podłogę.

– Ale – podjęła Alis, odkładając szczotkę i przystępując do plecenia warkocza; poczułam jej długie, cienkie palce na skórze głowy – nigdy tego nie zapomni. Dopóki będzie żyła, niezależnie od tego, co powiesz, będzie twoją dłużniczką. – Alis skończyła pleść warkocz i poklepała mnie po ramieniu. – Zbyt wielu fae zasmakowało głodu w minionych pięciu dekadach. Nie myśl, że wieść o tym się nie rozniesie.

Obawiałam się tego chyba bardziej niż czegokolwiek innego.

Minęła już północ, gdy zrezygnowałam z dalszego czekania. Ruszyłam ciemnymi cichymi korytarzami i odszukałam go w gabinecie, choć raz samego.

Na niewielkim stoliku między dwoma fotelami stało drewniane pudełko przewiązane szeroką różową wstążką.

– Właśnie miałem do ciebie iść – powiedział i uniósł głowę, aby szybko omieść mnie wzrokiem i upewnić się, że wszystko ze mną jest w porządku. – Powinnaś już spać.

Zamknęłam drzwi za sobą. Wiedziałam, że nie zasnę – nie z dzwoniącymi mi w uszach słowami, które sobie wzajemnie wykrzyczeliśmy.

– Ty też – odparłam głosem równie napiętym jak atmosfera między nami. – Za ciężko pracujesz.

Przeszłam przez pomieszczenie, oparłam się o jeden z foteli i przyjrzałam podarkowi równie dokładnie, jak Tamlin przyglądał się mnie.

– Jak myślisz, dlaczego nie interesowała mnie zbytnio rola księcia? – zapytał, wstając zza biurka i obchodząc je. Pocałował mnie w czoło, w czubek nosa, w usta. – Tyle roboty papierkowej – wymamrotał w moje wargi. Zachichotałam, a on złożył pocałunek na skórze u zbiegu szyi i ramienia. – Przepraszam – zamruczał, a wzdłuż mojego kręgosłupa przebiegł dreszcz. Ponownie pocałował mnie w szyję. – Przepraszam.

Przesunęłam dłoń wzdłuż jego ręki.

– Tamlinie – zaczęłam.

– Nie powinienem był mówić tego, co ci wtedy powiedziałem – wyszeptał wprost w moją skórę. – Ani tobie, ani Lucienowi. Nie chciałem was urazić.

– Wiem – powiedziałam i poczułam, jak jego mięśnie się rozluźniają. – Przepraszam, że na ciebie napadłam.

– Miałaś do tego pełne prawo – stwierdził, chociaż z czysto formalnego punktu widzenia nie miał racji. – Myliłem się.

To, co wtedy powiedział, było prawdą. Jeśli zaczęłyby iść na ustępstwa, pozostali fae zażądałiby tego samego. A moje zachowanie

mogło zostać uznane za podkopywanie jego autorytetu.

– Może ja...

– Nie. Miałaś rację. Nie wiem, co to znaczy przymierać głodem.

Nawet w najmniejszym stopniu.

Odsunęłam się od niego tylko na tyle, żeby móc wskazać głową leżący na stoliku prezent, pragnąc na tym zakończyć rozmowę o całym tym zajściu. Uśmiechnęłam się chytrze.

– Dla ciebie?

W odpowiedzi ugryzł mnie delikatnie w ucho.

– Dla ciebie. Ode mnie.

Przeprosiny.

Nagle poczułam się lżej niż w ostatnich dniach. Rozwiązałam wstążkę i przyjrzałam się pudełku z jasnego drewna. Było może na dwie stopy wysokie i trzy szerokie. Do wieka przytwierdzono solidny żelazny uchwyt. Nigdzie nie było żadnego znaku ani napisu, który mógłby zdradzić, co znajduje się w środku. Z pewnością nie suknia, ale...

„Proszę, niech to nie będzie korona”.

Ale przecież korona czy diadem zostałyby z pewnością zapakowane w coś mniej... surowego.

Otworzyłam mosiężne zamknięcie i uniosłam wieko.

To było coś gorszego od korony.

Wewnątrz pudełka znajdowały się liczne przegródki i uchwyty wypełnione pędzlami, farbami, kawałkami węgla i arkuszami papieru. Podróżny zestaw malarski.

Czerwień... czerwień farby w jednej ze szklanych fiolek była tak jaskrawa, a błękit innej tak czysty, niczym oczy tej kobiety fae, którą zamordowałam...

– Pomyślałem, że może przydałoby ci się coś takiego do noszenia ze sobą po okolicy. Nie musiałybyś już zabierać wszędzie tych ciężkich toreb, jak to zwykłaś robić.

Pędzle były nowe – lakier na drewnie lśnił, a włosie było czyste i miękkie.

Spoglądanie na to pudełko, na jego zawartość przypominało badanie trupa napoczętego przez kruki.

Spróbowałam się uśmiechnąć. Przywołać do oczu nieco radości.

– Nie podoba ci się – stwierdził.
– To nie tak – wykrztusiłam z siebie. – Nie... jest cudowny.
Bo był. Naprawdę był.
– Pomyślałam sobie, że gdybyś wróciła do malowania...
Czekałam, aż skończy.
Nie skończył.
Twarz oblał mi rumieniec.
– A co z tobą? – zapytałam cicho. – Czy robota papierkowa
pomaga ci z czymkolwiek?
Odważyłam się spojrzeć mu w oczy. Zapłonęły nagłym gniewem.
Zdołał jednak powiedzieć:
– Nie rozmawiamy o mnie. Rozmawiamy o tobie.
Ponownie przyjrzałam się pudełku i jego zawartości.
– Czy w ogóle będzie mi wolno chodzić tam, gdzie zechcę
malować? Czy też zawsze będzie mi towarzyszyć eskorta?
Cisza.
Zaprzeczenie... i potwierdzenie.
Zaczęłam dygotać, ale dla mojego, dla *naszego* dobra, zmusiłam
się, by wymówić te słowa:
– Tamlinie... Tamlinie, nie mogę... Nie mogę żyć w wiecznym
towarzystwie strażników, dniem i nocą. Nie mogę tak żyć, ja... ja się
duszę. Po prostu pozwól mi sobie pomóc... pozwól mi z tobą pracować.
– Dałaś od siebie już wystarczająco wiele, Feyro.
– Wiem. Ale... – Spojrzałam mu prosto w oczy, w których płonęła
pełnia potęgi księcia Dworu Wiosny. – Teraz trudniej jest mnie zabić.
Jestem szybsza, silniejsza...
– Moja rodzina była szybsza i silniejsza od ciebie, a i tak dość
łatwo zginęli.
– Zatem poślub kogoś, kto *potrafi* to znieść.
Zamrugnął. Powoli. Po czym przemówił z przerażającą łagodnością:
– Zatem nie chcesz mnie poślubić?
Starłam się nie patrzeć na pierścień na moim palcu, na ten
szmaragd.
– Oczywiście, że chcę. Oczywiście, że chcę! – Głos mi się załamał.
– Ale ty... Tamlinie...

Ściany naparły na mnie. Cisza, strażnicy, spojrzenia. To, co widziałam dzisiaj podczas przyjmowania daniny.

– Ja tonę – wydusiłam z siebie. – Ja *tonę*. A im bardziej się starasz, im więcej jest strażników... Równie dobrze możesz mi wpychać głowę pod wodę.

Pustka w oczach, pustka na twarzy.

Aż nagle...

Krzyknęłam i instynkt przejął władanie nade mną, gdy jego moc wybuchła i pomknęła przez pomieszczenie.

Okna rozbite w drobny mak.

Meble w drzazgach.

Pudełko farb, pędzli i papieru...

...zmieniło się w chmurę pyłu, odłamków szkła i połamanego drewna.

Rozdział 10

W jednej chwili gabinet był cały.

Chwilę później stał się odłamkami niczego, skorupą pomieszczenia.

Nic mnie jednak nie uderzyło, nic na mnie nie spadło, chociaż odruchowo padłam na podłogę i osłoniłam głowę rękami.

Tamlin dyszał ciężko, chrapliwy oddech niemal przypominał łkanie.

Cała drżałam – dygotałam tak mocno, jakby za chwilę moje kości miały popękać tak jak przed chwilą meble – ale zmusiłam się do opuszczenia ramion i spojrzenia na niego.

Z jego twarzy wyczytałam rozpacz. Ból. Strach. I głęboki żal.

Dokoła mnie podłoga była wolna od odłamków, tak jakby otoczył mnie jakąś barierą.

Tamlin postąpił krok w moją stronę, przez tę niewidzialną granicę. Zatoczył się do tyłu, tak jakby odbił się od czegoś twardego.

– Feyro – wydyszał.

Ponownie spróbował się zbliżyć, ale nie mógł przeniknąć przez barierę.

– Feyro, proszę! – błagał szeptem.

Wtedy zrozumiałam, że ta granica, ta bańka ochronna...

To moje dzieło.

Tarcza. Nie tylko chroniąca moje myśli, ale też fizyczna.

Nie wiedziałam, od którego księcia pochodziła ta moc; kto władał powietrzem lub wiatrem czy czymś zbliżonym. Może jeden z dworów słonecznych. Nie dbałam o to.

– Feyro – jęknął Tamlin trzeci raz, napierając z wysiłkiem na coś, co sprawiało wrażenie niewidzialnej zakrzywionej ściany zestalonego powietrza. – Proszę cię. Błagam.

Te słowa sprawiły, że coś we mnie pękło. Rozszczepiłam się na dwoje.

Może też skruszyły tę tarczę zastygłego wiatru, ponieważ chwilę potem ręka Tamlina przeniknęła przez nią.

Przekroczył linię rozdzielającą chaos od porządku, zagrożenie od

bezpieczeństwa.

Opadł na kolana i ujął dłońmi moją twarz.

– Przepraszam, przepraszam.

Nie mogłam przestać się trząść.

– Spróbuję – wyszeptał. – Spróbuję być lepszy. Ja nie... Czasem nie potrafię nad tym zapanować. Wściekłość. Dzisiejszy dzień był... nic się nie udało. Z daniną, ze wszystkim. Dzisiaj... zapomnijmy o tym, zostawmy to za sobą. Proszę.

Nie opierałam się, kiedy mnie objął i przyciągnął do siebie na tyle mocno, że jego ciepło przesączało się mi pod skórę. Wtulił twarz w moją szyję i wyszeptał prosto w kark, tak jakby słowa mogły wsiąknąć w ciało, tak jakby mógł to powiedzieć tylko w sposób, w którym komunikacja zawsze szła nam dobrze – skórą do skóry.

– Nie mogłem cię uratować wcześniej. Nie mogłem cię ochronić przed nimi. A kiedy powiedziałaś to o... o tym, że cię topię... Czy jestem lepszy od nich?

Powinłam mu powiedzieć, że to nie była prawda, ale... Moimi ustami przemawiało moje serce. Albo raczej to, co z niego zostało.

– Spróbuję być lepszy – powtórzył wcześniejsze słowa. – Proszę... daj mi więcej czasu. Pozwól mi... pozwól mi przez to przebrnąć. Proszę.

„Przebrnąć przez co?” – chciałam zapytać. Ale słowa mnie zawiodły. Zorientowałam się, że jeszcze się nie odezwałam.

Że on czekał na odpowiedź – a ja nie miałam dla niego żadnej.

Objęłam go więc, ponieważ ja również potrafiłam rozmawiać tylko ciałem do ciała.

To wystarczyło za odpowiedź.

– Przepraszam – powtórzył jeszcze raz.

Mamrotał to słowo w kółko przez wiele minut.

„Dałaś od siebie już wystarczająco wiele, Feyro”.

Może miał rację. A może i tak nie miałam już nic do oddania.

Nie wypuszczając go z objęć, spojrzałam nad jego ramieniem.

Czerwona farba rozchlapała się na pobliskiej ścianie. Gdy przyglądałam się, jak spływa po spękanej boazerii, pomyślałam, że bardzo przypomina krew.

Tamlin przeproszał mnie jeszcze przez kilka dni. Kochał się ze mną w dzień i w nocy. Wielbił moje ciało swymi dłońmi, językiem, zębami. Ale z tym i tak nie mieliśmy nigdy trudności. Nie potrafiliśmy sobie poradzić z całą resztą.

Musiałam jednak przyznać, że dotrzymał słowa.

Gdy poruszałam się po okolicy, spotykałam mniej strażników. Niektórzy wciąż stali na warcie, ale żaden nie podążał za mną jak cień. Nawet udałam się na przejażdżkę po lesie bez eskorty.

Chociaż wiedziałam, że stajenni popędzili do Tamlina, kiedy tylko ruszyłam – i kiedy tylko wróciłam.

Ani razu nie wspomniał o tarczy unieruchomionego wiatru, której użyłam przeciwko niemu. A sprawy między nami przybrały na tyle dobry obrót, że ja również nie poruszałam tego tematu.

Dni mijały tak szybko, że zlewały się w jedną całość. Tamlin znikał na długie godziny, a kiedy wracał, niczego mi nie wyjaśniał. Już dawno przestałam męczyć go pytaniami. obrońca – tym był i tym zawsze będzie. Takiego właśnie obrońcy potrzebowałam w czasach, kiedy byłam zimna, twarda i wyzbyta wszelkiej radości, by stopić lód gorzkich lat, w których śmierć głodowa czaiła się o krok.

Nie miałam czelności zastanawiać się, czego teraz pragnęłam, czego teraz potrzebowałam. Ani kim się stałam.

Aby uciec przed beczynnością, spędzałam całe dni w bibliotece. Ćwiczyłam czytanie i pisanie. Wzmacniałam swoją mentalną barierę, cegła po cegle, warstwa po warstwie. Czasem też sprawdzałam, czy uda mi się ponownie przywołać tę ścianę zestalonego powietrza. Rozkoszowałam się ciszą, nawet gdy wnikała mi w żyły, do głowy.

Bywały dni, w które do nikogo się nie odzywałam. Nawet do Alis.

Budziłam się co noc, trzęsąc się i dysząc. Stopniowo nauczyłam się cieszyć, że Tamlina nie ma przy mnie, że mnie nie widzi w takim stanie. Że i ja nie widziałam, gdy budził się nagle ze snu cały zlany zimnym potem. Albo gdy przemieniał się w bestię i nie spał aż po świt, cały czas lustrując otoczenie rezydencji w poszukiwaniu zagrożeń. Cóż mogłam

powiedzieć, aby ukoić te lęki, kiedy to ja byłam źródłem tak wielu z nich?

Ale kiedy mniej więcej dwa tygodnie po zebraniu daniny wrócił na dłużej, zdecydowałam się spróbować z nim porozmawiać, nawiązać kontakt. Byłam mu winna choćby próbę. Byłam to winna sobie.

Wydawało się, że chce tego samego. Po raz pierwszy od dłuższego czasu... wszystko zdawało się układać normalnie. Albo przynajmniej na tyle normalnie, na ile to było możliwe.

Pewnego ranka obudziły mnie niskie, głębokie głosy dobiegające z korytarza przed drzwiami do mojej komnaty sypialnej. Zamknęłam oczy, wtuliłam się w poduszkę i naciągnęłam mocniej na siebie koce. Pomimo naszego porannego tarzania się w pościeli każdego dnia wstawałam później – czasem nie chciało mi się opuszczać łóżka aż do południa.

Zza ściany dobiegło warczenie i ponownie otworzyłam oczy.

– Wynoś się – zażądał Tamlin.

Ktoś odpowiedział cicho; zbyt cicho, abym zdołała rozpoznać poszczególne słowa.

– Powtórzę ostatni raz...

Przerwał mu ten cichy głos i wszystkie włoski na ramionach stanęły mi dęba. Przyjrzałam się tatuażowi na moim przedramieniu i szybko policzyłam dni. Nie... nie, dzisiejszy dzień nie mógł nadejść tak szybko.

Skopałam z siebie koce i rzuciłam się do drzwi. W połowie drogi zorientowałam się, że jestem całkiem naga. Za sprawą Tamlina moje ubrania leżały w strzępach na drugim końcu komnaty, a na domiar złego nigdzie nie widziałam żadnej koszuli nocnej. Chwyciłam z pobliskiego krzesła koc i zawinęłam się weń, po czym uchyliłam minimalnie drzwi.

Tak jak się spodziewałam, w korytarzu stali Tamlin i Rhysand. Na dźwięk otwieranych drzwi Rhys obrócił się w moją stronę. Szeroki uśmiech drgnął niepewnie.

– Feyro. – Przesunął po mnie wzrokiem, przyglądając się uważnie każdej części mojego ciała. – Czy kończy wam się tu jedzenie?

– Co? – zapytał ostro Tamlin.

Z fioletowych oczu bił chłód. Rhys wyciągnął w moją stronę dłoń.

– Chodźmy.

W mgnieniu oka Tamlin stanął tuż przed Rhysandem. Zadrżałam.

– Wynoś się – warknął i wskazał schody. – Przyjdzie do ciebie, kiedy będzie gotowa.

Rhysand strzepnął niewidzialny pyłek z rękawa Tamlina.

W pewnym sensie podziwiałam jego żelazne nerwy. Gdyby zęby Tamlina nagle znalazły się o kilka cali od mojego gardła, ogarnęłaby mnie panika.

Rhys spojrzał w moją stronę.

– Nie, nie sądzę. Jeśli dobrze pamiętam, ostatnim razem, gdy zęby Tamlina znalazły się w okolicach twojego gardła, wymierzyłaś mu siarczasty policzek.

Skrzywiłam się i podniosłam w głowie zapomnianą tarczę.

– Zamknij się – wycedził Tamlin, przesuając się między nas. – I wynoś się stąd.

Księżę Dworu Nocy cofnął się o krok w stronę schodów i wsunął ręce do kieszeni.

– Doprawdy, powinieneś sprawdzić swoje zaklęcia ochronne. Kocioł jeden wie, jaki inny motłoch mógłby tutaj wparować równie łatwo jak ja. – Rhys ponownie przyjrzał mi się stanowczo. – Włóż coś na siebie.

Wyszczrzyłam zęby w jego stronę i wróciłam do komnaty. Tamlin wszedł za mną i zatrzasnął drzwi tak mocno, że kandelabry zadrżały i rzuciły na ściany okruchy rozedrganego światła.

Upuściłam koc na podłogę i podeszłam do szafy. Za moimi plecami Tamlin opadł na łóżko do wtóru stęknienia materaca.

– Jak on tu się dostał? – zapytałam.

Otworzyłam drzwi szafy i przetrząsnęłam jej zawartość, aż znalazłam turkusowy strój z Dworu Nocy, o którego zachowanie poprosiłam Alis. Wiedziałam, że chciała go spalić, ale przekonałam ją, że następnym razem wrócę zwyczajnie z nowym zestawem.

– Nie wiem – odparł Tamlin. Wciągnęłam spodnie na nogi i obróciłam się, aby na niego spojrzeć, akurat jak przeczesywał dłonią włosy. Wyczułam kryjące się za jego słowami łgarstwo. – On po prostu... to tylko część jego gier.

Wciągnęłam przez głowę krótką bluzkę.

– Jeśli nadciąga wojna, może powinniśmy spróbować poprawić wzajemne stosunki.

Nie rozmawialiśmy o tym od dnia mojego powrotu. Przekopałam dno szafy w poszukiwaniu pary jedwabnych pantofli i obróciłam się do Tamlina, zakładając je na stopy.

– Zacznę poprawiać stosunki z nim, kiedy tylko zwolni cię z tej umowy – odparł.

– Może trzyma się tej umowy, żebyś spróbował go wysłuchać.

Podeszłam do niego. Spodnie sprawiały wrażenie luźniejszych w talii niż miesiąc temu.

– Feyro – zaczął, wyciągając ku mnie ręce, ale cofnęłam się i zatrzymałam poza jego zasięgiem. – Dlaczego chcesz to wszystko wiedzieć? Czy nie wystarczy, że możesz wracać do siebie w spokoju? Zasłużyłaś na to. Naprawdę zasłużyłaś. Zmniejszyłem liczbę strażników. Staralem się... Staralem się postępować lepiej w tym zakresie. Tak więc pozostaw resztę... – Odetchnął głęboko. – To nie jest właściwa chwila na tę rozmowę.

Chwila nigdy nie była właściwa na tę rozmowę czy na jakąkolwiek inną. Ale nie powiedziałam tego na głos. Nie miałam siły tego powiedzieć i wszystkie słowa wyschły i odleciały. Zapamiętałam więc rysy twarzy Tamlina i nie opierałam się, gdy przyciągnął mnie do siebie i uścisnął mocno.

Ktoś odkaszlnął w korytarzu i obejmujący mnie Tamlin zeszywniał.

Ale miałam już dość walki i warczenia. Powrót do tego otwartego, spokojnego miejsca na szczycie góry... zdawał się lepszym wyjściem niż krycie się w bibliotece.

Odsunęłam się od niego. Gdy szłam w stronę drzwi i wychodziłam na korytarz, Tamlin cały czas siedział na łóżku.

Rhys przyjrzał mi się ze zmarszczonym czołem. Rozważyłam rzucenie jakiejś jadowitej uwagi, ale wymagałoby to ode mnie więcej ognia, niż mi pozostało – a także przykładania wagi do tego, co on o mnie myśli.

Rhys przybrał nieodgadniony wyraz twarzy i podał mi dłoń.

Nagle za moimi plecami wyrósł Tamlin i odtrącił jego rękę.

– Zwolnij ją z tej umowy tu i teraz, a dam ci, cokolwiek zechcesz.

Cokolwiek.

Serce zamarło mi w piersi.

– Czyś ty do szczętu postradał zmysły?

Tamlin nawet nie zerknął w moją stronę.

Rhysand jedynie uniósł jedną brew.

– Ależ ja już mam wszystko, czego chcę.

Obszedł Tamlina, tak jakby ten był jedynie meblem, i ujął mnie za dłoń. Zanim zdążyłam się pożegnać, czarny wiatr porwał nas i uniósł w dal.

Rozdział 11

Co, na demony, się z tobą stało? – zapytał Rhysand, jeszcze zanim Dwór Nocy w pełni się uformował wokół nas.

– Dlaczego zwyczajnie nie zajrzysz mi do głowy?

Wypowiedziane słowa nie miały w sobie ani trochę jadu. Odsunęłam się od niego, nawet nie chciało mi się go odepchnąć.

Mrugnął do mnie.

– A gdzie w tym przyjemność?

Nie odpowiedziałam najłżejszym uśmiechem.

– Nie ciśniesz we mnie żadnym butem?

W jego oczach niemal widziałam niewypowiedziane słowa: „No dalej. Podejmij grę”.

Ruszyłam w stronę schodów prowadzących do mojej komnaty.

– Zjedz ze mną śniadanie – powiedział.

W jego tonie dosłyszałam nutę, która kazała mi się zatrzymać. Nutę, która – mogłabym przysiąc – pobrzmiwała desperacją. Troską.

Obróciłam się na pięcie. Luźna bluzka przekręciła się na ramionach, na talii. Dotąd nawet nie zdawałam sobie sprawy z tego, jak bardzo schudłam, mimo że wszystko zdawało się powoli normować.

– Nie masz innych rzeczy na głowie? – zapytałam.

– Oczywiście, że mam – odparł, wzruszając ramionami. – Mam na głowie tyle rzeczy, że czasem mam ochotę puścić moją moc wolno, aby szalała po całym świecie i wszystko wyczyściła. Tylko po to, żeby kupić sobie choć chwilę cholernego spokoju. – Wyszczrzył zęby w uśmiechu i pokłonił się w pas. Nawet taka swobodna wzmianka o jego mocy nie zmroziła mnie, nie oszołomiła. – Ale dla ciebie zawsze znajdę czas.

Byłam głodna, nie zdążyłam jeszcze nic zjeść. A z za jego pewnego siebie, nieznośnego uśmiechu istotnie przebijała troska.

Skinęłam więc dłonią, dając mu znak, aby poprowadził mnie do tego co zwykle szklanego stołu na końcu sali.

Szliśmy w swobodnej odległości od siebie. Zmęczona. Byłam tak bardzo zmęczona.

Gdy od stolika dzieliło nas już zaledwie parę kroków, Rhys odezwał się ponownie:

– W tym miesiącu wyczułem przez naszą uroczą więź krótkotrwały nagły strach. Czy na cudownym Dworze Wiosny wydarzyło się coś ekscytującego?

– Nic ważnego.

Bo to nie było nic ważnego. A już na pewno nie był to jego interes. Zerknęłam na niego z ukosa i nagle dostrzegłam w jego oczach wściekłość, nie troskę.

Przysięgłabym, że góra zadrżała pod naszymi stopami w odpowiedzi.

– Skoro wiesz – stwierdziłam chłodno – czemu w ogóle pytasz?

Opadłam na krzesło. On wsunął się na swoje.

– Ponieważ obecnie – podjął cicho – przez naszą więź nie słyszę nic. Absolutna cisza. Nawet przy twojej podniesionej dość imponującej tarczy powinienem być w stanie cię *wyczuć*. A mimo to nie udaje mi się. Czasem lekko szarpie łączącą nas nić, żeby się tylko przekonać, czy wciąż żyjesz. – Ciemność wezbrała. – Aż nagle pewnego dnia, w środku ważnego spotkania, z twojej strony uderzyła mnie fala przerażenia. Na okamgnienie dojrzałem przebłysk ciebie i jego... a potem nic.

Z powrotem cisza. Chciałbym wiedzieć, czym to było spowodowane.

Nałożyłam sobie jedzenie z półmisków, ledwie zważając na to, co właściwie na nich leży.

– Sprzeczałyśmy się, a reszta nie jest twoją sprawą.

– Czy to dlatego wyglądasz tak, jakby zgryzota, poczucie winy i wściekłość wyżerały się żywcem, kawałek po kawałku?

Nie miałam ochoty o tym rozmawiać.

– Wynoś się z mojej głowy.

– Zmuś mnie. *Wypchnij* mnie. Dziś rano opuściłaś swoją tarczę. Każdy mógłby wejść do twoich myśli.

Spojrzałam mu w oczy. Kolejne wyzwanie. A ja zwyczajnie... nie dbałam o to. Nie obchodziło mnie to coś, co tliło się w moim ciele. Było mi obojętne, dlaczego wślizgnęłam się do głowy Luciena z taką samą łatwością, z jaką Rhys wślizgiwał się do mojej, z tarczą czy bez niej.

– Gdzie jest Mor? – zapytałam.

Naprężył mięśnie, a ja przygotowałam się na atak, na prowokację z jego strony. Ale nie zrobił nic takiego.

– Nie ma jej tu – odparł tylko. – Musi dopilnować pewnych spraw.
– Cienie ponownie zawirowały wokół niego. Zająłem się swoim posiłkiem. – Wesele zostało odłożone, jak rozumiem?

Przerwałem jedzenie na krótką chwilę, żeby wymamrotać:

– Tak.

– Spodziewałem się raczej odpowiedzi w rodzaju „nie zadawaj głupich pytań, na które znasz już odpowiedź” albo mojego niezmiennie ulubionego „niech cię piekło pochłonie”.

Sięgnęłam tylko po półmisek tartaletek. Dłonie trzymał płasko na stole. Nad jego palcami wiły się cienkie smużki czarnego dymu. Przypominały szpony.

– Czy zastanawiałaś się w ogóle nad moją ofertą?

Nie odpowiedziałam, dopóki nie opróżniłam talerza i nie przystąpiłam do ponownego jego zapełniania.

– Nie będę z tobą współpracowała.

Niemal wyczułam mroczny spokój, który go ogarnął.

– A dlaczegoż, Feyro, odrzucasz moją ofertę?

Przesunęłam owoce po talerzu.

– Nie mam zamiaru brać udziału w tej wojnie, która twoim zdaniem nadciąga. Mówisz, że powinnam być bronią, nie pionkiem... Jak dla mnie na jedno wychodzi. Jedyna różnica tkwi w tym, kto się mną posługuje.

– Nie chcę tobą manipulować. Chcę, byś mi pomogła – wypalił gniewnie.

Jego nagły wybuch sprawił, że uniosłam w końcu głowę.

– Chcesz mojej pomocy, bo to wkurzy Tamlina.

Cienie zatańczyły wokół jego ramion, tak jakby skrzydła próbowały się zmaterializować.

– W porządku – wyszeptał. – Sam wykopałem ten grób tym wszystkim, co uczyniłem pod Górą. Ale potrzebuję twojej pomocy.

Ponownie wyczułam niewypowiedziane słowa: „Zapytaj mnie: dlaczego. Wyciągnij to ze mnie”.

I ponownie nie chciałam tego robić. Nie miałam dość sił.

– Byłem więźniem na jej dworze przez blisko pięćdziesiąt lat – powiedział cicho. – Byłem torturowany, bity i rżnięty tak długo, aż tylko

ciągle przypominanie sobie, kim jestem, co muszę chronić, powstrzymywało mnie od znalezienia sposobu zakończenia tego wszystkiego. Proszę... pomóż mi zapobiec powtórzeniu tej historii. Pomóż Prythianowi.

Jakaś odległa część mojego serca zabolęła i zaczęła krwawić na te słowa, w obliczu tego, co właśnie przede mną obnażył.

Z drugiej strony... Tamlin poszedł na pewne ustępstwa – zmniejszył liczbę strażników, pozwolił mi swobodniej się poruszać. Starał się. Oboje się staraliśmy. Nie mogłam tego zaprzepaścić.

Dlatego też wróciłam do jedzenia.

Rhys nie odezwał się już więcej.

Nie dołączyłam do niego podczas obiadu.

Nie wstałam też na czas, aby zjeść z nim śniadanie.

Jednak kiedy w południe opuściłam swoją komnatę, czekał na mnie na górze z tym lekkim grymasem rozbawienia na twarzy. Popchnął mnie lekko w stronę stołu, na którym czekały książki, papier i kałamarz.

– Przepisz te zdania – powiedział przeciągle z drugiej strony blatu, podając mi zapisaną kartkę.

Spojrzałam na nią i przeczytałam bez najmniejszego trudu:

„Rhysand jest wspaniałą osobą. Rhysand jest pępkiem mojego świata. Rhysand jest najlepszym kochankiem, o jakim może marzyć kobieta”.

Położyłam kartkę na stole, przepisałam te trzy zdania i wręczyłam mu rezultat swojej pracy.

Chwilę potem pazury pomknęły z impetem w moje myśli.

I odbiły się nieszkodliwie od czarnej lśniącej bariery z litego adamantu.

Zamrugął.

– Ćwiczyłaś.

Wstałam od stołu i oddaliłam się.

– Nie miałam nic lepszego do roboty.

Tej nocy zostawił pod moimi drzwiami stos książek z dołączoną do nich kartką:

„Mam sprawy do załatwienia. Dom jest cały twój. Zawezwij mnie, gdy tylko będziesz czegokolwiek potrzebowała”.

Dni mijały, a ja tego nie robiłam.

Rhys wrócił pod koniec tygodnia. Wyrobiłam sobie nawyk sadowienia się w jednym z niewielkich wydzielonych pokoi wypoczynkowych z widokiem na góry. Niemal przeczytałam całą książkę, zatopiona w obszernym tapicerowanym fotelu, nie śpiesząc się, starając się zapamiętywać nowe słowa. To mi wypełniało czas, to mi dawało spokój. Niezawodne towarzystwo postaci, które nigdy nie istniały i nigdy nie zaistnieją, ale które w jakiś sposób sprawiały, że czułam się mniej... samotna.

Kobieta, która cisnęła kościaną włócznią w Amaranthę... Nie wiedziałam już, gdzie jej szukać. Może zniknęła tego dnia, kiedy jej kark pękł, a nieśmiertelność fae wypełniła jej żyły.

Właśnie doczytywałam wyjątkowo ciekawy rozdział – przedostatni w książce – rozkoszując się smugą lepkich promieni popołudniowego słońca ogrzewającą moje stopy, kiedy Rhysand prześlizgnął się między dwoma olbrzymimi fotelami z dwoma talerzami jedzenia, które następnie postawił na niskim stoliku przede mną.

– Ponieważ zdajesz się zdeterminowana wieść życie osiadłe – powiedział – stwierdziłem, że pójdę krok dalej i przyniosę ci jedzenie.

Mój żołądek skręcał się już z głodu. Opuściłam książkę na nogi.

– Dziękuję.

Zaśmiał się krótko.

– Dziękuję? Nie: „Niby książkę, a służący”? Albo: „Cokolwiek chcesz, możesz to sobie wsadzić w tyłek, Rhysandzie”? – Mlasnął z udawaną irytacją. – Jakże rozczarowujące.

Odłożyłam książkę na stolik i sięgnęłam po talerz. Mógł słuchać własnej przemowy cały dzień, jeśli miał takie życzenie, ale ja chciałam coś zjeść. Teraz.

Moje palce już prawie sięgały brzegu talerza, kiedy ten

najzwyczajniej w świecie *odsunął się* ode mnie.

Pochyliłam się bardziej, aby po niego sięgnąć. Ponownie więc mocy Rhysanda odsunęła talerz od mojej ręki.

– Powiedz mi, co zrobić – powiedział. – Powiedz mi, jak mogę ci pomóc.

Cały czas utrzymywał talerz poza moim zasięgiem. Gdy odezwał się ponownie, padające słowa zdawały się zmniejszać jego władzę nad własną mocą, ponieważ szpony dymu wiły się nad jego palcami, a z pleców wyrosły olbrzymie cieniste skrzydła.

– Minęło wiele miesięcy, a ty wciąż wyglądasz jak duch. Czy nikt tam nie pyta, co się, do diaska, z tobą dzieje? Czy twój książkę zwyczajnie nie dba o to?

On dbał. Tamlin *naprawdę* dbał o mnie. Może nawet za bardzo.

– Daje mi czas, żebym sobie z tym poradziła – odparłam tak napastliwie, że ledwie rozpoznałam swój głos.

– Pozwól mi sobie pomóc. Wystarczająco wiele przeszliśmy pod Górą...

Wzdrygnęłam się.

– Ona wygrywa – wyszeptał. – Ta suka wygrywa, jeśli pozwalasz sobie tak się rozpadać.

Byłam ciekawa, czy sam sobie to powtarzał przez te miesiące? Czy on też przeżywał chwile, kiedy własne wspomnienia sprawiały, że zaczynał się dusić w środku nocy?

Lecz podniosłam książkę, wystrzeliłam łączącą nas więzią dwa słowa i błyskawicznie przywróciłam barierę ochronną.

„Koniec rozmowy”.

– O nie, moja droga – warknął.

Drgnięcie mocy musnęło moje palce i książka zatrasnęła się między moimi rękami. Wbiłam paznokcie w skórę i papier, ale bez rezultatu.

Drań. Arogancki, zarozumiały *drań*.

Powoli uniosłam na niego wzrok. Poczułam... nie ogień gniewu, lecz lodowatą, skrzącą się wściekłość.

Niemal *czułam* lód na czubkach palców, składający mroźne pocałunki na skórze dłoni. Przysięgłabym, że zanim cisnęłam książką

w jego głowę, jej okładkę pokrył szron.

Oślonił się dość szybko, aby odbić ją na bok. Wolumin pomknął z szelestem po marmurowej posadzce za nami.

– Dobrze – powiedział, oddychając nieco nierówno. – Co jeszcze potrafisz, Feyro?

Lód stopniał i przemienił się w płomień, a moje palce zacisnęły się w pięści.

Książę Dworu Nocy wyglądał, jakby czuł szczerą ulgę na ten widok – na widok gniewu, od którego miałam ochotę szaleć i płonąć.

W końcu jakieś uczucie, a nie ciągle ta zimna pustka i cisza.

I myśl o powrocie do rezydencji ze strażnikami, patrolami, tajemnicami... Opadłam z powrotem na fotel. Ponownie zamarznięta.

– Kiedy tylko zapragniesz się z kimś pobawić – powiedział Rhys, popychając talerz w moją stronę powiewem rozgwieżdżonego wiatru – czy to w trakcie naszego cudownego tygodnia razem, czy w innym czasie, daj mi znać.

Nie zdołałam wydusić z siebie odpowiedzi, zbyt wycieńczona tym krótkim atakiem gniewu.

Wtedy zdałam sobie sprawę, że cały czas spadam bez nadziei na zakończenie lotu. Że trwa to już od dłuższego czasu. Odkąd zatopiłam sztylet w sercu tego młodego fae.

Nie uniosłam wzroku, pałaszując jedzenie z talerza.

Następnego ranka Tamlin czekał w cieniu poskręcane go potężnego dębu w ogrodzie.

Twarz wykrzywił mu morderczy grymas, wymierzony wyłącznie w Rhysa. Lecz w uśmiechu księcia Dworu Nocy nie było śladu wesołości, gdy odsunął się ode mnie. Patrzył wzrokiem zimnego, przebiegłego drapieżnika.

– Wejdź do środka – warknął na mnie Tamlin.

Powiodłam wzrokiem między dwoma książętami. Widok furii na twarzy Tamlina... Wiedziałam, że to już koniec samotnych przejażdżek i spacerów po terenach pałacowych.

Rhys zwrócił się do mnie:

– Walcz z tym.

Po czym zniknął.

– Nic mi nie jest – zwróciłam się do Tamlina, gdy ten już wrócił do siebie.

– Znajdę sposób, żeby z tym skończyć – zapewnił.

Chciałam mu wierzyć. Wiedziałam, że zrobi wszystko, aby tego dopiąć.

Znowu kazał mi szczegółowo opisać wszystko, czego się dowiedziałam w domu Rhysa. Powtórzyć każdą rozmowę, nieważne jak krótką. Powiedziałam mu wszystko; z każdym kolejnym słowem mówiłam ciszej.

„Chronić, chronić, chronić” – widziałam to słowo w jego oczach, czułam je w każdym pchnięciu we mnie tej nocy. Już raz zostałam mu odebrana w sposób najtrwalszy z możliwych, ale to się już nigdy nie powtórzy.

Następnego ranka strażnicy pojawili się w pełnej liczbie.

Rozdział 12

W pierwszym tygodniu po moim powrocie nie wolno mi było oddalić się od domu poza zasięg wzroku.

Jakieś nienazwane zagrożenie przedarło się na nasze ziemie i Tamlin z Lucieniem zostali wezwani, aby mu zaradzić. Zapytałam mojego przyjaciela, co to było, lecz... Lucien posłał mi takie samo spojrzenie, jakie widziałam u niego zawsze, gdy nie mógł odpowiedzieć przez lojalność wobec Tamlina. Nie zapytałam więc ponownie.

W czasie ich nieobecności wróciła Iantha, żeby – dotrzymać mi towarzystwa? ochraniać mnie? – sama nie wiem.

Tylko ona miała prawo wstępu do pałacu. Wiecznie rozgadany tłum niemal rezydujących tu panów i dam Dworu Wiosny został odprawiony wraz z całą ich służbą. Bardzo się cieszyłam, że nie wpadałam już na nich na korytarzach czy w ogrodach i nie musiałam wydobywać z odmętów pamięci ich imion, ich historii, że nie musiałam już znosić ich dyskretnych spojrzeń na mój tatuaż, ale... Wiedziałam, że Tamlin lubił ich obecność. Wiedziałam, że część z nich była jego wieloletnimi znajomymi; że lubił, kiedy jego dom wypełniał dźwięk, śmiech i gwar rozmów. Ja jednak dość szybko się zorientowałam, że rozmawiali ze sobą, jakby wciąż toczyli pojedynek. Miłe słówka maskowały ostre docinki.

Byłam wdzięczna za ciszę, nawet jeśli mi ciążyła, nawet jeśli wypełniała mi głowę, dopóki nie było w niej nic poza... pustką.

Wieczność. Czy naprawdę tak właśnie miała wyglądać moja wieczność?

Każdego dnia połykałam książki – opowieści o ludziach i miejscach, o których nigdy nie słyszałam. Były bodaj jedynym, co mnie powstrzymało przed osunięciem się w czarną rozpacz.

Tamlin wrócił po ośmiu dniach, złożył pocałunek na moim czole, zlustrował mnie całą i udał się do swojego gabinetu. Iantha czekała tam z wieściami dla niego.

Których również nie mogłam poznać.

Stałam sama w korytarzu i przyglądałam się, jak zakapturzona kapłanka prowadzi go przez podwójne drzwi, po których drugiej stronie

mignęły rude włosy...

Cała zeszywniałam, instynkt zaryczał we mnie, gdy się gwałtownie obróciłam...

Nie Amarantha.

Lucien.

Rude włosy należały do niego, nie do niej. Byłam tu, nie w tamtym lochu...

Oczy mojego przyjaciela – zarówno to metalowe, jak i to zdrowe – były zwrócone na moje dłonie.

Moje paznokcie rosły i zakrzywiały się. Nie były to cieniste szpony, lecz pazury...

„Przestań, przestań, przestań, przestań, przestań...”.

Przestało.

Pazury zniknęły w smudze cienia niczym dym ze zdmuchniętej świeczki.

Lucien przesunął wzrok na Tamlina i Ianthę, którzy nie zauważyli tego zajścia, po czym w milczeniu skinął na mnie głową, dając znak, abym za nim poszła.

Weszliśmy szerokimi schodami na drugie piętro. Korytarze były całkowicie puste. Nie patrzyłam na obrazy wiszące na ścianach po obu stronach. Nie wyglądałam przez wysokie okna na jasny ogród.

Minęliśmy drzwi do mojej komnaty sypialnej, potem te prowadzące do jego komnaty... W końcu dotarliśmy do niewielkiego, przeważnie nieużywanego gabinetu.

Gdy weszłam do środka, zamknął za mną drzwi i oparł się o nie.

– Kiedy zaczęły się pojawiać te pazury? – zapytał łagodnym głosem.

– To był pierwszy raz. – Własny głos zabrzmiał w moich uszach pusto i głucho.

Lucien przyjrzał mi się uważnie – intensywnie cyklamenu sukni, którą tego ranka wybrała dla mnie Iantha; twarzy, na którą nie chciało mi się przywoływać miłego wyrazu...

– Nie mogę zrobić wiele więcej – odezwał się chrapliwym głosem – ale poproszę go dziś wieczorem. Żeby cię szkolił. Moce będą się przejawiały niezależnie od tego, czy będziesz trenowała, czy nie. Nie

będą dbały o to, kto akurat jest w pobliżu. Poproszę go dziś wieczorem – powtórzył.

Niestety z góry wiedziałam, jaka będzie odpowiedź.

Lucien nie próbował mnie zatrzymać, kiedy otworzyłam drzwi, o które się opierał, i wyszłam bez słowa. Spałam aż do pory obiadowej. Rozbudziłam się na tyle, żeby móc zjeść, i ruszyłam w stronę jadalni. Gdy schodziłam na parter, podniesione głosy Tamlina, Luciena i Ianthy kazały mi się cofnąć.

– Wyśledzą ją, osaczą i zabiją – syknęła Iantha na Luciena.

– I tak to zrobią – warknął Lucien w odpowiedzi – zatem co za różnica?

– Różnica – odparowała Iantha głosem aż kipiącym od złości – polega na tym, że zachowanie wiedzy o tym daje nam przewagę. Nie tylko Feyra zostanie wzięta na cel w związku z darami wykradzionymi książętom. Twoje dzieci – zwróciła się do Tamlina – też będą dysponowały taką mocą. Pozostali książęta będą o tym wiedzieli. A jeśli nie zabiją Feyry od razu, mogą się zorientować, co *oni* mogą zyskać, gdyby miała urodzić też ich potomstwo.

Żołądek mi się skurczył na samą myśl o tym. Na myśl, że mogłabym zostać wykradziona... i przetrzymywana... do... rozplodu. Z pewnością... Z pewnością żaden książę nie posunąłby się aż tak daleko.

– Gdyby ktoś coś takiego zrobił – zauważył Lucien – żaden z pozostałych książąt by go nie poparł. Każdy, kto by się na to poważył, musiałby stawić czoła gniewowi pozostałych sześciu dworów. Nikt nie byłby aż tak głupi.

– Rhysand jest aż tak głupi – wypaliła Iantha. – A przy jego wrodzonej mocy mógłby próbować oprzeć się pozostałym dworom. Pomyśl tylko – dodała łagodniejszym tonem, bez wątpienia zwracając się teraz do Tamlina – może nadejść dzień, w którym ci jej nie zwróci. Słyszałeś, jakie jadowite kłamstwa sączy do jej uszu. Są inne sposoby obejścia tego – dodała z cichą zjadliwością. – Może i nie dalibyśmy mu rady, ale za morzem nawiązałam pewne znajomości...

– Nie jesteśmy zabójcami – przerwał jej Lucien. – Rhys może i jest tym, kim jest, ale kto by zajął jego miejsce...

Zmroziło mi krew w żyłach i przysięgłabym, że na czubkach moich palców pojawiły się kryształki lodu.

– Tamlinie – kontynuował Lucien błagalnym tonem. – Tam. Po prostu pozwól jej ćwiczyć, pozwól jej zapanować nad tym... Jeśli pozostali książęta *rzeczywiście* spróbują ją porwać, pozwól jej mieć szansę się obronić...

Zapadła cisza. Tamlin zastanawiał się w milczeniu.

Moje stopy zaczęły się poruszać w chwili, gdy usłyszałam pierwsze słowo padające z jego ust – niewiele więcej niż warknięcie.

– Nie.

Z każdym kolejnym krokiem w górę schodów docierały do mnie kolejne słowa.

– Nie damy im powodu do podejrzeń, że może mieć jakiegokolwiek zdolności. A gdyby zaczęła ćwiczyć, z pewnością takich podejrzeń by nabrali. Nie patrz tak na mnie, Lucienie.

Znowu cisza.

I rozjuszone warknięcie, po którym cały dom zadrżał od potężnej magii.

Tamlin mówił niskim, grobowym głosem:

– Nie próbuj mnie przekonać.

Nie chciałam wiedzieć, co się działo na dole, co zrobił Lucienowi, jak Lucien musiał wyglądać, żeby spowodować taki nagły napływ mocy.

Zamknęłam drzwi do mojej komnaty na klucz, tego dnia nie miałam już ochoty na jedzenie.

Tamlin nie przyszedł do mnie wieczorem. Zastanawiałam się, czy wciąż omawia z Ianthą i Lucieniem moją przyszłość i grożące mi niebezpieczeństwo.

Następnego popołudnia – gdy się w końcu zwlekłam z łóżka – przed drzwiami komnaty zastałam strażników.

Wedle ich słów Tamlin i Lucien debatowali już w gabinecie księcia. Bez krzątających się wszędzie dworzan Tamlina dom znów ucichł. Nie mając nic innego do roboty, skierowałam się w stronę ogrodowych ścieżek, które przemierzyłam już tyle razy, że aż dziw brał,

iż odciski moich stóp nie były trwale odcisnięte na jasnym piasku.

W lśniących korytarzach brzmiały tylko moje kroki. Mijałam kolejnych strażników. Każdy był uzbrojony po zęby i starał się nie gapić na mnie. Ani jeden się do mnie nie odezwał. Nawet służba próbowała trzymać się swoich kwater, chyba że ich obecność gdzie indziej była absolutnie konieczna.

Może zbyt zgnuśniałam. Może przez ciągłe lenienie się stałam się bardziej wrażliwa na te wybuchy. Wczoraj każdy mógł mnie przyuważyć.

I chociaż nigdy o tym nie rozmawialiśmy... Iantha wiedziała. Wiedziała o mocach. Od kiedy? Na myśl o tym, że Tamlin mógł jej powiedzieć...

Zaszurałam jedwabnymi pantoflami na marmurze schodów, szyfonowy tren mojej zielonej sukni sunął za mną z szelestem.

Taka cisza. Zbyt dużo ciszy.

Musiałam się wydostać z tego domu. Musiałam *coś* zrobić. Jeśli ludzie z okolicznych osad nie chcieli mojej pomocy, w porządku. Mogłam robić inne rzeczy. Cokolwiek.

Miałam właśnie skręcić w korytarz prowadzący do gabinetu Tamlina, zdecydowana zapytać go, czy jest *cokolwiek*, co mogłabym zrobić, gotowa go błagać, kiedy nagle drzwi do pomieszczenia stanęły otworem i wymaszerowali z nich książę z Lucieniem, obaj uzbrojeni po zęby. Ani śladu Ianthy.

– Wyruszacie tak wcześnie? – zapytałam, czekając na nich przy otwartych drzwiach wejściowych.

Twarz Tamlina przyoblekła się w ponurą maskę.

– Coś się dzieje na zachodnim wybrzeżu. Muszę ruszać.

Na wybrzeżu od strony Hybernii.

– Mogę pojechać z wami? Nigdy dotąd nie prosiłam wprost, ale...

Tamlin się zatrzymał. Lucien minął nas i wyszedł na zewnątrz przez drzwi frontowe, niezbyt skutecznie starając się ukryć skrzywioną minę.

– Przykro mi – powiedział Tamlin, sięgając ku mnie ręką.

Odsunęłam się poza jego zasięg. – To zbyt niebezpieczne.

– Umiem pozostać w ukryciu. Po prostu... zabierz mnie ze sobą.

– Nie chcę ryzykować, że wpadniesz w ręce wroga.

„Jakiego wroga? Powiedz mi... powiedz mi *cokolwiek*”.

Spojrzałam nad jego ramieniem. Lucien czekał na zwirowym podjeździe. Bez koni. Zapewne tym razem ich nie potrzebowali, jeśli sami potrafili poruszać się szybciej. Ale może zdołam za nimi nadążyć. Może wystarczy poczekać, aż ruszą, a potem...

– Nawet o tym nie myśl – powiedział ostrzegawczo Tamlin.

Spojrzałam mu w twarz.

– Nawet nie próbuj ruszyć za nami – warknął.

– Umieć walczyć. – To była półprawda. Zdolność przetrwania nie była tym samym co zaprawienie w boju. – Proszę.

Nienawidziłam tego słowa bardziej niż jakiegokolwiek wypowiedzianego wcześniej.

Pokręcił głową i ruszył do wyjścia.

Podążyłam za nim.

– Zawsze będzie jakieś zagrożenie – wypaliłam. Zawsze będzie jakiś konflikt albo wróg czy *cokolwiek* innego, co mnie będzie trzymało tutaj.

Zatrzymał się tuż przed potężnymi dębowymi drzwiami, tak pięknie odtworzonymi w miejsce tych, które zniszczyły sługusy Amaranthy.

– Ledwo jesteś w stanie przespać całą noc – powiedział ostrożnie.

– Ty też.

– Ledwo znosisz obecność innych... – ciągnął, tak jakby w ogóle mnie nie słuchał.

– *Obiecałeś*. – Głos mi się załamał. Nie dbałam już o to, że mówię błagalnym tonem. – Muszę się wydostać z tego domu.

– Każ Bronowi zabrać ciebie i Ianthę na przejażdżkę...

– Nie chcę jechać na przejażdżkę! – Rozrzuciłam ramiona na boki.

– Nie mam ochoty na przejażdżkę ani na piknik, ani na zbieranie polnych kwiatów. Chcę czegoś *dokonać*. Więc zabierz mnie ze sobą.

Ta dziewczyna, którą trzeba było ochraniać, która pragnęła stabilizacji i wygody... umarła pod Górą. *Ja* umarłam i nie było wtedy nikogo, kto by mnie ochronił przed tymi okropieństwami, aż mój kręgosłup pękł na dwoje. Zrobiłam więc to sama. I nie miałam zamiaru,

nie mogłam zrezygnować z tego, co się we mnie przebudziło, w co się przeistoczyłam pod Górą. Tamlin odzyskał swoje moce, na powrót był jedną całością, został tym obrońcą i opiekunem, którym chciał być.

Nie byłam tą ludzką dziewczyną, która chciała być hołubiona i rozpieszczana, która pragnęła luksusów i wygody. Nie wiedziałam, jak wrócić do tamtych pragnień. Do bycia potulną i uległą.

Pazury wystrzeliły z palców Tamlina.

– Nawet gdybym zaryzykował i ci na to pozwolił, twój brak wykształcenia czyniłby cię bardziej ciężarem niż pomocą.

Czułam się, jakby mnie obrzucał kamieniami. Tak mocno, że wręcz pękałam. Mimo to zdołałam unieść głowę.

– Idę z wami, czy tego chcesz, czy nie.

– Nie, nie idziesz – odparł i wyszedł na zewnątrz.

Pazury cięły powietrze po jego bokach. Był już w połowie schodów, kiedy dotarłam do progu...

...i odbiłam się od niewidzialnej ściany.

Zatoczyłam się do tyłu, próbując objąć myślami niedorzeczność sytuacji. Bariera była taka sama jak ta wytworzona parę tygodni temu w jego gabinecie. Przeszukałam okruchy mojej duszy, mojego serca w poszukiwaniu nici prowadzącej do tej tarczy, zastanawiając się, czy może sama siebie zatrzymałam, ale... nie emanowałam ani krztyną mocy.

Wyciągnęłam przed siebie dłoń. I napotkałam twardą ścianę.

– Tamlinie – wychrypiałam.

Ale on już kroczył po podjeździe w stronę majaczącej w dali żelaznej bramy. Lucien stał u stóp schodów z bladą, niemiłosiernie bladą twarzą.

– Tamlinie! – zawołałam ponownie, napierając na niewidzialną barierę.

Nie obrócił się.

Uderzyłam dłonią w niewidzialną przeszkodę. Ani drgnęła. Niewzruszone zestalone powietrze. A ja nie zgłębiłam swoich mocy na tyle, aby spróbować się przebić, skruszyć zaporę... Pozwoliłam mu przekonać się, żeby nie uczyć się tego dla *jego* spokoju...

– Szkoda sił na próby przejścia – powiedział łagodnie Lucien. Za

jego plecami Tamlin minął bramę i zniknął, przeskoczył. – Otoczył cały dom wokół ciebie. Inni mogą wchodzić i wychodzić, ale ty nie. Dopóki sam nie zdejmie bariery.

Zamknął mnie tu.

Uderzyłam ponownie twarde powietrze. I jeszcze raz.

Bez skutku.

– Po prostu... zachowaj cierpliwość, Feyro – próbował mnie uspokoić Lucien, podążając z grymasem na twarzy za Tamlinem. – Proszę. Zobaczę, może zdołam go przekonać. Spróbuję jeszcze raz.

Jego głos z ledwością przebijał się przez ryk krwi w uszach. Nie czekałam, żeby zobaczyć, jak mija bramę i też znika, przeskakując.

Zamknął mnie. Uwięził mnie w tym domu.

Rzuciłam się ku najbliższemu oknu i otworzyłam je na oścież. Owiał mnie chłodny letni wiatr. Pchnęłam przed siebie ręką – dłoń natrafiła na niewidzialną ścianę. Pod palcami czułam gładkie, twarde powietrze.

Zacęłam z trudem łapać oddech.

Zostałam uwięziona.

Uwięziona w tym domu. Równie dobrze mogłam się znajdować pod Górą, w tej celi...

Cofnęłam się – zbyt szybko, zbyt gwałtownie – i wpadłam na dębowy stół stojący na środku holu. Żaden ze znajdujących się w pobliżu strażników nie przyszedł sprawdzić, co się stało.

Uwięził mnie. *Zamknął* mnie tu.

Przestałam widzieć marmurową posadzkę, obrazy na ścianach i szerokie schody za sobą. Przestałam słyszeć świergot wiosennych ptaków i westchnienia wiatru w zasłonach.

Miażdżąca ciemność runęła na mnie z góry i wyrosła z podłogi za moimi plecami, aby mnie pożreć z rykiem, rozedrzeć na strzępy.

Tylko w jeden sposób mogłam powstrzymać się od krzyku, nie rozpaść się na dziesięć tysięcy kawałków: opadłam na marmurową posadzkę, skuliłam się i objęłam ciasno ramionami.

Uwięził mnie, uwięził mnie, uwięził mnie...

Musiałam się stąd wydostać. Przecież dopiero co uciekłam z jednego więzienia, a tym razem, tym razem...

Przeskakiwanie. Mogłam rozpląnąć się w powietrzu i pojawić gdzieś indziej, na otwartej przestrzeni, wolna. Zaczęłam szukać po omacku swojej mocy, czegoś, *czegokolwiek*, co wskazałoby mi, jak to zrobić, jak się stąd wydostać. Nic. Niczego nie znalazłam i sama osunęłam się w nicość. Nigdy nie zdołam się stąd wyrwać...

Ktoś wykrzykiwał moje imię gdzieś bardzo daleko.

Alis... Alis.

Ale wtem spowił mnie kokon uwity z ciemności, ognia, lodu i wiatru; kokon, który roztopił pierścień na moim palcu, aż płynne złoto spłynęło w pustkę, a zaraz za nim spadł szmaragd. Owinęłam tę szalejącą moc wokół siebie, tak jakby mogła powstrzymać ściany od zawalenia się na mnie i może, *może* podarować mi choć najmniejszy haust powietrza...

Nie mogłam się wydostać, nie mogłam się wydostać, nie mogłam się wydostać...

Smukłe silne dłonie chwyciły mnie pod ramiona.

Nie miałam dość siły, aby im się oprzeć.

Jedna z dłoni przesunęła się pod moje kolana, druga objęła plecy i chwilę potem byłam już niesiona, przyciskana do ciała, które bez wątpienia należało do kobiety.

Nie mogłam jej zobaczyć, ale też nie chciałam jej widzieć.

Amarantha.

Wróciła po mnie, przyszła dokończyć dzieła i mnie zabić.

Słowa wypowiedane obok mnie. Dwie kobiety.

Żadna z nich... żadna z nich nie była Amaranthą.

– Proszę... Proszę, dbaj o nią.

Alis.

Koło mojego ucha przemówiła druga z kobiet.

– Możecie mówić o wielkim, naprawdę wielkim szczęściu, że gdy przybyłam, nie było tu waszego księcia. Wasi strażnicy żyją, ale obudzą się z koszmarnym bólem głowy. Powinniście być wdzięczni.

Mor.

To Mor mnie trzymała... niosła.

Ciemność zniknęła na chwilę wystarczająco długą, abym zdołała nabrać powietrza i dostrzec drzwi do ogrodu, ku którym się kierowała. Otworzyłam usta, ale słowa uwięzły mi w gardle, gdy spojrzała na mnie.

– Sądziłaś, że jego tarcza powstrzyma nas od dotarcia do ciebie? – zapytała Mor. – Rhys roztrzaskał ją mimochodem.

Nigdzie go nie widziałam – zresztą po chwili ciemność z powrotem spłynęła na nas czarnym wirem. Przyłgnęłam do niej kurczowo, usiłując zaczerpnąć oddechu, skupić myśli.

– Jesteś wolna – powiedziała napiętym głosem. – Jesteś wolna. Nie bezpieczna. Nie chroniona.

Wolna.

Poniosła mnie przez ogród na pola, w górę pagórka, potem w dół i do... do jaskini...

Musiałam się chyba zacząć szarpać i rzucać w jej uścisku, bo powiedziała:

– Wydostałaś się, jesteś *wolna*.

Powtarzała to w kółko, podczas gdy pochłaniała nas prawdziwa ciemność.

Pół uderzenia serca później wyszła na jasne światło słońca. Powietrze pachniało truskawkami i trawą. Pomyślałam, że możemy się znajdować na terenie Dworu Lata, kiedy...

Powietrze przed nami przeciął niski złowrogi warkot, który rozplątał nawet mój mrok.

– Zrobiłam wszystko tak, jak należy – oznajmiła Mor.

Zostałam przekazana z jej ramion w czyjeś inne. Rozpaczliwie próbowałam oddychać, nabrać choć odrobinę powietrza do płuc. Aż usłyszałam głos Rhysanda:

– Zatem nic tu już po nas.

Uderzył we mnie silny wiatr, a zaraz po nim prastara ciemność.

Ale jednocześnie poczułam pieśczętę słodszej, bardziej miękkiej odmiany nocy, kojącej nerwy, rozluźniającej mięśnie, aż w końcu zdołałam wziąć wdech. Chwilę później zwabiła mnie w objęcia snu.

Rozdział 13

Gdy się obudziłam, ujrzałam promienie słońca i mnóstwo przestrzeni. Dokoła mnie były tylko czyste niebo i ośnieżone szczyty gór.

Rhysand siedział rozparty w fotelu w pewnej odległości od kanapy, na której leżałam. Wpatrywał się w milczeniu w krajobraz z niecodzienną dla niego powagą na twarzy.

Gdy przełknęłam ślinę, obrócił gwałtownie głowę w moją stronę.

W jego oczach nie było życzliwości. Wyzierała z nich jedynie nieskończona lodowata wściekłość.

Ale gdy zamrugnął, zniknęła bez śladu, zastąpiona czymś na kształt ulgi. Wyczerpania.

Błade promienie ogrzewające posadzkę z księżycowego kamienia... promienie wschodzącego słońca. Świtało. Wolałam nie myśleć o tym, jak długo byłam nieprzytomna.

– Co się stało? – zapytałam.

Miałam ochryply głos. Tak jakbym długo krzyczała.

– Bo istotnie krzyczałaś – odparł. Nie dbałam o to, czy moja mentalna tarcza była podniesiona, opuszczona, czy też całkiem strzaskana. – Zdołałaś również śmiertelnie przerazić całą służbę i wszystkich strażników w rezydencji Tamlina, kiedy owinęłaś się ciemnością i zniknęłaś im z oczu.

Poczułam silne ssanie w żołądku.

– Czy kogoś skrzywdziłam...

– Nie. Cokolwiek zrobiłaś, ograniczyłaś to do siebie.

– Ty nie...

– Zgodnie z prawem i zwyczajami – powiedział, wyciągając przed siebie długie nogi – sprawy skomplikowałyby się mocno i nieprzyjemnie, gdybym to ja wkroczył do tamtego domu i cię zabrał. Rozbicie bariery niczym mi nie groziło, ale zanim mogłem cię tu sprowadzić, Mor musiała tam wkroczyć na własnych nogach, ogłuszyć strażników swoją mocą i wynieść cię za granicę, do innego dworu. W przeciwnym razie Tamlin miałby prawo wkroczyć ze swoimi siłami na moje ziemie, aby cię odbić. A ponieważ nie uśmiecha mi się

rozpętywanie wojny domowej, musieliśmy wszystko zrobić, jak należy.

To właśnie powiedziała Mor: że zrobiła wszystko tak, jak należy.

Ale...

– Kiedy wrócę...

– Ponieważ twoja obecność tutaj nie wynika z naszego układu, nie masz obowiązku nigdzie wracać. – Potarł skroń. – Chyba że takie jest twoje życzenie.

Ta kwestia zapadła we mnie niczym kamień opadający na dno stawu. Czułam wewnątrz taki spokój, taką... nicość.

– Zamknął mnie w tamtym domu – wykrztusiłam z siebie.

Za fotelem Rhysa rozpostarł się cień potężnych skrzydeł. Jednak jego twarz pozostała spokojna.

– Wiem. Czułem to co ty. Mimo że postawiłaś swoją tarczę... w końcu.

Zmusiłam się do spojrzenia mu w oczy.

– Nie mam gdzie się podziać.

To zabrzmiało jak pytanie i prośba jednocześnie.

Machnął dłonią i skrzydła zniknęły.

– Możesz tu zostać tak długo, jak tylko zechcesz. Jeśli chcesz, możesz tu zamieszkać po kres czasu.

– Ja... Kiedyś będę musiała wrócić.

– Rzeknij tylko słowo, a tak się stanie.

Powiedział to z całym przekonaniem. Chociaż widziałam wyraźnie po gniewie bijącym mu z oczu, że nie podoba mu się ta perspektywa. Zabrały mnie z powrotem do Dworu Wiosny, kiedy tylko bym o to poprosiła.

Zabrały mnie z powrotem do ciszy, tych wszystkich strażników i życia złożonego wyłącznie z przebierania się, spożywania posiłków i planowania przyjęć.

Rhysand oparł stopę na kolanie.

– Kiedy sprowadziłem cię tu pierwszy raz, złożyłem ci propozycję: pomóż mi, a wikt, opierunek, ubrania... Będiesz miała wszystko.

W przeszłości zdarzyło mi się już zebrać. Sama myśl, że miałabym to samo robić teraz...

– Pracuj dla mnie – ciągnął Rhysand. – I tak mam u ciebie dług.

A resztę wypracujemy stopniowo, dzień po dniu, w miarę potrzeby.

Spojrzałam na góry, tak jakbym mogła sięgnąć wzrokiem do Dworu Wiosny na dalekim południu. Tamlin się wścieknie. Rozniesie rezydencję na strzępy.

Ale on... on mnie zamknął. Albo tak słabo mnie rozumiał, albo był tak rozbity tym, co się stało pod Górą, ale... zamknął mnie.

– Nie wrócę tam. – Słowa zabrzmiały we mnie niczym żałobny dzwon. – Przynajmniej... przynajmniej dopóki wszystkiego sobie nie poukładałam.

Odbiłam się o ścianę złości, żalu i czystej rozpacz, gdy przesunęłam kciukiem po pasku nagiej skóry w miejscu, w którym jeszcze niedawno był pierścionek.

Powoli, nie wszystko naraz. Może... może Tamlin dojdzie do siebie. Wyleczy tę poszarpaną ranę ropiejącego strachu. Może ja też dojdę do siebie. Nie mogłam mieć pewności.

Byłam jednak pewna, że jeśli zostałam w tamtym domu, jeśli dałabym się zamknąć ten kolejny raz... dzieło zniszczenia zapoczątkowane przez Amaranthę mogłoby się dokonać.

Rhysand zmaterializował w powietrzu kubek gorącej herbaty i podał mi go.

– Napij się.

Wzięłam naczynie i pozwoliłam ciepłu wsączyć się w sztywne palce. Rhys nie spuszczał ze mnie wzroku, dopóki nie upiłam łyku. Gdy to robiłam, wrócił do wpatrywania się w górskie szczyty. Upiłam kolejny łyk. Mięta i... lukrecja, i jeszcze jakieś zioło czy jakaś przyprawa.

Nie miałam zamiaru wracać. Może nawet nigdy... nie zaczęłam wracać. Od czasu spędzonego pod Górą.

Kiedy wypić już połowę herbaty, poszukałam czegoś, czegokolwiek, co mogłabym powiedzieć, by rozbić zaległą między nami ciszę.

– Ta ciemność... czy to... jest część mocy, którą ty mi przekazałeś?

– Można tak podejrzewać.

Dopiłam do końca.

– Żadnych skrzydeł?

– Jeśli odziedziczyłaś część zmiennokształtności Tamlina, może zdołasz wykształcić własne.

Na samą myśl o tym przeszył mnie dreszcz. Przypomniałam sobie pazury, które wytworzyłam tamtego dnia w obecności Luciena.

– A pozostali książęta? Lód... to byłaby Zima. Ta tarcza zestalonego wiatru, którą raz przywołałam... od kogo ona pochodzi? Czym mogli mnie obdarzyć pozostali? Czy... czy przeskakiwanie jest powiązane konkretnie z kimś z was?

Zastanowił się.

– Wiatr? Najpewniej Dwór Dnia. A przeskakiwanie... nie jest ograniczone do konkretnego dworu. Zależy wyłącznie od mocy, którą dysponujesz... i od treningu. – Nie miałam ochoty wspominać, jak popisowo nie zdołałam przesunąć się choćby o cal. – Co zaś do darów od pozostałych... Będziesz chyba musiała sama je odkryć.

– Powinnaś była wiedzieć, że twoja życzliwość szybko się wyczerpie.

Rhys zachichotał pod nosem, wstał, przeciągnął muskularne ramiona i zatoczył głową koło. Tak jakby siedział w fotelu bardzo, bardzo długo. Na przykład przez całą noc.

– Wypocznij dzień czy dwa, Feyro – powiedział. – Potem spróbuj poukładać sobie wszystko. Ja muszę się udać w inną część moich ziem. Wrócę do końca tygodnia.

Pomimo długiego snu czułam ogromne zmęczenie – w kościach, w pokruszonym sercu. Nie doczekawszy się odpowiedzi, Rhys ruszył między kolumny z księżycowego kamienia.

A do mnie dotarło, w jaki sposób spędzę najbliższe kilka dni: w samotności, bez żadnego zajęcia, mając jedynie własne okropne myśli za towarzystwo. Zaczęłam mówić, zanim zdążyłam się zastanowić.

– Zabierz mnie ze sobą.

Zatrzymał się w pół drogi między zwiewnymi kotarami. Po chwili odwrócił się – bardzo powoli.

– Powinnaś wypocząć.

– Dość już odpoczęłam – odparłam, odstawiłam pusty kubek i wstałam. W głowie zakręciło mi się lekko. Kiedy ostatni raz jadłam? –

Gdziekolwiek się udajesz, cokolwiek będziesz robił: zabierz mnie ze sobą. Będę się wystrzegala kłopotów. Tylko... Proszę.

Nienawidziłam tego ostatniego słowa. Zakrztusiłam się nim. W przypadku Tamlina nic w ten sposób nigdy nie wskórałam.

Rhys milczał przez długą chwilę. Następnie podszedł do mnie z twarzą jakby wyciosaną z kamienia, długimi krokami wręcz pozerając dzielący nas dystans.

– Jeśli udasz się ze mną, nie będzie odwrotu. Nie będziesz mogła opowiedzieć o tym, co zobaczysz, nikomu spoza mojego dworu. W przeciwnym razie wiele osób zginie – *moich* poddanych. Więc jeśli dołączysz do mnie, będziesz musiała do końca życia kłamać. Jeśli wrócisz do Dworu Wiosny, nie będziesz mogła nikomu tam opowiedzieć o tym, co zobaczysz, kogo spotkasz ani czego będziesz świadkiem. Jeśli nie chcesz, żeby coś takiego stanęło między tobą a... twoimi przyjaciółmi, zostań tu.

Zostać tu, siedzieć zamknięta na Dworze Wiosny... W piersi ziała mi otwarta rana. Zastanawiałam się, czy będę z niej krwawić, czy dusza może się wykrwawić na śmierć. Może tak już się stało?

– Zabierz mnie ze sobą – wyszeptałam. – Nie opowiem nikomu o tym, co zobaczę. Nawet... im.

Nie mogłam się zmusić do wypowiedzenia jego imienia.

Rhys przyglądał mi się przez kilka uderzeń serca. Ostatecznie uśmiechnął się półgębkiem.

– Wyruszamy za dziesięć minut. Jeśli chcesz się odświeżyć, proszę bardzo.

Niezwykłe dla niego uprzejme zwrócenie uwagi, że zapewne przypominałam żywego trupa. Cóż, właśnie tak się czułam. Mimo to zapytałam:

– Dokąd zmierzamy?

Uśmiech Rhysa urósł na całą twarz. Błysnęły wyszczerzone zęby.

– Do Velaris, Miasta Blasku Gwiazd.

Gdy tylko przekroczyłam próg mojej komnaty, powróciła pusta cisza i zmyła wszystkie pytania, jakie miałam na temat... na temat tego

miasta.

Amarantha zniszczyła wszystkie krainy. Jeśli w Prythianie znajdowało się miasto, bez wątpienia obecnie pozostały po nim tylko ruiny.

Wskoczyłam do wanny i wyszorowałam się najszybciej, jak zdołałam. Po kąpeli błyskawicznie włożyłam strój Dworu Nocy, który już na mnie czekał. Wszystkie ruchy wykonywałam bezwiednie. Każdy był mizerną próbą powstrzymania się od wracania myślami do tego, co się wydarzyło, co... co Tamlin próbował zrobić, co zrobił, co *ja* zrobiłam...

Gdy wróciłam do głównego atrium, Rhys stał oparty o kolumnę z księżycowego kamienia i zajmował się swoimi paznokciami.

– Zajęło ci to piętnaście minut – rzucił, po czym podał mi dłoń.

Nie tliła się we mnie już najmniejsza potrzeba udawania, że jakkolwiek zważam na jego zaczepki. Chwilę potem połknęła nas rycząca ciemność.

Wiatr, noc i gwiazdy zawirowały wokół nas, podczas gdy my przeskakiwaliśmy przez osnowę świata. Zgrubienia na jego dłoni podrażniały te zanikające na mojej, aż...

Aż powitało mnie światło słońca, nie blask gwiazd. Zmrużyłam oczy od nagłej jasności i rozejrzałam się wokół. Staliśmy bez wątpienia w holu czyjegoś domu.

Wzorzysty czerwony dywan zamortyzował krok, o który odsunęłam się od Rhysanda. Powiodłam wzrokiem po ciepłych wyłożonych boazerią ścianach, wiszących na nich obrazach, szerokich dębowych schodach.

Po naszych obu stronach były otwarte drzwi. Jedne, po lewej, prowadziły do pokoju dziennego z kominkiem z czarnego marmuru i mnóstwem wygodnych i eleganckich, choć już poprzecieranych mebli. Wszystkie ściany pokrywały półki z książkami. Po prawej znajdowała się jadalnia z długim stołem z drewna wiśni, z miejscami dla dziesięciu osób – niewielki w porównaniu ze stołem jadalnianym w rezydencji Tamlina. Na wprost nas znajdował się wąski korytarz z szeregiem zamkniętych drzwi, z których ostatnie wiodły zapewne do kuchni. Typowy miejski dom.

Byłam niegdyś w podobnym, jeszcze w dzieciństwie. Ojciec zabrał mnie ze sobą do największego miasta w naszej krainie. Dom należał do niesamowicie bogatego klienta i pachniał kawą oraz kulkami na mole. Był ładny, ale duszny, formalny.

Ten zaś... ten wyglądał na przytulny dom mieszkalny, w którym ktoś żył, który ktoś lubił i o który dbał.

I zdecydowanie znajdował się w mieście.

Część druga
Dom wiatru

Rozdział 14

Witaj w moim domu – powiedział Rhysand.

Poza murami budynku było miasto – cały świat.

Poranne promienie słońca wlewały się do środka przez okna frontowe. W kunsztownie rzeźbione drewniane drzwi przede mną wpuszczono szybki z mlecznego szkła, przez które widać było niewielki przedsionek i właściwe drzwi wejściowe – zamknięte i odgradzające nas od wszystkiego, co czaiło się za nimi.

Na samą myśl o wyjściu na zewnątrz, wystawieniu się na podejrzliwe spojrzenia mieszkańców, oglądaniu zniszczeń, które zapewne spowodowała tu Amarantha... poczułam silny ucisk w piersi.

Dotąd byłam zbyt rozkojarzona, aby o to zapytać, nie miałam nawet chwili na zastanowienie się, czy to aby nie jest błąd, ale...

– Co to za miejsce?

Rhys oparł się barkiem o rzeźbioną dębową ościeżnicę drzwi prowadzących do pokoju dziennego i skrzyżował ramiona.

– To jest mój dom. No, w tym mieście mam dwa domy. Drugi przeznaczyłem na bardziej... oficjalne okazje, ale ten jest tylko dla mnie i mojej rodziny.

Nasłuchiwałam krzątanim służby, ale w budynku panowała cisza. To dobrze... może to było lepsze od towarzystwa szlochających i wpatrujących się we mnie istot.

– Nuala i Cerridwena są tutaj – dodał, gdy spostrzegł, jak wpatruję się badawczo w korytarz prowadzący w głąb domu. – Ale poza nimi jesteśmy tu tylko my dwoje.

Stężałam. Nie chodziło o to, że na jego dworze sprawy wyglądały inaczej, ale... ten dom był o wiele mniejszy. Nie miałam dokąd przed nim uciec. Chyba że na zewnątrz, na ulice miasta.

W krainach śmiertelników nie pozostało już żadne duże miasto. Kilka powstało na głównym kontynencie – centra sztuki, nauki i handlu. Kiedyś Elaina chciała się wybrać ze mną do jednego z nich. Teraz już chyba nigdy nie uda się nam zrealizować tego zamierzenia.

Rhysand otworzył usta, ale nagle po drugiej stronie drzwi z szybami z mlecznego szkła pojawiły się dwie wysokie, potężne

sylwetki. Jeden z przybyłych załomotał pięścią w skrzydło.

– Pośpiesz się, śmierdzący leniu – zażądał głęboki męski głos.

Byłam tak otępiała z wyczerpania, że nie zwróciłam większej uwagi na zarys skrzydeł wystających zza pleców niespodziewanych gości.

Rhys nawet nie zerknął w stronę drzwi.

– Dwie rzeczy, droga Feyro.

Łomotanie nie ustawało. Zza drzwi dobiegł drugi głos, również męski, nieco przyciszony.

– Jeśli masz zamiar wdawać się z nim w bójkę, zrób to po śniadaniu.

Ten głos... był niczym cień przyobleczony w dźwięki, mroczny, dyskretny i... zimny.

– To nie ja wyciągnąłem cię z łóżka z samego rana, żeby tutaj przylecieć – odparł pierwszy głos, po czym dodał: – Wszystko przez twoje wścibstwo.

Przysięgłabym, że uśmiech próbował zakraść się na wargi Rhysanda, gdy podjął przerwana przemowę:

– Po pierwsze, nikt, ale to *nikt* poza mną i Mor nie ma prawa przeskakiwać bezpośrednio do wnętrza tego domu. Obłożono go zaklęciami ochronnymi, na które nałożona jest bariera, wokół której uplecione są kolejne zaklęcia. Wejść mogą tylko ci, których tu wpuszczę lub których *ty* wpuścisz. Jesteś tu bezpieczna. W tym domu i wszędzie w całym mieście. Mury Velaris są dobrze strzeżone i od pięciu tysięcy lat nikt nie zdołał się przez nie przedrzeć. Nikt o wrogich zamiarach nie wejdzie do tego miasta, chyba że mu na to pozwolę. Możesz zatem chodzić, gdzie zechcesz, robić, co zechcesz, i odwiedzać, kogo zechcesz. Tych dwóch w przedsionku – dodał z błyskiem w oku – może nie trafić na listę osób, których istnieniem powinnaś się przejmować, jeśli nie przestaną zaraz dobijać się do moich drzwi jak małe dzieci.

Kolejne uderzenie poparł pierwszy głos:

– Dobrze wiesz, że cię słyszymy, dupku.

– Po drugie – ciągnął Rhys – odnośnie do tych dwóch drani pod moimi drzwiami, tobie pozostawiam decyzję, czy chcesz ich poznać teraz, czy też wolisz postąpić mądrze i udać się na górę uciąć sobie

drzemkę, gdyż wciąż wyglądasz nieco mizernie, a następnie przebrać się w coś bardziej stosownego do poruszania się po mieście, podczas gdy ja spiorę jednego z nich na kwaśne jabłko za zwracanie się w ten sposób do swojego księcia.

Oczy mu lśniły. Dzięki temu wyglądał... młodziej. Bardziej jak śmiertelnik. Znikła gdzieś lodowata wściekłość, którą u niego widziałam zaraz po przebudzeniu...

Przebudzeniu na jego kanapie, na której zdecydowałam, że nie wracam do domu.

Że może Dwór Wiosny nie jest tak naprawdę moim domem.

Zapadałam się w tę starą ociężałość, rozpaczliwie usiłując się wydostać na powierzchnię, która mogła nigdy nie istnieć. Tkwiłam pogrążona we śnie przez Matka wie ile czasu, a jednak...

– Daj mi znać, kiedy sobie pójdą.

Radość w oczach Rhysa przygasła. Wyglądał, jakby chciał powiedzieć coś jeszcze, ale wtedy zza drzwi, z nieco większej odległości, dobiegł głos kobiety – dźwięczny i ostry.

– Wy, Ilyrowie, jesteście gorsi od kotów drących się wniebogłosy, żeby je wpuścić do domu. – Klamka szczęknęła. Kobieta westchnęła ciężko. – Doprawdy, Rhysandzie? Zamykasz przed nami drzwi?

Starając się usilnie utrzymać tę wszechogarniającą ociężałość w ryzach choć chwilę dłużej, ruszyłam w stronę schodów, na szczycie których pojawiły się Nuala i Cerridwena. Obie spoglądały w stronę drzwi zniesmaczone. Przysięgłabym, że druga z bliźniaczek dyskretnie skinęła na mnie, bym się pośpieszyła. Byłam gotowa je obie ucałować za tę odrobinę normalności.

Rhysa też byłam gotowa pocałować za to, że zwlekał z otwarciem drzwi, dopóki nie dotarłam do połowy błękitnego korytarza na piętrze. Właściciel pierwszego męskiego głosu powiedział:

– Witaj w domu, draniu.

Chwilę potem właściciel mroczniejszego męskiego głosu dorzucił:

– Wyczułem twój powrót. Mor wszystko mi powiedziała, ale...

Kobieta weszła mu w słowo:

– Odeślij swoje psy na podwórze, coby się pobawiły, Rhysandzie.

Mam z tobą pewne sprawy do omówienia.

Wtedy drugi mężczyzna, ten o głosie mrocznym jak środek nocy, dodał cicho tonem, od którego przeszły mnie ciarki:

– Ja również.

Pyszałkowaty nieznajomy dodał, teatralnie przeciągając sylaby:

– Byliśmy tu pierwsi. Czekać na swoją kolej, o Malutka Pradawna.

Stojące po moich bokach Nuala i Cerridwena drgnęły od z trudem powstrzymanego śmiechu lub z lęku... a może z obu tych powodów. Zdecydowanie z obu, uznałam, gdy kobieta zachnęła się zniecierpliwiona.

Z sufitu korytarza na piętrze zwisały kandelabry z barwionego szkła, oświetlające nieliczne wypolerowane na połysk drzwi po obu stronach. Zastanawiałam się, które prowadziły do pokoju Rhysanda... a także który pokój należał do Mor. Wtedy właśnie wśród rozgardiaszu na dole usłyszałam jej ziewnięcie.

– Czemu wszyscy poprzychodzili tak wcześnie? – zapytała. – Sądziłam, że spotkamy się później w Domu.

W odpowiedzi Rhysand *odburknął*:

– Możesz mi wierzyć, nie będzie żadnego przyjęcia. Będzie jedynie masakra, jeśli Kasjan się zaraz nie zamknie.

– Jesteśmy głodni – wyżalił się pierwszy z przybyszy: Kasjan. – Nakarm nas. *Ktoś* powiedział mi, że będzie śniadanie.

– Żałosne – parsknęła rozbawiona tajemnicza kobieta. – Jesteście żałosnymi durniami.

– Nikt nie zaprzeczy – powiedziała Mor. – Ale czy jest coś do jedzenia?

Usłyszałam te słowa – usłyszałam i przetworzyłam je. A potem odpłynęły w mrok moich myśli.

Nuala i Cerridwena otworzyły drzwi i wprowadziły mnie do słonecznego, ogrzanego trzaskającym ogniem pokoju. Okno wychodziło na zamknięty ogród na tyłach domu, na którym zima złożyła już swój pocałunek. Na środku stała uśpiona kamienna fontanna, opróżniona z wody na czas mrozów. Całe wyposażenie pokoju wykonano ze szlachetnego drewna i kremowych materiałów, z subtelnymi lawendowymi akcentami. Co dziwne, pomieszczenie sprawiało wrażenie niemal ludzkiego.

Łóżko – wielkie, obite pluszem, zarzucone kremowymi i beżowymi pikowanymi kołdrami mającymi chronić przed zimowym chłodem – wręcz zachęcało do spoczęcia na nim.

Ale nie byłam aż tak zmęczona, żeby nie móc zadać kilku podstawowych pytań, żeby przynajmniej udać przed samą sobą troskę o swoje bezpieczeństwo.

– Kto to był? – zapytałam, kiedy tylko zamknęły za mną drzwi.

Nuala przeszła do niewielkiego aneksu łazienkowego całego w białym marmurze, z wanną na pazurzastych łapach, z kolejnymi dużymi oknami wychodzącymi na mur okalający ogród i szereg dorodnych cyprysów trzymających straż zaraz za nim. Cerridwena, która już zmierzała do dużej szafy, wzdrygnęła się lekko i rzuciła przez ramię:

– To wewnętrzny krąg Rhysanda.

Osoby, o których wspomniał tamtego dnia na Dworze Nocy, z którymi Rhys miał się spotkać.

– Nie wiedziałam, że książęta pozwalają na takie swobodne zachowanie – przyznałam.

– Bo nie pozwalają – powiedziała Nuala, wyłaniając się z łazienki ze szczotką. – Tylko Rhysand pozwala.

Moje włosy musiały być w koszmarnym stanie, ponieważ Nuala zabrała się do ich rozczesywania, podczas gdy Cerridwena wyjęła z szafy strój nocny w kolorze kości słoniowej – ciepłą bluzkę obszytą miękką koronką i spodnie.

Przyjrzałam się ubraniu, pokojowi, na koniec zimowemu ogrodowi i uśpionej fontannie za oknami. Wtedy dopiero dotarła do mnie pełnia znaczenia wcześniejszych słów Rhysanda.

„Mury Velaris są dobrze strzeżone i od pięciu tysięcy lat nikt nie zdołał się przez nie przedrzeć”.

Co znaczyło, że Amarantha...

– Dlaczego to miasto wciąż tu jest? – Spojrzałam w odbite w lustrze ciemne oczy Nuali. – Jak... W jaki sposób zdołało przetrwać?

W odpowiedzi tylko ściągnęła usta i strzeliła wzrokiem na siostrę, która powoli podniosła się znad szuflady, trzymając w dłoni obszyte futrem kaptcie. Cerridwena przełknęła ślinę.

– Książę jest potężny – powiedziała... ostrożnie. – I robił wiele dla

swego ludu na długo przed tym, kiedy na ramionach zaciążył mu płaszcz ojca.

– Ale w jaki sposób zdołało przetrwać? – nie dawałam za wygraną.

Wokół domu rozciągało się miasto – urocze, jeśli sądzić po odgłosach dobiegających zza okna i wyglądzie ogrodu. Nietknięte, niezniszczone. Bezpieczne. Podczas gdy reszta świata legła w ruinie.

Bliźniaczki ponownie wymieniły porozumiewawcze spojrzenia, rozmawiając ze sobą w milczącym języku, którego nauczyły się zapewne jeszcze w łonie matki. Nuala odłożyła szczotkę na toaletkę.

– Nie do nas należy udzielenie odpowiedzi na twoje pytanie.

– Polecił wam nie mówić...

– Nie – weszła mi w słowo Cerridwena szykująca dla mnie łóżko. – Książę nie wydał nam podobnego polecenia. Ale to, co zrobił, aby ochronić to miasto, winnaś usłyszeć od niego, nie od nas. Byłybyśmy o wiele spokojniejsze, gdyby to on to wyjaśnił. My mogłybyśmy coś przekręcić.

Powiodłam wzrokiem między nimi. W porządku. Niech będzie.

Cerridwena podeszła do okna, aby zasunąć zasłony i pogрузić pokój w ciemności.

Serce zamarło mi w piersi i odjęło cały mój gniew.

– Nie zasuwaj ich – wykrztusiłam.

Nie zniosłabym zamknięcia w ciemnym pomieszczeniu – jeszcze nie.

Cerridwena kiwnęła głową i pozostawiła zasłony rozsunięte. Obie bliźniaczki poprosiły, abym je wezwała, kiedy tylko będę czegoś potrzebowała, po czym się oddaliły.

Zostałam w pokoju sama. Wślizgnęłam się pod kołdry, w zasadzie nie czując ich miękkości i gładkości.

Wśluchałam się w trzaskanie ognia w kominku, w świergot ptaków wśród gałęzi zimozielonych drzewek rosnących w ogrodzie w donicach, tak odmienny od słodkich melodii wiosennego ptactwa, do których przywykłam. Których mogłam już nigdy nie usłyszeć albo nie móc znieść.

Może Amarantha mimo wszystko wygrała.

W głowie zrodziła mi się nowa dziwna myśl, że może mój brak

powrotu będzie dla niego wystarczającą karą. Za to, co *on* zrobił mnie.
Zawładnął mną sen – nagły, brutalny i głęboki.

Rozdział 15

Obudziłam się cztery godziny później.

Kilka minut zajęło mi przypomnienie sobie, gdzie jestem i co się stało. Każde „tik” małego zegara stojącego na palisandrowym sekretarzyku rzucało mnie głębiej, głębiej i głębiej w tę ciężką ciemność. Ale przynajmniej nie czułam zmęczenia. Znużenie owszem, ale już bez uczucia, że za chwilę zasnę na wieki.

O tym, co się wydarzyło na Dworze Wiosny, pomyślę później. Jutro. Nigdy.

Szczęśliwie członkowie wewnętrznego kręgu Rhysanda opuścili dom, zanim skończyłam się przebierać.

Sam książę czekał na mnie w sieni, przy otwartych drzwiach, przez które widać było niewielki przedsionek w drewnie i marmurze oraz otwarte drzwi frontowe wychodzące na ulicę przed domem. Omiótł mnie wzrokiem od zamszowych granatowych butów – praktycznych i wygodnych – przez błękitny płaszcz do kolan, po warkocz zaczynający się z jednego boku głowy i wracający łukiem na drugą stronę. Pod płaszczem mój zwykły zwiewny strój zastąpiły grubsze i cieplejsze brązowe spodnie i ładny kremowy sweter, który był tak miękki w dotyku, że mogłabym w nim spać. Dziergane rękawiczki dopasowane kolorem do butów tkwiły już wetknięte w głębokie kieszenie płaszcza.

– Ta dwójka zdecydowanie lubi robić aferę – rzucił od niechcienia Rhysand, ale w jego głosie dało się wyczuć pewne napięcie.

Ruszyliśmy w stronę jaśniejszego zachęcająco prostokąta drzwi wyjściowych, który jednocześnie sprawiał wrażenie, jakby prowadził wprost ku wieczności.

Gdy chłonęłam wzrokiem wyłaniające się z tej jasności miejskie zabudowania, tkwiący we mnie ciężar na chwilę zelżał.

Lepkie promienie słońca ogrzewały i tak już całkiem przyjemne zimowe powietrze. Przed domem znajdował się niewielki, starannie wystrzyżony trawnik (wyschnięte źdźbła były niemal całkowicie białe) okolony wysokim do pasa płotkiem z kutego żelaza i pustymi kwietnikami. Za nim czekała czysta ulica wybrukowana jasnymi kamieniami. Fae wysokiego rodu rozmaitych kształtów i różnorodnie

odziani podążali w różne strony: niektórzy w płaszczach przypominających mój, chroniących przed rzeźkim mrozem; niektórzy ubrani na modłę śmiertelników w wiele warstw materiału, obszerne spódnice lub szamerowane spodnie; niektórzy w skórzanych strojach do jazdy konnej. Wszyscy kroczyli nieśpiesznie i spokojnie oddychali powietrzem przesyconym zapachem soli i miłowonki, którego nawet zima nie zdołała przegnać. Nikt nawet nie spojrział w stronę domu Rhysa. Tak jakby nie wiedzieli, że należy do niego, albo też nie przejmowali się tym, że ich ksiązę mieszkał w jednym z licznych marmurowych domów stojących po obu stronach ulicy, przykrytych co do jednego pozieleniałymi miedzianymi dachami z jasnymi kominami wypuszczającymi w czyste niebo wijące się smugi dymu.

W oddali jakieś dzieci pokrzykiwały radośnie.

Podeszłam niepewnie do furtki, drżącymi palcami odsunęłam skobel, ledwie rejestrując lodowate zimno metalu, i zdążyłam zrobić trzy kroki przed siebie, kiedy widok na końcu ulicy wrył mnie w bruk.

Ulica opadała łagodnie, z rzędami ładnych domków i dymiących kominów, wypełniona dobrze odżywionymi, beztroskimi mieszkańcami. Na jej końcu, u stóp wzgórze, wiała się szeroka rzeka, lśniąca w promieniach słońca jak najszlachetniejszy szafir, podążająca leniwie do rozległej tafli wody.

Morze.

Miasto wyglądało jak kruszonka rozsypana po stromych wzgórzach wyrastających na obu brzegach rzeki. Wszystkie budynki wzniesiono z białego marmuru lub piaskowca o ciepłej barwie. Po powierzchni rzeki snuły się statki o żaglach różnych kształtów. Nad masztami połyskiwały w południowym słońcu białe skrzydła ptaków.

Żadnych potworów. Nigdzie ciemności. Ani krztyny lęku czy rozpacz.

Miasto pozostało nietknięte.

„Od pięciu tysięcy lat nikt nie zdołał się przez nie przedrzeć”.

Nawet u szczytu swojej władzy nad Prythianem, cokolwiek Rhys zrobił, cokolwiek sprzedał czy zastawił... Amarantha naprawdę nie tknęła tego miejsca.

Pozostała część Prythianu została rozszarpana i pozostawiona

samej sobie, aby się wykrwawiać przez pięćdziesiąt lat, ale Velaris...
Dłonie zacisnęły mi się w pięści.

Poczułam dziwne mrowienie na karku i spojrzałam w drugą stronę ulicy.

Tam, niczym wieczni strażnicy miasta, wyrastały góry o płaskich szczytach i czerwonych zboczach – to z nich pochodził kamień wykorzystany do wzniesienia części zabudowań. Okalały Velaris łukiem ku północy aż do miejsca, gdzie rzeka płynęła łukiem w ich cieniu. Na północy, na drugim brzegu rzeki, inne góry okalały miasto – szczyty postrzępione niczym zęby drapieżnych ryb odcinały słoneczne wzgórza miasta od rozpościerającego się za nimi morza. Ale te góry za moimi plecami... Były śpiącymi olbrzymami. W jakiś sposób żywymi, świadomymi.

Jakby w odpowiedzi krążąca, wijąca się we mnie moc prześlizgnęła się wzdłuż kości niczym kot ocierający się o nogi, aby zwrócić na siebie uwagę. Zignorowałam ją.

– Ten szczyt pośrodku – powiedział Rhys za moimi plecami, przypominając mi o swojej obecności. Obróciłam się gwałtownie.

Wskazał największą z płaskich gór. W górnej części jej zboczy wykuto liczne dziury i... okna. Od strony miasta leciały ku niej na potężnych ciemnych skrzydłach dwie postacie.

– To mój drugi dom w tym mieście. Dom Wiatru.

Lecący lawirowali na zdradliwym i silnym wietrze.

– Zjemy tam dziś wieczerzę – dodał.

Nie potrafiłam ocenić, czy był bardziej poirytowany, czy zrezygnowany.

I w zasadzie nie dbałam o to. Obróciłam się z powrotem twarzą ku miastu.

– W jaki sposób? – zapytałam.

Zrozumiał, o co mi chodziło.

– Szczęście.

– Szczęście? Tak, jakże szczęśliwie dla ciebie się złożyło – powiedziałam cichym, lecz silnym głosem – że reszta Prythianu została obrócona w perzynę, podczas gdy twój lud, twoje miasto pozostały bezpieczne.

Wiatr potargał ciemne włosy Rhysanda. Twarz miał nieodgadnioną.

– Czy choć przez chwilę pomyślałeś – zapytałam głosem szorstkim jak żwir – że może warto byłoby podzielić się tym „szczęściem” z innymi krainami? Z innymi ludami?

– Inne miasta – odparł spokojnie – są znane światu. Velaris pozostaje od tysiącleci tajemnicą tych ziem. Amarantha nie tknęła go, bo nie wiedziała o jego istnieniu. Żadna z jej bestii nie wiedziała. Nie wie o nim także żaden z mieszkańców pozostałych dworów.

– Dlaczego?

– Czary, zaklęcia ochronne i moi bezlitośni, bezwzględni przodkowie, którzy byli gotowi uczynić wszystko, aby ocalić choć trochę dobra w naszym podłym świecie.

– A kiedy pojawiła się Amarantha – powiedziałam, niemal wypluwając jej imię – nie przyszło ci do głowy, żeby przyjmować tu uciekinierów?

– Kiedy pojawiła się Amarantha – odparł z błyskiem w oku, nieco popuszczając cugli swojemu temperamentowi – musiałem bardzo szybko podjąć bardzo trudne decyzje.

Przewróciłam oczami i odwróciłam się, by przyjrzeć się stromym wzgórzom i odległemu morzu.

– Zakładam, że mi nie powiesz.

Ale ja musiałam wiedzieć, jak zdołał ocalić ten skrawek spokoju i piękna.

– To nie jest właściwy czas na tę rozmowę.

Niech mu będzie. Słyszałam to już z tysiąc razy na Dworze Wiosny. Nie było warto naciskać.

Ale nie chciałam siedzieć sama w pokoju, *nie mogłam* sobie pozwolić na rozpaczanie, użalanie się, płacz i sen. Musiałam więc wyjść na zewnątrz, nawet jeśli oznaczało to dla mnie katorgę, nawet jeśli wielkość tego miejsca... Na Kocioł, miasto było olbrzymie. Wskazałam brodą zabudowania opadające ku rzece.

– Co w tym miejscu jest takiego, żeby ratować je kosztem wszystkich innych?

Kiedy na niego spojrzałam, z jego niebieskich oczu biła

bezwzględność wzburzonego zimowego morza.

– Wszystko.

Rhysand nie przesadzał.

W Velaris było wszystko: herbaciarnie z filigranowymi stolikami i krzesłami rozstawionymi przed radosnymi witrynami, z pewnością ogrzewane jakimś czarem, pełne rozgadanych i roześmianych fae wysokiego rodu – i kilku dziwnych, ale pięknych pomniejszych fae. Cztery rynki miejskie – nazywali je pałacami – dwa na tym, południowym brzegu rzeki Sidry i dwa na północnym.

Przez długie godziny naszej wspólnej wędrówki udało mi się zobaczyć tylko dwa z nich: były to wielkie, wybrukowane białymi kamieniami place okolone kolumnami podpierającymi rzeźbione i malowane budynki sprawiające wrażenie, jakby się przyglądały temu, co się dzieje na rynku, z podcieniami, w których mieściły się różne sklepy.

Na pierwszym odwiedzionym rynku, zwanym Pałacem Nici i Klejnotów, handlowano ubraniami, obuwiem, materiałami krawieckimi i szewskimi, a także biżuterią – błyszczące witryny sklepów jubilerskich zdawały się nie mieć końca. Jednak nic się we mnie nie poruszyło na widok lśniących w promieniach słońca, niewątpliwie rzadkich sukien powiewających na chłodnym wietrze wiejącym od rzeki ani ubrań wystawionych w szerokich przeszklonych witrynach czy też błysku złota, rubinów, szmaragdów i pereł rozłożonych na aksamitnych poduszkach. Nie śmiałam spojrzeć na nagi teraz palec lewej dłoni.

Rhys odwiedził kilku jubilerów. Powiedział, że szuka prezentu dla przyjaciółki. Za każdym razem wołałam zaczekać na niego na zewnątrz, kryjąc się w cieniu budynków pałacu. Wystarczyło mi chodzenie ulicami. Przedstawianie się, znoszenie natarczywych spojrzeń, łez, ocen... Jeśli miałabym to znosić, równie dobrze mogłam wpełznąć do łóżka i już nigdy z niego nie wstać.

Ale gdy przemierzaliśmy ulice, nikt mi się nie przyglądał, chociaż przecież szłam obok Rhysanda. Może nie mieli pojęcia, kim byłam; może mieszkańcy miasta nie dbali o to, kto między nimi chodzi.

Drugi rynek, Pałac Kości i Soli, był jednym z dwóch Bliźniaczych Rynków: jeden znajdował się na tym brzegu rzeki, drugi zaś – Pałac Kopyt i Liści – na drugim. Na obu tłoczyli się sprzedawcy mięs, płodów rolnych, przetworów, żywca, słodkości, przypraw... Tyle woni, zapachów znajomych i zapomnianych z tych drogich lat, w których zakosztowałam luksusu i nieprzebranego bogactwa niewyciężonego ojca.

Rhysand trzymał się o kilka kroków ode mnie, z rękami w kieszeniach, i co pewien czas podrzucał mi ciekawostki. Dowiedziałam się na przykład, że wiele sklepów i domów wykorzystywało magię do ogrzewania, zwłaszcza cieszących się popularnością części na świeżym powietrzu. Nie dopytywałam o szczegóły.

Nikt go nie unikał, nikt nie wymieniał szeptem uwag na jego temat, nie pluł na niego ani nie szturchał go, tak jak to robili pod Górą.

Nie: ludzie, którzy go zauważali, obdarzali go szerokimi ciepłymi uśmiechami. Niektórzy podchodzili i ściskali jego rękę, witając go z powrotem. Znał imiona wszystkich, a i oni zwracali się do niego po imieniu.

Jednak z biegiem czasu Rhys stawał się coraz bardziej zamknięty w sobie. Przystanęliśmy na skraju pomalowanej w jaskrawe barwy dzielnicy przycupniętej na szczycie jednego ze wzgórz opadających wprost ku rzece. Spojrzałam na najbliższy sklep i poczułam, jak kości mi kruszeją.

Pomalowane w wesołe kolory drzwi stały otworem i pozwalały dojrzeć obrazy, farby, pędzle i niewielkie rzeźby.

– Oto chluba Velaris – powiedział Rhys – dzielnica artystów. Znajdziesz tu setki galerii, sklepy z materiałami, garncarzy, ogrody rzeźb i wszystko inne. Nazywają to Tęczą Velaris. Artyści sceniczni – muzycy, tancerze, aktorzy – mieszkają na tamtym wzgórzu po drugiej stronie Sidry. Widzisz ten złoty dach lśniący nieopodal szczytu? To jeden z najważniejszych teatrów. W całym mieście mamy pięć dużych, ale ten jest najslawniejszy. Są też mniejsze, a amfiteatr wykuty w nadmorskich klifach...

Urwał, gdy dostrzegł, że mój wzrok wrócił do jaskrawych

budynków przed nami.

Po ulicach wędrowali fae wysokiego rodu i przedstawiciele różnych innych gatunków czarodziejskich istot, których nigdy wcześniej nie spotkałam i o których nawet nie wiedziałam, jak się nazywają. Najwięcej było tych drugich: niektórzy bezwłosi, o długich kończynach, lśniący, jakby pod ich ciemną jak noc skórą tkwił wewnętrzny księżyc; inni pokryci opalizującymi łuskami, które zmieniały barwę przy każdym pełnym gracji kroku szponiastych i błoniastych stóp; jeszcze inni elegancy, z kopytami, powykręcanyimi rogami i pasiastym futrem. Niektórzy nosili ciężkie płaszcze, owijali szyje szalami, a dłonie kryli w grubych rękawicach. Inni polegali jedynie na swoich łuskach i futrze, ale nie wyglądali, jakby im to przeszkadzało. Nikt inny też nie zwracał na nich większej uwagi. Wszyscy byli czymś zajęci: a to podziwianiem widoków, a to zakupami. Część nosiła ślady zaschniętej gliny, pyłu i... i farb.

Artyści. Nigdy nie uważałam siebie za artystkę, nigdy nie myślałam o sobie w tak wzniosłych kategoriach, ale...

Tam, gdzie kiedyś mieszkały barwy, światło i faktury, teraz był tylko zatechły loch.

– Jestem zmęczona – wydusiłam z siebie.

Czułam na sobie spojrzenie Rhysa; nie dbałam o to, czy moja tarcza była aktywna, czy też nic nie chroniło moich myśli przed nim.

– Możemy tu wrócić innego dnia – powiedział jedynie. – I tak już prawie pora na obiad.

Istotnie: słońce już opadało ku miejscu za wzgórzami, w którym rzeka spotykała się z morzem, i plamiło miasto na różowo i złoto.

Tego też nie miałam ochoty namalować, mimo że wszyscy wokół przystawali, by podziwiać zbliżający się zachód słońca. Mieszkańcy tego miasta, tego dworu, cieszyli się wolnością i bezpieczeństwem, dzięki którym mogli sycić oczy takimi widokami, ilekroć tylko zapragnęli. Nie znali innego życia.

Miałam ochotę do nich krzyczeć, chwycić kamień brukowy i roztrzaskać najbliższą szybę, ponownie wyzwolić kotłującą się pod moją skórą moc i powiedzieć im, *pokazać*, co zostało uczynione mnie i reszcie świata, podczas gdy oni podziwiali zachody słońca, malowali

i popijali herbatę nad rzeką.

– Spokojnie – wymruczał Rhys.

Obróciłam gwałtownie głowę w jego stronę, oddychając nieco chrapliwie.

Jego twarz ponownie przybrała ten nieodgadniony wyraz.

– Mój lud nie ponosi za to winy.

Mój gniew zniknął jak ręką odjął, jakby poślizgnął się na szczeblu drabiny, na którą wspinał się mozolnie wewnątrz mnie, i roztrzaskał na bladym bruku ulicy.

Tak... tak, oczywiście, że jego lud nie ponosił winy. Ale nie miałam ochoty dłużej o tym myśleć. Ani o niczym innym.

– Jestem zmęczona – powtórzyłam.

Grdyka mu zadrgała, ale skinął głową i odwrócił się plecami do Tęczy.

– Jutro wieczorem wybierzemy się na spacer. Velaris jest piękne w ciągu dnia, ale wybudowano je z myślą o podziwianiu go po zmroku.

Nie spodziewałam się niczego innego po Mieście Blasku Gwiazd, ale znowu nie mogłam znaleźć właściwych słów.

Lecz... wieczera. Z nim. W tym Domu Wiatru. Skoncentrowałam się na tyle, aby wykrztusić:

– Kto tak właściwie będzie na tym obiedzie?

Rhys prowadził mnie w górę stromej ulicy. Mięśnie ud paliły mnie przy każdym kroku. Czy tak bardzo wyszłam z formy? Czy tak bardzo osłabłam?

– Członkowie mojego wewnętrznego kręgu – odparł. – Zależy mi, abyś ich poznała, zanim zdecydujesz, czy chciałabyś tu zostać. Czy chciałabyś pracować ze mną, a zatem również z nimi. Mor już poznałaś, ale pozostała trójka...

– Ci, którzy przyszli wczorajszego popołudnia.

Kiwnął głową.

– Kasjan, Azriel i Amrena.

– Kim oni są?

Wspominał coś o Ilyrach, ale Amrena – kobieta, której głos słyszałam – nie miała skrzydeł. Przynajmniej takich, które mogłabym dostrzec przez mleczne szkło drzwi.

– Nasz krąg – powiedział bezbarwnym głosem – jest podzielony na szczeble. Amrena jest moją prawą ręką.

Kobieta? Zaskoczenie musiało być wypisane na mojej twarzy, ponieważ po chwili dodał:

– Tak. A Mor jest zaraz po niej. Tylko głupiec mógłby pomyśleć, że moi ilyryjscy wojownicy są najgroźniejszymi drapieżnikami w naszym kręgu. – Zuchwała i wesoła Mor była trzecia po księciu Dworu Nocy. – Przekonasz się sama, o co w tym chodzi, kiedy poznasz Amrenę – kontynuował Rhys. – Wygląda na fae wysokiego rodu, ale coś innego czai się pod jej skórą. – Rhys skinął głową mijanej parze miejscowych, którzy w odpowiedzi pochylili głowy z wesołymi uśmiechami. – Może i jest starsza od tego miasta, ale jest też próżna i lubi gromadzić swoje błyskotki i dobytek niczym ognisty smok w swojej jaskini. Tak więc... strzeż się. Sprowokowane obie potraficie stracić panowanie nad sobą, a ja nie chcę, aby tego wieczoru spotkała cię jakaś niespodzianka.

Po części nie chciałam wiedzieć, jaką konkretnie istotą była.

– Jeśli więc wdamy się w bójkę, a ja zerwę jej naszyjnik, upiecze mnie i pożre?

Zachichotał.

– Nie... Amrena posunęłaby się do o wiele, wiele gorszych rzeczy. Ostatnim razem, kiedy Amrena i Mor skoczyły sobie do gardeł, obróciły moją ulubioną górę w stosik żarzących się węgielków. – Uniósł brew. – Aby ukazać to w odpowiedniej skali, może i jestem najpotężniejszym księciem w historii Prythianu, ale nawet ja odważyłem się przerwać Amrenie ledwie raz w całym minionym stuleciu.

„Najpotężniejszym księciem w historii”...

Fae zamieszkują Prythian od niezliczonych tysiącleci, a Rhys... Rhys ze swoim kpiącym uśmiechem, sarkazmem i uwodzicielskim spojrzeniem...

A Amrena była od niego gorsza. Do tego miała więcej niż pięć tysięcy lat. Czekałam, aż dopadnie mnie lęk, aż moje ciało zawyje i zażąda znalezienia sposobu na wykręcenie się od tej wieczery, ale... nic takiego nie nastąpiło. Może zakończenie tego wszystkiego byłoby łaską...

Szeroka dłoń chwyciła mnie za twarz – wystarczająco lekko, aby nie zrobić mi krzywdy, ale jednocześnie dość mocno, aby mnie zmusić do spojrzenia mu w oczy.

– Ani mi się waż myśleć w ten sposób – wysyczał Rhysand z ogniem w oczach. – Nawet przez chwilę, nawet przez najkrótszą chwilę.

Łącząca nas więź naprężyła się i ostatnie z moich mentalnych tarcz rozpadły się. Przez jedno uderzenie serca, tak jak to miało miejsce pod Górą, przeskoczyłam ze swojego ciała w niego, z własnych oczu do jego.

Nie zdawałam sobie sprawy z tego... jak wyglądam...

Twarcz wymizerowana, ostro zarysowane kości policzkowe, niebieskoszare oczy przygaszone i podkrążone. Pełne wargi – usta odziedziczone po ojcu – były całkiem blade, a nad dekoltem grubego wełnianego swetra wyraźnie wystawały obojczyki. Wyglądałam, jakby... jakby złość, żal i rozpacz pożarły mnie żywcem, jakbym znowu była wygłodniała. Nie pozbawiona jedzenia, ale... ale radości i życia...

Wtem wróciłam do własnego ciała, cała kipiąca gniewem.

– Czy to była twoja sztuczka?

Puścił moją twarz, opuścił dłoń i odpowiedział zachrypniętym głosem:

– Nie. – Przechylił głowę na bok. – Jak się przez nią przebiłaś? Przez moją tarczę.

Nie wiedziałam, o co mu chodzi. Przecież nic nie zrobiłam. Po prostu... się prześlizgnęłam. I nie chciałam o tym mówić, nie tutaj, nie z nim. Ruszyłam gwałtownie przed siebie. Moje nogi – tak cholernie chude, tak bezużyteczne – protestowały przy każdym kroku w górę stromego zbocza.

Chwycił mnie za łokieć, ponownie z tą taktowną łagodnością i zarazem wystarczająco mocno, abym musiała przystanąć.

– Do ilu innych umysłów udało ci się przypadkowo wślizgnąć?

Lucien...

– *Lucien?* – Zaśmiał się krótko. – Co za żalosne miejsce do odwiedzenia.

Wydałam z siebie gardłowy pomruk.

– Nie pakuj się do moich myśli.

– Masz opuszczoną tarczę. – Postawiłam ją z powrotem. – Równie dobrze mogłaś wykrzyknąć jego imię. – Znowu przechylił głowę na bok w zamyśleniu. – Być może masz moją moc... – Przygryzł wargę, po czym parsknął. – To oczywiście miałoby sens: jeśli ta moc pochodzi ode mnie, moja tarcza czasem myliła ciebie ze mną i pozwalała ci się prześlizgnąć. Fascynujące.

Zastanowiłam się, czy warto splunąć na jego buty.

– Zabierz swoją moc z powrotem. Nie chcę jej.

Uśmiechnął się szelmowsko.

– To tak nie działa. Moc jest powiązana z twoim życiem. Jedynym sposobem na odebranie jej byłoby zabicie ciebie. A ponieważ lubię twoje towarzystwo, nie skorzystam z tej opcji. – Przeszedł kilka kroków w milczeniu, po czym dodał: – Musisz lepiej pilnować ochrony swojego umysłu. Zwłaszcza teraz, skoro widziałas Velaris. Jeśli kiedykolwiek zawędrujesz gdzie indziej, poza te ziemie, a ktoś wślizgnie się do twoich myśli i zobaczy to miejsce... – Mięsień zadrgał na jego szczęcie. – Nazywają nas daemati; tych, którzy potrafią wejść do czyjegoś umysłu tak, jak się przechodzi z jednego pokoju do drugiego. Jest nas niewielu, ten dar pojawia się wedle uznania Matki, ale jest nas dość na całym świecie, aby duża część – głównie ci piastujący wysokie stanowiska – intensywnie ćwiczyła swoje umiejętności. Gdybyś kiedykolwiek niechroniona swoją tarczą spotkała innego daemati, Feyro, wzięłaby wszystko, co tylko by zechciał. Potężniejszy potrafiłby uczynić cię swoją nieświadomą niewolnicą. Robiłabyś wszystko to, co by ci nakazał, nieświadoma, że impuls pochodzi z zewnątrz. Moje ziemie są na tyle wielką tajemnicą dla osób z zewnątrz, że niektórzy mogliby cię uznać za, między innymi, cenne źródło informacji.

Daemati... Czy teraz byłam jedną z nich, skoro także potrafiłam robić takie rzeczy? Kolejne cholerne miano, które wszyscy mogą szeptać za moimi plecami.

– Rozumiem, że w przypadku ewentualnej wojny z Hybarnią armie króla nawet by nie wiedziały, że należy zaatakować to miejsce? – Zatoczyłam ręką koło, wskazując otaczające nas miasto. – Czyli co: twój wypieszczony lud... ci, którzy nie potrafią osłonić swojego umysłu...

oni znajdą się pod twoją ochroną i nie będą musieli walczyć, podczas gdy reszta z nas będzie się wykrwawiać?

Nie dałam mu szansy odpowiedzieć i przyspieszyłam kroku. Tania zagrywka, do tego dziecinna, ale... Wewnątrz, w środku stałam się niczym to odległe morze, niemiłosiernie wzburzone, miotane szkwałami tak, że powierzchnia wody ginęła w kipieli żywiołów.

Przez resztę drogi powrotnej Rhys trzymał się tuż za moimi plecami.

Gdzieś w głębi duszy tliła mi się myśl, że jestem w stanie otrząsnąć się po kaźni w szponach Amaranthy, że poradzę sobie z opuszczeniem Tamlina, że przetrwam przeistoczenie w tę nową dziwną postać... Ale ta pustka, ta zimna dziura w mojej piersi... Nie byłam pewna, czy z tym jednym zdołam sobie poradzić.

Nawet w latach, gdy od śmierci głodowej dzielił mnie jeden gorszy tydzień, ta część była zawsze pełna barw i światła. Może zostanie jedną z fae to zepsuło? Może zrobiła to Amarantha?

A może ja sama, gdy wbiłam sztylety prosto w serca dwójki niewinnych fae, a ich krew ogrzała moje dłonie.

– Nie ma mowy – zaprotestowałam.

Staliśmy w niewielkim ogródku urządzonym na dachu domu.

Dłonie wbiłam głęboko w kieszenie płaszcza, by je ogrzać, uchronić przed mroźnym nocnym powietrzem. Na dachu zmieściło się kilka krzewów w doniczkach, okrągły stół i dwa krzesła z kutego żelaza... a teraz jeszcze ja i Rhysand.

Wokół nas miasto migotało, a gwiazdy zdawały się wisieć niżej. Wszędzie, gdzie spojrzeć, pulsowały rubinowe, ametystowe i perłowe światła. Blask wiszącego nad naszymi głowami księżycy w pełni odbijał się od marmurowych ścian budynków i mostów tak jasno, jakby wszystko było rozświetlone od wewnątrz. Skądś dobiegała muzyka, zawodzenie smyczków i delikatne bębnienie. Po obu stronach Sidry złote światła podskakiwały wzdłuż nadrzecznych bulwarów pełnych kawiarni i sklepów, otwartych całą noc, już po brzegi wypełnionych klientami.

Życie... miasto było tak pełne życia. Niemalże czułam jego smak

szczypiący mnie w język.

Rhysand, w czarnym stroju wyszywanym srebrną nicią, skrzyżował ramiona i poruszył swoimi olbrzymimi skrzydłami.

– Nie – powtórzyłam.

– Zaklęcia chroniące Dom Wiatru uniemożliwiają przeskoczenie do środka, tak samo jak w przypadku tego domu. Nawet księżęta nie zdołają się tam w ten sposób dostać. Nie pytaj, dlaczego ani kto to zrobił. Do wyboru mamy wspinaczkę po dziesięciu tysiącach stopni, na co *naprawdę* nie mam ochoty, Feyro, albo lot tam. – Blask księżycy lśnił na szponach kończących jego skrzydła, jakby były pokryte glazurą. Księżę Dworu Nocy posłał mi leniwy uśmiech, którego nie widziałam u niego przez całe popołudnie. – Obiecuję, że cię nie upuszczę.

Zmarszczyłam brwi i spojrzałam w dół na ciemnogramatową jak nocne niebo sukienkę, którą wybrałam. Nawet długie rękawy i ciężki kosztowny materiał nijak nie chroniły przed mrozem, zwłaszcza w połączeniu z głęboko wyciętym wąskim dekoltem. Zastanawiałam się nad włożeniem swetra i grubszych spodni, ale ostatecznie postawiłam na szyk kosztem wygody. Zdążyłam już tego pożałować nawet pomimo założenia na wierzch płaszcza. Ale jeśli jego wewnętrzny krąg w jakimkolwiek stopniu przypominał dwór Tamlina... lepiej było włożyć coś bardziej formalnego. Spojrzałam na połączyć nocy między dachem a górską rezydencją.

– Wiatr zerwie ze mnie sukienkę.

Uśmiech Rhysanda stał się drapieżny.

– Pójdę schodami – wysyczałam.

Gniew był miłą odmianą wobec minionych godzin drętwoty.

Ruszyłam w stronę drzwi na drugim krańcu dachu.

Rhys rozpostarł jedno ze skrzydeł i zagroził mi drogę.

Gładka błona nakrapiana fluorescencyjnymi plamkami. Cofnęłam się.

– Nuala spędziła całą godzinę nad moją fryzurą.

Przesadzałam, ale istotnie się napracowała. Siedziałam bez ruchu w pustej ciszy i pozwalałam jej formować końcówki moich włosów w łagodne loki, po czym upiąć część na czubku głowy ślicznymi złotymi kłami. Ale może pozostanie w tym domu na noc, w samotności

i ciszy... Może to będzie lepsze niż spotkanie z tymi istotami. Niż interakcje.

Rhys objął mnie skrzydłem i delikatnie przyciągnął do siebie, aż poczułam żar bijący od jego muskularnego ciała.

– Obiecuję, że nie pozwolę wiatrowi zniszczyć twojej fryzury.

Uniósł dłoń, jakby chciał pociągnąć za jeden z luźnych loków, ale po chwili opuścił ją.

– Jeśli mam zdecydować, czy chcę współpracować z tobą... z twoim wewnętrznym kręgiem przeciwko Hybernii, czy nie możemy zwyczajnie... spotkać się tutaj?

– Wszyscy już tam są. Poza tym w Domu Wiatru jest wystarczająco wiele miejsca, żebym w razie potrzeby nie musiał zrzucić ich wszystkich ze szczytu góry w przepaść.

Przełknęłam ślinę. Wzdłuż górnej krawędzi środkowej góry za nami rozbłyskały liczne poziomy światłych punktów, tak jakby na górę nałożono złotą koronę. A między mną a tą koroną światła była duża, naprawdę duża otwarta przestrzeń.

– Chcesz powiedzieć – odparłam, bo to mogła być jedyna broń w moim arsenale – że ten dom jest zbyt mały dla ich wielkich osobowości, a ty się martwisz, że znowu stracę panowanie nad sobą.

Przyciągnął mnie skrzydłem jeszcze bliżej siebie; poczułam ciepło na moim ramieniu.

– A jeśli nawet tak jest?

– Nie jestem jakąś zepsutą lalką.

Nawet jeśli dzisiejsze popołudnie, nasza rozmowa czy to, co zobaczyłam przez jego oczy, świadczyło o czymś zgoła innym. Pozwoliłam mu się jednak przysunąć o jeszcze jeden krok.

– Wiem, że nie jesteś. Ale to nie znaczy, że rzucę cię wilkom na pożarcie. Jeśli na poważnie deklarowałaś chęć współpracy ze mną, by utrzymać króla Hybernii z dala od tych ziem, by mur pozostał na swoim miejscu, chcę, abyś najpierw poznała moich przyjaciół. Żebyś sama zdecydowała, czy jest to coś, z czym sobie poradzisz. I chcę, żeby to spotkanie odbyło się na *moich* warunkach, a nie wtedy, kiedy oni uznają za stosowne znowu napaść na ten dom.

– Nie wiedziałam, że w ogóle masz przyjaciół.

Tak. Złość, szyderstwo... To lepsze niż nieodczuwanie niczego.
Uśmiechnął się chłodno.

– Nie pytałaś.

Znalazłam się na tyle blisko Rhysanda, że objął mnie ramieniem i położył dłoń na mojej talii, jednocześnie otaczając mnie oboma skrzydłami. Zesztywniałam. Klatka...

Skrzydła się cofnęły.

Ale objął mnie mocniej. Szykował się do wzbicia się w powietrze.
Matko, miej mnie w swej opiece.

– Wystarczy, że powiesz tylko słowo, a wrócimy tutaj, bez żadnych pytań z mojej strony. A jeśli uznasz, że nie zdołasz współpracować ze mną, z nimi, również nie będę dociekał powodów. Możemy znaleźć inny sposób, abyś mogła tu mieszkać, spełniać się, niezależnie od tego, czego potrzebuję. To twój wybór, Feyro.

Może powinnam nalegać, żeby pozwolił mi tu zostać? Ale po co? Żeby pójść spać? Żeby uniknąć spotkania, które zdecydowanie musiałam odbyć, zanim zdecyduję, co tak właściwie chcę ze sobą zrobić? I jeszcze lot...

Przyjrzałam się skrzydłom, obejmującym mnie w pół ramieniu.

– Proszę, nie upuść mnie. I nie...

Wystrzeliliśmy w niebo tak szybko, jak spadająca gwiazda leci w dół.

Zanim przebrzmiało echo mojego krzyku, pod nogami widziałam już całe miasto. Rhys ścisnął mnie mocniej w talii, a drugą rękę wsunął pod kolana. Wzbijaliśmy się wyżej i wyżej, i wyżej, prosto w nakrapiane gwiazdami nocne niebo, prosto w płynną ciemność i śpiewający wiatr.

Światła miasta oddalały się, aż Velaris było już tylko falującym aksamitnym kocem, na którym ktoś rozsypał klejnoty; aż muzyka nie docierała już nawet do naszych spiczastych uszu. Powietrze było mroźne, ale twarz owiewał mi tylko łagodny wiaterek, chociaż mknęliśmy z niesamowitą precyzją w stronę Domu Wiatru.

Ciało Rhysa było twarde i ciepłe. Potężna siła natury stworzona i doskonalona z myślą o takim locie. Nawet jego zapach przypominał wiatr – deszcz, sól i coś cytrusowego, czego nie potrafiłam nazwać.

Skręciliśmy w prąd wznoszący i wzbiliśmy się wyżej tak szybko,

że instynktownie chwyciłam się kurczowo jego czarnej tuniki, walcząc z nudnościami. Skrzywiłam się na dźwięk cichego chichotu, który połaskotał mnie w ucho.

– Spodziewałem się, że będziesz więcej krzyczała. Chyba za słabo się staram.

– Nawet o tym nie myśl – wysyczałam i skupiłam uwagę na zbliżającej się tiarze światła spoczywającej na wiecznej ścianie góry.

Z niebem przemykającym nad naszymi głowami i światłami pędzącymi pod nogami góra i dół stały się swymi odbiciami, aż ostatecznie żeglowaliśmy po morzu gwiazd. Coś zaciśniętego mocno w mojej piersi minimalnie złagodziło ucisk.

– Kiedy byłem małym chłopcem – powiedział mi do ucha Rhys – wymykałem się z Domu Wiatru, skacząc z okna, i leciałem, leciałem całą noc, robiąc pętle wokół miasta, rzeki, morza. Czasem wciąż to robię.

– Twoi rodzice musieli być wniebowzięci.

– Ojciec nigdy się nie dowiedział. A matka... – Zawiesił na chwilę głos. – Była Ilyrką. W niektóre noce, kiedy przyłapywała mnie na wyskakiwaniu przez okno, besztala mnie... po czym sama wyskakiwała za mną i lataliśmy razem aż po świt.

– Musiała być cudowna – przyznałam.

– Była.

To jedno słowo powiedziało mi dość o jego przeszłości. Nie drażyłam dalej.

Naprężył mięśnie i wzlecieliśmy wyżej, aż znaleźliśmy się na wysokości szerokiego balkonu zalanego blaskiem złotych latarni. Na jego drugim końcu, w samej ścianie góry, widniało dwoje otwartych drzwi prowadzących do dużej jadalni wykutej w skale. Była zaskakująco swobodnie zaaranżowana, z akcentami ze szlachetnego drewna. Zwróciłam uwagę, że wszystkie krzesła wykonano tak, aby mogły na nich siedzieć osoby wyposażone w skrzydła.

Rhys wylądował równie płynnie, jak wystartował, chociaż musiał podtrzymać mnie, gdy kolana się pode mną ugięły. Odtrąciłam jego rękę i spojrzałam na pozostawione w dole miasto.

Spędziłam tyle czasu przykucnięta na gałęziach drzew, że duże

wysokości już dawno przestały mnie przerażać. Ale ogrom miasta... gorzej, nieskończona połać ciemności poza nim... morze... Może odezwała się we mnie „głupia człeczyna”, ale nie zdawałam sobie sprawy z wielkości naszego świata. Z wielkości Prythianu, jeśli tak wielkie miasto mogło pozostać ukryte przed Amaranthą i przed pozostałymi dworami.

Rhysand stał w milczeniu obok mnie. Po chwili się odezwał:

– No mówże.

Uniosłam brwi.

– Powiedz, co ci chodzi po głowie. Jedną rzecz. Wtedy ja również podzielę się jedną myślą.

Pokręciłam głową i odwróciłam się z powrotem w stronę miasta. Ale Rhys nie dawał za wygraną.

– Myślę o tym – powiedział – że spędziłem pięćdziesiąt lat zamknięty pod Górą i czasem pozwalałem sobie śnić o tym miejscu, ale nigdy się nie spodziewałem, że dane mi będzie jeszcze je ujrzeć. Myślę też, że chciałbym być tą osobą, która ją zabiła. Myślę, że jeśli nadejdzie wojna, może upłynąć wiele czasu, zanim znów doświadczę nocy takiej jak ta.

Przesunął wzrok na mnie i przyglądał mi się wyczekująco.

Nie było sensu pytać go ponownie, w jaki sposób zdołał utrzymać to miasto w tajemnicy przed nią. I tak zapewne odmówiłby odpowiedzi. Zapytałam więc o co innego:

– Sądzisz, że wojna wybuchnie wkrótce?

– To było zaproszenie z gatunku „bez żadnych pytań”.

Powiedziałem ci... trzy rzeczy. Ty mi powiedz jedną.

Spoglądałam na otwarte przestrzenie, na miasto, na niespokojne morze, na suchą zimową noc.

Może był to jakiś strzęp odwagi albo lekkomyślność, a może świadomość, że znajdowaliśmy się wysoko ponad wszystkim innym i usłyszeć mnie mogli tylko Rhys i wiatr, bo powiedziałam:

– Myślę, że musiałam być ślepo zakochana, aby pozwolić pokazać sobie tak mały wycinek Dworu Wiosny. Myślę, że jest wiele miejsc, których nigdy nie pozwolono mi zobaczyć albo o których nigdy nie pozwolono mi usłyszeć, i może żyłabym w niewiedzy po wsze czasy jak

jakaś maskotka. Myślę...

Słowa uwięzły mi w gardle. Potrząsnęłam głową, tak jakbym mogła w ten sposób pozbyć się pozostałych. Ale i tak je wymówiłam.

– Myślę, że byłam samotna, pozbawiona nadziei i mogłam się zakochać w pierwszej istocie, która okazała mi choć trochę dobroci i zapewniła choć trochę bezpieczeństwa. Myślę też, że może on zdawał sobie z tego sprawę... doskonale, ale może chciał być taką osobą dla kogoś. I może to wystarczyło tej, którą byłam przedtem. Może nie starcza już tej, którą... kim jestem teraz.

Proszę.

Słowa – nienawistne, samolubne i niewdzięczne. Za wszystko, co Tamlin zrobił...

Wspomnienie jego imienia zabrzmiało głucho w mojej głowie. Jeszcze wczorajszego popołudnia byłam tam. Nie... nie, nie będę o tym myśleć. Jeszcze nie.

– To było pięć rzeczy – stwierdził Rhysand. – Wygląda na to, że jestem ci winien dwie myśli. – Rzucił szybkie spojrzenie przez ramię. – Później.

Ponieważ w drzwiach stali dwaj uskrzydleni mężczyźni, których widziałam wcześniej w domu w mieście.

I się szczerzyli.

Rozdział 16

Rhys ruszył powolnym krokiem w stronę mężczyzn stojących w drzwiach jadalni, pozostawiając mi decyzję o pozostaniu tam, gdzie stałam, albo dołączeniu do niego.

Obiecał, że wystarczy jedno słowo, a wrócimy.

Obaj byli wysocy. Zwinięte skrzydła tkwiły przyciśnięte do potężnych umięśnionych ciał okrytych kamizelkami z pozszywanych kawałków ciemnej skóry, które przypominały podniszczone łuski jakiejś węzowatej bestii. Zza głów wystawały im rękojeści przymocowanych wzdłuż kręgosłupa mieczy – piękne w swej prostocie. Chyba niepotrzebnie zwracałam sobie głowę szykownym strojem.

Nieco wyższy z dwójki, z twarzą skrytą w cieniu, zachichotał i przemówił:

– No chodź, Feyro. Nie gryziemy. No, chyba że nas poprosisz.

Zaskoczenie przepłynęło przeze mnie nagłym prądem i zmusiło stopy do ruchu.

Rhys wsunął dłonie do kieszeni.

– Z tego, co słyszałem, Kasjanie, nikt nigdy nie skorzystał z tej oferty.

Drugi z mężczyzn parsknął. Kiedy obaj się obrócili w stronę zalanej złotym blaskiem jadalni, wreszcie mogłam się przyjrzeć ich twarzom. I szczerze się zastanawiałam, dlaczego żadna z kobiet nigdy nie skorzystała z jego propozycji. Jeśli matka Rhysanda również była Ilyrką, to ten lud został obdarzony nienaturalnie przyjemnym dla oka wyglądem.

Podobnie jak ich księżę obaj mężczyźni – wojownicy – mieli ciemne włosy i śniadą skórę. Jednak w przeciwieństwie do Rhysa oczy mieli piwne – i utkwione we mnie, gdy w końcu zbliżyłam się do nich i do czekającego za nimi Domu Wiatru.

Tu się kończyły wszelkie podobieństwa między tą trójką.

Kasjan omiótł Rhysa wzrokiem od stóp do głów. Jego długie do ramion czarne włosy falowały przy każdym ruchu głowy.

– Aleś się dziś odstawił, bracie. I jeszcze biednej Feyrze też kazałeś się wystroić.

Po tych słowach mrugnął do mnie. W rysach jego twarzy było coś topornego – tak jakby powstał z wiatru, ziemi i płomienia, a wszystkie wymysły cywilizacji uważał za niewiele więcej niż utrapienie.

Ale drugi z mężczyzn, obdarzony bardziej klasyczną urodą... Nawet światło lamp jakby nie śmiało padać na dystygowane rysy jego twarzy. Nie bez powodu. Były piękne, ale jednocześnie niemal niemożliwe do odczytania. To na niego należało uważać – był niczym nóż skryty w mroku. Jakby na dowód trafności mojego skojarzenia w zamocowanej na udzie pochwie z ciemnego materiału pokrytego szeregiem srebrnych run, które widziałam po raz pierwszy w życiu, tkwił nóż myśliwski o rękojeści z obsydianu.

– To jest Azriel – oznajmił Rhys. – Mój naczelny szpieg.

Przyjęłam tę informację bez zaskoczenia. Jakiś zakopany głęboko instynkt kazał mi co chwilę sprawdzać, czy chroniące mój umysł tarcze są na miejscu. Na wszelki wypadek.

– Witaj – rzucił w moją stronę niskim, niemal bezbarwnym głosem Azriel i wyciągnął ku mnie srogo pobliznioną dłoń.

Kształt miała normalny, ale skóra... Wyglądała, jakby została poskręcana, pomarszczona i pomazana czymś ciemnym. Blizny po oparzeniach. Musiały być straszliwe, skoro nawet ich nieśmiertelna krew nie zdołała ich zaleczyć.

Jego skórzana zbroja zakrywała większość znamion, utrzymywana w miejscu pętlą założoną na środkowy palec. Nie po to, by ukryć skazy – uznałam, gdy jego dłoń przecięła mroźne nocne powietrze między nami. Nie: pętla miała utrzymać na swoim miejscu duży, zdający się nie mieć dna oszlifowany kobaltowy kamień zdobiący wierzch rękawicy. Drugi, identyczny, nosił na lewej dłoni. Rękawice Kasjana zaś zdobiły bliźniacze czerwone kamienie o barwie głębokiej jak uśpione serce płomienia.

Ujęłam dłoń Azriela i jego szorstkie palce ścisnęły moje. Skórę miał równie chłodną co wyraz twarzy.

Ale moją uwagę przykuło teraz słowo, którego przed chwilą użył Kasjan.

Puściłam dłoń naczelnego szpiega i starałam się ukryć, że chętnie wróciłabym do boku Rhysa.

– Jesteście braćmi?

Ilyrowie byli do siebie podobni, ale tylko w ten sposób, w jaki podobne są osoby pochodzące z tego samego miejsca.

– Braćmi w takim znaczeniu, w jakim wszyscy dranie są tak jakby braćmi dla siebie nawzajem – wyjaśnił Rhysand.

Nigdy dotąd tak o tym nie myślałam.

– A... ty? – zwróciłam się do Kasjana.

Kasjan wzruszył ramionami i ułożył ściślej skrzydła.

– Dowodzę armiami Rhysa.

Tak jakby taka pozycja zasługiwała na wzruszenie ramion.

Armiami... Rhys dysponował armiami. Przeszłam z nogi na nogę. Piwne oczy Kasjana śledziły każdy mój ruch. Widząc drganie kącika jego ust, spodziewałam się, że zaraz wygłosi profesjonalną opinię, że swoim postępowaniem ułatwiałam potencjalnemu przeciwnikowi pozbawienie mnie równowagi. Jednak Azriel doprecyzował:

– Kasjan jest też mistrzem we wkurzaniu wszystkich wokół. Zwłaszcza w gronie przyjaciół. Tak więc, przyjaciółko Rhysanda... życzę ci powodzenia.

Przyjaciółka Rhysanda. Nie zbawczyni krainy, nie morderczyni, nie ludzko-czarodziejska pokraka. Może nie wiedzieli...

Kasjan odsunął swojego dranio-brato-ktosia z drogi. Azriel rozłożył lekko swoje potężne skrzydła, starając się zachować równowagę.

– Jakim cudem zdołałaś zrobić tę drabinę z kości w legowisku czerwia middengardzkiego, skoro wyglądasz, jakby twoje kości miały lada chwila pęknąć?

Cóż, to rozwiewało wątpliwości, czy był wtedy pod Górą. Ale gdzie dokładnie wtedy był... Kolejna tajemnica. Może tu, razem z mieszkańcami. Bezpieczny i rozpieszczany.

Spojrzałam Kasjanowi w oczy; choćby dlatego, że poleganie wyłącznie na Rhysandzie mogło mnie dodatkowo pogłębić. I może czyniło mnie to złośliwą żmiją, może lubiłam tak się zachowywać, ale i tak spytałam:

– Jakim cudem jeszcze nikt cię nie zabił?

Kasjan odchylił głowę do tyłu i zaniósł się gromkim śmiechem,

który odbił się echem od czerwonego kamienia Domu. Azriel uniósł brwi z wyrazem aprobaty na twarzy, a cienie zdawały się owijać ciaśniej wokół niego. Tak jakby był mrocznym ulem, z którego wylatywały i do którego wracały pszczoły.

Staralam się nie zadrzeć i obróciłam się do Rhysa, licząc na wyjaśnienie tajemniczego daru jego naczelnego szpiega.

Rhys przybrał nieodgadniony wyraz twarzy, ale spojrzenie miało czujne. Taksujące. Już chciałam zapytać, czemu się tak przygląda, kiedy na balkon wparowała Mor.

– Mam nadzieję, że to wycie Kasjana oznacza, że Feyra kazała mu stulić jego brudny pysk.

Obaj Ilyrowie odwrócili się w jej stronę. Kasjan rozstawił nogi nieco szerzej i przybrał postawę bojową, którą znałam aż za dobrze.

Jej pojawienie się nieco mnie rozproszyło, tak że mało brakowało, a nie zauważyłabym, jak Azriel wyłonił się częściowo ze spowijających go cieni i omiótł Mor spojrzeniem od stóp do głów. Miała na sobie czerwoną szyfonową suknię opadającą draperiami ku ziemi. Ramiona zdobiły złote bransolety podkreślające kolor stroju. Rozpuszczone luźno włosy nosiła zaczesane do tyłu. Utrzymały je w ryzach grzebienie zdobione pozłacanymi liśćmi.

Smuga cienia owinęła się wokół ucha Azriela i naczelną szpieg Rhysa nagle spojrział mi w oczy. Przywołałam na twarz wyraz dobrotliwej niewinności.

– Nie wiem, czemu zdarza mi się zapomnieć, że jesteście spokrewnieni – zwrócił się do Mor Kasjan, wskazując brodą Rhysa, który na te słowa przewrócił oczami. – Wy i te wasze ubrania...

Mor ukloniła się płytko wojownikowi. W istocie niemal zachwiałam się z ulgi na widok jej szykownego stroju. Przynajmniej teraz nie będę się wyróżniała swoim.

– Chciałam wyrzeć odpowiednie wrażenie na Feyrze. A ty mogłeś chociaż się uczesać.

– W przeciwieństwie do co poniektórych – odparował Kasjan tonem, który potwierdził moje wcześniejsze podejrzenia, że gotował się do walki – mam lepsze rzeczy do roboty niż siedzenie całymi godzinami przed lustrem.

– W rzeczy samej – stwierdziła Mor, odrzucając swoje długie włosy przez ramię – w końcu szwendanie się po Velaris...

– Mamy towarzystwo – szepnął ostrzegawczo Azriel.

Ponownie nieco rozpostarł skrzydła i zagarnął oboje przez otwarte drzwi do jadalni. Przysięgłabym, że snuły się za nimi cienkie pasemka ciemności.

Mor uchyliła się przed skrzydłem Azriela i poklepała go po ramieniu.

– Spokojnie, Az... dzisiaj żadnych walk. Obiecaliśmy Rhysowi.

Wijące się wokół Ilyra cienie zniknęły całkowicie. Zwiesił lekko głowę, pozwalając, by czarne niczym noc włosy przesłoniły przystojną twarz, tak jakby miały go ochronić przed jej bezlitośnie pięknym, szerokim uśmiechem.

Mor udała, że tego nie zauważyła, i skinęła na mnie dłonią.

– Chodź, posiedź ze mną, kiedy ci tutaj będą pili.

Zachowałam dość godności, aby nie spojrzeć na Rhysa w poszukiwaniu potwierdzenia, że skorzystanie z jej zaproszenia niczym nie groziło. Poszłam więc za nią, podczas gdy dwójka Ilyrów odsunęła się od nas i przeszła te kilka kroków w towarzystwie swojego księcia.

– Chyba że wolisz się napić – powiedziała Mor, gdy weszliśmy do ciepłej jadalni o ścianach z czerwonej skały. – Ale chciałabym mieć cię trochę dla siebie, zanim Amrena cię zagarnie.

Nagle drzwi prowadzące dalej do wnętrza góry otworzyły się do wtóru szeptu wiatru i ukazały cieniste karmazynowe korytarze wydrążone w skale.

Może gdzieś jeszcze we mnie tliła się iskra śmiertelności, ponieważ chociaż ta niska delikatna kobieta *wyglądała* na fae wysokiego rodu... tak jak ostrzegał mnie Rhys, wszystkie moje instynkty wrzeszczały, abym rzuciła się do ucieczki. Ukryła się gdzieś.

Mierzyła kilka cali mniej ode mnie. Jej sięgające brody czarne włosy były lśniące i proste, skóra – opalona i gładka, a na ładnej, niemal pospolitej twarzy rysowało się znużenie, jeśli nie wręcz lekka irytacja. Ale jej oczy...

Jej srebrzyste oczy nie przypominały żadnych, jakie zdarzyło mi się widzieć. Jedno spojrzenie w nie wystarczało, by zrozumieć, że nie

patrzę na przedstawicielkę szlachetniejszych fae. Albo że nie urodziła się taka.

Srebro w oczach Amreny zdawało się wirować niczym dym za szkłem.

Miała na sobie spodnie i bluzkę przypominające te, które nosiłam w tamtym górskim pałacu, jedno i drugie w kolorze ołowiu i burzowych chmur. Jej uszy, palce i nadgarstki zdobiły perły – białe, szare i czarne. W porównaniu z mocą bijącą od niej nawet stojący obok mnie książę Dworu Nocy wydawał się ledwie wąłym cieniem.

Mor jęknęła, opadła na krzesło blisko szczytu stołu i nalała sobie kieliszek wina. Kasjan usiadł naprzeciwko niej i wyciągnął rękę po butelkę. Rhysand i Azriel stali dalej – może gotowi na ewentualną interwencję – i przyglądali się, jak nowo przybyła podeszła i zatrzymała się dopiero jakieś trzy stopy ode mnie.

– Twój gust pozostaje niezmiennie wyśmienity, książę. Dziękuję.

Głos miała łagodny, ale naostrzony lepiej niż jakikolwiek nóż, z jakim się spotkałam. Drobnymi smukłymi palcami pogładziła delikatną broszkę ze srebra i pereł wpiętą w materiał nad jej prawą pierś.

To dla niej zatem kupił biżuterię. Błyskotki, których nigdy – pod żadnym pozorem – miałam nawet nie próbować wykraść.

Przyjrzałam się Rhysowi i Amrenie, tak jakbym potrafiła rozwikłać tajemnicę łączącej ich więzi, ale Rhysand tylko machnął ręką i skłonił głowę.

– Pasuje ci, Amreno.

– Wszystko mi pasuje – odparła i te okropne, hipnotyczne oczy ponownie napotkały moje spojrzenie. Były niczym pioruny na postronkach.

Zbliżyła się o krok, lekko pociągając nosem, i chociaż byłam od niej wyższa o dobre pół stopy, nigdy wcześniej nie czułam się słabsza. Zdołałam jednak utrzymać głowę w górze. Nie wiem czemu, ale zdołałam.

– Zatem jesteśmy teraz dwie – powiedziała.

Moje brwi zsunęły się nieznacznie.

Usta Amreny były niczym cienka czerwona kreska.

– My, które narodziłyśmy się czymś innym i skończyłyśmy

uwięzione w nowych, dziwnych ciałach.

Naprawdę nie chciałabym wiedzieć, co widziała w swoim życiu.

Amrena skinęła brodą, wskazując mi puste krzesło obok Mor. Jej włosy poruszyły się niczym płynna noc. Sama usiadła naprzeciwko mnie, obok Kasjana. Azriel usiadł u jej drugiego boku, a Rhys naprzeciwko niego, po mojej prawej ręce.

Nikt nie zajął miejsca u szczytu stołu.

– Chociaż jest i trzecia – dodała Amrena, spoglądając na Rhysanda.
– Chyba nie miałeś wieści od Miriam od... wieków. Ciekawe.

Kasjan przewrócił oczami.

– Proszę, po prostu przejdź do sedna, Amreno. Jestem głodny.

Mor zakrzuszyła się winem. Amrena przeniosła uwagę na wojownika siedzącego po jej prawej. Azriel bardzo uważnie obserwował tę dwójkę.

– Nikt w tej chwili nie grzeje twojego łoża, Kasjanie? Musi być *niesamowicie* ciężko być Ilyrem i nie mieć w głowie żadnych myśli poza tymi o twojej ulubionej części ciała.

– Dobrze wiesz, Amreno, że zawsze chętnie potarzam się z tobą w pościeli – odparował Kasjan, zupełnie nieporuszony spojrzeniem srebrnych oczu, choć moc emanowała z każdego poru jej skóry. – Zdaję sobie sprawę, jak bardzo lubisz Ilyrów...

– Miriam i Drakon – wszedł mu w słowo Rhysand, gdy uśmiech Amreny stał się wężowy – mają się dobrze, z tego, co słyszałem. A co tak właściwie jest twoim zdaniem ciekawe?

Amrena przechyliła głowę na bok i przyjrzała mi się uważnie. Staralam się nie skulić pod jej spojrzeniem.

– Tylko raz dotąd człowiek został obdarzony nieśmiertelnością. Ciekawe, że wydarzyło się to ponownie akurat teraz, kiedy wszyscy pradawni gracze powrócili. Ale Miriam zyskała długie życie, a nie nowe ciało. A ty, dziewczyno... – Jeszcze raz pociągnęła nosem. Nigdy dotąd nie czułam się tak obnażona. Oczy Amreny błysnęły. Rhys tylko kiwnął głową, cokolwiek to oznaczało, a ja już czułam się zmęczona. Miałam dość ciągłego taksowania i oceniania. – Twoja krew, twoje żyły, twoje kości zostały stworzone. Śmiertelna dusza w nieśmiertelnym ciele.

– Jestem głodna – powiedziała Mor, szturchając mnie udem pod

stołem.

Strzeliła palcami i przed nami pojawiły się talerze wypełnione po brzegi pieczonym kurczakiem, zieleniną i chlebem. Proste, lecz jednocześnie... eleganckie danie. W żadnym wypadku nie formalne. Może sweter i spodnie nie byłyby nie na miejscu na taki posiłek?

– Amrena i Rhys mogą gadać całą noc i zanudzić nas na śmierć. Nie czekaj więc, aż zaczną jeść – dodała, podnosząc widelec, i mlasnęła głośno. – Zapytałam Rhysa, czy mogłabym cię zabrać na kolację, tylko ty i ja, a on stwierdził, że ty byś nie chciała. Ale tak całkowicie szczerze: wolałabyś spędzić czas z tą dwójką prastarych nudziarzy czy ze mną?

– Jak na moją rówieśnicę – wtrącił Rhys, teatralnie przeciągając sylaby – zdajesz się zapominać...

– Wszyscy chcą tylko gadać, gadać i gadać – nie dała mu dokończyć Mor, posyłając jednocześnie ostrzegawcze spojrzenie Kasjanowi, który istotnie już otwierał usta. – Nie możemy najpierw jeść, jeść i jeść, a dopiero *potem* gadać?

Ciekawa była równowaga między przerażającą „drugą po Rhysie” a rozbijającą radością „trzecią”. Jeśli Mor miała wyższą pozycję od dwóch wojowników siedzących teraz z nami przy stole, musiał być po temu jakiś powód poza zuchwałym urokiem. Musiała dysponować jakąś mocą, dzięki której mogła wdawać się w bójkę z Amreną, o których Rhys wspominał... i wychodzić z nich cało.

Azriel zachichotał cicho, ale sięgnął po widelec. Poszłam za jego przykładem, ale wstrzymałam się z odgryzieniem kawałka mięsa, zanim on tego nie zrobił. Na wszelki wypadek...

Dobre. Takie dobre. A wino...

Nawet nie zauważyłam, że Mor napełniła mój kieliszek, dopóki nie pociągnęłam pierwszego łyku i nie stuknęłam się z nią szkłem.

– Nie pozwól tym starym intrygantom, by cię tyranizowali.

– Przyganiał. Kocioł. Garnkowi – rzucił Kasjan, po czym spojrzał ze zmarszczonym czołem na Amrenę, która ledwie tknęła zawartość swojego talerza. – Ciągle zapominam, jakie to jest dziwaczne.

Bezceremonialnie zabrał jej talerz, przerzucił połowę jedzenia na swój, po czym podał resztę Azrielowi.

– Zawsze mu powtarzam, żeby zapytał, zanim to zrobi – wyjaśnił

Amrenie Azriel, zsuwając jedzenie na swój talerz.

Amrena pstryknęła palcami i pusty talerz zniknął z poznaczonych bliznami dłoni Azriela.

– Chłopcze, jeśli przez te wszystkie wieki nie zdołałeś go wyćwiczyć, nie sądzę, żebyś teraz poczynił jakiegokolwiek postępy.

Ułożyła równo sztuce na pustym miejscu przed sobą.

– Ty... nie jesz? – spytała ją.

Były to pierwsze słowa, jakie wypowiedziałam od zajęcia miejsca przy stole.

Zęby Amreny były irytująco białe.

– Nie takie jedzenie.

– Niech mnie w Kotle ugotują – powiedziała Mor i pociągnęła solidny łyk wina. – Czy możemy o tym *nie* mówić?

Pomyślałam, że o zwyczajach żywieniowych Amreny też nie chcę nic wiedzieć.

Rhys zachichotał.

– Przypomnij mi, żebyś częściej organizował rodzinne kolacje.

Rodzinne kolacje – nie oficjalne spotkania dworu. A dziś... albo nie wiedzieli, że jestem tu, aby podjąć decyzję, czy naprawdę chcę współpracować z Rhysem, albo nie uznali za stosowne udawać przede mną kogokolwiek innego, niż byli. Bez wątpienia zachowywali się tak, jak akurat mieli ochotę – miałam coraz silniejsze przekonanie, że gdybym zjawiała się tu w koszuli nocnej, nie zrobiłabym na nich wrażenia. Istotnie bardzo specyficzna grupa. I przeciwko Hybernii... kim by byli, co mogliby zrobić, jako sojusznicy czy wrogowie?

Naprzeciw mnie wokół Azriela zdawał się pulsować kokon ciszy, nawet gdy pozostali zajęli się swoimi talerzami. Ponownie zerknęłam na owalny błękitny kamień na jego rękawicy, gdy pociągał wino z kieliszka. Azriel zauważył moje spojrzenie, choć trwało mgnienie oka. Odnosiłam wrażenie, że zauważał i katalogował wszystkie moje ruchy, słowa, a nawet oddechy. Uniósł obie dłonie grzbietami w moją stronę, tak aby oba kamienie były dobrze widoczne.

– Nazywamy je syfonami. W nich skupia się nasza moc podczas bitwy.

Tylko on i Kasjan je nosili.

Rhys odłożył widelec i pośpieszył z wyjaśnieniami:

– Moc silniejszych Ilyrów można sprowadzić do zasady „spopielić teraz, pytania zadawać później”. Mają niewiele magicznych darów poza tym jednym – mocą zabijania.

– Dar gwałtownego ludu wiecznie dążącego do konfliktu – dodała Amrena.

Azriel kiwnął głową. Cienie wiły się wokół jego szyi i przegubów dłoni. Kasjan spojrział na niego ostro ze stężałą twarzą, ale ten go zignorował.

Rhys ciągnął, chociaż dobrze wiedziałam, że doskonale zdawał sobie sprawę z każdego spojrzenia wymienionego między jego naczelnym szpiegiem a dowódcą jego wojsk.

– Ilyrowie wykształcili moc dającą im przewagę w walce, owszem. Syfony filtrują tę pierwotną siłę i pozwalają Kasjanowi i Azrielowi przekształcić ją w coś bardziej subtelnego i zróżnicowanego – w tarcze i broń, strzały i włócznie. Możesz na to spojrzeć jak na różnicę między chluśnięciem wiadrem farby na ścianę a użyciem pędzla. Syfony pozwalają magii być zwinną i precyzyjną na polu bitwy, kiedy jej naturalny stan skłania się do czegoś o wiele bardziej brutalnego i nieokrzesanego, potencjalnie niebezpiecznego, gdy walczysz w zwarciu.

Zastanowiłam się, jak wiele każdy z nich musiał w życiu zrobić. I czy te blizny na dłoniach Azriela są tego pamiątką.

Kasjan poruszył kilkakrotnie palcami, podziwiając przejrzyste czerwone kamienie zdobiące grzbiety rękawic na jego szerokich dłoniach.

– Nie narzekam, że przy okazji wyglądają szalowo.

– Ilyrowie – wymamrotała Amrena.

Kasjan wyszczerzył zęby w dzikim rozbawieniu i napił się wina.

Poznać ich, spróbować sobie wyobrazić, jak mogłabym z nimi współpracować, polegać na nich, jeśli wojna z Hybernią istotnie wybuchnie... Szukałam rozpaczliwie czegoś, o co mogłabym zapytać. Ostatecznie zwróciłam się do Azriela, wokół którego ponownie nie było ani śladu po wijących się cieniach:

– Jak to się stało... To znaczy: jak ty i lord Kasjan...

Kasjan parsknął winem przez cały stół, w wyniku czego Mor zerwała się z krzesła z litanią przekleństw pod jego adresem i przystąpiła do osuszania sukni serwetką.

Ale Kasjan nie zwracał na nią uwagi, tylko wył głośno, a Azriel siedział z lekkim uśmiechem na twarzy, gdy Mor zakręciła dłonią i plamy wina zniknęły z jej sukni, za to pojawiły się na zbroi – lub może stroju do latania – Kasjana. Poczułam krew napływającą do policzków. Nieświadomie złamałam jakiś protokół tego dworu i...

– Kasjan – wyjaśnił rozbawiony Rhys – nie jest lordem. Chociaż z pewnością docenia, że za takiego go masz. – Powiódł wzrokiem po zebranych. – Skoro już przy tym jesteśmy, Azriel też nim nie jest. Ani Amrena. Możesz mi wierzyć lub nie, ale ze wszystkich w tej sali Mor jest jedyną osobą czystej krwi, z tytułem.

On sam nie? Rhys musiał dostrzec to pytanie na mojej twarzy, bo od razu dodał:

– Jestem w połowie Ilyrem, co w świecie fae wysokiego rodu czystej krwi jest tożsame z byciem bękartem.

– Zatem ty... wasza trójka nie pochodzi z wysokiego rodu? – zapytałam go i jego dwóch kompanów.

Kasjan przestał się śmiać.

– Ilyrowie zdecydowanie nie są wysokiego rodu. I są z tego powodu bardzo zadowoleni. – Odgarnął kosmyk ciemnych włosów za ucho... zaokrąglone, tak jak niegdyś moje. – Ale też nie jesteśmy pomniejszonymi fae, chociaż niektórzy próbują nas tak nazywać. Jesteśmy po prostu... Ilyrami. Uważanymi w lepszych czasach za powietrzną kawalerię Dworu Nocy, którą można bez żalu posłać na śmierć, a za bezmyślnych żołdaków w czasach gorszych.

– Czyli przez większość czasu – dodał Azriel.

Nie miałam czelności zapytać, czy te cienie były też związane z byciem Ilyrem.

– Nie widziałam was pod Górą – zauważyłam.

Musiałam to wiedzieć, nie mogłam pozostać w niepewności – czy byli tam, czy mnie widzieli, czy to będzie miało wpływ na moją współpracę z...

Zapadła cisza. Nikt, nawet Amrena, nie spojrział na Rhysanda.

W końcu odezwała się Mor:

– Bo żadnego z nas tam nie było.

Twarz Rhysa była zimną maską.

– Amarantha nie wiedziała o ich istnieniu. A kiedy ktoś próbował jej o nich powiedzieć, zazwyczaj tracił zmysły, zanim zdołał to zrobić.

Przeszył mnie zimny dreszcz. Nie na myśl o morderstwach dokonanych z zimną krwią, ale... ale...

– Naprawdę utrzymałeś to miasto i wszystkich jego mieszkańców w tajemnicy przed nią przez pięćdziesiąt lat?

Kasjan wpatrywał się bez ruchu w swój talerz. Sprawiał wrażenie, jakby zaraz miał wybuchnąć.

– Utrzymamy to miasto i jego mieszkańców w tajemnicy przed naszymi wrogami o wiele dłużej – oznajmiła Amrena.

To nie była odpowiedź na moje pytanie.

Rhys nie spodziewał się, że zobaczy ich ponownie, kiedy został zaciągnięty pod Górę. A jednak w jakiś sposób zapewnił im bezpieczeństwo.

I to ich zabiło – tę czwórkę siedzącą teraz przy stole. Zabiło ich to, że to zrobił, jakkolwiek tego dokonał. Nawet Amrenę.

Może nie tylko z powodu tego, że Rhys przetrzymał Amaranthę, podczas gdy oni tkwili tu. Może też z powodu tych, którzy pozostali poza miastem. Może wybranie jednego miasta, jednego miejsca do ochrony było lepsze niż nic. Może... może to było pocieszające, że jest w Prythianie coś, co pozostaje nietknięte. Niesplamione.

Gdy Mor się odezwała, głos miała chropawy, a jej złote grzebienie lśniły w świetle.

– W tym mieście nie ma ani jednej osoby, która nie zdawałaby sobie sprawy z tego, co się działo poza granicami tego miejsca. Która by nie znała ceny.

Nie chciałam pytać, co to była za cena. Ciężka cisza naznaczona bólem była wystarczająco wymowna.

Jeśli jednak wszyscy zdołali przetrwać ten ból, jeśli wciąż potrafili się śmiać... Wyprostowałam się i zwróciłam do Azriela, który – z cieniami czy bez – zdawał się najbardziej wiarygodny, a zatem zapewne było wręcz przeciwnie:

– Gdzie się poznaliście?

Niewinne pytanie, żeby ich wy badać, dowiedzieć się, kim są.

Prawda?

Azriel tylko obrócił się do Kasjana. Ten z kolei wpatrywał się w Rhysa z wypisaną na twarzy mieszaniną skruchy i miłości, uczuciami tak głębokimi i bolesnymi, że instynktownie chciałam sięgnąć przez stół i ścisnąć jego dłoń.

Ale Kasjan zdawał się rozważać moje pytanie i niemą prośbę przyjaciela, aby to on opowiedział tę historię. Na jego twarzy zamajaczył zawadiacki uśmiech.

– Z początku wszyscy się nienawidziliśmy.

Oczy siedzącego obok mnie Rhysa przygasły. Pytania, jakie zadawałam o Amaranthę, okropieństwa, które kazałam mu przywołać z pamięci...

Wyznanie za wyznanie – sądziłam, że zrobił to ze względu na mnie. Może ciążyły mu sprawy, o których potrzebował komuś powiedzieć, ale których nie chciał im wyznać, by nie wywołać jeszcze większego bólu i poczucia winy.

Kasjan kontynuował, odciągając moją uwagę od milczącego księcia.

– Widzisz, jesteśmy bękartami. Az i ja. Ilyrowie... Kochamy nasz lud i nasze tradycje, ale oni żyją w klanach i obozach głęboko w górach północy i nie przepadają za obcymi. Zwłaszcza za fae wysokiego rodu próbującymi im mówić, co mają robić. Ale mają takiego samego szmergla na punkcie pochodzenia, własnych książąt i lordów. Az – tu wskazał kciukiem swojego kompana, wywołując refleksy światła na swoim czerwonym syfonie – jest bękartem jednego z lokalnych władcyków. A jeśli sądzisz, że nieślubne dziecko władcy jest nienawidzone, nie zdołasz sobie nawet wyobrazić, z jakimi pokładami pogardy spotyka się bękart praczki i wojownika, którego nawet nie pamiętała.

Swobodne wzruszenie ramionami klóciło się ze złowrogim błyskiem w jego piwnych oczach.

– Kiedy ojciec Aza i jego urocza żona zorientowali się, że bękart jest pieśniarzem cieni, wysłali go do naszego obozu na szkolenie.

Pieśniarz cieni. Tak... tytuł zdawał się pasować, cokolwiek znaczył.

– Podobnie jak daemati – wtrącił Rhys – pieśniarze cieni trafiają się rzadko. Cieszą się dużym zainteresowaniem dworów i władztw na całym świecie z powodu zdolności zakradania się w różne miejsca i umiejętności słyszenia i czucia rzeczy wymykających się postrzeganiu innych.

Może zatem te cienie naprawdę do niego szeptały. Zimna twarz Azriela nie zdradzała niczego.

– Dowódca obozu – podjął Kasjan – praktycznie zesrał się z ekscytacji, kiedy podrzucono mu Aza. Ale ja... Kiedy tylko matka odstawiła mnie od piersi i nauczyła chodzić, wysłali mnie do odległego obozu i wsadzili w błoto, żeby się przekonać, czy to przeżyję.

– Mądrzej by zrobili, gdyby cię cisnęli w przepaść – wtrąciła Mor z parsknięciem.

– Och, zdecydowanie – przytaknął Kasjan. Jego uśmiech stał się ostry niczym brzytwa. – Zwłaszcza że kiedy podrosłem i zmężniałem już na tyle, żeby wrócić do obozu, w którym przyszedłem na świat, dowiedziałem się, że te kutasy zamęczyły moją matkę na śmierć.

Ponownie zapadła cisza, ale tym razem inna. Napięcie i kipiący gniew osób, które przeszły tak wiele, przetrwały tak wiele... i doskonale wyczuwały nawzajem swój ból.

– Ilyrowie – włączył się płynnie Rhys, do którego oczu w końcu wracało już światło – są niezrównanymi wojownikami, mają też wiele opowieści i tradycji. Ale są też brutalni i zacofani, zwłaszcza pod względem traktowania swoich kobiet.

Spojrzenie Azriela było niemal nieobecne, wbite gdzieś w rząd okien za moimi plecami.

– To barbarzyńcy – rzuciła Amrena i żaden z Ilyrów nie zaprzeczył. Mor pokiwała energicznie głową, chociaż gdy spojrzała na Azriela, przygryzła wargę. – Okaleczają je, żeby mogli je sobie trzymać, by płodziły kolejnych wojowników bez skazy.

Rhys się skrzywił.

– Moja matka była niskiego rodu – powiedział – i pracowała jako szwaczka w jednym z wielu ich obozów wojskowych. Gdy kobieta

w obozie dojrzeła, kiedy ma pierwsze krwawienie... przycinają jej skrzydła. Niewielkie nacięcie we właściwym miejscu, pozostawione bez opatrunku, żeby nie zagoiło się prawidłowo... potrafi okaleczyć na zawsze. A moja matka... była łagodna i dzika. I kochała latanie. Robiła więc wszystko, co tylko mogła, żeby nie dojrzeć. Głodziła się, zbierała zakazane zioła. Wszystko, byle tylko zahamować naturalny rozwój ciała. Skończyła osiemnaście lat i nadal nie miała pierwszego krwawienia, ku przerażeniu jej rodziców. Ale ostatecznie ten czas dla niej nastął i wystarczyło jej się znaleźć w niewłaściwym miejscu w niewłaściwym czasie, aby jeden z mężczyzn wyczuł od niej zapach krwi i doniósł dowódcy obozu. Próbowала uciec, wystrzeliła prosto w niebo. Ale była młoda, a wojownicy byli szybsi, więc ją schwytali i zaciągnęli z powrotem. Już ją mieli przywiązać do słupów na środku obozu, kiedy mój ojciec przeskoczył tam na spotkanie z dowódcą w sprawie przygotowań wojennych. Zobaczył moją matkę rzucającą się i walczącą niczym żbik i...

Przełknął ślinę.

– Momentalnie zawiązała się między nimi więź godowa. Jedno spojrzenie na nią i już wiedział, kim była. Wymglił trzymających ją strażników.

Zmarszczyłam brwi.

– Wymglił?

Kasjan zachichotał złowieszczo, a Rhys wylewitował ćwiartkę cytryny ze swojego kurczaka w górę, po czym jednym ruchem palca zamienił ją w cytrusową mgiełkę.

– Moja matka spojrzała na niego przez deszcz krwi – podjął, a ja wypchnęłam z myśli obraz tego, co Rhys potrafiłby zrobić z czyimś ciałem – i ona również poczuła więź. Jeszcze tego wieczoru ojciec zabrał ją ze sobą na Dwór Nocy i uczynił swoją żoną. Kochała swój lud i tęskniła do niego, ale nigdy nie zapomniała tego, co próbowali jej zrobić. Co robili wszystkim swoim kobietom. Przez całe dziesięciolecia próbowała przekonać mojego ojca, żeby tego zakazał, ale nadchodziła wojna, a on nie chciał ryzykować zrażenia do siebie Ilyrów. Potrzebował ich na czele swojej armii. By za niego ginęli.

– Do rany przyłoż ten twój ojciec – mruknęła pod nosem Mor.

– Przynajmniej cię lubił – odparował Rhys, po czym wyjaśnił mi: – Moi rodzice, pomimo łączącej ich więzi, byli do siebie niedopasowani. Ojciec był chłodny i wyrachowany, potrafił być bezwzględny, tak jak go uczono od urodzenia. Z kolei matka miała ognisty temperament, była łagodna i kochana przez każdego, kogo spotkała. Po pewnym czasie znienawidziła go, ale nigdy nie przestała czuć wdzięczności za ocalenie jej skrzydeł, za to, że mogła latać zawsze, kiedy chciała, i wszędzie, gdzie chciała. Kiedy się urodziłem i okazało się, że mogę dowolnie przywoływać ilyryjskie skrzydła... Chciała mnie nauczyć kultury swego ludu.

– Chciała cię utrzymać z dala od szponów twojego ojca – weszła mu w słowo Mor, kręcąc kieliszkiem z winem. Rozluźniła ramiona, gdy Azriel w końcu zamrugał i wyglądał, jakby się już otrząsnął ze wspomnienia, które go tak zmroziło.

– To też – zgodził się oschle Rhys. – Kiedy skończyłem osiem lat, matka zabrała mnie do jednego z obozów wojskowych. Miałem przejść szkolenie, jakie przechodzili wszyscy ilyryjscy chłopcy. I tak jak wszystkie ilyryjskie matki pierwszego dnia popchnęła mnie w stronę ringu, odwróciła się i odeszła bez jednego spojrzenia za plecy.

– Porzuciła cię? – zapytałam, zanim zdążyłam się ugryźć w język.

– Nie... nigdy – zaprzeczył Rhys z zaciekłością, którą słyszałam w jego głosie tylko kilka razy, z czego raz tego popołudnia. – Została ze mną w obozie. Ale uważała, że przytulanie syna zmierzającego na trening przyniosłoby jej wstyd.

Uniosłam brwi, a Kasjan się zaśmiał.

– Zacołani, tak jak mówił – zwrócił się do mnie.

– Byłem bezbrzeżnie przerażony – wyznał Rhys bez śladu wstydu w głosie. – Uczyłem się już posługiwać swoimi mocami, ale ilyryjska magia stanowiła zaledwie niewielką ich część. Do tego jest wśród nich rzadka: zwykle władają nią tylko najpotężniejsi, najczystszej krwi wojownicy. – Ponownie spojrzałam na uśpione syfony na rękawicach siedzących naprzeciw mnie mężczyzn. – Starąłem się w tamtych latach używać syfonu – ciągnął Rhys. – I strzaskąłem jakiś tuzin, zanim zrozumiałem, że w moim przypadku to nie zadziała. Kamienie zwyczajnie nie potrafiły utrzymać w sobie mojej mocy. Jej działanie

i kształtowanie przebiega inaczej.

– To takie trudne być tak potężnym księciem – zadrwiła Mor. Rhys przewrócił oczami.

– Dowódca obozu zakazał mi używania magii. Dla dobra wszystkich. Ale tamtego dnia, gdy stanąłem w ringu po raz pierwszy, nie miałem pojęcia, jak się walczy. Pozostali chłopcy z mojej grupy wiekowej wiedzieli o tym. Zwłaszcza jeden, który tylko na mnie spojrzał i stłukł mnie na kwaśne jabłko.

– Byłeś taki *czysty* – wtrącił Kasjan, kręcąc głową. – Śliczny półkrwi syn księcia. Jakże elegancko wyglądałeś w swoich nowiutkich ciuchach treningowych.

– Kasjan – zwrócił się do mnie głosem przywodzącym na myśl brzmienie ciemności Azriel – całe lata pozyskiwał nowe ubrania poprzez wyzywanie innych chłopców do walki o to, co mieli na grzbiecie.

W jego głosie nie pobrzmiwała duma – najwyraźniej brutalność jego ludu nie napawała go nią. Ale pieśniarzowi cieni nie miałam tego za złe. Potraktować kogokolwiek w taki sposób...

Kasjan zachichotał, a ja przyglądałam się jego szerokim silnym ramionom, lśnieniu jego oczu. Nigdy dotąd nie spotkałam w Prythianie nikogo innego, kto kiedykolwiek był głodny, zdesperowany – tak jak ja.

Kasjan zamrugał i spojrzał na mnie inaczej – bardziej taksująco, bardziej... szczerze. Przysięgłabym, że w jego oczach wypisane były słowa: „Wiesz, jak to jest. Wiesz, jakie pozostawia znamię”.

– Zdążyłem już pokonać każdego chłopca w naszej grupie wiekowej – kontynuował Kasjan. – Dwa razy. I wtedy przybył Rhys w swoim czystym ubraniu, pachnący... inaczej. Jak prawdziwy przeciwnik. No to ruszyłem do ataku. Obaj dostaliśmy za tę walkę po trzy baty.

Wzdrygnęłam się. Chłostanie dzieci...

– Postępują gorzej, dziewczyno – wtrąciła się Amrena – w tych ich obozach. Trzy baty to wręcz zachęta, żeby pobić się jeszcze raz. Kiedy ktoś zrobi coś naprawdę złego, łamią kości. Wielokrotnie. Przez tygodnie.

– Twoja matka posłała cię tam świadomie? – zapytałam zdumiona. Też mi metody.

– Matka nie chciała, żebym polegał tylko na swojej mocy – wyjaśnił Rhysand. – Wiedziała od chwili mojego poczęcia, że całe życie będę ścigany. Chciała, żebym w chwili, gdy zawiedzie mnie jedna z moich umiejętności, mógł jeszcze oprzeć się na kilku innych. Moje wykształcenie było kolejną bronią. I dlatego udała się tam ze mną: instruowała mnie każdego dnia po zakończeniu lekcji. A kiedy zabrała mnie do domu, tej pierwszej nocy, do naszego nowego domu na skraju obozu, kazała mi czytać przy oknie. Tam właśnie zobaczyłem Kasjana brnącego przez błoto ku kilku rozpadającym się namiotom rozstawionym poza obozem. Zapytałem ją wtedy, gdzie on idzie, a ona mi wyjaśniła, że bękartom nikt nic nie daje; że sami muszą zadbać o swoje schronienie, o żywność. Jeśli przeżyją i zostaną wybrani do wzięcia udziału w wyprawie, zawsze będą na samym dole hierarchii, ale dostaną własny namiot i zapasy. Jednak do tego czasu są pozostawieni samym sobie na zimnie.

– W tych górach – dodał Azriel z twarzą jakby wykutą z lodu – panują jedne z najcięższych warunków do życia, jakie można sobie wyobrazić.

Spędziłam wystarczająco dużo czasu w zamarzniętym lesie, żeby to rozumieć.

– Po zakończeniu lekcji – kontynuował Rhys – matka oczyściła pręgi na moich plecach. Kiedy to robiła, po raz pierwszy zrozumiałem, co to znaczy być w ciepłe, bezpiecznie, móc liczyć na czyjąś opiekę. I nie czułem się z tym dobrze.

– Tak musiało być – powiedział Kasjan – bo w środku nocy ten mały dupek obudził mnie w moim rozklekotanym namiocie, po czym kazał mi trzymać głowę na kłódkę i iść za nim. Może z zimna do szczytu zgłupiałem, bo go posłuchałem. Jego matka była *wściekła*. Ale nigdy nie zapomnę wyrazu jej pięknej twarzy, kiedy mnie ujrzała i powiedziała: „Mamy wannę i gorącą bieżącą wodę. Właż albo możesz wracać na zimno”. Byłem mądrym chłopcem, to się jej posłuchałem. Kiedy skończyłem kąpiel, miała już dla mnie przyszykowaną czystą piżamę i zagoniła mnie do łóżka. Całe życie spałem na ziemi i kiedy protestowałem, powiedziała, że mnie rozumie, bo kiedyś sama czuła to samo, i że będę się czuł, jakbym był połykany, ale łóżko będzie moje tak

długo, jak zechcę.

– I potem zostaliście przyjaciółmi?

– Nie... Na Kocioł, nie – zaprzeczył Rhysand. – Nienawidziliśmy się. Nie skakaliśmy sobie do gardeł tylko dlatego, że jeśli jeden z nas napytał sobie kłopotów lub sprowokował drugiego, żaden z nas nie dostawał kolacji. Moja matka zaczęła uczyć Kasjana, ale sprzymierzeńcami zostaliśmy dopiero rok później, gdy pojawił się Azriel.

Kasjan wyszczerzył zęby i sięgnął ręką za plecami Amreny, aby poklepać przyjaciela po ramieniu. Azriel westchnął – w tym dźwięku pobrzmiwało wiele lat cierpienia. Najcieplejsza reakcja, jaką u niego widziałam.

– Nowy bękart w obozie, do tego niewyszkolony pieśniarz cieni. Nie wspominając już o tym, że nawet nie umiał latać z powodu...

– Kasjan, nie odchodź od tematu – wtrąciła leniwie Mor.

Wszelkie ciepło zdążyło już zniknąć z twarzy Azriela. Ale stłumiłam własną ciekawość, gdy Kasjan po raz kolejny wzruszył ramionami, nie próbując nawet zauważyć ciszy, która zdawała się wyciekać z pieśniarza cieni. Mor to jednak dostrzegła – nawet jeśli Azriel ignorował jej zatroskane spojrzenie, nieustanne zerkanie na jego dłoń, tak jakby myślała o dotknięciu jej, ale uznała, że to nie najlepszy pomysł.

– Razem z Rhysem zmieniliśmy jego życie w koszmar, chociaż był pieśniarzem cieni – kontynuował Kasjan. – Ale matka Rhysa знаła matkę Aza i wzięła go do siebie. Gdy przybywało nam, i pozostałym chłopakom z naszej grupy, kolejnych miesięcy, zrozumieliśmy, że wszyscy pozostali nienawidzą nas na tyle, że nasze szanse na przetrwanie wzrosną, jeśli będziemy się trzymali razem.

– Masz jakieś dary? – zapytałam. – Tak jak... oni? – Wskazałam brodą Azriela i Rhysa.

– Wybuchowy temperament się nie liczy – powiedziała Mor, gdy tylko Kasjan otworzył usta.

Uśmiechnął się w sposób, który zdążyłam już poznać jako zwiastujący kłopoty, ale odpowiedział mi:

– Nie. Nie mam... poza nadzwyczajną umiejętnością zabijania.

Bękart, nikt, pod każdym względem. – Rhys pochylił się, jakby chciał zaprotestować, ale Kasjan mówił dalej: – Ale mimo to pozostali wiedzieli, że jesteśmy inni. I nie chodziło tylko o to, że dwóch z nas było bękartami, a trzeci był mieszańcem. Byliśmy silniejsi, szybsi, tak jakby Kocioł wiedział, że zostaliśmy odtrąceni, i chciał, abyśmy znaleźli siebie nawzajem. Matka Rhysa dostrzegła to samo. Zwłaszcza kiedy osiągnęliśmy dojrzałość i chcieliśmy tylko się pieprzyć i bić.

– Samce to okropne kreatury, czyż nie? – wtrąciła Amrena.

– Odrażające – zgodziła się Mor i mlasnęła z niesmakiem.

Niewielka ocalała część mojego serca chciała... się na to roześmiać.

Kasjan wzruszył ramionami.

– Moc Rhysa rosła z każdym dniem i wszyscy, nawet watażkowie dowodzący obozami, wiedzieli doskonale, że gdyby tylko zechciał, mógłby wymglic równo *wszystkich*. A nasza dwójka... wiele mu nie ustępowała. – Postukał palcem swój szkarłatny syfon. – Żaden ilyryjski bękart nie dostał takiego kamienia. Nigdy. Zanim dali je Azowi i mnie, chociaż niechętnie, musieliśmy się zmierzyć ze wszystkimi wojownikami ze wszystkich obozów w górach. Tylko czystej krwi sukinsyny dostają syfony – rodzeni i chowani po to, by zabijać. Wciąż pewnie nie śpią po nocach, zachodząc w głowę, skąd ta moc znalazła się w nas.

– Wtedy wybuchła wojna – przejął opowieść Azriel. Sam sposób, w jaki wymawiał słowa, przykuł moją uwagę. Zamieniłam się w słuch. – Ojciec Rhysa odwiedził nasz obóz, żeby sprawdzić, jak jego syn radzi sobie po dwudziestu latach.

– Mój ojciec – wtrącił Rhys, mieszając wino w kieliszku – dostrzegł, że jego potomek nie tylko zaczął dorównywać mu mocą, ale też zawarł przymierze z prawdopodobnie dwoma najgroźniejszymi ilyryjskimi wojownikami w historii. Ubzdurał sobie, że gdyby powierzono nam na wojnie jeden z legionów, moglibyśmy po powrocie zwrócić się przeciw niemu.

Kasjan parsknął.

– No i kutas nas rozdzielił. Dał Rhysowi legion Ilyrów nienawidzących go za bycie mieszańcem, a mnie przydzielił do innego

jako zwykłego żołdaka, chociaż moja moc przewyższała wszystkich wodzów. Aza zatrzymał przy sobie jako swego osobistego pieśniarza cieni. Głównie na potrzeby szpiegowania i wykonywania brudnej roboty. Przez siedem lat walk widywaliśmy się tylko na polach bitew. Wysyłali nam spisy poległych. Czytałem każdy, zastanawiając się, czy w którymś nie znajdę kiedyś ich imion. Ale wtedy Rhys został pojmany...

– *To jest opowieść na inną okazję* – przerwał mu Rhys tonem na tyle ostrym, że Kasjan aż uniósł brwi, ale skinął głową i zamilkł. Fiołkowe oczy Rhysa napotkały moje i przez chwilę zastanawiałam się, czy lśniło w nich prawdziwe światło gwiazd. – Kiedy zostałem księciem, powołałem tę czwórkę do mojego wewnętrznego kręgu, a reszcie starego dworu ojca powiedziałem, że jeśli mają problem z moimi przyjaciółmi, mogą odejść. Wszyscy skorzystali z tej propozycji. Okazało się, że dwie kobiety i dwóch iliryjskich bękartów doradzających księciu półkrwi przebrało miarkę.

Pod pewnymi względami było to równie paskudne jak u ludzi.

– Co... co się z nimi zatem stało?

Rhys wzruszył ramionami. Potężne skrzydła drgnęły od tego ruchu.

– *Możni Dworu Nocy* dzielą się na trzy kategorie: tych, którzy nienawidzili mnie na tyle, że po dojściu Amaranthy do władzy dołączyli do jej dworu – ci już nie żyją; tych, którzy nienawidzili mnie na tyle, że próbowali mnie obalić – i ponieśli stosowne konsekwencje; i tych, którzy mnie nienawidzili, ale nie na tyle, żeby zrobić coś głupiego – ci tolerują panowanie mieszańca, zwłaszcza że rzeczony mieszaniec tak rzadko wtrąca się w ich żalosne życie.

– Czy to... czy to oni żyją pod twoją górą?

Kiwnął głową.

– W Wykutym Mieście, owszem. Dałem im je za to, że nie okazali się głupcami. Miło tam sobie żyją, rzadko wyściubiają nosy poza górę, rządzą sami sobą i dopuszczają się takich niegodziwości, jakich tylko chcą. I tak po wieczność.

To musiał być dwór, który pokazał Amarancie, gdy tu przybyła. Niegodziwość i podłość jego mieszkańców musiały jej się spodobać na tyle, że swój dwór zorganizowała na jego wzór i podobieństwo.

– Dwór Koszmarów – wtrąciła Mor, dłubiąc językiem między

zębami.

– A co to jest za dwór? – spytałam, wskazując ich wszystkich.
Najważniejsze pytanie.

To Kasjan, z oczami bystrymi i lśnącymi jak jego syfon, mi odpowiedział:

– Dwór Snów.

Dwór Snów – snów księcia półkrwi, dwóch bękartów i... dwóch kobiet.

– A... wy? – zwróciłam się do Mor i Amreny.

– Rhys zaproponował mi, abym została jego prawą ręką – odparła zdawkowo Amrena. – Nikt wcześniej nie złożył mi takiej propozycji, więc się zgodziłam, żeby się przekonać, jak to wygląda. Spodobało mi się.

Mor odchyliła się na oparcie krzesła. Azriel obserwował każdy jej ruch w subtelnym, nieustępliwym skupieniu.

– Byłam marzycielką zrodzoną na Dworze Koszmarów – powiedziała i okręciła kosmyk włosów wokół palca. Zastanawiałam się, czy jej historia mogła być najgorsza ze wszystkich, ale ona dodała tylko: – Więc się wyniosłam.

– A ty skąd się tu wzięłaś? – zapytał Kasjan, wskazując mnie ruchem brody.

Założyłam, że Rhysand im wszystko o mnie powiedział, ale na moje pytające spojrzenie odpowiedział tylko wzruszeniem ramion.

Wyprostowałam się.

– Przyszłam na świat w zamożnej rodzinie kupieckiej. Miałam dwie starsze siostry i rodziców, którzy dbali wyłącznie o majątek i pozycję społeczną. Matka umarła, gdy miałam osiem lat. Trzy lata później ojciec stracił całą fortunę. Sprzedał wszystko, aby spłacić długi, zarządził przeprowadzkę do wiejskiej chaty i nigdy nie zainteresował się szukaniem pracy, skazując nas na długie lata przymierania głodem. Miałam czternaście lat, kiedy skończyły się resztki zaskórniaków, a z nimi – jedzenie. Odmawiał pójszcia do pracy. W zasadzie nie mógł pracować, bo w międzyczasie odwiedzili nas jego dłużnicy i na naszych oczach połamali mu nogę. Poszłam więc do lasu i nauczyłam się polować. Przez pięć lat utrzymywałam nas przy życiu, chociaż czasem

byliśmy na skraju śmierci głodowej. Przez pięć lat, aż... wszystko wydarzyło się naraz.

Na chwilę zamilkłam. Azriel spoglądał na mnie badawczo. Nie opowiedział o swoich losach. Czy ten temat został kiedykolwiek poruszony? Czy też może nigdy nie wspominali o bliznach po poparzeniach na jego dłoniach? I co szeptały mu cienie? Czy mówiły w ogóle jakimkolwiek językiem?

– Nauczyłaś się polować – odezwał się Kasjan. – A walczyć? Pokręciłam głową. Kasjan oparł się ramionami na blacie stołu. – Szczęśliwie dla siebie właśnie znalazłaś nauczyciela.

Już otworzyłam usta, żeby zaprotestować, ale... Matka Rhysanda dała mu cały arsenał broni, aby mógł z nich skorzystać, gdyby jedna zawiodła. Co ja miałam poza celnym strzałem i zaciętym uporem? A jeśli miałam tę nową moc – *te nowe moce*...

Nigdy więcej nie będę już słaba. Nie będę musiała na nikim polegać. Nie będę musiała znosić dotyku attora ciągnącego mnie po ziemi, bo nie wiedziałam, gdzie i jak uderzyć. Nigdy więcej.

Ale było jeszcze to, co powiedzieli Iantha i Tamlin...

– Nie sądzicie, że jeśli ktoś zobaczy, jak uczę się walczyć, jak używam broni, w świat pójdzie niewłaściwa wiadomość?

Gdy tylko wymówiłam te słowa, pojęłam, jak były głupie. Jak głupie było... było to, czym byłam karmiona przez ostatnie parę miesięcy.

Cisza. W końcu Mor powiedziała z aksamitną trucizną w głosie, po której poznałam, że trzecia po księciu Dworu Nocy odebrała szczególne przeszkolenie na Dworze Koszmarów:

– Powiem ci dwie rzeczy. Jako ktoś, kto może kiedyś był w sytuacji podobnej do twojej.

Ponownie między wszystkimi – poza Amreną – zapulsowała łącząca ich więź gniewu. Prawa ręka Rhysanda spojrzała na mnie z najwyższym niesmakiem.

– Po pierwsze – ciągnęła Mor – opuściłaś już Dwór Wiosny.

Próbowałam nie dopuścić do siebie pełnego znaczenia tych słów.

– Jeśli to nie pośle w świat wiadomości, dobrej czy złej, to rozpoczęcie przez ciebie szkolenia też tego nie zrobi. Po drugie – dodała,

dla podkreślenia słów kładąc dłoń płasko na stole – niegdyś mieszkałam w miejscu, w którym opinie innych miały znaczenie. To mnie dusiło, niemal mnie złamało. Tak więc uwierz mi, Feyro, kiedy ci mówię, że wiem, jak się czujesz, że wiem, co próbowano ci zrobić, i że przy odpowiedniej dozie odwagi możesz przestać dbać o to, co inni mówią o tobie. – Głos jej złagodniał i napięcie między zebranymi opadło. – Robisz to, co ty kochasz, i to, czego ty potrzebujesz.

Mor nie powiedziała mi, co mam na siebie włożyć, a czego mam nie nosić. Nie pozwoliła mi usunąć się na bok i nie mówiła w moim imieniu. Nie... nie zrobiła żadnej z tych rzeczy, które tak chętnie, tak desperacko pozwalałam robić Iancie.

Nigdy wcześniej nie miałam przyjaciółki. Iantha... nie była kimś takim. Nie naprawdę. Nesta i Elaina, przez te kilka tygodni, które spędziłam w ich nowym domu przed stawieniem czoła Amarancie, zaczęły wchodzić w tę rolę, ale... ale patrząc na Mor, nie potrafiłam tego wyjaśnić, nie mogłam tego pojąć, lecz... Czułam to. Chyba istotnie mogłabym zjeść z nią kolację. Porozmawiać.

Nie żebym miała wiele do zaoferowania w zamian.

Ale to, co powiedziała... co oni wszyscy powiedzieli... Tak, Rhys postąpił mądrze, przyprowadzając mnie tutaj. Pozwalając mi zdecydować, czy będę potrafiła ich znieść – ciągle docinki, intensywność emocji, moc. Czy zechcę dołączyć do grupy, która zapewne wywoła presję, przytłoczy mnie, może nawet przerazi, ale... Jeśli oni chcieli sprzeciwić się Hybernii po tym, jak już walczyli przeciwko nim pięć wieków temu...

Napotkałam spojrzenie Kasjana. W ich blasku nie było w nich nic radosnego.

– Przemyślę to.

Przysięgłabym, że przez więź, przez tatuaż na dłoni poczułam isierkę miłego zaskoczenia. Sprawdziłam swoją mentalną tarczę, była na miejscu. A spokojna twarz Rhysanda nie zdradzała nic.

Powiedziałam więc wyraźnie i spokojnie, kierując swoje słowa do niego:

– Przyjmuję twoją propozycję. Będę z tobą współpracowała. Zarobię na utrzymanie. I pomogę w zmaganiach przeciwko Hybernii, jak

tylko zdołam.

– Dobrze – odparł jedynie Rhys.

Pozostali unieśli zaskoczeni brwi. Tak, najwyraźniej nie powiedział im, że było to coś na kształt rozmowy kwalifikacyjnej.

– Bo zaczynamy jutro.

– Gdzie? I co? – wykrztusiłam.

Rhys splótł palce i oparł dłonie na stole. Zrozumiałam, że ułatwienie mi podjęcia decyzji nie było jedynym celem tego zebrania.

– Ponieważ król Hybernii istotnie lada chwila rozpocznie wojnę – zakomunikował – i chce do tego celu wskrzesić Juriana.

Jurian – dawny wojownik, którego duszę Amarantha uwięziła w tym odrażającym pierścieniu w ramach kary za zabicie jej siostry. W pierścieniu zawierającym jego oko...

– Bzdury – rzucił Kasjan. – Czegoś takiego nie da się zrobić.

Amrena zamarła. To ją Azriel cały czas obserwował, mierzył wzrokiem.

„Amarantha była pierwszą częścią tego planu” – powiedział mi wcześniej Rhys. Czy wiedział o tym już wtedy? Czy te miesiące pod Górą były zaledwie przygrywką do piekła, które miało się rozpętać? Wskrzeszanie zmarłych. Jakiego rodzaju przeklęta moc...

– Po co król miałby chcieć wskrzesić akurat *Juriana*? – mruknęła Mor. – Był taki okropny. Lubił mówić tylko o sobie.

Świadomość wieku otaczających mnie osób uderzyła mnie niczym cegłą, mimo tego wszystkiego, co mi powiedzieli ledwie parę chwil temu. Wojna... Wszyscy oni... Wszyscy walczyli w wojnie pięćset lat temu.

– Tego właśnie chcę się dowiedzieć – wyjaśnił Rhysand. – A także tego, jak król zamierza to zrobić.

– Na pewno już usłyszał o stworzeniu nowego ciała Feyry – odezwała się w końcu Amrena. – Wie, że przywołanie zmarłych z powrotem do życia jest możliwe.

Poruszyłam się niespokojnie. Oczekiwałam bezlitosnych armii, rozlewu krwi. Ale to...

– Wszystkich siedmiu książąt musiałyby się na to zgodzić – skontrowała Mor.

– Nie ma mowy, żeby do tego doszło. Obierze inną drogę. – Zmrużyła oczy w wąskie szparki i obróciła się w stronę Rhysa. – Wszystkie te rzezie, masakry w świątyniach. Myślisz, że są z tym powiązane?

– Wiem, że tak. Nie chciałem wam tego mówić, dopóki nie zyskałem pewności. Ale Azriel potwierdził, że trzy dni temu złupili kaplicę w Sangrawie. Szukają czegoś. Albo już to znaleźli.

Azriel kiwnął głową, a Mor spojrzała na niego zaskoczona. W odpowiedzi tylko wzruszył przepaszając ramionami.

– To... – wyszeptałam. – To dlatego pierścień i kość zniknęły po śmierci Amaranthy. Po to. Ale kto... – Zaszło mi w ustach. – Nigdy nie złapali attora, prawda?

– Nie – odparł zbyt cicho Rhys. – Nie złapali.

Zjedzony posiłek zmienił się w moim żołądku w bryłę ołowiu.

– Jak można z oka i kości palca odtworzyć dawno nieżyjącego człowieka? – zwrócił się do Amreny. – I jak możemy to powstrzymać?

Amrena zmarszczyła brwi i wbiła wzrok w nietknięte wino w swoim kieliszku.

– Doskonale wiesz, jak uzyskać odpowiedź na to pytanie. Udaj się do Więzienia. Pomów z Rzeźbiącym w Kościach.

– Szlag – powiedzieli jednocześnie Mor i Kasjan.

– Może ty poradziłabyś sobie lepiej, Amreno – powiedział spokojnie Rhys.

Gdy Amrena zasyczała głośno, cieszyłam się, że dzieli nas szeroki blat stołu.

– Nie postawię stopy w Więzieniu, Rhysandzie, dobrze o tym wiesz. Idź więc sam albo wyślij jednego z tych psów, żeby to załatwił za ciebie.

Kasjan wyszczerzył białe równe zęby – doskonale do gryzienia. Amrena w odpowiedzi kłapnęła swoimi.

Azriel tylko pokręcił głową.

– Ja pójdę. Strażnicy w Więzieniu znają mnie... wiedzą, czym jestem.

Zastanowiłam się, czy pieśniarz cieni zawsze zgłaszał się pierwszy do niebezpiecznych misji. Palce Mor zastygły na nóżce jej kieliszka.

Spojrzała na Amrenę spod zmrużonych powiek. Klejnoty, czerwona suknia – może to wszystko było obliczone na zakamufłowanie mrocznej mocy krążącej w jej żyłach...

– Jeśli ktokolwiek ma pójść do Więzienia – powiedział Rhys, zanim Mor zdążyła otworzyć usta – to będę to ja. I Feyra.

– Co? – zapytała z dłońmi położonymi płasko na stole Mor.

– Nie będzie rozmawiał z Rhysem – wyjaśniła Amrena. – Ani z Azrielem. Ani z żadnym z nas. Nie mamy mu nic do zaoferowania. Ale nieśmiertelna o śmiertelnej duszy... – Wpatrywała się w moją pierś, tak jakby mogła dostrzec bijące w niej serce... A ja ponownie zastanowiłam się, z czego składała się jej dieta. – Rzeźbiący w Kościach może istotnie chcieć z nią pomówić.

Wszyscy wpatrywali się we mnie. Tak jakby spodziewali się, że zacznę błagać, by mnie tam nie posyłać; że skulę się i zwinę w kulkę. Pomyślałam, że to ich błyskawiczna, brutalna próba przekonania się, czy *oni* chcą współpracować *ze mną*.

Ale Rzeźbiący w Kościach, naga, attor, suriel, bogge, czerw middengardzki... Może zniszczyli tę część mojej jaźni, która potrafiła odczuwać lęk. Albo może lęk był teraz czymś, z czym mam do czynienia tylko w snach.

– Twój wybór, Feyro – powiedział niby od niechcienia Rhys.

Wymigać się i potem żałować lub stawić czoła jakiemuś nieznanemu potworowi – wybór był prosty.

– Co złego może się stać? – odpowiedziałam pytaniem.

– Wszystko – skwitował Kasjan.

Żadne z pozostałych mu nie zaprzeczyło.

Rozdział 17

Jurian.

Jego imię dzwoniło we mnie echem jeszcze długo po posiłku, nawet długo po tym, kiedy Mor, Kasjan, Azriel i Amrena przestali warczeć na siebie i debatować o tym, kto co zrobi i gdzie będzie, kiedy następnego dnia Rhys uda się ze mną do Więzienia – gdziekolwiek by to było.

Rhys zaniósł mnie z powrotem do miasta, nurkując prosto ku światłom i ciemności. Szybko stwierdziłam, że zdecydowanie bardziej wolę wznoszenie. Nie mogłam się zmusić do spoglądania w dół przez dłuższy czas bez ataków nudności. Nie chodziło o to, że się bałam – moje ciało reagowało w ten sposób bez udziału mojej woli.

Lecieliśmy w ciszy zakłócanej jedynie gwizdem wiatru. Dzięki kokonowi ciepła nie groziło mi zamrożenie na śmierć. Spojrzałam na twarz Rhysa, dopiero gdy powitała nas muzyka ulic. Jednak był tak skupiony na locie, że z jego rysów nie dało się niczego wyczytać.

– Dzisiejszego wieczoru... poczułam cię znowu. Przez więź. Czy przeniknęłam przez twoją barierę?

– Nie – odparł, wpatrując się w bruk ulic pod nami. – Ta więź jest... żywa. To jakby otwarty kanał między nami, ukształtowany moją mocą, tym... czego potrzebowałaś, gdy dobijaliśmy targu.

– Wtedy potrzebowałam nie być martwa.

– Potrzebowałaś nie być sama.

Nasze spojrzenia się spotkały. Było zbyt ciemno, aby wyczytać cokolwiek w jego oczach. To ja odwróciłam pierwsza wzrok.

– Wciąż się uczę, jak i dlaczego czasem czujemy rzeczy, których druga osoba nie chciałaby zdradzać – przyznał. – Nie potrafię więc wyjaśnić tego, co poczułaś dzisiejszego wieczoru.

„Potrzebowałaś nie być sama”...

A co z nim? Pięćdziesiąt lat był rozdzielony z przyjaciółmi, z rodziną...

– Pozwoliłaś Amarancie i całemu światu żyć w przekonaniu, że z rozkoszą rządysz z Dworu Koszmarów – powiedziałam. To wszystko atrapa, dekoracje mające chronić to, co najważniejsze.

Światła miasta ozłacały jego twarz.

– Kocham swój lud. I swoją rodzinę. Nie sądzę, że nie zmienilibym się w potwora, jeśli tego byłoby trzeba, aby ich ochronić.

– Już to zrobiłeś pod Górą – powiedziałam, zanim zdołałam się ugryźć w język.

Wiatr potargał mu włosy.

– I podejrzewam, że wkrótce będę musiał zrobić to ponownie.

– Jaka była cena? – odważyłam się zapytać. – Co było ceną utrzymania tego miejsca w tajemnicy, wolnym od jej jarzma?

Skierował się prosto w dół, młócąc powietrze skrzydłami, aby wylądować miękko na dachu swojego domu w mieście. Chciałam się od niego odsunąć, ale chwycił mnie za brodę.

– Już znasz tę cenę.

Dziwka Amaranthy.

Kiwnął głową. Chyba mimowolnie wymówiłam te dwa okrutne słowa na głos.

– Gdy podstępem odebrała mi moce i zostawiła ledwie strzępki, wciąż miałem więcej niż inni. Zdecydowałem się użyć tych resztek, aby wślizgnąć się do umysłu każdego schwytanego przez nią mieszkańca Dworu Nocy i wszystkich innych, którzy mogli znać prawdę.

Połączyłem ich wszystkich w sieć, aktywnie kontrolowałem ich umysły każdej sekundy każdego dnia, przez dziesięciolecia. Aby zapomnieli o Velaris, o Mor, o Amrenie, o Kasjanie i o Azrielu. Amarantha chciała wiedzieć, kto był mi bliski; kogo mogłaby zabić czy torturować. Ale mój prawdziwy dwór był tu: stąd władałem miastem i jego mieszkańcami.

Wykorzystałem resztkę swojej mocy, aby ich ukryć przed oczami i uszami wszystkich z zewnątrz. Miałem dość siły tylko na jedno miasto, na jedno miejsce. Wybrałem to, które i tak było ukryte przed historią. To ja dokonałem wyboru i teraz muszę żyć z jego konsekwencjami.

Z wiedzą, że poza tym miastem było mnóstwo innych, które wiele wycierpiały. Ale dla tego tutaj... każdy przelatujący lub podróżujący w pobliżu Velaris ujrzałby tylko nagą skałę. Gdyby ktokolwiek próbował tędy przejść, nagle stwierdziłby po prostu, że to jednak nie jest dobry pomysł. Handel morski i lądowy ustały; żeglarze zostali rolnikami i zajęli się uprawą ziemi wokół Velaris. A ponieważ moja moc była

skoncentrowana na zapewnieniu im bezpieczeństwa, Feyro, pozostało mi jej bardzo niewiele do walki z Amaranthą. Zdecydowałem więc, że aby przestała wypytywać o tych, którzy byli ważni, zostanie jej dziwką.

Zrobił to wszystko, dopuścił się wszystkich tych okropności... zrobił dosłownie wszystko dla swojego ludu, dla swoich przyjaciół. A ta jedyna część jego samego, którą ukrył i uchronił przed skażeniem, przed zniszczeniem przez nią, nawet jeśli oznaczało to spędzenie pięćdziesięciu lat w kamiennej klatce...

Rozpostarł skrzydła na całą ich rozpiętość. Kto spoza Velaris i obozów Ilyrów o nich wiedział? Czy też wymazał je z pamięci Prythianu na długo przed przybyciem Amaranthy?

Rhys puścił moją twarz. Ale gdy odsunął swoją dłoń, chwyciłam go za przegub, żeby chłonać drżącą w nim siłę.

– Wielka szkoda – powiedziałam cicho; moje słowa niemal ginęły w muzyce miasta. – Szkoda, że inni w Prythianie nie wiedzą. Szkoda, że pozwalasz im myśleć o tobie najgorzej.

Cofnął się o krok. Bicie jego skrzydeł przypominało głos potężnych bębnow.

– Dopóki ci, którzy znaczą najwięcej, znają prawdę, nie dbam o pozostałych. Wyśpij się.

Po tych słowach wystrzelił ku niebu i został połknięty przez ciemność między gwiazdami.

Osunęłam się w sen ciężki niczym cofająca się fala morska wciągająca mnie w dół, w dół, w dół, coraz głębiej, aż nie mogłam już uciec.

Leżałam naga na wznak na znajomej podłodze z czerwonego marmuru, a Amarantha wodziła ostrzem noża wzdłuż moich żeber. Stał drapała lekko moją skórę.

– Kłamliwa, zdradziecka człeczyna – zamruczała – o brudnym, załganym sercu.

Nóż pozostawił zadrapanie; chłodna pieśczoła. Spróbowałam się podnieść, ale ciało mnie nie słuchało.

Złożyła pocałunek na moim gardle.

– Jesteś takim samym potworem jak ja. – Przesunęła nożem nad moją piersią i skierowała ostrze w stronę sterczącego sutka, tak jakby widziała bijące pod żebrami serce. Zaczęłam łkać. – Nie marnuj łez.

Ktoś gdzieś daleko wykrzykiwał moje imię; błagał, bym go usłyszała.

– Sprawię, że wieczność będzie dla ciebie piekłem – przyrzekła, a czubek sztyletu przebił delikatną skórę pod piersią. Jej wargi zawisły tuż nad moimi, kiedy pchnęła...

Dłonie – na moich ramionach były czyjeś dłonie, które potrzęsały mną, ścisnęły mnie. Rzuciłam się, usiłowałam się wyrwać, krzycząc, wrzeszcząc...

– FEYRO!

Głos był jednocześnie nocą i świtem, gwiazdami i ziemią, a każdy cal mego ciała uspokoił się wobec brzmiącego w nim pierwotnego rozkazu.

– Otwórz oczy – zażądał głos.

Otworzyłam.

W gardle mnie piekło, w ustach czułam smak popiołu, twarz miałam całą mokrą i lepłą, a Rhysand... Rhysand stał nade mną z rozszerzonymi oczyma.

– To był sen – powiedział, dysząc równie ciężko jak ja.

Blask księżyca wlewający się przez okna rozjaśniał jego umięśnioną pierś, barki i ramiona, na których widać były ciemne linie tatuaży. Takie jak ten na mojej ręce. Przyjrzał się uważnie mojej twarzy.

– Sen – powtórzył.

Velaris. Byłam w Velaris, w jego domu. I miałam... swój sen...

Pościel i koce były podarte. Rozerwane na strzępy. Ale nie rozszarpano ich nożem. A ten posmak popiołu w moich ustach...

Dłoń była niepokojąco spokojna, gdy uniosłam ją do oczu i ujrzałam tłące się węgielki na czubkach palców. Żywe pazury ognia przecięły pościel, tak jakby wypalały rany...

Odepchnęłam go mocno, spadłam z łóżka i runęłam na niewielką skrzynię, zanim zdołałam dobiec do łazienki, opaść na kolana przy

ustępie i zwrócić zawartość żołądka. I znowu. I jeszcze raz. Moje palce syczały w zetknięciu z chłodem porcelany.

Chwilę później duże ciepłe dłonie odgarnęły mi włosy na kark.

– Oddychaj – powiedział Rhys. – Wyobraź sobie, że gasną jak świece, jeden po drugim.

Ponownie zwymiotowałam do miski ustępowej, cała drżąc, gdy światło i żar wezbrały i pomknęły przez moje gardło. Chłodna ciemność, która wypełniła miejsce po nich, była bardzo kojąca.

– Cóż, tak też to można zrobić – stwierdził.

Gdy odważyłam się spojrzeć na swoje dłonie zaciśnięte na porcelanie, rozżarzone węgle zniknęły. Nawet ta moc tętniąca w moich żyłach, wijąca się wokół kości, ponownie zasnęła.

– Miewam taki sen – powiedział Rhys, trzymając moje włosy, gdy ponownie zwymiotowałam – w którym to nie ja tkwię pod nią, ale Kasjan albo Azriel. Ich skrzydła są przybite do łóżka kolcami, a ja nie mogę zrobić nic, by ją powstrzymać. Ona każe mi się przyglądać, a ja nie mam wyboru, muszę patrzeć, jak ich zawodzę.

Trzymając się kurczowo ustępu, splunęłam, po czym sięgnęłam dłonią ku splotce. Przyglądałam się wirowi wody, aż całkowicie zniknął, po czym obróciłam głowę, by na niego spojrzeć.

Delikatnie, ale pewnie zaciskał palce na moich włosach.

– Nigdy ich nie zawiodłeś – wychrypiałam.

– Dopuściłem się... strasznych rzeczy, żeby osiągnąć swój cel. Te fiołkowe oczy niemal świeciły w półmroku.

– Ja też.

Pot lepił mi się do ciała niczym krew – krew tych dwóch fae...

Obróciłam się w ostatniej chwili. Wolną dłonią kreślił długie, kojące linie wzdłuż krzywizny moich pleców, a ja raz po raz zwracałam resztki kolacji. Kiedy minęła ostatnia fala mdłości, wyszeptałam:

– Płomienie?

– Dwór Jesieni.

Nie zdołałam sformułować odpowiedzi. Po jakimś czasie oparłam się o chłodny bok wanny i zamknęłam oczy.

Kiedy się obudziłam, przez okna wpadały promienie słońca, a ja leżałam w łóżku – przykryta starannie świeżą, czystą pościelą.

Uniosłam wzrok na stromy trawiasty stok niewielkiej góry. Zadrżałam na widok przepływających tumanów mgły. Za nami łąd kończył się bezlitosnymi klifami i rozszalałym spienionym morzem. Przed nami tylko szeroka góra o płaskim szczycie; szara skała i mech.

Rhys stał u mego boku z obosiecznym mieczem spoczywającym w pochwie zamocowanej wzdłuż kręgosłupa i nożami przypiętymi do nóg. Ubrany był w coś, co – sądząc po wczorajszym stroju Kasjana i Azriela – musiało być ilyryjską zbroją skórzaną: ciemne, obcisłe spodnie, przypominające łuski płaty skóry znoszone i poznaczone przecięciami. Uszyto je tak, aby przylegały dobrze do nóg; dotąd nie zwróciłam uwagi, jak dobrze były umięśnione. Obcisła kurta miała odpowiednie otwory na skrzydła, które trzymał teraz rozpostarte. Barki i przedramiona chroniły dodatkowo kawałki ciemnego, porysowanego pancerza.

Nawet gdyby jego wygląd nie zdradzał dość na temat tego, z czym może przyjść nam się dzisiaj zmierzyć – gdyby nie zdradzał tego mój bardzo podobny ubiór – wystarczyło jedno spojrzenie na skały przed nami, aby wiedzieć, że nie będzie przyjemnie. Gdy godzinę temu w jego gabinecie czytałam to, co pisał w starannie sformułowanej prośbie o pozwolenie na odwiedzenie Dworu Lata, tak bardzo odbiegłam myślami od czekającego nas zadania, że nie przyszło mi do głowy zapytać, czego mogliśmy się spodziewać tutaj. Oczywiście Rhys nie czuł się jakoś szczególnie zobowiązany wyjaśnić mi, dlaczego chciał odwiedzić Dwór Lata, chyba że za wyjaśnienia uznać uwagę o „poprawie stosunków dyplomatycznych”.

– Gdzie jesteśmy? – zapytałam. Były to moje pierwsze słowa po przeskoczeniu.

Velaris było rześkie i słoneczne, a w miejscu, w którym się właśnie znaleźliśmy, było lodowato, pusto i jałowo. Tylko skała, trawa, mgła i morze.

– Na wyspie w samym sercu Zachodnich Wysp – odparł Rhysand, wpatrując się w górujący nad nami masyw. – A to – dodał, wskazując górę – jest Więzienie.

Wokół nie było nic – ani nikogo.

– Nic nie widzę.

– Skala jest Więzieniem. A w nim znajdują się najpodlejsze, najbardziej niebezpieczne stwory i najgorsi złoczyńcy, jakich potrafisz sobie wyobrazić.

Wejść... w kamień, pod kolejną górę...

– To miejsce – ciągnął – powstało jeszcze przed pierwszym księciem. Zanim Prythian stał się Prythianem. Niektórzy z więźniów pamiętają tamte czasy. Pamiętają, kiedy to rodzina Mor, a nie moja, władała północą.

– Dlaczego Amrena nie chciała tu przyjść?

– Bo kiedyś była jednym z więźniów.

– Nie w tym samym ciele, jak rozumiem?

Uśmiechnął się okrutnie.

– Nie. W zupełnie innym.

Zadrżałam.

– Wspinaczka rozgrzeje ci krew – powiedział Rhys. – Nie możemy po prostu przeskoczyć do wewnątrz ani podlecieć do wejścia. Strażnicy wymagają, by goście przyszli na piechotę. Dłuższą drogą.

Ani drgnęłam.

– Ja...

Słowo uwięzło mi w krtani. Wejść pod kolejną górę...

– Przypomnienie samemu sobie – powiedział cicho – że się wydostało, że wszyscy się wydostaliśmy, pomaga zapanować nad paniką.

– Z ledwością.

Próbowałam oddychać. Nie mogłam, nie mogłam...

– Wydostaliśmy się. A jeśli nie dostaniemy się do środka, wszystko to może się wydarzyć ponownie.

Mroźna mgła zaszczypała mnie w twarz. I spróbowałam – naprawdę spróbowałam – zrobić krok naprzód.

Ciało odmówiło mi posłuszeństwa.

Ponownie postarałam się zrobić krok. Dla Elainy i Nesty, dla świata ludzi, który może zostać zniszczony, ale... Nie mogłam.

– Proszę – wyszeptałam.

Nie dbałam o to, że właśnie zawałam pierwszy dzień w pracy.
Rhysand – zgodnie z obietnicą – nie zadawał żadnych pytań, tylko chwycił moją dłoń i zabrał nas z powrotem do zimowego słońca i bogatych barw Velaris.

Przez resztę dnia nie wstawałam z łóżka.

Rozdział 18

U stóp łóżka stała Amrena.

Szarpnęłam się do tyłu, uderzając boleśnie w wezglowie, oślepiona jaskrawym światłem poranka, szukając po omacku broni, czegokolwiek, czego mogłabym użyć...

– Nic dziwnego, żeś taka chuda, skoro co noc wszystko zwracasz.
– Pociągnęła nosem i wykrzywiła usta z niesmakiem. – Cała śmierdzisz wymiocinami.

Drzwi do sypialni były zamknięte. Rhys powiedział, że nikt nie mógł wejść bez jego pozwolenia, ale...

Rzuciła coś na pościel. Niewielki złoty amulet z perłą i mlecznobłękitnym kamieniem.

– Dzięki temu wydostałam się z Więzienia. Wejdz z tym przypiętym do ubrania, a nie zdołają cię zatrzymać.

Nie dotknęłam podarku.

– Żebyś mnie dobrze zrozumiała – powiedziała Amrena, zaciskając obie dłonie na rzeźbionych kolumnach łóżka. – Nie jest mi łatwo rozstać się z tym amuletem. Ale możesz go pożyczyć na czas robienia tego, co trzeba zrobić, i oddać mi go, gdy będzie po wszystkim. Jeśli go zatrzymasz, znajdę cię i nie będzie przyjemnie. Ale możesz go używać w Więzieniu.

Zanim moje palce dotknęły chłodnego metalu i kamienia, wyszła przez drzwi.

Rhys nie przesadził z tym porównaniem do ognistego smoka.

Gdy szliśmy w górę stoku Więzienia, który był tak stromy, że czasem musieliśmy posuwać się na czworakach, Rhys ciągle zerkał ze ściągniętymi brwiami na amulet. Pięliśmy się coraz wyżej, a ja piłam wodę z niezliczonych małych strumieni szemrzących wśród kamieni i pęknięć porośniętych mchem i trawą z boczny. Wszędzie dokoła nas przepływały strzępy mgły smagane wiatrem, którego głuchy jęk zagłuszał chrzęst kamieni pod naszymi stopami.

Gdy po raz dziesiąty przyuważyłam Rhysa spoglądającego na

amulet, zapytałam:

– O co chodzi?

– Dała ci to.

To nie było pytanie.

– Zatem to musi być poważne – stwierdziłam. – Ryzyko...

– Nie mów niczego, czego nie chcesz zdradzić innym. – Wskazał na skałę, po której szliśmy. – Więźniowie nie mają nic lepszego do roboty niż nasłuchiwać przez ziemię i skałę w nadziei na wyłapanie nowych plotek. Sprzedają każdy skrawek informacji za jedzenie, seks, a może nawet odrobinę świeżego powietrza.

Dam sobie radę. Pokonam ten strach.

Amrena się wydostała. I pozostała na wolności. A amulet – mnie również pozwoli wyjść.

– Przepraszam – powiedziałam. – Za wczoraj.

Leżałam na łóżku przez długie godziny, niezdolna poruszyć się ani myśleć.

Rhys podał mi dłoń i pomógł się wspiąć na szczególnie stromy fragment, bez trudu dźwigając mnie na samą górę. Minęło tak wiele czasu – zbyt wiele – odkąd ostatni raz byłam na świeżym powietrzu, odkąd używałam mięśni, polegałam na nich. Oddech stał się nierówny nawet w tym nowym nieśmiertelnym ciele.

– Nie masz za co przepraszać – powiedział. – Jesteś tu teraz. – Ale jednocześnie byłam na tyle tchórzliwa, że nigdy bym tu nie przyszła bez tego amuletu. Puścił do mnie oko. – Nie zetnę ci wypłaty.

Byłam zbyt zmachana, żeby się choćby skrzywić. Wspinaliśmy się, dopóki szczyt góry nie stanął przed nami litą kamienną ścianą. Za naszymi plecami trawiaste zbocza schodziły falami daleko w dół, gdzie wpadały do niespokojnego szarego morza. Płynnym ruchem Rhys dobył miecza z pochwy na plecach.

– Skąd to zdziwienie na twojej twarzy? – zapytał.

– Ja... nigdy nie widziałam cię z bronią.

Poza sztyletem, który chwycił, by poderznąć gardło Amarancie na sam koniec – by oszczędzić mi cierpienia.

– Gdyby Kasjan to usłyszał, śmiałyby się tak długo, aż by zachrypnął. A potem zmusiłby mnie do sparingu.

– Czy on może cię pokonać?

– W walce wręcz? Tak. Musiałby dla odmiany ciężko zapracować na zwycięstwo, ale by je w końcu osiągnął. – Mówił to bez zarozumiałości, bez dumy. – Kasjan jest najlepszym wojownikiem, jakiego spotkałem jak świat długi i szeroki. Dlatego właśnie przewodzi moim wojskom.

Nie wątpiałam w jego słowa. A drugi Ilyr...

– Azriel... jego dłonie. Mam na myśli te blizny – powiedziałam. – Skąd one się wzięły?

Przez chwilę Rhys milczał. Po namyśle odpowiedział łagodnym głosem:

– Jego ojciec miał dwóch synów z prawego łóża, obu starszych od Azriela. Obu okrutnych i rozpuszczonych. Nauczyli się tego od ich matki, żony władcy. Przez jedenaście lat, które Azriel spędził w ojcowskiej twierdzy, jej staraniem był trzymany w celi bez okien, pozbawiony dostępu do światła. Wypuszczali go na godzinę każdego dnia. Swoją matkę mógł widywać przez godzinę w tygodniu. Nie mógł trenować, latać ani robić żadnej z tych rzeczy, o które domagał się głośno jego ilyryjski instynkt. Kiedy skończył osiem lat, jego bracia uznali, że zabawnie będzie przekonać się, co się stanie, gdy ilyryjskie dary szybkiego leczenia wystawią na próbę oliwy... i ognia. Wojownicy usłyszeli krzyki Azriela, ale nie byli dość szybcy, aby uratować jego dłonie.

Poczułam nagły atak nudności.

– Ale potem musiał spędzić z braćmi jeszcze trzy lata. Jakie inne okropności musiał znosić, zanim został wysłany do tamtego obozu gdzieś w górach?

– Czy... czy jego bracia zostali ukarani?

Twarz Rhysa była obojętna jak otaczające nas skała, wiatr i morze.

– Koniec końców: tak – powiedział cicho złowróżbnym tonem.

W jego głosie pobrzmiwała taka furia, że zdecydowałam się zmienić temat.

– A Mor... co ona robi dla ciebie?

– Mor jest tą, którą wezwę, kiedy wojsko zawiedzie, a Kasjan i Azriel polegą.

Jego słowa zmroziły mi krew.

– Ma zatem czekać aż do tego czasu?

– Nie. Jako trzecia po mnie Mor działa jako... nadzorczyńi dworu.

Dbą o odpowiednie relacje między Dworem Koszmarów a Dworem Snów. Zarządza zarówno Velaris, jak i Wykutym Miastem.

Podejrzewam, że w krainach śmiertelników mogłaby zostać uznana za królową.

– A Amrena?

– Jej obowiązki jako mojej prawej ręki obejmują doradzanie mi, bycie chodzącą biblioteką i wykonywanie za mnie brudnej roboty. Wybrałem ją zaraz po tym, jak zasiadłem na tronie. Ale była moją sojuszniczką, może nawet przyjaciółką, dużo dłużej.

– A... podczas wojny, gdy twoje wojsko zawiedzie, gdy Kasjan i Azriel zginą, gdy nawet Mor przepadnie?

Każde z tych słów było niczym lód na języku.

Rhys zamarł z ręką w pół drogi do nagiej skały przed nami.

– Jeśli taki dzień nadejdzie, znajdę sposób na przełamanie zaklęcia pętającego Amrenę i wyzwolę jej furję. A także poproszę ją, aby mnie zabiła pierwszego.

W imię Matki.

– Czym ona jest?

Po naszej porannej rozmowie było to chyba głupie pytanie.

– Czymś innym. Czymś gorszym od nas. A jeśli kiedykolwiek znajdzie sposób na odrzucenie pęt ciała i kości... Niech Kocioł ma nas wszystkich w opiece.

Zadrżałam ponownie i wbiłam wzrok w skalną ścianę.

– Nie dam rady wspiąć się na tak gładką skałę.

– Nie musisz – stwierdził Rhys i położył dłoń płasko na kamieniu.

Nicznym fatamorgana ściana zafalowała i zniknęła.

W jej miejscu pojawiły się blade rzeźbione wrota tak wysokie, że ich szczyt nikał w oparach mgły.

Wrota z kości.

Skrzydła kościanych wrót otworzyły się bezszelestnie i ukazały

moim oczom jaskinię wypełnioną ciemnością tak gęstą, jakiej nie widziałam nigdy dotąd – nawet pod Górą.

Ścisnęłam amulet przypięty na szyi. Metal był ciepły w dotyku. Amrena się wydostała. Ja również stąd wyjdę.

Rhys położył ciepłą dłoń na moich plecach i lekko popchnął mnie przed siebie. W powietrzu przed nami podskakiwały trzy kule księżycowego blasku.

Nie... nie, nie, nie, nie...

– Oddychaj – powiedział mi do ucha. – Jeden wdech.

– Gdzie są strażnicy? – zdołałam wykrztusić, walcząc z siłą ściskającą mi płuca.

– Tkwią w skale góry – wymruczał i odszukał dłonią moją dłoń, ścisnął ją mocno i pociągnął za sobą w nieśmiertelny mrok. – Wychodzą tylko na czas karmienia albo gdy muszą spacyfikować stwarzających problemy więźniów. Są jedynie cieniami myśli i pradawnym zaklęciem.

Starłam się nie patrzeć zbyt długo na ściany – szare w blasku rzucanym przez poprzedzające nas światła. Zwłaszcza gdy były szczególnie nierówne – wykute w taki sposób, że wystające fragmenty przypominały nos, albo poorane bruzdami czoło, albo wykrzywione w złowrogim grymasie wargi.

Na suchym podłożu tylko tu i ówdzie leżały drobne kamyki. Oprócz tego panowała cisza. Absolutna cisza. Minęliśmy zakręt i ostatnie promienie światła z mglistego świata pozostawionego za plecami rozplynęły się w atramentowym mroku.

Skoncentrowałam się na oddychaniu. Nie mogłam zostać tu uwięziona. Nie mogłam zostać zamknięta w tym okropnym, martwym miejscu.

Korytarz prowadził daleko w głąb góry. Ścisnęłam kurczowo palce Rhysa, aby utrzymać pion. W drugiej dłoni cały czas dzierżył miecz.

– Czy wszyscy książęta mają tu wstęp?

Moje słowa były tak ciche, że szybko zostały pożarte przez ciemność. Nawet moc pulsująca w moich żyłach zniknęła, zakopała się gdzieś w kościach.

– Nie. Więzienie rządzi się swoimi prawami. Ta wyspa może być na dobrą sprawę ósmym dworem. Ale znajduje się w mojej jurysdykcji,

a moja krew stanowi klucz do tych bram.

– Czy mógłbyś uwolnić więźniów?

– Nie. Gdy wyrok zostaje wydany i więzień przekracza te wrota...

Należy do Więzienia. Nigdy go już nie wypuści na wolność. Traktuję skazywanie na pobyt tutaj bardzo, bardzo poważnie.

– Czy kiedykolwiek...

– Tak. A teraz nie jest czas, by o tym mówić – uciął i ścisnął moją dłoń dla podkreślenia wagi swoich słów.

Szliśmy w półmroku wijącym się w dół korytarzem.

Nie było żadnych drzwi. Żadnych świateł.

Żadnych dźwięków. Nawet ciurkania wody.

Ale wyczuwałam ich.

Czułam ich śpiących, człapiących, przesuwających dłonie i pazury po drugiej stronie ścian.

Byli bardzo starzy i okrutni w sposób, z którym się dotąd nie spotkałam – nawet u Amaranthy. Byli nieskończeni i cierpliwi; i opanowali język ciemności, kamienia.

– Jak długo? – wyszeptałam. – Jak długo tu była?

Nie śmiałam wymówić jej imienia.

– Azriel kiedyś szukał tej informacji. Przekopywał archiwa w naszych najstarszych świątyniach i bibliotekach. Znalazł tylko niejasną wzmiankę o tym, że została tu osadzona, zanim Prythian podzielono na dwory, a wyszła, gdy dwory już istniały. Dzień jej uwięzienia nastąpił przed spisaniem najstarszej kroniki. Nie wiem, jak długo tu przebywała. Kilka tysiącleci jest chyba dobrym szacunkiem.

Trwoga ścisnęła mi wnętrzności.

– Nigdy nie pytałeś?

– A po co? Powie mi, kiedy zajdzie taka konieczność.

– Skąd pochodzi?

Brosza, którą jej dał – taki drobny prezent dla potwora, który kiedyś tu przebywał.

– Nie wiem. Chociaż krążą opowieści, według których w dniu narodzin świata pojawiły się... rozdarcia w tkaninie krain. Że w chaosie towarzyszącym Kształtowaniu stwory z innych światów mogły przejść przez jedno z tych rozdarć i dostać się tu. Ale wrota potrafiły

niespodzianie się zamknąć i uwięzić tu te stwory bez możliwości powrotu.

Było to bardziej przerażające, niż potrafiłam sobie wyobrazić – zarówno potwory przechodzące między światami, jak i koszmar bycia uwięzionym w nie swoim planie egzystencji.

– Sądysz, że była jednym z nich?

– Sądzę, że jest jedyną przedstawicielką swojego gatunku. Nie ma żadnych zapisów świadczących o istnieniu choć jednej istoty takiej jak ona. Nawet suriel nie jest sam jeden, choć jego bracia i siostry są nieliczni. Ale ona... i niektórzy inni w Więzieniu... Sądzę, że przybyli z innego miejsca. I od bardzo, bardzo dawna szukają sposobu na powrót do domu.

Cała dygotałam pod podbitą futrem skórą. Mój oddech zamieniał się błyskawicznie w parę.

Schodziliśmy coraz niżej i straciliśmy poczucie czasu. Równie dobrze mogły minąć godziny co dni. Przystawaliśmy tylko wtedy, gdy moje bezużyteczne wycieńczone ciało domagało się wody. Na chwilę nie puszczał mojej dłoni, nawet kiedy piłam. Tak jakby skała mogła mnie połknąć na zawsze. Staralam się, aby przerwy w wędrówce były krótkie i rzadkie.

Wciąż wędrowaliśmy dalej, głębiej. Tylko światła i jego dłoń powstrzymywały mnie od uczucia, że lada chwila spadniemy w ciemność. Przez jedno uderzenie serca nozdrza wypełnił mi smród mojej celi, a na policzku poczułam łaskotanie wilgotnej słomy...

Rhys mocniej ścisnął moją dłoń.

– Już niedaleko.

– Musimy już być blisko dna.

– Minęliśmy je. Rzeźbiący w Kościach jest uwięziony pod korzeniami góry.

– Kim on jest? Czym on jest?

Powiedział mi tylko to, co miałam mówić – nie wspomniał ani słowem o tym, czego mam się spodziewać. Bez wątpienia nie chciał wywołać u mnie dzikiej paniki.

– Nikt tego nie wie. Pojawia się w takiej postaci, w jakiej zapragnie.

– Zmiennokształtny?

– I tak, i nie. Tobie pojawi się jako jedno, a mnie – stojącemu tuż obok ciebie – jako coś zupełnie innego.

Staralam się nie zabczeć jak przerażona owca.

– A rzeźbienie w kościach?

– Zobaczysz.

Rhys zatrzymał się przed gładką kamienną płytą. Korytarz prowadził dalej w dół – w beczasowy mrok. Powietrze tu było duszne, gęste. Nawet para dobywająca się z moich ust szybko znikła.

Rhysand w końcu puścił moją dłoń i położył swoją na kamieniu. Skąła zafalowała pod jego dotykiem i uformowała drzwi.

Podobnie jak wrota na górze były wykonane z kości. Pokrywały je niezliczone płaskorzeźby: rośliny i zwierzęta, morza i chmury, gwiazdy i księżycy, dzieci i szkielety, stwory przyjazne i złowrogie...

Stanęły otworem. Ciała była całkowicie ciemna, ledwo odróżniała się od korytarza...

– Wyrzeźbiłem drzwi dla każdego więźnia tego miejsca – powiedział słaby głos – ale swoje najbardziej lubię.

– Muszę się zgodzić – stwierdził Rhysand.

Wszedł do środka. Podskakujące kule światła poprzedzały go i oświetliły przycupniętego pod przeciwległą ścianą ciemnowłosego chłopca. Jasnoniebieskie oczy omiotły Rhysanda, po czym przesunęły się na mnie wciąż stojącą w wejściu.

Rhys sięgnął do torby, której wcześniej nie zauważyłam... musiał ją przywołać z jednej z kieszeni między światami, które wykorzystywał jako schowki. Rzucił jakiś przedmiot w stronę chłopca, który wyglądał na najwyżej osiem lat. Biel błysnęła w świetle, gdy podarek wylądował ze stukiem na nierównej kamiennej posadzce. Kolejna kość – długa i mocna, postrzępiona na jednym końcu.

– Kość, przez którą czerw middengardzki wyzionął ducha w pułapce Feyry – oznajmił Rhys.

Krew zamarła mi w żyłach. Powbijałam wtedy wiele kości. Nie zwróciłam uwagi na to, która ostatecznie zakończyła życie potwora. Nie sądziłam, że ktokolwiek mógłby to ustalić.

– Wejdz – rzucił krótko Rzeźbiący w Kościach. W głosie dziecka

nie słychać było ani odrobiny niewinności czy dobroci.

Postąpiłam jeden krok naprzód i na tym poprzestałam.

– Minęły całe wieki – odezwał się chłopiec, pożerając mnie wzrokiem – odkąd coś nowego wkroczyło do tego świata.

– Bądź pozdrowiony – wyszeptałam.

Uśmiech chłopca był parodią niewinności.

– Boisz się?

– Tak – odparłam.

„Mów samą prawdę” – tak brzmiało pierwsze polecenie Rhysa.

Chłopiec wstał, ale trzymał się swojego końca celi.

– Feyra – wymruczał pod nosem i przechylił głowę na bok. Blask czarodziejskiego światła posrebrzył atramentowoczarne włosy. – Fey-ra – powtórzył, rozciągając sylaby, tak jakby je smakował. W końcu wyprostował głowę. – Gdzie trafiłaś, kiedy umarłaś?

– Pytanie za pytanie – odparłam zgodnie z instrukcjami otrzymanymi przy śniadaniu.

Rzeźbiący w Kościach skinął głową Rhysandowi.

– Zawsze byłeś mądrzejszy od swoich przodków. – Nie spuszczał ze mnie spojrzenia. – Powiedz mi, gdzie trafiłaś, co widziałaś... a ja odpowiem na twoje pytanie.

Rhys skinął ledwo zauważalnie głową, ale wzrok miał czujny. Z powodu tego, o co zapytał chłopiec...

Musiałam uspokoić oddech, by móc się zastanowić – by móc sobie przypomnieć.

Ale tam były krew, śmierć, ból i krzyk – a ona mnie niszczyła, zabijała mnie powoli; i był tam Rhys, ryczący wściekle, gdy wyzionęłam ducha; i był tam Tamlin błagający o moje życie na kolanach przed jej tronem... Ale było tak wiele cierpienia, a ja chciałam, aby było już po wszystkim, aby się to wszystko już skończyło...

Rhys zeszywniał i przyglądał się badawczo Rzeźbiącemu w Kościach, tak jakby te wspomnienia wypływały swobodnie poza moją mentalną tarczę, którą sprawdzałam przeciw tego ranka. Czy sądził, że dam teraz za wygraną?

Zacisnęłam dłonie w pięści.

Przeżyłam, wydostałam się. Dzisiaj też się wydostanę.

– Usłyszałam trzask – powiedziałam. Rhys obrócił gwałtownie głowę w moją stronę. – Usłyszałam trzask, gdy skręciła mi kark. Wypełniał mi uszy, ale też czaszkę. Odeszłam, zanim zdołałam poczuć cokolwiek poza pierwszą falą bólu.

Niebieskie oczy Rzeźbiącego w Kościach zdały się zalśnić mocniej.

– Potem nadeszła ciemność. Inna niż tutaj. Ale była też... nić. Uwięź. Pociągnęłam za nią i nagle widziałam. Nie swoimi oczami, ale... jego. – Skinęłam głową w stronę Rhysa. Rozprostowałam palce wytatuowanej dłoni. – I wiedziałam, że nie żyję, a ten maleńki strzęp duszy uczepiony więzi naszej umowy był wszystkim, co ze mnie zostało.

– Ale czy był tam ktoś jeszcze, czy widziałś cokolwiek dalej?

– Była tylko ta więź w ciemności.

Rhysand pobladł i zacisnął mocno wargi.

– A kiedy moje ciało zostało stworzone na nowo – dodałam – podążyłam tą więzią z powrotem: do siebie. Wiedziałam, że dom znajduje się na jej drugim końcu. Wtedy pojawiło się światło. To było niczym płnięcie w górę w musującym winie...

– Czy się bałaś?

– Chciałam tylko wrócić do... do otaczających mnie osób.

Pragnęłam tego na tyle rozpaczliwie, że nie starczyło już miejsca na strach. Najgorsze już się stało, a ciemność była spokojna i cicha. Nie sprawiała wrażenia czegoś złego, w co nie warto się zapaść. Ale chciałam wrócić do domu. Zatem podążyłam tam wzdłuż więzi.

– Nie było innego świata? – naciskał Rzeźbiący w Kościach.

– Jeśli był lub w ogóle jest takowy, nie widziałam go.

– Żadnego światła, drzwi?

„Dokąd chcesz się dostać?” – to pytanie niemal zeskoczyło mi z języka.

– Były tylko spokój i ciemność.

– Czy miałaś ciało?

– Nie.

– Czy...

– Wystarczy już – zamruczał Rhysand. Jego głos brzmiał jak aksamit owinięty wokół najostrzejszej stali. – Zgodziłeś się na pytanie za

pytanie. Zadałeś już... – Policzył na palcach. – Sześć.

Rzeźbiący w Kościach oparł się o ścianę i osunął w kucki.

– Rzadko można spotkać kogoś, kto powrócił z prawdziwej śmierci. Wybacz mi chęć zajrzenia za zasłonę. – Skinął drobną dłonią w moją stronę. – Pytaj, dziewczyno.

– Gdyby nie było ciała, niczego poza może kawałkiem kości – odezwałam się tak mocnym głosem, na jaki potrafiłam się zdobyć – czy byłoby możliwe wskrzeszenie takiej osoby? Stworzenie jej nowego ciała i wlanie do niego duszy?

Oczy mu zabłyśły.

– Czy dusza została w jakiś sposób zachowana? Przechowana?

Staralam się nie myśleć o pierścieniu z okiem na dłoni Amaranthy, o duszy, którą w nim uwięziła, by przyglądała się jej okrucieństwu i zepsuciu.

– Tak.

– Nie ma na to sposobu.

Niemal odetchnęłam z ulgą.

– Chyba że... – Chłopiec stuknął po kolei wszystkimi palcami o kciuk. Jego dłoń przypominała przy tym jakiegoś bladego ruchliwego owada. – Dawno temu, przed pojawieniem się fae wysokiego rodu, przed nadejściem ludzi, był Kocioł... Powiadają, że w nim znajdowała się cała magia, że w nim zrodził się świat. Ale wpadł w niewłaściwe ręce. Wykorzystywano go do rzeczy wielkich i okropnych. Tworzono w nim różne istoty. Tak niegodziwe, że Kocioł został w końcu wykradzony, ale wielkim kosztem. Nie można go było zniszczyć, ponieważ w nim stworzono całe istnienie i gdyby został rozbity, ustałoby całe życie. Został więc ukryty. Zapomniany. Tylko w Kotle można przywrócić do życia coś, co nie żyje.

Twarz Rhysanda była ponownie doskonałą maską spokoju.

– Gdzie go ukryto?

– Zdradź mi sekret nieznanym nikomu innemu, władco nocy, a ja zdradzę ci mój.

Przygotowałam się na usłyszenie jakiejś koszmarnej opowieści, ale Rhysand powiedział tylko:

– Kiedy leje, strzyka mi w prawym kolanie. Roztrzaskałem je

podczas wojny i od tej pory ciągle mnie boli.

Rzeźbiący w Kościach zaśmiał się chrapliwie, a ja patrzyłam na Rhysa z wybałuszonymi oczami.

– Zawsze byłeś moim ulubieńcem – powiedział chłopiec i posłał księciu uśmiech, którego nawet przez chwilę nie uznałabym za dziecięcy. – W porządku. Kocioł ukryto na dnie zamarzniętego jeziora w Lapplundzie. – Rhys zaczął obracać się do mnie, tak jakby chciał się tam niezwłocznie udać, ale Rzeźbiący dodał: – Zniknął stamtąd dawno, dawno temu. – Rhys zamarł. – Nie wiem, dokąd go zabrano ani gdzie jest teraz. Całe tysiąclecia przed twoimi narodzinami trzy nogi, na których spoczywał, zostały odcięte od podstawy w próbie ujęcia choć części jego mocy. Zadziałało... choć słabo. Usunięcie tych nóg odniosło efekt zbliżony do odcięcia kawałka palca na wysokości pierwszego stawu. Uciążliwe, owszem, ale resztą palca możesz się dalej posługiwać. Trzy nogi zostały ukryte w trzech świątyniach – w Cesere, Sangrawie i Itice. Jeśli je wykradziono, Kocioł jest zapewne ponownie aktywny, a ten, kto nim włada, pragnie jego pełnej mocy, nie pogodzi się z brakiem nawet ułamka.

To dlatego plądrowano świątynie: aby odzyskać nogi, na których spoczywał Kocioł, i przywrócić mu pełną moc. Rhys powiedział tylko:

– Nie sądzę, byś wiedział, w *czyich* rękach jest teraz Kocioł?

Rzeźbiący w Kościach wskazał mnie małym palcem.

– Przynajmniej mi, że dasz mi jej kości, kiedy umrze, a ja się zastanowię. – Zesztywniałam, ale chłopiec się zaśmiał. – Nie... nie sądzę, żebyś nawet ty przysięgł coś takiego, Rhysandzie.

Wyraz twarzy Rhysa mogłabym nazwać ostrzegawczym.

– Dziękujemy za pomoc – powiedział, po czym położył rękę na moich plecach, aby skierować mnie do wyjścia.

Ale jeśli on wiedział... Zwróciłam się ponownie do chłopca-stwora.

– Był wybór... w śmierci – powiedziałam.

Jego oczy zapłonęły niebieskim ogniem.

Dłoń na moich plecach zeszywniała, ale pozostała na miejscu. Ciepła, niewzruszona. Zastanawiałam się, czy ten dotyk nie miał bardziej upewnić jego, że wciąż tu jestem, że wciąż oddycham.

– Wiedziałam – kontynuowałam – że mogłabym odpłynąć w mrok. Ale zdecydowałam się walczyć, pozostać tu jeszcze przez chwilę. Niemniej jednak wiedziałam, że gdybym tylko zechciała, mogłabym odpłynąć. I może to byłby nowy świat, kraina wypoczynku i spokoju. Ale nie byłam na to gotowa, nie chciałam się tam udawać sama. Wiedziałam, że za tą ciemnością czeka na mnie coś innego. Coś dobrego.

Na chwilę błękitne oczy rozjaśniły się.

– Dobrze wiesz, kto ma Kocioł, Rhysandzie – powiedział chłopiec.
– Kto plądrował świątynie. Przyszedłeś tylko po potwierdzenie tego, czego sam się już dawno domyślałeś.

– Król Hybernii.

Trwoga chlusnęła moimi żyłami i zebrała się w żołądku. Nie powinnam być zaskoczona, powinnam była wiedzieć, ale...

Rzeźbiący nie powiedział nic więcej. Czekał na kolejną prawdę.

Zaoferowałam mu zatem kolejny strzaskany kawałek mojego serca.

– Kiedy Amarantha zmusiła mnie do zabicia tej dwójki fae, gdyby trzeci nie okazał się Tamlinem, wbiłabym ten ostatni sztylet we własne serce.

Rhys zamarł.

– Wiedziałam, że nie ma już odwrotu po tym, co zrobiłam – dodałam, zastanawiając się, czy błękitny płomień w jego oczach mógłby spalić moją strzaskaną duszę na popiół. – A gdy złamałam klątwę, gdy już wiedziałam, że ich ocaliłam, chciałam mieć tylko dość czasu, by zwrócić ten sztylet przeciw sobie. Zdecydowałam, że jednak chcę żyć, dopiero po tym, jak mnie zabiła. Kiedy zrozumiałam, że nie skończyłam tego... czegokolwiek, do czego zostałam zrodzona.

Zarzykowałam spojrzenie na Rhysa. Wydawał się zdruzgotany, ale otrząsnął się w mgnieniu oka.

Nawet Rzeźbiący w Kościach odezwał się łagodnym głosem:

– Kocioł może posłużyć do innych celów niż wskrzeszanie umarłych. Dzięki niemu można też strzaskać mur.

Jedyną rzecz, która chroniła ludzkie ziemie – moją rodzinę – nie tylko przed Hybernią, ale też przed innymi fae.

– Król Hybernii siedział cicho przez tyle lat zapewne dlatego, że

polował na Kocioł, zgłębiał jego tajemnice. Wskreszenie konkretnej osoby może równie dobrze być pierwszym sprawdzianem mocy Kotła po przywróceniu mu nóg. Teraz odkrywa, że naczynie jest czystą energią, czystą mocą, która podobnie jak każda inna magia może się wyczerpać. Dlatego też pozwoli mu odpocząć, zebrać siłę. Będzie odkrywał jego tajemnice, aby napełnić go energią, wzmocnić jego siłę.

– Czy jest sposób na powstrzymanie go? – zapytałam szeptem.
Cisza. Pełne wyczekiwania milczenie.

– Nie mów mu już nic więcej... – odezwał się ochryłym głosem Rhys.

– Kiedy Kocioł powstał – nie dał mu skończyć Rzeźbiący w Kościach – jego mroczny twórca wykorzystał resztkę stopionego metalu do wykucia księgi. Księgi Tchnień. W niej między wyrytymi słowami znajdują się zaklęcia neutralizujące moc Kotła – lub pozwalające nad nim w pełni zapanować. Lecz po wojnie Księga została rozłamana na dwoje. Jedną część otrzymali fae, druga powędrowała do sześciu ludzkich królowych. To była część Traktatu, czysto symboliczna, gdyż Kocioł zaginął tysiące lat wcześniej i był już uznawany jedynie za mit. Księga była postrzegana jako niegroźna, ponieważ podobieństwo wymaga innego podobieństwa. Tylko ktoś, kto został stworzony, może wypowiedzieć zaklęcia i wyzwolić moc Księgi. Żadna istota zrodzona z ziemi temu nie podoła, zatem książęta i ludzie uznali artefakt za ledwie pamiątkę dawnych czasów. Ale gdyby Księga trafiła do rąk czegoś, co zostało wykute na nowo... Oczywiście trzeba by było zweryfikować tę teorię, ale... byłoby to możliwe.

Zmrużył oczy w tryskające rozbawieniem szpary, a do mnie docierało... do mnie docierało znaczenie jego słów...

– Obecnie nasza część znajduje się w pieczy księcia Dworu Lata. Drugą śmiertelne królowe zamurowały w ich lśniącym pałacu nad morzem. Część prythiańska jest pilnowana, strzeżona magią krwi powiązaną z samym Latem. Ta należąca do królowych śmiertelników... Gdy otrzymały ten dar, postąpiły bardzo przebiegle. Wykorzystały naszą magię, aby zakląć Księgę, aby ją związać. Jeśli zostałyby kiedykolwiek wykradziona, jeśli – założmy – jakiś książę Prythianu przeskoczyłby między światami do ich zamku i wykradł artefakt... Księga roztopiłaby

się na powrót w płynny metal i przepadła. Musi zostać oddana dobrowolnie przez jedną ze śmiertelnych królowych, bez podstępu, bez ingerencji magii. – Zaśmiał się krótko. – Cóż za mądre, urocze stworzenia ci ludzie.

Przez chwilę Rzeźbiący w Kościach zatopił się we wspomnieniach pradawnych czasów... potem potrząsnął głową.

– Połącz obie połowy Księgi Tchnień, a będziesz mogła zanegować moc Kotła. Jeśli ci się poszczęści, zdążysz to zrobić, zanim odzyska pełnię mocy i zanim mur zostanie rozbity.

Nie zaprzętałam sobie głowy podziękowaniami. Nie wobec informacji, które nam przekazał. Nie w sytuacji, gdy zostałam zmuszona powiedzieć to wszystko – wciąż czułam gdzieś na skraju postrzegania uwagę Rhysa. Tak jakby podejrzewał, ale nigdy do końca nie wierzył, jak bardzo ucierpiałam w tamtej konfrontacji z Amaranthą.

Odwróciliśmy się plecami do chłopca. Rhys zsunął dłoń z moich pleców, by chwycić mnie za dłoń.

Jego dotyk był lekki – delikatny. A ze mnie nagle opadły wszelkie siły i nie potrafiłam nawet uścisnąć jego palców w odpowiedzi.

Rzeźbiący podniósł kość, którą przyniósł mu Rhysand, i zważył ją w dziecięcych dłoniach.

– Wyrzeźbię na niej twoją śmierć, Feyro.

Szliśmy w górę, w górę, w ciemność, przez uśpiony kamień i wśród zamieszkujących go potworów. W końcu zebrałam się w sobie i zapytałam:

– Co widziałeś?

– Ty pierwsza.

– Chłopca, około ośmiu lat, z ciemnymi włosami i niebieskimi oczami.

Rhys zadygotał. To była najbardziej ludzka reakcja, jaką u niego widziałam.

– Co widziałeś? – nie dawałam za wygraną.

– Juriana – odparł Rhys. – Wyglądał tak samo jak w dniu, gdy go widziałem po raz ostatni: kiedy stawiał czoła Amarancie i walczył z nią na śmierć i życie.

Nie chciałam wiedzieć, skąd Rzeźbiący w Kościach wiedział,

o kogo przyszedliśmy zapytać.

Rozdział 19

Amrena ma rację – powiedział Rhys, przeciągając sylaby. Stał oparty o framugę drzwi prowadzących do pokoju dziennego w jego miejskiej rezydencji. – Naprawdę jesteście jak psy, które tylko czekają na mój powrót do domu. Może powinienem kupić wam smakołyki.

Kasjan rozparty na kanapie przed paleniskiem z ręką założoną na oparcie za plecami Mor pokazał mu wulgarny gest. Mimo swobodnej pozycji jego potężnego, muskularnego ciała w linii jego szczęki znać było napięcie, skupioną energię, po której domyśliłam się, że czekali tu dość długo.

Azriel stał przy oknie, bezpiecznie spowity cieniami. Trawnik i ulicę za szybą pokrywała cienka warstwa śniegu. A Amrena...

Musiała być gdzieś indziej. Nie potrafiłam ocenić, czy odczułam przez to ulgę. Będę musiała ją wkrótce odszukać, by zwrócić jej naszyjnik – jeśli wierzyć ostrzeżeniom Rhysa i jej własnym słowom.

Zmoczona i zmarznięta od mgły i wiatru, które nie dawały nam spokoju, gdy schodziliśmy ze stoków Więzienia, podeszłam do fotela stojącego obok kanapy, z oparciem ukształtowanym – jak wiele innych mebli w tym domu – z myślą o skrzydłach Ilyrów. Wyciągnęłam sztywne kończyny w stronę ognia i zdusiłam jęk rozkoszy, gdy ciepło zaczęło wlewać się we mnie.

– Jak poszło? – zapytała Mor, wyprostowując się.

Dzisiaj nie miała na sobie sukni, lecz praktyczne czarne spodnie i gruby niebieski sweter.

– Rzeźbiący w Kościach – powiedział Rhys – to wścibski plotkarz, który nazbyt lubi wtykać nos w nie swoje sprawy.

– Ale? – wtrącił Kasjan, opierając dłonie na kolanach; skrzydła trzymał ciasno złożone na plecach.

– Ale – podjął Rhys – potrafi też być pomocny, gdy tylko zechce. I wygląda na to, że musimy zacząć robić to, co wychodzi nam najlepiej.

Rozprostowałam zdrętwiałe palce, rada, że nie muszę się angażować w rozmowę. Potrzebowałam chwili, żeby wrócić do siebie, żeby odciąć się od tego, co wyjawiałam Rzeźbiącemu w Kościach.

A także od tego, co jak zasugerował, będę musiała zrobić z Księgą.

Od myśli o zdolnościach, którymi mogę dysponować.

Rhys powiedział im o Kotle, o tym, dlaczego plądrowano świątynie, do wtóru przekleństw i pytań – ale nie zdradził ani słowa z tego, co zaoferowałam w zamian za te informacje. Azriel wyłonił się ze spowijających go cieni, aby zadać najwięcej pytań. Z jego twarzy i głosu nie dało się nic odczytać. Ku memu zaskoczeniu Kasjan zachowywał milczenie – tak jakby generał rozumiał, że pieśniarz cieni będzie wiedział, które informacje są potrzebne, a sam był zajęty analizowaniem ich w kontekście jego oddziałów.

– Skontaktuję się z moimi informatorami na Dworze Lata – oznajmił naczelnny szpieg, gdy Rhys skończył mówić – i dowiem się, gdzie trzymają swoją połowę Księgi Tchnień. Mogę też sam polecieć do świata śmiertelników, aby ustalić, gdzie trzymają swoją część, zanim ich o nią poprosimy.

– Nie ma takiej potrzeby – powiedział Rhys. – I nie powierzyłbym tych informacji komukolwiek spoza tego pokoju, łącznie z twoimi informatorami. Poza oczywiście Amreną.

– Można im zaufać – skontrował Azriel głosem chłodnym niczym stal, zaciskając poznaczone bliznami dłonie na bokach swojego skórzanego pancerza.

– Sprawa jest zbyt poważna, abyśmy podejmowali takie ryzyko – skwitował Rhys.

Wytrzymał spojrzenie Azriela, a ja niemal słyszałam ciche słowa, które dodał Rhys: „To nie jest moja ocena ani opinia na twój temat, Az. W żadnej mierze”.

Naczelnny szpieg nie zdradził ani krztyny emocji, tylko skinął głową i rozprostował dłonie.

– No to powiedz, co zaplanowałaś? – wtrąciła Mor, prawdopodobnie by odciążyć Aza.

Rhys strzepnął niewidzialny pyłek ze swojej zbroi. Gdy uniósł głowę, jego fiołkowe oczy były zimne niczym lód.

– Król Hybernii splądrował jedną z naszych świątyń, aby zdobyć brakujący element Kotła. Jeśli o mnie chodzi, to jest równoznaczne z wypowiedzeniem wojny. Świadczy o tym, że jego wysokość nie ma zamiaru się ze mną układać.

– Pewnie i tak pamięta, że w wojnie staliśmy po stronie ludzi – wtrącił Kasjan. – Nie zaryzykowałby zdradzenia swoich planów, próbując zaskarbić sobie twoją przychylność. Poza tym idę o zakład, że część sługusów Amaranthy doniosła mu o tym, co się wydarzyło pod Górą. Mam na myśli to, jak się to wszystko skończyło.

Grdyka Kasjana zatańczyła.

Miał na myśli to, że Rhys próbował ją zabić. Opuściłam dłonie na kolana.

– Istotnie – powiedział Rhys. – Ale to oznacza, że siły Hybernii już przeniknęły na nasze ziemie. Niewykryte. Zamierzam odpłacić im pięknym za nadobne.

Święta Matko. Kasjan i Mor jedynie wyszczerzyli zęby z dziką rozkoszą.

– Jak? – zapytała Mor.

Rhys skrzyżował ramiona.

– To będzie wymagało pieczołowitego przygotowania. Ale jeśli Kocioł znajduje się w Hybernii, to właśnie tam musimy się udać. Albo żeby go odebrać... albo żeby użyć Księgi do zneutralizowania go.

Jakaś tchórzliwa i żałosna część mnie już się trzęsła ze strachu.

– Dostępu do Hybernii strzeże zapewne nie mniej zaklęć ochronnych i barier niż nasze ziemie – zauważył Azriel. – Najpierw musielibyśmy znaleźć sposób na przeniknięcie przez nie niezauważeni.

Rhys lekko skinął głową.

– Dlatego też zaczynamy przygotowania już teraz. W trakcie poszukiwań Księgi. Abyśmy po zdobyciu obu połówek mogli działać szybko. Zanim rozejdzie się wieść o tym, czym dysponujemy.

Kasjan kiwnął głową, ale jednocześnie zapytał:

– A w jaki sposób zamierzasz wejść w posiadanie Księgi?

Zebrałam się w sobie na to, co Rhys miał powiedzieć.

– Ponieważ te artefakty są powiązane z poszczególnymi księżętami i mogą zostać odnalezione wyłącznie przez nich, dzięki ich mocy... to wygląda na to, że mamy tu doskonały wykrywacz.

Wszyscy spojrzeli na mnie.

Skuliłam się.

– Może to miał na myśli Rzeźbiący w Kościach, gdy mówił

o moich umiejętnościach tropienia. Nie wiadomo... – Słowa uwięzły mi w gardle na widok pokpiwającego uśmiešku Rhysa.

– Masz w sobie jądro mocy nas wszystkich. To tak jakbyś miała odciski palców nas siedmiu. Gdybyśmy cokolwiek ukryli, gdybyśmy wykorzystali naszą moc, aby coś stworzyć lub otoczyć ochroną, nieważne, gdzie by się to znalazło, potrafiłabyś to wysledzić dzięki tej właśnie mocy.

– Nie możesz tego wiedzieć na pewno – oponowałam słabo.

– Nie... ale jest sposób, by się przekonać – stwierdził Rhys, nie przestając się uśmiechać.

– No to się zaczyna – mruknął Kasjan.

Mor spojrzała na Azriela ostrzegawczo, jakby chciała mu powiedzieć, aby tym razem *nie* zgłaszał się na ochotnika. Naczelnny szpieg tylko posłał jej pełne niedowierzania spojrzenie.

Mogłabym tak siedzieć w fotelu i przyglądać się ich milczącej walce, gdyby Rhys nie dodał:

– Z twoimi umiejętnościami, Feyro, mogłabyś odnaleźć połowę Księgi na Dworze Lata i przełamać chroniące ją zaklęcia. Ale nie mam zamiaru polegać tu na słowie Rzeźbiącego ani zabierać cię tam bez sprawdzenia najpierw twoich możliwości. Muszę mieć pewność, że w kluczowym momencie, gdy dotrzemy do Księgi, ty... *my* nie zawiedziemy. Zatem udamy się na kolejną małą wyprawę. Przekonać się, czy zdołasz odnaleźć pewien cenny przedmiot należący do mnie, który utraciłem bardzo dawno temu.

– Szlag – rzuciła Mor i wcisnęła dłonie w grube fałdy swetra.

– Dokąd? – wykrztusiłam.

To Azriel mi odpowiedział:

– Do Tkaczki.

Gdy tylko Kasjan otworzył usta, Rhys uniósł dłoń.

– Sprawdzian – powiedział – pozwoli nam się przekonać, czy Feyra potrafi rozpoznać w skarbcu Tkaczki przedmiot należący do mnie. Gdy dotrzemy do Dworu Lata, może się okazać, że Tarquin rzucił na Księgę zaklęcie zmieniające jej wygląd, jej postać.

– Na Kocioł, Rhys – nie wytrzymała Mor, zrywając się na równe nogi. – Czyś ty postradał...

- Kim jest Tkaczka? – naciskałam.
- Starożytną, okrutną istotą – powiedział Azriel.

Przyjrzałam się ledwo widocznym bliznom na jego skrzydłach, na szyi, i zastanawiałam się, ile tego rodzaju stworzeń spotkał w swoim nieśmiertelnym życiu. Czy były gorsze od osób, które łączyły z nim więzy krwi?

– Której nie należy niepokoić – dodał, zwracając się do Rhysa. – Znajdź inny sposób na sprawdzenie jej umiejętności.

Rhys tylko wzruszył ramionami i spojrzał na mnie. Pozwalał mi wybrać. Zawsze... w ostatnich dniach zawsze to ja musiałam podejmować decyzję. A jednak nie pozwolił mi wrócić do Dworu Wiosny podczas tych dwóch wizyt... Może dlatego, że wiedział, jak bardzo potrzebowałam od niego uciec.

Przygryzłam wargę, rozważając ryzyko, czekając na pojawienie się załążka strachu, emocji. Ale dzisiejsze popołudnie wyszło ze mnie ostatnie ich pokłady.

– Rzeźbiący w Kościach, Tkaczka... Czy nie możecie innych nazywać zwyczajnie po imieniu?

Kasjan zachichotał, a Mor opadła z powrotem na sofę.

Tylko Rhys, jak się zdawało, zrozumiał, że nie był to do końca żart. Spoglądał na mnie ze ściągniętą twarzą. Tak jakby doskonale wiedział, jak bardzo byłam zmęczona; jak wiedziałam, że powinnam się trząść ze strachu na samą myśl o tej Tkaczce, ale po spotkaniu z Rzeźbiącym w Kościach, po tym, co mu wyjawiałam... Nie potrafiłam już czuć czegokolwiek.

– A może dodamy do tej listy jeszcze jedno miano? – zwrócił się do mnie.

Nieszczerólnie podobała mi się ta propozycja. Mor podzielała moje odczucia.

– Wysłanniczka – oznajmił Rhysand, ignorując swoją kuzynkę. – Wysłanniczka Dworu Nocy do krainy ludzi.

– Nie było żadnej od pięciuset lat, Rhys – zauważył Azriel.

– Od tamtego czasu nie zdarzyło się też, żeby człowiek zyskał nieśmiertelność. – Rhys spojrzał mi w oczy. – Świat ludzi musi być równie dobrze przygotowany jak my. Zwłaszcza jeśli król Hybernii

zamierza skruszyć mur i rzucić na nich swoje siły. Potrzebujemy drugiej połowy Księgi od śmiertelnych królowych, a jeśli nie możemy użyć magii, aby na nie wpłynąć, będą musiały same nam ją ofiarować.

Więcej ciszy. Na ulicy za rzędem okiem tumany śniegu przemykały i opadały na bruk.

Rhys wskazał mnie brodą.

– Jesteś nieśmiertelną fae o ludzkim sercu. Ale mimo to w chwili, gdy tylko twoja noga postanie na kontynencie, mogą... rozpocząć na ciebie łowy. Dlatego też potrzebujemy bazy na neutralnym gruncie. W miejscu, w którym ludzie nam ufają, w którym ufają *tobie*, Feyro. Do którego inni ludzie mogliby zaryzykować podróż, aby się z tobą spotkać. Aby usłyszeć głos Prythianu po pięciu wiekach.

– Rezydencja mojej rodziny – odgadłam.

– Na cyce Matki, Rhys – wtrącił się Kasjan, rozpościerając skrzydła tak szeroko, że niemal strącił porcelanową wazę z pobliskiego stolika. – Sądysz, że możemy tak po prostu przejąć dom jej rodziny? Że możemy tego od nich zażądać?

Nesta nie chciała mieć nic wspólnego z fae, ale Elaina była tak łagodnym stworzeniem, tak słodkim... jak mogłabym je w to wciągać?

– Świat – powiedziała Mor, upewniając się, że waza stoi bezpiecznie – spłynie krwią, Kasjanie. Niezależnie od tego, jak postąpimy z jej rodziną. Teraz jest to kwestia tylko tego, gdzie ta krew popłynie i jak wiele jej rozlejemy. Ile ludzkiej krwi możemy ocalić.

Może wychodziłam przez to na lękliwą idiotkę, ale...

– Dwór Wiosny graniczy z murem... – powiedziałam.

– Mur przecina również morze. Polecimy z brzegu – dodał bez namysłu Rhys. – Nie zaryzykuję wykrycia przez którykolwiek z pozostałych dworów, choć jak tylko dotrzemy na miejsce, wieści mogą się szybko rozejść. Feyro, wiem, że to nie będzie proste, ale jeśli jest jakikolwiek sposób, abys przekonała te królowe...

– Zrobię to – oznajmiłam.

Przed oczami stanęło mi zmaltretowane i przybite do skały ciało Klary Beddor. Amarantha była jednym z dowódców króla Hybernii. Tylko jednym... z wielu. Sam władca musiał być okrutny ponad wszelkie pojęcie, skoro ona była ledwie jedną z jego podwładnych. Jeśli

moje siostry wpadłyby w ręce takich potworów...

– Mogą nie skakać z radości na samą myśl, ale sprawię, że Elaina i Nesta przystaną na to.

Nie miałam czelności zapytać Rhysa, czy mógł zwyczajnie zmusić moją rodzinę do udzielenia nam pomocy, gdyby jednak odmówili. Zastanawiałam się, czy jego moce zadziałałyby na Nestę, gdy nawet urok Tamlina nie zdołał okiełznać jej umysłu ze stali.

– Zatem postanowione – skwitował Rhys. Nikt nie wyglądał na szczególnie zadowolonego. – Gdy tylko nasza kochana Feyra wróci od Tkaczki, rzucimy Hybериę na kolana.

Rhys i pozostali wybyli dokądś tej nocy – dokąd, nikt mi nie powiedział. Ale po wszystkich wydarzeniach dnia ledwie skończyłam pałaszować jedzenie, które Nuala i Cerridwena przyniosły do mojego pokoju, a już osunęłam się w objęcia snu.

Śniłam o długiej białej kości wyrzeźbionej z przerażającą dbałością o szczegóły: moja twarz wykręcona w cierpieniu i rozpacz; jesionowy sztylet w mojej dłoni; kałuża krwi wyciekającej z dwóch ciał...

Ale obudziłam się w mglistym blasku zimowego poranka z żołądkiem wciąż zawierającym kolację.

Ledwie minutę po tym, jak otrząsnęłam się z resztek snu, Rhys zapukał do moich drzwi. Jeszcze nie przebrzmiała ostatnia sylaba mojego przyzwolenia na wejście, gdy on już wtargnął do sypialni niczym nocny wiatr i powiesił na kolumnach łóżka pas wypełniony nożami.

– Pośpiesz się – zażądał, po czym otworzył na oścież drzwi szafy, chwycił moją skórzaną zbroję i rzucił ją na łóżko. – Chcę wyruszyć, zanim słońce na dobre wstanie.

– Dlaczego? – zapytałam, odsuwając na bok kołdrę. Dzisiaj chodził bez skrzydeł.

– Ponieważ każda chwila jest cenna. – Wydobył moje skarpety i buty. – Gdy tylko król Hybериi zorientuje się, że ktoś szuka Księgi Tchnień, aby zneutralizować moc Kotła, jego szpiedzy też zaczną za nią węszyć.

– Podejrzewałeś to już od jakiegoś czasu. – Nie miałam okazji poruszyć tego tematu z nim poprzedniego dnia. – Kocioł, król, Księża... Chciałeś uzyskać potwierdzenie, ale czekałeś na mnie.

– Gdybyś się zgodziła współpracować ze mną dwa miesiące temu, zabrałbym cię prosto do Rzeźbiącego w Kościach, aby się przekonać, czy potwierdzi moje podejrzenia co do twoich talentów. Ale nie wszystko potoczyło się zgodnie z planem.

Nie, zdecydowanie nie wszystko.

– Czytanie – powiedziałam, wsuwając stopy do obszytych futrem kapci o grubych podeszwach. – Dlatego nalegałeś na te lekcje. Żeby, gdyby twoje podejrzenia się potwierdziły i potrafiłabym użyć Księgi... mogła ją przeczytać... albo tłumaczyć to, co w niej zapisano.

Księża tak stara równie dobrze mogła być spisana w zupełnie innym języku. Innym alfabetem.

– Powtórzę – odparł, kierując się ku toaletce. – Gdybyś wtedy zaczęła współpracę ze mną, powiedziałbym ci, czemu to wszystko służy. Bez twojej zgody nie mogłem ryzykować odkrycia moich planów. – Zamarł z dłonią na uchwycie szuflady. – Poza tym i tak powinnaś się była nauczyć czytać. Ale owszem, kiedy powiedziałem, że to służy moim celom, chodziło właśnie o to. Winisz mnie z tego powodu?

– Nie – przyznałam szczerze. – Ale o wszelkich przyszłych knowaniach wolałabym zostać poinformowana.

– Odnutowano. – Rhys przetrząsnął szuflady i wyciągnął moją bieliznę. Przyjrzał się skrawkom czarnej koronki i zachichotał. – Dziwię się, że nie kazałaś Nuali i Cerridwenie kupić ci czegoś innego.

Podeszłam do niego i wyrwałam mu halkę z ręki.

– Ślinisz się na dywan.

Zatrzasnęłam za sobą drzwi do aneksu łazienkowego, zanim zdążył odpowiedzieć.

Gdy skończyłam, znalazłam go czekającego na mnie, już ubranego w ciepłą skórę oblamowaną futrem. Wyciągnął w moją stronę pas z nożami. Przyjrzałam się pętłom i paskom.

– Żadnych mieczy, żadnego łuku ani strzał – powiedział.

Miał na sobie ilyryjską skórnię, a na plecach – ten prosty, groźny miecz.

– Ale noże są w porządku?

Rhys przyklęknął, rozłożył pajęczynę skóry i stali na dywanie, po czym skinął na mnie, abym włożyła nogę w jedną z pętli.

Postąpiłam zgodnie z jego życzeniem, ignorując dotyk jego pewnych dłoni na udach, po czym wsunęłam drugą nogę w drugą pętlę, a on zajął się dociąganiem pasków i zapinaniem sprzączek.

– Nie zauważy noża, ponieważ ma ich wiele w swojej chacie – do jedzenia i pracy. Ale przedmioty, których tam nigdy nie było... Miecz, łuk, strzała... Te rzeczy mogłaby wyczuć.

– A mnie?

Dociągnął kolejny pasek. Silne, sprawne dłonie – tak kontrastujące z jego zwyczajową elegancją, którą przywdziewał, aby oszukiwać świat, by wszyscy brali go za kogoś innego, niż był.

– Nie wydaj z siebie żadnego dźwięku, niczego nie dotykaj – poza przedmiotem, który mi zabrała.

Rhys spojrzał na mnie z dłońmi zaciśniętymi na moich udach.

„Ukłoń się” – rozkazał kiedyś Tamlinowi. A teraz proszę: na kolanach przede mną. W jego oczach pojawił się na chwilę błysk, jakby on też przypomniał sobie tamtą scenę. Czy wtedy była to część jego gry – jego maski? Czy też była to zemsta za straszliwą waśń między nimi?

– Jeśli nie mylimy się co do twoich mocy – powiedział – jeśli Rzeźbiący w Kościach nas nie okłamał, to ty i ten przedmiot powinniście mieć to samo... piętno, dzięki zaklęciom konserwującym, jakimi obłożyłem go dawno temu. Jesteście jednym i tym samym. Nie zauważy twojej obecności dopóty, dopóki *jedynym*, czego dotkniesz, będzie właśnie to, po co tam pójdziesz. Będiesz dla niej niewidoczna.

– Jest niewidoma?

Kiwnął głową.

– Ale pozostałe zmysły ma niebywale wyostrzone. Zatem musisz być szybka i cicha. Znajdź ten przedmiot i uciekaj.

Jego dłonie wciąż spoczywały na moich nogach, powoli przesuwając się do tyłu.

– A jeśli mnie zauważy?

Jego dłonie zamarły.

– Wtedy dowiemy się, co naprawdę potrafisz.

Okrutny, podstępny drań. Zgromiłam go wzrokiem.

Wzruszył ramionami.

– Wolałabyś, abym zamknął cię w Domu Wiatru, napychał jedzeniem i zmuszał do noszenia eleganckich sukien i planowania przyjęć?

– Szeźnij. Skoro ten przedmiot jest taki ważny, dlaczego sam go nie odbierzesz?

– Bo Tkaczka mnie zna, a jeśli mnie przyłapie, wyznaczy mi do zapłacenia olbrzymią cenę. Książętom nie wolno jej przeszkadzać, niezależnie od powagi sytuacji. W jej domu jest wiele skarbów. Niektóre trzyma już całe tysiąclecia. Większość nigdy nie zostanie odzyskana, ponieważ książęta nie zaryzykują schwytania. Z powodu chroniących ją praw i jej gniewu. A złodzieje... Albo nie wracają, albo nie są w ogóle wysyłani ze strachu, że Tkaczka odgadnie, kto za nimi stoi. Ale ty... Ciebie nie zna. Należysz do wszystkich dworów.

– Jestem więc twoją łowczynią i złodziejką?

Zsunął dłonie na tylne części moich kolan i odparł z zawadiackim uśmiechem:

– Jesteś moim zbawieniem, Feyro.

Rozdział 20

Przeskoczyliśmy z Rhysandem do lasu, który był starszy niż jakiegokolwiek inne miejsce, w którym dotąd postawiłam nogę.

Powykręcane gałęzie buków były ciasno ze sobą splecione, tak silnie udrapowane mchem i porostami, że niemal nie sposób było dojrzeć kory pod spodem.

– Gdzie jesteśmy? – wyszeptałam, nie wając się podnieść głosu.

Rhys trzymał dłonie tak, by w razie czego móc łatwo dobyć broni.

– W sercu Prythianu znajduje się rozległa pusta kraina rozdzielająca północ od południa wyspy. W samym jej środku wyrasta nasza święta góra.

Serce zabiło mi mocniej. Skupiłam się na uważnym i ostrożnym stawianiu kroków wśród paproci, mchu i wystających korzeni.

– Ten las – ciągnął dalej Rhys – znajduje się na wschodnim krańcu ziemi niczyjej. Tutaj nie ma żadnego księcia. Tutaj prawo stanowi ten, kto okaże się najsilniejszy, najpodlejszy, najbardziej przebiegły.

A Tkaczka z Lasu jest na samym szczycie ich łańcucha pokarmowego.

Drzewa zajączały, chociaż nie było wiatru, który by mógł nimi poruszyć. Powietrze było duszne i stęchłe.

– Amarantha ich nie wybiła?

– Amarantha nie była głupia – stwierdził z poważną miną Rhys. – Nie niepokoiła tych stworzeń ani nie zakłócała spokoju lasu. Przez całe lata próbowałam ją podpuścić, aby popełniła ten drobny błąd, ale nigdy nie dała się odpowiednio podejść.

– A teraz my niepokoiimy Tkaczkę. Na potrzeby zwykłej próby.

Zachichotał. Jego głos odbił się echem od szarych kamieni rozrzuconych po lesie niczym kamyki wypadające z kieszeni olbrzyma.

– Kasjan próbował mnie wczoraj przekonać, żebym cię tu nie zabierał. Myślałem nawet, że mnie uderzy.

– Dlaczego?

Przecież ledwo go znałam.

– Kto wie? Na ile znam Kasjana, to jest zapewne bardziej zainteresowany przeleceniem cię niż chronieniem.

– Świnia z ciebie.

– Mogłabyś, wiesz – powiedział Rhys, przytrzymując gałąź rachitycznego buku, abym mogła się pod nią prześlizgnąć. – Gdybyś potrzebowała odciąć się od pewnych spraw pod względem fizycznym, jestem pewien, że Kasjan byłby więcej niż chętny cię zadowolić.

Brzmiało to jak kolejny sprawdzian. I rozwścieczyło mnie na tyle, że odwarknęłam:

– To mu powiedz, żeby dziś wieczorem przyszedł do mojego pokoju.

– Jeśli przeżyjesz tę próbę.

Zatrzymałam się na niewielkim porośniętym mchem głazie.

– Zdajesz się cieszyć na myśl, że nie podołam.

– Wręcz przeciwnie, Feyro. – Powolnym krokiem podszedł do mnie. Nasze oczy były na niemal tej samej wysokości. Las był jeszcze cichszy niż wcześniej; drzewa zdawały się nachylać ku nam, tak jakby próbowały wylapać każde nasze słowo. – Powiadomię Kasjana, że jesteś... otwarta na jego zaloty.

– Dobrze – odparłam.

Naparło na mnie pozbawione światła powietrze, jakby mgnienie nocy. Moc czająca się wzdłuż moich kości, w mojej krwi zawrzała w odpowiedzi.

Chciałam zeskoczyć z kamienia, ale Rhysand chwycił mnie za brodę ruchem zbyt szybkim, żeby go dostrzec.

– Podobał ci się widok mnie klęczącego przed tobą? – Każde jego słowo było niczym śmiertelna pieszczota.

Byłam pewna, że słyszał głośnie łomotanie mojego serca. Skrzywiłam się z odrazą, wyrwałam twarz z jego uścisku i zeskoczyłam z głazu. Może celowałam tak, aby wylądować na jego stopach. I może odsunął się akurat na tyle, żeby tego uniknąć.

– Czy nie do tego tylko się nadajecie: wy, mężczyźni?

Ale powiedziałam to ze ściśniętym gardłem, niemal bez tchu.

Jego uśmiech przywołał wizję jedwabnej pościeli i jaśminowej bryzy o północy.

Rhys zmuszał mnie do stąpania po bardzo niepewnym gruncie, aby tylko utrzymać moje myśli z dala od tego, z czym lada chwila się zmierzę; jakim wrakiem byłam w środku.

Złość, ten... flirt, irytacja... Wiedział, że to była moja amunicja.

To, czemu miałam za chwilę stawić czoła, musiało być zatem czymś naprawdę przerażającym, skoro chciał, żebym poszła wściekła – myśląc o seksie, o czymkolwiek poza Tkaczką z Lasu.

– Próbuj dalej – wychrypiałam.

Rhysand tylko wzruszył ramionami i ruszył naprzód między drzewami.

Drań. Owszem, chciał odciągnąć moje myśli od tego, co mnie czeka, ale...

Pobiegłam za nim tak cicho, jak tylko zdołałam, pragnąc go zwalić z nóg i wbić pięść prosto w kręgosłup, ale on uniósł dłoń, więc stanęłam obok niego na skraju polany.

Na jej środku stała niewielka chatka o bielonych ścianach, z dachem krytym strzechą i rozsypującym się kominem. Zwyczajna – niemal taka jak u śmiertelników. Była nawet studnia z wiadrem postawionym na cembrowinie, a pod jednym z okrągłych okien chatki leżał stos porąbanego drewna na opał. Ze środka nie dobiegał żaden dźwięk, z okien nie padało żadne światło – z komina nie wydobywał się dym.

Nieliczne ptaki, jakie zauważyłam w lesie, ucichły. Nie zamilkły całkowicie, ale ograniczały ćwierkanie, jak mogły. I wtedy...

Na samej granicy słyszalności z chatki dobiegało przyjemne miarowe nucenie.

To zdawało się miejsce, gdzie chętnie przystanąłabym, gdybym była spragniona, głodna albo gdybym potrzebowała schronienia na noc.

Może to właśnie była pułapka.

Drzewa okalające polanę – rosnące tak blisko, że ich gałęzie niemal drapały strzechę na dachu – równie dobrze mogły być prętami klatki.

Rhys skinął głową w stronę chatki i ukłonił się z przesadną elegancją.

Wejść, wyjść – być cicho. Znaleźć to, czegokolwiek potrzebował, i wykraść spod nosa niewidomej istoty.

A potem uciekać, gdzie pieprz rośnie.

Porośnięta mchem ścieżka prowadziła do drzwi wejściowych,

lekko uchylonych. Kawałek sera. A ja byłam głupiutką myszą, która zaraz da się na to nabrać.

Z błyskiem w oku Rhys powiedział bezgłośnie: „Powodzenia”.

Odpowiedziałam wulgarnym gestem i powoli, cichutko ruszyłam w stronę drzwi.

Las zdawał się śledzić każdy mój krok. Gdy obejrzałam się przez ramię, Rhysa już nie było.

Nie wspomniał, czy zainterweniuje, gdybym znalazła się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Chyba powinnam była o to zapytać.

Omijałam leżące na ziemi liście i kamienie. Szybko wpadłam w znany rytm, który jakaś część mojego ciała – niestworzona przez księżę Prythianu – pamiętała.

Jakbym się przebudziła. Tak właśnie się czułam.

Minęłam studnię. Ani grama kurzu, nie brakowało żadnego kamienia. Doskonała, śliczna pułapka, przed którą przestrzegały mnie moje śmiertelne instynkty. Pułapka pomyślana w czasach, w których ludzie byli zwierzyną łowną, a teraz zastawiona na sprytniejszą, nieśmiertelną zdobycz. Nie byłam już kimś, na kogo polowano, uznałam, docierając do drzwi.

I nie byłam myszą.

Byłam wilkiem.

Zatrzymałam się na progu, którego kamień był wytarty, tak jakby wiele butów już po nim przeszło – i może nigdy nie wyszło z powrotem – i nasłuchiwałam. Teraz potrafiłam już rozróżnić słowa piosenki. Śpiewała słodkim, pięknym głosem przywodzącym na myśl promienie słońca mieniące się na powierzchni strumienia:

Były dwie siostry, bawić się poszły

Czekać powrotu statków ojcowskich...

A gdy dotarły nad morza skraje

Starsza wepchnęła młodszą wprost w fale

Głos ociekający miodem wyśpiewujący pradawną okrutną piosnkę. Słyszałam ją już wcześniej – z nieco innymi słowami – lecz śpiewaną przez ludzi, którzy nie mieli pojęcia, że najpierw brzmiała w gardłach fae.

Nasłuchiwałam jeszcze przez chwilę, aby ustalić, czy wewnątrz jest ktoś jeszcze. Ale poza pieśnią Tkaczki słyszałam tylko stukot i pomruk jakiegoś przyrządu.

To się topiła, a to pływała

Pod młyńskim kołem się ukazała

Pierś miałam ściśniętą strachem, ale zdołałam wyrównać oddech – kierować powietrze bezgłośnie to w jedną, to w drugą stronę przez usta. Popchnęłam lekko drzwi, uchylając je jeszcze o cal.

Nie zaskrzypiały, nie jęknęły zardzewiałe zawiasy. Kolejny element ślicznej pułapki: wręcz zachęcający złodziei do wejścia. Gdy szpara była już dość duża, zajrzałam do środka.

Duża główna izba z małymi zamkniętymi drzwiczkami w głębi. Wzdłuż ścian stały regały, od podłogi po sufit, z półkami zastawionymi wszelakimi różnościami: książkami, muszlami, lalkami, ziołami, garnkami, butami, kryształami, innymi książkami, klejnotami... Z sufitu i krokwi zwisały różne łańcuchy, martwe ptaki, suknie, wstążki, sekaty kawałki drewna, sznury pereł...

Skład osobliwości – nieśmiertelnej rupieciarki.

A skoro o niej mowa...

W mrocznej izbie stał duży kołowrotek, spękany i zmatowiały od upływu lat.

Przy nim – zwrócona plecami do mnie – siedziała Tkaczka.

Jej gęste włosy barwy najszlachetniejszego onyksu opadały aż do smukłej talii. Pracowała przy kołowrotku, śnieżnobiałymi dłońmi

prowadząc nić i nawijając ją na ostre niczym cierń wrzeciono.

Wyglądała na młodą. Jej szara suknia była prosta, lecz elegancka, i błyszcząca lekko w przyciemnionym leśnym świetle wpadającym przez okna. Tkaczka śpiewała głosem jak ze lśniącego złota:

A cóż uczynił z dziewczyny mostkiem?

Wyrzeźbił z niego wiołę dość prostą

A cóż uczynił z paluszków kośćmi?

A z nich wyrzeźbił na struny kolki

Włókno, które nawijała na wrzeciono, było białe i wyglądało na miękkie. Przypominało wełnę, ale... Wiedziałam, dzięki temu tkwiącemu wciąż we mnie ludzkiemu instynktowi, że to nie była wełna. Wiedziałam też, że nie chciałam wiedzieć, z jakiej istoty pochodzi; *kogo* przędła na kołowrotku.

Na półce zaraz za nią stały całe rzędy szpulek z nićmi – w różnych kolorach i o różnej fakturze. A na półce obok leżały łokcie, całe jardy tkanin wykonanych z tych nici – utkanych zapewne na olbrzymim krośnie niemal niewidocznym w mroku panującym koło paleniska. Krośnie Tkaczki.

Przyszłam w dniu przygotowywania nici – jaką piosenkę by śpiewała, gdybym przyszła w dniu tkania? Dziwny, przesiąknięty lękiem zapach tych bel materiału dał mi odpowiedź.

Wilk. Byłam wilkiem.

Weszłam do izby, ostrożnie omijając rzeczy rozrzucone po klepisku. Pracowała dalej. Koło stukało tak radośnie, w takim kontraście z jej okropną piosnką:

A cóż uczynił z dziewczyny noskiem?

Do swojej wioli wyrzeźbił mostek

A cóż uczynił z żył tak niebieskich?

Do swojej wioli struny ukręcił

Rozejrzałam się po pomieszczeniu, starając się nie wsłuchiwać w słowa.

Nic. Poczułam... Nie, nie poczułam niczego, co by mnie ciągnęło do jakiegokolwiek konkretnego przedmiotu. Może byłoby błogosławieństwem, gdybym istotnie *nie była* tą, która potrafi zlokalizować Księgę; gdyby dzisiejszy dzień nie był początkiem czegoś, co będzie – byłam tego pewna – długim ciągiem nieszczęść.

Tkaczka siedziała przy kołowrotku zajęta pracą.

Rozejrzałam się po półkach, omiotłam wzrokiem sufit. Pożyczony czas. Działalam w pożyczonym czasie, który już się prawie skończył.

Czy Rhys wysłał mnie na bezcelowe poszukiwania? Może tu nic nie było? Może ten *przedmiot* został już stąd zabrany? To by do niego pasowało. Żeby ze mnie zadrwić w leśnych ostępach, żeby zobaczyć, jak zareaguje moje ciało.

A może w tamtej chwili miałam Tamlina dość na tyle, aby ta mordercza odrobina flirtu sprawiła mi rzeczywistą przyjemność? Może byłam potworem w równej mierze co kobieta siedząca przede mną?

Ale jeśli ja byłam potworem, to Rhys chyba także.

On i ja byliśmy tacy sami – nie tylko pod względem mocy, którą mnie obdarzył. To byłoby stosowne, gdyby Tamlin też mnie znienawidził, gdy tylko się zorientuje, że naprawdę odeszłam.

Wtedy to poczułam – jak lekkie klepnięcie w ramię.

Obróciłam się, kątem oka cały czas obserwując Tkaczkę, i sunęłam labiryntem stołów i rupieci. Niczym latarnia morska statek przyzywało mnie nikłe światełko podszyte jego krzywym uśmiechem.

Zdawało się mówić: „Witaj, czy w końcu po mnie przyszłaś?”.
„Tak... tak” – chciałam odpowiedzieć. Chociaż po części wolałam,
żeby było inaczej.

Za moimi plecami Tkaczka śpiewała:
A cóż uczynił z jasnymi oczu?

Do wioli świtem zaraz przytroczył

A cóż uczynił z szorstkim językiem?

Zrobił sakiewkę i wypchał tykiem

Poszłam za tym impulsem, do półki na ścianie obok paleniska. Nic.
Na drugiej też nic. Ale na trzeciej, tuż powyżej poziomu mojego
wzroku... Tam było.

Mogłam niemal wyczuć jego słony cytrusowy zapach. Rzeźbiący
w Kościach miał rację.

Wspięłam się na palce, aby się przyjrzeć zawartości półki. Stary
nóż do papieru, książki w skórzanej oprawie, których nie chciałam
dotykać ani wachać, garść żołądzi, zmatowiała korona wysadzana
rubinami i jaspisami, a także...

Pierścień. Pierścień ze skręconego złotego i srebrnego drutu,
posypany perłowym pyłem, z osadzonym w nim ciemnobłękitnym
kamieniem. Szafir, ale niecodzienny. Nigdy nie widziałam podobnego,
nawet w gabinecie ojca. Ten... Przysięgłabym, że w tym słabym świetle
na zaokrąglonej nieprzejrzystej powierzchni lśniły zarysy
sześcioramiennej gwiazdy.

Rhys... zdecydowanie wyglądał na własność Rhysa.

Przysłał mnie tu po *pierścień*?

Tkaczka śpiewała:

I wiolinowa struna tak mówi:

O, tamże jest król, ojciec mój drogi

Patrzyłam na nią jeszcze przez chwilę, oceniając odległość między półką a otwartymi drzwiami. Chwycić pierścień i zniknąć w okamgnieniu. Szybko, po cichu, spokojnie.

A potem rzekła struna basowa:

Tam moja matka, wielka królowa

Opuściłam dłoń ku rękojeści jednego z noży na moich udach. Kiedy wrócę do Rhysa, może go dźgnę w bebechy.

Wtem dłoń pokryła mi fantomowa krew. Wiedziałam, jakie to byłoby uczucie, przebić ostrzem skórę, kości, ciało. Wiedziałam, jak wypłyne krew, jak jęknie z bólu...

Odepchnęłam tę myśl, chociaż wciąż wyraźnie czułam krew tych fae przesiąkającą ten strzęp mojej ludzkiej jaźni, który nie umarł i należał wyłącznie do żalósnej mnie.

A potem rzekły wszystkie trzy struny:

Tam moja siostra, źródło mej zguby

Moja dłoń sunęła cicho jak ostatnie tchnienie przed śmiercią i chwyciła pierścień z półki.

Tkaczka przestała śpiewać.

Rozdział 21

Zamarłam z pierścieniem w kieszeni kurty. Skończyła śpiewać tę piosenkę, może zacznie kolejną.

Może.

Kołowrotek kręcił się coraz wolniej.

Postąpiłam krok w stronę drzwi. Potem kolejny.

Wolniej i wolniej, każdy obrót pradawnego koła dłuższy od poprzedniego.

Od drzwi dzieliło mnie ledwie dziesięć kroków.

Pięć.

Koło obróciło się ostatni raz, tak wolno, że widziałam wyraźnie każdą ze szprych.

Dwa.

Obróciłam się powoli w stronę drzwi, gdy blada dłoń Tkaczki wystrzeliła do przodu i chwyciła koło, całkowicie je zatrzymując.

Drzwi zatrzasnęły się przed moim nosem.

Sięgnęłam do klamki, ale jej nie było.

Okno. Dostać się do okna...

– Kto jest w moim domu? – zapytała łagodnym głosem.

Strach – czysty pierwotny strach – runął na mnie i przypomniałam sobie. Przypomniałam sobie, jak to jest być człowiekiem – bezbronnym i słabym. Jak to jest chcieć *walczyć* o życie, być gotową zrobić wszystko, byle tylko móc dalej oddychać...

Sięgnęłam do okna przy drzwiach. Zamknięte na głucho. Żadnego haczyka, żadnej szpary. Tylko szkło, które nie było szkłem. Twarde i nie do przebiccia.

Tkaczka obróciła twarz w moją stronę.

Wilk czy mysz – nie było różnicy, gdyż byłam niczym więcej jak zwierzęciem oceniającym szanse przetrwania.

Nad jej młodym jędrnym ciałem, pod pięknymi czarnymi włosami jej skóra była szara – pomarszczona, obwisła i sucha. A tam, gdzie powinny lśnić oczy, ziały czarne ropiejące jamy. Po wargach pozostał jedynie cofnięty fałd wyschniętej skóry otaczający dziurę wypełnioną resztkami połamanych zębów – tak jakby próbowała zgryźć zbyt wiele

kości.

Wiedziałam, że jeśli się stąd nie wydostanę, wkrótce będzie gryźć moje.

Nozdrza w niegdyś może lekko zadartym i atrakcyjnym, a teraz zapadniętym nosie rozděły się, gdy wciągnęła głośno powietrze.

– Czym jesteś? – zapytała głosem młodym i dźwięcznym.

Uciec, uciec, musiałam stąd *uciec*...

Było inne wyjście.

Graniczące z samobójstwem karkołomne wyjście.

Nie chciałam umierać.

Nie chciałam zostać zjedzona.

Nie chciałam osunąć się w tę słodką ciemność.

Tkaczka wstała z niewielkiego stołka.

Zrozumiałam, że mój pożyczony czas właśnie się skończył.

– Co jest jak wszyscy – zastanowiła się, postępując jeden pełen gracji krok w moją stronę – a jednocześnie do nikogo niepodobne?

Byłam wilkiem.

Zagoniona w kozi róg – gryzłam.

Rzuciłam się ku samotnej świecy płonącej na stole na środku izby i cisnęłam nią w ścianę założoną suknamy, na te wszystkie żalosne ciemne bele materiału. Utkane ciała, skóry, życia. Uwalniałam je.

Buchnął ogień, a wrzask Tkaczki tak się wwierał w uszy, że czułam się, jakby głowa miała mi zaraz pęknąć, jakby krew miała zakipieć w żyłach.

Skoczyła ku płomieniom, tak jakby chciała je ugasić tymi nieskalanymi białymi dłońmi. Rozwarła usta wypełnione spróchniałymi zębami i krzyczała tak, jakby nie było w niej nic poza czarną czeluścią piekieł.

Rzuciłam się w stronę zimnego paleniska. Do wlotu komina.

Przewód dymny był ciasny, ale dla mnie wystarczająco szeroki.

Nie wahałam się, chwyciłam się jakiegoś występu nad głową i podciągnęłam się. Ramiona mi zadrżały. Nieśmiertelna – doprowadziła mnie tutaj, ale tak bardzo osłabłam, byłam tak niedożywiona.

Pozwoliłam *im* się osłabić. Nagięta do ich woli niczym jakiś dziki ogier przymuszony do posłuchu.

Uwalane sadzą cegły były obluzowane, nierówne. Doskonałe do wspinaczki.

Szybciej – musiałam się wspinać szybciej.

Ale barkami tarłam o cegły, a do tego tak bardzo tu *cuchnęło* – padliną i spalonymi włosami – a na kamieniu był mazisty osad, niczym roztopiony tłuszcz...

Wrzask Tkaczki ucichł, gdy byłam w połowie komina. Już prawie widziałam słońce i drzewa, choć każdy oddech był bliski szlochowi.

Sięgnęłam do kolejnej cegły i podciągnęłam się tak gwałtownie, że połamałam paznokcie, a ramiona zawyły w proteście przeciwko przeciskaniu się przez wąski przesmyk i...

I utknęłam.

Tkwiałam uwięziona w kominie, a z dołu dobiegł mnie syk Tkaczki. – Co za mała myszka wspina się moim kominem?

Wystarczyło mi miejsca na przekręcenie głowy i spojrzenie w dół – wprost na zniszczoną twarz Tkaczki.

Chwyciła występ mlecznobiałą dłonią i dostrzegłam, jak mała przestrzeń nas dzieli.

W głowie miałam całkowitą pustkę.

Napałam na cegły komina, ale ani drgnęły.

Miałam za chwilę umrzeć. Miałam zostać ściągnięta w dół tymi pięknymi dłońmi, rozerwana na strzępy i zjedzona. Może, zanim wyzionę ducha, przyłoży te odrażające usta do mojego ciała i będzie żuć, rwać, gryźć i...

Czarna panika runęła na mnie i ponownie byłam uwięziona pod pobliską górą w błotnistym wąwozie, z czerwem middengardzkim pędzącym prosto na mnie. Ledwo uciekłam, ledwo...

Nie mogłam oddychać, nie mogłam oddychać, nie mogłam oddychać...

Paznokcie Tkaczki zaskrobały o cegłę i zbliżyła się jeszcze bardziej.

Nie, nie, nie, nie, nie...

Kopałam i kopałam o cegły.

– Myślałaś, że możesz ukraść i uciec, złodziejko?

Wolałabym czerwia. Wolałabym te ogromne ostre zębiska od jej

połamanych pniaków...

„Przestań”.

Słowo napłynęło z mroków moich myśli.

A głos należał do mnie.

„Przestań” – powiedziałam. *Ja* to powiedziałam.

„Oddychaj”.

„Myśl”.

Tkaczka zbliżyła się jeszcze bardziej. Kawałek cegły odkruszył się pod jej dłońmi. Wspinała się niczym pająk, tak jakbym była muchą w jej sieci...

„Przestań”.

To słowo uciszyło wszystko.

Poruszyłam wargami, powtarzając je bezgłośnie.

„Przestań, przestań, przestań”.

„Myśl”.

Przetrwałam czerwia, przetrwałam Amaranthę. Otrzymałam dary.
Pokażne dary.

Takie jak siła.

Byłam silna.

Uderzyłam dłonią w ścianę komina najniżej, jak zdołałam. Tkaczka zasyczała, gdy posypał się na nią gruz. Uderzyłam ponownie pięścią, zbierając w sobie tę siłę.

Nie byłam maskotką, nie byłam lalką, nie byłam zwierzęciem.

Ocalałam i byłam silna.

Nigdy więcej nie będę już słaba ani bezradna. Nie pozwolę – *nie można* mnie złamać. Oswoić.

Raz po raz waliłam pięścią w cegły. Tkaczka się zatrzymała.

Na wystarczająco długo, aby obluzowana cegła wślizgnęła się do mojej oczekującej dłoni.

Abym cisnęła ją w tę odrażającą, okropną twarz – z całej siły.

Kość pękła i Tkaczka ryknęła, chlustając dokoła czarną krwią. Ale ja już napierałam ramionami na ściany komina, czując, jak pod skórzaną zbroją pęka mi skóra. Wyteżałam wszystkie siły i parłam, parłam, parłam, aż byłam kamieniem kruszącym kamień, aż nic nie mogło – nikt nie mógł mnie powstrzymać i wznowiłam wspinaczkę na szczyt.

Nie odważyłam się zatrzymać, dopóki nie sięgnęłam brzegu komina i nie wyciągnęłam na kryty strzechą dach. Z tym że to nie była wcale strzecha.

To były włosy.

A przy tym całym tłuszczu na ścianach komina – całym tym tłuszczu teraz lśniącym na mojej skórze... włosy przyklejały się do mnie. Kępkami, kosmykami, pękami. Żołądek podszedł mi do gardła, ale wtedy drzwi wejściowe do chaty otworzyły się z trzaskiem, a zaraz potem rozległ się rozdzierający krzyk.

Nie... nie tam. Nie na ziemię.

W górę, w górę, w górę.

Nieopodal mnie gałąź zwieszała się nisko nad domem. Przesunęłam się po odrażającym dachu, starając się nie zastanawiać, po kim i po czym depczę, co się przyczepiało do mojej skóry i mojego ubrania. Uderzenie serca później wskoczyłam na wyczekującą gałąź i pomknęłam po liściach i mchu.

– GDZIE JESTEŚ?! – wrzasnęła Tkaczka.

Ale ja już biegłam po drzewie w stronę następnego.

Przeskakiwałam z gałęzi na gałąź, rozcinając sobie skórę na dłoniach o ostrą korę. Gdzie był Rhysand?

Uchodziłam coraz dalej i dalej, ścigana jej krzykami, choć z każdą chwilą coraz słabszymi, odleglejszymi.

„Gdzie jesteś, gdzie jesteś, gdzie jesteś...”.

I wtedy zobaczyłam go: rozpartego na drzewie na wprost przede mną, z jedną ręką opartą o sąsiednią gałąź.

– Coś ty nawyprawiała? – zapytał, teatralnie przeciągając sylaby.

Zatrzymałam się jak wryta, ciężko dysząc. Pomyślałam, że moje płuca chyba właśnie krwawią.

– Ty – wysyczałam.

Ale on przyłożył palec do ust, przeskoczył do mnie, chwycił mnie jedną ręką w tali, drugą złapał za kark i przeniósł nas z lasu...

Do Velaris. Tuż nad Domem Wiatru.

Opadaliśmy bezwładnie, ale ja nie miałam dość tchu w piersi, aby krzyknąć. Wtedy na jego plecach pojawiły się skrzydła; rozpostarł je szeroko i przeszliśmy do spokojnego szybowania... wprost przez otwarte

okna komnaty, która musiała służyć do odbywania narad wojennych. Wewnątrz był Kasjan – w środku kłótni z Amreną.

Oboje zamarli, gdy wylądowaliśmy na czerwonej podłodze.

Na ścianie za nimi było lustro i zdążyłam przyjrzeć się sobie wystarczająco dobrze, żeby wiedzieć, dlaczego tak się na mnie gapią.

Twarz miałam podrapaną i zakrwawioną, cała byłam pokryta sadzą, tłuszczem – stopionym czyimś tłuszczem – i zaprawą murarską, wszędzie poprzyklejane były kępki włosów, a śmierdziałam...

– Czuć od ciebie grillem – powiedziała Amrena, krzywiąc się lekko.

Kasjan rozluźnił palce dotąd zaciśnięte na rękojeści noża na jego udzie.

Wciąż dyszałam ciężko, cały czas próbując uspokoić oddech. Oblepiające mnie włosy drapały, łaskotały i...

– Zabiłaś ją? – zapytał Kasjan.

– Nie – odpowiedział za mnie Rhys, składając luźno skrzydła. – Ale biorąc pod uwagę, jak bardzo Tkaczka wrzeszczała, umieram z ciekawości, co też nasza kochana Feyra jej zrobiła.

Tłuszcz... miałam na sobie tłuszcz i włosy innych fae...

Zwymiotowałam wprost na podłogę.

Kasjan zaklął, ale Amrena tylko machnęła ręką i wymiociny momentalnie zniknęły – wraz z brudem i całą resztą z mojej skóry i z ubrania. Wciąż jednak czułam fantomowe nieczystości, resztki różnych istot, zaprawy spomiędzy cegieł...

– Jakoś... Jakoś mnie wykryła – wykrztusiłam z siebie, opierając się o duży czarny stół i wycierając usta o ramię. – I zamknęła drzwi i wszystkie okna. Musiałam więc wspinać się kominem. Utknęłam – dodałam, gdy Kasjan uniósł brwi – a kiedy ona próbowała wspiąć się za mną, cisnęłam jej w twarz cegłą.

Cisza.

Amrena spojrzała na Rhysanda.

– A ty gdzie byłeś? – zapytała.

– Czekałem odpowiednio daleko, żeby mnie nie wykryła.

– Przydałaby mi się pomoc – warknęłam.

– Przeżyłaś – odparł. – I znalazłaś sposób, żeby samej sobie

poradzić.

Po zimnym błysku w oku poznałam, że wyczuł dziką panikę, przez którą omal nie zginęłam. Albo znowu zapomniałam postawić swojej mentalnej bariery, albo znów w naszej więzi pojawiła się jakaś anomalia. Był świadom mojego stanu – i pozostawił mnie z nim.

Naprawdę o mało nie zginęłam, ale przecież jemu na nic bym się nie przydała, gdyby coś takiego wydarzyło się w kluczowej misji – z Księgą. Tak jak wcześniej powiedział.

– A więc o to chodziło – wypaliłam. – Nie tylko o ten głupi pierścień. – Sięgnęłam do kieszeni i rzuciłam krążek metalu na stół. – Ani o moje umiejętności. Chciałeś się przekonać, czy zdołam zapanować nad paniką.

Kasjan zaklął ponownie ze wzrokiem wbitym w pierścień.

Amrena pokręciła głową; zasłona ciemnych włosów zafalowała.

– Brutalne, lecz skuteczne.

– Teraz już wiesz – skwitował Rhys. – Że możesz wykorzystywać swoje zdolności do poszukiwania należących do nas przedmiotów, a zatem zdołasz odnaleźć Księgę na Dworze Lata, a także zapanować nad samą sobą.

– Kawał z ciebie sukinsyna, Rhysandzie – wtrącił cicho Kasjan.

Rhys złożył sprawnie swoje skrzydła.

– Zrobiłbyś to samo.

Kasjan wzruszył ramionami, tak jakby chciał powiedzieć, że owszem, zrobiłby.

Spojrzałam na swoje dłonie, na połamane i zakrwawione paznokcie.

– Chcę, żebyś mnie uczył – zwróciłam się do Kasjana. – Żebyś mnie nauczył walczyć. Być silną. Jeśli twoja propozycja treningu jest wciąż aktualna.

Kasjan uniósł brwi, ale nie spojrzał na Rhysa w poszukiwaniu przyzwolenia.

– Jeśli zaczniemy wspólny trening, wkrótce to *mnie* będziesz nazywać sukinsynem. Poza tym nie wiem nic o szkoleniu ludzi. Nie wiem, jak łatwo łamią się wasze kości. Łamały, w sumie – dodał i skrzywił się. – Cóż, przekonamy się.

– Nie chcę, żeby moją jedyną alternatywą była ucieczka – powiedziałam.

– Ucieczka – wtrąciła się Amrena – uratowała ci dziś życie.

Zignorowałam ją.

– Chcę wiedzieć, jak pokonać wrogów stojących mi na drodze. Nie chcę czekać, aż ktoś raczy mnie uratować. – Zwróciłam się twarzą do Rhysa i skrzyżowałam ramiona. – No i? Przeszłam próbę?

Ale on jedynie wziął pierścień ze stołu i skinął mi głową w podziękę.

– Należał do mojej matki.

Tak jakby to wszystko wyjaśniało.

– Jak go straciłeś? – zapytałam.

– Nie straciłem. Matka dała mi go na pamiątkę, po czym odebrała, gdy dorosłem, i przekazała Tkaczce na przechowanie.

– Dlaczego?

– Żebym go nie marnował.

Nonsens, głupota i... potrzebowałam kąpieli. Spokoju i kąpieli. Pragnienie tych dwóch rzeczy spadło na mnie tak gwałtownie, że aż nogi się pode mną ugięły.

Ledwo spojrzałam na Rhysa, zanim ten chwycił moją dłoń, rozpostarł skrzydła i wyleciał wraz ze mną przez otwarte okno. Przez pięć głośnych, dzikich uderzeń serca opadaliśmy bezwładnie, po czym przeskoczyliśmy do mojej sypialni w Velaris. Gorąca kąpiel już na mnie czekała. Zatoczyłam się w stronę łazienki. Wyczerpanie uderzyło mnie niczym obuchem.

– A co z ćwiczeniem twoich pozostałych... darów? – zapytał Rhys.

– Sądzę – odpowiedziałam przez parę unoszącą się z wanny – że rozszarpalibyśmy się nawzajem na strzępy.

– Och, z pewnością tak będzie. – Oparł się o framugę drzwi do łazienki. – Ale bez tego nie byłoby zabawy. – Możesz uznać nasze treningi za część twoich obowiązków służbowych. – Skinął na mnie brodą. – Dalej, spróbuj się przebić przez moją tarczę.

Wiedziałam, jaką tarczę miał na myśli.

– Jestem zmęczona. Woda wystygnie.

– Obiecuję, że za kilka chwil będzie równie gorąca jak teraz. Albo

jeśli opanowałaś swoje dary, sama będziesz mogła o to zadbać.

Zmarszczyłam brwi, ale postąpiłam krok w jego stronę, potem następny, zmuszając go do cofnięcia się w głąb pokoju o krok, a potem drugi. Fantomowy tłuszcz i włosy lepiły się do mojej skóry, przypominały o tym, co zrobił...

Wytrzymałam jego spojrzenie, błysk w tych fiołkowych oczach.

– Czujesz to, prawda? – zapytał przy akompaniamencie świergotu i treli ptaków w ogrodzie. – Twoją moc, czającą się pod skórą, mrużącą ci do ucha.

– A nawet jeśli tak?

Wzruszył ramionami.

– Dziwię się, że Iantha nie pokroiła cię na ołtarzu, żeby przekonać się, jak ta moc wygląda.

– Co ty dokładnie do niej masz?

– Uważam wysokie kapłanki za wypaczenie tego, czym niegdyś były. Czym kiedyś przyrzekły być. Iantha jest z nich wszystkich najgorsza.

Poczułam bolesny ucisk w brzuchu.

– Dlaczego tak mówisz?

– Przebij się przez moją tarczę, a ci *pokażę*.

A więc stąd ta nagła zmiana tematu. Prowokacja. Przynęta.

Spojrzałam mu w oczy... Pozwoliłam sobie w nim zatonać.

Wyobraziłam sobie łączącą nas nić – splot jasnego światła... Na drugim końcu więzi była tarcza broniąca dostępu do jego myśli. Czarna, twarda i nie do przebicia. Żadnego wejścia, żadnej szczeliny. Ale już raz udało mi się prześlizgnąć... Nie miałam żadnego pomysłu.

– Dość już mam sprawdzianów na jeden dzień.

Rhys podszedł do mnie.

– Wysokie kapłanki wkręciły się na kilka dworów. Zwłaszcza na dwory Świtu, Dnia i Zimy. Umocniły się w nich tak dokumentnie, że mają szpiegów wszędzie, a ich poplecznicy okazują niemal fanatyczne oddanie. A pięćdziesiąt lat temu uciekły i pozostawały przez ten czas w ukryciu. Nie zdziwiłbym się, gdyby Iantha chciała zdobyć przyczółek na Dworze Wiosny.

– Chcesz mi powiedzieć, że wszystkie są nikczemnymi

zbrodniarkami?

– Nie. Tylko niektóre z nich. Część jest wspaniałomyślna, bezinteresowna i mądra. Ale są i takie, które są jedynie zadufane w sobie... I właśnie te zawsze zdawały mi się najbardziej niebezpieczne.

– A Iantha?

Błysk w jego oku zdradził, że wie coś więcej.

Ale nie chciał mi tego zdradzić. Miał zamiar drażnić się ze mną jak z psem, któremu dynda się przed nosem kawałkiem mięsa...

Rzuciłam się naprzód. Na oślep, bez namysłu pchnęłam swoją moc z całej siły wzdłuż tej łączącej nas nici.

Krzyknęłam cicho, gdy trafiłam w jego wewnętrzną barierę. Drgania odbiły się echem we mnie, tak jakbym uderzyła w coś wewnątrz mnie.

Rhys zachichotał i ujrzałam ogień.

– Godne pochwały... Nieudana próba, ale warto ją docenić.

Syknęłam wściekle, ciężko dysząc.

– Za samo usiłowanie – powiedział i ujął mnie za dłoń.

Łącząca nas więź zesztyniała, to coś pod moją skórą zaczęło pulsować i...

Panowała ciemność. Czułam *jego* olbrzymią obecność po drugiej stronie jego mentalnej barykady zbudowanej z czarnego adamantu. Bariera zdawała się nie mieć końca; wytwór pięciu wieków bycia ściganym, atakowanym, nienawidzonym. Przesunęłam po niej mentalną dłoń.

Ściana zdała się mrużyć niczym żbik prężący grzbiet pod dotykiem, po czym... opadła.

Jego umysł stał dla mnie otworem. A przynajmniej jego przedsiemek. Niewielka część, którą wykuł, abym mogła rzucić okiem w głąb.

Sypialnia wykuta w obsydianowej skale. Olbrzymie łóżce z czarną jak smoła pościelą, wystarczająco duże, aby pomieścić jego wraz ze skrzydłami.

A na nim leżała, ubrana jedynie we własną skórę, Iantha.

Cofnęłam się, zdając sobie sprawę, że to było jego wspomnienie, że Iantha leżała w jego łóżku, na jego dworze pod tamtą górą, z sutkami wieńczącymi pełne piersi, sterczącymi od chłodu...

– Jest jeszcze więcej – oznajmił z wielkiej oddali głos Rhysa.

Próbowałam się wycofać, ale moje myśli uderzyły w jego tarczę – od wewnątrz. Uwięził mnie tu...

– *Kazałeś mi czekać – pożałowała się obrażonym tonem Iantha.*

Twarde rzeźbione drewno wbijające się w moje plecy – w plecy Rhysanda – gdy oparł się o drzwi sypialni.

– *Wynoś się.*

Iantha wydeła lekko usta, zgięła kolano i rozsunęła nogi, odsłaniając przed nim swoje łono.

– *Widzę, jak na mnie patrzysz, książę.*

– *Widzisz to, co sama chcesz dostrzec – powiedział; powiedzieliśmy. Drzwi obok niego stanęły otworem. – Wynoś się.*

Wykrzywiła kokieteryjnie usta.

– *Słyszałam, że lubisz gry i zabawy. – Przesunęła smukłą dłoń w dół, poniżej pępka. – Sądzę, że uznasz mnie za bardzo przyjemną towarzyszkę zabaw.*

Lodowata wściekłość sączyła się do moich – jego – myśli, podczas gdy rozważał zalety rozsmarowania jej na ścianie w zestawieniu z niedogodnościami, jakie by to spowodowało. Nie dawała mu spokoju. Innym mężczyznom również próbowała się narzucać. Wczoraj Azriel wyszedł z jej powodu. A Mor była o jedną uwagę od skręcenia jej karku.

– *Sądziłem, że służysz innym dworom.*

Jego głos był taki chłodny. Głos księcia.

*– Służę przyszłości Prythianu, prawdziwej mocy tej ziemi. –
Wsunęła palce między nogi... i zamarła. Pokój przeciął jej stłumiony
okrzyk, gdy wysłał pasmo swojej mocy prosto w nią i przyszpilił jej rękę
do łóżka – z dala od reszty ciała. – Czy wiesz, co połączenie naszych sił
mogłoby zdziałać dla Prythianu, dla świata? – zapytała, cały czas
pożerając go wzrokiem.*

– Chciałaś powiedzieć: dla ciebie.

– Nasze potomstwo mogłoby władać całym Prythianem.

Zatańczyło w nim okrutne rozbawienie.

– A więc chcesz mojej korony... i żebym zabawił się w ogiera?

Próbowała się poruszyć, ale jego moc trzymała ją w miejscu.

– Nie widzę nikogo innego godnego tej roli.

*Będzie problemem – teraz i później. Wiedział to. Jeśli ją teraz
zabije – wyeliminuje zagrożenie, zanim się na dobre rozwinie – stanie
w obliczu gniewu pozostałych wysokich kapłanek albo... zobaczy, co się
stanie.*

*– Wynoś się z mojego łóżka. Wynoś się z mojej komnaty. I wynoś
się z mojego dworu.*

Odwołał unieruchamiające ją zaklęcie, aby jej to umożliwić.

*Oczy Ianthy pociemniały. Zsunęła się wężowym ruchem z łóżka.
Nie wykonała żadnego ruchu w stronę swoich ubrań rozwieszonych na
jego ulubionym fotelu. Przy każdym kroku w jego stronę jej obfity biust
falował. Zatrzymała się ledwie stopę od niego.*

– Nie masz pojęcia, jaką mogę dać ci rozkosz, książę.

Sięgnęła dłonią prosto między jego nogi.

Jego moc owinęła się wokół jej palców, zanim dotarły do celu.

Zacisnął niewidzialną pętlę i wykręcił je.

Iantha krzyknęła głośno. Próbowwała się cofnąć, ale jego moc osadziła ją w miejscu – wielka potęga, kontrolowana z taką łatwością, wirująca wokół niej, rozważająca zakończenie jej istnienia niczym żmija przyglądająca się myszy.

Rhys nachylił się do jej ucha.

– Nigdy mnie nie dotykaj – wyszeptał. – Nigdy nie dotykaj żadnego z mężczyzn na moim dworze. – Jego moc kruszyła kości, miażdżyła ścięgna i Iantha krzyknęła ponownie. – Twoja dłoń się wyleczy – oznajmił, odstępując na krok. – Jeśli jeszcze raz dotkniesz mnie albo kogokolwiek na moich ziemiach, przekonasz się, że drugi raz już ci się tak nie poszczęści.

Mimo łez bólu z jej oczu biła nienawiść.

– Pożałujesz tego – wysyczała.

Zaśmiał się lekko, śmiechem kochanka. Użył odrobiny swej mocy i Iantha wylądowała na tyłku w korytarzu. Uderzenie serca później jej ubrania dołączyły do niej. Na koniec zatrzęsnęły się drzwi.

Niczym naprężona wstążka przecięta nożyczkami wspomnienie zniknęło, tarcza za moimi plecami opadła, a ja zatoczyłam się do tyłu, intensywnie mrugając.

– Zasada numer jeden – powiedział Rhys z oczami szklistymi od

furii wywołanej tym wspomnieniem. – Nie wchodź do cudzego umysłu, jeśli nie potrafisz utrzymać otwartego przejścia. Daemati może otworzyć przed tobą swoje myśli na oścież, po czym zamknąć cię w środku i uczynić sobie powolną.

Na samą myśl o tym przeszył mnie zimny dreszcz. Ale to, co mi pokazał...

– Zasada numer dwa – kontynuował z kamienną twarzą. – Kiedy...

– Kiedy to było? – wykrztusiłam. Znałam go już wystarczająco dobrze, aby nie wątpić w prawdziwość tej sceny. – Kiedy to się między wami wydarzyło?

Lód nie opuszczał jego spojrzenia.

– Sto lat temu. Na Dworze Koszmarów. Pozwoliłem jej przybyć z wizytą, o którą błagała mnie wiele lat. Twierdziła, że chce nawiązać nić porozumienia między Dworem Nocy a kapłankami. Słyszałem pogłoski o jej charakterze, ale była młoda i nie miała jeszcze okazji się wykazać. Miałem nadzieję, że może nowa wysoka kapłanka wprowadzi istotną zmianę, której potrzebował jej zakon. Okazało się, że została już należycie wyszkolona przez kilka spośród jej mniej życzliwych sióstr.

Przełknęłam z trudem ślinę. Serce tłukło mi się w piersi jak opętane.

– Ona... nie zachowywała się tak na...

Lucien.

Lucien jej nienawdził. Czynił zawołowane, kąśliwe aluzje do swojej antypatii względem niej, do jej awansów...

Żołądek podszedł mi do gardła. Czy ona... czy ona narzucała mu się w ten sposób? Czy on... czy był zmuszony ulec z powodu jej pozycji?

A jeśli któregoś dnia wrócę na Dwór Wiosny... Czy kiedykolwiek zdołam przekonać Tamlina, aby ją odesłał? A jeśli teraz, kiedy mnie nie było, ona...

– Zasada numer dwa – podjął w końcu Rhys. – Bądź gotowa zobaczyć rzeczy, które mogą ci się nie spodobać.

Zaledwie pięćdziesiąt lat później pojawiła się Amarantha. I zrobiła Rhysowi dokładnie to, za co chciał zabić Ianthę. Pozwolił sobie to zrobić. Aby zapewnić im bezpieczeństwo. Żeby uchronić Azriela

i Kasjana od koszmarów, które jego będą nawiedzać już do końca życia; od przeżycia bólu jeszcze większego od tego, który był ich udziałem w dzieciństwie...

Uniosłam wzrok, żeby zadać kolejne pytanie. Ale Rhys zniknął.

Ściągnęłam z siebie ubranie, mocując się przez parę chwil ze sprzączkami i paskami, które zapinał na mnie... kiedy to było? Godzinę, dwie godziny temu?

Czułam się, jakby minęła cała wieczność. A teraz wyglądało na to, że byłam certyfikowaną Śledzącą Księgi.

Lepsze to od żony maskotki służącej do planowania przyjęć i płodzenia kolejnych małych książątek. Od tego, czym chciała mnie uczynić Iantha – abym realizowała jej plany, na czymkolwiek by one polegały.

Woda istotnie była gorąca, tak jak obiecał. Rozmyślałam nad tym, co mi pokazał. W moich myślach jej dłoń raz po raz sięgała między jego nogi w geście równie władczym co aroganckim...

Odepchnęłam od siebie to wspomnienie. Woda w wannie nagle ostygła.

Rozdział 22

Następnego ranka wciąż nie było wieści z Dworu Lata, zatem Rhysand zdecydował się zabrać nas do krain śmiertelników.

– Co się tak właściwie nosi w krainach ludzi? – zapytała Mor rozparta w nogach mojego łóżka.

Jak na kogoś, kto twierdził, że pił i tańczył aż do Matka wie jak późna, sprawiała wrażenie niesprawiedliwie rzeńskiej. Kasjan i Azriel mamrotali i krzywili się podczas śniadania i ogólnie wyglądali, jakby ich wóz przejechał. Wielokrotnie. Jakaś głęboko ukryta myśl nie dawała mi spokoju: jak to będzie pójść kiedyś z nimi, przekonać się, co Velaris ma do zaoferowania nocą.

Przekopywałam się przez ubrania w szafie.

– Warstwy – odpowiedziałam. – Oni... wszystko zakrywają. Dekolt może być nieco odważniejszy zależnie od okazji, ale... wszystko inne jest ukrywane pod spódnicami, halkami i innymi idiotyzmami.

– Zupełnie jakby kobiety nie były przyzwyczajone do biegania... albo walki. Nie przypominam sobie, aby pięćset lat temu tak to wyglądało.

Zawahałam się nad zestawem w kolorze turkusów ze złotymi akcentami – bogatych, jasnych, monarszych.

– Pomimo muru zagrożenie ze strony fae nie zniknęło, więc... z pewnością potrzebowali praktycznych ubrań do biegania, do walki z tymi, którzy się przekradną na ich ziemie. Ciekawe, co się zmieniło.

Pokazałam jej wybraną bluzkę i spodnie.

Kiwnęła zdawkowo głową. Nie wygłosiła żadnego komentarza, który na pewno bym usłyszała od Ianthy, żadnej *światłej wskazówki*.

Przegnałam tę myśl i wspomnienie tego, co próbowała zrobić Rhysowi.

– Obecnie – podjęłam – większość kobiet wychodzi za mąż, rodzi dzieci i planuje ich małżeństwa. Niektóre biedniejsze czasem pracują w polu, nieliczne zajmują się wojaczką jako najemniczki albo w zaciężnym wojsku, ale... im kobieta jest bogatsza, tym mniejszą cieszy się swobodą i tym mniej ról ma do wyboru. A można by pomyśleć, że pieniądze powinny dawać możliwość robienia tego, co się

tylko zechce.

– Niektórzy spośród fae wysokiego rodu są tacy sami – rzuciła Mor, skubiąc haft na moim kocu.

Wślizgnęłam się za parawan, aby rozwiązać tasiemkę ściągającą suknię, którą założyłam na kilka chwil, zanim przyszła dotrzymać mi towarzystwa w przygotowaniach do dzisiejszej podróży.

– Na Dworze Koszmarów – podjęła, a jej głos ponownie stał się łagodny i nieco chłodny – kobiety są... cenione. Strzeże się pilnie naszej cnoty, po czym sprzedaje ją temu, kto da najwięcej. Temu, który przyniesie największe korzyści rodzinie.

Ubierałam się dalej, choćby po to, żeby mieć co robić, gdy groza tego, co podejrzewałam, przenikała moje kości i moją krew.

– Urodziłam się silniejsza niż ktokolwiek w całym rodzie. Nawet mężczyźni nie mogli mi dorównać. Nie byłam w stanie tego ukryć, ponieważ mogli to wywęszyć; tak samo, jak można rozpoznać po zapachu następcę księcia, zanim jeszcze przejmie władzę. Moc pozostawia ślad... echo. Kiedy miałam dwanaście lat, jeszcze przed pierwszym krwawieniem, modliłam się o to, żeby z tego powodu żaden mężczyzna mnie nie zechciał za żonę i żebym uniknęła tego, co musiały znieść moje starsze kuzynki: pozbawione miłości, żyjące czasem w okrutnych małżeństwach.

Wciągnęłam bluzkę przez głowę i zapięłam guziki na jedwabnych mankietach, po czym poprawiłam turkusowe rękawy na ramionach.

– Ale kilka dni po siedemnastych urodzinach zaczęłam krwawić. Gdy tylko pojawiła się moja pierwsza krew, moc przebudziła się we mnie z pełną siłą i nawet ta przeklęta przez bogów góra zadrżała. Ale zamiast zadrzeć z przerażenia, wszystkie wpływowe rodziny w Wykutym Mieście zaczęły na mnie patrzeć jak na rasową klacz. Zobaczyli tę moc i zapragnęli ją włączyć do swojego drzewa genealogicznego, jeden potomek za drugim.

– A co na to twoi rodzice? – wykrztusiłam, wsuwając stopy do ciemnogrnatowych butów.

W krainach śmiertelników jest teraz schyłek zimy. Większość mojego obuwia byłaby bezużyteczna. W zasadzie to mój obecny strój byłby bezużyteczny, ale tylko wówczas, kiedy będę na zewnątrz –

owinięta płaszczem.

– Moja rodzina nie posiadała się z radości. Mogli zawiązać sojusz z dowolnie wybranym z najmożniejszych rodów. Pozostawali głusi na moje błagania o prawo wyboru.

Uciekła, przypomniałam sobie. Mor uciekła i teraz żyła z ludźmi, którym na niej zależało, którzy ją kochali.

– Reszta historii – dodała Mor, gdy wyszłam zza parawanu – jest długa i okropna. Opowiem ci ją innym razem. Przyszłam tu powiedzieć, że nie wybieram się z wami na ziemię śmiertelnych.

– Z powodu tego, jak traktują kobiety?

Jej piwne oczy lśniły wewnętrznym blaskiem, ale były spokojne.

– Kiedy przybędą królowe, będę tam. Chcę się przekonać, czy rozpoznam w ich twarzach którąkolwiek z moich dawno nieżyjących przyjaciółek. Ale... nie sądzę, żebym potrafiła... należycie się zachować w obecności kogokolwiek innego.

– Czy Rhys zabronił ci nam towarzyszyć? – zapytałam napiętym głosem.

– Nie – odparła i parsknęła. – Właściwie to próbował mnie przekonać, abym się z wami zabrała. Stwierdził, że jestem niedorzeczna. Ale Kasjan... on rozumie. Mocno go zmarnowaliśmy we dwójkę tej nocy.

Uniosłam lekko brwi. Bez wątpienia właśnie dlatego ruszyli w tan i się upili. Aby wpłynąć na swojego księcia alkoholem.

Mor wzruszyła ramionami na niewypowiedziane pytanie w moich oczach.

– Kasjan pomógł Rhysowi wydostać mnie. Zrobili to, zanim którykolwiek z nich dochrapał się pozycji, która by to im ułatwiała. Gdyby złapali Rhysa, zostałyby łagodnie ukarany, może przez jakiś czas spotykałby się z ostracyzmem. Ale Kasjan... ryzykował wszystko, aby mnie wyciągnąć z tamtego dworu. Śmieje się z tego i uważa się za nisko urodzonego bękarta, niewartego swojej pozycji tutaj. Nie ma pojęcia, że jest wart więcej niż każdy inny mężczyzna, którego spotkałam na tamtym dworze... czy poza nim. Oczywiście nie licząc Azriela.

Tak... Azriel, który zawsze trzymał się na uboczu, którego cienie nie odstępowały na krok i zdawały się przygasać w jej obecności. Już

otworzyłam usta, aby zapytać ją, co ich łączy, ale wtedy zegar wybił dziesiątą. Czas ruszać.

Moja fryzura była gotowa jeszcze przed śniadaniem: włosy zaplecione w warkocze zostały zebrane na czubku głowy, a nad czołem tkwił niewielki złoty diadem udekorowany lazurytem. Pasujące kolczyki zwisały aż do szyi. Dobrałam do nich skręcane złote bransolety, które znalazłam czekające na toaletce – po jednej na każdy przegub.

Mor w żaden sposób nie skomentowała mojego wyglądu, a ja wiedziałam, że gdybym miała na sobie samą bieliznę, powiedziała by mi, żebym się zachowywała, jakby tak właśnie miało być. Obróciłam się do niej.

– Chciałabym cię przedstawić moim siostram. Może nie dziś, ale kiedy tylko byś zechciała...

Przechyliła głowę na bok

Potałam dłonią skórę na karku.

– Chciałabym, aby usłyszały twoją historię. Żeby wiedziały, że istnieje ta szczególna siła... – Gdy wypowiadałam te słowa, rozumiałam, że ja również potrzebowałam tego wysłuchać, dowiedzieć się, zrozumieć. – Szczególna siła pozwalająca przetrwać ciężkie próby i przeciwności... i wciąż pozostać serdeczną... i dobrą. Zachować ufność... i chęć wychodzenia innym naprzeciw.

Mor zacisnęła usta i zamrugała kilka razy.

Podeszłam do drzwi, ale zatrzymałam się z dłonią na klamce.

– Przepraszam, jeśli nie byłam wobec ciebie tak otwarta jak ty wobec mnie, gdy przybyłam do Dworu Nocy. Ja... staram się znaleźć sposób, by się dostosować.

Żalсна i niezrozumiała próba wyjaśnienia tego, jak bardzo byłam rozbita.

Mor zeskoczyła z łóżka i otworzyła mi drzwi.

– Miewam dobre dni i dni trudne, nawet teraz – powiedziała. – Nie pozwól tym trudnym wygrać.

Ten dzień istotnie zapowiadał się na kolejny z tych trudnych. Rhys, Kasjan i Azriel byli gotowi do drogi. Amrena i Mor

zostawały w Velaris, aby sprawować pieczę nad miastem i planować nieuniknioną wyprawę do Hybernii. Mnie pozostawiono tylko jedną decyzję: z kim polecieć.

Rhys miał nas przeskoczyć nad morze, prosto w miejsce, w którym niewidzialna linia przecinała nasz świat. Około pół mili od brzegu w magii muru ziała wyrwa, i to właśnie przez nią mieliśmy przelecieć.

Staliśmy w korytarzu – ich trójka ubrana w skórzane pancerze, a ja owinięta grubym podszytym futrem płaszczem. Spojrzałam na Rhysanda i natychmiast przypomniałam sobie dotyk jego dłoni na moich udach. Przypomniałam sobie, jakie to było uczucie, zajrzeć do jego myśli, poczuć jego lodowatą wściekłość, poczuć, jak... broni siebie, swojego ludu, swoich przyjaciół przy użyciu mocy i masek. Widział i przeżył takie... takie niewypowiedziane rzeczy, a jednak... jego dłonie na moich udach były łagodne, ich dotyk przypominał...

Nie pozwoliłam sobie dokończyć tej myśli.

– Polecę z Azrielem – oświadczyłam.

Rhys i Kasjan wyglądali, jakbym właśnie wyraziła chęć przededefilowania przez Velaris całkiem nago, ale pieśniarz cieni tylko skłonił głowę i powiedział:

– Oczywiście.

Na szczęście na tym się skończyło.

Najpierw Rhys przeskoczył z Kasjanem, po czym błyskawicznie wrócił po mnie i Azriela.

Naczelny szpieg czekał w milczeniu. Starłam się nie wyglądać na zbyt skrępowaną, gdy mnie podniósł z ziemi, a cienie szepczące mu nieustannie do ucha musnęły mnie w szyję, w policzek. Rhys zmarszczył nieco czoło, ale tylko spojrzałam na niego ostro.

– Nie pozwól, żeby wiatr zniszczył mi fryzurę – zażądałam.

Książę parsknął, chwycił ramię Azriela i cała nasza trójka runęła w mroczny wicher.

Gwiazdy i czerń, poblížnione dłonie Azriela trzymające mnie mocno, moje ramiona zaplecione na jego szyi, w gotowości, oczekiwaniu, odliczałam...

Potem oślepiające słońce, ryczący wiatr, lot w dół, w dół...

Wtem obróciliśmy się i wystrzeliliśmy w górę. Ciało Azriela było

ciepłe i twarde, chociaż poparzone dłonie trzymały mnie z troskliwą delikatnością. Nie podążały za nami żadne cienie, tak jakby pozostały w Velaris.

Poniżej, przed nami i za nami rozpościerało się bezkresne błękitne morze. Nad nami wlekły się fortece chmur, a po mojej lewej... Ciemna smużka na horyzoncie. Łąd.

Dwór Wiosny.

Zastanawiałam się, czy Tamlin może jest na zachodnim brzegu. Kiedyś wspominał o problemach w tym rejonie. Czy potrafiłby wyczuć teraz mnie, nas?

Odeгнаłam te myśli. Zwłaszcza gdy to *ja* poczułam mur.

Gdy byłam człowiekiem, był dla mnie jedynie niewidzialną barierą.

Teraz, gdy byłam fae... Nadal go nie widziałam, ale słyszałam skwierczenie mocy, a na języku czułam metaliczny posmak magii.

– Okropne, czyż nie? – rzucił cicho Azriel, niemal zagłuszony wyciem wiatru.

– Teraz rozumiem, dlaczego stroniliście... dlaczego stroniliśmy od tego przez te wszystkie wieki – przyznałam.

Z każdym uderzeniem serca zbliżaliśmy się do tej olbrzymiej, przyprawiającej o mdłości mocy.

– Przyzwyczaisz się do tego. Do mówienia „my” – pocieszył mnie.

Przylgnęłam tak mocno do niego, że nie widziałam jego twarzy. Przyglądałam się grze światła w jego szafirowym syfonie. Sprawiało to wrażenie, jak gdyby kamień był wielkim ślepiem jakiejś na wpół uśpionej bestii z zamarzniętych pustkowi.

– Nie wiem, gdzie jest moje miejsce – przyznałam, pewnie dlatego, że wokół nas zawodził wicher, a Rhys już przeskoczył naprzód w miejsce, gdzie widniał ciemny zarys postaci Kasjana, po drugiej stronie muru.

– Żyję już blisko pięć i pół wieku i też tego nie wiem – powiedział Azriel.

Spróbowałam się odchylić, aby odczytać wyraz jego pięknej, zimnej jak lód twarzy, ale ścisnął mnie mocniej w niewypowiedzianym ostrzeżeniu, żebym się przygotowała.

Skąd Azriel wiedział, gdzie znajduje się szczelina – nie miałam pojęcia. Dla mnie cała bariera wyglądała tak samo: nie widziałam nic poza otwartym niebem.

Ale poczułam mur, gdy przezeń przelecieliśmy. Poczułam, jak się ku mnie rzucił, jakby był wściekły, że się prześlizgnęliśmy. Poczułam rozbłysk mocy, gdy ta spróbowała zamknąć szczelinę, ale bezskutecznie...

Chwilę potem byliśmy po drugiej stronie.

Wicher kąsał, było tak zimno, że miałam problemy z oddychaniem. Przenikliwy wiatr zdawał się nieco mniej żywy niż w pozostawionym za plecami wiosennym powietrzu.

Azriel położył się na bok i pomknął w stronę brzegu, gdzie Rhys i Kasjan szybowali już nad lądem. Zadrżałam pod podszytym futrem płaszczem i przylgnęłam do ciepła Azriela.

Minęliśmy piaszczystą plażę u podnóża białych klifów i wlecieliśmy nad płaską, pokrytą śniegiem krainę upstrzoną spustoszonymi przez zimę lasami.

Ziemie ludzi.

Mój dom.

Rozdział 23

Minął rok, odkąd przemierzałam ten labirynt śniegu i lodu, odkąd z nienawiścią w sercu zabiłam tamtego fae.

U schyłku zimy rezydencja mojej rodziny ze swoim szmaragdowym dachem wyglądała równie cudownie jak wtedy latem. Był to jednak inny rodzaj piękna – blady marmur zdawał się ciepły w zestawieniu z surowym śniegiem zalegającym wszędzie wokół. Okna, łuki i latarnie przyozdobione były gałęziami zimozielonych drzew i ostrokrzewu. Jedyne dekoracje, jedyna forma świętowania akceptowana przez ludzi. Po tym, jak po wojnie zabronili obchodzenia jakichkolwiek świąt, gdyż przypominały im ich nieśmiertelnych nadzorców.

Trzy miesiące z Amaranthą mnie zniszczyły. Nie chciałam sobie nawet wyobrażać, co mogłyby zrobić całe tysiąclecia z fae jej pokroju; jakie blizny pozostawiłyby na kulturze, na całym ludzie.

Moim ludzie – czy też raczej tym, do którego kiedyś należałam.

Kaptur naciągnięty na uszy, palce wetknięte w wyściełane futrem kieszenie płaszcza. Stałam przed podwójnymi drzwiami do rezydencji, wsłuchując się w czyste brzmienie dzwonka.

Za mną czekali – niewidzialni, bo ukryci zaklęciami Rhysa – moi trzej towarzysze.

Powiedziałam im, że najlepiej będzie, jeśli najpierw ja pomówię z moją rodziną. Sama.

Zadrżałam. Tęskniłam za łagodną zimą Velaris i zastanawiałam się, w jaki sposób tak daleko na północy mogło być tak ciepło, ale... wszystko w Prythianie było dziwne. Może w czasach przed stworzeniem muru, kiedy magia przepływała bez przeszkód między krainami, różnice w porach roku nie były tak drastyczne.

Drzwi otworzyły się i stanęła w nich okrągłutka ochmistrzyni o wesołej twarzy – pani Laurent, wypowiedziała pamięć – i spojrzała na mnie spod zmrużonych powiek.

– W czym mogę po...

Słowa uwięzły jej w gardle, gdy dojrzała moją twarz.

Z naciągniętym głęboko kapturem moje uszy i diadem były

niewidoczne, ale ten blask, nadprzyrodzony bezruch... Nie uchyliła drzwi szerzej.

– Przybyłam zobaczyć się z moją rodziną – wykrztusiłam.

– Panienki... panienki ojciec wyjechał w interesach, ale panienki siostry... – Nie poruszyła się.

Wiedziała. Dostrzegła, że było we mnie coś innego, że coś było nie tak...

Strzeliła wzrokiem za moje plecy. Żadnego powozu, żadnego konia. Żadnych śladów na śniegu.

Twarz jej pobladła, a ja przeklełam się w myślach, że nie pomyślałam o tym...

– Pani Laurent?

Coś pękło mi w piersi, gdy usłyszałam głos Elainy dobiegający z korytarza za ochmistrzynią. Przepęłniła mnie jego słodycz, młodość i dobroć, nietknięte Prythianem, nieświadome tego, co uczyniłam, czym się stałam...

Cofnęłam się o krok. Nie mogłam tego robić. Nie mogłam tego na nich sprowadzać.

Wtedy nad okrągłym ramieniem pani Laurent pojawiła się twarz Elainy.

Piękna – zawsze była najpiękniejsza z naszej trójki. Delikatna i śliczna niczym letni poranek.

Elaina była dokładnie taka, jaką ją zapamiętałam, jaką chciałam ją pamiętać w tych lochach, kiedy powtarzałam sobie, że jeśli zawiodę, jeśli Amarantha przekroczy mur, ona będzie następna. Tak jak będzie następna, jeśli król Hybernii strzaska barierę, jeśli nie zdobędę Księgi Tchnień.

Złociste włosy mojej siostry były częściowo upięte na głowie. Jej blada skóra była jędrna i okraszona rumieńcem, a oczy przypominające barwą roztopioną czekoladę rozszerzyły się, gdy tylko mnie zobaczyła.

Łzy cicho wezbrały w nich i rozlały się po tych uroczych policzkach.

Pani Laurent nie ustąpiła nawet na cal. Była gotowa błyskawicznie zatrzaskać mi drzwi przed nosem, gdybym choćby niewłaściwie nabrała powietrza.

Elaina uniosła smukłą dłoń do ust, a jej ramionami wstrząsnął szloch.

– Elaino – wychrypiałam.

Usłyszałam kroki na szerokich schodach za ich plecami, a potem...

– Pani Laurent, proszę przygotować herbatę i przynieść ją do pokoju dziennego.

Ochmistrzyni spojrzała na schody, potem na Elainę, potem na mnie.

Duch w śniegu.

Kobieta posłała mi tylko spojrzenie obiecujące śmierć, gdybym tylko skrzywdziła moje siostry, po czym obróciła się i odeszła w głąb domu, pozostawiając mnie twarzą w twarz z wciąż chlapiącą po cichu Elainą.

Przekroczyłam próg i spojrzałam w górę na schody.

Tam, gdzie stała Nesta z dłonią zaciśniętą na poręczy, wpatrując się we mnie, jakbym naprawdę była duchem.

Dom był piękny, ale wydawał się w jakiś sposób nietknięty. Nowy w porównaniu z wiekowością i znoszonym sentymentem domów Rhysa w Velaris.

Siedząc przed rzeźbionym marmurowym paleniskiem w pokoju dziennym, wciąż z kapturem na głowie, z dłońmi wyciągniętymi w stronę trzaskającego ognia, poczułam się... poczułam się, jakby wpuściły wilka.

Upiora.

Byłam zbyt wielka na te pomieszczenia, na to kruche śmiertelne życie; zbyt splamiona, zbyt dzika i... zbyt potężna. A do tego miałam właśnie wprowadzić to wszystko na stałe do ich życia.

Gdzie byli Rhys, Kasjan i Azriel – nie wiedziałam. Może stali w cieniach w kącie pokoju i przyglądali się. Może pozostali na zewnątrz w śniegu. Nie zdziwiłabym się, gdyby Kasjan i Azriel oblatywali teraz okolicę, badali topografię terenu, zataczali coraz szersze koła, aż dotrą nad wioskę, nad naszą rozsypującą się chatę, może nawet nad sam las.

Nesta wyglądała tak samo jak ostatnio. Była tylko starsza. Nie na

twarzy, która pozostała równie poważna i piękna jak wcześniej, lecz... w spojrzeniu, w sposobie bycia.

Moje siostry siedziały na wprost mnie na niewielkiej sofie, przyglądały mi się... i czekały.

– Gdzie jest ojciec? – zapytałam.

Wydało mi się to jedyną bezpieczną rzeczą do powiedzenia.

– W Nevie – odpowiedziała Nesta. Neva była jednym z największych miast na kontynencie. – Handluje z jakimiś kupcami z drugiej części świata. I bierze udział w zjeździe poświęconym zagrożeniu zza muru. Zagrożeniu, o którym zapewne przybyłaś nas ostrzec, czyż nie?

Żadnego wyrazu ulgi, wyznania miłości – nigdy od niej.

Elaina uniosła filiżankę.

– Z jakiegokolwiek powodu przybyłaś, Feyro – powiedziała – cieszymy się, że cię widzimy. Żywą. Sądziłyśmy, że już...

Zdjęłam kaptur, zanim dokończyła.

Filiżanka Elainy zadzwoniła o spodek, gdy dostrzegła moje uszy. Moje dłuższe, smukłe dłonie... twarz, która niezaprzeczalnie była twarzą fae.

– *Byłam* martwa – powiedziałam ze ściśniętym gardłem. – Umarłam, a następnie się odrodziłam. Zostałam stworzona na nowo.

Drżącą dłonią Elaina odstawiła filiżankę na niski stolik między nami. Bursztynowy płyn przelał się przez brzeg naczynia i zgromadził na spodku.

Jednocześnie Nesta przesunęła się minimalnie między mnie a Elainę.

Spojrzałam jej w oczy i powiedziałam:

– Musicie mnie wysłuchać.

Obie wpatrywały się we mnie rozszerzonymi oczami.

Ale słuchały.

Opowiedziałam im moją historię. Z tyloma szczegółami, ile zdołałam znieść, przedstawiłam im to, co się wydarzyło pod Górą. Opowiedziałam o moich próbach. O Amarancie. O mojej śmierci. O mym odrodzeniu.

Wyjaśnienie ostatnich kilku miesięcy okazało się trudniejsze.

Nie rozwodziłam się więc.

Powiedziałam za to dokładniej o tym, co musiało się wydarzyć tutaj – o zagrożeniu ze strony Hyberrii. Wyjaśniłam, czym musiał się stać ten dom, kim my musieliśmy zostać i czego oczekiwaliśmy od nich.

Kiedy skończyłam, dalej wpatrywały się we mnie rozszerzonymi oczami. W milczeniu.

To Elaina odezwała się w końcu pierwsza.

– Ty... ty chcesz, żeby inni fae wysokiego rodu przyszli... *tutaj* – wydukała. – I... i królowe naszych krain.

Kiwnęłam powoli głową.

– Znajdź inne miejsce – powiedziała Nesta.

Obróciłam się do niej i spojrzałam błagalnie, szykując się na kłótnię.

– Znajdź inne miejsce – powtórzyła i wyprostowała się. – Nie chcę ich w moim domu. Ani w pobliżu Elainy.

– Nesto, błagam – wyszeptałam. – Nie ma innego miejsca. Gdziekolwiek indziej się udam, ktoś będzie na mnie polował, ktoś zechce mnie ukrzyżować...

– A co z nami? Kiedy okoliczni mieszkańcy dowiedzą się, że sympatyzujemy z fae? Czy będziemy wtedy lepsi od Dzieci Błogosławionych? Nasza pozycja, wszystkie nasze wpływy... przypadną. A ślub Elainy...

– Ślub? – wykrztusiłam.

Nie zauważyłam wcześniej pierścionka z perłą i diamentem na jej palcu. Ciemny metal obrączki lśnił w blasku płomieni.

Gdy jednak Elaina spojrzała na swój palec, pobladła na twarzy.

– Za pięć miesięcy – powiedziała Nesta. – Wychodzi za syna wielmoży. A jego ojciec poświęcił całe życie ściganiu *twojego gatunku*, gdy tylko przekroczy mur.

Twojego gatunku.

– Dlatego też nie będzie tu żadnego spotkania – dokończyła Nesta, siedząc sztywno. – Nie będzie w tym domu żadnych fae.

– Czy mnie ta decyzja też obejmuje? – spytałam cicho.

Milczenie Nesty wystarczyło mi za odpowiedź.

Ale wtedy odezwała się Elaina:

– Nesto.

Moja najstarsza siostra powoli obróciła głowę w jej stronę.

– Nesto – powtórzyła Elaina, wykręcając palce u dłoni. – Jeśli... jeśli nie pomożemy Feyrze, nie będzie żadnego ślubu. Nawet umocnienia lorda Nolana i całe jego wojsko nie obronią mnie przed... przed nimi.

Nesta nawet nie drgnęła.

– Utrzymamy to w tajemnicy – nie ustępowała Elaina. – Odeślemy służbę. Nadchodzi wiosna, ucieszą się z możliwości powrotu do domu. A jeśli Feyra potrzebuje przyjeżdżać co pewien czas na spotkania, będzie nas powiadamiała z wyprzedzeniem, a my opróżnimy dom. Wymyślimy jakieś wymówki, aby dać im wolne. Ojciec i tak nie wróci przed nadejściem lata. Nikt się nie dowie. – Położyła dłoń na kolanie Nesty. Fiolet sukni mojej siostry niemal pochłonął blade palce. – Feyra dawała i dawała. Przez lata. Pomóżmy teraz jej. Pomóżmy... innym.

Miałam ściśnięte gardło, a oczy mnie piekły.

Nesta przyjrzała się ciemnemu pierścieniowi na palcu Elainy; temu, jak jej siostra wciąż zdawała się ciągle go obracać na palcu. Dama... tym miała zostać Elaina. To ryzykowała dla mnie.

Spojrzałam Neście w oczy.

– Nie ma innego wyjścia.

Uniosła nieco brodę.

– Jutro odeślemy służbę.

– Dziś – powiedziałam z naciskiem. – Nie mamy czasu do stracenia. Nakaż im wrócić do swoich domów teraz.

– Ja to zrobię – oznajmiła Elaina, po czym wzięła głęboki wdech i wyprostowała ramiona.

Nie czekając na żadną z nas, wyszła wdzięczna niczym łania.

– Czy jest dobrym człowiekiem? – zapytałam Nestę, gdy zostałyśmy same. – Ten syn wielmoży, którego ma poślubić?

– Ona uważa, że tak. Kocha go takiego, jakim jest.

– A co ty uważasz?

Oczy Nesty – moje oczy, oczy naszej matki – napotkały moje.

– Jego ojciec wybudował kamienny mur wokół ich posiadłości. Tak wysoki, że nawet drzew zza niego nie widać. Moim zdaniem

wygląda jak więzienie.

– Rozmawiałaś z nią o tym?

– Nie. Syn, Graysen, jest dość miły. Równie zadurzony w Elaine co ona w nim. To za ojcem nie przepadam. On liczy na pieniądze, jakie może wnieść do ich rodziny, którymi może finansować jego krucjatę przeciw fae. Ale jest stary. Wkrótce zejdzie z tego świata.

– Miejmy nadzieję.

Wzruszyła ramionami.

– Twój książę – odezwała się Nesta. – Przeszłaś przez to wszystko... – tu machnęła ręką w stronę moich uszu, mojego ciała – ...i mimo to nie skończyło się dobrze?

Znów poczułam ciężar w żyłach.

– Tamten wybudował mur, aby utrzymać fae z dala od śmiertelników. Mój książę chciał trzymać mnie w zamknięciu.

– Dlaczego? Pozwolił ci wrócić tu te parę miesięcy temu.

– Aby mnie ocalić... chronić. I wydaje mi się... Chyba to, co przydarzyło się jemu, nam, pod Górą, złamało go. – Może nawet bardziej niż mnie. – Ten pęd do zapewnienia mi ochrony za wszelką cenę, nawet kosztem mojego szczęścia... Chyba chciał to zdusić, ale nie zdołał. Nie potrafił się tego wyzbyć.

Zrozumiałam, że... było wciąż wiele rzeczy, które musiałam zrobić. Aby doprowadzić sprawy do porządku. Aby doprowadzić do porządku siebie.

– A teraz jesteś na nowym dworze.

Było to bardziej stwierdzenie, ale i tak zapytałam:

– Chciałabyś ich poznać?

Rozdział 24

Trzeba było kilku godzin, aby Elaina przekonała służbę do spakowania się i opuszczenia rezydencji. Każde otrzymało dźwięczącą sakiewkę, aby przyspieszyć decyzję. Pani Laurent, chociaż wyszła za drzwi jako ostatnia, przyrzekła zachować to, co widziała, dla siebie.

Nie wiedziałam, gdzie czekali Rhys, Kasjan i Azriel, ale gdy pani Laurent wgramoliła się do powozu wypełnionego po brzegi ostatnimi ze służby, a zmierzającego do wioski, gdzie wszyscy zamierzali znaleźć transport tam, gdzie mieli rodziny – ktoś zapukał do drzwi.

Gdy je otworzyłam i zobaczyłam całą trójkę, światło dnia już ciemniało i świat na zewnątrz był pełny odcieni niebieskiego, bieli i szarości nakrapianych złotem.

Nesta i Elaina czekały w dużej jadalni – największym pomieszczeniu w całym domu.

Gdy tak patrzyłam na Rhysa, Kasjana i Azriela, wiedziałam, że to było właściwe miejsce na to spotkanie.

Byli olbrzymi – dzicy, nieokrzesani i pradawni.

Rhysand uniósł brwi.

– Pomyśleć by można, że powiedziano im, jakoby w domu zapanowała zaraza.

Otworzyłam drzwi na tyle, aby mogli wejść, po czym szybko je zamknęłam, aby odgrodzić wewnątrz od kłującego mrozu.

– Moja siostra Elaina potrafi przekonać kilkoma uśmiechami każdego do czegokolwiek.

Kasjan zagwizdał cicho, obracając się w miejscu i przyglądając wielkiemu holowi, zdobionym meblom, obrazom. Za wszystko to zapłacił – początkowo – Tamlin. Otoczył moją rodzinę taką troską, a jego... Nie chciałam myśleć o jego rodzinie – zamordowanej przez wrogi dwór z powodu, którego nikt mi nigdy nie wyjawiał. Nie teraz, kiedy mieszkaliśmy razem z nimi...

Był dobry... istniała część Tamlina, która była dobra...

Tak. Dał mi wszystko, czego potrzebowałam, aby stać się sobą, aby czuć się bezpiecznie. A kiedy dostał to, czego pragnął... Przestał. Próbował, ale nie do końca. Pozwolił sobie pozostać ślepym na to, czego

potrzebowałam po historii z Amaranthą.

– Twój ojciec musi być wytrawnym kupcem – powiedział Kasjan.
– Widziałem zamki z mniejszymi bogactwami.

Dostrzegłam, że Rhys mi się przygląda z wypisanym na twarzy niemym pytaniem.

– Mój ojciec wyjechał w interesach – odpowiedziałam – i by wziąć udział w spotkaniu w Nevie na temat zagrożenia ze strony Prythianu.

– Prythianu? – zapytał Kasjan, obracając się w naszą stronę. – Nie Hybernii?

– Możliwe, że moje siostry się mylą. Wasze ziemie są im całkowicie nieznane. Powiedziały tylko „zza muru”. Założyłam, że podejrzewają Prythian.

Aziel podszedł parę kroków, stąpając cicho jak kot.

– Jeśli ludzie zdają sobie sprawę z zagrożenia, jeśli organizują się w jego obliczu, może to dać nam przewagę w rozmowach z królowymi.

Rhys wciąż mi się przyglądał, tak jakby widział ciężar, który spoczywał na moich ramionach, odkąd tu przybyliśmy. Gdy ostatni raz postawiłam nogę w tym domu, byłam zakochaną kobietą – zakochaną miłością tak szaloną i rozpaczliwą, że wróciłam do Prythianu i ruszyłam pod Górę, będąc ledwie człowiekiem. Równie kruchym, jak moje siostry teraz wydawały się mnie.

– Chodź – powiedział Rhys, skinął mi lekko głową ze zrozumieniem w oczach, po czym gestem wskazał, bym ruszyła przodem. – Przedstawmy się.

Moje siostry stały przy oknie. Blask kandelabrow sprawiał, że złoto w ich włosach lśniło. Były takie piękne, młode i żywe – ale co, kiedy to się zmieni? Jak to będzie: rozmawiać z nimi, kiedy ja pozostanę taka, jaką jestem teraz, podczas gdy ich skóra stanie się cienka i pomarszczona jak pergamin, ich plecy ugną się pod ciężarem lat, a ich białe dłonie pokryją plamami?

Ja ledwo zacznę moje nieśmiertelne istnienie, gdy ich zgaśnie niczym świeczka zdmuchnięta zimnym tchnieniem.

Ale do tego czasu mogłam im dać kilka dobrych lat – lat

bezpiecznych.

Przeszłam przez salę. Trzej mężczyźni trzymali się krok za moimi plecami. Wypolerowany drewniany parkiet lśnił niczym lustro pod naszymi nogami. Teraz, gdy w domu już nie było służby, zdjęłam płaszcz, i to na mnie – nie na Ilyrów – spojrzały najpierw moje siostry. Na strój fae, na diadem, na biżuterię.

Obca – ten aspekt mnie był dla nich teraz obcy.

Następnie przyjrzały się uskrzydłonym mężczyznom – dwóm, bo skrzydła Rhysa zniknęły, a jego skórzana zbroja ustąpiła eleganckiej czarnej marynarce i czarnym spodniom.

Moje siostry zeszywniały na widok Kasjana i Azriela, na widok tych mocarnych skrzydeł złożonych przy potężnych barkach, broni, a także na widok oszałamiająco pięknych twarzy całej trójki moich towarzyszy.

Muszę oddać Elainie, że nie zemdlą.

A Neście, że nie syknęła na nich. Postąpiła tylko niezbyt subtelny krok między nas a Elainę i schowała zaciśniętą w pięść dłoń za prostą acz elegancką suknią w kolorze ametystu. Ten jej ruch nie umknął uwadze trójki mężczyzn.

Zatrzymałam się dobre cztery stopy przed nią, aby pozostawić siostrą swobodę oddychania w pomieszczeniu, z którego nagle jakby ktoś odessał całe powietrze.

– Moje siostry – zwróciłam się do towarzyszy – Nesta i Elaina Archeron.

Nie myślałam o moim nazwisku rodzinnym, nie używałam go od wielu, wielu lat. Ponieważ nawet gdy się dla nich poświęcałam i polowałam, by wszystkich nakarmić, nie pragnęłam nazwiska ojca – nie chciałam dzielić miana z człowiekiem, który tylko siedział przy ogniu i pozwalał nam przymierać głodem. Pozwolił mi ruszyć samej w las. Przestałam używać nazwiska w dniu, w którym zabiłam pierwszego królika i poczułam, jak jego krew plami moje dłonie – tak samo jak krew tamtych fae skaziła je lata później niczym niewidzialny tatuaż.

Moje siostry nie dygnęły. Ich serca tłukły w szaleńczym tempie, nawet Nesty, a smak ich przerażenia czułam na własnym języku...

– Kasjan – powiedziałam, przechylając głowę na lewo. Następnie przekrzywiłam ją na prawo, wdzięczna za to, że cieni nigdzie nie było widać. – Azriel. – Obróciłam się bokiem. – I Rhysand, księżę Dworu Nocy.

Teraz zauważyłam, że Rhys też poskromił strzępy nocy snujące się zazwyczaj wokół niego i przyćmił swój nienaturalny wdzięk i aurę mocy. Ale wystarczyło jedno spojrzenie w te gwiaździste fiołkowe oczy, żeby zrozumieć, że jest kimś zdecydowanie niezwykłym.

Uklonił się.

– Dziękujemy za waszą gościnność... i hojność – powiedział z uśmiechem ciepłym, ale jednocześnie nieco nerwowym.

Elaina spróbowała również się uśmiechnąć, ale bez powodzenia.

A Nesta tylko spojrzała na nich trzech, po czym przeniosła wzrok na mnie.

– Kucharka zostawiła kolację na stole – powiedziała. – Powinniśmy ją zjeść, zanim wystygnie.

Nie czekała na moją zgodę, tylko od razu ruszyła prosto w stronę szczytu wypolerowanego czereśniowego stołu.

– Miło panów poznać – wychrypiała Elaina i pośpieszyła za siostrą w akompaniamencie szeptu jedwabiu jej kobaltowej sukni sunącej po deskach parkietu.

Ruszyliśmy za nimi. Kasjan krzywił się, Rhys unosił brwi, a Azriel wyglądał, jakby chciał się wtopić w najbliższy cień i uniknąć całej tej rozmowy.

Nesta czekała już u szczytu stołu – królowa gotowa podjąć swój dwór. Na tapicerowanym rzeźbionym krześle po jej lewej ręce dygotała Elaina.

Wyświadczyłam całej trójce przysługę i usiadłam po prawej ręce Nesty. Kasjan usiadł obok Elainy, która ścisnęła widelec tak mocno, jakby chciała się nim przed Ilyrem bronić, Rhys wślizgnął się na miejsce obok mnie, a Azriel usiadł po jego drugiej ręce. Gdy dostrzegł zaciśnięte do pobielenia knykci palce Elainy, Azriel uśmiechnął się lekko, ale nie odezwał się, tylko skupił się, tak jak Kasjan, na subtelnych próbach ułożenia skrzydeł tak, żeby usiąść wygodnie na ludzkim krześle. Niech mnie Kocioł przeklnie. Powinnam była o tym pamiętać. Chociaż

wątpiłam, żeby którykolwiek z nich docenił, gdybym teraz przyniosła im dwa stołki.

Westchnęłam przez nos i podniosłam pokrywę znad różnorodnych dań. Duszony łosoś z koprem i cytryną z ogrodu zimowego, tłuczone ziemniaki, pieczony kurczak z burakami i rzepą z piwnicy, a także jakaś zapiekanka z jaj, dziczyzny i pora. Posiłek sezonowy – przygotowany ze wszystkiego, co dało się znaleźć na przednówku.

Nałożyłam sobie jedzenie na talerz. Moje siostry i towarzysze zrobili to samo, wypełniając ciszę stukiem sztućców o zastawę. Włożyłam kęs do ust i postarałam się nie skrzywić.

Kiedyś czułabym bogactwo smaków.

Teraz czułam się, jakbym jadła popiół.

Rhys bez wahania pałaszował kurczaka. Kasjan i Azriel wcinali, jakby nie jedli nic od miesiący. Może jako wojownicy, walczący w wielu wojnach, wykształcili umiejętność patrzenia na żywność jako źródło siły, odkładając na bok kwestię smaku.

Dostrzegłam, że Nesta mi się przygląda.

– Czy coś jest nie w porządku z naszym jedzeniem? – zapytała beznamiętnym głosem.

Zmusiłam się do włożenia do ust kolejnego kęsa. Każdy ruch szczęki wymagał wysiłku.

– Nie – odparłam, przełknęłam kęs i popiłam solidnym łykiem wody.

– Nie możesz więc już jeść normalnych potraw, czy nie są dla ciebie dość dobre?

Pytanie i wyzwanie zarazem.

Widelec Rhysa brzęknął o talerz. Elaina wydała z siebie cichy zaniepokojony dźwięk.

Chociaż Nesta zgodziła się, bym skorzystała z ich domu, chociaż próbowała dla mnie przekroczyć mur i wypracowała tymczasowy rozejm, *ton* jej głosu, odraza, dezaprobata...

Położyłam dłoń płasko na stole.

– Mogę jeść, pić, pieprzyć się i walczyć równie dobrze, jak to robiłam wcześniej. A nawet lepiej.

Kasjan zakrztusił się wodą. Azriel poruszył się niespokojnie na

krześle, sprężając się, aby w razie potrzeby skoczyć między nas.

Nesta zaśmiała się cicho.

Ale ja czułam smak ognia w ustach, słyszałam jego ryk w żyłach i...

Mocne szarpnięcie za niewidzialną więź, kojący mrok wlewający się we mnie, kojący nerwy, zmysły, gaszący płomienie...

Gorączkowo rzuciłam się do naprawy mojej mentalnej tarczy... ale była nienaruszona.

Rhys nawet nie mrugnął, tylko zwrócił się spokojnym głosem do Nesty:

– Jeśli kiedykolwiek odwiedzisz Prythian, przekonasz się, że nasze jedzenie smakuje zupełnie inaczej.

Nesta spojrzała na niego z zadartą głową.

– Nie mam szczególnego zamiaru kiedykolwiek postawić nogi w waszej krainie, zatem muszę uwierzyć ci na słowo.

– Nesto, proszę – wymamrotała Elaina.

Kasjan mierzył Nestę z błyskiem w oku, który mogłam zinterpretować jedynie jako spojrzenie wojownika w obliczu nowego ciekawego przeciwnika.

Wtedy właśnie, o Matko nad nami, Nesta przeniosła wzrok na Kasjana i dostrzegła jego spojrzenie – zrozumiała, co oznaczało.

– Na co się tak patrzysz? – warknęła cicho.

Kasjan uniósł brwi – w jego oczach pojawił się cień rozbawienia.

– Na kogoś, kto pozwolił swojej najmłodszej siostrze ryzykować życie każdego dnia w lesie, podczas gdy sam nie zrobił nic. Na kogoś, kto pozwalał czternastoletniej dziewczynce chodzić w te ostępy, tak blisko muru. – Poczulałam, jak twarz zalewa mi rumieniec. Otworzyłam usta. Co miałabym powiedzieć, nie miałam pojęcia. – Twoja siostra zginęła... *umarła*, by uratować mój lud. Teraz jest gotowa zrobić to samo, aby uchronić twój lud od wojny. Nie oczekuj więc, że będę tu siedział z gębą na kłódkę, podczas gdy ty będziesz na nią warczeć z powodu wyboru, którego nie ona dokonała, przy okazji obrażając *moich* pobratymców.

Nesta bez mrugnięcia przyglądała się przystojnej twarzy, umięśnionemu torsowi. Po czym, całkowicie ignorując Kasjana, obróciła

się do mnie.

Kasjan wykrzywił twarz w niemal dzikim grymasie. Wilk krążący wokół łani... tylko po to, by się przekonać, że to ryś przywdział jej skórę.

– To... – zwróciła się do niego szybko drżącym głosem Elaina, gdy zauważyła to samo. – To bardzo trudne, rozumiesz, do... pogodzenia się.

Zrozumiałam, że ciemny metal jej pierścienia... był żelazem. Nosiła go, chociaż powiedziałam im, że jest bezużyteczne przeciw czarodziejskim istotom. Dar od nienawidzącej fae rodziny, która wkrótce miała się stać jej rodziną. Elaina spojrzała błagalnie na Rhysa, potem na Azriela. Śmiertelny lęk malował się na jej twarzy, zabarwiał jej zapach.

– Jesteśmy tak wychowywani. Opowiadają nam historie o wam podobnych przekraczających mur, aby nas dręczyć. Nasza sąsiadka, Klara Beddor, została porwana, jej rodzinę zabito...

Nagie ciało przyszpilone do ściany. Zmaltretowana. Martwa. Wisząca tak miesiącami.

Rhys wpatrywał się w swój talerz. Bez ruchu. Nawet nie mrugając.

Przekazał Amarancie imię Klary. Powtórzył jej je, chociaż wiedział, że skłamałam.

– To wszystko wprowadza mętlik w głowie – dodała Elaina.

– Wyobrażam sobie – rzekł Azriel.

Kasjan posłał mu wściekłe spojrzenie, ale on skupiał całą swoją uwagę na mojej siostrze z uprzejmym, bladym uśmiechem na twarzy. Rozluźniła nieco ramiona. Zastanawiałam się, czy naczelny szpieg Rhysa równie często zdobywał informacje dzięki swojej bezwzględności co podstępem i kryciem się w cieniach.

– A jeśli chodzi o polowania Feyry przez te wszystkie lata – zwróciła się do Kasjana Elaina, prostując się nieco – to nie można obwiniać za bierność jedynie Nesty. Byłyśmy przerażone, nie miałyśmy żadnego przeszkolenia, wszystko nam odebrano i zawiodłyśmy ją. Obie.

Nesta nie powiedziała nic, tylko siedziała sztywno.

Rhys spojrzał na mnie ostrzegawczo. Ścisnęłam ramię siostry, żeby zwrócić jej uwagę na siebie.

– Czy możemy po prostu... zacząć na nowo?

Niemal czułam smak dumy krążącej w jej żyłach, warczącej, by nie

ustępować.

Kasjan, niech go diabli, uśmiechnął się wyzywająco.

Ale Nesta jedynie syknęła:

– W porządku.

I wróciła do jedzenia.

Kasjan przyglądał się każdemu kęsowi, który nabierała, każdemu ruchowi gardła, gdy przełykała.

Zmusiłam się do wyczyszczenia talerza świadoma tego, że Nesta przygląda się mi przez cały czas.

– Czy potrafisz latać? – zapytała Azriela Elaina. Chyba byli jedynymi cywilizowanymi osobami przy tym stole.

Ilyr odłożył widelec i zamrugął. Mogłabym go nawet nazwać skrepowanym.

– Tak – odparł. – Kasjan i ja jesteśmy przedstawicielami rasy fae zwanej Ilyrami. Przyszliśmy na świat wsłuchani w pieśń wiatru.

– To bardzo piękne – stwierdziła. – Czy to jednak nie... straszne? Latać tak wysoko?

– Czasem jest strasznie – powiedział Azriel. Kasjan oderwał swoje nieustępliwe spojrzenie od Nesty na dość długo, by kiwnąć głową na znak zgody. – Kiedy złapie cię burza, kiedy prąd powietrza nagle zniknie. Ale jesteśmy szkoleni tak wytrwale, że strach mija jeszcze, gdy jesteśmy w powijakach.

Jednak Azriel rozpoczął trening o wiele później. „Przyzwyczajasz się do nazewnictwa” – zdradził mi wcześniej. Jak często musiał się upominać, żeby używać takich słów? Czy słowa „my” i „nasze” smakowały na jego języku równie obco jak na moim?

– Wyglądasz na fae wysokiego rodu – wtrąciła się głosem przypominającym dobrze zahartowane ostrze Nesta. – Ale nie jesteś jednym z nich?

– Tylko fae wyglądający jak *oni* – odparł Kasjan i skinął dłonią na mnie i Rhysa – są uważani za prawdziwych fae wysokiego rodu. Wszyscy inni, wszyscy wyglądający inaczej, są tymi, których lubią nazywać pomniejszymi fae.

– To wyrażenie jest teraz używane głównie dla wygody – odezwał się w końcu Rhysand – ale kryje się za nim krwawa historia

niesprawiedliwości. Wielu spośród pomniejszych fae nienawidzi tego określenia i dąży do tego, abyśmy wszyscy określali się nawzajem tak samo.

– I słusznie – rzucił między kolejnymi łykami wody Kasjan.

Nesta przyjrzała się mnie.

– Ale ty nie byłaś fae wysokiego rodu, nie na początku. Jak więc cię nazywają?

Nie potrafiłam ocenić, czy to była uszczypliwość, czy niewinne pytanie.

– Feyra jest tym, kim zechce być – odpowiedział jej Rhys.

Nesta powiodła wzrokiem po nas wszystkich, na koniec spojrzała na mój diadem.

– Napiszcie swój list do królowych jeszcze dziś – powiedziała. – Jutro zawieziemy go z Elainą do wioski, aby go wysłać. Jeśli królowe istotnie tu przybędą – dodała i posłała lodowate spojrzenie Kasjanowi – radzę przygotować się na uprzedzenia dużo głębiej zakorzenione od naszych. I zastanowić się, jak zamierzacie *nas wszystkich* wydobyć z tego bałaganu, gdyby sprawy przybrały nieciekawą obrót.

– Weźmiemy to pod rozwagę – odparł gładko Rhys.

– Zakładam – ciągnęła dalej zupełnie niewzruszona Nesta – że zechcecie zostać tu na noc.

Rhys zerknął na mnie z niemym pytaniem w oczach. Mogliśmy bez problemu odejść. Znaleźliby drogę do domu po ciemku, ale...

– Jeśli to nie będzie zbyt kłopot, to tak – powiedziałam. – Wyruszymy jutro po śniadaniu.

Nesta się nie uśmiechnęła, ale Elaina promieniała.

– Dobrze. Sądzę, że mamy kilka pokojów gościnnych przygotowanych...

– Potrzebujemy dwóch – przerwał jej cichym głosem Rhys. – Przylegające do siebie, z dwoma łózkami w każdym.

Spojrzałam na niego ze zmarszczonymi brwiami.

– Po tej stronie muru magia jest inna – wyjaśnił mi Rhys. – Nasze bariery i zmysły mogą nie działać prawidłowo. Nie zamierzam ryzykować. Zwłaszcza pod jednym dachem z kobietą będącą po słowie z kimś, kto dał jej żelazny pierścionek zaręczynowy.

Elaina poczerwieniała nieco.

– Po... pokoje z dwoma łózkami nie przylegają do siebie – wymamrotała.

Westchnęłam.

– Poprzenosimy meble. Nic nie szkodzi. Ten tu – dodałam, gromiąc Rhysa wzrokiem – jest taki nerwowy tylko dlatego, że jest już stary i już dawno minęła jego pora na sen.

Rhys zachichotał, gniew Kasjana minął na tyle, że zdołał wyszczerzyć zęby w uśmiechu, a Elaina – wzięwszy spokój Azriela za dowód, że rzeczy istotnie nie potoczą się źle – również się uśmiechnęła.

Nesta jedynie wstała z krzesła – była niczym smukła kolumna stali – i rzuciła w powietrze:

– Jeśli wszyscy już zjedli, to posiłek uważam za skończony.

I tak oto było po wszystkim.

Rhys napisał list za mnie. Kasjan i Azriel co chwilę wtrącali się z poprawkami. Dopiero około północy mieliśmy szkic treści, który wszyscy uznaliśmy za udany: przyjazny i jednocześnie wystarczająco stanowczy.

Podczas gdy my układaliśmy kolejne zdania, moje siostry zmywały naczynia, po czym przeprosiły i poszły spać na długo, zanim skończyliśmy, wspominając jeszcze tylko, jak trafić do naszych pokoiów.

Jeden przypadł Kasjanowi i Azrielowi, a drugi – Rhysowi i mnie.

Przyjrzałam się dużej gościnnej sypialni ze zmarszczonymi brwiami, podczas gdy Rhys zamykał za nami drzwi. Łoże było dość duże dla dwóch osób, ale ja nie zamierzałam go z nim dzielić. Obróciłam się do niego.

– Nie ma mowy, żebym...

Drewno opadło z głuchym stukiem na dywan – przy drzwiach pojawiło się niewielkie łóżko. Rhys przysiadł na nim i zaczął ściągać buty.

– Tak swoją drogą Nesta jest urocza – powiedział.

– Jest... bardzo niezależna.

To była chyba najmilsza rzecz, jaką mogłam o niej powiedzieć.

– Minęło kilka wieków, odkąd ktoś zdołał tak łatwo zająć Kasjanowi za skórę. Szkoda, że oboje są skłonni zabić drugie.

Zadrżałam na myśl o tym, jakie spustoszenie spowodowałyby ta dwójka, gdyby przestała się kłócić.

– A Elaina – dodał Rhys, ściągając drugi but, i westchnął – nie powinna wychodzić za tego syna wielmoży. Z kilkunastu powodów, z których najmniej istotnym jest fakt, że nie zostaniesz zaproszona na wesele. Chociaż może to i dobrze.

– To nie jest śmieszne – wysyczałam.

– Przynajmniej nie musisz wysyłać też żadnego prezentu. Wątpię, żeby jej teść był skłonny go przyjąć.

– Że też masz czelność szydzić z moich sióstr, podczas gdy wśród twoich przyjaciół rozgrywają się takie same melodramaty.

Uniósł brwi w niemym pytaniu.

Parsknęłam.

– Och, czyżbyś więc nie zauważył, jak Azriel patrzy na Mor? Albo jak ona czasem patrzy *na niego*, jak go broni? I jak oboje w większości przypadków doskonale wykorzystują Kasjana jako bufor między nimi?

Rhys spojrzał mi w oczy.

– Sugerowałbym zachowanie tych spostrzeżeń dla siebie.

– Sądzisz, że jestem jakąś papłą? Moje życie jest wystarczająco nędzne i bez tego. Dlaczego miałabym tę nędzę rozszerzać również na innych?

– Jest nędzne? Twoje życie?

Ostrożne pytanie.

– Nie wiem. Wszystko dzieje się tak szybko, że nie wiem, co mam czuć.

To było najbardziej szczere wyznanie od dłuższego czasu.

– Hmm. Może gdy wrócimy do domu, powinienem dać ci dzień wolnego.

– Cóż za wspaniałomyślność, *mój panie*.

Parsknął i zabrał się do rozpinania marynarki. Zorientowałam się, że stoję dalej w dziennym ubraniu i nie mam nic do snu.

Rhys pstryknął palcami i na łóżku pojawiły się moje sypialniane

ubrania – a także jakaś zwiewna bielizna.

– Nie mogłem się zdecydować, które strzępy koronek chciałbym, abyś założyła, więc zabrałem kilka do wyboru.

– Świnia – warknęłam, po czym zgarnęłam ubrania i ruszyłam do przyległej łazienki.

Gdy wróciłam, pokój był przyjemnie nagrzanym, Rhys leżał w przywołanym wcześniej skądś łóżku, a jedynym światłem był blask żaru z paleniska. Nawet pościel była ciepła, gdy się pod nią wślizgnęłam.

– Dziękuję za wygrzanie łóżka – rzuciłam w półmrok.

Leżał obrócony do mnie plecami, ale jego odpowiedź usłyszałam wyraźnie.

– Amarantha ani razu mi za to nie podziękowała.

Całe ciepło zostało wysrane.

– Nie wycierpiała dość.

Zasłużyła na o wiele większe męki za to, co zrobiła. Mnie, jemu, Klarze, tak wielu innym.

Rhys nie odpowiedział.

– Nie sądziłem, że wytrzymam do końca tej kolacji – rzucił.

– W jakim sensie?

Był raczej... spokojny. Opanowany.

– Twoje siostry chcą dobrze, a przynajmniej jedna chce. Ale gdy zobaczyłem je, siedzące przy tym stole... Nie sądziłem, że to mnie uderzy z taką mocą. Jak młoda byłaś. Jak cię nie chroniły.

– Radziłam sobie.

– Jesteśmy im winni naszą wdzięczność za zgodę na wykorzystanie tego domu – powiedział cicho – ale minie wiele czasu, zanim będę potrafił spojrzeć na twoje siostry bez ochoty ryknięcia na nie.

– W pewnym sensie czuję to samo – przyznałam, zakopując się w koce. – Ale gdybym nie poszła w te lasy, gdyby nie pozwoliły mi pójść samej... Ty nadal byłbyś uwięziony. A Amarantha mogłaby już szykować swoje siły, żeby wybić wszystkich mieszkańców tych ziem.

Cisza.

– Płacę ci za to wszystko, wiesz?

– Nie musisz.

Nawet jeśli... nawet jeśli nie miałam własnych pieniędzy.

– Każdy członek mojej rady otrzymuje wynagrodzenie. W banku Velaris został już otwarty rachunek na twoje imię. Będą tam trafiały wszystkie twoje wypłaty. W większości sklepów masz otwarty kredyt. Jeśli więc nie będziesz miała ze sobą odpowiedniej kwoty, rachunek mogą wysłać do Domu.

– Ja... nie musiałeś tego robić. – Przełknęłam z trudem ślinę. –
A ile dokładnie dostaję za miesiąc?

– Tyle samo, ile wszyscy inni.

Bez wątpienia była to hojna, zapewne *zbyt* hojna, gaża.

– Kiedy są twoje urodziny? – spytał nagle.

– Czy muszę je w ogóle jeszcze liczyć?

Czekał.

Westchnęłam.

– W zimowe przesilenie.

Milczał jeszcze przez chwilę.

– Były kilka miesięcy temu.

– Mhm.

– Nic nie... Nie przypominam sobie, żebym widział, jak je świętujesz.

Przez więź, w moich niechronionych, pomieszanych myślach odpowiedziałam mu: „Nikomui nie powiedziałam. Nie chciałam przyjęcia, skoro i tak już było tyle świętowania. Poza tym urodziny zdają się teraz pozbawione znaczenia”.

Przez dłuższą chwilę milczał.

– Naprawdę urodziłaś się w noc zimowego przesilenia?

– Tak trudno w to uwierzyć? Moja matka twierdziła, że jestem taka wycofana i dziwna, bo przyszłam na świat w najdłuższą noc roku. Raz próbowała urządzić mi urodziny innego dnia, ale następnym razem o tym zapomniała. Zapewne musiała zaplanować jakieś ważniejsze przyjęcie.

– Teraz już wiem, skąd Nesta to ma. Doprawdy, wielka szkoda, że nie możemy zostać dłużej. Choćby po to, żeby się przekonać, kto wygra: ona czy Kasjan.

– Stawiam na Nestę.

Cichy chichot prześlizgnął się wzdłuż moich kości –

przypomnienie, że kiedyś postawił na mnie. Że był jedynym ze wszystkich pod Górą, który postawił na to, że pokonam czerwia.

– Ja też – powiedział.

Rozdział 25

Stałam pod kratownicą gałęzi uginających się pod ciężarem śniegu, rozglądałam się po uśpionym lesie i zastanawiałam, czy ptaki ucichły ze względu na moją obecność, czy ze względu na stojącego obok mnie księcia.

– Odmrażanie sobie tyłka z samego ranka nie było częścią moich planów na wspólne spędzenie wolnego dnia – powiedział Rhysand, rozglądając się ze zmarszczonym czołem. – Powinienem cię zabrać po powrocie na ilyryjskie stepy. Tamtejszy las jest zdecydowanie ciekawszy. I cieplejszy.

– Nie mam pojęcia, gdzie się znajdują.

Śnieg chrząścił pod butami, które Rhys przywołał, kiedy oświadczyłam, że chcę z nim trenować. Nie walkę fizyczną, ale... używanie moich mocy. Czymkolwiek by były.

– Wtedy, za pierwszym razem, pokazałeś mi pustą mapę, pamiętasz?

– Środki ostrożności.

– Czy zobaczę kiedykolwiek normalną, czy mam ciągle zgadywać, gdzie co jest?

– Jesteś dziś w uroczym nastroju – stwierdził Rhys i uniósł dłoń w powietrzu między nami. Pojawiła się złożona mapa, którą zaczął bardzo powoli otwierać. – Żebyś sobie nie pomyślała, droga Feyro, że ci nie ufam... – Wskazał tereny na południe od północnych wysp. – To są stepy. Cztery dni drogi na piechotę w tę stronę... – przeciągnął palec w górę mapy, na góry ciągnące się wzdłuż wysp – ...znajduje się terytorium Ilyrów.

Przyjrzałam się mapie i zapamiętałam półwysep wystający mniej więcej w połowie zachodniego wybrzeża Dworu Nocy. Widniała przy nim nazwa. Velaris. Kiedyś pokazał mi pustą mapę – kiedy należałam do Tamlina i byłam w zasadzie szpiegiem i więźniem. Ponieważ wiedział, że powiem Tamlinowi o wszystkich miastach i opiszę ich położenie.

Że Iantha również mogłaby posiadać tę wiedzę.

Odrzuciłam ten ciężar zalegający w piersi, w żołądku.

– Tutaj – powiedział Rhys, chowając mapę do kieszeni i wskazując

las wokół nas. – Będziemy trenować tutaj. Odeszliśmy już dość daleko.

Dość daleko od domu, od wszystkich innych, aby uniknąć wykrycia. Albo ofiar.

Rhys wyciągnął dłoń i przywołał grubą, krótką świecę. Postawił ją na śniegu.

– Zapal ją, zgaś wodą, po czym wysusz knot.

Wiedziałam, że chodziło mu o zrobienie tego bez użycia rąk.

– Nie potrafię zrobić ani jednej z tych rzeczy – powiedziałam. –
Może fizyczna bariera?

To przynajmniej *częściowo* byłam w stanie zrobić.

– Tym zajmiemy się kiedy indziej. Dziś proponuję zacząć używać jakiegoś innego aspektu twojej mocy. Może zmiennokształtność?

Zgromiłam go wzrokiem.

– No to ogień, woda i powietrze.

Drań. Nieznośny drań.

Szczęśliwie nie drążył tematu – nie zapytał, dlaczego właściwie zmiennokształtność jest mocą, której nigdy nie zechcę spróbować i opanować. Może z tego samego powodu, dla którego niezbyt mnie ciągnęło do zapytania o jeden istotny element jego opowiadania; dla którego nie chciałam wiedzieć, czy Azriel i Kasjan pomagali w zabiciu rodu władającego Dworem Wiosny.

Zlustrowałam Rhysa od stóp do głów: strój ilyryjskiego wojownika, rękojeść miecza nad ramieniem, skrzydła i ta aura wszechogarniającej potęgi, która zawsze od niego promieniowała.

– Może powinieneś... sobie pójść.

– Czemu? Tak bardzo nalegałaś, żebym to ja cię trenował.

– Nie mogę się skoncentrować, gdy jesteś w pobliżu – przyznałam.

– Idź sobie... daleko stąd. Potrafię cię wyczuć z sąsiedniego pomieszczenia.

Wykrzywił sugestywnie usta.

Przewróciłam oczami.

– Może się po prostu schowasz na trochę w jednej z tych twoich kieszeni między światami?

– To tak nie działa. W nich nie ma powietrza. – Posłałam mu spojrzenie mówiące, że w takim wypadku zdecydowanie powinien to

zrobić, a on się roześmiał. – W porządku. Ćwicz, ile chcesz, na osobności. – Wskazał brodą mój tatuaż. – Krzyknij przez więź, gdybyś zdołała cokolwiek osiągnąć przed śniadaniem.

Spojrzałam na dłoń spod zmarszczonych brwi.

– Co... mam dosłownie krzyknąć na tatuaż?

– Mogłabyś spróbować potrzeć nim pewne części swojego ciała, wtedy mógłbym przybyć szybciej.

Rozpłynął się w powietrzu, zanim zdążyłam cisnąć w niego świecą.

Pozostawiona sama w malowanym mrozem lesie powtórzyłam jego słowa i zachichotałam cicho.

*** Zastanawiałam się, czy powinnam była wypróbować łuk i strzały, które dostałam, zanim zażądałam, by się oddalił. Jeszcze nie strzelałam z tego ilyryjskiego łuku – właściwie to nie strzelałam z niczego od miesiący.

Wbiłam wzrok w świecę. Nic się nie stało.

Minęła godzina.

Przywoływałam myśli o wszystkim, co mnie rozwścieczało, co mnie przyprawiało o mdłości. Pomyślałam o Iancie, o jej roszczeniach, o jej żądaniach. Nie pojawiła się nawet smużka dymu.

Gdy prawie już krwawiłam z oczu, zrobiłam sobie przerwę na przetrząśnięcie zawartości plecaka, który ze sobą zabrałam. Znalazłam świeży chleb, magicznie ogrzewany pojemnik z gulaszem i liścik od Rhysanda: „Nudzę się. Masz już jakieś iskry?”

Nie zdziwiło mnie, gdy na dnie torby znalazłam pióro.

Chwyciłam je, położyłam papier na pojemniku z posiłkiem i naskrobałam odpowiedź: „Nie, podglądaczu. Nie masz ważniejszych rzeczy do roboty?”. Chwilę później list zniknął z mojej dłoni.

Nie minęło wiele czasu, gdy pojawił się z powrotem.

„Przyglądam się, jak Kasjan i Nesta znowu się kłócą przy herbacie. Skazałaś mnie na to, gdy wyrzuciłaś mnie ze swojego treningu. Myślałem, że oboje będziemy mieli wolny dzień”.

Parsknęłam i odpisałam: „Biedny książę. Życie jest takie ciężkie”.

Papier zniknął, po czym pojawił się ponownie z naskrobanymi paroma słowami przy górnej krawędzi kartki, gdzie było jeszcze trochę wolnego miejsca: „Życie jest lepsze, gdy jesteś w pobliżu. I proszę: jaki

masz śliczny charakter pisma”.

Niemal wyczuwałam, jak wyczekuje po drugiej stronie, w słonecznym pokoju śniadaniowym, jednym okiem obserwując utarczkę mojej najstarszej siostry i iliryjskiego wojownika. Moje usta wykrzywiły się w półśmiechu. „Jesteś bezwstydnym flirciarzem”.

Kartka zniknęła. Patrzyłam na dłoń, oczekując jej powrotu.

Poświęcałam temu tak wiele uwagi, że nie zauważyłam, kiedy ktoś się podkradł do mnie od tyłu, dopóki dłoń nie zakryła moich ust i nie poderwała mnie do góry.

Rzucałam się, gryzłam i drapałam, przeklinając napastnika.

Próbowałam wyrwać się z jego uścisku, a śnieg tańczył wokół nas niczym chmura kurzu na drodze, ale trzymające mnie ramiona były niewzruszone niczym żelazne obręcze i...

Chrapliwy głos zabrzmiał przy moim uchu:

– Przestań albo skręcę ci kark.

Znałam ten głos. Nawiedzał mnie w koszmarach.

Attor.

Rozdział 26

Attor zniknął w chwili, gdy Amarantha umarła. Wszyscy podejrzewali, że umknął do króla Hybernii. A jeśli był tutaj, na ziemiach śmiertelników...

Zwiotczałam w jego uścisku, aby kupić sobie odrobinę czasu na wypatrzenie czegoś, czegokolwiek, co mogłabym przeciwko niemu wykorzystać.

– Dobrze – wysyczał mi do ucha. – A teraz mi powiedz...

Wokół nas wybuchła noc.

Attor wrzeszczał – wrzeszczał – gdy pochłonęła nas ciemność i zostałam wyrwana z jego żylastych silnych rąk, a jego pazury pocięły moją skórzaną zbroję. Upadłam twarzą w ubity lodowaty śnieg.

Przetoczyłam się przez bark, skręcając się, aby stanąć na nogach...

Światło wróciło, gdy byłam już w kuckach z dobytym nożem.

Moim oczom ukazał się Rhysand przywiązujący attora do ośnieżonego dębu wijącymi się pasmami nocy. Takimi jak to, którym zmiażdżył dłoń Ianthy. Swoje dłonie trzymał w kieszeniach, a twarz miał chłodną i piękną jak sama śmierć.

– Zastanawiałem się, dokąd odpełzłeś.

Attor dyszał, usiłując zerwać więzy.

Rhysand wysłał tylko dwie włócznie nocy wprost w skrzydła potwora. Attor zawył, gdy pociski przebiły ciało i wbiły się głęboko w pień drzewa.

– Odpowiedz na moje pytania, a będziesz mógł odpełznąć do swojego pana – powiedział Rhys takim tonem, jakby pytał o pogodę.

– Dziwka – warknął attor.

Z ran na skrzydłach ciekła srebrzysta krew, której krople syczały w zetknięciu ze śniegiem.

Rhys się uśmiechnął.

– Zapominasz, że w zasadzie to lubię takie zabawy – powiedział i uniósł palec.

– Nie! – wrzasnął attor.

Książę wstrzymał dłoń.

– Zostałem wysłany – wydyszał stwór – po nią.

– Dlaczego? – zapytał Rhysand z tym swoim niewymuszonym, przerażającym spokojem.

– Taki dostałem rozkaz. Nie mnie go kwestionować. Król chce ją mieć u siebie.

Krew w moich żyłach stała się równie zimna co otaczający nas las.

– Dlaczego? – zapytał ponownie Rhys.

Attor zaczął krzyczeć, tym razem w wyniku działania siły, której nie widziałam. Wzdrygnęłam się.

– Nie wiem, nie wiem, nie wiem!

Wierzyłam mu.

– Gdzie obecnie znajduje się król?

– W Hybernii.

– Armia?

– Wkrótce przybędzie.

– Jak duża?

– Nieprzeliczona. Mamy sojuszników w każdej krainie, tylko czekają.

Rhys przechylił głowę, tak jakby zastanawiał się, o co zapytać teraz. Jednak po chwili wyprostował się, a Azriel wpadł z impetem w śnieg i posłał go w górę jak wodę z kałuży. Nadleciał tak cicho, że nawet nie słyszałam uderzeń jego skrzydeł. Kasjan musiał zostać w domu, by bronić moich sióstr.

Gdy śnieg opadł, w twarzy Azriela nie dostrzegłam ani cienia dobroci, tylko kamienną maskę książęcego pieśniarza cieni.

Attor zaczął dygotać i niemal mu współczułam, gdy Azriel się do niego zbliżył. Prawie, ale jednak nie. Ten las znajdował się zbyt blisko rezydencji. Zbyt blisko moich sióstr.

Rhys stanął obok mnie, a Azriel podszedł do attora.

– Gdy następnym razem spróbujesz ją porwać – zwrócił się do potwora Rhys – najpierw zabiję, a potem będę zadawał pytania.

Azriel spojrzał na księcia. Ten kiwnął głową. Syfony na rękawicach Ilyra zamigotały błękitnym ogniem, kiedy sięgnął w stronę attora. Zanim tamten zdążył krzyknąć, obaj zniknęli.

Nie chciałam myśleć o tym, dokąd się udali ani co Azriel z nim zrobi. Nawet nie wiedziałam, że Azriel potrafił przeskakiwać czy też co

tam przed chwilą zrobił dzięki mocy skupionej w syfonach. Wcześniej pozwolił Rhysowi przenieść nas oboje – może używanie tej mocy bardzo go wyczerpywało, w związku z czym rzadko z niej korzystał.

– Czy go zabije? – zapytałam, wysyłając w powietrze nierówne obłoczki pary z ust.

– Nie.

Zadrżałam na widok czystej mocy szkliwiającej jego napięte ciało.

– Wykorzystamy go do posłania wiadomości do Hybernii, że jeśli chcą polować na członków mojego dworu, muszą się lepiej postarać.

Skrzywiłam się – na traktowanie mnie w ten sposób i na jego słowa.

– Wiedziałeś... wiedziałeś, że na mnie poluje?

– Byłem ciekawy, kto będzie chciał cię porwać, gdy tylko znajdziesz się na chwilę sama.

Nie wiedziałam, od czego zacząć. Czyli Tamlin miał rację; co do mojego bezpieczeństwa. Do pewnego stopnia. Nijak go to nie tłumaczyło.

– Czyli nawet przez moment nie miałeś zamiaru tu ze mną zostać. Wykorzystałeś mnie jako przynętę...

– Tak. I zrobiłbym to ponownie. Przez cały czas byłaś bezpieczna.

– Powinieneś był mi powiedzieć!

– Może następnym razem.

– Nie będzie następnego razu.

Uderzyłam dłonią prosto w jego pierś, a on zatoczył się do tyłu od siły ciosu. Zamrugałam. Zapomniałam – zapomniałam, jak silna potrafiłam się stać pod wpływem paniki. Zupełnie jak w przypadku Tkaczki. Zdażyłam zapomnieć, jaką siłą dysponuję.

– Zgadza się – warknął Rhysand, gdy dostrzegł zaskoczenie na mojej twarzy. Jego lodowaty spokój zniknął. – Zapomniałaś o tej sile, a także o tym, że potrafisz podpalać i przeistaczać się w ciemność albo wysuwać pazury. Zapomniałaś. Przestałaś walczyć.

Nie miał na myśli tylko attora. Ani Tkaczki.

Gniew wezbrał we mnie tak potężną falą, że w głowie miałam tylko wściekłość: na siebie, na to, do czego zostałam zmuszona, co zostało wyrządzone mnie, jemu.

– A nawet jeśli tak? – syknęłam i ponownie go popchnęłam. –
A nawet jeśli tak, *to co?!*

Podeszłam do niego, aby go popchnąć jeszcze raz, ale przeskoczył kilka stóp dalej.

Ruszyłam ku niemu biegiem z chrzęstem śniegu pod butami.

– Nie tak łatwo.

Furia ogarnęła mnie całą, pochłonęła mnie. Uniosłam ramiona, aby uderzyć w niego obiema rękami...

I znowu zniknął.

Pojawił się za mną tak blisko, że jego oddech połaskotał mnie w ucho, gdy powiedział:

– Nawet nie masz pojęcia, jakie to *nie jest* łatwe.

Obróciłam się i spróbowałam go pochwycić. Zniknął, zanim zdążyłam go sięgnąć, choćby trzepnąć.

Pojawił się po drugiej stronie polany i zachichotał.

– Staraj się bardziej.

Nie potrafiłam zmieniać się w ciemność ani przenikać między światami. Gdybym tak umiała – gdybym zdołała zmienić się w dym, w powietrze, w noc i gwiazdy, pojawiłabym się tuż przed nim i starła mu z ust ten uśmieszek.

Ruszyłam, z nadmiernym impetem, mimo że rozplynął się w ciemność. Nienawidziłam go za to – za skrzydła i umiejętność poruszania się niczym mgłą na wietrze. Pojawił się o krok ode mnie. Skoczyłam z wyciągniętymi przed siebie rękami... z wyciągniętymi *szponami*...

I wpadłam prosto na drzewo.

Zaśmiał się, gdy odbiłam się od pnia. Zęby mi zadzwoniły, szpony zaskrzypiały, przecinając korę i drewno. Ale ja już skakałam na niego, kiedy zaczynał znikać; skakałam, tak jakbym ja też umiała przemykać między światami, tropić go przez wieczność...

I tak się stało.

Czas spowolnił i zwinął się, a ja widziałam, jak jego ciemność zmienia się w dym i skręca, tak jakby zmierzała w inne miejsce na polanie. Ruszyłam pędem w tamto miejsce, czując własną lekkość, składając siebie w wiatr, cień i pył. Swoboda promieniowała ze mnie,

gdy zdążałam tam, dokąd on zmierzał...

Rhysand znów się pojawił, materialna postać w moim świecie dymu i gwiazd.

Oczy miał szeroko otwarte, a usta wykrzywione w uśmiechu szelmowskiego zadowolenia, gdy przeskoczyłam tuż przed niego i powaliłam go w śnieg.

Rozdział 27

Dyszałam ciężko, leżąc na powalonym w śnieg Rhysandzie, podczas gdy on śmiał się chrapliwie.

– Nigdy – warknęłam mu w twarz – więcej... – wepchnęłam jego twarde jak skała ramiona w śnieg, czując, jak z moich paznokci wyrastają wygięte szpony – ...nie używaj mnie jako przynęty.

Przestał się śmiać.

Naparłam mocniej. Szpony przebiły skórę jego zbroi.

– Powiedziałaś, że mogę być bronią. Naucz mnie się nią stać. Nie używaj mnie jako pionka. A jeśli to ma być częścią mojej pracy dla ciebie, to rezygnuję. *Rezygnuję.*

Pomimo śniegu jego ciało było ciepłe i chyba nie zdawałam sobie sprawy z tego, o ile jest ode mnie większy, dopóki nasze ciała nie znalazły się jedno przy drugim – zbyt blisko. O wiele, wiele za blisko.

Rhys przekrzywił głowę. Od jego włosów odpadła bryłka śniegu.

– W porządku.

Odepchnęłam się od niego i cofnęłam po chrzęszczącym śniegu. Szpony zniknęły.

Uniósł się na łokciach.

– Zrób to jeszcze raz. Pokaż mi, jak to zrobiłaś.

– Nie. – Świeczka, którą sprowadził, leżała w kawałkach, na wpół zakopana w śniegu. – Chcę wracać do rezydencji.

Było mi zimno, byłam zmęczona, a on...

Twarcz mu spoważniała.

– Przepraszam.

Zastanawiałam się, jak często wypowiadał to słowo. Nie dbałam o to.

Zaczekałam, aż dźwignie się na nogi. Strzepnął z siebie śnieg i wyciągnął w moją stronę dłoń.

To nie była tylko propozycja.

„Zapomniałaś” – powiedział w myślach.

Istotnie, zapomniałam.

– Dlaczego król Hybernii kazał mnie porwać? Bo wie, że mogę zneutralizować moc Kotła dzięki Księdze Tchnień?

Ciemność zamigotała jako jedyna oznaka szale, który Rhysand z powrotem wziął w karby.

– Tego mam zamiar się dowiedzieć.

„Przestałaś walczyć”.

– Przepraszam – powtórzył, cały czas wyciągając w moją stronę dłoń. – Zjedzmy śniadanie i wracajmy do domu.

– Velaris nie jest moim domem.

Przysięgłabym, że w jego oczach pojawiła się na moment uraza. Chwilę później staliśmy już z powrotem w domu mojej rodziny.

Rozdział 28

Moje siostry zjadły śniadanie z Rhysem i ze mną. Azriel wciąż nie wrócił z miejsca, do którego zabrał attora. Kasjan odleciał do niego, kiedy tylko powróciliśmy. Ukłonił się szyderczo Neście, a ona w odpowiedzi pokazała mu wulgarny gest. Nawet nie wiedziałam, że wie, jak go wykonać.

Ilyr tylko się roześmiał i wodził wzrokiem po jej zimnobłękitnej sukni z drapieżnością w oczach, doskonale zdając sobie sprawę – jeśli wnosić po jej wściekłym syknięciu – że ją to tylko dodatkowo rozeźli. Chwilę po tym już go nie było, a moja siostra stała na szerokim progu ze złocistymi włosami potarganymi zimnym podmuchem wzbudzonym jego potężnymi skrzydłami.

Towarzyszyliśmy moim siostram do wioski, aby wysłać nasz list. Rhys otoczył nas magią, aby nasza dwójka pozostała niewidoczna dla postronnych, podczas gdy one weszły do małego kantorku pocztowego. Po powrocie do rezydencji pożegnaliśmy się szybko. Wiedziałam, że Rhys chce wrócić do Velaris – choćby po to, żeby dowiedzieć się, co knuł attor.

Powiedziałam mu to zresztą, gdy przelatywaliśmy przez mur, prosto w ciepło Prythianu, aby potem przeskoczyć do Velaris.

Ulicami miasta i przełęczami górskimi wciąż wiała się poranna mgła. Było też chłodno, ale nie tak niemiłosiernie zimno jak w śmiertelnych krainach. Rhys zostawił mnie w sieni, chuchając w zmarznięte dłonie, bez słowa pożegnania.

Ponieważ zdążyłam już z powrotem zgłodnieć, odszukałam Nualę i Cerridwenę, po czym spałaszowałam bułki z serem i szczypiorkiem, rozmyślając o tym, co widziałam i co zrobiłam.

Niespełna godzinę później Rhys znalazł mnie w pokoju dziennym z nogami na kanapie przed paleniskiem, z książką na kolanach i filiżanką różanej herbaty parującej na niskim stoliku obok. Wstałam, gdy wszedł, i omiotłam go wzrokiem w poszukiwaniu jakichkolwiek ran. Gdy upewniłam się, że jest cały i zdrowy, coś dotąd ściśniętego w mojej piersi w końcu się rozluźniło.

– Załatwione – powiedział, przeczesując palcami granatowoczarne

włosy. – Dowiedzieliśmy się, czego trzeba. – Przygotowałam się na pozostawienie w niewiedzy lub na zdawkową informację, że wszystko zostanie załatwione, ale po chwili Rhys dodał: – Teraz to od ciebie, Feyro, zależy, ile o naszych metodach chcesz wiedzieć. Ile zdołasz przyjąć. To, co zrobiliśmy attorowi, przyjemne nie było.

– Chcę wiedzieć wszystko – powiedziałam. – Zabierz mnie tam.

– Attora nie ma w Velaris. Był w Wykutym Mieście, na Dworze Koszmarów, gdzie Azriel nie potrzebował nawet godziny, aby go złamać.

Czekałam na dalsze informacje, a Rhys – tak jakby rozważał, czy za chwilę się rozsypię – zbliżał się powoli, aż nie dzieliła nas nawet stopa zdobnego czerwonego dywanu. Jego buty, zwykle wypolerowane na wysoki połysk... tym razem były upstrzone srebrną krwią. Odezwał się dopiero, gdy spojrzałam mu w oczy.

– Pokażę ci.

Wiedziałam, co miał na myśli, więc zebrałam się w sobie, odcięłam od mrużącego ognia, butów i zimna krążącego wokół mojego serca. Błyskawicznie znalazłam się w przedsionku jego umysłu – kieszeni pamięci, którą wyciął dla mnie.

Ciemność przepływała przeze mnie, miękka i uwodzicielska, echo z otchłani potęgi tak wielkiej, że nie miała końca ani początku.

– *Powiedz mi, jak ją wyśledziłeś – zażądał Azriel cichym głosem, który złamał już wolę niezliczonych wrogów.*

Stałam – Rhys stał – ze skrzyżowanymi ramionami oparty o dalszą ścianę celi. Azriel przykucnął przy krześle na środku pomieszczenia, do którego przykuto łańcuchami attora. Kilka poziomów powyżej Dwór Koszmarów bawił się beztrosko, nieświadomy przybycia księcia.

Będę musiał ich niedługo odwiedzić. Przypomnieć im, kto trzymał drugi koniec ich smyczy.

Wkrótce. Ale nie dziś. Nie w dniu, w którym Feyra zdołała wykonać przeskok.

A do tego była wciąż niemiłosiernie na mnie wkurzona.

I nie bez powodu, jeśli miałbym być ze sobą szczery. Ale Azriel dowiedział się, że niewielki oddział wroga przedostał się na północ Prythianu, potwierdzając tym samym moje podejrzenia. Chcieli ją dostać w swoje ręce. Aby dopiec Tamlinowi albo mnie. A może na potrzeby jakichś swoich eksperymentów.

Attor zaśmiał się cicho.

– Król mnie powiadomił, że tam właśnie jesteście. Nie mam pojęcia, skąd wiedział. Dostałem rozkaz i poleciałem do muru tak szybko, jak tylko zdołałem.

Obnażony nóż Azriela balansował na kolanie Ilyra. Jego imię – Prawdomówca – wyryto na pochwie srebrnymi ilyryjskimi runami. Już zdążył się dowiedzieć, że attor z garstką innych stacjonował na skraju terytorium Ilyrów. Korciło mnie, żeby wrzucić tego stwora do jednego z obozów i zobaczyć, co Ilyrowie z nim zrobią.

Attor spojrzał na mnie oczami pałającymi nienawiścią. Zdążyłem już do tego przywyknąć.

– Powodzenia w próbie zatrzymania jej, książę.

– Czemuż to? – zapytał Azriel.

Inni często popełniali błąd, zakładając, że to Kasjan jest tym dzikszym. Tym, którego nie dało się oblaskawić. Ale on był jedynie porywczy – a jego temperament można było przetopić i przekuć. W Azrielu zaś tkwiła lodowa furia, której nigdy nie zdołałem stopić. Przez te wszystkie wspólnie spędzone wieki mówił niewiele o swoim życiu, o tych latach w twierdzy ojca, gdy tkwił zamknięty w ciemności. Może właśnie wtedy zyskał dar pieśniarza cieni, może nauczył się języka cieni, wiatru i kamienia. Jego przyrodni bracia nie byli szczególnie

otwarci. Wiedziałem to, bo ich znałem, pytałem ich o to i połamałem im nogi, gdy splunęli na Azriela.

Mogli później chodzić – po jakimś czasie.

– Myślisz, że nikt nie wie, że zabrałeś ją Tamlinowi? – zapytał attor.

Wiedziałem to już. To było aktualne zadanie Azriela: monitorować sytuację na Dworze Wiosny i czynić przygotowania do naszego ataku na Hybnię.

Ale Tamlin zamknął swoje granice – tak szczelnie, że niemożliwe było nawet przelecenie nad nimi nocą. Wszelkie uszy i oczy, jakimi Azriel niegdyś dysponował na tym dworze, ogłuchły i oślepyły.

– Król mógłby pomóc ci ją zatrzymać, mógłby rozważyć pozostawienie cię przy życiu, jeśli będziesz z nim współpracował...

Gdy attor mówił, przeszukiwałem jego umysł. Jedna myśl bardziej odrażająca od drugiej. Nawet nie wiedziałem, jak przedostałem się do środka, ale proszę: obrazy armii, którą stworzył, bliźniaczo podobnej do tej, z którą walczyłem pięć wieków temu; wybrzeży Hybni z niezliczonymi statkami gotowymi do ataku; króla rozpartego na tronie w sypiącym się zamku. Ani śladu Juriana ani Kotła. Ani jednego szeptu na temat Księgi. Attor powiedział samą prawdę. I nie miało to już żadnej wartości.

Az obejrzał się przez ramię. Attor powiedział im wszystko. Teraz tylko miał ozorem, żeby zyskać na czasie.

Odepchnąłem się od ściany.

– Połam mu nogi, poszarp skrzydła i wrzuć do morza nieopodal brzegów Hybni. Zobacz, czy przeżyje. – Attor zaczął się rzucać,

błagać. Zatrzymałem się przy drzwiach. – Pamiętam każdą chwilę. Powinieneś być wdzięczny, że pozwalałam ci żyć. Na razie.

Nie pozwoliłem sobie przywołać tych wspomnień spod Góry: mnie, innych... co to coś zrobiło tej ludzkiej dziewczynie, którą dałem Amarancie w miejsce Feyry. Nie pozwoliłem sobie przypomnieć, jak to było bić ją, dręczyć i torturować.

Mógłbym rozsmarować go po ścianach. Ale potrzebowałem, aby przesłał wiadomość, bardziej, niż pragnąłem zemsty.

Gdy wyszedłem z celi, attor już wrzeszczał pod pewnym ostrzem Prawdomówcy.

Na tym się skończyło. Zatoczyłam się do tyłu, zwijając się z powrotem do własnego ciała.

Tamlin zamknął granice.

– Co się dzieje na Dworze Wiosny?

– Nic. Na razie. Ale wiesz sama, do czego może się posunąć Tamlin, aby... chronić to, co uważa za swoje.

Przed oczami stanął mi obraz farby spływającej po ścianie zniszczonej pracowni.

– Powiniennem był wtedy wysłać Mor – powiedział złowieszczo Rhys.

Podniosłam w głowie mentalną tarczę. Nie miałam ochoty o tym rozmawiać.

– Dziękuję, że mi powiedziałaś – rzuciłam i wzięłam książkę oraz herbatę z zamiarem udania się do swojego pokoju.

– Feyro – powiedział. Nie zatrzymałam się. – Przepraszam... za zwodzenie cię wcześniej.

A to wpuszczenie mnie do jego umysłu... Czy to propozycja pokoju?

– Muszę napisać list – oznajmiłam.

List był krótki i prosty. Ale każde słowo wymagało bitwy myśli. Nie z powodu mojego niegdysiejszego analfabetyzmu. Nie, teraz już potrafiłam płynnie czytać i pisać.

To z powodu wiadomości, którą teraz czytał Rhys stojący w sieni:
Odeszłam z własnej woli.

Niczego mi nie brakuje i jestem bezpieczna. Jestem wdzięczna za wszystko, co dla mnie zrobiłeś, co mi dałeś.

Nie szukaj mnie. Nie wrócę.

Szybko złożył kartkę na dwoje i po chwili zniknęła.

– Jesteś pewna?

Może to pomoże uspokoić sytuację na Dworze Wiosny. Zerknęłam na okna za jego plecami. Mgła spowijająca miasto zniknęła, odsłaniając jasne bezchmurne niebo. Z jakiegoś powodu umysł miałam czysty, co się nie zdarzyło od wielu dni, wręcz miesięcy.

A tam czekało miasto, które ledwo co obejrzałam, ledwo co poznałam. Chciałam tego – życia, ludzi. Chciałam je zobaczyć, poczuć jego energię we krwi. Bez granic dla tego, co mogłam napotkać lub zrobić.

– Nie jestem niczyją maskotką – powiedziałam.

Rhys zamyślił się głęboko. Zastanawiałam się, czy pamiętał, że kiedyś, kiedy byłam zbyt zagubiona we własnym poczuciu winy i rozpacz, by to zrozumieć, powiedział mi to samo.

– Co dalej?

– Szczerze mówiąc, właściwie to rozważałem danie ci dnia odpoczynku...

– Nie niańcz mnie.

– Gdzieżbym śmiał. I naszego spotkania tego ranka nie nazwałbym odpoczynkiem. Wybacz, ale dokonuję ocen na podstawie twojego aktualnego stanu fizycznego.

– To ja będę decydowała, kiedy odpoczywam. Co z Księżą Tchnień?

– Kiedy Azriel wróci po załatwieniu sprawy z attorem, ma

wykorzystać swoje pozostałe umiejętności i przeniknąć na dwory królowych śmiertelników, aby dowiedzieć się, gdzie przechowują Księgę. I jakie mogą mieć plany. Co zaś się tyczy połowy znajdującej się w Prythianie... Za kilka dni udamy się na Dwór Lata, jeśli tylko moja prośba o gościnę zostanie przyjęta. Książęta odwiedzający inne dwory zawsze wprawiają wszystkich w nerwowy nastrój. Wtedy zajmiemy się Księgą.

Zamknął usta, bez wątpienia czekając, aż udam się na piętro, by uzalać się nad sobą i spać.

Dość – miałam już dość spania.

– Powiedziałeś mi, że to miasto lepiej jest oglądać nocą. To było tylko takie gadanie czy też kiedyś zachcesz mi je pokazać?

Zaśmiał się cicho i przyjrzał mi uważnie. Nie cofnęłam się pod jego spojrzeniem.

Gdy jego wzrok ponownie napotkał mój, na ustach miał uśmiech, który widywało niewielu. Szczerze rozbawienie – może nawet nieco szczęścia zabarwionego ulgą. Mężczyzna za maską księcia.

– Kolacja – powiedział. – Dziś wieczorem. Przekonamy się, droga Feyro, czy to było tylko takie gadanie, czy też naprawdę pozwolisz księciu Dworu Nocy oprowadzić się po mieście.

Przed kolacją do mojego pokoju przyszła Amrena. Najwyraźniej wszyscy dzisiaj zśliśmy na miasto.

Na dole Kasjan i Mor kłócili się o to, czy Kasjan szybciej poleci na krótkim dystansie, niż Mor przeskoczy w to samo miejsce. Założyłam, że Azriel jest gdzieś w pobliżu skryty w cieniach. Miałam nadzieję, że zdążył wypocząć po załatwieniu sprawy z attorem – i że wypocznie jeszcze trochę, zanim wyruszy do krain śmiertelników, aby szpiegować królowe.

Amrena przynajmniej tym razem zapukała, zanim weszła. Nuala i Cerridwena, które właśnie skończyły upinanie w moich włosach grzebieni z masy perłowej, spojrzały tylko na drobną kobietę i zniknęły w obłokach dymu.

– Płochliwe stworzenia – powiedziała Amrena z czerwonymi

ustami zaciśniętymi w okrutną linię. – Zjawy zawsze takie są.

– Zjawy? – Obróciłam się na siedzeniu przed toaletką. – Sądziłam, że są fae wysokiego rodu.

– W połowie – odparła Amrena, przyglądając się mojemu turkusowo-kobaltowo-białemu ubraniu. – Zjawy są istotami cienia i mgły. Potrafią przenikać ściany, kamień, co tylko wymyślisz. Nawet nie chcę wiedzieć, jak ta dwójka została spłodzona. Fae wysokiego rodu wsadzają swoje kutasy w co się tylko da.

Zakrztusiłam się czymś, co równie dobrze mogło być śmiechem jak kaszlem.

– Są dobrymi szpiegami.

– A jak myślisz, dlaczego w tej chwili szepczą Azrielowi do ucha, że tu jestem?

– Sądziłam, że odpowiadają przed Rhysem.

– Podlegają im obu, ale to Azriel pierwszy je szkolił.

– Czy szpiegują mnie?

– Nie. – Zmarszczyła brwi na widok luźnej nitki na swojej koszuli w kolorze deszczowej chmury. Długie do karku ciemne włosy zafalowały, gdy uniosła głowę. – Chociaż Rhys wielokrotnie im powtarzał, żeby tego nie robiły, to nie sędzę, żeby Azriel kiedykolwiek mi w pełni zaufał. Dlatego też donoszą mu o tym, co robię. I nie bez powodu.

– Dlaczego?

– A dlaczego nie? Byłabym rozczarowana, gdyby naczelny szpieg Rhysanda nie miał na mnie oka. Nawet wbrew rozkazom.

– Rhys nie karze go za sprzeciwianie się jego woli?

Jej srebrne oczy zajaśniały.

– Dwór Snów spoczywa na trzech podstawach: obronie, honorze i trosce. Oczekiwałaś nieokrzesej siły i posłuszeństwa? Wielu najwyższych oficjeli Rhysanda ma niewielką władzę lub nie ma jej wcale. On ceni lojalność, spryt i współczucie. A Azriel, pomimo swojej niesubordynacji, działa w interesie tego dworu i jego mieszkańców. Tak więc nie. Rhysand nie karze go za to. Są pewne zasady, ale dość elastyczne.

– A danina?

– Jaka danina?

Wstałam z niewielkiej ławki.

– Danina... podatki, jakkolwiek to zwiecie. Dwa razy do roku.

– Mamy podatki zbierane od mieszkańców miast, ale nie ma żadnej daniny. – Młasnęła z niesmakiem. – Chociaż księżę Dworu Wiosny takową pobiera.

Nie chciałam w ogóle o tym myśleć, jeszcze nie... nie po wysłaniu tego listu, który może nawet już dotarł. Sięgnęłam więc do niewielkiej szkatułki stojącej na toaletce i wyjęłam jej amulet.

– Proszę. – Podałam jej złotą broszę. – Dziękuję.

Amrena uniosła brwi, gdy bibelot znalazł się na jej wyciągniętej dłoni.

– Oddałaś ją.

– Nie wiedziałam, że to był sprawdzian.

Włożyła broszę z powrotem do szkatułki.

– Zachowaj to. Nie ma żadnych magicznych właściwości.

Zamrugałam.

– Okłamałaś mnie...

Wzruszyła ramionami i ruszyła w stronę drzwi.

– Znalazłam tę broszę na dnie mojej szkatułki z biżuterią.

Potrzebowałaś czegoś, w co mogłabyś wierzyć, że ma moc wydostania cię w razie czego z tego więzienia.

– Ale Rhys ciągle na nią zerkał...

– Ponieważ to on dał mi ją przed dwustu laty. Zapewne był zdziwiony, widząc ją ponownie, i zachodził w głowę, dlaczego ci ją dałam. Zapewne wręcz martwił się tym, dlaczego mogłabym ci ją dać.

Zacisnęłam zęby, ale Amrena już wychodziła na korytarz.

– Nie ma za co – rzuciła wesoło przez ramię.

Rozdział 29

Pomimo chłodnej nocy wszystkie sklepy w mieście były otwarte. Muzycy grali na niewielkich skwerach, Pałac Nici i Klejnotów był zatłoczony kupującymi i artystami, fae wszelkich rodzajów. Ale my poszliśmy dalej, w dół aż do samej rzeki, której nurt był tak gładki, że gwiazdy i miejskie światła zlewały się na ciemnej powierzchni wody w żywą wstęgę wieczności.

Moi towarzysze nie śpieszyli się. Szliśmy powolnym krokiem jednym z szerokich marmurowych mostów nad Sidrą. Często jedno z nich wysuwało się naprzód lub cofało, żeby pomówić z innym. Czarodziejskie światło padające z ozdobnych latarni rozwieszonych na obu brzegach mostu rzucało złociste cienie na skrzydła trzech mężczyzn i pozłacało szpony wieńczące każde z nich.

Tematy rozmów obejmowały osoby, które znali, rozgrywki i zespoły w sportach, o których nigdy nie słyszałam (najwyraźniej Amrena była zagorzałą, fanatyczną wręcz kibicką jedną z drużyn), nowe sklepy, muzykę, którą gdzieś zasłyszeli, ulubione lokale... Ani słowa na temat Hybernii czy zagrożeń, z którymi przyjdzie nam się zmierzyć – bez wątplenia w celu zachowania tajemnicy, ale miałam wrażenie, że też... nie chcieli, aby ten okropny, odrażający temat zakłócał im zabawę. Zachowywali się po prostu jak zwyczajni mieszkańcy miasta – nawet Rhys. Tak jakby nie byli najpotężniejszymi osobami na jego dworze, a może nawet w całym Prythianie. I nikt, absolutnie nikt napotkany na ulicach nie cofał się, nie bladł, nie uciekał.

Spoglądano na nich z podziwem, może z lekką rezerwą, ale... bez lęku. Było to tak niezwykle, że obserwowałam ich i ich świat w milczeniu. Normalność, o której zachowanie każde z nich tak zaciekle walczyło. Przeciwno której niegdyś się burzyłam, którą gardziłam.

Ale na całym świecie nie było drugiego miejsca takiego jak to. Tak spokojnego. Tak kochanego przez mieszkańców i władców pospołu.

Dzielnice na drugim brzegu były jeszcze bardziej zatłoczone. Mijaliśmy wielu elegancko ubranych mieszkańców zmierzających do licznych teatrów po drodze. Nigdy dotąd nie byłam w teatrze – nie widziałam żadnej sztuki czy koncertu. Do naszej zabitej dechami wsi

przybywali czasem w najlepszym wypadku komedianci i minstrele – w najgorszym zaś zastępy żebraków fałszujących na improwizowanych instrumentach.

Szliśmy nadrzecznym bulwarem, mijając sklepy i kawiarnie, z których dobiegała muzyka. Trzymałam się z tyłu, z dłońmi w rękawiczkach wetkniętymi w kieszenie grubego niebieskiego płaszcza i pomyślałam, że dźwięki tego miasta mogły być najpiękniejszą rzeczą, jaką kiedykolwiek słyszałam: gwar rozmów, szum rzeki, muzyka, brzęk sztuców o talerze, szuranie przesuwanych krzeseł, nawoływania handlarzy zachwalających swoje towary.

Ile mnie ominęło przez te wszystkie miesiące pograżania się w rozpacz i odrętwieniu?

Ale to już przeszłość. Teraz wibrowała we mnie esencja Velaris, a w rzadkich chwilach ciszy przysięgłabym, że słyszę szum morza, fal uderzających o odległe klify.

W końcu weszliśmy do niewielkiej knajpki nad rzeką na parterze dwukondygnacyjnego budynku. Cały lokal był udekorowany zielenią i złotem i ledwo pomieścił nas wszystkich. Wraz z trzema parami ilyryjskich skrzydeł.

Właścicielka ich знаła i pocałowała wszystkich w policzek, nawet Rhysanda. No, z wyjątkiem Amreny, przed którą się ukloniła, po czym wróciła do kuchni i poprosiła nas o zajęcie miejsc przy dużym stole stojącym częściowo wewnątrz, a częściowo na chodniku przed budynkiem. Gwiazdzista noc była rześka; wiatr poruszał liśćmi roślin doniczkowych rozstawionych pieczołowicie wzdłuż barierki nadrzecznego bulwaru. Bez wątpienia chronione były przed zimnem zaklęciami – tak jak ciepło lokalu chroniło przed chłodem nas i wszystkich pozostałych jedzących na otwartym powietrzu nad brzegiem rzeki.

Po jakimś czasie zaczęły się pojawiać półmiski z jedzeniem, wino i rozmowy; i tak oto spożywaliśmy kolację pod gwiazdami nad rzeką. Nigdy wcześniej nie jadłam takiego dania – było ciepłe, smaczne, sycące i pikantne. Czułam się, jakby wypełniało nie tylko mój żołądek, ale też tę dziurę ziejącą w mojej piersi.

Właścicielka – smukła kobieta o ciemnej skórze i uroczych

piwnych oczach – stała za moim krzesłem i rozmawiała z Rhysem o ostatniej dostawie przypraw, która niedawno dotarła do Pałaców.

– Handlarze mówią, że ceny mogą pójść w górę, księżę, zwłaszcza jeśli plotki o przebudzeniu Hybernii są prawdziwe.

Poczułam, jak uwaga wszystkich przy stole przesunęła się na nas, chociaż dalej rozmawiali między sobą.

Rhys odchylił się w swoim krześle i zakręcił winem w kielichu.

– Znajdziemy sposób na uniknięcie galopujących podwyżek cen.

– Niech się księżę nie kłopotce oczywiście – powiedziała właścicielka, wykręcając nieco palce. – Chodzi tylko o to... że to takie wspaniałe, mieć znów dostęp do takich przypraw. Teraz, kiedy... kiedy sprawy mają się już lepiej.

Rhys posłał jej łagodny uśmiech, który go odmłodził.

– To nie będzie dla mnie kłopot... za bardzo lubię twoją kuchnię.

Właścicielka lokalu jakby urosła, oblała się rumieńcem i spojrzała na mnie, na wpół obróconą na krześle, aby się jej przyjrzeć.

– Czy jedzenie pani smakuje?

Radość na jej twarzy, satysfakcja, jaką może przynieść tylko dzień ciężkiej pracy nad czymś, co kochasz robić, uderzyła mnie niczym obuchem.

Ja... pamiętałam to uczucie. Po malowaniu od świtu do nocy. Kiedyś było to wszystkim, czego pragnęłam. Spojrzałam na talerze i półmiski, potem znowu na nią.

– Mieszkałam w krainach śmiertelników – powiedziałam – i w innych dworach, ale nigdy dotąd nie jadłam czegoś podobnego. To jedzenie sprawia, że czuję się... jakbym się budziła ze snu.

Zabrzmiało to mniej więcej równie głupio, jak mi się wydawało, gdy wypowiadałam te słowa, ale nie znalazłam innego sposobu na wyrażenie swojego uznania. Jednak kobieta skinęła głową, jakby zrozumiała, co chciałam przekazać, i uściśnęła moje ramię.

– Zatem przyniosę specjalny deser – powiedziała i oddaliła się do kuchni.

Obróciłam się do mojego talerza i dostrzegłam, że Rhysand mi się przygląda. Siedział z lekko otwartymi ustami z wyrazem twarzy tak łagodnym i zamyślonym, jakiego jeszcze nigdy dotąd u niego nie

widziałam.

Uniosłam pytająco brwi. „Co?”

Uśmiechnął się zawadiacko i pochylił się, aby lepiej usłyszeć opowiadaną przez Mor historię o...

Zapomniałam, o czym mówiła, gdy właścicielka pojawiła się z powrotem z metalowym kielichem wypełnionym ciemnym płynem i postawiła go przed Amreną.

Kobieta będąca prawą ręką Rhysa nie tknęła niczego na talerzu, lecz jedynie przesuwała jedzenie widelcem, jakby naprawdę próbowała być uprzejma. Kiedy jednak zobaczyła stojący przed nią kielich, uniosła wysoko brwi.

– Nie musiaś tego robić.

Właścicielka lokalu obojętnie wzruszyła szczupłymi ramionami.

– Jest świeża i gorąca, a poza tym i tak potrzebowaliśmy tego stworzenia na jutrzejszą pieczeń.

Miałam okropne przeczucie, że dobrze się domyślałam, co jest w środku.

Amrena zakręciła ciepłym płynem, który chlupotał o ścianki naczynia niczym wino, po czym upiła niewielki łyk.

– Doskonale ją doprawiłaś.

Krew lśniła na jej zębach.

Nasza gospodyni złożyła ukłon.

– Nikt nie opuszcza mojego lokalu głodny – powiedziała, po czym odeszła.

Istotnie niemal poprosiłam Mor o wytoczenie mnie na bulwar, gdy skończyliśmy jeść i Rhys zapłacił rachunek pomimo protestów właścicielki lokalu. Moje ciało wyjękiwało podziękowania za mój wcześniejszy „trening” w lesie na południe od muru. W pewnym momencie posiłku wszystkie ścięgna i mięśnie, których użyłam do powalenia Rhysa na śnieg, zaczęły mnie boleć.

Gdy przystanęliśmy nad brzegiem rzeki, Mor pogładziła się leniwie po brzuchu.

– Chcę iść potańczyć. Nie zdołam zasnąć z tak pełnym żołądkiem. Rita jest niedaleko stąd.

Taniec. Moje ciało zajęczało w proteście i rozejrzałam się za

sprzymierzeńcem, który pomógłby mi odrzucić ten niedorzeczny pomysł.

Ale Azriel – *Azriel*, wpatrując się w Mor, powiedział:

– Jestem za.

– Jakżeby inaczej – mruknął Kasjan, patrząc na kompana spode łba. – Czy nie musisz ruszać bladym świtem?

Mor zmarszczyła czoło równie mocno jak Kasjan, tak jakby właśnie przypomniawszy sobie, dokąd i w jakim celu Ilyr jutro wyrusza.

– Nie musimy... – zwróciła się do Azriela.

– Ale ja chcę – odparł pieśniarz cieni i tak długo patrzył Mor prosto w oczy, aż ta odwróciła wzrok.

Kuzynka Rhysa obróciła się do Kasjana.

– Czy raczysz do nas dołączyć? – zapytała. – Czy też masz zamiar podziwiać swoje mięśnie w lustrze?

Kasjan parsknął, wziął ją pod ramię i powiodł w górę ulicy.

– Pójdę... ale się napić, głupia. Żadnych tańców.

– Dzięki niech będą Matce. Gdy ostatnim razem próbowałeś, niemal mi strzaskałeś stopę.

Ciężko było nie wpatrywać się w Azriela, który odprowadzał ich wzrokiem, gdy tak szli w górę stromej ulicy, ramię w ramię, na każdym kroku się sprzecząc. Cienie zebrały się przy jego ramionach, jakby istotnie szeptały mu do ucha, a może go chroniły. Szeroka klatka piersiowa uniosła się, po czym wypuścił głośno powietrze, rozpraszając cienie, i ruszył sprężystym krokiem za Kasjanem i Mor. A skoro Azriel szedł z nimi, wszelkie wymówki, jakich mogłabym spróbować...

Posłałam błagalne spojrzenie w stronę Amreny, ale ona gdzieś zniknęła.

– Odbiera więcej krwi na zapleczu, żeby zabrać ją do domu – powiedział mi do ucha Rhys. Niemal wyskoczyłam ze skóry. Jego chichot owiał ciepłem moją szyję. – A potem uda się prosto do swojego mieszkania, aby się delektować.

Starłam się nie drzeć, gdy się obróciłam do niego twarzą.

– Dlaczego krew?

– Nie wydaje mi się, aby było ładnie o to pytać.

Spojrzałam na niego spod zmarszczonych brwi.

– A ty idziesz tańczyć?

Zerknął nad moim ramieniem na swoich przyjaciół, którzy już prawie dotarli do końca stromej ulicy. Niektórzy przechodnie przystawali, aby ich pozdrowić.

– Wrócę do domu – powiedział Rhys. – To był długi dzień.

Mor odwróciła się w naszą stronę na szczycie wzniesienia. Jej fioletowe szaty unosiły się wokół niej na zimowym wietrze. Uniosła ciemnozłotą brew. Rhys pokręcił głową. Pomachała mu, po chwili krótko machnęli nam również Azriel i Kasjan, który został nieco z tyłu za Mor, aby porozmawiać ze swoim towarzyszem broni.

Rhys wskazał gestem drogę powrotną.

– Idziemy? Czy może jest ci zbyt zimno?

Picie krwi z Amreną na zapleczu restauracyjki wydało mi się bardziej atrakcyjną alternatywą, ale potrząsnęłam głową i ruszyłam obok niego wzdłuż rzeki w stronę mostu.

Spijałam miasto równie łapczywie, jak Amrena opróżniła kielich przyprawionej krwi. Niemal się potknęłam, gdy dostrzegłam błysk koloru na drugim brzegu.

Tęcza Velaris lśniła niczym garść klejnotów, niemal jakby farba pokrywająca ściany domów ożywała w blasku księżyca.

– To mój ulubiony widok w tym mieście – powiedział Rhys, zatrzymał się przy metalowej barierce ustawionej wzdłuż bulwaru i spojrzał w stronę dzielnicy artystów. – Moja siostra też go najbardziej lubiła. Ojciec wyciągał ją wierzgającą i wrzeszczącą z Velaris, tak bardzo je kochała.

Szukałam właściwej odpowiedzi na cichy żal pobrzmiewający w jego słowach. Ale jak bezmyślna idiotka zapytałam tylko:

– Dlaczego więc oba wasze domy są na tamtym brzegu?

Oparłam się o barierkę i przyglądałam odbiciu Tęczy falującemu na powierzchni rzeki niczym walczące z nurtem różnokolorowe ryby.

– Ponieważ wołałem zaciszną ulicę, abym mógł odwiedzać ten zgiełk, kiedykolwiek zechcę, i mieć spokojny dom, do którego mógłbym wracać.

– Mogłeś zwyczajnie przeprojektować miasto.

– A po cóż miałbym zmieniać tu choć jedną rzecz?

– Czy nie to właśnie robią książęta? – Mój oddech zamieniał się parą w mroźnym nocnym powietrzu. – Cokolwiek tylko zechcą?

Przyjrzał się uważnie mojej twarzy.

– Jest bardzo wiele rzeczy, które chciałbym zrobić, a jednak tego nie czynię.

Dopiero teraz zorientowałam się, jak blisko siebie stoimy.

– Zatem kiedy kupujesz biżuterię Amrenie, robisz to, żeby wkupić się w jej łaski, czy też dlatego, że... jesteście razem?

Rhys się zaśmiał.

– Kiedy byłem młody i głupi, zaprosiłem ją do mojego łóżka. Śmiała się tak długo, że aż ochrypła. Kupuję tę biżuterię, bo zwyczajnie lubię wręczać takie podarki przyjaciółce, która dla mnie ciężko pracuje i na której pomoc mogę liczyć, kiedy jej tylko potrzebuję. Wkupywanie się w jej łaski jest miłym dodatkiem.

Nic w jego słowach mnie nie zaskoczyło.

– I nigdy się nie ożeniłeś.

– Zbyt wiele pytań na jedną noc.

Wpatrywałam się w niego tak długo, aż westchnął zrezygnowany.

– Miewałem kochanki, ale nigdy nie czułem chęci zaproszenia którejś do dzielenia ze mną reszty życia. I jestem przekonany, że nawet gdybym złożył taką propozycję, wszystkie by odmówiły.

– Sądziłam, że raczej walczyłyby ze sobą o prawo poślubienia ciebie. Jak Iantha.

– Poślubienie mnie oznacza spędzenie reszty życia jako chodzący cel. A gdyby pojawiło się jakieś potomstwo, doszłaby do tego świadomość, że zabójcy polowaliby na nie od momentu poczęcia. Wszyscy wiedzą, co się przydarzyło mojej rodzinie, a mój lud wie, że inne dwory nas nienawidzą.

Wciąż nie znałam całej historii, ale mimo to zapytałam:

– Dlaczego? Dlaczego was nienawidzą? Czemu utrzymywać to miejsce w tajemnicy? Taka szkoda, że nikt o nim nie wie... o całym dobru, które tu robisz.

– Był czas, kiedy Dwór Nocy był cały jak Dwór Koszmarów, rządzony z Wykutego Miasta. Dawno temu. Ale pewien pradawny książę miał inną wizję i nie chcąc, aby świat postrzegał nasze ziemie

jako łatwy kąsek podczas zachodzących zmian, zamknął granice i zorganizował przewrót, wyeliminował najgorszych dworzan i najgroźniejsze drapieżniki, wybudował Velaris dla marzycieli, zapoczątkował handel i zaprowadził pokój.

Z oczu bił mu blask, tak jakby potrafił spojrzeć wstecz w czasie i to wszystko zobaczyć. Z jego niesamowitymi darami wcale by to mnie nie zdziwiło.

– Aby je uchronić ode złego – podjął swoją opowieść Rhys – utrzymywał je w tajemnicy i tak samo robiły jego dzieci i dzieci jego dzieci. Samo miasto jest obłożone wieloma zaklęciami: jego i jego następców. Dzięki nim kupcy nie mogą zdradzić naszych tajemnic innym, zyskują umiejętność opowiadania tak przekonujących kłamstw, że nikt nigdy nie poznał prawdziwego miejsca pochodzenia ich towarów czy okrętów. Krążą plotki, że ten pradawny książę utoczył własnej krwi na kamienie i rzekę, aby czar trwał wiecznie. Ale gdzieś po drodze, wbrew jego najlepszym zamierzeniom, ciemność ponownie zaczęła rosnać w siłę. Nie było tak źle jak kiedyś... Ale wystarczająco, aby spowodować trwałe rozłam na moim dworze. Pozwalamy światu widzieć tę drugą część, aby wzbudzała lęk – w ten sposób nigdy nie domyślą się istnienia tego miejsca. I godzimy się na dalsze istnienie Dworu Koszmarów, nieświadomego istnienia Velaris, ponieważ wiemy, że bez nich niektóre dwory i królestwa mogłyby na nas napaść. Mogliby wkroczyć w nasze granice i odkryć liczne sekrety, które przez tysiąclecia trzymaliśmy w ukryciu przed pozostałymi książętami i ich dworami.

– Czyli naprawdę nikt inny o tym nie wie? W pozostałych dworach?

– Ani jedna dusza. Nie znajdziesz tego miejsca na żadnej mapie, nie napotkasz najmniejszej wzmianki w żadnej księdze poza tymi spisanyymi tutaj. Może to jest strata dla nas, że miasto jest tak zamknięte i odseparowane od świata, ale... – Wskazał otaczające nas miasto. – Mój lud nie zdaje się zbyt cierpieć z tego powodu.

Istotnie tak było. Dzięki Rhysowi – i jego wewnętrznemu kręgowi.

– Martwisz się jutrzejszą podróżą Aza do krain śmiertelników?

Postukał palcem o barierkę.

– Oczywiście. Ale Azriel przedostawał się w miejsca o wiele

bardziej złowieszcze niż kilka ludzkich dworów. Uznałby moje zmartwienie za obelgę.

– Czy nie przeszkadza mu to, co robi? Nie mam na myśli szpiegowania. To, co zrobił dziś attorowi.

Rhys westchnął.

– Ciężko odgadnąć... a on sam nigdy mi tego nie powie. Widziałem na własne oczy, jak Kasjan rozrywał wrogów na strzępy, po czym długo wymiotował po zakończonej rzezi. Czasem nawet żałował zabitych. Ale Azriel... Kasjan próbuje, ja próbuję... ale chyba jedyną osobą, która potrafi wyciągnąć z niego przyznanie się do jakichkolwiek uczuć, jest Mor. I to tylko wtedy, kiedy nie będzie mu dawała spokoju tak długo, że nawet jego nieskończona cierpliwość się wyczerpie.

Uśmiechnęłam się lekko.

– Ale on i Mor... oni nigdy...?

– To pozostaje między nimi. I Kasjanem. Nie jestem na tyle głupi czy dość arogancki, aby się w to mieszać.

Ja z pewnością zostałamby za taką uznana, gdybym wetknęła nos w ich sprawy.

Szliśmy w milczeniu zatłoczonym mostem na drugi brzeg rzeki. Mięśnie mi drżały na sam widok stromych wzgórz dzielących nas od miejskiego domu Rhysanda.

Już miałam go ubłagać, aby poleciał tam ze mną, kiedy posłyszałam dźwięki muzyki dobiegające od strony jednej z restauracji.

Ręce opadły mi bezwładnie wzdłuż boków. Była to uproszczona wersja symfonii, którą słyszałam w zimnym lochu, kiedy byłam tak bliska pograżeniu się w strachu i rozpacz, że aż miałam halucynacje – a ta muzyka wlewała się do mojej celi... i uchroniła mnie przed ostatecznym rozklejeniem się.

I tym razem jej piękno uderzyło mnie, wielość jej warstw, zmiany tempa, wesołość i spokój.

Pod Górą nikt nigdy nie grał czegoś choćby trochę podobnego. A ja w swojej celi nigdy nie słyszałam muzyki – poza tym jednym razem.

– To ty – wyszeptałam, nie odrywając oczu od muzyków grających tak umiejętnie, że nawet spożywający swoje posiłki w pobliskich

kawiarniach odłożyli widelce. – To ty wysłałeś tę muzykę do mojej celi. Dlaczego?

– Bo byłaś na skraju poddania się – odparł zachrypniętym głosem Rhysand. – A ja nie potrafiłem znaleźć innego sposobu, aby cię uratować.

Muzyka wzbierała i zyskiwała na sile. W swoich halucynacjach widziałam pałac na niebie – miejsce między zmierzchem a świtem... dom wsparty na kolumnach z księżycowego kamienia.

– Widziałam Dwór Nocy.

Zerknął na mnie z ukosa.

– Nie wysyłałem ci jego obrazów.

Nie dbałem o to.

– Dziękuję. Za wszystko... co zrobiłeś. Wtedy... i teraz.

– Nawet po Tkaczce? Po dzisiejszym poranku i mojej pułapce na attora?

Rozdęłam nozdrza.

– Wszystko psujesz.

Rhys wyszczerzył zęby w uśmiechu, a ja nie zauważyłam, czy ktoś się nam przyglądał, gdy wsunął rękę pod moje kolana i wystrzeliliśmy w nocne niebo.

Mogłam się nauczyć to kochać – skonstatowałam. Latanie.

Czytałam w łóżku, wsłuchana w radosne trzaskanie ognia na grubych brzoźowych szczapach na drugim końcu pokoju. Gdy przewróciłam kolejną stronę, pomiędzy kartek wypadł kawałek papieru.

Rzuciłam okiem na kremową papeterię i charakter pisma, po czym usiadłam prosto.

Rhysand napisał:

Może i jestem bezwstydnym flirciarzem, ale przynajmniej nie mam paskudnego temperamentu. Powinnaś przyjść opatrzyć mi rany po naszej sprzeczce w śniegu. Przez Ciebie jestem cały w siniakach.

Coś stuknęło o stolik nocny i po wypolerowanym mahoniowym blacie potoczyło się pióro. Syknęłam, chwyciłam je i naskrobałam

w odpowiedzi:

Idź wylizać swoje rany i zostaw mnie w spokoju.

Kartka zniknęła.

Chwilę jej nie było – dużo dłużej, niż powinno mu zabrać napisanie tych kilku słów, które się na niej pojawiły, gdy wróciła do mnie.

Wolałbym, żebyś to Ty wylizala moje rany.

Gdy czytałam to zdanie raz po raz, serce zabiło mi mocniej, szybciej i szybciej, a żyłami popłynęło dziwne uczucie. Wyzwanie.

Zacisnęłam mocno wargi, żeby się nie uśmiechać, pisząc:

Gdzie dokładnie trzeba Cię polizać?

Papier zniknął, zanim zdążyłam dokończyć znak zapytania.

Ponownie długo kazał mi czekać na odpowiedź.

Gdziekolwiek mnie chcesz polizać, Feyro.

Chciałbym zacząć od „wszędzie”, ale jeśli zajdzie taka konieczność, mogę coś wybrać.

Odpisałam:

Miejmy nadzieję, że moje lizanie jest lepsze od Twojego. Pamiętam, jak fatalnie Ci to szło pod Górą.

Kłamstwo. Zlizał moje łzy, kiedy byłam o krok od rozpadnięcia się na kawałki.

Zrobił to, żeby odwrócić moją uwagę, żeby podsycić moją złość. Ponieważ to było lepsze niż nie czuć zupełnie nic. Ponieważ gniew i nienawiść były potężnym paliwem w nieskończonym mroku mojej rozpacz. Na tej samej zasadzie tamta muzyka nie pozwoliła mi się rozkleić.

Lucien przyszedł kilka razy opatrzyć moje rany, ale nikt nie zaryzykował tyle co on, żeby nie tylko utrzymać mnie przy życiu, ale też w jak najlepszym możliwym – zważywszy na okoliczności – stanie

psychicznym. Tak jak to robił przez ostatnich kilka tygodni – prowokując mnie, drażniąc się ze mną, aby tylko utrzymać pustkę w ryzach. Tak jak to robił teraz.

Pojawiła się nowa odpowiedź.

Działalem wtedy pod wpływem stresu. Jeśli chcesz, z ogromną przyjemnością dowiodę, że się mylisz. Słyszałem, że jestem bardzo, ale to bardzo dobry w lizaniu.

Ścisnęłam kolana i odpisałam:

Dobranoc.

Uderzenie serca później nadeszła odpowiedź:

Spróbuj nie jęczeć zbyt głośno, gdy będziesz o mnie śnić. Muszę się porządnie wyspać.

Wstałam, cisnęłam list w mamroczący ogień i wykonałam w jego stronę wulgarny gest.

Przysięgłabym, że korytarzem potoczył się wesoły śmiech.

Nie śniłam o Rhysie.

Śniłam o attorze, o jego pazurach na mojej skórze, ściskającym mnie, gdy byłam bita. Śniłam o jego syczącym śmiechu i odrażającym smrodzie.

Ale przespałam całą noc. Nie obudziłam się ani razu.

Rozdział 30

Może i przez większość czasu Kasjan zachowuje się zawadiacko i wulgarnie, ale popołudniem następnego dnia na ringu sparingowym na wykutym w skale podwórku na szczycie Domu Wiatru był zimnym niczym gład zabójcą.

I gdy te mordercze instynkty obrócił przeciwko mnie...

Pod skórzaną zbroją, nawet na tym mroźnym powietrzu, skórę miałam całą zlaną potem. Każdy oddech darł mi gardło, a ramiona drżały mi tak mocno, że za każdym razem, gdy próbowałam użyć choćby dłoni, mały palec zaczynał się niekontrolowanie trząść.

Przyglądałam mu się ruszającemu bez udziału mojej woli. Kasjan skrócił dystans i chwycił moją dłoń.

– To dlatego, że uderzasz niewłaściwymi knykциями – powiedział.
– Dwa górne, wskazujący i środkowy, to one powinny zadawać ciosy. Uderzanie tym... – tu postukał szorstkim palcem siną skórę między moimi palcami małym i serdecznym – ...spowoduje więcej bólu tobie niż przeciwnikowi. Masz szczęście, że attor nie miał ochoty na walkę na pięści.

Ćwiczyliśmy już od dobrej godziny, powtarzając podstawy walki wręcz. Jak się okazało, może i byłam dobra w łowiectwie i strzelaniu z łuku, ale w używaniu lewej ręki? Beznadziejna. Miałam koordynację nowo narodzonej sarenki stawiającej pierwsze kroki. Nie potrafiłam jednocześnie uderzyć lewą ręką i zrobić wykroku lewą nogą. Częściej wpadałam na Kasjana, niż go trafiałam. Ciosy prawą ręką – te były proste.

– Napij się – powiedział. – Potem popracujemy nad twoim tułowiem. Uczenie cię wyprowadzania ciosów nie ma najmniejszego sensu, jeśli nawet nie potrafisz utrzymać prawidłowej postawy.

Zmarszczyłam brwi i spojrzałam w kierunku drugiego ringu, z którego dobiegał szczeł stali.

Ku memu zaskoczeniu Azriel wrócił z krainy śmiertelników jeszcze przed drugim śniadaniem. Mor pierwsza go spotkała, ale dowiedziałam się od Rhysa, że natrafił na jakąś barierę wokół pałacu królowych i musiał wrócić i zastanowić się, co może w takiej sytuacji

zrobić.

U Azriela zastanawianie się najwyraźniej wymagało bycia ponurym, bo zaledwie się ze mną przywitał, z ponurą i napiętą miną ruszył na sparing z Rhysandem. Próbowali się już przez dobrą godzinę. Gdy tak krążyli wokół siebie, ich smukłe ostrza błyskały niczym krople rtęci. Zastanawiałam się, na ile chodziło o trening, a na ile Rhys chciał pomóc swojemu naczelnemu szpiegowi wyładować frustrację.

Od ostatniego razu, gdy na nich spojrzałam, pomimo słonecznego zimowego dnia, zdjęli skórzane kurty i koszule.

Ich opalone umięśnione ramiona były pokryte tatuażami wykonanymi w tym samym stylu co ten zdobiący moją dłoń i przedramię. Atrament płynął po ich barkach i pięknie wyrzeźbionych mięśniach klatki piersiowej. Wytatuowana linia biegła wzdłuż kręgosłupa między skrzydłami, tam gdzie zwykle nosili swoje miecze.

– Tatuuj nas po przejściu inicjacji ilyryjskiego wojownika, na szczęście i ku chwale na polu bitewnym – powiedział Kasjan, gdy podążył za moim wzrokiem.

Wątpiłam jednak, czy kontempluje tak jak ja resztę widoku: mięśnie brzucha lśniące od potu w jasnym słońcu, mocarne sploty na udach, naprężone mięśnie na grzbiecie otaczające te potężne piękne skrzydła.

„Śmierć na śmigłych skrzydłach”.

Przydomek pojawił się w mojej głowie znikąd i przez chwilę przed oczami stanął mi obraz, który namaluję: ciemność tych skrzydeł, lekko rozświetlona pasmami czerwieni i złota rzucanymi przez jaskrawe zimowe słońce, odblaski na ich ostrzach, surowość tatuaży kontrastująca z pięknem ich twarzy... Zamrugłam i obraz rozwiął się niczym obłok pary z ust w zimną noc.

Kasjan wskazał brodą swoich kompanów.

– Rhys wyszedł z wprawy i nie chce się do tego przyznać, ale Azriel jest zbyt uprzejmy, żeby go wsmarować w ziemię.

Rhys zdecydowanie nie wyglądał na kogoś, kto wyszedł z wprawy. Niech mnie w Kotle ugotują: co, na demony, oni jedli, żeby tak wyglądać?

Kolana mi zadrżały, gdy podeszłam do stołka, na którym Kasjan

postawił dzban wody i dwie szklanice. Nalałam sobie; mały palec znowu zaczął mi drgać mimowolnie.

Olśniło mnie, że mój tatuaż składał się z ilyryjskich oznaczeń. Może to był specyficzny sposób Rhysa na życzenie mi powodzenia i chwały w starciu z Amaranthą.

Powodzenie i chwała. Nie wzgardziłabym obecnie odrobiną jednego i drugiego.

Kasjan nalał sobie wody do drugiej szklanicy i stuknął się ze mną w geście tak nieprzystającym do bezwzględnego trenera, który ledwie chwilę temu uczył mnie wyprowadzać ciosy, kazał uderzać w rękawice treningowe i nie pozwalał paść na ziemię, by błagać o szybką śmierć. Do mężczyzny, który ścierał się słownie z moją siostrą, nie mogąc się oprzeć jej duchowi stali i ognia.

– No – powiedział między kolejnymi łapczywymi łykami Kasjan. Za nami Rhys i Azriel starli się, odskoczyli, po czym starli ponownie. – Kiedy masz zamiar opowiedzieć mi, jak to napisałaś list do Tamlina, że zostawiłaś go na dobre?

To pytanie zdało mi się tak zjadliwe, że wypaliłam bez zastanowienia:

– A kiedy ty masz zamiar opowiedzieć mi, jak to prowokujesz Mor i droczysz się z nią, aby ukryć swoje prawdziwe uczucia do niej?

Nie miałam wątpliwości, że doskonale zdawał sobie sprawę z roli, jaką odgrywał w ich niewielkiej splątanej sieci.

Rytmiczny chrzęst żwiru pod butami i szczęk stali za naszymi plecami urwały się, po czym rozległy na nowo.

Kasjan zaśmiał się chrapliwie i nieco niepewnie.

– Stare dzieje.

– Mam przecucie, że ona zapewne to samo mówi o tobie.

– Wracaj na ring – zakomenderował Kasjan, odstawiając pustą szklanicę. – Pomijamy ćwiczenia tułowia. Same pięści. Chcesz się odszczekiwać, to poprzyj swoje słowa walką.

Ale pytanie, które mi zadał, hulało mi w głowie. „Zostawiłaś go na dobre, zostawiłaś go na dobre, zostawiłaś go na dobre”.

Tak robiłam – tak chciałam. Ale nie wiedząc, co on myślał, czy w ogóle dbał o mnie na tyle, żeby... Nie, wiedziałam, że dbał o mnie.

Pewnie wpadł w szal i zdemolował swoją rezydencję.

Jeśli na samo wspomnienie o tym, że się duszę, zniszczył swój gabinet, to coś takiego... Bałam się tych wybuchów szału. A przecież łączyła nas miłość – kochałam go tak głęboko, tak mocno, ale...

– Rhys ci powiedział? – zapytałam.

Kasjan był na tyle mądry, aby wyglądać na nieco zaniepokojonego wyrazem mojej twarzy.

– Powiadomił Azriela, który... nadzoruje różne sprawy i musi wiedzieć takie rzeczy. To Az mi powiedział.

– Zakładam, że podczas pijaństwa i tańców.

Dopiłam wodę do końca i wróciłam na ring.

– Hej – powiedział Kasjan, łapiąc mnie za ramię. Jego piwne oczy były dziś bardziej zielone niż brązowe. – Przepraszam. Nie chciałem ci dopiec. Az zdradził mi to tylko dlatego, że ja mu powiedziałem, że muszę to wiedzieć dla dobra moich żołnierzy; żeby wiedzieć, czego oczekiwać. Żaden z nas... nie uważamy tego za dowcip. Ta decyzja na pewno nie była łatwa. Podejrzewam, że wręcz cholernie trudna. To, co powiedziałem, było tylko moim głównianym sposobem na przekonanie się, czy potrzebujesz o tym porozmawiać. Przepraszam – powtórzył i puścił moją rękę.

Nieskładne słowa, szczerłość bijąca mu z oczu... Kiwnęłam głową i wróciłam na swoje miejsce na ringu.

– W porządku.

Chociaż Rhysand dalej walczył z Azrielem, przysięgłabym, że oczy miał utkwione we mnie – odkąd tylko Kasjan zadał to pytanie.

Mój dzisiejszy instruktor wsunął dłonie w rękawice treningowe i uniósł przed sobą.

– Trzydzieści podwójnych uderzeń, potem czterdzieści, potem pięćdziesiąt.

Skrzywiłam się na niego, po czym owinęłam dłonie bandażami.

– Nie odpowiedziałaś na moje pytanie – powiedział z niepewnym uśmiechem, którego jego żołnierze czy inni Ilyrowie chyba nigdy nie widzieli.

To była miłość i wszystko czułam naprawdę – szczęście, pożądanie, spokój... Ja to wszystko czułam. Kiedyś.

Ustawiłam nogi na godzinę piątą i uniosłam dłonie do twarzy.
Ale może jednocześnie te uczucia mnie oślepiły.

Może były kocem zarzuconym na głowę, przez który nie dostrzegałam jego porywczosci. Potrzeby kontrolowania, potrzeby chronienia tak silnej, że zamknął mnie w swoim domu. Jak więźnia.

– Wszystko ze mną w porządku – powiedziałam, zrobiłam wypad i wyprowadziłam cios lewą ręką.

Płynnie, gładko jak jedwab, jakby moje nieśmiertelne ciało w końcu złapało rytm.

Moja pięść trafiła z impetem w rękawicę Kasjana. Cofnęłam ją błyskawicznie jak wąż i uderzyłam prawą, skręcając bark i biodra.

– Raz – policzył Kasjan. Uderzyłam ponownie, jeden cios i drugi. – Dwa. I w porządku jest dobre; w porządku jest świetne.

I jeszcze raz, jeszcze raz, jeszcze raz.

Oboje wiedzieliśmy, że „w porządku” było kłamstwem.

Zrobiłam wszystko – *wszystko* dla tej miłości. Rozszarpałam się na strzępy, zabiłam niewinnych, upokorzyłam się, a on tylko *siedział* na tym tronie obok Amaranthy. I nic nie mógł zrobić, nie zaryzykował... nie zaryzykował złapania, aż została tylko jedna noc, a jedyne, co on chciał zrobić, to nie uwolnić mnie, lecz mnie przelecieć, a...

I jeszcze raz, jeszcze raz, jeszcze raz. Raz, dwa. Raz, dwa. Raz, dwa.

A kiedy Amarantha mnie zabiła, kiedy połamała mi kości i zagotowała mi krew w żyłach, on tylko padł na kolana i ją błagał. Nie próbował jej zabić, nie pełzył do mnie. Owszem, walczył o mnie – ale ja o niego walczyłam bardziej.

I jeszcze raz, i jeszcze raz, i jeszcze. Każde uderzenie pięści o rękawicę było pytaniem i odpowiedzią.

A kiedy odzyskał wszystkie swoje moce, miał czelność wrzucić mnie do klatki. Miał *czelność* powiedzieć mi, że nie jestem już przydatna. Że mam żyć w zamknięciu dla *jego* spokoju. Dał mi wszystko, czego potrzebowałam, żeby stać się sobą, żeby czuć się bezpiecznie, a kiedy dostał to, czego on chciał – kiedy odzyskał swoją moc, swoje ziemie... przestał się starać. Wciąż był dobry, wciąż był Tamlinem, ale był zwyczajnie... nie dla mnie.

I oto byłam ja, łkająca przez zaciśnięte zęby, lzy przemywały tę ropiejącą ranę, a ja nie dbałam o to, że widzi mnie Kasjan czy Rhys, czy Azriel.

Szczęk stali ustał.

Wtedy moja pięść uderzyła w nagą skórę i zorientowałam się, że przebiłam rękawicę na wylot – nie, nie przebiłam: *wypaliłam...*

I ja też się zatrzymałam.

Po bandażach na moich dłoniach pozostały jedynie smugi sadzy. Dłonie Kasjana pozostawały wciąż uniesione przede mną, gotowe przyjąć kolejny cios, jeślibym go potrzebowała.

– Nic mi nie jest – powiedział cicho. Łagodnie.

I może byłam wyczerpana i zdruzgotana, ale mimo to wyszeptałam:

– Zabiłam ich.

Nie wypowiedziałam tych słów na głos, odkąd to się stało.

Kasjan zacisnął usta.

– Wiem.

Nie potępienie, nie pochwała. Tylko ponure zrozumienie.

Ręce opadły mi bezwładnie, gdy kolejny wstrząsający szloch przedzierał się przeze mnie.

– Ja powinnam wtedy zginąć.

I oto nadeszła.

Stałam tam – pod bezchmurnym niebem, z zimowym słońcem grzejącym mi głowę, wokół mnie nic poza nagą skałą, żadnych cieni, w których mogłabym się ukryć, nic, czego mogłabym się chwycić... Oto nadeszła.

Ciemność nadpłynęła, kojąca delikatna ciemność – nie, to był cień – i śliskie od potu nagie ciało zatrzymało się przede mną. Delikatne palce uniosły moją twarz za brodę, zmuszając do uniesienia wzroku... na twarz Rhysanda.

Owinał nas skrzydłami, zamknął jak w kokonie. Promienie słońca malowały membranę na złoto i czerwono. Poza nami, na zewnątrz, w innym świecie – może – ponownie rozległ się szczęk stali o stal; Kasjan rozpoczął sparing z Azrielem.

– Będiesz się tak czuła każdego dnia do końca swojego życia –

powiedział Rhysand.

Tak blisko. Czułam zapach jego potu, a pod nim morsko-cytrusową woń oddechu. Oczy miał łagodne. Spróbowałam odwrócić wzrok, ale trzymał mnie mocno.

– A wiem to, bo czuję się tak każdego dnia, odkąd zabito moją matkę i siostrę, odkąd musiałem je pogrzebać sam. Nawet dokonanie zemsty tego nie zmieniło. – Otarł łzy z jednego policzka, potem z drugiego. – Możesz albo pozwolić temu cię zniszczyć, dać się zabić, jak to niemal miało miejsce u Tkaczki, albo możesz się nauczyć z tym żyć.

Przez długą chwilę tylko wpatrywałam się w szczerą, spokojną twarz – może to było jego prawdziwe oblicze pod wszystkimi maskami, jakie zakładał, aby zapewnić bezpieczeństwo swojemu ludowi.

– Przykro mi – wychrypiałam. – Z powodu twojej rodziny.

– Przepraszam, że nie zdołałem znaleźć sposobu na uchronienie cię od tego, co się wydarzyło pod Górą – powiedział równie cicho Rhys. – Od śmierci. Od *pragnienia* śmierci. – Zaczęłam kręcić głową, ale on dodał: – Dręczą mnie dwa rodzaje koszmarów: te, w których ponownie jestem dziwką Amaranthy, a moje miejsce zajmują moi przyjaciele... I te, w których słyszę, jak pęka twój kręgosłup, i widzę, jak światło znika z twoich oczu.

Słyszając tembr jego głębokiego, dźwięcznego głosu, nie potrafiłam zdobyć się na żadną odpowiedź. Przyjrzałam się zatem tatuażom pokrywającym jego pierś i ramiona, lśnieniu jego opalanej skóry, tak złotej teraz, kiedy nie był już uwięziony w trzewiach góry.

Skończyłam ich studiowanie, gdy dotarłam do mięśni wchodzących pod pasek jego skórzanych spodni. Uniosłam dłoń do oczu i poruszyłam palcami. Skórę miałam wciąż ciepłą od żaru, który przepalił rękawice Kasjana.

– Ach – powiedział Rhys, z wdziękiem składając skrzydła za plecami. – To.

Zmrużyłam oczy od nagłej powodzi słonecznego blasku.

– Dwór Jesieni, prawda?

Ujął moją dłoń i przyjrzał się jej. Cała była poznaczona siniakami z treningu.

– Owszem. Dar od księcia Berona.

Ojca Luciena. Lucien... zastanowiłam się, co on z tego wszystkiego rozumie. Czy tęskni za mną? Czy Iantha dalej go... prześladowuje?

Kasjan i Azriel wciąż ćwiczili, starając się usilnie nie sprawiać wrażenia, że nas podsłuchują.

– Nie jestem zbyt dobrze obeznany z zawiłościami darów pozostałych książąt – powiedział Rhys – ale możemy je odkrywać. Dzień po dniu, jeśli będzie trzeba.

– Jeśli jesteś najpotężniejszym księciem w historii... czy to znaczy, że kropla otrzymana od ciebie ma większe znaczenie niż dary pozostałych?

Dlaczego zdołałam wedrzeć się do jego głowy tamtym razem?

– Spróbuj. – Skinął na mnie brodą. – Spróbuj przywołać ciemność. Nie będę cię prosił o przeskoczenie – dodał z szerokim uśmiechem.

– Nawet nie wiem, jak to zrobiłam.

– Wyraź wolę jej zaistnienia.

Wbiłam w niego beznamiętne spojrzenie.

Wzruszył ramionami.

– Spróbuj pomyśleć o mnie. O tym, jaki jestem przystojny, jaki utalentowany...

– Jaki zarozumiały.

– O tym też.

Skrzyżował ramiona na nagim torsie. Od tego ruchu mięśnie brzucha załśniły w słońcu.

– Tak przy okazji założyłbyś koszulę – rzuciłam z przekąsem.

Uśmiechnął się miękko i drapieźnie.

– Czy wprawiam cię w zakłopotanie?

– Dziwię się, że w tym domu nie ma więcej luster, skoro zdajesz się tak kochać podziwiać swój wygląd.

Azriel dostał napadu kaszlu. Kasjan tylko się odwrócił, zasłaniając usta ręką.

Wargi Rhysa drgnęły.

– Oto Feyra, którą uwielbiam.

Skrzywiłam się, ale zamknęłam oczy i spróbowałam wejrzeć

w głąb siebie, w dowolny mroczny zakątek, jaki tylko uda mi się znaleźć. Było ich zbyt wiele.

Zdecydowanie zbyt wiele.

A teraz, w tej chwili każdy zawierał list, który napisałam wczoraj.

Pożegnanie.

Dla własnego zdrowia psychicznego, dla własnego bezpieczeństwa...

– Są różne rodzaje ciemności – powiedział Rhys. Nie otworzyłam oczu. – Jest ciemność, która przeraża; ciemność, która koi; ciemność, która daje odpoczynek. – Wyobraziłam sobie każdą z nich. – Jest ciemność kochanków i ciemność skrytobójców. Staje się tym, czym jej nosiciel chce, żeby się stała; czym potrzebuje, żeby się stała. Sama z siebie nie jest ani zła, ani dobra.

Widziałam tylko ciemność tej celi w lochach. Ciemność siedliska Rzeźbiącego w Kościach.

Kasjan zaklął, ale Azriel wymamrotał ciche słowa wyzwania i ich ostrza znów się zderzyły.

– Otwórz oczy.

Otworzyłam.

Wszędzie wokół mnie była ciemność. Nie moja – Rhysa. Tak jakby ring został zmieciony, jakby świat miał się dopiero zacząć.

Cisza.

Spokój.

Ukojenie.

Światła zaczęły migotać – małe gwiazdy, rozkwitające kwiaty błękitu, fioletu i bieli. Sięgnęłam ku jednemu z nich i na czubkach moich palców zatańczyło światło gwiazd. Gdzieś daleko, może w innym świecie, Azriel i Kasjan ścierali się w mroku, ćwicząc reakcje.

Przesunęłam gwiazdę między palcami jak iluzjonista monetę. Tu – w tej kojącej, roziskrzonych ciemności – spokojny oddech wypełnił mi płuca.

Nie pamiętałam, kiedy po raz ostatni to zrobiłam. Kiedy ostatnio oddychałam bez trudu.

Potem ciemność pękła i rozplynęła się szybciej niż dym na wietrze. Mrugałam intensywnie, by przyzwyczać się na powrót do jasnego

słońca, cały czas z uniesioną dłonią. Rhys stał naprzeciw mnie.

Nadal bez koszuli.

– Możemy popracować nad tym później. A teraz... – Pociągnął nosem. – Idź się wykąpać.

Pokazałam mu szczególnie wulgarny gest i poprosiłam Kasjana, żeby poleciał ze mną do domu.

Rozdział 31

Nie tańcz tak na samych palcach – strofował mnie Kasjan cztery dni później w wyjątkowo ciepłe popołudnie spędzane na ringu. – Stopy pewnie na ziemi, sztylety w górze. Patrz mi prosto w oczy. Gdybyś była w ogniu walki, ten manewr skończyłby się twoją śmiercią.

Czyszcząca paznokcie na szezlongu Amrena parsknęła.

– Usłyszała to za pierwszymi dziesięcioma razami, kiedy jej to mówiłeś.

– Gadaj tak dalej, a zaciągnę cię tu na ring i zobaczymy, ile tak naprawdę ostatnio ćwiczyłaś.

Amrena tylko dalej dłubała pod paznokciami. Maleńką kością, jak dostrzegłam.

– Dotknij mnie, Kasjanie, a pozbawię cię twojej ulubionej części ciała. Jakkolwiek mała by była.

Zachichotał pod nosem.

Stojąc tak między nimi na ringu na szczycie Domu Wiatru ze sztyletami w obu dłoniach, z potem spływającym po ciele, zastanawiałam się, czy zdołałabym jakoś się wymknąć. Może mogłabym przeskoczyć – chociaż od tamtego poranka na ziemiach ludzi nie zdołałam tego zrobić ponownie mimo wielokrotnych prób podejmowanych ukradkiem w sypialni.

Cztery dni mordęgi: trenowania z nim, a potem ćwiczeń z Rhysem – kolejnych prób przywołania ognia lub ciemności. Nie zaskoczyło mnie, że większe postępy czyniłam z tym pierwszym.

Nie dostaliśmy jeszcze odpowiedzi z Dworu Lata. Ani z Dworu Wiosny w sprawie mojego listu. Nie mogłam się zdecydować, czy to dobrze, czy źle. Azriel nadal próbował zinfiltrować dwory ludzkich królowych, tym razem poprzez swoją siatkę szpiegowską. To, że jeszcze mu się to nie udało, sprawiło, że był bardziej małomówny niż zwykle, chłodniejszy.

Amrena oderwała na chwilę srebrne oczy od swoich dłoni.

– Dobrze. Możesz się z nią pobawić.

– Pobawić z kim? – zapytała Mor, wyłaniając się z cieni klatki schodowej.

Kasjan rozdał nozdrza z wściekłości.

– Gdzie poszłaś wczoraj? – zapytał Mor, nawet nie skinąwszy jej głową na powitanie. – Nie widziałem, żebyś wychodziła od Rity.

Ich ulubiony lokal na pijaństwo i swawole.

Zaciągnęli mnie tam dwa dni temu. Większość czasu spędziłam na siedzeniu w zacisznej wnęce, nieśpiesznym popijaniu wina, rozmowach o muzyce z Azrielem, który przybył w ponurym nastroju, ale niechętnie zgodził się dołączyć do obserwowania Rhysa zawiadującego barem. Kobiety i mężczyźni z całej sali przyglądali się księciu, a my z pieśniarzem cieni obstawialiśmy, kto zdobędzie się na śmiałość i zaprosi Rhysanda do domu.

Nie zdziwiłam się zbytnio, gdy Az wygrał wszystkie zakłady. Ale przynajmniej pod koniec zabawy uśmiechał się – ku zachwytowi Mor, która dotoczyła się do naszego stolika, aby wciągnąć kolejny puchar alkoholu przed powrotem na parkiet.

Rhys odrzucał wszystkie propozycje, niezależnie od tego, jak piękne kobiety mu je składały, jak szeroko się uśmiechały i jak dźwięcznie się śmiały. Za każdym razem uprzejmie odmawiał – uprzejmie, ale zdecydowanie.

Czy był z kimkolwiek od czasu Amaranthy? Czy po Amarancie w ogóle *pragnął* kogokolwiek w swoim łóżku? Nawet wino nie dało mi dość odwagi, aby zapytać o to Azriela.

Mor, jak się zdawało, chadzała do lokalu Rity częściej niż pozostali. W zasadzie niemal tam mieszkała. Zbyła pytanie Kasjana wzruszeniem ramion. Na dziedzińcu pojawił się drugi szezlong, podobny do tego, na którym leżała Amrena.

– Po prostu... wyszłam – powiedziała, opadając na siedzenie.

– Z kim? – naciskał Kasjan.

– O ile nic się nie zmieniło – powiedziała Mor, rozpierając się wygodnie – to nie masz prawa mi rozkazywać, Kasjanie, a ja nie muszę ci się spowiadać. Zatem to, gdzie byłam i z kim, nie jest twoją cholerną sprawą.

– Azrielowi też nie powiedziałaś.

Zastanowiłam się nad znaczeniem tych słów, nad sztywnymi ramionami Kasjana. Tak, między nim a Mor zdecydowanie było jakieś

napięcie, z którego wynikały te ciągle sprzeczki, ale... może... być może Kasjan akceptował rolę bufora nie po to, żeby ich rozdzielać, lecz po to, by uchronić pieśniarza cieni przed zranieniem. Przed byciem „starymi dziejami”, jak on sam powiedział.

Kasjan w końcu przypomniał sobie, że stoję tuż przed nim; zauważył, że ich wymiana zdań nie umknęła mojej uwadze, i posłał mi ostrzegawcze spojrzenie.

Niech mu będzie.

Wzruszyłam ramionami i powoli odłożyłam sztylety, żeby uspokoić oddech. Przez krótką chwilę zapragnęłam, aby była tu Nesta, choćby po to, żeby zobaczyć, jak *oni* sobie skaczą do gardeł. Nie mieliśmy żadnych wieści od moich sióstr – ani od królowych śmiertelników. Zastanawiałam się, kiedy pošlemy kolejny list albo spróbujemy innego podejścia.

– Dlaczego tak właściwie – zwrócił się Kasjan do Amreny i Mor, nawet nie próbując mówić uprzejmie – drogie *panie*, jesteście tutaj?

Mor zamknęła oczy i odchyliła głowę do tyłu, wystawiając opaloną twarz ku słońcu z tym samym lekceważeniem, przed którym może Kasjan chciał uchronić Azriela – a może i sama Mor starała się nie wystawiać Azriela na swoje zachowanie.

– Za parę chwil zjawi się tu Rhys, żeby przekazać nam jakieś wieści. Amrena ci nie powiedziała?

– Zapomniałam – powiedziała wciąż zajęta czyszczeniem paznokci Amrena. – Zbyt dobrze się bawiłam, obserwując Feyrę unikającą słynnych sztuczek Kasjana, którymi zmusza innych do robienia tego, co on chce.

Kasjan uniósł brwi.

– Byłaś tu przez całą godzinę.

– Ojej – bąknęła Amrena.

Kasjan wyrzucił ręce w górę.

– Rusz tyłek i daj mi tu dwadzieścia ciosów...

Złowrogi, nieziemski warkot nie dał mu dokończyć zdania.

Wtedy właśnie Rhys wyszedł z klatki schodowej i nie mogłam się zdecydować, czy powinnam czuć ulgę, czy rozczarowanie z powodu nagłego przerwania starcia Kasjana z Amreną.

Książę zamiast żołnierskiej skóry wdział na siebie swój dworski strój, a skrzydła miał ukryte. Rhys spojrział na Kasjana i Amrenę, na mnie, na odłożone na ziemię sztylety.

– Wybaczcie, że przerywam, gdy sprawy najwyraźniej zaczynały przybierać ciekawy obrót – powiedział.

– Na szczęście dla jaj Kasjana – rzuciła Amrena, kładąc się wygodnie na swoim szezlongu – przybyłeś w samą porę.

Kasjan warknął na nią bez przekonania.

Rhys zaśmiał się głośno.

– Gotowe na letnie wczasowanie?

– Dostałeś zaproszenie z Dworu Lata? – zapytała Mor.

– Oczywiście. Feyra, Amrena i ja ruszamy jutro.

Tylko nasza trójka? Kasjan zdawał się zastanawiać nad tym samym. Jego skrzydła zaszeleściły, gdy skrzyżował ramiona i stanął z Rhysem twarzą w twarz.

– Dwór Lata jest pełny porywczych durniów i aroganckich złamasów – powiedział. – Powinienem wam towarzyszyć.

– Doskonale byś się wpasował – zauważyła z przekąsem Amrena.
– Szkoda, że mimo to zostajesz tutaj.

Kasjan wyciągnął w jej stronę wyprostowany palec.

– Uważaj no, Amreno.

Wyszczrzyła zęby w szelmowskim uśmiechu.

– Wierz mi, ja też wołałabym zostać.

Zacisnęłam usta, aby powstrzymać się od uśmiechu albo skrzywienia – nie byłam pewna, co pchało się na moją twarz.

Rhys potarł skronie.

– Kasjanie. Zważywszy na to, że twoja ostatnia wizyta tam nie skończyła się dobrze...

– Zdemolowałem *tylko jeden* budynek...

– A *także* – nie dał mu skończyć Rhys – ponieważ wszyscy tam bezgranicznie się boją słodkiej Amreny, zdecydowałem się postawić na nią.

Nie wiedziałam, czy na całym świecie znalazłaby się choć jedna osoba, która by się jej nie bała.

– To równie dobrze może być pułapka – nie dawał za wygraną

Kasjan. – Skąd wiesz, czy zwłoka w przysłaniu odpowiedzi nie wynikała z tego, że porozumiewali się z naszymi wrogami, aby zastawić na ciebie pułapkę?

– To jest *drugi* powód, dla którego zabieram ze sobą Amrenę – odparł niezrażony Rhys.

Amrena zmarszczyła czoło – znudzona i poirytowana.

– Ponadto Dwór Lata kryje olbrzymie skarby – powiedział aż nazbyt swobodnie Rhys. – Jeśli Księga jest ukryta, Amreno, możesz znaleźć inne rzeczy, które przypadną ci do gustu.

– No żeż w mordę – jęknął Kasjan, ponownie wyrzucając ramiona w górę. – Serio, Rhys? Już wykradanie im Księgi jest dość podłe, a zwykły rabunek...

– Rhysand ma rację – weszła mu w słowo Amrena. – Ich ksiązę jest młody i niedoświadczony. Wątpię, żeby miał czas na skatalogowanie odziedziczonego skarbcza, odkąd objął swój urząd pod Górą. Wątpię, czy się w ogóle zorientuje, że coś zniknęło. W porządku, Rhysandzie. Wchodzę w to.

Istotnie nie była lepsza od ognistego smoka siedzącego na górze złota w swojej jaskini. Mor rzuciła mi ukradkowe spojrzenie mówiące to samo, co sama pomyślałam. Zacisnęłam zęby i przełknęłam ślinę, żeby nie zachichotać.

Kasjan chciał dalej oponować, ale Rhys powiedział cicho:

– Będę potrzebował ciebie, nie Amreny, w krainach ludzi. Masz dożywotni zakaz wstępu na Dwór Lata i chociaż twoja obecność byłaby doskonałym odwróceniem uwagi od tego, co musi zrobić Feyra, mogłaby spowodować większe kłopoty, niż to byłoby warte.

Zesztywniałam. Przypomniałam sobie, co ja muszę zrobić, czyli zlokalizować tę całą Księgę Tchnień i ją wykraść. Feyra Wyzwolicielka... i złodziejka.

– Uzbrój się w cierpliwość, Kasjanie – dodała Amrena z nieco nieobecny wzrokiem; z pewnością wyobrażała sobie, jakie to skarby będzie mogła wykraść z Dworu Lata. – Poradzimy sobie bez twojego zadzierania nosa i warczenia na wszystkich. Ich ksiązę jest winien Rhysowi przysługę za ocalenie jego życia pod Górą... i za dochowanie jego tajemnicy.

Skrzydła Kasjana zadrżały, ale wtedy wtrąciła się Mor:

– Do tego księżę zapewne chce się zorientować, jakie zajmujemy stanowisko wobec ewentualnego przyszłego konfliktu.

Skrzydła Kasjana uspokoiły się. Wskazał mnie brodą.

– Ale Feyra. Trzymać ją tu to jedno, nawet jeśli wszyscy o tym wiedzą. Ale zabrać ją do innego dworu i przedstawić jako jedną z nas...

Chodziło mu o to, jak to zrozumie Tamlin. Tak jakby mój list nie wystarczył.

Ale Rhys nie miał ochoty na dalszą dyskusję. Skinął głową Amrenie i ruszył w stronę łukowato sklepionego wyjścia z dziedzińca. Kasjan postąpił krok naprzód, ale Mor uniosła dłoń.

– Opuść – mruknęła.

Kasjan spojrzał na nią gniewnie, ale posłuchał.

Uznałam to za okazję, aby pójść za Rhysem. Ciepła ciemność we wnętrzu Domu Wiatru początkowo mnie oślepiła. Moje nieśmiertelne oczy szybko przyzwyczyły się do mroku, ale przez pierwsze kroki wąskim korytarzem podążałam za Rhysem na pamięć.

– Powinnam wiedzieć o jakichś jeszcze innych pułapkach przed jutrem? – powiedziałam do jego pleców.

Rhys zerknął przez ramię i zatrzymał się na podeście schodów.

– A już wnosilem po twoich liścikach tamtej nocy, że mi wybaczylaś.

Spojrzałam na jego płuśmiech, na pierś, której lizanie mogłam zasugerować i na którą starałam się nie patrzeć przez ostatnie cztery dni, i zatrzymałam się w bezpiecznej odległości od niego.

– Można by pomyśleć, że księżę fae miałby ważniejsze sprawy na głowie niż przesyłanie liścików nocą.

– Owszem, mam ważniejsze sprawy – zamruczał – ale nie mogę oprzeć się tej pokusie. Tak samo jak ty nie możesz się oprzeć pragnieniu obserwowania mnie, kiedy gdzieś jesteśmy. Jesteś taka zaborcza.

Zaschło mi nieco w ustach. Ale... flirtowanie z nim, droczenie się... Było proste. I przyjemne.

Może zasługiwałam na to.

Pokonałam dzielący nas dystans i zwinnie go minęłam.

– Zdaje się, że to ty nie potrafiłeś mnie odstąpić od Calanmai –

rzuciłam mimochodem.

W jego oczach zafalowało coś, czego nie potrafiłam nazwać.
Pstryknął mnie w nos – wystarczająco mocno, abym syknęła i odtrąciła jego dłoń.

– Nie mogę się doczekać, aby się przekonać, czego twój cięty
języczek dokona na Dworze Lata – powiedział z wzrokiem utkwionym
w moich ustach, po czym rozpląnął się w cieniu.

Rozdział 32

Koniec końców tylko Amrena i ja dołączyliśmy do Rhysa. Kasjan nie zdołał przekonać księcia, Azriel wciąż nadzorował swoich szpiegów i badał możliwości w krainach ludzi, a Mor dostała za zadanie strzeżenie Velaris. Rhys miał nas przetrzucić bezpośrednio do Adriaty – miasta-zamku Dworu Lata – gdzie mieliśmy zostać tak długo, jak będzie trzeba, żebym wykryła i wykradła pierwszą połowę Księgi.

Jako najnowsza maskotka Rhysa miałam być oprowadzana po mieście i rezydencji księcia. Jeśli nam się poszczęści, nikt się nie zorientuje, że piesek kanapowy Rhysa jest w istocie jego ogarem.

Kamuflaż był wprost idealny.

Następnego dnia Rhys i Amrena stali w sieni domu w mieście. Jasne promienie porannego słońca wlewały się do środka przez okna i tworzyły kałuże światła na zdobnym dywanie. Amrena miała na sobie swoje zwyczajowe szare ubranie – luźne spodnie sięgające tuż pod pępek i obszerną bluzkę odsłaniającą jedynie niewielki skrawek skóry na brzuchu. Powabna jak spokojne morze pod pochmurnym niebem.

Rhys był odziany od stóp do głów w czerń akcentowaną srebrną nicią – bez skrzydeł. Chłodny i kulturalny mężczyzna, jak przy naszym pierwszym spotkaniu. Jego ulubiona maska.

Dla siebie wybrałam powłóczystą liliową suknię, której wielowarstwowa spódnica powiewała w podmuchach fantomowego wiatru poniżej zdobiącego moją talię pasa wysadzanego srebrem i perłami. Dopasowane kolorem haftowane rozkwitające nocą srebrne kwiaty wspinały się od rąbka spódnicy do moich ud. Kilka kolejnych lśniło splecionych na fałdach materiału na moich barkach. Idealna suknia na ciepły Dwór Lata.

Materiał zaszeleścił cicho, gdy pokonywałam ostatnie dwa stopnie schodów prowadzących do sieni. Rhys omiótł mnie powłóczystym, niemożliwym do odczytania spojrzeniem – od srebrnych pantofli do częściowo upiętych na głowie włosów. Nuala poskręcała pasemka opadające na ramiona w miękkie, sprężyste loki podkreślające złotawy odcień moich włosów.

– Dobrze – powiedział krótko Rhys. – Ruszajmy.

Już otwierałam usta, kiedy Amrena pośpieszyła z wyjaśnieniami z szerokim drapieżnym uśmiechem:

– Jest dzisiaj rozdrażniony.

– Dlaczego? – zapytałam, przyglądając się, jak Amrena ujmuje Rhysa za dłoń; jej delikatne palce wydawały się maleńkie w zestawieniu z jego palcami.

Drugą rękę wyciągnął w moją stronę.

– Ponieważ – odpowiedział zamiast niej Rhys – siedziałem z Kasjanem i Azrielem do późna w nocy i ograli mnie równo w karty.

– Nie umiesz przegrywać? – powiedziałam i ścisnęłam jego dłoń.

Stwardnienia na jego skórze otarły się o moje – jedyne przypomnienie, że pod tym ubraniem, za tą fasadą krył się doskonale wyszkolony wojownik.

– Tylko kiedy moi bracia zmagają się przeciwko mnie – wymamrotał.

Ani słowem nas nie ostrzegł, tylko od razu pomknęliśmy na nocnym wietrze, po czym...

Mrużyłam oczy przed jaskrawym słońcem odbijającym się od turkusowej powierzchni morza, usiłując jednocześnie zapanować nad reakcją ciała na nagły atak suchego i dusznego powietrza, ciężkiego do zniesienia nawet mimo chłodnej bryzy wiejącej od wody.

Zamrugałam kilkakrotnie i była to jedyna reakcja na otoczenie, jaką pozwoliłam sobie okazać, wyrывая dłoń z uścisku Rhysa.

Staliśmy na jakiejś platformie u podnóża pałacu zbudowanego z żółtawego kamienia. Całość znajdowała się na szczycie góry wyrastającej wprost z morza na środku zatoki w kształcie półksiężyca. Miasto spływało w dół od pałacu, po stokach góry, ku skrzącemu się morzu. Wszystkie budynki wzniesiono z takiego samego kamienia lub błyszczącego białego budulca przypominającego koral lub perły. Nad licznymi wieżyczkami, na tle bezchmurnego nieba latały mewy mające za towarzystwo jedynie niesione lekkim wiatrem słone powietrze i gwar miasta pod nimi.

Ruchliwą wyspę z otaczającym ją z trzech stron lądem łączyły różnorodne mosty. Jeden z nich był właśnie podnoszony, aby przepuścić okręt o wielu masztach. Dokoła pływało więcej statków, niż mogłam

zliczyć – kupieckie, rybackie, niektóre służące chyba do przewozu ludzi z wyspy-miasta na stały ląd, którego strome brzegi były zatłoczone jeszcze większą liczbą budynków i mieszkańców.

Takich jak szóstka stojąca przed nami w otwartych wrotach z morskiego szkła prowadzących do wnętrza pałacu. Z tarasu, na którym staliśmy, nie było możliwości ucieczki – żadnej drogi poza przeskoczeniem z powrotem... albo przejściem przez te wrota. Albo też, jak skonstatowałam, można było skoczyć na czerwone dachy domów sto stóp pod nami.

– Witajcie w Adriacie – powiedział wysoki mężczyzna stojący pośrodku czekającej na nas grupki.

Znałam go – pamiętałam go.

Ale nie ze wspomnień. Już wcześniej przypominałam sobie, że przystojny książę Dworu Lata miał opaloną na brązowo skórę, białe włosy i oczy w niesamowitym turkusowym odcieniu błękitu. Przywołałam też wspomnienie, że był zmuszony przyglądać się, jak Rhysand wdziera się do umysłu jego dworzanina i potem gasi płomień jego życia. Kiedy Rhysand skłamał Amarancie na temat tego, co kryły myśli nieszczęśnika, i oszczędził czekającemu nas mężczyźnie losu gorszego chyba od śmierci.

Nie... teraz pamiętałam księcia Dworu Lata w sposób, którego nie potrafiłam wyjaśnić, tak jakby jakaś część mnie wiedziała, że pochodzi od niego, stąd. Jakby jakiś fragment mojego ciała mówił: „Pamiętam, pamiętam, pamiętam. Jesteśmy tym samym, ty i ja”.

– Dobrze cię znów widzieć, Tarquinie – powiedział leniwym głosem Rhys.

Piątka fae towarzyszących księciu Dworu Lata wymieniła mniej lub bardziej zaniepokojone spojrzenia. Podobnie jak ich książę mieli ciemną skórę, włosy zaś w odcieniach od bieli po srebro, tak jakby całe swoje życie spędzili pod tym jasnym słońcem. Ich oczy za to mieniły się wszystkimi możliwymi barwami. I wodzili nimi między mną a Amreną.

Rhys wsunął dłoń do kieszeni i drugą ręką wskazał Amrenę.

– Amrenę, jak sądzę, znasz. Choć nie spotkałeś jej od swojego... awansu.

Chłodna, skalkulowana uprzejmość, ostra jak stalowe ostrze.

Tarquin skinął Amrenie tak zdawkowo, jak się tylko dało.

– Witaj ponownie w mym mieście, pani.

Amrena nie skinęła głową, nie ukloniła się, nawet nie dygnęła. Omiotła wzrokiem Tarquina, wysokiego i muskularnego, ubranego w szaty w barwach morskiej zieleni, błękitu i złota.

– Przynajmniej jesteś dużo przystojniejszy od swojego kuzyna – powiedziała. – Na niego aż przykro było patrzeć.

Jedna z kobiet stojących za Tarquinem wręcz wybałuszyła na Amrenę oczy. Ta tylko rozciągnęła szeroko czerwone wargi.

– Moje kondolencje oczywiście – dodała ze szczerością węża.

Nikczemni, okrutni – tacy byli Amrena i Rhys... Taka *ja* miałam być dla naszych gospodarzy.

Książę Dworu Nocy wskazał mnie.

– Nie wydaje mi się, aby wasza dwójka została sobie formalnie przedstawiona pod Górą. Tarquinie, Feyra. Feyro, Tarquin.

Żadnej tytułatury – albo żeby ich zirytować, albo ponieważ Rhys uważał wymawianie tytułów za marnowanie oddechu.

Tarquin utkwiał we mnie spojrzenie swoich oszalamiająco kryształowo czysto błękitnych oczu.

„Pamiętam cię, pamiętam cię, pamiętam cię”.

Książę Dworu Lata się nie uśmiechnął.

Zachowałam obojętną, lekko znudzoną minę.

Przesunął wzrok na moją pierś, na skórę odsłoniętą głęboko wyciętym dekoltem sukni, tak jakby potrafił dostrzec miejsce, gdzie podążyła tamta iskra życia, jego moc.

Rhys podążył za jego spojrzeniem.

– Jej biust *istotnie* jest wspaniały, przyznasz? Dwa pyszne jędrne jabłka.

Zwalczyłam chęć skrzywienia się i spojrzałam na niego równie bezczelnie, jak on patrzył na mnie, na innych.

– No proszę, a ja myślałam, że jesteś zafascynowany moimi ustami.

Oczy Rhysa rozświetliło pełne zachwyty zdziwienie, które jednak zniknęło równie szybko, jak się pojawiło.

Oboje ponownie skierowaliśmy wzrok na naszych gospodarzy,

cały czas zachowujących kamienne twarze i sztywno wyprostowanych.

Tarquin zdawał się oceniać stosunki między moimi towarzyszami a mną.

– Wygląda na to, że masz o czym opowiadać – powiedział ostrożnie.

– Mamy wiele do opowiedzenia – stwierdził Rhys i wskazał brodą szklane wrota za nimi. – Może zatem usiądziemy gdzieś wygodnie?

Kobieta stojąca o pół kroku za Tarquinem przesunęła się o cal do przodu.

– Mamy przygotowane napoje i przekąski.

Tarquin sprawiał wrażenie, jakby dopiero sobie o niej przypomniał.

– Kresejda, księżniczka Adriaty – przedstawił ją, kładąc dłoń na jej szczupłym ramieniu.

Władczyni jego stolicy... czy małżonka? Na żadnym z ich palców nie widziałam pierścienia, a także nie przypominałam jej sobie spod Góry. Długie srebrne włosy poruszane łagodną bryzą muskały ładną twarz. Bystry błysk w jej piwnych oczach zdradzał kryjącą się za nimi ostrą jak brzytwa przebiegłość.

– To prawdziwa przyjemność – wymruczała chrapliwie pod moim adresem. – I zaszczyt.

Śniadanie zmieniło mi się w brzuchu w ołów, ale nie pozwoliłam jej dostrzec tego, jak na mnie wpłynęło jej podlizywanie się; mogłaby tego użyć przeciwko mnie. Zamiast tego uraczyłam ją najlepszą imitacją Rhysandowego wzruszenia ramionami, na jaką mnie było stać.

– Cała przyjemność po mojej stronie, księżniczko.

Pozostali zostali szybko przedstawieni: trójka doradców nadzorujących miasto, dwór i handel. Na koniec został przystojny mężczyzna o szerokich ramionach imieniem Varian, młodszy brat Kresejdy, kapitan gwardii Tarquina, książę Adriaty. Całą jego uwagę pochłaniała Amrena – tak jakby wiedział, skąd należy się spodziewać największego zagrożenia. Zapewne by ją z przyjemnością zabił, gdyby tylko miał taką okazję.

Przez krótki czas naszej znajomości nigdy nie widziałam Amreny bardziej zadowolonej.

Wprowadzono nas do pałacu pełnego korytarzy i sal o ścianach

wykładanych muszlami, niezliczonych okien wyglądających na zatokę, stały ląd i otwarte morze. Kandelabry z morskiego szkła chwiały się na ciepłej bryzie nad bulgoczącymi strumieniami i fontannami wypełnionymi wodą pitną. Wszędzie dokoła krzątali się fae wysokiego rodu – służba i dworzanie – w większości ciemnoskórzy, odziani w luźne szaty w jasnych barwach. Wszyscy byli zdecydowanie zbyt zajęci własnymi sprawami, aby poświęcić nam uwagę czy wręcz zauważyć naszą obecność. Przez całą drogę przez pałac nie napotkaliśmy pomniejszych fae – ani jednego.

Trzymałam się o krok za Rhysandem idącym obok Tarquina. Swoją potężną moc trzymał na uwięzi, przyćmioną. Pozostała siódemka podążała za nami. Amrena trzymała się na długość ramienia ode mnie. Zastanawiałam się, czy miała być moim ochroniarzem. Tarquin i Rhys prowadzili niezobowiązującą rozmowę na temat nadchodzącego pomniejszego święta Nynsar, na którym oba dwory zaprezentują kwiaty rosnące na ich ziemiach. Obaj już sprawiali wrażenie znudzonych.

Wkrótce potem będzie Calanmai.

Poczułam nieprzyjemne uczucie w brzuchu. Jeśli Tamlin jest zdecydowany kontynuować tradycję, a mnie przy nim nie będzie... Nie pozwalałam sobie wybiegać myślami tak daleko w przyszłość. To nie byłoby w porządku. Wobec mnie... i wobec niego.

– Na naszych ziemiach są cztery duże miasta – zwrócił się do mnie Tarquin, oglądając się przez muskularne ramię. – Ostatni miesiąc zimy i pierwsze miesiące wiosny spędzamy w Adriacie, która o tej porze roku prezentuje się najpiękniej.

Istotnie, pomyślałam, przy trwającym wiecznie lecie nie ma żadnych ograniczeń w sposobie spędzania wolnego czasu. Na łonie natury, nad morzem, w mieście pod gwiazdami... Kiwnęłam głową.

– Jest bardzo piękna.

Tarquin długo mi się przyglądał. Milczenie przerwał Rhys:

– Naprawy przebiegają pomyślnie, jak rozumiem.

Tym przyciągnął z powrotem uwagę Tarquina.

– W większości. Wciąż jest dużo do zrobienia. Tylna część zamku jest w ruinie. Ale jak sam widzisz, wykończyliśmy większość wnętrza. W pierwszej kolejności skoncentrowaliśmy się na mieście i tam naprawy

wciąż trwają.

Amarantha zniszczyła miasto?

– Mam nadzieję, że podczas okupacji nie straciliście żadnych wartościowych rzeczy – powiedział Rhys.

– Żadnych z tych najważniejszych, dzięki niech będą Matce – odparł Tarquin.

Idąca za mną Kresejda zeszywniała. Trójka doradców odłączyła się od nas, by zająć się swoimi zadaniami, mrużąc pod nosem słowa pożegnania i posyłając Tarquinowi zaniepokojone spojrzenia. Tak jakby to był pierwszy raz, kiedy musi kogoś gościć, a oni baczyli na każdy jego ruch.

Posłał im uśmiech, który nie odbił się w jego oczach, i przez resztę drogi zachowywał milczenie. W końcu dotarliśmy do łukowato sklepionego pomieszczenia wyłożonego białym dębem i zielonym szkłem z oknami wychodzącymi na wejście do zatoki i ciągnące się po horyzont morze.

Nigdy wcześniej nie widziałam wody o tak intensywnych barwach. Zieleń, kobalt, granat nocnego nieba. Na krótką chwilę przed oczami stanęła mi paleta z farbami – niebieską, żółtą, białą i czarną – których mogłabym potrzebować do namalowania tego...

– To mój ulubiony widok – powiedział stojący obok mnie Tarquin.

Zdałam sobie sprawę, że podeszłam do dużych okien, podczas gdy pozostali usiedli dokoła stołu z masy perłowej. Kilkoro służących nakładało na talerze przed nimi owoce, jakieś liście i duszone skorupiaki.

– Musisz być bardzo dumny – powiedziałam – z tak pięknych ziem.

Oczy Tarquina – tak bardzo przypominające morze za moimi plecami – przesunęły się na mnie.

– Jak się prezentują w porównaniu z tymi, które widziałas wcześniej?

Cóż za ostrożnie sformułowane pytanie.

– Wszystko w Prythianie jest cudowne w porównaniu ze śmiertelnymi krainami – odparłam bezbarwnym głosem.

– A czy bycie nieśmiertelną jest bardziej cudowne niż bycie człowiekiem?

Czułam, że uwaga wszystkich jest skupiona na nas dwojgu, mimo że Rhys wdał się z Kresejdą i Varianem w nudną i podszytą nerwowością dyskusję o stanie ich rynków rybnych. Zlustrowałam księcia Dworu Lata od stóp do głów, tak jak on wcześniej, bezczelnie i bez krzty uprzejmości.

– Ty mi powiedz.

Tarquin zmrużył oczy.

– Jesteś perłą. Chociaż wiedziałem to już w dniu, w którym cisnęłaś tą kością w Amaranthę i pobrudziłaś błotem jej ulubioną suknię. Odcięłam się od tych wspomnień, od grozy tej pierwszej próby.

Co sądził o tej nici między nami? Czy zdawał sobie sprawę z tego, że to była jego moc, czy też brał to za swego rodzaju więź, jakiś dziwny powab?

A jeśli miałam mu coś ukraść... może musiałam się do niego zbliżyć.

– Nie pamiętam, żebyś był taki przystojny pod Górą. Słońce i morze ci służą.

Przeciętny mężczyzna mógłby to kupić. Ale Tarquin wiedział lepiej – był świadomy, że byłam z Tamlinem, a teraz jestem z Rhysem, który zabrał mnie tu ze sobą. Może miał o mnie mniemanie nie lepsze niż Iantha.

– Jaką właściwie zajmujesz pozycję na dworze Rhysanda?

Bezpośrednie pytanie po serii zawołanych – bez wątpienia obliczone na zabicie mnie z pantałyku.

Niemal mu się udało, niemal przyznałam, że nie wiem, ale odpowiedzi udzielił siedzący przy stole Rhys, tak jakby słyszał każde słowo:

– Feyra należy do mojego wewnętrznego kręgu. I jest moją emisariuszką do krain śmiertelników.

– Czy utrzymujesz intensywne kontakty z ludźmi? – zapytała siedząca obok niego Kresejda.

Uznałam to za zaproszenie, aby usiąść i uciec spod zbyt świdrującego spojrzenia Tarquina. Pozostawiono dla mnie miejsce przy Amrenie, naprzeciwko Rhysa.

Księżę Dworu Nocy powąchał wino – białe, musujące.

Zastanowiłam się, czy próbował ich wyprowadzić z równowagi sugestią, że może być zatrute.

– Wolę być przygotowany na każdą ewentualność – powiedział. – A ponieważ Hybernia zdecydowała się być utrapieniem, nawiązanie dialogu z ludźmi może leżeć w naszym najlepszym interesie.

Varian przeniósł uwagę z Amreny na Rhysa.

– Zatem to już potwierdzone? – zapytał ostro. – Hybernia szykuje się do wojny.

– Już skończyła się szykować – wycedził Rhys, po czym w końcu napił się wina.

Amrena nawet nie skosztowała jedzenia na talerzu przed nią, chociaż swoim zwyczajem przesuwiała je widelcem w tę i we w tę. Zastanawiałam się, co – kogo – będzie jadła podczas naszego pobytu tutaj. Varian zdawał się dobrym kandydatem.

– Wojna wybuchnie wkrótce.

– Tak, wspomniałeś o tym w swoim liście – powiedział Tarquin, siadając u szczytu stołu między Rhysem a Amreną.

Odważne posunięcie: usiąść między dwiema tak potężnymi istotami. Arogancja czy próba ocieplenia stosunków? Tarquin przeniósł spojrzenie na mnie, po czym skupił się na księciu Dworu Nocy.

– Wiesz, że przeciwko Hyberni na pewno będziemy walczyć. Straciliśmy dość naszych dobrych poddanych pod Górą. Nie mamy najmniejszej ochoty ponownie stać się niewolnikami. Ale jeśli przybywasz tu prosić mnie, bym walczył u twojego boku w innej wojnie, Rhysandzie...

– Nie ma takiej możliwości – wszedł mu płynnie w słowo Rhys – i nawet przez myśl mi to nie przeszło.

Musiałam po sobie pokazać chwilową konsternację, ponieważ Kresejda zwróciła się do mnie przesadnie poufałym głosem:

– Książęta toczyli wojny z dużo błahszych powodów, moja droga. Wybuch konfliktu z powodu tak *niezwykłej* kobiety nie byłby niczym dziwnym.

Dlatego zapewne zgodzili się zaprosić Rhysanda – żeby nas wybadać.

Jeśli... jeśli Tamlin rozpętałby wojnę, żeby mnie odzyskać. Nie.

Nie, to nie mogło wchodzić w rachubę.

Napisałam do niego, poinformowałam go, żeby trzymał się ode mnie z daleka. A on nie był na tyle głupi, żeby zaczynać wojnę, której nie mógł wygrać. Nie w sytuacji, gdy nie walczyłby przeciwko innym fae wysokiego rodu, a musiałby stawić czoła ilyryjskim wojownikom prowadzonym przez Kasjana i Azriela. To byłaby rzeź.

Dlatego też odpowiedziałam jej znudzonym, bezbarwnym tonem:

– Nie rób sobie zbyt wielkich nadziei, księżniczko. Książę Wiosny nie ma zamiaru ruszać na wojnę z Dworem Nocy.

– Zatem utrzymujesz kontakt z Tamlinem? – zapytała z przesłodzonym uśmiechem.

Kolejne słowa wypowiedziałam cicho i powoli. Jednocześnie też uznałam, że okradnę ich bez najmniejszych skrupułów.

– Są pewne rzeczy, które są wiedzą powszechną, i są też takie, które do niej nie należą. Mój związek z nim jest znany wszystkim. Jednak jego aktualny stan nie jest czymś, co powinno cię obchodzić. Czy też kogokolwiek innego. Ale znam Tamlina i wiem, że nie będzie żadnej wojny domowej między dworami, a przynajmniej nie z powodu mnie czy *moich* decyzji.

– Cóż za ulga – stwierdziła Kresejda, po czym upiła niewielki łyk wina i odłamała spore, różowo-biało-pomarańczowe szczypce kraba. – Wiedzieć, że nie udzielamy schronienia wykradzonej pannie młodej. I że nie musimy się przejmować zwróceniem tejże jej panu, jak nakazuje prawo. Tak jak uczyniłaby każda mądra osoba, żeby utrzymać kłopoty z dala od swojego progu.

Amrena całkowicie znieruchomiała.

– Odeszłam z własnej woli – oznajmiłam. – I nikt nie jest moim panem.

Kresejda wzruszyła ramionami.

– Możesz myśleć, co chcesz, moja pani, ale prawo jest prawem. Jesteś... byłaś jego narzeczoną. Złożenie przysięgi wierności innemu księciu tego nie zmienia. Zatem bardzo dobrze się składa, że szanuje twoją decyzję. W przeciwnym razie wystarczyłby jeden list wysłany do Tarquina z żądaniem zwrócenia mu cię, a on musiałby to zrobić. Albo ryzykować wojnę.

Rhysand westchnął.

– Jak zwykle jesteś duszą towarzystwa, Kresejdo.

– Uważaj, księżę – wtrącił się Varian. – Moja siostra mówi prawdę.

Tarquin położył dłoń na jasnym stole.

– Rhysand jest naszym gościem. Jego dworzanie są naszymi gośćmi. I tak będziemy ich traktować. Tak, Kresejdo, jak traktujemy tych, którzy ocalili nas w czasie, kiedy wystarczyłoby jedno słowo z ich ust, żebyśmy byli bardzo, bardzo martwi.

Tarquin przyjrzał się mi i Rhysandowi – który przywdział maskę całkowitego braku zainteresowania.

Księżę Dworu Lata pokręcił głową i zwrócił się do Rhysa:

– Mamy jeszcze wiele rzeczy do omówienia, ale to później. Dziś urządzam przyjęcie dla was wszystkich na mojej osobistej barce na wodach zatoki. Potem możecie swobodnie zwiedzać całe miasto. Wybaczcie jego księżniczce, jeśli jest nazbyt opiekuńcza względem swojego ludu. Odbudowa w minionych miesiącach była dla wszystkich ciężką pracą. Nie chcielibyśmy tego powtarzać w najbliższej przyszłości.

Oczy Kresejdy zasnuł cień jakiejś udręki.

– Kresejda wiele poświęciła dla naszych poddanych – dodał łagodnym głosem Tarquin, zwracając się wprost do mnie. – Nie bierz jej ostrzeżeń do serca.

– Wszyscy wiele poświęciliśmy – powiedział Rhysand, a jego lodowate znużenie zmieniło się w coś bardzo ostrego. – A ty siedzisz tu teraz ze swoją rodziną dzięki poświęceniu Feyry. Zatem wybacz, Tarquinie, jeśli oznajmię twojej księżniczce, że jeśli powiadomi Tamlina o jej obecności tutaj albo jeśli ktokolwiek z waszego dworu spróbuje zabrać ją do niego, zapłaci za to życiem.

Nawet morska bryza zamarła.

– Nie groź mi w moim własnym domu, Rhysandzie – przerwał ciszę Tarquin. – Moja wdzięczność ma swoje granice.

– To nie była groźba – odparował Rhys, a krabie szczypcę na jego talerzu pękły skruszone niewidzialnymi rękami – lecz obietnica.

Wszyscy spojrzeli na mnie, wyczekując mojej odpowiedzi.

Uniosłam więc kielich wina, spojrzałam wszystkim po kolei w oczy, najdłużej zatrzymując wzrok na Tarquinie.

– Nic dziwnego, że nieśmiertelność nigdy się nie nudzi –
stwierdziłam.

Tarquin zachichotał. Ciekawe, czy jego westchnienie świadczyło
o głębokiej uldze.

Przez więź łączącą mnie z Rhysandem poczułam mgnienie
aprobaty.

Rozdział 33

Dostaliśmy połączone ze sobą pokoje ze wspólnym sporym, bardzo bogato urządzonej salonem z widokiem na morze i miasto poniżej. Moja sypialnia została wykończona w barwach piany morskiej i najdelikatniejszego błękitu ze złotymi akcentami. Przypominała połączoną muszlę, podobną do tej stojącej na toalecie z jasnego drewna. Właśnie ją odkładałam na miejsce, gdy białe drzwi za moimi plecami szczęknęły i do komnaty wślizgnął się Rhys.

Zamknął drzwi za sobą i oparł się o nie. Góra czarnej tuniki była rozpięta i odsłaniała część zawijasów tatuażu pokrywającego jego pierś.

– Problem, jak sobie zdałem sprawę, będzie polegał na tym, że lubię Tarquina – powiedział w ramach przywitania. – Lubię nawet Kresejdę. Bez Variana mógłbym żyć, ale dałbym głowę, że po kilku tygodniach z Kasjanem i Azrielem byłby z nimi w najlepszej komitywie i musiałbym nauczyć się go lubić. Albo skończyłby owinięty wokół palca Amreny, a ja musiałbym go zostawić całkowicie w spokoju albo zaryzykować jej gniew.

– I?

Oparłam się o toaletkę, na której czekały już ubrania, których nie pakowałam, ale które zdecydowanie pochodziły z Dworu Nocy.

Przestronność komnaty – duże łóżko, okna, promienie słońca – wypełniła ciszę między nami.

– I – podjął w końcu Rhys – chciałbym, żebyś znalazła sposób zrobienia tego, co musisz zrobić, bez obracania ich w swoich wrogów.

– Innymi słowy, chcesz, żeby mnie nie złapali.

Kiwnął głową.

– Czy podoba ci się to, że Tarquin nie może oderwać od ciebie wzroku? Nie wiem, czy jest tak dlatego, że cię pożąda, czy też zwyczajnie wie, że nosisz w sobie część jego mocy, i chce się przekonać, jak wielką.

– A może i jedno, i drugie?

– Może. Ale pożądający cię książkę to niebezpieczna sprawa.

– Najpierw droczysz się ze mną o Kasjana, a teraz o Tarquina? Czy nie możesz znaleźć jakiegoś innego sposobu na irytowanie mnie?

Rhys podszedł do mnie, a ja przygotowałam się na jego zapach, jego ciepło, wpływ jego mocy. Położył dłonie na blacie toaletki po obu moich stronach. Nie skuliłam się.

– Masz tu jedno zadanie, Feyro. Jedno zadanie, o którym nikt nie może wiedzieć. Zatem zrób wszystko, co tylko musisz, żeby je wykonać. Ale zdobądź tę Księgę. I nie daj się złapać.

Nie byłam jakąś mizdrzącą się idiotką. Byłam doskonale świadoma ryzyka. A ten *ton*, ten sposób, w jaki na mnie zawsze patrzył...

– *Wszystko?* – zapytałam, a on uniósł brwi. – Gdybym się z nim przespała, żeby dostać Księgę, co byś zrobił? – dokończyłam szeptem.

Jego źrenice gwałtownie się rozszerzyły. Opuścił wzrok na moje usta. Drewno toaletki zajęczało pod jego uściskiem.

– Mówisz takie okropne rzeczy.

Czekałam. Serce biło mi nierówno. W końcu spojrzał mi ponownie w oczy.

– Możesz zawsze robić to, co tylko zechcesz i z kimkolwiek zechcesz. Jeśli więc chcesz go osiąść, proszę bardzo.

– Może tak zrobię – wypaliłam, choć miałam ochotę powiedzieć mu, że jest kłamcą.

– W porządku.

Jego oddech pieścił moje wargi.

– W porządku – skwitowałam świadoma każdego dzielącego nas cała, coraz mniejszej i mniejszej odległości, wyzwania wzbierającego na sile z każdą sekundą, kiedy żadne z nas się nie ruszało.

– Tylko – powiedział łagodnie, z oczami roziskrzonymi jak gwiazdy – nie narażaj celu swojej misji.

– Znam cenę.

Jego moc otoczyła mnie, potrząsnęła mną, orzeźwiła.

Sól, fale i morska bryza ciągnęły mnie, śpiewały do mnie.

Rhys – jakby on też to słyszał – pochylił głowę w stronę zgaszonej świeczki stojącej na meblu.

– Zapal ją.

Rozważyłam sprzeciw, ale spojrzałam na knot... Przywołanie ognia, przywołanie tego gorącego gniewu, który zdołał we mnie wzbudzić...

Świeczka została zmieciona z toaletki silnym strumieniem wody, tak jakby ktoś chlusnął na nią całym wiadrem.

Gapiałam się na wodę na blacie. Jedynym dźwiękiem w komnacie było skapywanie kolejnych kropel na marmurową posadzkę.

Rhys, z dłońmi wciąż zaciśniętymi po obu moich bokach, zaśmiał się cicho.

– Czy nie potrafisz nawet wykonywać poleceń?

Ale cokolwiek to było... bycie tu, tak blisko Tarquina i jego mocy... Czulałam odpowiadającą mi wodę. Czulałam ją pokrywającą podłogę, czulałam kłębiące się morze i spokojną zatokę, smakowałam sól niesioną wiatrem. Wytrzymałam spojrzenie Rhysa.

Nikt nie był moim panem – ale ja mogę być panią wszystkiego, jeśli tylko zechcę. Jeśli się odważę.

Niczym dziwny deszcz woda podniosła się z podłogi i samą wolą nakazałam jej uformować się w coś zbliżonego do tych gwiazd, które Rhys przywołał na swoim kobiercu ciemności. Rozkazałam kroplom rozdzielić się i przesuwac, aż wisiały wokół nas, chwytając światło dnia i lśnić niczym kryształły na kandelabrze.

Rhys oderwał wzrok od moich oczu, aby im się dobrze przyjrzeć.

– Proponuję – wymruczał – abyś nie pokazywała tej sztuczki Tarquinowi w jego sypialni.

Wysłałam wszystkie zawieszony kropleki prosto w twarz księcia Dworu Nocy.

Zbyt szybko, zbyt prędko, aby zdążył się osłonić. Część odbiła się od niego i ochlapała mnie.

Staliśmy tak, oboje przemoczeni. Rhys przez chwilę wpatrywał się we mnie, po czym się uśmiechnął.

– Dobra robota – powiedział i odepchnął się w końcu od toaletki. Nie wykonał żadnego ruchu, aby zetrzeć wodę lśniąca na jego skórze. – Ćwicz dalej.

– Czy on rozpęta wojnę? – zapytałam. – Z mojego powodu?

Wiedział, kogo miałam na myśli. Konfrontacyjny nastrój wypisany na jego twarzy jeszcze chwilę temu zmienił się w śmiertelny spokój.

– Nie wiem.

– Ja... wróciłabym. Jeśli doszłoby do tego, Rhysandzie.

Wróciłabym, żebyście nie musieli ze sobą walczyć.

Wsunął wciąż mokrą dłoń do kieszeni.

– Czy *chciałabyś* wrócić? Czy wywołanie wojny z twojego powodu sprawiłoby, że na powrót byś go pokochała? Czy to byłby wspaniały gest, którym odzyskałby twoje serce?

Przełknęłam z trudem ślinę.

– Mam już dość śmierci. Nie chciałabym patrzeć, jak ktokolwiek umiera... Przynajmniej nie z mojego powodu.

– To nie jest odpowiedź na moje pytanie.

– Nie. Nie chciałabym wrócić. Ale zrobiłabym to. Ból i zabijanie nie są sposobem na zdobycie mojego serca.

Rhys wpatrywał się we mnie jeszcze przez chwilę z nieodgadniętym wyrazem twarzy, po czym odwrócił się i ruszył do drzwi. Zamarł z palcami zaciśniętymi na klamce w kształcie muszli jeżowca.

– Trzymał cię w zamknięciu, bo wiedział; ten drań wiedział, jakim jesteś skarbem. Że jesteś warta więcej niż ziemię, złoto czy klejnoty. Wiedział i chciał cię zatrzymać tylko dla siebie.

Jego słowa uderzyły mnie, chociaż jednocześnie ukołysły poszarpaną cząstkę mojej duszy.

– On mnie kochał... wciąż mnie kocha, Rhysandzie.

– Problemem nie jest to, czy cię kochał, tylko jak bardzo. Za bardzo. Miłość potrafi być trucizną.

Po tych słowach wyszedł.

Zatoka była dość spokojna – może fale zostały okiełznane przez ich pana i władcę – i przez wszystkie godziny ucztowania barka kołysała się ledwo zauważalnie.

Zbudowana z najszlachetniejszego drewna inkrustowanego złotem olbrzymia łódź bez trudu pomieściła dobrą setkę fae starających się nie śledzić zbyt otwarcie każdego ruchu Rhysa, Amreny i mojego.

Główny pokład został zastawiony niskimi stolikami i kanapami, aby goście mogli się posilić i odpocząć. Na górnym pokładzie, pod zadaszeniem wykładanym masą perłową, rozstawiono długi stół, przy

którym nas posadzono. Tarquin był istnym wcieleniem lata, odziany w turkusowo-złote szaty, ze szmaragdami lśniącymi na guzikach i pierścieniach. Włosy koloru piany morskiej zdobiła korona z białego złota wysadzana szafirami, uformowana na kształt załamujących się fal. Była tak doskonałej roboty, że często przyłapywałam się na wpatrywaniu się w nią.

Tak jak i teraz, gdy obrócił się w moją stronę (siedziałam po jego prawej ręce) i dostrzegł moje spojrzenie.

– Pomyśleć by można, że kunszt naszych jubilerów powinien im umożliwić wykonanie wygodniejszej korony. Ta strasznie uciska skórę głowy.

Przyjazna próba nawiązania rozmowy, zwłaszcza że przez większą część pierwszej godziny na pokładzie zachowywałam milczenie, poświęcając czas na przyglądanie się miastu na wyspie, wodzie, brzegom zatoki. Zarzucałam ku nim sieci świadomości, ślepej mocy, aby przekonać się, czy uzyskam jakąś podpowiedź, dowiem się, czy gdzieś tam spoczywa Księga.

Nic nie odpowiedziało na moje bezgłośnie wezwanie. Uznałam zatem, że czas na rozmowę jest równie dobry jak każdy inny.

– Jak udało wam się nie dopuścić, aby wpadła w jej ręce? – zapytałam.

Pomyślałam, że wypowiedzenie imienia Amaranthy tu, wśród tylu szczęśliwych i świętujących osób, byłoby niczym zaproszenie deszczowej chmury.

Siedzący po lewej ręce księcia Lata Rhys, całkowicie zajęty rozmową z Kresejdą, nie posłał mi ani jednego spojrzenia. Wcześniej praktycznie się do mnie nie odzywał, nawet nie skomentował mojego stroju.

Wydało mi się to dziwne, zwłaszcza że *ja* byłam zadowolona ze swojego wyglądu, a poszczególne elementy dobierałam samodzielnie: włosy rozpuszczone i zaczesane do tyłu, przytrzymane opaską z plecionego różanego złota; pozbawiona rękawów szyfonowa suknia w ciemnoróżowym kolorze nieba o zmierzchu, obcisła na biuście i w talii, niemal bliźniaczo podobna do tej fioletowej, którą miałam na sobie rankiem. Kobieca, delikatna, ładna. Nie czułam się tak od bardzo,

bardzo dawna. Od dawna nie chciałam się tak czuć.

Ale tutaj te atuty nie zapewniłyby mi życia polegającego na planowaniu kolejnych przyjęć. Tutaj mogłam być delikatna i urocza o zachodzie słońca i obudzić się rano, aby założyć ilyryjski skórzany pancerz.

– Zdołaliśmy ukryć większość naszych skarbów, gdy nasze ziemie zostały zajęte – wyjaśnił Tarquin. – Nostrus, mój poprzednik, był moim kuzynem. Ja opiekowałam się innym miastem. W środku nocy dostałam polecenie ukrycia skarbcza tak szybko, jak tylko zdołam.

Amarantha zabiła Nostrusa, gdy ten powstał przeciwko niej – i z czystej złośliwości zamordowała całą jego rodzinę. Tarquin musiał być jednym z niewielu ocalałych krewnych, skoro władza nad całym dworem przeszła na niego.

– Nie wiedziałam, że Dwór Lata tak dalece dba o skarby.

Tarquin stłumił śmiech.

– Pierwsi książęta naszego ludu dbali. Teraz robimy to głównie w ramach podtrzymania tradycji.

– Cenisz zatem złoto i klejnoty? – zapytałam ostrożnie, możliwie swobodnie.

– Między innymi.

Sączyłam wino, zastanawiając się, jak zapytać o to, co mnie interesowało, bez wzbudzania podejrzeń. Ale może bezpośrednio podejście byłoby lepsze?

– Czy osoby spoza twojego dworu mogą oglądać wasze zbiory? Mój ojciec był kupcem, większość dzieciństwa spędziłam w jego kantorze, pomagając mu w interesach. Byłoby ciekawe porównać bogactwa śmiertelnych z tymi wytworzonymi rękami fae.

Rhys dalej rozmawiał z Kresejdą. Nie posłał przez naszą więź nawet cienia aprobaty czy rozbawienia.

Tarquin przechylił głowę. Klejnoty na jego koronie zalśniły w słońcu.

– Oczywiście. Jutro, po drugim śniadaniu?

Nie był głupi i mógł być świadomy gry, którą prowadziłam, ale... jego propozycja była szczerą. Uśmiechnęłam się lekko i skinęłam głową. Spojrzałam ku gościom kręcącym się po niższym pokładzie, na

oświetloną latarniami wodę za burtą. Cały czas czułam na sobie spojrzenie Tarquina.

– Jaki on był? – zapytał. – Świat śmiertelników?

Dźgnęłam widelcem sałatkę z truskawkami na talerzu.

– Widziałam tylko bardzo mały jego skrawek. Ojciec był nazywany księciem kupców, ale ja byłam zbyt młoda, aby mu towarzyszyć podczas podróży do innych krain ludzi. Gdy miałam jedenaście wiosen, stracił całą fortunę na towarach wysłanych do Bharatu. Kolejne osiem lat spędziliśmy w biedzie, w zabitej dechami wiosce w pobliżu muru. Nie mogę więc nic powiedzieć o reszcie świata ludzi, ale to, czego doświadczyłam, było... ciężkie. Bezwzględne. Tutaj podziały między klasami zdają się o wiele mniej ostre. Tam wszystko zależy od stanu posiadania. Albo masz bogactwa i się nimi nie dzielisz, albo przymierasz głodem i walczysz o przetrwanie. Mój ojciec... Odzyskał swoją fortunę, gdy trafiłam do Prythianu. – Poczulałam ucisk w piersi i bolesne ukłucie w żołądku. – A ci sami ludzie, którzy wcześniej nie przejęliby się, gdybyśmy zdechli z głodu, ponownie mienili się naszymi przyjaciółmi. Wolałabym stawić czoła wszystkim stworom Prythianu niż potworom żyjącym po drugiej stronie muru. Bez magii, bez mocy pieniądze stały się jedyną rzeczą, która ma znaczenie.

Tarquin wydał usta, ale spojrzenie miał zamyślane.

– Darowałabyś im życie, gdyby wybuchła wojna?

Bardzo niebezpieczne pytanie z licznymi podtekstami. Nie mogłam mu powiedzieć, co robiliśmy po drugiej stronie muru; przynajmniej dopóki Rhysand nie da mi do zrozumienia, że powinniśmy to zrobić.

– Moje siostry mieszkają wraz z ojcem w jego rezydencji. Za nie bym walczyła. Ale za tych fałszywych pochlebców i snobów... Nie zmartwiłabym się, gdyby ich porządek świata został zburzony.

Jak choćby nienawistnej rodziny narzeczonego Elainy.

– W Prythianie znajdują się tacy, którzy podobnie myślą o dworach – powiedział bardzo cicho Tarquin.

– Ale... chcieliby pozbyć się książąt?

– Może. Jednak przede wszystkim pozbawić fae wysokiego rodu ich przyrodzonych przywilejów, których nie posiadają ich pomniejsi bracia i siostry. Nawet same te określenia wprowadzają nierówność.

Może nasze krainy bardziej przypominają świat ludzi, niż podejrzewasz. Może podziały nie są takie nieostre, jakimi mogą ci się zdawać. Na niektórych dworach najniższy sługa wywodzący się z fae wysokiego rodu ma więcej praw niż najzamożniejszy pomniejszy fae.

Przypomniałam sobie, że nie jesteśmy jedynymi na barce, przy tym stole. Że otaczali nas fae wysokiego rodu o zwierzęco wyczulonym słuchu.

– Czy zgadzasz się z nimi? Że potrzebna jest zmiana?

– Jestem młodym księciem – odparł. – Mam ledwie osiemdziesiąt lat. – Zatem miał trzydzieści, gdy Amarantha przejęła władzę w Prythianie. – Może inni nazwaliby mnie niedoświadczonym czy głupim, ale widziałem te okrucieństwa na własne oczy i znam wiele szlachetnych pomniejszych fae, którzy cierpieli tylko dlatego, że przyszli na świat po niewłaściwej stronie władzy. Nawet w moich własnych rezydencjach pęta tradycji zmuszały mnie do egzekwowania zasad ustanowionych przez moich przodków: pomniejsi fae mają być niewidzialni i niesłyszalni podczas swojej pracy. Chciałbym kiedyś ujrzeć Prythian, w którym ich głos jest słyszany, zarówno w moim domu, jak i w świecie poza nim.

Przyjrzałam mu się uważnie, szukając podstępów czy manipulacji. Nie znalazłam nic takiego.

Okraść go – zamierzałam go okraść. A co, gdybym go zwyczajnie poprosiła? Czy dałby mi Księgę, czy też tradycja jego przodków krępuje go zbyt mocno?

– Powiedz mi, co znaczy twoje spojrzenie – poprosił Tarquin, opierając muskularne ramiona na złotym obrusie.

– Myślę, że bardzo łatwo byłoby cię pokochać, książę – powiedziałam bez ogródek. – A jeszcze łatwiej nazwać cię przyjacielem.

Uśmiechnął się do mnie szeroko i swobodnie.

– Nie oponowałbym w żadnym z tych przypadków.

Łatwo... bardzo łatwo jest się zakochać w życzliwym i troskliwym mężczyźnie.

Zerknęłam na Kresejdę, która prawie siedziała Rhysandowi na kolanach. A on uśmiechał się jak kot, który złapał mysz, jednym palcem kreśląc koła na grzbiecie jej dłoni. Księżniczka przygryzła wargę i cała

promieniała. Spojrzałam na Tarquina i uniosłam brwi w niemym pytaniu.

Wykrzywił twarz w wieloznacznym grymasie i pokręcił głową. Miałam nadzieję, że pójda do jej komnaty.

Ponieważ jeśli miałam słuchać, jak Rhys się z nią tarza w pościeli... Nie pozwoliłam sobie dokończyć tej myśli.

– Wiele lat minęło, odkąd ją taką widziałem – rzucił Tarquin.

Poczułam rumieniec napływający na policzki – ze wstydu. Ale wstydu spowodowanego czym? Chęcią uduszenia jej bez wyraźnego powodu? Rhysand droczył się ze mną, dręczył mnie – ale nigdy... nigdy mnie nie uwodził. Posyłał tylko powłóczyście, znaczące spojrzenia i półuśmiechy wynikające jedynie z ilyryjskiej arogancji.

Najwyraźniej raz już otrzymałam ten dar – i zużyłam go, walczyłam o niego, po czym go zepsułam. Podejrzewałam też, że Rhysand – po wszystkim, co poświęcił, co zrobił... zasługiwał na to równie mocno co Kresejda.

Nawet jeśli... nawet jeśli przez chwilę pragnęłam tego.

Pragnęłam znowu się tak poczuć.

I... byłam samotna.

Uświadomiłam sobie, że byłam samotna już od bardzo, bardzo dawna.

Rhys nachylił się, aby lepiej usłyszeć coś, co mówiła Kresejda, i jej usta musnęły jego ucho, a palce ich dłoni splotły się ze sobą.

Nie czułam żalu, rozpaczy ani strachu, lecz... zgryzotę. Tak przygnębiającą i przeszywającą zgryzotę, że poderwałam się na nogi.

Rhys spojrzał na mnie, w końcu przypominając sobie o moim istnieniu. Jego twarz nie zdradzała niczego, żadnej sugestii, że poczuł przez naszą więź cokolwiek z tego, co ja czułam. Nie dbałam o to, czy moja tarcza była aktywna, czy moje myśli były łatwo dostępne i czy czytał w nich jak w otwartej księdze. On też zdawał się o to nie dbać. Wrócił do chłonięcia tego, co opowiadała mu Kresejda, i przysunął się do niej.

Tarquin również wstał i wodził wzrokiem między mną a Rhysem.

Byłam nieszczęśliwa. Nie tylko zdruzgotana, ale też nieszczęśliwa.

Uczucie, skonstatowałam. To było uczucie w odróżnieniu od

niemającej końca pustki przerażenia wymuszonego walką o przetrwanie.

– Muszę zaczerpnąć świeżego powietrza – oznajmiłam, chociaż w zasadzie siedzieliśmy na świeżym powietrzu.

Ale przy tych złotych latarniach, fae siedzących wzdłuż całego stołu... Musiałam znaleźć na tej barce miejsce, w którym mogłabym być sama choćby przez chwilę, żeby przez jakiś czas nie myśleć o moim zadaniu tutaj.

– Czy chciałabyś, abym ci towarzyszył?

Spojrzałam na księcia Lata. Nie skłamałam wcześniej. Łatwo byłoby pokochać mężczyznę takiego jak on. Ale nie byłam całkowicie pewna, nawet po trudach, jakie były jego udziałem pod Górą, czy Tarquin zdołałby zrozumieć mrok, który mógł mnie już nigdy nie opuścić. Nie tylko w związku z Amaranthą, ale też po latach przymierania głodem i desperacji.

Czy by zrozumiał, że zapewne zawsze będę trochę złośliwa czy nerwowa. Że może i pragnę spokoju, ale nie złotej klatki.

– Dziękuję, nie trzeba – odparłam i ruszyłam w stronę wygiętych łukowato schodów prowadzących w dół, ku rufie barki, która była jasno oświetlona, ale jednocześnie cichsza od części dziobowej.

Rhys nawet nie spojrzał na mnie, gdy się oddalałam. Jak sobie woli.

Byłam już w połowie drogi na dół, kiedy dostrzegłam Amrenę i Variana opartych o sąsiadujące słupy, pijących wino i ignorujących siebie nawzajem. Nie rozmawiali też z nikim innym.

Może to był kolejny powód, dla którego Rhys zabrał właśnie ją: żeby odwrócić uwagę Tarquinowego brytana.

Dotarłam na główny pokład, znalazłam miejsce przy drewnianej balustradzie, które było nieco bardziej zacienione niż reszta rufy, i oparłam się o nią. Barka płynęła dzięki magii – nie miała wiosła ani żagli. Przecinaliśmy więc zatokę cicho i gładko, nie zostawiając prawie najmniejszej fali za sobą.

Zrozumiałam, że cały czas czekałam na niego, dopiero gdy barka dobiła do pomostu wyspy-miasta, a ja zorientowałam się, że spędziłam całą godzinę w samotności.

Gdy zesłam na ląd z pozostałymi, Amrena, Varian i Tarquin

czekali na mnie na nabrzeżu, wszyscy sztywno wyprostowani.
Rhysanda i Kresejdy nigdzie nie widziałam.

Rozdział 34

Szczęśliwie z jego zamkniętej sypialni nie dobiegały żadne dźwięki. Tak samo było w środku nocy, kiedy nagle obudziłam się z koszmaru bycia przypiekaną na rożnie i nie pamiętałam, gdzie jestem.

Blask księżycy tańczył na morzu za otwartymi oknami. W pałacu zalegała cisza – niesamowita cisza.

Broń. Byłam bronią, której celem było odnalezienie Księgi, aby powstrzymać króla przed rozbiciem muru, aby pokrzyżować jego plany względem Juriana i uniemożliwić mu rozpętanie wojny, która mogłaby zniszczyć cały świat. Która mogłaby zniszczyć to miejsce – i księcia, który miał szansę zmienić obowiązujący porządek.

Przez krótką chwilę zatęskniłam za Velaris, za światłami i muzyką, za Tęczą. Zatęskniłam za przytulnym ciepłem miejskiego domu witającego mnie w środku mroźnej zimy, zatęskniłam za... poczuciem przynależności do ich niewielkiej grupy.

Może obejmowanie mnie skrzydłami, przesyłanie liścików było jego sposobem upewnienia się, że jego broń nie popsuje się bezpowrotnie. Nie miałam mu tego za złe – robił to, co było potrzebne. Nic nie byliśmy sobie winni poza dotrzymaniem obietnic współpracy i wspólnej walki.

Wciąż mógł być moim przyjacielem. Towarzyszem – jakkolwiek można było nazwać to coś między nami. To, że poszedł z kimś innym do łóżka, tego nie zmieniało.

Myśl, że przez chwilę mógł się poczuć równie samotnie jak ja, zwyczajnie przynosiła ulgę.

Nie zdołałam zebrać się w sobie, aby zejść na śniadanie i przekonać się, czy Rhys już wrócił.

Zobaczyć, z kim zszedł na posiłek.

Nie miałam nic innego do roboty. To właśnie sobie wmawiałam, leżąc na łóżku aż do umówionego spotkania z Tarquinem w porze drugiego śniadania. Zatem nie ruszałam się z komnaty, aż nie przyszła służba, nie przeprosiła za niepokojenie mnie i nie pośpieszyła do

wyjścia. Zatrzymałam ich i oznajmiłam, że w czasie, gdy będą sprzątać komnatę, ja wezmę kąpiel. Byli uprzejmi – choć nieco nerwowi – i jedynie skinęli głowami, podczas gdy ja skierowałam kroki do aneksu łazienkowego.

Długo nie wychodziłam z wanny. Bezpieczna za zamkniętymi drzwiami pozwoliłam jądro mocy Tarquina wypłynąć na powierzchnię. Najpierw uniosłam wodę z wanny, a następnie formowałam ją w kształty małych zwierząt i innych istot.

Dotarłam tak blisko przekształcenia, jak tylko mogłam sobie pozwolić. Fantazjowanie o możliwości nadania sobie zwierzęcego wyglądu wstrząsnęło mną i nappełniło mnie odrazą. Jeszcze przez pewien czas mogłam to ignorować, to pojawiające się czasem we krwi drapanie pazurów.

Teraz zajmowałam się wodą – motyle latały po łazience, aż zorientowałam się, że siedzę w wannie już tak długo, że kąpiel całkiem wystygła.

Podobnie jak poprzedniej nocy Nuala przeszła przez ścianę z miejsca, w którym przebywała w pałacu, i pomogła mi się ubrać, w jakiś sposób wyczuwając, kiedy tego potrzebuję. Jak mi powiedziała, Cerridwena wyciągnęła krótszą zapałkę i musiała zajmować się Amreną. Nie miałam odwagi zapytać o Rhysa.

Nuala wybrała zieleń morskiej piany i różane złoto. Poskręcała moje włosy w loki i zaplotła je w gruby, luźny warkocz, po czym udekorowała go drobnymi perłami. Jeśli wiedziała, dlaczego tu jestem i co będę robiła, nie zdradziła tego ani słowem. Niemniej poświęciła szczególną uwagę mojej twarzy, rozjaśniła mi usta na malinowo i omiotła policzki najdelikatniejszym pudrem. Mogłabym wyglądać niewinnie i czarująco, gdyby nie moje szaro-błękitne oczy. Bardziej puste niż poprzedniego dnia, kiedy podziwiałam się w lustrze.

Poznałam pałac już wystarczająco dobrze, aby samodzielnie trafić w miejsce, o którym Tarquin wspomniał wczoraj przed udaniem się na spoczynek. Główny hall znajdował się na piętrze mniej więcej w połowie wysokości budynku. Było to doskonałe miejsce na spotkania dla tych, którzy mieszkali w strzelistych wieżach, i tych, którzy pracowali niewidzialni i niesłyszalni poniżej.

To tu znajdowały się różnorakie komnaty rady, sale balowe, jadalnie i różne inne pomieszczenia potrzebne do podejmowania gości i organizowania przyjęć czy spotkań. Dostępu do pięter mieszkalnych, z których właśnie przyszłam, strzegło po czterech strażników rozstawionych przy każdej klatce schodowej – którzy teraz bacznie mnie obserwowali, gdy czekałam na ich księcia oparta o rzeźbioną w muszle kolumnę. Zastanawiałam się, czy potrafił wyczuć, że ćwiczyłam w wannie używanie jego mocy, że używałam tej części jego samego, która teraz tkwiła we mnie i słuchała moich poleceń.

Tarquin wyłonił się z jednego z pomieszczeń z boku holu, gdy zegar wybił godzinę drugą – za nim pojawili się moi towarzysze.

Rhysand omiótł mnie spojrzeniem, zatrzymując je przez chwilę na moim ubraniu, wyraźnie stanowiącym ukłon w stronę gospodarza i jego ludu. Z pewnością odnotował też fakt, że unikałam wzroku jego i Kresejdy, że patrzyłam wyłącznie na Tarquina i stojącą obok niego Amrenę – Varian już odchodził w stronę żołnierzy stojących przy schodach – i posłałam im obojgu błady, zdawkowy uśmiech.

– Dobrze dziś wyglądasz – powiedział Tarquin, schylając głowę.

Wychodziło na to, że Nuala jest niesamowicie dobrym szpiegiem. Ołowiana barwa tuniki Tarquina została podkreślona tym samym odcieniem zieleni piany morskiej, jakiego była moja suknia. Można by powiedzieć, że nasze ubrania tworzą jeden zestaw. Z moimi złocistymi włosami i bladą skórą mogłam wyglądać na jego lustrzane odbicie.

Wciąż czułam na sobie taksujące spojrzenie Rhysa.

Usunęłam go z moich myśli. Może później pošlę za nim ujadającego wodnego psa, żeby go ugryzł w tyłek.

– Mam nadzieję, że w niczym nie przeszkadzam – zwróciłam się do Amreny.

Ta tylko wzruszyła szczupłymi ramionami, na których tego dnia miała tunikę w kolorze szarego bruku.

– Właśnie kończyliśmy raczej ożywioną debatę na temat armad oraz tego, kto mógłby kierować połączonymi siłami obu dworów. Czy wiedziałaś, że zanim sami doszli na szczyty władzy, Tarquin i Varian dowodzili flotą Nostrusa?

Stojący kilka stóp dalej Varian zeszywniał, ale się nie odwrócił.

Spojrzałam Tarquinowi w oczy.

– Nie wspominałeś, książę, że jesteś żeglarzem.

Ciężko było udawać zaciekawienie, tak jakbym nie borykała się z żadnymi zmartwieniami.

Tarquin potarł szyję.

– Zamierzałem ci o tym opowiedzieć, pani, podczas oprowadzania cię. – Podał mi ramię. – Czy mogę?

Nawet jednego słowa – nie zwróciłam się do Rhysanda nawet jednym słowem. I nie miałam zamiaru tego zmieniać. Wsunęłam dłoń w zgięcie łokcia księcia Lata i rzuciłam do wszystkich ogólnie:

– Do zobaczenia.

Coś otarło się o moją myślową barierę, coś mrocznego i potężnego. Może ostrzeżenie, żebym była ostrożna.

Chociaż bardzo przypominało to złowieszcze trzepotliwe uczucie, które mnie prześladowało – tak bardzo, że przysunęłam się odrobinę do Tarquina. Posłałam księciu Lata śliczny, pozbawiony głębszego znaczenia uśmiech, którym nie obdarzyłam *nikogo* od bardzo, bardzo dawna.

Uczucie po drugiej stronie mojej mentalnej tarczy ucichło.

I dobrze.

Tarquin zaprowadził mnie do sali wypełnionej klejnotami i skarbami – tak wielkiej, że przez dobrą minutę tylko stałam i podziwiałam. Przez tę minutę omiotłam wszystkie półki w poszukiwaniu choćby mgnienia odczucia – czegokolwiek, co przypominałoby stojącego obok mnie mężczyznę czy moc, którą przywołałam w wannie.

– I to jest... to jest *tylko jeden* ze skarbców?

Salę wykuto głęboko pod zamkiem. Wstępu broniły ciężkie ołowiane drzwi, które otworzyły się, gdy Tarquin położył na nich dłoń. Nie odważyłam się zbliżyć na tyle, żeby ocenić, czy zamek przyjąłby moją rękę – sfałszowany dotyk księcia.

Lisica w kurniku. Tym właśnie byłam.

Tarquin zachichotał.

– Moi przodkowie byli zachłannymi draniami.

Pokręciłam głową i podeszłam do wbudowanych w ścianę półek. Lita skała – żadnego sposobu na włamanie się, chyba żebym przekuła się na wylot przez samą górę. Albo gdyby ktoś mnie tu przeskoczył. Chociaż zapewne to pomieszczenie było obłożone zaklęciami podobnymi do domu Rhysa w Velaris czy Domu Wiatru.

Szkatułki wypełnione po brzegi klejnotami, perłami i nieoszlifowanymi szlachetnymi kamieniami, złoto wylewające się ze skrzyń na kamienną podłogę. Zestawy bogato zdobionych pancerzy trzymały straż pod jedną ścianą. Suknie utkane z pajęczych nici i blasku gwiazd wisiały pod drugą. Były tu też miecze i sztylety każdego rodzaju. Ale żadnych ksiąg. Ani jednej.

– Czy znasz historię kryjącą się za każdym eksponatem?

– Część z nich – odparł. – Nie miałem dość czasu, aby poznać wszystkie.

Dobrze... może nie wie o Księdze, może nie zauważy jej braku.

Obróciłam się wkoło.

– Która z tych rzeczy jest najcenniejsza?

– Myślisz o wykradnięciu jej?

Zdusiłam śmiech.

– Czy zadanie tego pytania nie świadczyłoby o tym, że żałosny ze mnie złodziej?

Kłamliwa, dwulicowa łajdaczka – tak o mnie świadczyło zadanie tego pytania.

Tarquin przyjrzał mi się uważnie.

– Rzekłbym, że właśnie patrzę na najcenniejszą rzecz w tej sali.

Mój rumieniec nie był udawany.

– To... bardzo miło z twojej strony.

Uśmiechnął się łagodnie. Tak jakby jego pozycja jeszcze nie zabiła w nim umiejętności okazywania współczucia. Miałam nadzieję, że nigdy nie zdoła tego zrobić.

– Mówiąc całkiem szczerze, nie wiem, co byłoby najcenniejsze.

Wszystkie te przedmioty są bezcennymi pamiątkami rodowymi.

Podeszłam do półki i przyjrzałam się jej zawartości. Na aksamitnej poduszce spoczywał rubinowy naszyjnik – każdy z kamieni był

wielkości jaja drozda. Trzeba by było wspaniałej kobiety, aby mogła założyć ten naszyjnik i by przyćmiła te klejnoty, a nie by klejnoty przyćmiły ją.

Na innej półce – naszyjnik z pereł. Obok: szafiry.

A dalej... naszyjnik z czarnych diamentów.

Każdy z ciemnych kamieni był tajemnicą – i odpowiedzią. Każdy z nich był uśpiony.

Tarquin stanął za mną i spojrzał nad moim ramieniem na to, co tak przyciągnęło moją uwagę. Potem przeniósł wzrok na moją twarz.

– Weź go.

– Słucham?

Odwrociłam się gwałtownie.

Potał dłońią kark.

– Jako podziękowanie. Za to, co było pod Górą.

„Poproś go teraz, poproś go o Księgę miast tego”.

Ale to wymagałoby zaufania, a... jakkolwiek był miły i uprzejmy, był też księciem.

Wziął szkatułkę z półki, zamknął ją i podał mi.

– Byłaś pierwszą osobą, która nie wyśmiała mojego pomysłu zniesienia barier klasowych. Nawet Kresejda parsknęła, gdy jej o tym opowiadałem. Jeśli więc nie chcesz przyjąć naszyjnika w podzięcie za ocalenie nas, przyjmij go w podzięcie za to.

– Doceniłam twój pomysł, Tarquinie, bo jest dobry. Nie musisz mnie za to nagradzać.

Pokręcił głową.

– Po prostu go przyjmij.

Obraziłabym go, gdybym odmówiła tego podarku, zatem zacisnęłam dłonie na szkatułce.

– Będiesz w nim dobrze wyglądała na Dworze Nocy – powiedział Tarquin.

– Może zostanę tutaj i pomogę ci przebudować świat.

Uśmiechnął się jednym kącikiem ust.

– Przydałby mi się sprzymierzeniec na północy.

Czy to dlatego mnie tu sprowadził? Dlatego darował mi ten naszyjnik? Dopiero teraz pojęłam, jak bardzo byliśmy tu samotni, że

jestem głęboko pod ziemią, w miejscu, które łatwo odciąć od świata...

– Nie masz się czego lękać z mojej strony – zapewnił, a ja zachodziłam w głowę, czy mój zapach pozwalał tak łatwo mnie odczytać. – Ale mówiłem szczerze. Masz... wpływ na Rhysanda. A on jest niezmiennie trudny w kontaktach. Dostaje to, czego chce, snuje plany, o których nie mówi nikomu, dopóki ich nie zrealizuje, i za nic nigdy nie przeprasza. Bądź jego emisariuszką do ludzi – ale też naszą. Widziałaś moje miasto. Mam jeszcze trzy takie. Amarantha zniszczyła je niemal natychmiast po przejęciu władzy. Mój lud pragnie teraz wyłącznie pokoju i bezpieczeństwa. Nie chce już nigdy więcej oglądać się z lękiem przez ramię. Pozostali książęta mówili mi o Rhysie – i przestrzegali przed nim. Ale oszczędził mnie pod Górą. Brutius był moim kuzynem. We wszystkich naszych miastach zbierały się siły gotowe uderzyć na Górę. Złapali go, gdy się przekradał tunelami, aby spotkać się z dowódcami. Rhys zobaczył to w myślach Brutiusa. Wiem, że to widział. A mimo to skłamał jej prosto w twarz i sprzeciwił się jej, gdy rozkazała mu uczynić z niego żyjącego ducha. Może zrobił to, bo pasowało to do jego planów, ale potrafię rozpoznać litość. On wie, że jestem młody, niedoświadczony, a mimo to mnie oszczędził. – Tarquin pokręcił głową, głównie do własnych myśli. – Czasem sędzę, że Rhysand... Podejrzewam, że mógł zgodzić się zostać jej dziwką, aby odciągnąć jej uwagę od całej reszty.

Nie miałam zamiaru zdradzić nic z tego, co wiedziałam. Ale podejrzewałam, że dostrzegł to w moich oczach – żal wywołany tą myślą.

– Wiem, że powinienem patrzeć na ciebie – ciągnął Tarquin – i widzieć, że zrobił sobie z ciebie swoją maskotkę, że zmienił cię w potwora. Ale dostrzegam w tobie życzliwość. I sędzę, że to świadczy o nim bardziej niż cokolwiek innego. Sędzę, że to świadczy o tym, że możecie mieć oboje wiele tajemnic...

– Przestań – wykrztusiłam. – Po prostu... przestań. Wiesz, że nie mogę ci nic powiedzieć. I nie mogę ci nic obiecać. Rhysand jest księciem. Ja jedynie służę na jego dworze.

Tarquin opuścił wzrok na posadzkę.

– Wybacz mi, jeśli byłem zuchwały. Wciąż uczę się, jak rozgrywać

te dworskie gierki – ku rozgoryczeniu moich doradców.

– Mam nadzieję, że nigdy się tego nie nauczysz.

Tarquin spojrzał mi w oczy czujnie, ale zarazem jakby smętnie.

– Zatem pozwól mi zadać bardzo bezpośrednie pytanie. Czy to prawda, że odeszłaś od Tamlina, ponieważ uwięził cię w swoim domu?

Staralam się odciąć od tego wspomnienia, od przerażenia i dotkliwego bólu pękającego serca. Ale kiwnęłam głową.

– I czy to prawda, że wolność przywrócili ci członkowie Dworu Nocy?

Ponownie kiwnęłam głową.

– Dwór Wiosny jest moim południowym sąsiadem. Moje stosunki z nim są napięte. Ale jeśli nie zostanę zapytany wprost, nie wspomnę ani słowem, że tu byłaś.

Złodziejka, kłamczucha, manipulatorka. Nie zasługiwałam na to przymierze.

Ale skłoniłam głowę w podzięcie.

– Czy masz inne skarbcce, które chciałbyś mi pokazać?

– Czy złoto i klejnoty nie są dość imponujące? Co na to mówi twoje kupieckie oko?

Postukałam palcem szkatułkę.

– Och, dostałam już to, czego pragnęłam. Teraz jestem jedynie ciekawa, ile jest warte nasze przymierze.

Tarquin roześmiał się. Jego śmiech odbijał się echem od kamienia i otaczających nas bogactw.

– I tak nie miałem ochoty udawać się na zaplanowane na to popołudnie spotkanie.

– Cóż za nierozważny, szalony młody książę.

Tarquin ponownie podał mi ramię i gdy ujęłam go pod nie, poklepał moją dłoń i poprowadził do wyjścia.

– Wiesz, Feyro, chyba bardzo łatwo byłoby cię pokochać. A jeszcze łatwiej byłoby zostać twoim przyjacielem.

Zmusiłam się do odwrócenia wzroku i udania speszzonej, gdy zamykał za nami drzwi i umieścił dłoń płasko na metalu nad klamką. Wsłuchiłam się w szczęk zaskakujących zamków.

Zaprowadził mnie do innych pomieszczeń pod pałacem. Niektóre

były pełne klejnotów, inne – broni, jeszcze inne – ubiorów z dawno minionych epok. Pokazał mi też salę wypełnioną księgami i moje serce niemal wyrwało mi się z piersi – ale nie było tam tego, czego szukałam. Nic tylko skóra, kurz i cisza. Ani kropli mocy, która przypominałaby stojącego obok mnie mężczyznę – ani śladu Księgi, której potrzebowałam.

Tarquin powiódł mnie do ostatniego pomieszczenia wypełnionego skrzyniami i stosami różnych rzeczy przykrytymi narzutami. Spojrzałam na wszystkie dzieła sztuki czające się za otwartymi drzwiami.

– Chyba widziałam już dość na dziś.

Bez pytania zamknął na powrót drzwi i odprowadził mnie na gwarne, zalane słońcem górne piętra.

Musiały być inne miejsca, gdzie mogła znajdować się Księga Tchnień. Chyba że została ukryta w innym mieście.

Musiałam ją znaleźć. I to wkrótce. Rhys i Amrena mogli prowadzić swoje polityczne debaty przez jakiś czas, ale potem będziemy musieli wrócić do domu. Modliłam się, żebym możliwie szybko znalazła Księgę – i żebym nie znienawidziła się bardziej, niż już to się stało.

Rhysand leżał rozparty na moim łóżku, jakby należało do niego. Spojrzałam na ręce założone za głowę, na długie nogi zwisające z krawędzi materaca i zazgrzytałam zębami.

– Czego chcesz?

Zatrzasnęłam za sobą drzwi wystarczająco głośno, żeby podkreślić irytację w moim głosie.

– Flirtowanie i chichotanie z Tarquinem nie przyniosło spodziewanych efektów, jak rozumiem?

Cisnęłam szkatułkę obok niego na łóżko.

– Ty mi powiedz.

Mina mu zrzędła, gdy usiadł i otworzył wieko.

– To nie jest Księga.

– Nie, ale jest to piękny podarek.

– Feyro, jeśli chcesz, żebym ci kupował biżuterię, powiedz tylko słowo. Chociaż zważywszy twoją garderobę, sądziłem że zdajesz sobie

sprawę z tego, że to wszystko zostało kupione dla ciebie.

Nie zdawałam sobie z tego sprawy.

– Tarquin jest dobrym mężczyzną – powiedziałam. – Dobrym księciem. Powinieneś go *zwyczajnie poprosić* o tę cholerną Księgę.

Rhysand zatrzasnął wieko szkatułki.

– Zatem obsypuje cię klejnotami i wlewa miód do twych uszu, i teraz czujesz wyrzuty sumienia?

– On chce zawrzeć z tobą sojusz... i to bardzo. Chce móc ci zaufać, polegać na tobie.

– Cóż, Kresejda odnosi wrażenie, że jej kuzyn jest raczej ambitny, zatem miałbym się na baczości i czytał między wierszami.

– Ach? Powiedziała to zanim, w trakcie czy po tym, jak poszedłeś z nią do łóżka?

Rhys wstał powoli jednym płynnym ruchem.

– To dlatego unikasz mnie wzrokiem? Bo myślisz, że pieprzyłem się z nią, żeby uzyskać od niej informacje?

– Informacje czy własną przyjemność, mam to gdzieś.

Obszedł łóżko dokoła. Nie cofnęłam się, nawet gdy zatrzymał się o niespełna szerokość dłoni ode mnie.

– Zazdrosna, Feyro?

– Jeśli ja jestem zazdrosna, to i ty jesteś zazdrosny o Tarquina i jego wlewanie miodu.

Rhysand błysnął zębami.

– Sądzisz, że jakoś szczególnie odpowiada mi konieczność flirtowania z samotną kobietą, aby wyciągnąć z niej informacje o jej dworze i księciu? Sądzisz, że czuję się dobrze sam ze sobą, robiąc to? Sądzisz, że robię to z przyjemnością, abyś miała dość swobody na urabianie Tarquina swoimi uśmiechami i ślicznymi oczętami, żebyśmy mogli zgarnąć Księgę i wracać do domu?

– Zeszłego wieczoru zdawałeś się doskonale bawić.

Zawarczał nisko i gardłowo.

– Nie poszedłem z nią do łóżka. Chciała, ale nawet jej nie pocałowałem. Zabrałem ją do lokalu w mieście, pozwoliłem jej sobie opowiedzieć historię swojego życia, ponarzekać na presję, pod jaką żyje, i odprowadziłem do jej komnaty, której progu nie przekroczyłem.

Czekałem na ciebie przy śniadaniu, ale zasnęłaś. Albo, jak widać, unikałaś mnie. Próbowałem pochwycić twój wzrok dziś po południu, ale cholernie dobrze ci szło całkowite odcięcie mnie.

– To tym ci tak zalazłam za skórę? Że cię odciąłam? Czy też, że Tarquin z taką łatwością się do mnie zbliżył?

– Zalazłaś mi za skórę tym – powiedział Rhys, oddychając nieco nierówno – że się do niego *uśmiechnęłaś*.

Reszta świata rozmyła się w mgłę, gdy jego ostatnie słowa powoli do mnie docierały.

– Jesteś zazdrosny.

Pokręcił głową, podszedł do niewielkiego stolika stojącego pod ścianą naprzeciw drzwi i wypił jednym haustem szklankę bursztynowego płynu. Oparł się oburącz o blat. Potężne mięśnie na jego plecach zdrząły pod koszulą, gdy cień skrzydeł starał się przybrać materialną postać.

– Słyszałem, co mu powiedziałaś. Że łatwo byłoby ci go pokochać. Mówiłaś to szczerze.

– No i?

To były jedyne słowa, które przysły mi do głowy.

– Byłem zazdrosny: o to. Że nie jestem... tego rodzaju osobą. Dla nikogo. Dwór Lata zawsze był neutralny. Tylko w tych latach niewoli pod Górą wykazali się charakterem. Oszczędziłem życie Tarquina, ponieważ słyszałem o jego pomysle zniwelowania różnic między fae wysokiego rodu a pomniejszych. Próbowałem to zrobić od lat. Bez powodzenia, ale... Oszczędziłem go za tę jedną rzecz. A Tarquin z jego neutralnym dworem... on nigdy nie będzie musiał się martwić o to, że inni od niego odejdą z powodu ciągłego zagrożenia ich życia czy życia ich dzieci. Więc tak, byłem zazdrosny o niego. Ponieważ on zawsze będzie miał łatwo. I nigdy nie będzie wiedział, jak to jest spojrzeć na nocne niebo i wypowiedzieć życzenie.

Dwór Snów.

Osoby świadome ceny, którą warto zapłacić za ten sen. Bękarty wojowników, półkrwi Ilyr, potwór uwięziony w pięknym ciele, marzycielka urodzona na Dworze Koszmarów... I łowczyni o duszy artystki.

I może dlatego, że to było jego najszczerze wyznanie przede mną, albo może z powodu pieczenia w moich oczach, podeszłam do stolika i – nie podnosząc na niego wzroku – wzięłam karafkę z bursztynowym płynem, nalałam sobie na palec, a jemu do pełna.

Uniosłam wzrok i spojrzałam mu w oczy dopiero, gdy stuknęłam swoją szklanką o jego. Kryształ zaśpiewał czysto i wyraźnie ponad szumem morza daleko w dole.

– Za tych, którzy spoglądają w gwiazdy i marzą, Rhys – powiedziałam.

Chwycił swoje naczynie, świdrując mnie wzrokiem tak intensywnym, że zachodziłam w głowę, po co w ogóle starałam się zarumienić dla Tarquina.

Rhys również stuknął swoją szklanką o moją.

– Za gwiazdy, które słuchają. I marzenia, które się spełniają.

Rozdział 35

Minęły dwa dni. Każda ich chwila była balansowaniem między prawdą a kłamstwami. Rhys dopilnował, abym nie była zapraszana na spotkania, na które udawał się z Amreną w celu odwrócenia uwagi naszego drogiego gospodarza. To dawało mi dość czasu na przemierzanie miasta w poszukiwaniu jakiegokolwiek śladu Księgi.

Robiłam to nie nazbyt ochoczo, nie nazbyt gorliwie. Nie mogłam wyglądać na zbyt zaciekawioną, gdy wędrowałam po ulicach i nabrzeżach. Nie mogłam zadawać napotykanym fae zbyt wielu pytań o skarby i legendy Adriaty. Nawet gdy budziłam się o świcie, czekałam do rozsądnej godziny, zanim wyruszyłam do miasta; zmuszałam się do wzięcia dłuższej kąpieli, aby potajemnie ćwiczyć władanie magią wody. I chociaż formowanie wodnych zwierząt nudziło mi się po godzinie... przychodziło mi z łatwością. Może było tak z powodu bliskości Tarquina, a może dlatego, że pewne powinowactwo z wodą było już w mojej krwi, mojej duszy – chociaż zdecydowanie nie miałam możliwości zapytania o to.

Gdy śniadanie zostało już podane i zjedzone, dbałam o to, by wyglądać na nieco znudzoną i niewiedzącą, co ze sobą zrobić, gdy kroczyłam lśniącymi korytarzami pałacu w drodze do budzącego się do życia miasta.

Mało kto mnie rozpoznawał, gdy bez szczególnego zainteresowania przyglądałam się sklepom, domom i mostom, cały czas poszukując choćby przebłysku zaklęcia, które byłoby *czuć* Tarquinem, choć wątpiłam, żeby ktokolwiek mógł mnie znać. To fae wysokiego rodu – wyższe sfery – zostały zabrane pod Górę. Mieszkańcy miasta pozostali tutaj... by cierpieć katusze.

Budynki i ulice były poznaczone bliznami pozostałymi po tym, co wyrządzono w odwecie za powstanie: ślady pożarów, odłupane kawałki kamienia, całe budynki leżące w gruzach. Tylina część zamku, tak jak powiedział Tarquin, wciąż była odbudowywana. Trzy z wieżyczek były częściowo zawałone, a beżowy kamień – osmalony i skruszony. Ani śladu Księgi. Robotnicy się krzątali tak tu, jak i w całym mieście, pracując nad naprawą zniszczeń.

Tak jak mieszkańcy, których widziałam – fae wysokiego rodu i pomniejsi z łuskami, skrzelami i błoniastymi dłońmi o długich cienkich palcach – całe miasto zdawało się powoli leczyć. Widziałam więcej blizn i brakujących kończyn, niż mogłam zliczyć. Ale w ich oczach... w ich oczach lśniło światło.

Ich też uratowałam.

Uwolniłam od nienazwanych okropieństw, które były ich udziałem przez te pięć dekad.

Zrobiłam coś potwornego, by tego dokonać... ale ich uratowałam.

I chociaż nigdy nie zdołam zadośćuczynić swoim zbrodniom... Nie czułam już takiego ciężaru, pomimo bezowocnych poszukiwań jakiegokolwiek śladu Księgi Tchnień, gdy trzeciej nocy wróciłam do pałacu na szczycie skały, aby wysłuchać sprawozdania Rhysanda z odbytych spotkań – i dowiedzieć się, czy jemu udało się cokolwiek ustalić.

Gdy wchodziłam po schodach prowadzących do pałacu, przeklinając się w myślach za tak poważny spadek kondycji, któremu nie zaradziły w pełni nawet treningi z Kasjanem, dojrzałam Amrenę na skraju balkoniku jednej z wieżyczek, czyszczącą paznokcie.

Varian oparł się o barierkę innego balkoniku w odległości skoku... Zastanawiałam się, czy rozważał w myślach, czy zdołałby dostatecznie szybko pokonać dzielący ich dystans, by zepchnął ją w przepaść.

Kot bawiący się z psem – tak to wyglądało. Amrena wręcz go zachęcała do podejścia, do zbliżenia się do niej na tyle, by spróbować ją powąchać z bliska. Wątpiłam, by Varianowi spodobały się jej pazury.

Chyba że właśnie dlatego nie odstępował jej dzień i noc.

Pokręciłam głową i podjęłam przerwana wspinaczkę, obserwując cofające się w dole fale odpływu.

Na powierzchni wody i w grząskim przybrzeżnym błocie odbijało się zabarwione zachodem słońca niebo. Lekka nocna bryza przemknęła mimo mnie; wystawiłam na nią twarz, pozwalając jej wysuszyć pokrywający skórę pot. Kiedyś lękałam się końca lata, modliłam się, żeby trwało jak najdłużej. Teraz myśl o trwającym w nieskończoność cieple i wiecznie słonecznej pogodzie wzbudzała we mnie... nudę. Niecierpliwość.

Już miałam ruszyć w dalszą drogę ku pałacowi, gdy dostrzegłam skrawek lądu odsłonięty przed odpływ. A na nim niewielki budynek.

Nic dziwnego, że dotąd go nie widziałam. Nigdy nie byłam na zewnątrz o tej porze, kiedy woda zdążyła się już cofnąć... Przez resztę dnia, wnosząc po błocie i wodorostach lśniących teraz na nim, był zapewne całkowicie ukryty pod falami.

Nawet teraz nie był całkowicie odsłonięty. Ale nie mogłam od niego oderwać wzroku.

Tak jakby był to mały fragment mojego domu, mokry i żalony – musiałabym tylko przejść po błotnistej grobli między spokojniejszą częścią miasta a stałym lądem – szybko, szybko, szybko – abym zdążyła doń dotrzeć, zanim ponownie zniknie pod falami.

Ale budynek stał nazbyt na widoku, a z oddali nie potrafiłam ocenić ponad wszelką wątpliwość, czy Księga Techniń istotnie się tam znajdowała.

Musieliśmy mieć całkowitą pewność, zanim tam wejdziemy – aby zrównoważyć ryzyko związane z przeszukaniem budowli. Całkowitą pewność.

Chociaż nie byłam z tego zadowolona, uświadomiłam sobie, że wiem już, jak to osiągnąć.

Kolację jedliśmy w towarzystwie Tarquina, Kresejdy i Variana w ich rodowej komnacie jadalnej – był to wyraźny znak, że księżę Lata naprawdę pragnie tego sojuszu, czy to z powodu ambicji, czy z innego.

Varian przyglądał się Amrenie, tak jakby usiłował rozwikłać łamigłówkę, jaką dla niego stanowiła, ona zaś nie zwracała na niego najmniejszej uwagi, tylko dyskutowała z Kresejdą na temat różnych przekładów pewnego starożytnego tekstu. Ja przygotowywałam grunt pod moje pytanie opowiadaniem o rzeczach, które widziałam tego dnia w mieście, i o świeżej rybie, którą kupiłam sobie na nabrzeżu.

– Zjadłaś ją na miejscu? – zapytał z uniesionymi brwiami Tarquin. Rhys wsparł głowę na zamkniętej dłoni.

– Usmażyli ją razem ze swoimi – odparłam. – Nie policzyli mi za to dodatkowo.

Tarquin zaśmiał się z uznaniem.

– Nie mogę powiedzieć, żebym kiedykolwiek coś takiego zrobił, nawet jako żeglarz.

– Powinieneś – powiedziałam z pełnym przekonaniem. – Była pyszna.

Założyłam naszyjnik, który mi podarował, i wspólnie z Nualą dobrałyśmy do niego odpowiednie ubrania. Zdecydowałyśmy się na kolor szary – miękki gołębi odcień – w celu podkreślenia lśniącej czerni kamieni. Nie założyłam żadnej innej biżuterii – żadnych kolczyków, bransolet, pierścionków. Tarquin wydawał się zadowolony, chociaż Varian zakrztusił się, gdy zobaczył ich rodową pamiątkę na mojej szyi. Ku memu zaskoczeniu Kresejda powiedziała, że naszyjnik mi pasuje, a poza tym i tak odstawał od reszty kolekcji. Dwuznaczny komplement, ale zawsze jakaś pochwała z jej ust.

– Cóż, może pójde to zrobić jutro – powiedział Tarquin. – Jeśli do mnie dołączysz.

Uśmiechnęłam się do niego szeroko. Teraz, kiedy już Rhys o tym wspomniał, odnotowywałam każdy ofiarowany Tarquinowi uśmiech. Poza krótkimi nocnymi streszczeniami braku postępów w ustaleniu czegokolwiek na temat Księgi praktycznie nie rozmawialiśmy z Rhysandem od tamtego wieczoru, w którym nappełniłam jego szklankę – chociaż wynikało to raczej z naszych napiętych grafików, a nie z niezręczności sytuacji między nami.

– Z wielką chęcią – zgodziłam się. – Może moglibyśmy udać się na spacer rano groblą podczas odpływu. Widziałam tam niewielki budynek, wygląda na fascynujący.

Kresejda przestała rozmawiać z Amreną, ale ja kontynuowałam, popijając co pewien czas wino.

– Pomyślałam, że skoro już zobaczyłam większość miasta, mogłabym go odwiedzić w drodze na przechadzkę po stałym lądzie.

Zerknięcie Tarquina na Kresejdę potwierdziło wszystkie moje podejrzenia.

Ten kamienny budynek istotnie zawierał to, czego szukaliśmy.

– To ruiny starej świątyni – powiedział bezbarwnie Tarquin; kłamstwo gładkie jak jedwab. – Obecnie to tylko błoto i wodorosty. Od

lat nosimy się z zamiarem odrestaurowania jej.

– Może zatem pójdziemy mostem. Mam dość błota na jeszcze wiele lat do przodu.

„Przypomnij sobie, że cię ocaliłam, że walczyłam z czerwiem middengardzkim. Zapomnij o zagrożeniu...”.

Tarquin spojrział mi w oczy i długo nie odwracał wzroku.

W gnieniu oka cisnęłam w niego swoją cichą ukrytą moc, niczym włócznię wycelowaną w jego umysł, w te podejrzliwe oczy.

Dostępu do jego myśli strzegła bariera – tarcza morskiego szkła, koralu i wzburzonego morza.

Stałam się morzem, stałam się szeptem fal uderzających w skałę, lśnieniem promieni słońca na białych skrzydłach mewy. Stałam się *nim* – zlałam się w jedno z jego tarczą.

Chwilę potem byłam po drugiej stronie. Wyraźna, ciemna nić wskazywała mi drogę powrotną, gdybym jej potrzebowała. Pozwoliłam instynktowi, bez wątpienia pochodzącemu od Rhysa, poprowadzić mnie. Wprost do tego, co potrzebowałam zobaczyć.

Myśli Tarquina uderzyły mnie jak grad kamyków. „Czemu pyta o świątynię? Ze wszystkich rzeczy, które mogła poruszyć...”. Wszyscy dokoła spożywali w spokoju posiłek. *Ja* spożywałam dalej w spokoju posiłek. Nakazałam własnej twarzy – w innym ciele, w innym świecie – uśmiechnąć się mile.

„Dlaczego tak bardzo chcieli tu przybyć? Czemu pytali o mój skarbiec?”.

Posłałam swoje myśli niczym pluszczące fale, by zalały jego.

„Jest niegroźna. Jest dobra i smutna, i zdruzgotana. Widziałeś ją z twoim ludem – widziałeś, jak ich traktuje. Jak traktuje ciebie. Amarantha nie zniszczyła tej dobroci”.

Wlałam w niego swoje myśli, zabarwiając je wodą morską i krzykami mew, owijając je w esencję tego, czym był Tarquin; w esencję, którą on sam mi podarował.

„Zabierz ją jutro na stały ląd. To zapobiegnie dalszym pytaniom o świątynię. Ona ocaliła Prythian. Jest twoją przyjaciółką”.

Moje myśli zapadły w niego niczym kamień wrzucony do stawu. Gdy podejrzenie zbladło w jego oczach, wiedziałam, że dopięłam celu.

Wyciągnęłam się z powrotem, prześlizgnęłam się przez tę ścianę z oceanu i pereł, nawijając nić, aż moje ciało otoczyło mnie niczym klatka.

Tarquin się uśmiechnął.

– Spotkamy się po śniadaniu. Chyba że Rhysand potrzebuje mojej obecności na kolejnych spotkaniach.

Ani Kresejda, ani Varian nawet na niego nie zerknęli. Czy Rhys zajął się ich podejrzeniami?

Błyskawica przemknęła moimi żyłami, chociaż krew mi zmroziło, gdy pojęłam, co przed chwilą zrobiłam...

Rhys machnął leniwie dłonią.

– Ależ proszę, Tarquinie, możesz spędzić jutrzejszy dzień z moją panią.

„Moją panią”. Postanowiłam puścić tę uwagę mimo uszu. Ale też odcięłam własny zachwyty tym, co osiągnęłam, a także powoli narastające przerażenie niewidzialnym wtargnięciem, o którym Tarquin nigdy się nie dowie.

Pochyliłam się do przodu i oparłam nagie przedramiona na chłodnym drewnie stołu.

– Powiedz mi, co jest ciekawego do zobaczenia na stałym lądzie – poprosiłam Tarquina i pokierowałam nim z dala od myśli o świątyni na odsłoniętej odpływem grobli.

Rhys i Amrena przyszli do mojej komnaty dopiero wtedy, gdy światła w pałacu przygasły.

Siedziałam na łóżku, odliczałam upływające minuty i opracowywałam plan. Żadna z komnat gościnnych nie wychodziła na groblę – tak jakby nie chcieli, by ktokolwiek zauważył stojący na niej budynek.

Rhys przybył pierwszy i oparł się o zamknięte drzwi.

– Ależ się szybko uczysz. Większości daemati opanowanie takiego rodzaju infiltracji zajmuje całe lata.

Wbiłam paznokcie w skórę dłoni.

– Wiedziałeś... że to zrobiłam?

Wypowiedzenie tego na głos było zbyt przytłaczające, zbyt... prawdziwe.

Skinął lekko głową.

– I do tego zachowałeś się jak prawdziwa ekspertka, wykorzystając *jego* esencję, aby oszukać jego tarcze i przemknąć się przez nie...

Spryciara.

– Nigdy mi tego nie wybaczy – wyszeptałam.

– Nigdy się nie dowie. – Rhys przekrzywił głowę na bok.

Jedwabiste czarne włosy zsunęły mu się na czoło. – Do tego się przyzwyczajają. Do poczucia, że przekroczyło się granicę, że wdarło się tam, gdzie się nie powinno wchodzić. Jeśli cię to jakkolwiek pocieszy, przekonanie Variana i Kresejdy do uznania innych rzeczy za bardziej warte ich uwagi nie sprawiło mi szczególnej przyjemności.

Spuściłam wzrok na bładny marmur posadzki.

– Gdybyś nie zajęła się Tarquinem – kontynuował – bardzo możliwe, że tkwilibyśmy teraz po kolana w gównie.

– To i tak była moja wina, to ja zapytałam o świątynię.

Naprawiałam jedynie własne błędy. – Pokręciłam głową. – To nie jest w porządku.

– Nigdy nie jest. Ani nie powinno. Zbyt wielu daemati traci te skrupuły. Ale w tej sytuacji... dzisiaj... korzyści przeważały koszty.

– Czy to sobie wmawiałeś, gdy wszedłeś do mojego umysłu? Jaką wtedy miałeś z tego korzyść?

Rhys odepchnął się od drzwi i podszedł do mnie.

– Pewne obszary twojego umysłu pozostawiłem nienaruszone.

Myśli i wspomnienia, które należą wyłącznie do ciebie. I zawsze będą należały wyłącznie do ciebie. Co zaś do reszty... – Zaciśnął szczękę. –

Długo bardzo się o ciebie bałem, Feyro. Sprawdzenie w ten sposób... Nie mogłem tak po prostu wmaszerować do Dworu Wiosny i zapytać, jak się miewasz, prawda? – Na korytarzu zabrzmiały lekkie kroki.

Amrena. Rhys nie odwrócił wzroku na drzwi, tylko cały czas spoglądał mi w oczy. – Resztę wyjaśnię innym razem.

Drzwi stanęły otworem.

– Moim zdaniem to głupie miejsce na ukrycie Księgi – stwierdziła Amrena w ramach powitania, po czym usadowiła się na moim łóżku.

– I zarazem ostatnie miejsce, w którym byś szukała – zauważył Rhys, odsuwając się ode mnie w stronę stołka przy toalecie pod oknem.
– Mogli bez problemu obłożyć ją zaklęciem chroniącym przed wilgocią i rozkładem. Miejsce widoczne tylko przez kilka godzin każdego dnia, kiedy odpływ odsłania tamten fragment morskiego dna przed wszystkimi mieszkańcami miasta? Nie można sobie wymarzyć lepszej kryjówki. Tysiące oczu mogą nas tam obserwować.

– Jak zatem dostaniemy się do środka? – zapytałam.

– Zapewne jest zabezpieczone magicznie przeciwko przeskakowaniu – powiedział Rhys, opierając przedramiona na udach. – Nie zaryzykuję wzbudzenia jakiegoś alarmu, żeby się przekonać. Pójdziemy więc nocą, po staremu. Mogę przenieść was obie, a potem trzymać straż – dodał, gdy zauważył moje uniesione brwi.

– Cóż za szarmanckość – powiedziała z przekąsem Amrena. – Zrobić to, co najłatwiejsze, a potem zostawić nas, bezradne kobiety, żebyśmy się same przekopywały przez błoto i wodorosty.

– Ktoś musi krążyć odpowiednio wysoko nad świątynią, żeby pilnować, czy nikt się nie zbliża... albo nie podnosi alarmu. I ukryć nas wszystkich przed wzrokiem postronnych.

Zmarszczyłam brwi.

– Zamki reagują na jego dotyk. Miejmy nadzieję, że zareagują na mój.

– Kiedy ruszamy? – zapytała Amrena.

– Jutro w nocy – zdecydowałam. – Dzisiaj zapoznamy się z godzinami zmian warty w czasie odpływu i ustalimy, gdzie są rozstawieni wartownicy. Kogo musimy zdjąć, zanim wkroczymy do akcji.

– Myślisz jak Ilyrka – mruknął Rhys.

– To chyba miał być komplement – zauważyła konspiracyjnym tonem Amrena.

Rhys parsknął. Cienie zgromadziły się wokół niego, gdy rozluźnił chwyt na swojej mocy.

– Nuala i Cerridwena już krążą po zamku. Ja ruszę w przestworza. Wy dwie powinnyście się udać na nocną przechadzkę, biorąc pod uwagę, jak jest gorąco.

Po tych słowach zniknął, pozostawiając po sobie tylko szelest niewidzialnych skrzydeł i ciepły, ciemny powiew.

W blasku księżyca wargi Amreny były krwście czerwone. Wiedziałam, na kogo spadnie wyeliminowanie wszelkich potencjalnych obserwatorów... i kto się przy tym posili.

Wyszło mi trochę w ustach.

– Masz ochotę na spacer?

Rozdział 36

Następny dzień był torturą. Powolną, niemającą końca, piekielnie gorącą torturą.

Udawałam zainteresowanie łądem, spacerując z Tarquinem, poznając jego poddanych i uśmiechając się do nich, zbierając się w sobie, podczas gdy słońce wędrowało po niebie. W końcu zaczęłam kierować się stopniowo ku morzu. Kłamczucha, złodziejka, oszustka – tak będą mnie wkrótce nazywali.

Miałam nadzieję, że zrozumieją – że Tarquin zrozumie – że zrobiliśmy to dla ich dobra.

Może i była to straszna arogancja, myśleć tak, ale... taka była prawda. Zważywszy, jak szybko Tarquin i Kresejda wymienili spojrzenia, jak mnie wiedli z dala od tamtej świątyni... Poszłabym o zakład, że nie oddaliby mi tej Księgi. Z jakichś powodów chcieli ją zatrzymać.

Może ten nowy świat Tarquina można było zbudować tylko na zaufaniu... Z drugiej strony książę nie będzie miał szansy dokończyć swojego dzieła, jeśli wszystko zostanie zmiecione przez armie króla Hybernii.

To właśnie sobie powtarzałam raz po raz, gdy szliśmy przez jego miasto, gdy znosiłam pozdrowienia jego mieszkańców. Może nie tak radosne jak w Velaris, ale... pełne nieśmiałości, wywalczonego z trudem ciepła. Ci fae wycierpieli najgorsze i teraz próbowali zostawić to za sobą.

Tak jak ja powinnam zostawić za sobą swój mrok.

Gdy słońce w końcu zaczęło się zsuwać za horyzont, wyznałam Tarquinowi, że jestem zmęczona i głodna. Jako miły i życzliwy gospodarz poprowadził mnie z powrotem do pałacu, po drodze kupując rybę pieczoną w cieście. Tego popołudnia nawet spróbował ryby smażonej na nabrzeżu.

Kolacja była o wiele gorsza.

Przed śniadaniem już nas nie będzie – ale oni tego nie wiedzieli. Rhys wspomniał o powrocie do Dworu Nocy popołudniem następnego dnia, więc może wcześniejsze opuszczenie pałacu nie wyda im się aż tak

podejrzane. Miał zamiar pozostawić liścik mówiący o nagłej pilnej sprawie, dziękując Tarquinowi za gościnę, a potem wszyscy mieliśmy przeskoczyć do domu – do Velaris. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem.

Ustaliliśmy z Amreną, gdzie rozmieszczeni są strażnicy, kiedy następuje zmiana warty, a także gdzie są rozstawieni na stałym lądzie.

Gdy Tarquin pocałował mnie w policzek, życząc dobrej nocy, wyrażając pragnienie, że może to nie będzie mój ostatni wieczór w jego pałacu i że może on odwiedzi wkrótce Dwór Nocy... Niemal padłam na kolana, aby go błagać o przebaczenie.

Dłoń Rhysanda na moich plecach była wyraźnym ostrzeżeniem, żeby nie dać niczego po sobie poznać – chociaż jego twarz nie wyrażała niczego poza tym chłodnym rozbawieniem.

Udałam się do swojej komnaty i znalazłam czekający na mnie skórzany ilyryjski pancerz. A także znany mi już pas z ilyryjskimi nożami.

Wyszukowałam się więc znów do walki.

Rhys zaniósł nas na swoich skrzydłach na groblę, postawił na grząskim piachu, po czym wzbił się w przestworza, gdzie zamierzał krążyć i obserwować strażę na wyspie i na stałym lądzie. My zaś miałyśmy ruszyć na polowanie.

Błoto cuchnęło, bulgotało i wciągało nasze buty przy każdym kroku w stronę ruin niewielkiej świątyni. Do szarych kamieni tkwiły przytwierdzone skorupiaki, wodorosty i pąkle. Każdy krok w głąb jedynej sali w budynku wzbudzał w mojej piersi to *coś*, co powtarzało w kółko: „Gdzie jesteś, gdzie jesteś, gdzie jesteś?”.

Rhys i Amrena przeszukali okolicę pod kątem zaklęć ochronnych, jednak nie znaleźli ani jednego. Dziwne, ale dobrze się składało. Ze względu na otwarte wejście nie ryzykowałyśmy przywołania światła, jednak blask księżyca prześwitujący przez szczeliny w kamiennym sklepieniu sprawiał, że było wystarczająco jasno.

Fale odpływu cofały się po kamieniach, a my brnęłyśmy po kolana w błocie i rozglądałyśmy się po pomieszczeniu szerokim na nieco ponad

czterdzieści stóp.

– Czuję ją – wyszeptałam. – Jest niczym pazurzasta dłoń przesuająca się wzdłuż mojego kręgosłupa.

W rzeczy samej mimo ciepłej skórzanej zbroi miałam gęsią skórkę.

– Jest... uśpiona.

– Nic dziwnego, że ukryli ją pod kamieniem, błotem i falami morskimi – wymamrotała Amrena.

Błoto zachlupotało, gdy obróciła się w miejscu. Zadrzałam. Ilyryjskie noże na przewieszonym pasie wydały mi się teraz równie użyteczne, co wykałaczkę. Także obróciłam się w miejscu.

– Nie wyczuwam niczego w ścianach. Ale ona tu jest.

Obie w tym samym momencie spojrzałyśmy pod nasze nogi i wzdrygnęłyśmy się.

– Powinnyśmy były zabrać ze sobą łopatę – stwierdziła Amrena.

– Nie mamy czasu, by się po nią wrócić.

Odpyw był u swego szczytu. Liczyła się każda minuta. Nie tylko ze względu na powracającą wodę, ale i na fakt, że do wschodu słońca nie pozostało zbyt wiele czasu.

Każdy krok wymagał sporego wysiłku z powodu trzymającego nas mocno błota. Dostroiliśmy się do tego uczucia, do tego wezwania. Zatrzymałam się na środku pomieszczenia – samym środku.

„Tutaj, tutaj, tutaj” – szeptało.

Nachyliłam się, wzdrygając się od lodowatego dotyku mazi, od okruchów muszli i kamyków drapiących moje nagie dłonie, gdy zaczęłam odgarniać mokry piach.

– Szybciej – syknęła Amrena, ale sama też schyliła się i zaczęła zagarniać ciężkie, gęste błoto.

Kraby i umykające żyjątka łaskotały mnie w palce. Nie pozwalałam sobie o nich myśleć.

Zatem kopałyśmy i kopałyśmy, aż byłyśmy całe pokryte słonym błotem palącym niezliczone drobne skaleczenia. W końcu, dysząc ciężko z wysiłku, odsłoniłyśmy kamienną posadzkę. I ołowiane drzwi.

Amrena zaklęła.

– Ołów, żeby zachować wewnątrz całą jej moc, by ją oszczędzać. Kiedyś okładali nim sarkofagi wielkich władców. Myśleli, że pewnego

dnia się przebudzą.

– Jeśli król Hybernii będzie mógł się swobodnie posługiwać Kotłem, jeszcze może się tak stać.

Amrena zadrżała i wskazała w dół.

– Drzwi są zamknięte.

Wytarłam jedną dłoń o jedyny czysty fragment mnie – szyję – a drugą odgarnęłam ostatnie kawałki błota z okrągłego włazu. Przy każdym dotknięciu ołowiu przeszywało mnie ostre ukłucie zimna. Ale oto i były – zawijasy wyryte na samym środku metalu.

– Są tutaj od bardzo dawna – wymruczałam pod nosem.

Amrena kiwnęła głową.

– Nie zdziwiłabym się, gdyby pomimo piętna książęcej mocy Tarquin ani żaden z jego przodków nigdy nie postavili nogi w środku. Jeśli magia krwi użyta do zabezpieczenia tego miejsca natychmiast przeszła na nich, gdy wstąpili na tron.

– Czemu zatem mieliby tak zazdrośnie jej strzec?

– Czy nie chciałybyś trzymać pod kluczem przedmiotu o straszliwej mocy? Tak żeby nikt nie mógł go wykorzystać do czynienia zła? Albo dla własnej korzyści? A może ukryli ją, żeby mieć kartę przetargową, gdyby kiedykolwiek jej potrzebowali? Nie mam bladego pojęcia, dlaczego akurat oni, ze wszystkich dworów, dostali połowę Księgi Tchnień pod swoją pieczę.

Pokręciłam głową i położyłam dłoń płasko na rzeźbieniach w ołowiu.

Przeszył mnie wstrząs jak przy uderzeniu pioruna. Jęknęłam i napałam mocniej na drzwi.

Palce przymarzły mi do metalu, tak jakby moc zaklęcia wysysała ze mnie siły życiowe, piła ze mnie tak jak Amrena pije ze swych ofiar, ale wyczułam jej wahanie, pytanie...

„Jestem Tarquin. Jestem latem. Jestem ciepłem. Jestem morzem, niebem i obsianym polem”.

Byłam każdym uśmiechem, którym mnie obdarzył; kryształowym błękitem jego oczu; brązem jego skóry. Poczułam, jak moja skóra pulsuje, jak moje kości rozciągają się i przemieniają. Aż w końcu *stałam się* nim i teraz na drzwi napierała para męskich dłoni. Aż moja esencja

stała się tym, co posmakowałam w wewnętrznej tarczy jego umysłu – morzem, słońcem i słoną wodą. Nie dałam sobie chwili na zastanowienie, jakiej mocy właśnie użyłam. Nie pozwoliłam przeświecać żadnej części mnie, która *nie była* Tarquinem.

„Jestem twoim panem i pozwolisz mi przejść”.

Zamknięcie ciągnęło mocniej i mocniej, aż ledwo mogłam oddychać...

Wtem zabrzmiał szczęk i jęk metalu.

Wróciłam do własnego ciała i upadłam w spiętrzone błoto, gdy drzwi ustąpiły i wsunęły się w kamień, odsłaniając spiralne schody prowadzące w przedwieczny mrok. Na wilgotnym słonym powiewie wydobywającym się z tej czeluści szybowały macki mocy.

Po drugiej stronie otworu Amrena stała z twarzą bledszą niż zwykle. Srebrne oczy świeciły jasno.

– Nigdy nie widziałam Kotła – powiedziała – ale musi być rzeczywiście straszny, jeśli zaledwie ziarno jego mocy wygląda... tak.

Istotnie moc wypełniała świątynię, moją głowę, moje płuca – dusiła mnie, topiła i uwodziła...

– Szybko – zakomenderowałam.

Niewielka kula czarodziejskiego światła wystrzeliła w dół wzdłuż wijących się schodów, rozświetlając szare, wytarte stopnie śliskie od szlamu.

Dobyłam noża myśliwskiego i ruszyłam w dół, jedną ręką trzymając się lodowato zimnej kamiennej ściany, aby się nie poślizgnąć.

Gdy schody zatoczyły pierwsze koło i znalazłam się pod wejściem, z Amreną tuż za moimi plecami, czarodziejskie światło zatańczyło na głębokiej po pas cuchnącej wodzie. Zlustrowałam przejście rozpoczynające się u stóp schodów.

– Jest tu korytarz, a na drugim jego końcu komnata. Pusto.

– To się, do jasnej cholery, pośpiesz – rzuciła Amrena.

Zebrałam się w sobie i weszłam w ciemną wodę, przygryzając wargi, aby nie krzyknąć od lodowatego zimna oleistej cieczy. Amrena się zakrztusiła. Woda sięgała jej niemal do piersi.

– Poziom na pewno szybko się podnosi, gdy nadchodzi przypływ – zauważyłam, brnąc przez wodę i patrząc spod zmarszczonych brwi na

liczne otwory odpływowe wykute w ścianach.

Szłyśmy na tyle powoli, żeby Amrena mogła wykryć ewentualne zakłęcia ochronne lub pułapki, ale... nie było ani jednego, ani drugiego. Zupełnie nic. Chociaż z drugiej strony kto by w ogóle schodził tutaj, w takie miejsce?

Głupcy – tylko zdesperowani głupcy, ot co.

Długi kamienny korytarz kończył się drugimi ołowianymi drzwiami. Za nimi wiła się ta moc, przesłaniając piętno Tarquina.

– Jest tam w środku.

– Co ty nie powiesz.

Posłałam jej grymas irytacji. Obie trzęśmy się z zimna. Chłód przenikał nas tak dokumentnie, że zastanawiałam się, czy moje ludzkie ciało nie byłoby już martwe. Albo prawie.

Położyłam dłoń płasko na drzwiach. Tym razem wciąganie, przepytywanie i wysysanie było gorsze. Tak bardzo, że musiałam oprzeć się o drzwi wytatuowaną dłonią, aby nie osunąć się na kolana i nie krzyknąć z bólu powodowanego przetrząsaniem mnie od stóp do głów przez tę potężną moc.

„Jestem latem, jestem latem, jestem latem”.

Tym razem nie zmieniałam się w Tarquina – nie musiałam. Usłyszałam szczęknięcie i jęk metalu. Ołowiane drzwi wsunęły się w ścianę i woda po obu ich stronach połączyła się z pluskiem, a ja zatoczyłam się do tyłu, wprost w wyczekujące ramiona Amreny.

– Niedobry, niedobry zamek – wysyczała, drżąc nie tylko z powodu lodowatej wody.

Kręciło mi się w głowie. Jeżeli trafi się jeszcze jeden taki zamek, mogłam stracić przytomność.

Czarodziejskie światło wleciało, lekko podskakując, do komnaty i obie zamarłyśmy.

Woda z korytarza nie połączyła się z wodą z komnaty, lecz zatrzymała na niewidzialnej barierze. Suche pomieszczenie po drugiej stronie drzwi było puste poza okrągłym podestem i umieszczonym na nim postumentem.

Na którym spoczywała niewielka ołowiana skrzynka.

Amrena machnęła na próbę dłonią w powietrzu w miejscu,

w którym woda się zwyczajnie... zatrzymała. Usatysfakcjonowana brakiem zaklęć czy podstępów, przeszła przez niewidzialną barierę, chlapiąc wodą z ubrania na szary kamień posadzki, stanęła, skrzywiła się nieco i przywołała mnie ruchem ręki.

Przebrnęłam przez wodę najszybciej, jak zdołałam, i podążyłam w jej ślady, prawie upadając, gdy moje ciało musiało się gwałtownie przystosować do nagłej swobody ruchu. Obróciłam się i ujrzałam czarną ścianę wody, tak jakby znajdowała się za szklaną taflą.

– Pośpieszmy się z tym – powiedziała Amrena, a ja nie zamierzałam oponować.

Rozejrzałyśmy się uważnie po komnacie: zlustrowałyśmy posadzkę, ściany, sufit. Ani śladu ukrytych mechanizmów czy pułapek.

Chociaż ołowiana skrzynka nie była większa od zwykłej książki, zdawała się pochłaniać światło, a w środku... szepcząca... Pieczęć mocy Tarquina i Księga Tchnień.

Teraz słyszałam wyraźnie, jakby wyszeptała to stojąca obok mnie Amrena:

„Kim jesteś, czym jesteś? Podejdź bliżej... niech cię powącham, niech cię zobaczę...”

Stanęłyśmy po przeciwległych stronach postumentu. Kula czarodziejskiego światła unosiła się tuż nad wiekiem szkatułki.

– Żadnych zaklęć – powiedziała głosem niewiele głośniejszym od szurania jej butów na kamiennej posadzce Amrena. – Żadnych czarów. Musisz ją zabrać... wynieść stąd. – Na samą myśl o dotknięciu szkatułki, o zbliżeniu się do tej rzeczy w środku... – Zaczyna się przyptyw – dodała Amrena, przyglądając się sufitowi.

– Tak szybko?

– Może ocean wie. Może jest sługą księcia Lata.

A jeśli będziemy wciąż tu na dole, gdy wróci woda...

Nie podejrzewałam, żeby moje niewielkie wodne zwierzątka nam pomogły. Panika ścisnęła mi żołądek, ale odgoniłam ją i uspokoiłam się; uniosłam głowę.

Skrzynka będzie ciężka... i zimna.

„Kim jesteś, kim jesteś, kim jesteś...?”

Rozprostowałam palce i szyję. „Jestem latem. Jestem morzem,

słońcem i zielenią”.

– Szybciej, szybciej – ponaglała mnie pod nosem Amrena.

Nad naszymi głowami woda obmywała kamienie.

„Kim jesteś, kim jesteś, kim jesteś...?”

„Jestem Tarquin. Jestem księciem. Jestem twoim panem”.

Szkatułka zamilkła. Jakby to miało wystarczyć za odpowiedź.

Podniosłam ją z postumentu. Metal wciął mi się w dłoń, moc pomknęła moimi żyłami niczym oleista maź.

Przedwieczny okrutny głos syknął:

„Kłamiesz”.

Drzwi zatrzasnęły się za moimi plecami.

Rozdział 37

NIE! – wrzasnęła Amrena i błyskawicznie dopadła do drzwi, po czym uderzyła pięścią jaśniejącą jak rozpalony piec kowalski w ołów: raz, drugi.

Nad naszymi głowami... szum i chlupot wody spływającej po schodach, wypełniającej świątynię...

Nie, nie, nie...

Ruszyłam ku drzwiom, wsuwając po drodze szkatułkę do obszernej wewnętrznej kieszeni skórzanej kurty. Amrena waliła gorącą pięścią w metal, rozgrzewając go coraz bardziej z każdym uderzeniem. Z dłoni emanowały różne dziwne zawijasy, jakby jej własny język, aż w końcu...

Drzwi ustąpiły. Do pomieszczenia wdarła się woda.

Próbowałam uchwycić się framugi, ale nie sięgnęłam jej. Pędząca woda cisnęła mną do tyłu, wciągnęła pod ciemną lodowatą powierzchnię. Zimno odebrało mi dech. Znaleźć podłoże, znaleźć podłoże...

Natrafiłam stopami na posadzkę i wypchnęłam się w górę. Chwytając łapczywie powietrze, rozejrzałam się w poszukiwaniu Amreny. Trzymała się kurczowo framugi z oczami utkwionymi we mnie, z wyciągniętą w moją stronę ręką... z której biło jasne światło.

Woda sięgała mi już do piersi. Pośpieszyłam do niej, walcząc z napierającymi raz po raz kolejnymi falami, siłą woli dając nową siłę mięśniom, ramionom...

Dalej było mi łatwiej się poruszać, tak jakby to jądro mocy uspokoiło prąd wody, jej gniew, ale teraz Amrena wspinała się wyżej po framudze.

– Masz ją? – zawołała, starając się przekrzyczeć ryk wody.

Pokiwałam głową i zrozumiałam, że jej wyciągnięta dłoń nie była przeznaczona dla mnie – trzymała nią drzwi, które siłą wtoczyła w ich otwór w ścianie. Żebym mogła wydostać się z komnaty.

Przedarłam się przez łukowaty otwór, a zaraz za mną prześlizgnęła się Amrena. Mgnienie oka później drzwi ponownie się zamknęły – tak gwałtownie, że byłam pełna podziwu dla siły, jakiej musiała użyć, aby je

otworzyć.

Jedynym minusem było to, że teraz woda miała dużo mniejszą przestrzeń do wypełnienia.

– Ruszaj – nakazała.

Ale ja, nie czekając na jej aprobatę, chwyciłam ją, oplotłam sobie jej nogi wokół mojego tułowia i pomogłam jej przylgnąć do moich pleców.

– Po prostu... rób, co musisz – wycedziłam przez zaciśnięte zęby, z szyją wyciągniętą nad powierzchnią wzbierającej wody.

Do schodów nie było daleko... schodów, które teraz zamieniły się w wodospad. Gdzie, na demony, podziewał się Rhysand?

Amrena wyciągnęła przed nas rozpostartą dłoń i woda zakołysała się, zadrżała. Nie udało jej się utorować wolnego przejścia, ale spowolniła napływ kolejnych fal. Skierowałam jądro mocy Tarquina – teraz już *mojej* mocy – przed siebie. Woda uspokoiła się jeszcze bardziej, z trudem wypełniając moje polecenie.

Pobiegłam naprzód, ściskając uda Amreny tak mocno, że chyba zostawiłam siniaki. Krok po kroku. Woda wlewała się z góry nieprzerwanym strumieniem, teraz już sięgała mojej brody... ust...

Ale zdołałam dotrzeć do schodów. Niemal straciłam równowagę na śliskim stopniu, gdy urwany okrzyk Amreny osadził mnie w miejscu.

To nie był okrzyk zaskoczenia ani strachu, lecz paniczne łapanie powietrza. W dół schodów pomknęła ściana wody. Tak jakby świątynię właśnie zalała potężna fala. Nawet z moim panowaniem nad tym żywiołem nie byłam w stanie nic zaradzić.

Miałam tylko dość czasu, by nabrać powietrza na zapas, chwycić mocno nogi Amreny, przygotować się...

I przyglądać zamykającym się nad nami drzwicom, więżącym nas w wodnym grobowcu.

Byłam martwa. Wiedziałam, że zaraz umrę i że nie ma sposobu na uniknięcie tego.

Kończyło mi się powietrze i byłam boleśnie świadoma każdej upływającej sekundy, aż moje płuca mnie zawiodły, a ciało mnie zdradziło i połknęłam feralny haust wody.

Amrena biła w moje dłonie, aż ją puściłam, aż popłynęłam za nią,

usiłując uspokoić tłukące się w panice serce, płuca, próbując przekonać je, żeby wytrzymały jeszcze trochę, kiedy liczyła się każda sekunda, gdy Amrena dotarła do drzwi nad nami i uderzyła w nie dłonią. Symbole rozbłysły – jeszcze raz i jeszcze raz. Ale drzwi nie ustąpiły.

Dotarłam do niej, z impetem uderzając barkiem w drzwi. Cofnęłam się i natarłam ponownie. Ołów wygiął się pod moim naporem. Chwilę później miałam szpony – szpony, nie pazury – i cięłam, i uderzałam w metal...

Płuca płonęły mi żywym ogniem. Płuca dawały za wygraną...

Amrena łomotała w drzwi, kula czarodziejskiego światła migotała coraz słabiej, tak jakby odliczała ostatnie uderzenia jej serca...

Musiałam zaczerpnąć powietrza, musiałam otworzyć usta i zaczerpnąć powietrza, musiałam ukoić to palenie...

Wtem drzwi zostały wyrwane na zewnątrz.

Światło było jeszcze na tyle jasne, żebym zdołała dostrzec trzy piękne, nieziemskie twarze syczące przez rybnie zęby, gdy ich błoniaste dłonie o cienkich, długich palcach chwyciły nas i pociągnęły w objęcia ramion pokrytych płazią skórą.

Wodne zjawy.

Ale ja nie mogłam już tego znieść.

I gdy te kościste dłonie chwyciły mnie pod ramię, otworzyłam usta i woda wtargnęła mi do płuc, odcinając myśli, dźwięki i tchnienie. Ciało przestało walczyć, szpony zniknęły...

Wokół mnie przemykały odłamki skalne, wodorosty i woda. Miałam niejasne poczucie bycia holowaną przez morze, tak szybko, że słone krople wciskały się pod powieki i paliły mnie w oczy.

A potem gorące powietrze – powietrze, powietrze, powietrze! Ale moje płuca były pełne wody i...

Czyjaś pięść wbiła się z impetem w mój żołądek i zwymiotowałam wodą na fale. Chwytałam łapczywie kolejne oddechy i uniosłam wzrok, mrugając intensywnie. Poranne niebo miało barwę fioletowych sińców i płomiennego rumieńca.

Odgłosy krztuszenia się i rozpaczliwego łapania powietrza niedaleko mnie. Obróciłam się na brzegu zatoki i zobaczyłam Amrenę – również wymiotującą, ale żywą.

A w falach między nami, z onyksowymi włosami przyklejonymi do ich dziwnych głów niczym hełmy, unosiły się wodne zjawy, wpatrujące się we mnie dużymi ciemnymi oczami.

Za nimi wschodziło słońce – otaczające nas miasto budziło się do życia.

– Dług naszej siostry został spłacony – powiedziała środkowa zjawa.

Chwilę później już ich nie było.

Amrena już płynęła ku odległemu stałemu lądowi.

Modląc się, żeby nasze wybawicielki nie wróciły i nie wybrały nas sobie na posiłek, pośpieszyłam za nią, starając się płynąć ostrożnie, aby uniknąć wykrycia.

Obie dotarłyśmy do zacisznej piaszczystej zatoczki i padłyśmy wyczerpane na brzeg.

Cień przesłonił słońce i czyjś but trącił mnie w łydkę.

– Co wy dwie wyprawiacie? – zapytał Rhysand, wciąż w swojej czarnej zbroi.

Otworzyłam oczy i zobaczyłam Amrenę unoszącą się na łokciach.

– Gdzie, *na wszystkie demony*, się podziewałeś? – wycodziła.

– Uruchomiłyście tam wszelkie możliwe mechanizmy ostrzegawcze. Musiałem cały czas zajmować się strażnikami, którzy chcieli wszcząć alarm.

Czułam palący ból w gardle, a piach łaskotał mnie w policzki i dłonie.

– Sądziłem, że się tym zajmiesz. – Książę zwrócił się do Amreny.

– Tamto *miejsce* – syknęła – albo ta przeklęta Księga, niemal zneutralizowały moje moce. Prawie tam utonęliśmy.

Rhysand spojrzał nagle na mnie.

– Nie czułem tego przez więź...

– Ją też zapewne zneutralizowało, ty durna łajzo – wypaliła Amrena.

W oczach zalśnił mu dziwny błysk.

– Masz ją? – zwrócił się do mnie.

Nawet się nie przejął tym, że niemal się tam utopiłyśmy, że o mało co nie zginęłyśmy. Dotknęłam swojej kurty w miejscu, gdzie zalegała ciężka ołowiana szkatułka.

– To dobrze – skwitował Rhys.

Powodowana pośpiechem pobrzmiwającym w jego głosie spjrzałam za jego plecy.

Po dziedzińcu i murach zamku po drugiej stronie zatoki mnóstwo postaci biegało w różne strony.

– Przeoczyłem kilku wartowników – wycedził przez zaciśnięte zęby, chwycił nas obie pod ramiona i zniknęliśmy.

Mroczny wiatr był zimny i ryczał głośno, a ja ledwo miałam dość sił, aby trzymać się Rhysanda.

Gdy znaleźliśmy się w sieni domu w Velaris, byłyśmy kompletnie wyczerpane. Upadłyśmy bezwładnie na podłogę, brudząc dywan piaskiem i wodą.

– Co, na demony? – wykrzyknął z jadalni za nami Kasjan.

Podniosłam gniewnie wzrok na Rhysanda, który jak gdyby nigdy nic podszedł do zastawionego śniadaniem stołu.

– Ja też czekam na wyjaśnienia – powiedział tylko siedzącym z szeroko otwartymi oczami Kasjanowi, Azrielowi i Mor.

Obróciłam się ku Amrenie, która wciąż syczała na podłodze. Zmrużyła przekrwione oczy.

– Jak? – zapytała.

– W dniu składania daniny wysłanniczka wodnych zjaw powiedziała, że nie mają ani złota, ani jedzenia, żeby zapłacić swoją część. Głodowały.

Każde słowo sprawiało mi ból. Czułam się, jakbym miała za chwilę ponownie zwymiotować. Zasłużył sobie, żebym zarzygała mu dywan. Chociaż zapewne potraciłby mi za to z wypłaty.

– Dałam jej więc część mojej biżuterii, żeby mogła spłacić siebie i swoje siostry. Przysięgła, że nigdy nie zapomną mojej dobroci.

– Czy ktoś może mi to wytłumaczyć, proszę? – zawołała z głębi jadalni Mor.

Wciąż leżałyśmy na podłodze. Drobne ciało Amreny zaczęło się trząść od cichego śmiechu.

– O co chodzi? – zapytałam zdziwiona.

– Tylko nieśmiertelna o duszy śmiertelniczki dałaby tym odrażającym potworom pieniądze. To jest takie...

Zaśmiała się ponownie. Jej ciemne włosy były pełne piachu i wodorostów. Przez chwilę wyglądała nawet ludzko.

– Jakimukolwiek szczęściu zawdzięczasz swoje życie, dziewczyno... – dodała. – Dziękuj za nie Kotłowi.

Wszyscy pozostali przyglądali się nam, ale mimo to poczułam wydostający się ze mnie cichy chichot.

Za nim podążył śmiech, zachrypnięty i bolesny, ale prawdziwy, może nieco podszyty histerią – i głęboką ulgą.

Spojrzałyśmy na siebie – i ponownie wybuchnęłyśmy śmiechem.

– Panie – zamruczał Rhysand.

Ciche polecenie.

Jęknęłam, dźwigając się na nogi, syjąc piachem wszędzie naokoło, po czym podałam Amrenie rękę, aby pomóc jej wstać. Chwyciła mnie mocno, ale w jej przypominających rtęć oczach dostrzegłam zadziwiającą łagodność. Uścisnęła mi dłoń, po czym pstryknęła palcami.

Obie byłyśmy czyste i suche, a dodatkowo było mi ciepło. Tylko w jednym miejscu na mojej kurcie pozostała mokra plama – na piersi, gdzie czekała szkatułka.

Moi towarzysze przyglądali się z poważnymi minami, jak podchodzę i sięgam za pazuchę. Metal wbił się w moje palce. Był tak zimny, że aż parzył.

Upuściłam szkatułkę na stół.

Upadła z głuchym stukiem. Wszyscy się cofnęli z przekleństwem na ustach.

Rhys skinął na mnie palcem.

– Ostatnie zadanie, Feyro. Otwórz ją, proszę.

Kolana mi się trzęsły, w głowie się kręciło, usta miałam suche jak popiół i pełne soli oraz piachu, ale... Chciałam mieć już to za sobą.

Wsunęłam się więc na krzesło i przysunęłam do siebie tę znienawidzoną szkatułkę, po czym położyłam dłoń na wieku.

„Witaj, kłamczucho” – zamruczał głos.

– Witaj – powiedziałam cicho.

„Czy mnie przeczytasz?”

– Nie.

Pozostali nie odezwali się ani słowem, chociaż wyczuwałam ich konsternację migoczącą w powietrzu. Tylko Rhys i Amrena przyglądali mi się uważnie.

„Otwórz się” – rozkazałam bezgłośnie.

„Powiedz: proszę”.

– Proszę – powiedziałam na głos.

Szkatułka-Księga zamilkła. A po chwili przemówiła:

„Podobieństwo przyciąga podobieństwo”.

– Otwórz się – wycedziłam przez zęby.

„Zniszczona i stworzona; stworzona i zniszczona – taki jest cykl. Podobieństwo przyciąga podobieństwo”.

Nacisnęłam mocniej. Byłam już tak zmęczona, że nie dbałam o wypadające mi z głowy myśli, fragmenty stanowiące i niestanowiące części mnie: żar, woda, lód, światło, cień.

„Wyzwolicielka” – zawołała Księga i szkatułka otworzyła się z cichym szcękaniem.

Osunęłam się na oparcie krzesła wdzięczna za buzujący w pobliskim kominku ogień.

Piwnie oczy Kasjana pociemniały.

– Nigdy więcej nie chcę usłyszeć tego głosu.

– Cóż, usłyszysz – powiedział bezbarwnie Rhysand, unosząc wieko. – Ponieważ udasz się z nami na spotkanie z królowymi śmiertelników, gdy tylko uznają za stosowne przyjąć nasze zaproszenie.

Byłam zbyt zmęczona, aby o tym myśleć... o tym, co jeszcze musieliśmy zrobić. Zajrzałam do szkatułki.

To nie była księga – nie taka z papieru i skóry.

Składała się z płytek ciemnego metalu spiętych trzema pierścieniami – złotym, srebrnym i brązowym. Każde słowo wyryto z niesamowitą starannością w alfabecie, którego nie rozpoznawałam. Cóż, istotnie okazało się, że moja nauka czytania była niepotrzebna.

Rhys nie wyjął Księgi ze środka. Wszyscy nachylili się nad szkatułką – i odskoczyli do tyłu.

Tylko Amrena nieprzerwanie przyglądała się Księdze. Z twarzą pobladłą jak papier.

– Cóż to jest za język? – zapytała Mor.

Wydawało mi się, że Amrenie trzęsą się dłonie, ale szybko wsunęła je do kieszeni.

– To nie jest język z tego świata.

Tylko Rhys wydawał się niewzruszony wstrząsem wypisanym na jej twarzy. Tak jakby podejrzewał, co to może być za język. Pewnie dlatego to ją zabrał z nami na to polowanie.

– Zatem jaki? – spytał Azriel.

Wpatrywała się i wpatrywała w Księgę – tak jakby była uludą, tak jakby była mirażem...

– To Leshon Hakodesh – powiedziała. – Święty język.

Spojrzenie swych oczu w kolorze rtęci przeniosła na Rhysanda. Ona też właśnie zrozumiała, dlaczego ją zabrał do Dworu Lata.

– Słyszałem legendę – powiedział Rhysand – że spisano ją w języku potężnych istot, które bały się potęgi Kotła i stworzyły Księgę Tchnień, aby móc jej przeciwdziałać. Potężnych istot, które chodziły po naszym świecie... po czym zniknęły. Ty jedna potrafisz to odczytać.

– Nie pogrywaj sobie tak z nami, Rhysand – warknęła Mor.

Pokręcił głową.

– Nie pogrywam. Strzelałem, że Amrena będzie potrafiła to odczytać. Szczęśliwy traf.

Amrena lekko rozdęła nozdrza i przez chwilę zastanawiałam się, czy go zaraz nie udusi za zachowanie dla siebie swoich podejrzeń, że Księga może być czymś więcej niż tylko kluczem do naszego zbawienia.

Rhys uśmiechnął się do niej w sposób sugerujący, że chętnie dałby jej spróbować.

Nawet Kasjan przesunął dłoń w stronę rękojeści noża.

– Pomyślałem też – przerwał nerwową ciszę Rhysand – że Księga Tchnień może zawierać zaklęcie, które umożliwiłoby uwolnienie cię... i odesłanie do domu. Jeśli to właśnie te istoty spisały te słowa.

Grdyka Amreny poruszyła się ledwo zauważalnie.

– O cholera – zaklął Kasjan.

– Nie wspomniałem ci o moich podejrzeniach – ciągnął Rhys –

ponieważ nie chciałem ci robić nadziei. Ale legendy o tym języku nie kłamały... Może znajdziesz tu to, czego tak długo szukasz, Amreno.

– Potrzebuję drugiej części, żebym mogła zacząć ją odszyfrowywać – powiedziała ochryłym głosem.

– Miejmy nadzieję, że królowe śmiertelników wkrótce odpowiedzą na nasze prośby – powiedział i spojrzał spod zmarszczonych brwi na piach i wodę w sieni. – Miejmy też nadzieję, że kolejne spotkanie pójdzie lepiej niż to.

Amrena stała z zaciśniętymi ustami, ale jej oczy płonęły jasnym blaskiem.

– Dziękuję.

Dziesięć tysięcy lat na wygnaniu – sama.

Mor westchnęła – był to głośny, teatralny dźwięk, bez wątpienia obliczony na przerwanie ciężkiej ciszy – i zaraz zażądała opowiedzenia jej całej historii.

– Nawet jeśli Księga zdoła zneutralizować moc Kotła – zauważył Azriel – pozostaje jeszcze Jurian.

Wszyscy spojrzeliśmy na niego.

– Ten element układanki nie pasuje – wyjaśnił, stukając poblźnionym palcem w blat stołu. – Po co go w ogóle wskrzeszać? I w jaki sposób król go u siebie zatrzymał? Co takiego ma, czym zapewnił sobie lojalność Juriana?

– Zastanawiałem się nad tym – powiedział Rhys, siadając przy stole naprzeciwko mnie, między swoimi braćmi.

Oczywiście, że się zastanawiał.

Wzruszył ramionami.

– Jurian miał... obsesję na punkcie dążenia do kolejnych celów. Umarł z wieloma niedokończonymi sprawami.

Mor poblądła nieco.

– Jeśli podejrzewa, że Miriam żyje...

– Możliwe, że Jurian wierzy, że Miriam umarła – stwierdził Rhys.

– A kto lepiej się nada do wskrzeszenia jego dawnej kochanki niż król z Kotłem potrafiącym przywracać martwych do życia?

– Czy Jurian sprzymierzyłby się z Hybernią, bazując jedynie na podejrzeniu, że Miriam, której powrotu pragnie, nie żyje? – zapytał

Kasjan, opierając się ramionami na blacie stołu.

– Zrobiłby to, aby zemścić się na Drakonie za skradnięcie jej serca – powiedział Rhys i pokręcił głową. – Pomówimy o tym później.

Odnotowałam sobie w pamięci, aby go zapytać, kim są te osoby, które wymienił, co się wydarzyło – i dlaczego pod Górą nigdy nawet nie zasugerował, że *znał* człowieka, którego oko Amarantha osadziła w swoim pierścieniu. Ale najpierw kąpiel. I woda. I drzemka.

Ale wszyscy ponownie spojrzeli na mnie i Amrenę, wciąż pragnąc usłyszeć naszą relację. Strzepnęłam kilka ziaren piasku na podłogę i pozwoliłam Amrenie rozpocząć opowieść. Każde kolejne słowo brzmiało mniej wiarygodnie od poprzedniego.

Oderwałam wzrok od swojego ubrania i spostrzegłam, że Rhys mi się przypatruje.

Pochyliłam lekko głowę do przodu i zdjęłam tarczę z myśli na chwilę wystarczającą do posłania wzdłuż naszej więzi słów: „Za marzenia, które się spełniają”.

Z następnym uderzeniem serca po mojej mentalnej barierze przesunęła się zmysłowa pieśczoła – uprzejma prośba. Opuściłam tarczę i wpuściłam go. Głowę wypełnił mi jego głos. „Za łowczynię, która pamięta o pochyleniu się nad tymi, którym się gorzej powodzi – i za wodne zjawy, które pływają bardzo, bardzo szybko”.

Rozdział 38

Amrena zabrała Księgę do swojego domu w Velaris i pozostawiła nas z jedzeniem. W czasie gdy Rhys opowiadał o przebiegu naszej wizyty na Dworze Lata, zdołałam spałaszować śniadanie. Potem zaś przegrałam batalię z wyczerpaniem po nieprzespanej nocy, podczas której otarłam się o śmierć. Kiedy się obudziłam, dom był pusty. Złote promienie popołudniowego słońca przyjemnie grzały. Dzień był tak niezwykle ciepły i cudowny, że wzięłam książkę do poczytania do niewielkiego ogrodu za domem.

Po jakimś czasie słońce przesunęło się na niebie, w ogrodzie zaległy cienie, a powietrze na powrót stało się mroźne. Nie chcąc jeszcze żegnać się ze złotym dyskiem, pokonałam trzy piętra dzielące ogród od patio na dachu, aby obserwować zachód.

Oczywiście – *oczywiście* – Rhysand już siedział rozparty na jednym z pomalowanych na biało żelaznych krzeseł, z ramieniem przerzuconym przez oparcie. W drugiej dłoni trzymał kieliszek z jakimś alkoholem wypełniającym kryształową karafkę stojącą na stoliku przed nim.

Skrzydła leżały za nim na wykładanej płytkami podłodze. Przez chwilę stałam i zastanawiałam się, czy on również postanowił skorzystać z wyjątkowo przyjemnego dnia i wygrzać je w słońcu. Po jakimś czasie odchrząknęłam.

– Wiem, że tu jesteś – powiedział, nie odrywając oczu od Sidry i czerwono-złotego morza w oddali.

Skrzywiłam się.

– Jeśli chcesz być sam, mogę sobie pójść.

Wskazał brodą puste krzesło przy żelaznym stole. Nie było to szczególnie entuzjastyczne zaproszenie, ale... Usiadłam.

Obok karafki stała drewniana szkatułka i mogłabym pomyśleć, że było to coś, co właśnie spijał, gdyby na jej wieku nie leżał sztylet z masy perłowej.

Gdybym nie wyczuła zapachu morza, gorąca i ziemi – woni Tarquina.

– Co to jest?

Rhys opróżnił kieliszek, uniósł dłoń – karafka podpłynęła do niego na fantomowym wietrze – i uzupełnił szkło.

– Długo nad tym myślałem, wiesz – powiedział, patrząc na swoje miasto. – Czy nie powinienem po prostu poprosić Tarquina o Księżę. Ale uznałem, że może równie dobrze odmówić, a następnie sprzedać informację temu, kto da najwięcej. Pomyślałem też, że mógłby się zgodzić, ale jednocześnie zbyt wiele osób poznałoby nasze plany i ryzykowałibyśmy rozpowszechnienie tych informacji. Koniec końców cel naszych starań musi pozostać tajemnicą tak długo, jak to tylko możliwe. – Pociągnął kolejny łyk i przecesał dłonią swoje niebieskawoczarne włosy. – Nie podobało mi się okradanie go. Nie czerpałem przyjemności z obijania jego strażników. Żałowałem, że musimy zniknąć bez słowa, kiedy on, kierowany ambicją czy też nawet nie, naprawdę pragnął tego sojuszu. Może nawet przyjaźni. Żaden inny książę nigdy nie zadał sobie tego trudu... ani się nie odważył. Ale sądzę, że Tarquin chciał zostać moim przyjacielem.

Przesuwałam wzrokiem między nim a szkatułką.

– Co to jest? – powtórzyłam pytanie.

– Otwórz.

Ostrożnie uniosłam wieko.

W środku, na białej aksamitnej poduszce, lśniły trzy rubiny, każdy wielkości kurzego jaja. Każdy tak czysty i o tak intensywnej barwie, że zdawały się być zastygniętą...

– Krwawe rubiny – wyjaśnił.

Cofnęłam palce, które powoli sunęły ku kamieniom.

– Gdy na Dworze Lata ktoś dopuści się śmiertelnej obrazy, przesyłany mu jest właśnie krwawy rubin. Jest to oficjalne powiadomienie o wyznaczeniu ceny za czyjąś głowę. Poinformowanie takiej osoby, że jest teraz ścigana i wkrótce będzie martwa. Szkatułką pojawiła się na Dworze Koszmarów godzinę temu. – Święta Matko. – Zakładam, że na jednym z nich jest moje imię. Na drugim twoje. A na trzecim Amreny.

Mroczny wiatr zatrzasnął wieko.

– Popełniłem błąd – powiedział. Już otwierałam usta, ale nie dał mi dojść do słowa. – Powinienem był wyczyścić umysły strażników

i pozwolić im dalej pełnić wartę. Zamiast tego ogłuszyłem ich. Minęło sporo czasu, odkąd musiałem zrobić coś fizycznego... bronić się w ten sposób. A byłem tak skoncentrowany na moim ilyryjskim treningu, że zapomniałem o innym orężu w moim arsenale. Po przebudzeniu zapewne ruszyli prosto do niego.

– Prędzej czy później zauważyłby brak Księgi.

– Moglibyśmy zaprzeczyć, że to my ją wykradliśmy, i zrzucić wszystko na zbieg okoliczności.

Wychylił kieliszek do dna.

– Popełniłem błąd.

– Świat się nie kończy, gdy co jakiś czas się pomylisz.

– Właśnie się dowiedziałaś, że na Dworze Lata jesteś wrogiem publicznym numer jeden, i jest ci to obojętne?

– Nie. Ale nie winię za to ciebie.

Westchnął i spojrzał na swoje miasto. Ciepło dnia ponownie ustąpiło ukąszeniu zimy. To nie miało dla niego znaczenia.

– Może mógłbyś zwrócić Księgę, gdy zneutralizujemy Kocioł, i przeprosić.

Rhys parsknął.

– Nie. Amrena dostanie tę Księgę na tak długo, jak będzie jej potrzebowała.

– To wynagrodź mu to w jakiś sposób. Ewidentnie *ty także* chciałeś zostać jego przyjacielem; równie mocno, co on twoim. Inaczej nie byłbyś taki przybity.

– Nie jestem przybity. Jestem wkurzony.

– Semantyka.

Uśmiechnął się do mnie półgębkiem.

– Waśnie takie jak ta, którą właśnie zapoczątkowaliśmy, potrafią ciągnąć się całymi wiekami. Ba, tysiącletnimi. Jeśli to jest cena za powstrzymanie tej wojny, za udzielenie pomocy Amrenie... To ją zapłacę.

Zrozumiałam, że oddałby za to wszystko, co posiadał. Wszelką nadzieję na coś lepszego dla siebie, własne szczęście.

– Czy inni wiedzą... o krwawych rubinach?

– Azriel przyniósł je mnie. Teraz rozważam, w jaki sposób

przekazać to Amrenie.

– Dlaczego?

Mrok wypełnił te jego niezwykle oczy.

– Ponieważ w odpowiedzi wyruszyłaby do Adriaty i wymazała to miasto z mapy.

Zadrżałam.

– No właśnie – skwitował.

Wpatrywałam się razem z nim w Velaris, wsłuchiwałam w gasnące odgłosy dnia i obserwowałam nadciągającą noc. W porównaniu z tym widokiem Adriata wypadała blado.

– Rozumiem – powiedziałam, wmasowując nieco ciepła do zmarzniętych już dłoni – dlaczego zrobiłeś to, co zrobiłeś, aby ochronić to miasto.

Wyobrażenie sobie zniszczeń, jakich doznała Adriata, tu – w Velaris – zmroziło mi krew. Spojrzał na mnie zmęczonymi i zmatowiałymi oczami. Przełknęłam ślinę.

– I rozumiem – dodałam – dlaczego zrobisz wszystko, aby je ochronić w czasach, które nadejdą.

– Do czego zmierzasz?

Fatalny dzień – to był dla niego fatalny dzień. Nie skrzywiłam się na zjadliwość jego tonu.

– Przetrwaj tę wojnę, Rhysandzie, a dopiero potem martw się Tarquinem i krwawymi rubinami. Zneutralizuj moc Kotła, powstrzymaj króla od strzaskania muru i ponownego zniewolenia ludzkich krain. Całą resztą zajmiemy się, gdy już będzie po wszystkim.

– Mówisz, jakbyś planowała zostać tu przez dłuższy czas.

Na pozór obojętne, ale dziwnie zabarwione stwierdzenie.

– Mogę sobie poszukać kwatery, jeśli o to ci chodzi. Może wykorzystam moje okazałe uposażenie, aby wynająć coś z przepychem.

„No dalej. Mrugnij do mnie. Stań w słowne szranki. Tylko... przestań tak na mnie patrzeć”.

– Zostaw swoje uposażenie na później. Twoje imię zostało już dodane do listy uprawnionych do korzystania z linii kredytowych mojego domu. Możesz sobie kupować, co tylko zapragniesz. Jeśli chcesz, możesz nabyć cały cholerny dom.

Zazgrzytałam zębami i może to była panika albo desperacja, ale powiedziałam słodko:

– Widziałam tamtego wieczoru na drugim brzegu Sidry ładny sklepik. Widziałam w nim mnóstwo koronkowych drobiazgów. Je również mogę sobie kupić na twój kredyt czy też za takie rzeczy muszę płacić z własnych pieniędzy?

Zwrócił na mnie spojrzenie swoich fiołkowych oczu.

– Nie jestem w nastroju.

Ani śladu humoru czy figlarności. Mogłabym zejść na dół i ogrzać się przy kominku, ale...

On został. I walczył o mnie.

Tydzień po tygodniu – walczył o mnie. Nawet gdy nijak nie reagowałam na jego starania, nawet gdy ledwie mogłam mówić i niewiele mnie obchodziło, czy przeżyję, czy umrę; czy zjem, czy umrę z głodu. Nie mogłam go zostawić czarnym myśлом, poczuciu winy. Już wystarczająco długo dźwigał je sam.

Nie odwróciłam więc wzroku i spojrzałam mu prosto w oczy.

– Nie sądziłam, że Ilyrowie upijają się na smutno.

– Nie jestem pijany. Tylko piję – odparował, obnażając lekko zęby.

– Ponownie: semantyka. – Odchyliłam się na oparcie, ganiąc się w myślach, że nie wzięłam płaszcza. – Może jednak powinienesz być się przespać z Kresejdą. Żebyście mogli być przygnębieni i samotni razem.

– Zatem ty masz prawo do dowolnej liczby gorszych dni, a mnie nie przysługuje nawet kilka godzin?

– Och, użalaj się nad sobą, ile tylko zechcesz. Zamierzałam cię poprosić o towarzyszenie mi, gdy będę sobie kupowała tę koronkową bieliznę, ale... możesz tu siedzieć do końca świata, jeśli musisz.

Nie odpowiedział.

– Może wyślę kilka sztuk Tarquinowi – ciągnęłam dalej – i obiecuję, że założę je dla niego, jeśli nam wybaczy. Może wtedy szybciotko zabierze te krwawe rubiny z powrotem.

Kąciki jego ust leciutko, minimalnie drgnęły ku górze.

– Uznałby to za prowokację.

– Uśmiechnęłam się do niego kilka razy, a on mi podarował rodową pamiątkę. Założę się, że gdybym stanęła przed nim w samej

koronkowej bieliźnie, przekazałby mi klucze do swoich ziem.

– Ktoś tu ma o sobie strasznie wysokie mniemanie.

– A dlaczego niby nie miałabym mieć? Z tego, co widzę, ty również masz problemy z niewgapianiem się we mnie dzień i noc.

Ziarno prawdy i zarazem pytanie.

– Czy mam teraz zaprzeczyć – odparł przeciągle, chociaż w jego oczach pojawił się błysk – że uważam cię za atrakcyjną kobietę?

– Nigdy tego nie powiedziałaś.

– Wielokrotnie ci mówiłem, do tego dość często, jak jesteś urodziwa.

Wzruszyłam ramionami, chociaż wspomniałam te wszystkie razy, kiedy ignorowałam jego uwagi, uważając, że się ze mną droczy.

– Cóż, może powinienesz popracować nad prawieniem komplementów.

Błysk w jego oku zmienił się w coś drapieżnego. Gdy oparł muskularne ramiona na stole, przeszył mnie dresz podniecenia.

– Czy to jest wyzwanie, Feyro? – wymruczał.

Wytrzymałam jego drapieżne spojrzenie – spojrzenie najpotężniejszego mężczyzny w całym Prythianie – i nie odwróciłam wzroku.

– Właśnie, jest?

Jego źrenice się rozszerzyły. Zniknął cichy smutek, pragnienie odosobnienia, poczucie winy. Została tylko niebezpieczna koncentracja – na mnie. Na moich ustach. Na tańczącej krtani, gdy ja starałam się uspokoić oddech.

– Może udamy się teraz do tego sklepu, Feyro, abyś mogła przymierzyć te koronkowe drobiazgi – powiedział powoli niskim głosem. – Żebyś mógł ci pomóc wybrać te, które warto wysłać Tarquinowi.

Podkuliłam palce u stóp w wyłożonych futrem kapciach. Stąpaliśmy oboje po bardzo grząskim gruncie. Lodowaty nocny wiatr poruszył naszymi włosami.

Wtem Rhys spojrział w niebo i nie minęły dwa uderzenia serca, kiedy Azriel wyprysnął pomiędzy chmur niczym ciemna włócznia.

Nie byłam pewna, czy powinnam czuć ulgę, czy wręcz przeciwnie,

ale wróciłam do wnętrza domu, zanim Ilyr zdążył wylądować. Postanowiłam dać księciu i jego naczelnemu szpiegowi możliwość rozmowy w cztery oczy.

Gdy tylko znalazłam się w półmroku schodów, całe ciepło ze mnie odpłynęło, pozostawiając po sobie nieprzyjemny chłód w żołądku.

Jedna rzecz: flirtować, a druga... robić coś takiego.

Kochałam Tamlina. Kochałam go tak bardzo, że nie przeszkadzało mi zniszczenie siebie dla tej miłości – dla niego. A potem wydarzyło się tyle rzeczy i oto byłam tu i teraz, i... i mało brakowało, a poszłabym z Rhysandem do tego sklepiku.

Wyobrażałam sobie, co się mogło tam wydarzyć:

Obsługa byłaby miła – nieco nerwowa – i dałaby nam trochę prywatności. Rhys usiadłby na sofie w głębi sklepu, podczas gdy ja udałabym się do odgradzonego zasłoną pomieszczenia, aby przymierzyć czerwony koronkowy zestaw, któremu się przyglądałam już trzy razy. Kiedy bym wyszła, zbierając się na większą odwagę, niż mogłam teraz znaleźć, Rhys zlustrowałby mnie od stóp do głów. Dwa razy.

I nie spuszczałby ze mnie wzroku, gdy informowałby panie z obsługi, że sklep jest już zamknięty i mogą wrócić jutro rano, a my zostawimy kwit na ladzie.

Stałabym tam naga poza kilkoma skrawkami czerwonej koronki, podczas gdy on wsłuchiwałby się w odgłosy pośpiesznego i dyskretnego opuszczania sklepu i zamykania drzwi.

Przez cały ten czas patrzyłby na mnie – na moje piersi prześwitujące przez koronkę; na mój brzuch, w końcu niezapadnięty z wygłodzenia i twardy. Na krzywiznę bioder i ud – na miejsce między nimi. W końcu wróciłby wzrokiem do moich oczu, skinął na mnie palcem i wymruczał dwa słowa: „Chodź tu”.

A ja bym podeszła, świadoma każdego kroku, i zatrzymała tuż przed nim. Między jego nogami.

Przesunąłby dłonie w górę na moją talię. Zgrubienia na jego palcach drapałyby skórę. Potem przyciągnąłby mnie nieco do siebie i nachylił, żeby musnąć wargami mój pępek. Jego język...

Zakłęłam, kiedy wpadłam prosto w słup na podeście schodów.

Zamrugałam... powoli wracała świadomość otaczającego mnie

świata i pojęłam...

Spojrzałam wściekle na oko wytatuowane na mojej dłoni i wysyczałam przez zęby i jednocześnie tym niemym głosem w łączącej nas więzi:

– *Sukinsyn.*

Z tyłu myśli zmysłowy męski głos zaniósł się śmiechem przypominającym środek ciemnej nocy.

Z twarzą gorejącą od silnego rumieńca, przeklinając go za tę wizję, którą przemycił przez szczelinę w mojej mentalnej barierze, wzmocniłam ją i weszłam do swojego pokoju. Po czym wzięłam bardzo, bardzo zimną kąpiel.

Tego wieczoru zjadłam kolację z Mor przy trzaskającym ogniu w jadalni na dole. Rhys i pozostali byli gdzieś indziej. Kiedy zapytała, czemu krzywię się na każdą jej wzmiankę o Rhysandzie, opowiedziałam jej o wizji, którą przesłał mi do głowy. Śmiała się tak długo i mocno, że aż wino poszło jej nosem. A kiedy skrzywiłam się na nią, stwierdziła, że powinnam być z siebie dumna: kiedy Rhys był gotowy pogrążyć się w czarnych myślach, potrzeba było cudu, żeby go wyrwać z otępienia.

Próbowałam zignorować nieśmiałe uczucie triumfu – nawet gdy już kładłam się do łóżka.

Kiedy dobrze po drugiej w nocy, po wielogodzinnych pogaduszkach z Mor o wszystkich wspaniałych i strasznych miejscach, które widziała – zaczynałam powoli odpływać, dom jęknął.

Tak jakby drewno było skręcane, wypaczane. Cały dom trzeszczał i się trząsał; barwione szkło kandelabru w moim pokoju podzwaniało.

Zerwałam się i obróciłam ku otwartemu oknu. Bezchmurne niebo, nic... nic poza ciemnością przesączającą się do mojego pokoju przez drzwi na korytarz.

Znałam tę ciemność. Jej cząstka żyła we mnie.

Tryskała przez szpary drzwi, jakby były tamą wstrzymującą falę powodziową. Dom ponownie się zatrzęsał.

Wyskoczyłam z łóżka i otworzyłam drzwi na oścież. Ciemność przepłynęła obok mnie na fantomowym wietrze, pełna gwiazd,

trzepoczących skrzydeł i... bólu.

Tak wielkiego bólu i rozpacz, poczucia winy i strachu.

Wypadłam na korytarz, całkowicie ślepa w nieprzeniknionym mroku. Ale łączyła nas nić i to za nią podążyłam – tam, gdzie znajdował się jego pokój. Przez chwilę szukałam po omacku klamki, a potem...

Jeszcze więcej nocy, gwiazd i wiatru runęło na mnie. Włosy targał mi silny wiatr; uniosłam ramię, aby osłonić twarz, i weszłam do środka.

– Rhysand.

Bez odpowiedzi. Ale wyczuwałam go tu, czułam tę łączącą nas linię ducha. Podążałam za nią, aż uderzyłam piszczelem w coś, co musiało być jego łóżkiem.

– Rhysand! – zawołałam w ciemności, próbując przekrzyczeć wiatr.

Dom zadygotał, deski podłogi zaklekotały pode mną. Poklepałam łóżko – prześcieradło, koce, dalej, aż w końcu...

Twarde, wyprężone męskie ciało. Ale łóżko było ogromne i nie mogłam go porządnie chwycić.

– *Rhysand!*

Ciemność wirowała wkoło i wkoło, początek i koniec świata.

Wgramoliłam się na łóżko i rzuciłam w jego stronę. Chwyciłam go chyba za ramię, potem natrafiłam na brzuch, w końcu odnalazłam barki. Jego skóra była lodowata w dotyku. Chwyciłam go mocno i wykrzyknęłam jego imię.

Żadnej reakcji. Przesunęłam dłoń wzdłuż szyi do ust, żeby sprawdzić, czy jeszcze oddycha, czy to nie była jego moc opuszczająca ciało...

Poczułam na skórze lodowaty oddech. Zebrałam się w sobie, uniosłam na kolanach, wycelowałam na oślep i uderzyłam go otwartą dłonią.

Skóra mnie zapiekła, ale on się nawet nie poruszył. Uderzyłam ponownie, szarpnęłam łączącą nas więź, wykrzykiwałam jego imię wzdłuż niej, jakby była tunelem, waliłam w tę ścianę czarnego jak smoła adamantu w jego umyśle, ryczałam na nią.

W ciemności pojawiło się pęknięcie.

Wtem pochwycił mnie, rzucił na łóżko, przyszpilił do materaca

z wprawą wyszkolonego wojownika i ścisnął moje gardło szponiastą dłonią.

Zamarłam.

– Rhysand – wyszeptałam. – Rhys – powiedziałam wzdłuż więzi, kładąc dłoń na jego wewnętrznej tarczy.

Ciemność zadrżała.

Cisnęłam przed siebie własną mocą – czerń do czerni, kojąc jego ciemność, wygładzając zadziory, nakazując jej się uspokoić, zmięknąć. Moja ciemność śpiewała kołysankę, piosnkę, którą nuciła mi piastunka, gdy matka wciskała mnie w jej ramiona, żeby móc wrócić na przyjęcie.

– To był tylko sen – powiedziałam. Jego dłoń była taka zimna. – To był sen.

Ponownie mrok się zawahał. Posłałam własne woale nocy, by się o niego otarły; pogładziłam go nakrapianymi gwiazdami dłońmi.

W czasie oddzielającym jedno uderzenie serca od drugiego atramentowa czerń rozjaśniła się na tyle, żebym zdołała dostrzec jego twarz nade mną: ściągniętą, z bladymi wargami, rozszerzonymi fiołkowymi oczami – przyglądającymi się mnie.

– Feyra – powiedziałam. – To ja, Feyra.

Oddychał chrapliwie, nierówno. Chwyciłam nadgarstek dłoni, którą trzymał na moim gardle – trzymał, nie zaciskał.

– To był sen.

Nakazałam ciemności wewnątrz mnie odbić mój głos echem, ukoić śpiewem te szalejące lęki, otrzeć się o tę smoliście czarną ścianę jego umysłu, delikatnie i miękko...

A potem, jak śnieg strząśnięty z drzewa, jego ciemność opadła, zabierając moją ze sobą.

Do pokoju wlał się blask księżycy – a wraz z nim dźwięki miasta.

Jego pokój przypominał mój. Wielkie łóżko miało pewnie pomieścić skrzydła, ale wszystko zostało gustownie i wygodnie zaaranżowane. Tkwił nade mną nagi – całkiem nagi. Nie ośmieliłam się spojrzeć niżej niż wytatuowana pierś.

– Feyra – powiedział ochryplym głosem, tak jakby długo krzyczał.

– Tak.

Przyjrzał się mojej twarzy, szponiastej dłoni na moim gardle.

I natychmiast mnie puścił.

Leżałam bez ruchu, wpatrując się w niego klęczącego na łóżku i pocierającego twarz dłońmi. Moje zdradzieckie oczy ośmieliły się jednak spojrzeć niżej niż jego klatka piersiowa, ale moją uwagę przyciągnęły bliźniacze tatuaże na kolanach: potężna góra ukoronowana trzema gwiazdami. Piękne, ale jednocześnie w pewien sposób okrutne.

– Miałeś jakiś koszmar – powiedziałam, dźwigając się do pozycji siedzącej.

Czułam się, jakby wewnątrz mnie pękła jakaś tama. Spojrzałam na swoją dłoń i nakazałam jej rozmyć się w cieniu. Posłuchała.

Pół myśli ponownie rozproszyło ciemność.

Jednak jego dłonie wciąż kończyły się długimi czarnymi szponami, a stopy... pazurami. Skrzydła leżały bezwładnie na łóżku za nim. Zastanawiałam się, jak blisko był całkowitej przemiany w tę bestię, której – jak mi kiedyś powiedział – nienawidził.

Opuścił dłonie. Szpony zmieniły się w palce.

– Przepraszam.

– Dlatego nocujesz tutaj, a nie w Domu Wiatru. Nie chcesz, żeby inni to zobaczyli.

– Zwykle pozostaje to w ścianach mojego pokoju. Przepraszam, że cię obudziło.

Zacisnęłam dłonie w pięści na kolanach, aby powstrzymać się od dotknięcia go.

– Jak często ci się to przydarza?

Fiołkowe oczy Rhysa napotkały moje i poznałam odpowiedź, zanim ją wymówił na głos.

– Równie często, co tobie.

Przełknęłam z trudem ślinę.

– O czym dziś śniłeś?

Pokręcił głową i spojrzał w stronę okna, na przyprószone śniegiem pobliskie dachy.

– Są wspomnienia spod Góry, Feyro, których lepiej jest z nikim nie dzielić. Nawet z tobą.

Podzielił się ze mną wystarczająco wieloma koszmarowymi rzeczami. A skoro te miały być... gorsze od koszmarów... Położyłam

dłoń na jego łokciu, nie zważając na jego nagość.

– Kiedy będziesz chciał o tym porozmawiać, daj mi znać. Nie powiem pozostałym.

Zrobiłam ruch w stronę brzegu łóżka, ale wtedy on chwycił moją dłoń i przycisnął ją do swojej ręki.

– Dziękuję.

Przyjrzałam się dłoni, zmęczonej twarzy. Malował się na niej taki ból... takie wyczerpanie. Tej twarzy nie pozwalał zobaczyć nikomu innemu.

Dźwignęłam się na kolana i pocałowałam go w policzek. Jego skóra była ciepła i miękka pod moimi wargami. Skończyło się, zanim się na dobre zaczęło, ale... przez ile nocy pragnęłam, żeby ktoś zrobił to dla mnie?

Gdy się odsunęłam, miał lekko rozszerzone źrenice. Nie zatrzymywał mnie, gdy schodziłam z łóżka na podłogę. Byłam już prawie na korytarzu, kiedy zdecydowałam się odwrócić jeszcze do niego.

Wciąż klęczał ze skrzydłami zalegającymi na białej pościeli, z pochyloną głową. Tatuaze odcinały się ostro od złotej skóry. Mroczny upadły książę.

Obraz mignął mi przed oczami.

Mignął... i pozostał w moich myślach, lśniący, a po chwili zgasł.

Ale pozostał, świecąc lekko, w tej dziurze w mojej piersi.

Dziurze, która powoli zaczynała się goić.

Rozdział 39

Sądysz, że zdołasz ją rozszyfrować, gdy zdobędziemy drugą połowę? – zapytałam następnego popołudnia Amrenę stojącą pod drzwiami wejściowymi do jej mieszkania.

Należało do niej szczytowe piętro trzykondygnacyjnego budynku. Pochyły sufit kończył się po obu stronach wielkimi oknami. Jedno wychodziło na Sidrę, drugie zaś – na okolony drzewami plac.

Mieszkanie było tak naprawdę jednym wielkim pokojem: wyblakła dębowa podłoga była zasłana równie wyblakłymi dywanikami. Meble rozstawione bez ładu ni składu wyglądały, jakby Amrena ciągle je z jakiegoś powodu przestawiała z miejsca na miejsce.

Jedynie łóżko – olbrzymie monstrum z półprzejrzystym baldachimem – zdawało się mieć stałe miejsce pod jedną ze ścian.

Nie było części kuchennej, a jedynie długi stół i palenisko wykorzystywane tak intensywnie, że powietrze niemal falowało od gorąca. Jeszcze przed południem ostre zimowe słońce stopiło cienką pokrywę śniegu, który napadał w nocy. Powietrze na zewnątrz było rześkie, ale temperatura na tyle przyjemna, że spacer tutaj podziałał na mnie pobudzająco.

Siedziałam na podłodze przed niskim stołem zarzuconym papierami. Amrena uniosła wzrok znad lśniącego metalu książki. Twarz i usta miała bledsze niż zwykle.

– Wiele czasu minęło, odkąd ostatni raz przyszło mi używać tego języka. Chcę go sobie przypomnieć, zanim zmierzę się z Księgą. Mam nadzieję, że do tego czasu te pyszałkowate królowe przekażą nam swoją część.

– Ile może potrwać przypomnienie sobie tego języka?

– Czy Jego Mroczność niczego ci nie wyjaśnił?

Wróciła do studiowania Księgi.

Podeszłam do długiego drewnianego stołu i postawiłam na jego porysowanym blacie pakunek, który przyniosłam. Kilka kwatek gorącej krwi – prosto od rzeźnika. Niemal biegłam tu, aby nie wystygła.

– Nie – odparłam, wyjmując pojemniki z zawiniątka. – Nie wyjaśnił.

Gdy zesłam na śniadanie, Rhysa już nie było. Na stoliku przy łóżku znalazłam liścik od niego. „Dziękuję – za wczoraj”. Tylko tyle. Żadnego pióra, żeby napisać odpowiedź.

Znalazłam jakieś na własną rękę i odpisałam: „Co oznaczają gwiazdy i góra wytatuowane na twoich kolanach?”.

Papier zniknął uderzenie serca później. Gdy przez dłuższy czas nie wracał, ubrałam się i zesłam zjeść śniadanie. Byłam w połowie jajek i grzanki, gdy obok talerza pojawiła się starannie złożona kartka.

„Że nie ukłonię się przed nikim i niczym poza moją koroną”.

Tym razem z liścikiem pojawiło się pióro. Odpisałam jedynie: „Przesadny dramatyzm”. Przysięgłabym, że przez naszą więź, po drugiej stronie mojej umysłowej tarczy, usłyszałam jego śmiech.

Uśmiechnęłam się na to wspomnienie i odkręciłam przykrywkę pierwszego słoika. Nozdrza wypełniła mi ostra woń krwi. Amrena pociągnęła nosem, po czym gwałtownie obróciła głowę w stronę szklanych naczyń.

– Ty... och, lubię cię.

– Jagnięca, jeśli to dla ciebie jakaś różnica. Chcesz, żebym ci podgrzała?

Zostawiła Księżę i pośpieszyła do mnie. Tylko się przyglądałam, gdy chwyciła słoik obiema dłońmi i zaczęła pić duszkiem, jakby to była woda.

Cóż, przynajmniej nie będę musiała szukać tu garnka.

Przestała pić, gdy opróżniła połowę naczynia. Strużka krwi spłynęła jej po brodzie. Pozwoliła jej skapnąć na szarą koszulę, która była pognieciona bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. Cmoknęła głośno i odstawiła słoik na stół z długim westchnięciem. Krew lśniła na jej zębach.

– Dziękuję.

– Masz jakąś ulubioną?

Poruszyła brodą, po czym – gdy zorientowała się, że jest brudna – wytarła ją serwetką.

– Zawsze najbardziej lubiłam jagnięcą. Jakkolwiek okropna by nie była.

– Nie... ludzka?

Skrzywiła się.

– Wodnista. Do tego często smakuje tym, co ostatnio jedli.

A ponieważ większość ludzi ma fatalny gust, to zbyt duże ryzyko. Ale jagnięca... Kozia też lubię. Krew jest czystsza. Wyrazistsza. Przypomina mi... inne czasy. I inne miejsce.

– Ciekawe – powiedziałam szczerze.

Zastanawiałam się, jaki dokładnie świat miała na myśli.

Dopiła do dna. Na jej twarz już zaczęły wracać kolory. Odstawiła pusty słoik do niewielkiego zlewu pod ścianą.

– Sądziłam, że twoje mieszkanie będzie bardziej... zdobne – przyznałam.

Wszystkie jej najlepsze ubrania wisiały na stojakach koło łóżka. Biżuteria leżała rozrzucona po kilku komodach i stołach. Tej ostatniej było dość, by opłacić okup za cesarza.

Wzruszyła ramionami i opadła z powrotem na podłogę przy Księdze.

– Kiedyś tego próbowałam. Znudziło mnie. I nie podobało mi się trzymanie służby. Zbyt wścibska. Mieszkałam w pałacach i w chatach, we wnętrzach gór i na plaży, ale jakoś najbardziej lubię to mieszkanie niedaleko rzeki. Spojrzała ze zmarszczonym czołem na świetliki rozrzucone po suficie. – Oznacza to też, że nie muszę nigdy urządzić przyjęć ani przyjmować gości. Jednego i drugiego żywnie nienawidzę.

Zachichotałam.

– Zatem skróć moją wizytę, jak tylko zdołam.

Parsknęła z rozbawieniem i skrzyżowała nogi.

– Dlaczego właściwie tu jesteś?

– Kasjan powiedział, że siedzisz tu dzień i noc, odkąd tylko wróciliśmy. Pomyślałam, że możesz być głodna. I... nie miałam nic innego do roboty.

– Kasjan to straszna papla.

– Troszczy się o ciebie. O was wszystkich. Jesteście jego jedyną rodziną.

Wszyscy byli dla siebie nawzajem jedyną rodziną.

– Ach – zachnęła się i przyjrzała uważnie jakiemuś kawałkowi papieru.

Ale odniosłam wrażenie, że mimo wszystko mile ją to polechtało. Wtem moją uwagę przyciągnął błysk koloru na podłodze koło niej.

Używała krwawego rubinu jako przycisku do papieru.

– Rhys przekonał cię, żebyś nie niszczyła Adriaty w odpowiedzi na przesłanie krwawego rubinu?

Amrena spojrzała na mnie wzrokiem pełnym sztormów i wzburzonych mórz.

– Nic takiego nie zrobił. *To* przekonało mnie, żeby nie niszczyć Adriaty.

Wskazała swoją toaletkę.

Na blacie niczym wąż leżał bardzo znajomy naszyjnik z diamentami i rubinami. Widziałam go już... w skarbcu Tarquina.

– Jak... co?

Amrena uśmiechnęła się pod nosem.

– Varian mi go wysłał. Żeby złagodzić deklarację śmiertelnej waśni ze strony Tarquina.

Wtedy, w skarbcu, uznałam, że te rubiny powinna nosić potężna kobieta – nie przychodziła mi na myśl potężniejsza od tej przede mną.

– Czy ty i Varian...

– Kuszące, ale nie. Ten kutas nie potrafił się zdecydować, czy mnie nienawidzi, czy pragnie.

– Czemu nie mógłby czuć obu tych rzeczy naraz?

Zachichotała cicho.

– W rzeczy samej.

I tak zaczęły się tygodnie wyczekiwania. Wyczekiwania, aż Amrena przypomni sobie język, którym nie władał nikt inny w naszym świecie. Wyczekiwania, aż królowe śmiertelników odpowiedzą na naszą prośbę o spotkanie.

Azriel nie ustawał w próbach przedostania się na ich dwory – wciąż bez powodzenia. Słyszałam o tym głównie od Mor, która zawsze wiedziała, kiedy miał wrócić do Domu Wiatru, i pilnowała, aby być tam w chwili, kiedy się pojawi.

W rozmowach ze mną nie wchodziła w szczegóły – o tym, jak

frustrują go nieudane próby umieszczenia na tych dworach swoich szpiegów lub przedostania się na nie samemu, nie wspominała praktycznie ani słowem. Standardy, które sobie wyznaczył, jak mi zdradziła, graniczyły z masochizmem.

Przekonanie Azriela do poświęcenia choć odrobiny czasu samemu sobie, a nie jedynie pracy i treningom, było praktycznie niemożliwe. Kiedy zauważyłam, że przecież udał się z nią do lokalu Rity, gdy Mor go o to poprosiła, powiedziała mi, że nakłonienie go do tego zajęło jej *cztery stulecia*. Czasem zastanawiałam się, co się działo w Domu Wiatru, gdy Rhys i ja zostawaliśmy w mieście.

Udawałam się tam w zasadzie tylko rankami, kiedy to pierwszą połowę dnia wypełniałam treningami z Kasjanem, który – wraz z Mor – uznał za stosowne wskazać, co powinnam jeść, aby odzyskać stracone kilogramy, a razem z nimi moją siłę i szybkość. W miarę jak mijały kolejne dni, przeszłam od obrony w walce wręcz do nauki posługiwania się ilyryjskim ostrzem – bronią tak doskonale ostrą, że niemal odrąbałam Kasjanowi ramię.

Ale uczyłam się nią posługiwać – powoli. Mozolnie i z bólem. Odpoczynek od ciężkich ćwiczeń z Kasjanem miałam tylko raz; tylko jeden poranek, kiedy poleciał do krain ludzkich, aby sprawdzić, czy moje siostry mają wieści od królowych, i dostarczyć *kolejny* list do nich od Rhysa.

Domyśliłam się, że jego spotkanie z Nestą przebiegło tak kiepsko, jak to sobie potrafiłam wyobrazić, ponieważ moja lekcja następnego dnia była dłuższa i cięższa niż kilka poprzednich. Zapytałam go, co dokładnie Nesta mu powiedziała, że tak bardzo zalażła mu za skórę. Ale Kasjan tylko warknął na mnie, kazał mi pilnować własnego nosa i oznajmił, że wszystkie kobiety w mojej rodzinie są apodyktyczne i zarozumiałe.

Zastanawiałam się, czy Kasjan i Varian nie powinni wymienić się doświadczeniami.

Popołudniami... jeśli Rhys był na miejscu, trenowałam z nim. Umysł z umysłem, moc z mocą. Stopniowo przerabialiśmy moce, którymi zostałam obdarowana – ogień i woda, lód i ciemność. Wiedzieliśmy też, że były jeszcze inne, których dotąd nie odkryliśmy i nie zgłębiliśmy. Przeskakiwanie cały czas wykraczało poza moje

możliwości. Nie zdołałam tego powtórzyć od tamtego śnieżnego poranka z attorem.

Za każdym razem, gdy frustrację po kolejnym niepowodzeniu wylewałam na niego, Rhys powtarzał mi, że na naukę i opanowanie każdego daru z osobna trzeba czasu.

Każdą lekcję okraszał wiadomościami o księciu, którego moc skradłam: o Beronie, okrutnym i próżnym księciu Dworu Jesieni; o Kalliasie, małomównym i przebiegłym księciu Zimy; o Helionie Czaroniszczu, księciu Dnia, którego tysiąc bibliotek zostało złupionych osobiście przez Amaranthę i którego mądry lud słyszał ze snucia zaklęć i archiwizowania całej wiedzy Prythianu.

Według słów Rhysa wiedza o tym, *od kogo* pochodziła moja moc, była równie istotna, jak zgłębienie natury jej samej. Nigdy nie rozmawialiśmy o zmienności kształtu – o szponach, które czasem przywoływałam. Nici, które nam towarzyszyły w przypadku tej mocy, były zbyt splątane, niewypowiedziana historia zbyt gwałtowna i krwawa.

Poznawałam więc politykę i przeszłość innych dworów, zgłębiałam moce ich władców, aż w każdej godzinie snu i jawy w mych ustach płonął ogień a między palcami trzaskał szron. Każdej nocy, wyczerpana po całym dniu doskonalenia mojego ciała i umysłu, osuwałam się w głęboki sen podszyty ciemnością pachnącą jaśminem.

Byłam zbyt wyczerpana, by moje koszmary mogły mnie prześladować.

Zdarzało się, że Rhys musiał być gdzie indziej, by zajmować się wewnętrznymi sprawami swojego dworu – aby przypomnieć swoim poddanym, kto nimi rządził, albo sprawować sąd. W takie dni, by przygotowywać się do nieuniknionej wyprawy na Hybernię, czytałam, przesiadywałam z Amreną ślęczącą nad Księżą lub przechadzałam się ulicami Velaris razem z Mor. Najbardziej lubiłam te przechadzki, a kuzynka Rhysa zdecydowanie była mistrzynią w wynajdywaniu sposobów na wydawanie pieniędzy. Tylko raz zajrzałam na zapisy rachunku, który Rhys dla mnie otworzył – tylko raz. I zobaczyłam, że płaci mi o wiele, *wiele* za dużo.

Próbowałam nie czuć rozczarowania w te popołudnia, kiedy go nie było. Starłam się nie przyznawać sama przed sobą, że wyczekiwałam na

wspólne ćwiczenia moich mocy i... gawędzenia z nim. Ale nawet kiedy go nie było, rozmawiał ze mną – poprzez liściki, które stały się naszą dziwną tajemnicą.

Pewnego dnia napisał do mnie z Cesere, niewielkiego miasta na północnym zachodzie, gdzie spotykał się z garstką pozostałych przy życiu kapłanek w celu omówienia odbudowy ich świątyni zniszczonej przez siły Hybernii. Zapewniał, że żadna z nich nie była taka jak Iantha.

„Opowiedz mi o malowaniu”.

Dzięki powrotowi łagodniejszej pogody fontanna w końcu znowu mogła działać, więc odpisałam mu z fotela stojącego w ogrodzie: „Nie ma zbyt wiele do opowiadania”.

„Opowiedz mi mimo to”.

Sformułowanie odpowiedzi zajęło mi trochę czasu. Musiałam zastanowić się nad tą małą dziurą we mnie; nad tym, co to kiedyś dla mnie znaczyło i jakie to było uczucie. W końcu napisałam: „Był czas, kiedy wszystko, czego pragnęłam, to mieć dość pieniędzy, żeby nakarmić siebie i rodzinę, abym mogła spędzać dni na malowaniu. To było wszystko, czego pragnęłam. Zawsze”.

Przerwa. Potem jego odpowiedź: „A teraz?”.

„Teraz nie wiem, czego chcę. Nie mogę już malować”.

„Dlaczego?”.

„Ponieważ ta część mojej duszy jest pusta”.

Chociaż może tamtej nocy, kiedy patrzyłam na niego klęczącego na łóżku... może wtedy to się nieco zmieniło. Zastanowiłam się nad następnym zdaniem i po chwili dopisałam: „Czy zawsze chciałeś być księciem?”.

Ponownie dłuższa przerwa. „Tak. I nie. Przyglądałem się, jak ojciec sprawuje rządy, i od wczesnych lat wiedziałem, że nie chcę być taki jak on. Zdecydowałem więc być innym księciem. Chciałem chronić mój lud, zmienić postrzeżenie Ilyrów i wyeliminować korupcję, która się pleniła w całej krainie”.

Przez chwilę nie mogłam się powstrzymać od porównania: Tamlin nie chciał być księciem. Nienawidził tego... i może... może częściowo dlatego jego dwór stał się tym, czym był. Ale Rhysand, z wizją, z wolą i pragnieniem, z pasją... On coś zbudował.

A potem dał się rozłożyć na obie łopatki, aby tego bronić.

To samo dostrzegł u Tarquina i dlatego te krwawe rubiny tak bardzo go poruszyły. Kolejny książę z wizją... radykalną wizją przyszłości Prythianu.

Odpisałam zatem: „Przynajmniej swoje bezwstydne flirtowanie nadrabiasz byciem wspaniałym księciem”.

Wrócił tego wieczoru z uśmiechem kota, który zjadł kanarka. W ramach przywitania powiedział tylko: „Wspaniałym księciem?”.

Wysłałam wiadro wody prosto w jego twarz.

Nawet nie próbował się przed nią osłonić. Potrząsnął tylko głową jak otrzepujący się pies, chlapiąc na mnie tak długo, aż krzyknęłam i umknęłam. Jego śmiech gonił mnie po schodach.

Zima powoli łagodziła swój uścisk, gdy pewnego ranka przebudziłam się i znalazłam przy łóżku kolejny liścik od Rhysa. Bez pióra.

„Dziś rano nie będzie treningu z Twoim drugim ulubionym Ilyrem. Królowe w końcu uznały za stosowne odpisać. Jutro przybywają do rezydencji Twojej rodziny”.

Nie miałam czasu się zdenerwować. Wyruszyliśmy po kolacji i wlecieliśmy nad mroźne ziemie ludzi pod osłoną ciemności. Lodowaty wiatr wył, gdy Rhys szybował, przyciskając mnie mocno do siebie.

Następnego ranka moje siostry były już gotowe. Obie przywdziały suknie tak szykowne, że mogłyby podjąć dowolną królową świata – fae czy śmiertelną.

Uważałam, że też ubrałam się odpowiednio.

Miałam na sobie białą suknię z szyfonu i jedwabiu, skrojoną na typową modłę Dworu Nocy, odsłaniającą tu i ówdzie skórę, ze złotymi akcentami na spódnicy lśniącymi w porannych promieniach słońca wlewających się przez okna do pokoju dziennego. Mój ojciec szczęśliwie miał pozostać na kontynencie jeszcze przez kolejne dwa miesiące w związku z palącymi sprawami handlowymi w tamtejszych królestwach.

Stałam przy kominku obok Rhysa ubranego w jego zwyczajową

czerń. Skrzydła pozostawały niewidoczne, a na twarz przywołał maskę spokoju. Tylko ciemna korona na jego głowie – metal uformowany w krucze pióra – była inna. Bliźniaczo podobna do mojego złotego diademu.

Kasjan i Azriel obserwowali całe pomieszczenie spod przeciwległej ściany. Nie mieli żadnej widocznej broni, ale ich syfony lśniły jasno. Zastanawiałam się, jaki właściwie oręż zdołaliby dzięki nim stworzyć, gdyby zaszła taka potrzeba. Taki był bowiem jeden z postawionych przez królowe warunków odbycia tego spotkania: żadnej broni. Chociaż ilyryjscy wojownicy w zasadzie sami byli chodzącą bronią.

Mor, ubrana w czerwoną suknię podobną do mojej, postukując stopą o bogato zdobiony dywan, spojrzała spod zmarszczonych brwi na zegar stojący na białej obudowie kominka. Mimo że wyraziła chęć poznania się z moimi siostrami, Nesta i Elaina były tak spięte i blade, gdy przybyliśmy, że błyskawicznie doszłam do wniosku, że teraz nie był najlepszy czas na przedstawianie ich sobie.

Kiedys – kiedyś je wszystkie ze sobą poznam. Jeśli wcześniej nie zginiemy w tej wojnie. Jeśli królowe zdecydują się nam pomóc.

Wybiła jedenasta.

Postawiono nam jeszcze dwa warunki.

Spotkanie miało rozpocząć się o jedenastej. Nie wcześniej. Nie później.

Chciały też poznać dokładne położenie domu. Rozkład i wielkość każdego pomieszczenia. Rozstawienie mebli. Położenie okien i drzwi. Chciały wskazania pokoju, w którym je powitamy.

Azriel, z pomocą moich sióstr, przekazał wszystkie te informacje.

Jedynym dźwiękiem w całym domu było bicie zegara.

Gdy zabrzmiało ostatnie uderzenie, zrozumiałam, że trzecie żądanie nie było podyktowane wyłącznie względami bezpieczeństwa.

Nie; gdy przez pokój powiał wiatr i pojawiło się pięć postaci, każda z dwoma strażnikami, pojęłam, że potrzebowały tak dokładnych informacji, ponieważ królowe potrafiły przeskakiwać w odległe miejsca.

Rozdział 40

Królowe śmiertelników były w różnym wieku, o różnych kolorach skóry, różnym wzroście i różnym usposobieniu. Najstarsza z nich, ubrana w haftowaną wełnianą suknię w kolorze najgłębszego granatu, miała brązową skórę i bystre zimne oczy. Pomimo głębokich zmarszczek wyżłobionych w jej twarzy trzymała się prosto.

Dwie wyglądające na będące w sile wieku były swoimi przeciwieństwami: jedna białoskóra, jedna ciemnoskóra; jedna o słodkiej twarzy, jedna o rysach jak wyciosanych w granicie; jedna uśmiechnięta, jedna marszcząca brwi. Miały nawet kontrastowe suknie – białą i czarną – i zdawały się być dla siebie niczym pytanie i odpowiedź. Zastanawiałam się, jak wyglądały ich królestwa, jakie były między nimi stosunki. Czy bliźniacze srebrne pierścienie na ich dłoniach wiązały je ze sobą na inne sposoby.

A dwie najmłodsze... Pierwsza była może o kilka lat starsza ode mnie. Miała czarne włosy i czarne oczy, którymi obserwowała nas bacznie. Z każdego pora jej skóry zdawała się sączyć ostrożna przebiegłość.

Ostatnia królowa – ta, która przemówiła jako pierwsza – była najpiękniejsza. Czy raczej jedyna spośród nich, o której można było powiedzieć, że jest piękna. Były to kobiety, które – pomimo bogatych strojów – nie dbały o to, czy były młode, czy stare, grube czy chude, niskie czy wysokie. Te rzeczy miały dla nich drugorzędne znaczenie. To były drobnostki.

Ale ta jedna, ta piękna królowa, mająca chyba nie więcej niż trzydzieści lat...

Jej niesfornie kręcone włosy miały ten sam intensywnie złoty odcień co włosy Mor, a jej oczy lśniły barwą najczystszej bursztynu. Nawet brązowa, pokryta piegami skóra zdawała się być przyprószona złotem. Sylwetkę miała zaokrągloną w miejscach, o których zapewne doskonale wiedziała, że potrafią skutecznie rozpraszać mężczyzn, a jednocześnie smukłą tam, gdzie przydawało jej to wdzięku. Lwica w ludzkiej skórze.

– To dla nas zaszczyt – powitał je Rhysand, nie ruszając się

z miejsca. Strażnicy rozglądali się po pomieszczeniu z kamiennymi twarzami, przyglądali się nam. Teraz królowe mierzyły nas wzrokiem.

Pokój dzienny był na tyle wielki, że na skinienie głowy złotej królowej strażnicy rozstawili się pod ścianami i przy drzwiach. Moje siostry, stojące cicho przy wielkim oknie, usunęły się na bok, aby zrobić miejsce jednemu z nich.

Rhys wystąpił naprzód. Wszystkie królowe nabrały z cichym sykiem powietrza, tak jakby szykowały się na coś groźnego. Ich strażnicy niby od niechcienia, może głupio, położyli dłonie na rękojeściach swoich długich mieczy – tak dużych i nieporęcznych w porównaniu z ilyryjskimi ostrzami. Tak jakby mieli jakiegokolwiek szansę – przeciwko dowolnemu z nas. Włącznie ze mną, uświadomiłam sobie z pewną przyjemnością.

Ale to Kasjan i Azriel odgrywali dzisiaj rolę zwykłych strażników – dla odwrócenia uwagi.

Rhys skłonił lekko głowę.

– Jesteśmy wdzięczni, że raczyłyście przyjąć nasze zaproszenie – zwrócił się do królowych. Uniósł brew. – Ale gdzie jest szósta z was?

– Jest niedysponowana i nie mogła sobie pozwolić na tę podróż – odparła najstarsza z kobiet, ta w ciężkiej i kosztownej granatowej sukni, po czym przyjrzała się mnie. – Tyś jest emisariuszką.

Zesztywniałam. Pod jej spojrzeniem moja korona sprawiała wrażenie kiepskiego dowcipu, zwykłej błyskotki, ale...

– Tak – powiedziałam. – Nazywam się Feyra.

Rzuciła spojrzenie Rhysandowi.

– A tyś jest tym księciem, który przesłał nam jakże ciekawy list po pozostawieniu poprzednich bez odpowiedzi.

Nie poważylam się spojrzeć na niego. Przekazał już ich tyle przez moje siostry.

„Nie pytałaś, co w nich napisałem” – powiedział w moich myślach ze śmiechem tańczącym wzdłuż łączącej nas więzi. Mojego umysłu nie chroniła tarcza – na wypadek, gdybyśmy musieli się porozumiewać bezgłośnie.

– To ja – odparł Rhysand z ledwo zauważalnym kiwnięciem głową.
– A to jest moja kuzynka, Morrigan.

Mor podeszła do nas ze spódnicą szkarłatnej sukni powiewającą na fantomowym wietrze. Złota królowa obserwowała każdy jej krok, każdy oddech. Zagrożenie – dla piękna, potęgi i dominacji. Mor stanęła obok mnie i się skłoniła.

– Minęło wiele czasu, odkąd dane mi było spotkać królową śmiertelników.

Ubrana na czarno królowa położyła bladą jak księżyc dłoń na mostku.

– Morrigan... *ta* Morrigan z wielkiej wojny.

Wszystkie zamarły jakby w wielkim zaskoczeniu. A także częściowo w podziwieniu i lęku.

Mor ponownie się ukloniła.

– Proszę, spocznijcie.

Wskazała krzesła, które przygotowaliśmy, stojące w pewnej odległości jedno od drugiego, tak aby strażnicy mogli w razie czego stanąć przy swoich królowych.

Kobiety usiadły w niemal doskonałej synchronizacji. Zbrojni pozostali jednak rozstawieni po całym pomieszczeniu.

– Zakładam, że to są nasze gospodynie – powiedziała złotowłosa królowa, wygładzając obszerne spódnice swojej sukni i spoglądając w bok na moje siostry.

Nesta wyprężyła się jak struna, lecz Elaina dygnęła, cała się rumieniąc.

– To moje siostry – wyjaśniłam.

Bursztynowe oczy przesunęły się na mnie. Na moją koronę. Potem na Rhysa.

– Emisariuszka ma złotą koronę. Czy to tradycja w Prythianie?

– Nie – odparł gładko Rhysand – ale zdecydowanie wygląda w niej na tyle dobrze, że nie mogłem się oprzeć.

– Ludzka kobieta przekształcona w fae wysokiego rodu... – powiedziała w zamyśle złota królowa, całkowicie ignorując słowa Rhysa. – Teraz stoi na honorowym miejscu u boku księcia Prythianu. Ciekawe.

Stałam z wyprostowanymi plecami i wysoko uniesioną głową. Kasjan uczył mnie przez te tygodnie wyczuwania przeciwnika –

a czymże były jej słowa, jeśli nie pierwszymi ruchami w bitwie innego rodzaju?

– Masz godzinę naszego czasu – zwróciła się do Rhysa najstarsza z kobiet. – Wykorzystaj ją dobrze.

– Jak posiadłyście dar przeskakiwania? – zapytała siedząca obok mnie Mor.

Złota królowa uśmiechnęła się – lekko, kpiąco – i odparła:

– To nasza tajemnica i nasz dar od waszego gatunku.

Niech im będzie. Rhys spojrzał na mnie. Przełknęłam ślinę i przesunęłam się nieco do przodu na siedzeniu.

– Nadchodzi wojna. Wezwaliśmy was tu, by was ostrzec – i błagać o przysługę.

Żadnych sztuczek, żadnej kradzieży, żadnego zwodzenia. Rhys nie chciał nawet ryzykować zagładania do ich myśli, aby nie wyzwolić zaklęć ochronnych Księgi i nie doprowadzić do jej zniszczenia.

– Wiemy, że nadciąga wojna – powiedziała głosem przywodzącym na myśl szeleszczące liście najstarsza. – Już od wielu lat się do niej przygotowujemy.

Zdało mi się, że pozostała trójka była obserwatorkami, podczas gdy najstarsza i złotowłosa prowadziły szarżę.

– Ludzie w tej krainie zdają się być nieświadomi ogromu zagrożenia – powiedziałam najspokojniej i najwyraźniej, jak zdołałam. – Nie widzieliśmy żadnych oznak przygotowania.

Istotnie, ku mojemu przerażeniu Azriel nie dostrzegł żadnych takich działań.

– Ta kraina – wyjaśniła chłodno złotowłosa królowa – jest jedynie wąskim paskiem ziemi w porównaniu z ogromem kontynentu. Obrona jej nie leży w naszym interesie. Byłaby jedynie marnotrawieniem naszych zasobów.

Nie. *Nie*, to...

– Z pewnością nie może być zgody na śmierć nawet jednej niewinnej osoby – wtrącił przeciągle Rhys.

Najstarsza z kobiet złożyła zwiędnięte dłonie na podołku.

– Owszem. Każda śmierć jest zawsze straszna. Ale wojna to wojna. Jeśli poświęcenie tej malutkiej krainy ma nam pozwolić uratować

większość naszych ziem, zrobimy to.

Nie miałam dość odwagi, by spojrzeć na swoje siostry. Na ten dom, który mógł zostać wkrótce obrócony w ruinę.

– Mieszka tu wielu dobrych ludzi – wychrypiałam.

– Zatem niech obronią ich fae z Prythianu – odparowała słodkim głosem złota królowa.

Cisza.

To siedząca za nami Nesta ją przerwała.

– Mamy tu liczną służbę – syknęła. – Która ma liczne rodziny. Na tych ziemiach jest wiele *dzieci*. A wy zamierzacie zostawić nas wszystkich na pastwę fae?

Twarz najstarszej z nich złagodniała.

– To nie był łatwy wybór, dziewczę...

– To był wybór *tchórzy* – nie wytrzymała Nesta.

– Mimo całej nienawiści, jaką wasz lud żywi wobec naszego – wtrąciłam się, zanim Nesta jeszcze bardziej pogłębi nasz grób – pozostawiłybyście obronę tutejszych mieszkańców fae?

– A dlaczego nie? – zapytała złota, przekrzywiając głowę na bok. Kaskada loków zsunęła jej się z ramienia. – Czy fae nie powinni ich bronić przed zagrożeniem, które sami spowodowali? – parsknęła. – Czy fae nie powinni przelewać swojej krwi za zbrodnie, których się dopuszczali przez te wszystkie lata?

– Żadna ze stron nie jest bez winy – skontrował spokojnym głosem Rhys. – Ale możemy ochronić tych, którzy są. Razem.

– Och? – udała zdziwienie najstarsza, a jej zmarszczki zdały się stwardnieć, pogłębić. – Księżę Dworu Nocy prosi nas, byśmy połączyły z nim siły, byśmy wraz z nim ratowały życia. Byśmy walczyły o pokój. A co z tymi życiami, które odebrałeś w swoim długim, odrażającym istnieniu? Co z księciem, za którym kroczy ciemność, który niszczy umysły, kiedy to uzna za stosowne? – Jej śmiech przypominał krakanie wrony. – Doszły nas słuchy o tobie, nawet na kontynencie, Rhysandzie. O tym, co Dwór Nocy, co ty robisz ze swoimi wrogami. *Pokój*? Nie spodziewałam się, że ktoś roztapiający umysły i torturujący dla zabawy w ogóle zna to słowo.

Gniew począł się gotować w mojej krwi, w uszach trzaskały mi

rozżarzone węgle. Ale stłumiłam ten ogień, który stopniowo rozpalałam w minionych tygodniach.

– Jeśli nie pošlecie wojsk, by broniły tutejszych mieszkańców, to artefakt, o który prosiliśmy... – spróbowałam.

– Nasza połowa Księgi, dziecko – nie dała mi dokończyć starucha – nie opuści świętego pałacu. Pozostaje w jego białych ścianach od dnia, w którym ją otrzymałyśmy jako część uzgodnień Traktatu. I pozostanie na swoim miejscu, dopóki stoimy na straży naszych ziem przed okropieństwami Północy.

– Proszę – zdołałam tylko wykrztusić.

Znowu cisza.

– Proszę – powtórzyłam. Emisariuszka... byłam emisariuszką, Rhys mnie wybrał do tego zadania. Bym była głosem obu światów. – Zostałam przyobleczona w to ciało, w ciało fae, ponieważ jedna z dowódców Hybernii mnie *zabiła*.

Przysięgłabym, że poczułam przez naszą więź, jak Rhys aż podskoczył wewnątrz.

– Przez pięćdziesiąt lat – kontynuowałam – terroryzowała cały Prythian, a kiedy ją pokonałam, kiedy uwolniłam krainę spod jej jarzma, *zabiła* mnie. A zanim to zrobiła, byłam świadkiem okropieństw, jakich dopuszczała się tak względem ludzi, jak i innych fae. Ona jedna, *ona jedna* zdołała spowodować tyle zniszczenia i cierpień. Wyobraźcie sobie, co zdołała zrobić cała armia takich jak ona. A teraz ich król planuje wykorzystać potężną broń, by strzaskać mur, by zabić was *wszystkich*. Wojna będzie szybka i krwawa. Nie wygracie jej. *My* jej nie wygramy. Ci, co przeżyją, będą niewolnikami i dzieci ich dzieci też będą cierpiały niewolę. Proszę... Błagam, dajcie nam drugą połowę Księgi.

Najstarsza z królowych wymieniła spojrzenia ze złotowłosą.

– Jesteś jeszcze młoda, dziecko – powiedziała łagodnym, uspokajającym głosem. – Musisz się jeszcze wiele nauczyć o tym, jak działa świat...

– Ani się waż – przerwał jej śmiertelnie poważnym głosem Rhys – traktować ją z góry.

Stara królowa – która dla *niego*, wobec wieków jego istnienia, była wszak niczym dziecko – miała dość oleju w głowie, żeby jego ton ją

zaniepokoił. Oczy księcia błyszczały, a twarz przybrała wyraz równie nieustępliwy co brzmienie jego głosu.

– Nie obrażaj Feyry – ciągnął dalej – za to, że przemawia sercem, że okazuje miłosierdzie tym, którzy nie mogą się obronić sami, podczas gdy przez was przemawiają jedynie egoizm i tchórzostwo.

Najstarsza z kobiet zeszywniała.

– Dla większego dobra...

– Wiele potworności uczyniono w imię większego dobra – mruknął Rhys.

Byłam pod ogromnym wrażeniem, że wytrzymała jego spojrzenie i nie odwróciła wzroku.

– Księga pozostanie w naszych rękach – powiedziała tylko. – Przetrywamy tę burzę...

– Dość – przerwała jej Mor i wstała z krzesła.

Spojrzała po kolei każdej królowej prosto w oczy.

– Jestem Morrigan – powiedziała. – Znacie mnie. Wiecie, czym jestem. Wiecie, że moim darem jest prawda. Zatem wysłuchacie teraz moich słów i przyjmiecie je jako prawdę... tak jak to uczynili wasi przodkowie.

Żadna nie odezwała się ani słowem.

Mor wskazała za siebie – na mnie.

– Sądzicie, że to zwykły przypadek, że ponownie ludzka kobieta zyskała nieśmiertelność? W czasie, gdy nasz stary wróg powraca? Walczyłam ramię w ramię z Miriam, walczyłam razem z nią, gdy chora ambicja i żądza krwi Juriana wpędziły go w szaleństwo, a potem ich rozdzieliły. Gdy popchnęły go do zamęczenia Clythii na śmierć, a potem do walki z Amaranthą.

Nabrała z sykiem powietrza. Przysięgłabym, że na ten dźwięk Azriel przesunął się minimalnie w naszą stronę. Ale Mor kontynuowała swoją przemowę:

– Wróciłam razem z Miriam na Czarne Ziemie, by uwolnić niewolników pozostawionych na tamtych palących piaskach, by wyzwolić ludzi od tego, co kiedyś było jej udziałem. Ludzi, po których Miriam przyrzekła wrócić. Szłam razem z nią, bo była moją przyjaciółką. Szłam razem z legionem księcia Drakona. Miriam była

moją *przyjaciółką*, tak jak teraz jest nią Feyra. I wasze przodkinie, królowe, które podpisały Traktat... Je też zaliczałam do moich przyjaciółek. I kiedy patrzę na was... – Obnażyła zęby. – Nie widzę *niczego*, co by mi przypominało tamte kobiety. Kiedy patrzę na was, wiem, że te, które były przed wami, *wstydzilyby się za was*. Wyśmiewacie ideę pokoju? Odrzucacie możliwość jego zaistnienia między naszymi ludami?

Głos Mor załamał się i ponownie Azriel ledwo zauważalnie przesunął się w jej stronę, chociaż jego twarz niczego nie zdradzała.

– Na zapomnianym, nękanym sztormami morzu jest wyspa. Rozległa, porośnięta bujną roślinnością wyspa ukryta przed czasem i wścibskimi oczami. Na tej wyspie Miriam i Drakon wciąż żyją. Wraz ze swoimi dziećmi. Z przedstawicielami *obu* swoich ludów. Fae, ludzi i tych pomiędzy. Obok siebie. Od pięciuset lat mieszkają tam, pozwalając światu myśleć, że nie żyją...

– Mor – przerwał jej Rhys z cichą reprimendą w głosie.

Zrozumiałam, że to była tajemnica, którą zapewne przez pięćset lat mało kto poznał.

Tajemnica, która podsyciała marzenia Rhysanda i jego dworu.

Kraina, w której dwójka marzycieli znalazła pokój wśród swoich pobratymców.

Gdzie nie było muru. Żadnych zaklęć w żelazie. Żadnych jesionowych strzał.

Królowe złota i najstarsza ponownie spojrzały na siebie.

– Daj nam dowód – oświadczyła ta druga z jaśniejącymi oczami – że nie jesteś takim księciem, jak o tobie mówią, daj nam choć strzęp dowodu na to, że jesteś taki, jak sam twierdzisz. Że chcesz pokoju.

Był na to jeden sposób. Tylko jeden sposób na pokazanie, na dowiedzenie im tego.

Velaris.

Szpic moich kości krzyknął na myśl o ujawnieniu tego klejnotu tym... pająkom.

Rhys wstał jednym płynnym ruchem. Królowe uczyniły to samo.

– Żądacie dowodu? – zapytał głosem przypominającym bezksiężycową noc.

Wstrzymałam oddech, modliłam się... modliłam, żeby im nie powiedział o mieście. Wzruszył ramionami; srebrna nić na jego marynarce zaślniła w promieniach słońca.

– Zatem przedstawię go wam. Czekać na wieść ode mnie i powróćcie, kiedy was wezwiemy.

– Nie stawiamy się na niczyje wezwanie, czy to człowieka, czy fae – stwierdziła złota królowa z aroganckim uśmiechem.

Może właśnie dlatego tak długo nie odpowiadały. Aby pokazać, jakie są ważne.

– Zatem przybądźcie, kiedy uznacie za stosowne – powiedział Rhys z tak dużą zjadliwością, że strażnicy królowych wszyscy postąpili krok do przodu.

Kasjan tylko uśmiechnął się do nich szeroko... i najmądrzejszy z nich błyskawicznie pobladł.

– Być może wtedy pojmiecie, jak istotna jest Księga dla starań *wszystkich* nas – dodał Rhys, lekko pochylając głowę.

– Rozważymy to, gdy zobaczymy twój *dowód*. – Najstarsza z kobiet wręcz wypluła ostatnie słowo.

Musiałam sobie przypomnieć, że była sędziwa, a do tego pochodziła z królewskiego rodu, w związku z czym starcie jej tego kpiącego uśmiechu z twarzy nie przysłużyłoby się naszej sprawie.

– Strzeżemy tej Księgi od pięciuset lat. Nie oddamy jej bez szczegółowego rozważenia całej sprawy.

Strażnicy stanęli po dwóch przy ich bokach, tak jakby te słowa były umówionym sygnałem. Złota królowa uśmiechnęła się do mnie pod nosem.

– Powodzenia – powiedziała.

I zniknęły. Pokój stał się nagle zbyt duży, zbyt cichy.

I wtedy Elaina – *Elaina* – westchnęła i wymamrotała pod nosem:

– Mam nadzieję, że wszystkie spłoną w piekle.

Rozdział 41

Podczas lotu powrotnego i przeskakiwania do Velaris w większości milczeliśmy. Amrena czekała już na nas w domu Rhysa. Ubranie na niej było zmięte, jej twarz – niepokojąco blada. Odnotowałam w myślach, żeby jak najszybciej zdobyć dla niej więcej krwi.

Ale zamiast zebrać nas wszystkich w jadalni czy pokoju dziennym, Rhys ruszył korytarzem z rękami w kieszeniach, przeszedł przez kuchnię i wyszedł do ogrodu za domem.

Staliśmy w sieni i odprowadzaliśmy go wzrokiem. Wprost emanował ciszą. Ciszą przed burzą.

– Rozumiem, że poszło dobrze – rzuciła Amrena.

Kasjan zgromił ją spojrzeniem i ruszył za przyjacielem.

Dzięki słonecznej i suchej pogodzie w ogrodzie było ciepło. Tu i ówdzie w niezliczonych kwietnikach i donicach zielone kielki wytykały swoje główki na powietrze. Rhys przysiadł na brzegu fontanny, oparł się przedramionami na kolanach i wpatrywał w poznaczony mchem kamień bruku między stopami.

Zasiedliśmy wkoło na pomalowanych na biało żelaznych krzesłach. Gdyby tylko ludzie mogli to zobaczyć: fae siedzący na żelaznych meblach. Wyrzuciliby wszystkie te idiotyczne ozdóbki i biżuterię. Może nawet Elaina dostałaby pierścionek zaręczynowy, który nie byłby wykuty z nienawiści i strachu.

– Jeśli przyszedłeś tu uzalać się nad sobą, Rhys – odezwała się siedząca na niewielkiej ławce Amrena – tylko powiedz, to wrócę do swojej pracy.

Fiołkowe oczy odszukały jej spojrzenie. Zimne, wyzbyte humoru.

– Ludzie pragną zobaczyć dowód naszych dobrych zamiarów. Że można nam ufać.

Amrena przeniosła swoją uwagę na mnie.

– Feyra nie wystarczyła?

Staralam się nie brać do siebie jej słów. Nie, nie wystarczyłam. Może nawet zawiodłam jako emisariuszka...

– Feyra sprawiła się doskonale – powiedział Rhys ze śmiertelnym

spokojem, a ja zachodziłam w głowę, czy wysłałam naszą więzią swoje żalodne myśli. Przywróciłam tarczę broniąca dostępu do mojego umysłu.
– Są głupcami. Gorzej nawet: przerażonymi głupcami.

Wbił wzrok z powrotem w ziemię, tak jakby wyschnięty mlecz i kamień tworzyły wzór, który tylko on potrafił dostrzec.

– Moglibyśmy... pozbyć się ich – zaproponował Kasjan. – Osadzić na ich tronach nowe, mądrzejsze królowe. Które byłyby skłonne dobić z nami targu.

Rhys pokręcił głową.

– Po pierwsze, za długo by to potrwało. Nie mamy tyle czasu.

Pomyślałam o ostatnich kilku zmarnowanych tygodniach, kiedy to Azriel starał się za wszelką cenę dostać na ich dwory. Skoro nawet jego cienie i szpiedzy nie zdołali się do nich przedostać, wątpiłam, czy jakikolwiek zabójca zdołałby tego dokonać. Azriel pokręcił głową, potwierdzając moje domysły.

– Po drugie – podjął Rhys – kto wie, czy to nie wpłynęłoby w jakiś sposób na magię ich połowy Księgi. Ona musi zostać wydana bez przymusu. Możliwe, że te zaklęcia są na tyle mocne, że przejrzałyby nasze knowania. – Nabrał powietrza z sykiem przez zęby. – Musimy sobie dać radę z tymi, które są.

– Moglibyśmy spróbować jeszcze raz – wtrąciła Mor. – Pozwól mi z nimi pomówić, pozwól mi udać się do ich pałacu...

– Nie – zaproponował Azriel.

Mor uniosła brwi i na opalonej twarzy Azriela pojawił się nieznaczny rumieniec. Ale wydawał się nieugięty, a spojrzenie piwnych oczu zdecydowane.

– Nie postawisz stopy w tamtej krainie ludzi.

– Walczyłam w wielkiej wojnie, jeśli zapomniałeś...

– Nie – powtórzył Azriel, patrząc jej cały czas prosto w oczy.

Poruszył niespokojnie skrzydłami, które zaszurały o oparcie krzesła. – Związałyby cię, wystawiły na widok publiczny i przykładowo ukarały.

– Musiałyby mnie najpierw złapać.

– Ten pałac jest śmiertelną pułapką dla naszego gatunku – odparował niskim chrapliwym głosem Azriel. – Zbudowany rękami fae, by chronić ludzi przed nami. Jeśli postawisz w nim nogę, Mor, już nigdy

go nie opuścisz. Jak myślisz, dlaczego miałem tak wielki problem z dostaniem się do środka?

– Jeśli udanie się do nich nie jest możliwe – wtrąciłam się, zanim Mor zdołała powiedzieć coś, co z pewnością zraniłoby pieśniarza cieni bardziej, niż zamierzała – a wszelkie próby zastosowania podstępu czy manipulacji umysłami mogłyby spowodować zniszczenie Księgi... Jaki dowód możemy im przedstawić? – Rhys uniósł głowę. – Kim jest... kim jest ta Miriam? Kim była dla Juriana? I kim jest ten książę, o którym mówiłaś... Drakon? Może moglibyśmy... może moglibyśmy *ich* wykorzystać jako dowód. Choćby żeby zaświadczyli za ciebie.

Żar zgasł w oczach Mor. Spuściła wzrok i szturchnęła stopą mech na bruku.

Rhys splótł palce dłoni między kolanami.

– Pięćset lat temu – powiedział – w czasie poprzedzającym wielką wojnę, w południowej części kontynentu istniało królestwo fae. Była to kraina pełna piasku otaczającego żyzną deltę wielkiej rzeki. Czarne Ziemie. Nie istniało gorsze miejsce do urodzenia się człowiekiem, gdyż żaden nie rodził się tam wolny. Wszyscy, co do jednego, byli niewolnikami zmuszani do budowania wspaniałych świątyń i pałaców dla panujących fae wysokiego rodu. Nie było stamtąd ucieczki. Żadnej szansy wykupienia swojej wolności. A królowa tej krainy...

Po twarzy przemknął mu cień wspomnienia.

– Przy niej Amarantha wydałaby się słodka jak Elaina – pośpieszyła z wyjaśnieniem Mor, a jej łagodny głos ociekał jadem.

– Miriam – podjął swoją opowieść Rhys – była półfae zrodzoną z ludzkiej kobiety. Ponieważ jej matka była niewolnicą, a poczęcie odbyło się... wbrew jej woli, zatem Miriam również przysła na świat w niewoli i została uznana za człowieka. Odmówiono jej wszelkich praw związanych z płynącą w niej krwią fae.

– Całą historię opowiesz jej innym razem – wtrąciła się Amrena, po czym zwróciła się do mnie: – Wszystko sprowadza się do tego, że królowa podarowała Miriam w prezencie ślubnym swojemu narzeczonemu, księciu fae imieniem Drakon. Ten dar go przeraził, pozwolił więc Miriam uciec. Obawiając się gniewu królowej, uciekła

przez pustynię, przez morze, na kolejną pustynię... gdzie znalazł ją Jurian. Dołączyła do jego rebeliantów, została jego kochanką, służyła za uzdrowicielkę wśród bojowników. Aż po pewnej krwawej bitwie opatrywała rany nowych sojuszników Juriana: fae, w tym księcia Drakona. Okazuje się, że Miriam otworzyła mu oczy i księżę dostrzegł w swojej narzeczonej potwora, którym była. Zerwał zaręczyny, sprzymierzył się z ludźmi i przez trzy lata szukał pięknej byłej niewolnicy. Jurian nie miał pojęcia, że jego nowy sojusznik pożądał jego kochanki. Był zbyt skoncentrowany na prowadzeniu wojny, na pokonaniu Amaranthy na północy. Gdy padł ofiarą własnej obsesji, nie dostrzegł, jak Miriam i Drakon zakochują się w sobie za jego plecami.

– Nie działało się to za jego plecami – nie wytrzymała Mor. – Miriam odeszła od Juriana, zanim choć palcem dotknęła Drakona.

Amrena wzruszyła ramionami.

– Nie wdając się w szczegóły, dziewczyno, kiedy Jurian został zabity przez Amaranthę, ta przez długie wieki opowiadała mi, co się stało z jego kochanką. Że zdradziła go dla mężczyzny fae. Wszyscy byli przekonani, że Miriam i Drakon zginęli podczas wyzwania jej ludu z Czarnych Ziem pod koniec wojny... nawet Amarantha.

– A tak się nie stało – zgadłam. Rhys i Mor kiwnęli zgodnie głowami. – To był tylko ich sposób ucieczki, prawda? Zaczęcia na nowo gdzieś indziej, z oboma ich ludami? – Ponownie kiwnęli głowami. – Dlaczego zatem nie pokazać tego królowym? Zaczęłaś im mówić...

– Ponieważ – nie dał mi skończyć Rhys – poza tym, że nijak to nie świadczy o moim charakterze, a to z nim zdawały się mieć największy problem, byłaby to niewybaczalna zdrada wobec naszych przyjaciół. Ich jedynym życzeniem było pozostać w ukryciu; żyć w spokoju ze swoimi pobratymcami. Dość się wykrwawiali i cierpieli, aby to osiągnąć. Nie będę ich wciągał w ten konflikt.

– Powietrzna armia Drakona dorównywała twojej – zauważył Kasjan. – Niewykluczone, że będziemy musieli wezwać ich pod koniec wojny.

Rhys jedynie pokręcił głową. Koniec rozmowy. I może miał rację: ukazanie pokojowego współżycia Drakona i Miriam nie dowodziło jego szlachetnych intencji. Ani w żaden sposób nie świadczyło o jego

charakterze.

– Co zatem im zaoferujemy w zamian? – zapytałam. – Co im pokażemy?

Z twarzy Rhysa odpłynęła krew.

– Pokażemy im Velaris.

– Co? – krzyknęła Mor, ale Amrena szybko ją uciszyła.

– Nie chcesz ich chyba tutaj sprowadzać – powiedziałam.

– Oczywiście, że nie. Zbyt wiele bym ryzykował. Sprowadzenie ich tu nawet na jedną noc mogłoby się skończyć rozlewem krwi. Planuję więc jedynie im je pokazać.

– Odrzuca to jako manipulowanie ich myślami – zauważył Azriel.

– Nie – powiedział Rhys i wstał. – Mam zamiar im to *pokazać*.

Zagrać według ich własnych zasad.

Amrena postukała paznokciami o paznokcie.

– Co masz na myśli, księżę?

– Powiadom swojego ojca – zwrócił się do Mor, ignorując Amrenę.

– Odwiedzimy jego i mój drugi dwór.

Te słowa zmroziły mi krew w żyłach. Dwór Koszmarów.

Okazuje się, że do rodziny Mor od tysiącleci należała pewna kula: Veritas. Była przepelniona magią prawdy, którą wedle jej własnych słów władała – którą miało we krwi wielu z jej rodu. A Veritas była jednym z ich najbardziej cenionych i najsilniej strzeżonych talizmanów.

Rhys nie marnował czasu na długie snucie planów. Mieliśmy się udać na Dwór Koszmarów w Wykutym Mieście następnego dnia po południu. Zamierzał przeskoczyć w pobliże olbrzymiej góry, w której znajdował się dwór, i przelecieć resztę drogi.

Mor, Kasjan i ja mieliśmy jedynie odwracać uwagę wszystkich i sprawić, żeby nagła wizyta Rhysa nie wydawała się tak bardzo podejrzana, podczas gdy Azriel miał wykraść kulę z komnat ojca Mor.

Podczas spokojnej kolacji tego wieczoru Rhys powiedział mi, że kula była dobrze znana ludziom – posługiwali się nią podczas wojny. Królowe z pewnością ją poznają. Będą też wiedziały, że kiedy użyjemy jej, by im pokazać miasto i jego dobrych mieszkańców – swoiste

spojrzenie na żyjący obraz – ukaże samą prawdę, bez żadnych iluzji czy sztuczek.

Pozostali podpowiadali inne miejsca na jego ziemiach, które mogłyby dowieść, że nie jest żadnym krwi sadystą, ale zdaniem Rhysa żadne z nich nie wywarłoby tak silnego wrażenia jak Velaris. Dla jego ludu, dla całego świata, musiał ofiarować królowym ten wycinek prawdy.

Po kolacji wędrowałam bez celu po ulicach. Po jakimś czasie stanęłam na skraju Tęczy, gdzie życie nocne toczyło się w najlepsze – klienci, artyści i zwykli przechodnie krążyli od sklepu do sklepu, zaglądali do galerii, kupowali materiały.

W porównaniu z roziskrzonymi światłami i jaskrawymi kolorami niewielkiego wzgórza opadającego aż do rzeki, ulice za moimi plecami były skąpane w cieniu, senne.

Byłam tu już blisko dwa miesiące, a jeszcze nie zdobyłam się na odwagę, by przejść przez dzielnicę artystów.

Ale to miejsce... Rhys był gotów zaryzykować tym pięknym miastem, jego wspaniałymi mieszkańcami, aby zyskać szansę na pokój. Może kierowało nim poczucie winy, że to jedno miejsce było chronione, podczas gdy reszta Prythianu cierpiała. Może podanie Velaris na srebrnej tacy było jego próbą zmniejszenia tego ciężaru. Potarłam skórę na wysokości obojczyków, pod którą rodził się ból.

Zrobiłam krok w stronę tych wszystkich kolorów i zatrzymałam się.

Może powinnam była poprosić Mor, żeby mi towarzyszyła. Ale ona zniknęła po kolacji, blada i rozdrażniona, ignorując próby nawiązania rozmowy ze strony Kasjana. Azriel wzbił się ku chmurom, aby skontaktować się ze swoimi szpiegami. Przyciszonym głosem obiecał chodzącemu w tę i w tę Kasjanowi odszukać Mor, gdy załatwi wszystkie swoje sprawy.

A Rhys... On miał dość rzeczy na głowie. I nie oponował, kiedy oznajmiłam, że wybieram się na przechadzkę. Nawet nie poprosił, żebym na siebie uważała. Czy to była oznaka zaufania, czy też całkowita wiara w bezpieczeństwo ulic jego miasta, a może wiedział, jak źle bym zareagowała, gdyby spróbował mnie odwieść od tego pomysłu lub mnie

ostrzec – nie wiedziałam.

Pokręciłam głową, oczyściłam umysł i ponownie spojrzałam wzdłuż głównej ulicy Tęczy.

W ostatnich tygodniach czułam lekki trzepot w tej dziurze w mojej piersi – trzepot obrazów, ale nic, co można by było pochwycić. Nic nie kipiało życiem i nie domagało się wypuszczenia na wolność. Nie tak, jak tamtej nocy, gdy zobaczyłam go klęczącego na łóżku, nagiego, wytatuowanego, uskrzydłonego.

I tak byłoby głupotą z mojej strony wejść do tej dzielnicy, skoro równie dobrze mogła zostać zniszczona w nadchodzącej wojnie. Byłoby głupotą zakochać się w niej, kiedy mogła mi zostać wydarta.

Zatem, jak tchórz, odwróciłam się i wróciłam do domu.

Rhys czekał w sieni oparty o słup balustrady schodów. Miał ponurą minę.

Zatrzymałam się w połowie dywanu leżącego na wejściu.

– Co się stało?

Skrzydeł nie było widać, nawet ich cienia.

– Rozważam poproszenie cię, abyś jutro została tutaj.

Skrzyżowałam ramiona.

– Sądziłam, że idę z wami.

„Nie zamykaj mnie w tym domu, nie odtrącaj mnie na bok...”.

Przeczesał dłonią włosy.

– To, co muszę zrobić jutro, kim muszę się stać, nie jest... nie jest czymś, co chcesz zobaczyć. To, jak będę traktował cię, innych...

– Maskę księcia – powiedziałam cicho.

– Tak.

Usiadł na pierwszym stopniu schodów.

Pozostałam na środku sieni.

– Dlaczego nie chcesz, żebym to zobaczyła? – zapytałam ostrożnie.

– Ponieważ dopiero co zaczęłaś na mnie patrzeć tak, jakbym nie był potworem, a ja nie mogę znieść obawy, że cokolwiek, co jutro mogłabyś zobaczyć, czy samo pojawienie się pod tą górą, sprowadzi cię z powrotem w to miejsce, w którym cię znalazłem.

Pod tą górą – pod ziemią. Tak, zapomniałam o tym. Zapomniałam, że zobaczę dwór, na którym Amarantha się wzorowała, urządzając swój.

Że będę uwięziona pod powierzchnią ziemi...

Ale z Kasjanem, Azrielem i Mor. I... z nim.

Czekałam na atak paniki, na zimny pot. Nic takiego nie nadeszło.

– Pozwól mi sobie pomóc. Tak jak tylko mogę.

Mrok przyćmił blask gwiazd w jego oczach.

– Rola, którą będziesz musiała odegrać, nie jest przyjemna.

– Ufam ci.

Usiadłam obok niego na schodach; wystarczająco blisko, aby żar bijący z jego ciała ogrzał mroźne nocne powietrze uczezione mojego płaszczem.

– Dlaczego Mor sprawiała wrażenie tak poruszonej, kiedy wychodziła?

Grdyka zatańczyła na jego szyi. Widziałam kłębiącą się w nim wściekłość, a także ból, który nie pozwalał mu odpowiedzieć mi wprost – ale nie brak zaufania.

– Byłam tam, w Wykutym Mieście – powiedział po chwili – kiedy jej ojciec oznajmił, że ma zostać sprzedana za żonę Erisowi, najstarszemu synowi księcia Dworu Jesieni.

Bratu Luciena.

– Eris był znany jako okrutnik i Mor... błagała mnie, żebym do tego nie dopuścił. Mimo swojej potężnej mocy, swojej dzikości nie miała prawa głosu, nie miała żadnych praw w swoim rodzie. A mój ojciec nie zważał jakoś szczególnie na to, że jego kuzyni traktowali swoje potomstwo jak bydło rozplodowe.

– I co się stało? – zapytałam szeptem.

– Zabrałam Mor na kilka dni do obozu Ilyrów. Tam spotkała Kasjana i zdecydowała się zrobić tę jedną rzecz, która zrujnowała jej wartość w oczach wszystkich. Dowiedziałem się o tym dopiero później i... była wielka awantura. Z Kasjanem, z nią, z naszymi rodzinami. To jest kolejna długa opowieść, ale wszystko się sprowadza do tego, że Eris odmówił wzięcia jej za żonę. Powiedział, że została zbrukana przez bękarta pomniejszych fae i on prędzej pieprzyłby się z maciorą. Jej rodzina... oni... – Nigdy dotąd nie widziałam, aby tak bardzo nie mógł znaleźć właściwych słów. Odchrząknął. – Kiedy skończyli z nią, porzucili ją na granicy Dworu Jesieni z listem przybitym gwoździem do

jej ciała, z którego generalnie wynikało, że była teraz problemem Erisa.

Przybitym... *gwoździem*.

– Eris pozostawił ją na śmierć w samym środku swoich lasów – kontynuował z tłumioną wściekłością Rhys. – Azriel znalazł ją dzień później. Tylko tak zdołałem go powstrzymać od udania się na jeden z dworów i wyrznięcia wszystkich w pień.

Pomyślałam o tej wesołej twarzy, nonszalanckim śmiechu, kobiecie, która nie dbała o zdanie innych. Może dlatego, że doświadczyła najgorszego, do czego jej gatunek był zdolny. I przeżyła to.

Teraz rozumiałam – dlaczego Rhys nie mógł znieść Nesty dłużej niż przez kilka chwil, dlaczego nie mógł wyzbyć się gniewu, gdy chodziło o jej przewiny, nawet gdy ja już dawno zostawiłam to za sobą.

Ogień Berona zaczął skwierczeć w moich żyłach. *Mój* ogień, nie jego. Ani jego syna.

Ujęłam Rhysa za rękę; jego kciuk musnął wierzch mojej dłoni. Starłam się nie myśleć o naturalności, z jaką przyszedł mu ten gest.

– Powiedz mi, co muszę jutro zrobić – powiedziałam twardym, spokojnym głosem, który ledwo rozpoznawałam.

Rozdział 42

Nie bałam się.

Nie roli, o której odegranie poprosił mnie Rhys. Nie wyjącego wichru, gdy przeskoczyliśmy nad znajome pasmo gór o ośnieżonych szczytach, które opierało się pocałunkom budzącej się wiosny. Nie gwałtownego spadku, gdy Rhys leciał między graniami, nad dolinami, szybko i zwinnie. Po naszych bokach lecieli Kasjan i Azriel. Mor miała się z nami spotkać przy bramie wykutej u podnóża góry.

Rhys leciał ze ściągniętą twarzą. Mięśnie barków, których się trzymałam, były niezmiernie napięte. Wiedziałam, czego oczekiwać, ale... nawet gdy już powiedział mi, co musiałam dla niego zrobić, nawet gdy się zgodziłam, pozostawał... pełen rezerwy. Udręczony.

Zrozumiałam, że martwił się o mnie.

I z powodu tego zmartwienia, żeby przegonić to napięcie z jego twarzy, choćby na kilka minut lotu dzielących nas od niesławnego dworu pod tą górą, zawołałam do niego, starając się przekrzyczeć wiatr:

– Amrena i Mor powiedziały mi, że rozpiętość skrzydeł Ilyra mówi wiele o rozmiarach... innych części ciała.

Jego oczy na chwilę strzeliły ku moim, po czym wróciły do lustrowania przelatujących w dole stoków porośniętych sosnami.

– Tak powiedziały?

Wzruszyłam ramionami w jego objęciach, starając się nie myśleć o jego nagim ciele tamtej nocy całe tygodnie temu – chociaż wiele wtedy nie zobaczyłam.

– Powiedziały też, że skrzydła Azriela są największe.

Rozbawienie błysnęło w jego fiołkowych oczach i zmyło zimny dystans, napięcie. Naczelny szpieg był czarną smugą na tle bladobłękitnego nieba.

– Kiedy wrócimy do domu, wezmę miarkę, dobrze?

Uszczypnęłam twardej jak skała mięsień na jego przedramieniu. Rhys uśmiechnął się szelmowsko, po czym runął w dół...

Góry, śnieg, drzewa, słońce i bezwładny spadek przez strzępy chmur...

Krzyk uwiązał mi w gardle, gdy tak mknęliśmy na spotkanie ziemi.

Instynktownie zarzuciłam mu ręce na szyję. Jego gardłowy śmiech połaskotał mnie w kark.

– Jesteś gotowa rzucić wyzwanie mojej ciemności i przywołać własną, udać się do wodnego grobu i stawić czoło Tkaczce, ale niewinne spadanie sprawia, że zaczynasz krzyczeć?

– Następnym razem, kiedy będą cię dręczyły koszmary, zostawię cię, byś szczeł – syknęłam mu do ucha.

Miałam wciąż zamknięte oczy i napięte wszystkie mięśnie, gdy rozpostarł skrzydła, aby przejść do swobodnego szybowania.

– Nie zrobisz tego – powiedział melodyjnie. – Zbyt lubisz mnie oglądać nagiego.

– Drań.

Jego śmiech odbił się we mnie echem. Z nadal zamkniętymi oczami, z wiatrem ryczącym niczym rozwścieczony dziki zwierz, poprawiłam swoje ułożenie i mocniej go chwyciłam. Otarłam się przy tym knykциями o jedno z jego skrzydeł – było gładkie i chłodne jak jedwab, ale jednocześnie twarde jak kamień od naprężenia.

Fascynujące. Sięgnęłam ponownie na oślep i... przesunęłam czubkiem palca po jednej z wewnętrznych krawędzi.

Rhysand zadrżał, a koło mojego ucha przemknął cichy jęk.

– To – powiedział ściśniętym głosem – jest bardzo czułe miejsce.

Cofnęłam palec, otworzyłam oczy i odchyliłam się na tyle, żeby móc zobaczyć jego twarz. Z powodu wiatru musiałam zmrużyć oczy, a moje zaplecione w warkocz włosy rzucały się to w jedną, to w drugą stronę, ale... Rhys był całkowicie skupiony na otaczających nas górach.

– Czy to łaskotało?

Strzelił na chwilę wzrokiem ku moim oczom, po czym przeniósł go z powrotem na ciągnące się w nieskończoność śnieg i sosny.

– To mniej więcej takie uczucie – powiedział i nachylił głowę tak blisko mojej, że jego usta musnęły płatek mojego ucha, po czym lekko na niego chuchnął.

Od pieśczoły jego oddechu plecy wyprężyły mi się odruchowo, a głowa powędrowała do tyłu.

– Aha – wydukałam.

Poczułam, jak się uśmiecha koło mojego ucha i odchyła

z powrotem.

– Jeśli chcesz zwrócić uwagę Ilyra, lepiej złap go za jaja. Jesteśmy uczeni chronienia skrzydeł za wszelką cenę. Niektórzy mężczyźni najpierw zaatakują, a dopiero potem będą zadawać pytania, jeśli dotkniesz nieproszona ich skrzydeł.

– A podczas seksu? – zadałam pytanie, zanim zdążyłam pomyśleć.

Twarz Rhysa lustrującego otaczające nas góry wyrażała czyste kocie rozbawienie.

– Podczas seksu Ilyr może znaleźć spełnienie, gdy kobieta zaledwie dotknie jego skrzydeł we właściwym miejscu.

Krew zadudniła mi w uszach. Wkraczałam na grząski grunt, groźniejszy nawet od ryzyka upadku na ziemię.

– Czy w *twoim* przypadku też tak jest?

Pod jego spojrzeniem poczułam się całkiem naga.

– Nigdy nie pozwoliłem nikomu zobaczyć ani tym bardziej dotykać moich skrzydeł podczas seksu. Jest się wtedy obnażonym i bezbronnym w sposób, z którym... nie czuję się dobrze.

– Szkoda – stwierdziłam, z przesadną beztroską spoglądając w stronę potężnej góry, która właśnie pojawiła się na horyzoncie, wyższa niż inne.

Z lśniącem pałacem z księżycowego kamienia na szczycie.

– Czemu? – zapytał podejrzliwie.

Wzruszyłam ramionami, walcząc z uśmiechem, który czał się w kącikach moich ust.

– Ponieważ idę o zakład, że ze skrzydłami mógłbyś wypróbować bardzo ciekawe pozycje.

Rhys roześmiał się szcześliwie. Jego nos trącił moje ucho. Poczułam, jak otwiera usta, żeby coś do mnie wyszeptać...

Coś ciemnego, szybkiego i smukłego wystrzeliło ku nam, a on rzucił się w dół i w bok, klnąc szpetnie.

Ale nadlatywał kolejny kształt, i jeszcze jeden.

Rhys skręcił gwałtownie i chwycił jeden z pocisków... to nie były zwykłe strzały. Pozostałe odbijały się już nieszkodliwie od tarczy, którą przywołał.

Przyjrzał się drzewcowi w swojej dłoni i odrzucił go z głośnym

sykiem. Jesionowe strzały. Do zabijania fae.

A teraz ja byłam jedną z nich...

Szybciej niż wiatr, szybciej niż śmierć, Rhys pomknął w stronę ziemi.

Leciał, nie przeskakiwał, bo chciał wiedzieć, gdzie znajdują się nasi wrogowie, nie chciał ich zgubić. Wiatr kasał mnie w twarz, świszczwał w uszach, targał brutalnymi szponami moje włosy.

Azriel i Kasjan już mknęli ku nam. Otaczały ich migotliwe tarcze błękitu i czerwieni, od których odbijały się strzały. Ich syfony w działaniu.

Pociski leciały z sosnowego lasu porastającego zbocza pobliskiej góry, po czym nagle przestały.

Rhys uderzył z impetem w ziemię, wyrzucając w górę chmurę śniegu. Rysy jego twarzy wykrzywiała furia, jakiej nie widziałam od tamtego dnia na dworze Amaranthy. Czułam przez skórę jej wibracje, jak mąci spokój polany, na której staliśmy.

Azriel i Kasjan pojawili się przy nas chwilę potem. Ich barwne tarcze skurczyły się i wniknęły z powrotem do syfonów. Trzy siły natury w sosnowym lesie. Rhysand nawet na mnie nie spojrzał, tylko wyrzucił z siebie szybkie polecenia:

– Zabierz ją do pałacu i zostań tam, aż wrócę – rozkazał Kasjanowi. – Az, idziesz ze mną.

Kasjan wyciągnął ręce w moją stronę, ale odsunęłam się od niego.

– Nie.

– Słucham? – warknął gardłowo Rhys.

– Zabierz mnie ze sobą – zażądałam.

Nie chciałam lecieć do tego pałacu z księżycowego kamienia i czekać, wykręcając sobie palce z niepokoju.

Kasjan i Azriel mądrze się nie odzywali. A Rhys, niech Matka go błogosławi, tylko złożył skrzydła i skrzyżował ramiona w oczekiwaniu na moją argumentację.

– Widziałam jesionowe strzały – powiedziałam, ledwo łapiąc oddech. – Może uda mi się rozpoznać, gdzie zostały wykonane. A jeśli są dziełem innego księcia... To też potrafię wyczuć. – Jeśli zrobił je Tarquin... – Poza tym na ziemi potrafię tropić równie dobrze, co każdy

z was. – Może poza Azrielem. – Zatem ty i Kasjan ruszajcie w powietrze – powiedziałam, wciąż wyczekując odmowy, polecenia pilnowania mnie pod kluczem – a ja zapoluję na ziemi z Azrielem.

Potężna wściekłość pulsująca na zaśnieżonej polanie osłabła i przemieniła się w lodowaty, zbyt spokojny gniew.

– Kasjan – zakomenderował Rhys – chcę mieć powietrzne patrole wzdłuż wybrzeży, pokrywające dwumilowe kręgi, strzegące morskiej granicy z Hybериą. Chcę żołnierzy na przełęczach na południowej granicy. Niech na każdym szczycie będą gotowe stosy na ognie sygnałowe. Nie będziemy polegali na magii. – Obrócił się do Azriela. – Kiedy skończysz, ostrzeż swoich szpiegów, że mogli zostać odkryci, i ewakuuj ich. Potem wprowadź nowych. Zachowujemy to dla siebie. Nie wspominamy nikomu na tamtym dworze ani słowem o tym, co się właśnie wydarzyło. Jeśli ktoś poruszy ten temat, mówcie, że to były ćwiczenia.

Bo nie możemy sobie pozwolić na okazanie takiej słabości – nawet wobec własnych poddanych.

Na koniec spojrzał mi w oczy.

– Spodziewają się nas na miejscu za godzinę. Wykorzystaj ten czas dobrze.

Szukaliśmy, ale wszystkie strzały zostały pozbierane przez napastników – nawet cienie i wiatr nie powiedziały Azrielowi niczego, tak jakby nasi wrogowie ukryli się też przed nimi.

Ale już drugi raz wytropili Rhysa i mnie.

Mor odszukała mnie i Azriela po dwudziestu minutach i zażądała wyjaśnienia, co się, do diabła, stało. Opowiedzieliśmy jej wszystko, a ona przeskoczyła z powrotem, aby sprzedać swojej okropnej rodzinie jakąś wymówkę, by nie podejrzewali niczego.

Godzina przeznaczona na poszukiwania dobiegała już końca, a my wciąż mieliśmy puste ręce. Nie mogliśmy już bardziej opóźnić naszego przybycia.

Dwór Koszmarów znajdował się za olbrzymimi wrotami wykutymi w skale. Góra wznosiła się tak wysoko, że nie mogłam na jej szczycie

dojrzyć pałacu, w którym kiedyś przebywałam. Tylko śnieg, skała i krążące nad naszymi głowami ptaki. Na zewnątrz nie było nikogo – żadnej osady, żadnych znaków życia. Nic, co by wskazywało, że pod ziemią znajduje się ludne miasto.

Ale nie okazywałam po sobie ciekawości ani przyczajonej obawy, gdy razem z Mor wchodziliśmy do środka. Rhys, Kasjan i Azriel mieli przybyć kilka minut później.

Przy kamiennych wrotach stali strażnicy – ubrani nie w czerń, jak się spodziewałam, lecz w szarość i biel, które to barwy miały zapewne zlewać się ze skałą za ich plecami. Mor nawet na nich nie spojrzała, tylko poprowadziła mnie w milczeniu w głąb góry.

Cała stężałam, gdy tylko otoczyła mnie ciemność przepojona zapachem kamienia, ognia i pieczonego mięsa. Byłam tu już kiedyś, cierpiałam tu.

Nie pod Górą. Nie byłam znów pod Górą.

Istotnie potwierdziło się, że dwór Amaranthy był dziełem dziecka. Dwór Koszmarów zaś – boga.

Podczas gdy pod Górą znajdowała się płatanina korytarzy, komnat i poziomów, to... to było naprawdę miasto.

Korytarz, którym prowadziła mnie Mor, był aleją, a wokół nas wznosiły się wysoko w półmrok budynki i wieże, domy i mosty. Metropolia wykuta w ciemnej skale góry. Nie pozostawiono ani skrawka bez jakiejś cudownej, odrażającej ozdoby.

Figury tańczyły i oddawały się rozpuście, zebrały i ucztowały. Kolumny wyrzeźbiono tak, aby przypominały pnącza z rozkwitającymi nocą kwiatami. Miasto przecinały strumienie i rzeki wody skierowanej tu z samego serca góry.

Wykute Miasto. Pełne tak straszliwego piękna, że trudno mi było nie okazywać podziwu i lęku. Gdzieś w oddali już grała muzyka, a nasi gospodarze wciąż nie przyszli nas przywitać. Mijani przez nas mieszkańcy – wyłącznie fae wysokiego rodu – mieli kosztowne szaty, a ich twarze były śmiertelnie blade i chłodne. Nikt nas nie zatrzymywał, nikt się nie uśmiechnął ani nie pokłonił.

Mor wszystkich ignorowała. Ani ja, ani ona nie wyrzekłyśmy żadnego słowa. Tak mnie poinstruował Rhys – tutaj ściany miały uszy.

Mor poprowadziła mnie aleją w stronę kolejnych kamiennych wrót wiodących do czegoś, co wyglądało na zamek *wewnątrz* góry.

Oficjalna siedziba księcia Dworu Nocy.

Na skrzydłach wrót wyrzeźbiono olbrzymie, pokryte łuskami czarne bestie owinięte wokół siebie w gniazdach zbudowanych z pazurów i kłów, śpiące i walczące, niektóre zamknięte w nieskończonym cyklu pożerania się nawzajem. Między nimi płynęły pnącza jaśminu i księżycowych kwiatów. Przysięgłabym, że w srebrzystej poświacie podskakujących w powietrzu w całym mieście kul czarodziejskich świateł bestie zdawały się poruszać. Wrota Wieczności – taki tytuł nadałam obrazowi, który przemknął mi przed oczami duszy.

Mor przeszła prosto przez nie; mgnienie barw i życia w tym dziwnym zimnym miejscu.

Miała na sobie suknię bez rękawów w najgłębszym odcieniu czerwieni. Muślin i koronka ściśle opinały jej biust i biodra, a zmyślnie rozmieszczone wycięcia odsłaniały spore fragmenty jej brzucha i pleców. Włosy spływały gęstymi falami, a na nadgarstkach lśniły bransolety z czystego złota. Królowa... królowa, która nie kłaniała się nikomu. Królowa, która stawiała im wszystkim czoło i zatriumfowała. Królowa, która była jedyną właścicielką swojego ciała, swojego życia, swojego przeznaczenia – i nigdy za to nie przeproszała.

Mój strój, w który Mor przebrała mnie szybko w sosnowym lesie, został uszyty na podobną modłę i był niemal identyczny jak ten, który musiałam nosić pod Górą. Dwa paski materiału, które ledwie zakrywały moje piersi, schodziły poniżej pępka, gdzie zawieszony na biodrach pasek spinał je w jeden długi pas, który spływał między moje nogi; plecy miałam niemal całkiem odsłonięte.

Jednak w przeciwieństwie do szyfonu i jaskrawych kolorów mojego poprzedniego stroju, ten został uszyty z czarnego lśniącego materiału, który błyszczał przy każdym ruchu moich bioder.

Mor upięła mi włosy na głowie za czarnym diademem obsypanym diamentowymi okruchami, dzięki którym lśnił on niczym nocne niebo. Przyciemniła i wydłużyła moje rzęsy, i narysowała węglem elegancką morderczą kreskę przy zewnętrznym kąciku każdego oka. Usta

pomalowała mi krwistoczerwoną szminką.

Weszliśmy wprost do zamku pod górą. Tu było więcej osób – kręcących się po ciągnących się bez końca korytarzach, obserwujących każdy nasz oddech. Niektórzy przypominali Mor, ze złotymi włosami i pięknymi twarzami. Nawet na nią syczeli.

Odpowiedziała im kpiącym uśmieszkiem. Po części żałowałam, że zamiast tego nie wyrwała im krtani.

W końcu dotarliśmy do sali tronowej wyłożonej wypolerowanym hebanem. Tutaj wyrzeźbiono więcej tych samych węży, które widziałam na wrotach – owijały się wokół niezliczonych kolumn wspierających sufit z onyksu, który był tak wysoko, że w półmroku nie widziałam go dokładnie, ale wiedziałam, że jego też pokrywały te węże. Potężne bestie mające przyglądać się knowaniom i podstępom. Również tron został wyrzeźbiony tak, że sprawiał wrażenie składającego się z węzowych cielsk. Oparcie wieńczyły dwie głowy, tak jakby bestie spoglądały nad ramionami księcia.

Zebrał się spory tłum i przez chwilę znów się znalazłam w sali tronowej Amaranthy, w której panowała tak podobna złowroga atmosfera przesycona nienawiścią. W której znajdował się tak podobny podest.

Złotowłosa, niesamowicie przystojny mężczyzna zastąpił nam drogę do hebanowego tronu. Mor zatrzymała się płynnie. Nie odezwała się ani słowem, ale ja wiedziałam, że przed nami stoi jej ojciec.

Był ubrany w czerń, a na jego czole spoczywała srebrna obręcz. Piwne oczy przypominały starą glebę.

– Gdzie on jest? – zwrócił się do Mor.

Żadnego powitania, żadnych formalności. Mnie całkowicie zignorował.

Mor wzruszyła ramionami.

– Przybywa, gdy ma takie życzenie – odparła i poszła dalej.

Wtedy jej ojciec spojrzał na mnie, a ja przywołałam na twarz maskę podobną do tej, którą ona nosiła: obojętności. Pełną rezerwy.

Mężczyzna przyjrzał się mojej twarzy, mojemu ciału... i gdy już spodziewałam się, że uśmiechnie się szyderczo i będzie się we mnie bezczelnie wgapiał... nic. Żadnej emocji. Tylko bezduszny chłód.

Ruszyłam za Mor, zanim odraza zdołała zniszczyć moją lodową maskę.

Stojące pod czarnymi ścianami stoły bankietowe były zastawione misami dużych soczystych owoców i plecionego złocistego chleba, pieczonym mięsem, beczkami cydru i piwa, ciastami, tartami i ciastkami każdej wielkości i każdego rodzaju.

Na ten widok mogłaby mi napłynąć ślina do ust... gdyby nie otaczający mnie fae i ich wspaniałe ubiory. Gdyby nie to, że nikt nawet nie tknął całego tego jedzenia. Władza i bogactwo polegały na tym, że mogli sobie pozwolić, by wszystko to się zmarnowało.

Mor podeszła do obsydianowego podestu. Zatrzymałam się przed pierwszym stopniem, podczas gdy ona stanęła obok tronu i zwróciła się do zebranych głosem wyraźnym, okrutnym i przebiegłym:

– Wasz książę nadchodzi. Jest w podłym nastroju, tak więc sugeruję jak najlepsze zachowanie. Chyba że chcecie dostarczyć mu tego wieczoru rozrywki.

Zanim przez salę przebiegła fala szeptów, poczułam to. Poczułam... jego.

Skała pod moimi stopami zdawała się drgać – pulsującym, równym rytmem.

Rytmem jego kroków. Tak jakby cała góra drżała pod jego stopami.

W sali zaległa śmiertelna cisza, jakby wszyscy skamienieli w obawie, że nawet oddychanie może przyciągnąć uwagę zmierzającego ku nam drapieżnika.

Mor stała wyprostowana, z wysoko uniesioną głową – dzika, bezwstydną duma z przybycia jej pana.

Pamiętając o swojej roli, stałam z opuszczoną głową i obserwowałam wszystko z boku.

W drzwiach pojawili się najpierw Kasjan z Azrielem. Generał i pieśniarz cieni księcia, a zarazem najpotężniejsi Ilyrowie w historii.

Nie wyglądali jak mężczyźni, których zdążyłam poznać.

Ubrani w pierwszorzędnej roboty czarne łuskowe pancerze opinające ciasno ich umięśnione ciała, sprawiające, że zdawali się jeszcze szersi w barkach, niż byli w rzeczywistości. Ich twarze stanowiły

portrety nieczulej brutalności. W jakiś sposób przypominali mi te hebanowe bestie wyrzeźbione na kolumnach, które mijali.

Poza syfonami umieszczonymi na grzbietach dłoni mieli jeszcze dodatkowe: jeden na środku piersi, po jednym na każdym ramieniu i po jednym na każdym kolanie

Przez chwilę nogi pode mną zadrżały i pojęłam, czego przywódcy Ilyrów tak bardzo się w nich lękali. Większość ich wojowników potrzebowała tylko jednego syfonu, żeby zapanować nad swoją morderczą mocą... Kasjan i Azriel mieli po siedem. *Siedem.*

Dworzanie wykazali się rozsądkiem i cofnęli o krok, gdy Kasjan i Azriel szli przez tłum ku podestowi. Ich skrzydła lśniły, a wieńczące je szpony zdawały się dość ostre, żeby przeszyć na wylot powietrze – tak jakby je specjalnie naostrzyli.

Uwagę Kasjana błyskawicznie przyciągnęła Mor. Azriel pozwolił sobie tylko na przelotne spojrzenie, po czym przystąpił do uważnego lustrowania otaczającego ich tłumy. Większość zebranych starała się unikać wzroku naczelnego szpiega i drżała na widok Prawdomówcy, którego rękojeść wystawała znad lewego barku Ilyra.

Azriel, z maską pięknej śmierci na twarzy, bezgłośnie obiecywał im wszystkim niemające końca męki. Nawet podążające za nim cienie drżały.

Wiedziałam dlaczego. Wiedziałam, dla kogo chętnie by tę obietnicę spełnił.

Próbowali sprzedać siedemnastoletnią dziewczynę za żonę sadyście, a potem niemal zamęczyli ją w sposób, którego nie mogłam – nie chciałam sobie wyobrazić. Wszyscy oni teraz żyli w przeraźliwym lęku przed trójką towarzyszy stojącą na podeście.

I dobrze. Powinni się ich bać.

Powinni się bać mnie.

Wtedy pojawił się Rhysand.

Uwolnił swoją magię, ukazując, kim naprawdę był. Jego moc wypełniała salę tronową, zamek, górę. Świat. Nie miała końca ani początku.

Bez skrzydeł. Bez broni. Bez żadnego atrybutu wojownika. Elegancki i okrutny książę, za jakiego mieli go wszyscy inni. Dłonie

trzymał w kieszeniach, a czarna tunika zdawała się pochłaniać światło. Na jego głowie spoczywała korona z gwiazd.

Ani śladu mężczyzny, który pił na dachu. Ani śladu upadłego księcia klęczącego na swoim łóżku. Emanująca z niego siła groziła zmieceniem mnie pod ścianę.

Oto... oto był najpotężniejszy książę, jaki kiedykolwiek przyszedł na świat.

Oblicze snów i koszmarów.

Rhys spojrział mi przelotnie w oczy z oddali, krocząc spokojnie między kolumnami. Tron należał do niego według prawa krwi, poświęcenia i potęgi. Na widok jego pierwotnego piękna i mocy poczułam, że krew śpiewa mi w żyłach.

Mor zeszła z podestu i przyklękła na jedno kolano w płynnym ukłonie.

Kasjan i Azriel zrobili to samo.

Tak jak i wszyscy zebrani w sali.

Włącznie ze mną.

Hebanowa podłoga była tak doskonale wypolerowana, że widziałam w niej odbicie mojej pozbawionej jakiegokolwiek wyrazu twarzy i pomalowanych na czerwono ust. W sali zapadła taka cisza, że słyszałam każdy krok zbliżającego się Rhysa.

– Proszę, proszę – powiedział, nie zwracając się do nikogo konkretnego. – Wygląda na to, że mamy tu wszystkich.

Nie podnosząc się, Kasjan uniósł głowę i posłał Rhysowi drapieżny półuśmiech – doskonały generał książęcych armii gotowy upuścić krwi na jego skinienie.

Przed moimi oczami zatrzymały się buty Rhysa.

Lodowate palce ujęły mnie za brodę i uniosły moją twarz w górę.

Cała sala, wciąż na kolanach, przyglądała się nam. Ale odegrania tej roli ode mnie oczekiwał. Miałam być atrakcją, miałam odwrócić ich uwagę. Kąciki ust Rhysa powędrowały w górę.

– Witaj w moim domu, Feyro Wyzwolicielko.

Spuściłam wzrok. Podkreślone mocno węglem rzęsy połaskotały mnie w policzek. Mlasnął głośno i ścisnął mocniej moją brodę. Wszyscy zauważyli nacisk palców, drapieżne przechylenie jego głowy.

– Chodź ze mną – rozkazał.

Pociągnął mnie za brodę i posłusznie wstałam. Omiótł mnie całą wzrokiem. Byłam ciekawa, czy błysk w jego oku był tylko na pokaz.

Poprowadził mnie kilka kroków na podest. Zasiadł na tronie i uśmiechnął się lekko do swojego potwornego dworu. Swoją postawą pokazywał, że każdy cal rzeźbionego krzesła należy do niego.

Tak jak wszyscy zebrani tu fae.

Pociągnął mnie za talię i posadził sobie na kolanach.

Książęca dziwka. Tym stałam się pod Górą – tego oczekiwał ode mnie cały świat. Niebezpieczna nowa maskotka, którą ojciec Mor będzie chciał teraz wybadać.

Dłoń Rhysa przesunęła się wzdłuż mojej nagiej tali, a druga pogładziła skórę odsłoniętego uda. Zimne – jego ręce były tak zimne, że niemal krzyknęłam.

Musiał poczuć moje bezgłośnie drgnięcie, bo chwilę potem dłonie miał już ciepłe. Przesunął powoli kciukiem po wewnętrznej stronie mojego uda, tak jakby chciał przeprosić.

Przysunął usta do mojego ucha, doskonale świadomy, że jego poddani wciąż klęczą. Tak jakby kiedyś, dawno temu, odważyli się wstać bez polecenia – i ponieśli tego konsekwencje. Zataczając drugą dłonią leniwe koła po nagiej skórze na moich żebrach, Rhysand wyszeptał:

– Niech ci to nie pomiesza myśli.

Wiedziałam, że wszyscy to słyszeli. On też był tego świadom.

Spojrzałam na ich pochylone głowy. Serce biło mi jak opętane, ale zdołałam zapytać z nieprzeniknionym spokojem:

– Co?

Oddech Rhysa pieścił moje ucho, bliźniaczo podobny do oddechu, który czułam ledwie godzinę temu w przestworzach.

– Że każdy z obecnych tu mężczyzn zastanawia się w tej chwili, co byłby skłonny oddać w zamian za możliwość pocucia na sobie tych twoich ślicznych czerwonych ust.

Czekałam na rumieniec, na odruch nieśmiałości.

Ale ja przecież *byłam* piękna. Byłam silna.

Przeżyłam – i zatriumfowałam. A Mor przetrwała w tym ohydny,

toksycznym domu...

Zatem uśmiechnęłam się lekko. Pierwszy uśmiech mojej nowej maski. Niech widzą te śliczne czerwone usta i proste białe zęby.

Przesunął dłoń w górę uda. Arogancki gest mężczyzny, który był przekonany, że jest właścicielem ciała i duszy kobiety. Przeprosił mnie za to z góry – za tę grę, te role, które musieliśmy odgrywać.

Poddałam się temu dotykowi i oparłam o jego twarde, ciepłe ciało. Przyłgnęłam do niego tak mocno, że wyczuwałam głębokie dudnienie jego głosu, gdy w końcu zwrócił się do swojego dworu:

– Powstańcie.

Wstali jak jeden mąż. Posłałam części z nich kpiący uśmieszek, cudownie znudzona i nieskończenie rozbawiona.

Rhys przesunął palcem po wewnętrznej stronie mojego kolana. Od tego dotyku wszystkie nerwy w moim ciele zapłonęły.

– Idźcie, bawcie się – zwrócił się do dworzan.

Posłusznie rozeszli się do swoich zajęć, a z odległego kąta dobiegła muzyka.

– Keir – powiedział Rhys, przecinając głosem powietrze w sali, tak jak błyskawica przecina nocne niebo.

Nie trzeba było więcej, aby ojciec Mor zjawił się u stóp podestu i zgiął się w ukłonie. Z lodowatą odrazą malującą się na twarzy spojrzął na Rhysa, potem na mnie – rzucił szybkie spojrzenie na Mor i Ilyrów. Kasjan skinął mu powoli głową, pokazując w ten sposób, że pamięta – i nigdy nie zapomni – co rządca Wykutego Miasta zrobił własnej córce.

Ale to Azriel sprawił, że Keir lekko się skulił. Na widok Prawdomówcy.

Pomyślałam, że kiedyś Azriel użyje tego ostrza przeciwko ojcu Mor. I nie będzie się śpieszył.

– Zdaj sprawy – zażądał Rhys, przesuwał knykciem po moich żebrach.

Odprawił Kasjana, Mor i Azriela skinięciem głowy. Cała trójka oddaliła się i wtopiła w tłum. Nie minęły dwa uderzenia serca, a Azriel rozplątał się w cieniach i zniknął. Keir nawet się nie odwrócił.

W porównaniu z Rhysem zdawał się jedynie krnąbrnym dzieckiem, choć wiedziałam, że ojciec Mor był od księcia starszy. O wiele starszy.

Wyglądało na to, że rządca lgnął do władzy i potęgi.

A Rhys *był* potęgą.

– Witaj, panie – powiedział Keir dźwięcznym, głębokim głosem. –
Bądź pozdrowiona... pozdrowiony, gościu księcia.

Rhys położył dłoń płasko na moim udzie i przekrzywił głowę, aby
mi się przyjrzeć.

– Jest urocza, czyż nie?

– Nie sposób zaprzeczyć – odparł Keir, spuszcżając wzrok. –
Niewiele mam ci do przekazania, panie. Od twojej ostatniej wizyty
panuje spokój.

– Nie ma nikogo, kogo mógłbym ukarać?

Kot bawiący się jedzeniem.

– Nikogo, panie, chyba że rozkażesz mi wybrać kogoś z tu
obecnych.

Rhys mlasnął z irytacją.

– Szkoda.

Ponownie spojrział na mnie, po czym pochylił głowę, aby
pociągnąć zębami płatek mojego ucha.

I niech mnie piekło pochłonie, ale odchyliłam się mocniej, gdy
zacisnął lekko zęby i jednocześnie przesunął kciuk wysoko w górę
mojego uda, sunąc po wrażliwej skórze długim lubieżnym
pociągnięciem. Wyprężyłam się pod jego dotykiem, a mój oddech...
Niech mnie Kocioł przeklnie, jego zapach, cytrusy i morze, bijąca od
niego moc... oddech mi nieco przyspieszył.

Wiedziałam, że to zauważył, że dostrzegł tę zmianę we mnie.

Jego palce na mojej nodze zastygły w bezruchu.

Keir zaczął wymieniać członków dworu, o których nigdy wcześniej
nie słyszałam, przedstawiać nudne doniesienia na temat ślubów, sojuszy
i waśni, a Rhys mu nie przerywał.

Ponownie przesunął kciukiem, tym razem dołączając do niego
palec wskazujący.

Głuche dudnienie wypełniło mi uszy, odcinając wszystko poza jego
palcami po wewnętrznej stronie mojej nogi. Muzyka pulsowała,
przedwieczna, dzika, dworzanie ocierali się o siebie w jej rytm.

Ze wzrokiem utkwionym w swoim rządcy Rhys co jakiś czas

zdawkowo kiwał głową. Jednocześnie jego palce raz po raz powoli gładziły moje uda, za każdym razem przesuwał się coraz wyżej.

Wszyscy się przyglądali. Nawet pijąc i jedząc, nawet tańcząc w niewielkich grupkach, wszyscy się nam przyglądali. Siedziałam na jego kolanach, jego osobiste bawidełko, każde dotknięcie widoczne dla dworzan... a jednocześnie równie dobrze mogliśmy tam być tylko my dwoje.

Keir wyliczał wydatki i koszty funkcjonowania dworu, a Rhys kolejny raz lekko kiwnął głową. Tym razem przesunął nos po zbiegu szyi i ramienia, po czym musnął to miejsce wargami.

Piersi mi stwardniały, stały się pełne i ciężkie, bolesne – bolesne jak to, co się teraz gromadziło w samym środku mnie. Żar rozpalił mi twarz, zagotował krew.

– Słyszałem pogłoski, ale nie potrafiłem im dać do końca wiary – powiedział na koniec swojej tyrady Keir, tak jakby na chwilę stracił panowanie nad sobą.

Spojrzał na mnie, na moje piersi, na sutki widoczne wyraźnie przez paski materiału, na moje nogi, rozsunięte szerzej niż jeszcze kilka minut temu, na dłoń Rhysa niebezpiecznie blisko miejsca najbardziej intymnego.

– Ale najwyraźniej to prawda: maskotka Tamlina ma teraz nowego pana.

– Powinieneś zobaczyć, jak zmuszam ją, by błagała – wymruczał Rhys, trącając moją szyję nosem.

Keir założył dłonie za plecami.

– Zakładam, że sprowadziłeś ją tu jako swego rodzaju manifest.

– Dobrze wiesz, że niczego nie robię bez powodu.

– Oczywiście. Tę tutaj, jak się wydaje, lubisz wrzucać w pajęczyny i ozdabiać koronami.

Dłoń Rhysa zamarła. Wyprostowałam się na jego ton, na pobrzmiwającą w jego głosie odrazę. I zwróciłam się do Keira głosem należącym do innej kobiety:

– Może powinnam wziąć *ciebie* na smycz.

Aprobata Rhysa zastukała w moją umysłową tarczę, dłoń spoczywająca na moich żebrach wróciła do leniwego kreślenia okręgów.

– Lubi się bawić – powiedział zamyślonym głosem z ustami przy moim barku. Wskazał brodą rządcę. – Przynieś jej wino.

Chłodna komenda. Nawet cienia uprzejmości.

Keir zeszywniał, ale poszedł w stronę stołów.

Rhys nie powążył się na nawet chwilowe zrzucenie maski, ale lekki pocałunek na moim uchu powiedział mi dość. Przeprosiny i wdzięczność – i jeszcze więcej przeprosin. Nie podobało mu się to tak samo jak mnie. Ale było konieczne, żebyśmy dopięli swego, żeby zyskać potrzebny Azrielowi czas... On był gotów to zrobić. I ja też.

Zastanawiałam się, z jego dłońmi pod moim biustem i między moimi nogami, czy jest coś, na co Rhys by się nie zdobył. Zastanawiałam się, czy... czy może ta arogancja i zarozumiałość... czy nie była to maska mężczyzny, który może nie miał o sobie zbyt wysokiego mniemania.

Orkiestra zagrała nowy utwór, z melodią ociekającą miodem, podszytą prędkim wiatrem i zaakcentowaną świdrującymi, nieustępliwymi bębnami.

Obróciłam się i przyjrzałam jego twarzy. W jego oczach nie było ani krzty ciepła, ani śladu przyjaźni, którą mnie darzył. Uchyliłam swoją tarczę na tyle, żeby go wpuścić.

Jego głos wpłynął do moich myśli: „O co chodzi?”.

Sięgnęłam wzdłuż łączącej nas więzi i pogładziłam czule ścianę czarnego jak smoła adamantu. Pojawiła się niewielka szczelina – tylko dla mnie. Powiedziałam w nią: „Jesteś dobry, Rhys. Jesteś łagodny. Ta maska mnie nie przeraża. Dostrzegam pod nią ciebie”.

Zacisnął mocniej dłonie na mojej skórze i spojrzał mi w oczy, po czym nachylił się i musnął wargami mój policzek. To mi wystarczyło za odpowiedź i... jednocześnie sprawiło, że pozwoliłam sobie na więcej.

Naparłam na niego mocniej i rozsunęłam nieco szerzej nogi. „Czemu przestałeś?” – powiedziałam w jego myślach, w nim.

Niemal bezgłośny warkot odbił się we mnie echem. Ponownie pogładził moje żebra, zgrywając ruchy dłoni z rytmem muzyki. Jego kciuk powędrował na tyle wysoko, że niemal musnął dolną część mojej piersi.

Wsparłam głowę na jego ramieniu.

Odsunęłam od siebie te myśli, w których brzmiały ich słowa: „dziwka, dziwka, dziwka”...

Odsunęłam też te, które powtarzały za nimi: „zdrajczyni, oszustka, dziwka”...

I po prostu *stałam się*.

Stałam się muzyką, bębnami, dzikością, mroczną istotą w ramionach księcia.

Oczy miał całkowicie zamglone, ale nie mocą czy wściekłością. W myślach wybuchło mi coś rozpalonego do czerwoności i podszytego lśniąca ciemnością.

Przesunęłam dłoń wzdłuż jego uda, wyczuwając ukrytą siłę wojownika. Potem powiodłam nią z powrotem długim leniwym ruchem. Chciałam go dotykać, chciałam go poczuć.

Czułam się, jakbym miała stanąć w ogniu i spłonąć. Jakbym miała buchnąć płomieniami tu i teraz...

„Spokojnie – powiedział przez szczelinę w mojej tarczy z szelmowskim rozbawieniem. – Jeśli zmienisz się w żywą pochodnię, biedny Keir wpadnie w szal. I popsujesz wszystkim bal”.

Ponieważ ogień ukazałby wszystkim, że nie jestem normalna – a Keir bez wątpienia poinformowałby o tym swoich prawie sojuszników na Dworze Jesieni. Albo zrobiłby to jeden z pozostałych potworów obecnych na sali.

Rhys poruszył biodrami, ocierając się o mnie na tyle mocno, że przez chwilę nie dbałam o Keira, o Dwór Jesieni czy też o to, co Azriel właśnie robił, by wykraść kulę Veritas.

Tak długo byłam samotna i pozbawiona ciepła, że moje ciało domagało się kontaktu, radości bycia dotykana, obejmowana, *żywą*.

Dłoń na mojej talii przesunęła się przez brzuch i wsunęła pod wiszący na biodrach pasek. Oparłam głowę w zgięciu jego szyi i patrzyłam na tłum, który patrzył na mnie. Rozkoszowałam się każdym miejscem, w którym dotykał mnie Rhys, i pragnęłam *więcej, więcej, więcej*.

W końcu, gdy krew zaczynała mi kipieć w żyłach, gdy Rhys musnął knykciem dolną część mojej piersi, spojrzałam tam, gdzie wiedziałam, że znajdę Keira – stojącego i przyglądającego się nam,

z moim zapomnianym winem w dłoni.

Oboje spojrzeliśmy.

Rządca opierał się o ścianę i przyglądał się nam bez cienia zażenowania. Nie był pewien, czy powinien nam przerywać. Bał się ewentualnych konsekwencji. To *my* mieliśmy odwrócić jego uwagę. To *my* mieliśmy odwrócić uwagę wszystkich, podczas gdy Az wykradał kulę.

Wiedziałam, że Rhys nie odrywał wzroku od Keira, gdy przesunął językiem wzdłuż mojej szyi.

Wyprężyłam plecy, zmrużyłam oczy, oddech mi przyśpieszył. Będę płonąć, płonąć, płonąć...

„Sądzę, że czuje tak silną odrazę, że mógłby mi wręczyć kulę, żeby tylko móc stąd wyjść” – powiedział w moich myślach Rhys, przesuwał dłoń niebezpiecznie nisko. W miejsce, w którym narastało pulsowanie, a ja nie miałam nic, co by mogło przed nim ukryć pogrążający mnie dowód, gdyby przesunął dłoń jeszcze kawałek dalej.

„Dajemy całkiem niezłe przedstawienie” – odpowiedziałam w jego głowie. Osoba, do której należał ten głos – chrapliwy i zmysłowy – to nie byłam ja. Nigdy dotąd nie słyszałam siebie mówiącej takim tonem. Nawet w myślach.

Przesunął dłoń w górę mojego uda, zakrzywiając palce.

Otarłam się o niego, próbując odsunąć te dłonie od tego, co zaraz miał odkryć...

I poczułam jego twardość na udzie.

Z mojej głowy odpłynęły wszystkie myśli. Pozostał jedynie dreszcz mocy, podczas gdy ja wiłam się wzdłuż tej imponującej wypukłości. Rhys zaniósł się niskim chrapliwym śmiechem.

Keir tylko przyglądał się, przyglądał i przyglądał. Zesztywniały, przerażony. Tkwił tam, dopóki Rhys nie uzna za stosowne go zwolnić – nawet nie zastanawiając się, dlaczego tak się dzieje. Ani gdzie zniknął naczelnny szpieg księcia.

Zatem ponownie obróciłam się i spojrzałam w rozżarzone oczy Rhysanda, po czym polizałam jego szyję. Wiatr i morze, cytrusy i pot. Niemal zagubiłam się w jego woni.

Pochyliłam się i Rhys przesunął wargami po moim karku, po

wypukłości kręgosłupa, a ja otarłam się ponownie o napierającą na mnie twardość, natarczywą i dominującą. Dokładnie w chwili, w której jego dłoń przesunęła się nieco zbyt wysoko wzdłuż mojego uda.

Poczułam, jak jego drapieżny instynkt skupia się na wilgoci, którą właśnie wyczuł. Na dowodzie zdrady mojego ciała. Zacisnął mocniej dłoń a moja twarz spłonęła rumieńcem – może częściowo ze wstydu, ale...

Rhys wyczuł kierunek moich myśli, buzujący we mnie ogień. „Nic się nie stało – powiedział, ale nawet w myślach jego głos był napięty. – To nic nie znaczy. To tylko reakcja twojego ciała...”

„Bo tak bardzo nie można ci się oprzeć?”. Moja próba riposty nie zabrzmiała naturalnie, nawet w myślach.

Ale Rhys roześmiał się, pewnie dla mojego komfortu.

Tańczyliśmy wokół siebie i droczyliśmy się ze sobą już od miesięcy. I może to była reakcja mojego ciała, może to była reakcja *jego* ciała, ale jego smak groził odebraniem mi zmysłów, zniszczeniem mnie, pochłonięciem i...

Inny mężczyzna. Pieściły mnie dłonie innego mężczyzny, podczas gdy Tamlin i ja dopiero co...

Walcząc z wzbierającymi nudnościami przykleiłam do ust rozmarzony, zamglony pożądaniem uśmiech. Właśnie w chwili gdy Azriel wrócił i skinął dyskretnie głową w stronę Rhysa. Wykradł kulę.

Mor przeszła przez tłum w kierunku naczelnego szpiega, przesunęła dłoń zaborczym gestem po jego ramionach, w poprzek jego piersi, okrążając go, by spojrzeć mu w twarz. Poznaczona bliznami ręka Aza objęła ją w talii i uściśnęła. Potwierdzenie, którego Mor potrzebowała.

Posłała mu uśmiech, który zapewne zapoczątkuje falę plotek na dworze, po czym z powrotem wtopiła się w tłum. W olśniewający sposób odwróciła uwagę wszystkich i sprawiła, że teraz będą zachodzić w głowę, gdzie podziewał się Az i czy zaprosiła go do swojego łóżka.

Azriel odprowadził Mor lekko nieobecny, znudzony wzrokiem. Zastanawiałam się, czy w jego myślach panował taki sam bałagan co w moich.

Rhys przyzwał skinieniem palca Keira, który, krzywiąc się

w stronę córki, ruszył ku nam niepewnym krokiem z moim winem wciąż w dłoni. Już prawie dotarł do podestu, gdy moc księcia wyrwała mu puchar i poniosła przez powietrze ku nam.

Rhys postawił go na podłodze obok tronu, pokazując, że było to tylko pozbawione znaczenia zadanie, które miało przypomnieć rządcy o jego słabości i o tym, że tron należał do księcia.

– Czy powinienem sprawdzić, czy nie jest aby zatrute? – zapytał Rhys leniwie, jednocześnie przemawiając w moich myślach: „Kasjan czeka. Ruszaj”.

Na swojej doskonałej twarzy miał ten sam malowany podnieceniem wyraz, ale jego oczy... Nie potrafiłam odczytać skrytych w nich cieni.

Może... po naszym wielotygodniowym droczeniu, po Amarancie nie chciał być dotykany w ten sposób przez kobietę. Może bycie tak pożądanym nie sprawiało mu przyjemności.

Ja byłam torturowana i dręczona, ale jego męki sięgały zupełnie innego pułapu.

– Nie, panie – płaszczył się przed tronem Keir. – Nigdy bym się nie poważył wyrządzić ci krzywdy.

Ta rozmowa była kolejnym sposobem na odwrócenie jego uwagi. Uznałam, że to znak dla mnie, abym podeszła do Kasjana, który stał pod kolumną i warczał na każdego, kto zbyt blisko się zbliżył.

Poczułam przesuwające się na mnie spojrzenia całego dworu, usłyszałam, jak dyskretnie kręcą nosem na to, co było w tak oczywisty sposób wypisane na moim ciele. Ale gdy minęłam Keira, mimo księcia siedzącego za moimi plecami, rządcą wysyczał ledwo słyszalnie:

– Przyjdzie czas, że zapłacisz za wszystko, dziwko.

W sali wybuchła noc.

Dworzanie zaczęli krzyczeć. Gdy mrok się rozwiął, Keir był na kolanach.

Rhys wciąż siedział rozparty na tronie. Jego twarz zastygła w lodowatej wściekłości.

Muzyka ucichła. Mor pojawiła się na skraju tłumu z zadowoleniem wypisanym na twarzy. Azriel podszedł do niej i stanął zbyt blisko, aby uznać, że to przypadek.

– Przepróż – zażądał Rhys.

Serce mi załomotało na brzmienie jego obezwładniająco gniewnego tonu.

Mięśnie na karku Keira napięły się, pot wystąpił mu na twarz.

– Powiedziałem – odezwał się ponownie z przeraźliwym spokojem Rhys – przepróż.

Rządca jęknął. A gdy minęło kolejne uderzenie serca...

Pękła kość. Keir krzyknął.

Przyglądałam się... przyglądałam, jak jego ręka łamie się nie w dwóch, nie w trzech, lecz w *czterech* miejscach, a skóra w nienaturalny sposób napina się i wiotczeje...

Kolejny trzask. Jego łokieć rozpadł się w drobny mak. Zakotłowało mi się w żołądku.

Keir zaczął łkać, ronić łzy wywołane w połowie wściekłością, wnosząc po nienawiści w jego oczach, gdy spoglądał na mnie, a potem na Rhysa. Ale ułożył wargi w słowo „przepraszam”.

Pękły kości jego drugiej ręki i musiałam wyteńczyć wolę, żeby się nie wzdrygnąć.

Rhys uśmiechnął się, gdy Keir krzyknął jeszcze raz.

– Czy powinienem go za to zabić? – zwrócił się do sali.

Nikt nie odpowiedział.

Księżę zachichotał.

– Kiedy się obudzisz, nie skorzystasz z usług uzdrowiciela – powiedział swojemu rządcy. – Jeśli usłyszę, że skorzystałeś...

Kolejny trzask – mały palec u dłoni ojca Mor zwiśł bezwładnie. Mężczyzna wrzasnął. Żar, który gotował mi krew w żyłach, zmienił się w lód.

– Jeśli usłyszę, że skorzystałeś, potnę cię na kawałki i zakopię je tak, że nikomu nigdy nie uda się poskładać cię z powrotem w całość.

Teraz oczy Keira rozszerzyły się w śmiertelnym lęku. Następnie, jakby uderzony niewidzialną ręką, opadł bez czucia na podłogę.

– Rzućcie go do jego komnaty – powiedział Rhys, nie zwracając się do nikogo konkretnego.

Dwóch mężczyzn wyglądających na kuzynów lub braci Mor pośpieszyło i zabrało rządce. Mor przyglądała się ich staraniom z lekkim

szyderyczym uśmiechem – chociaż twarz miała bladą.

Obudzi się. Tak powiedział Rhys.

Zmusiłam się do poruszania nogami, podczas gdy Rhys wezwał innego dworzanina, aby zdał mu sprawę z różnych trywialnych spraw.

Ale nawet gdy stanęłam obok Kasjana, wszystką uwagę skupiałam na tronie. Swoją postawą rzucałam wyzwanie całemu dworowi, aby ktoś się odważył podejść i zabawić ze mną. Nikt tego nie zrobił.

Przez dłużącą się godzinę część uwagi nieustannie poświęcałam księciu, którego dłonie, usta i ciało nagle mnie rozbudziły – rozpały. Nie sprawiły, że zapomniałam, nie przekonały do zapomnienia krzywd i uraz, ale zdołały spowodować, że czułam się... żywa. Jakbym się przebudziła z rocznego snu, który spędziłam w szklanej trumnie. Jakby właśnie tę trumnę Rhys rozbił i potrząsał mną tak długo, aż się ocknęłam.

Księżę, którego potęga mnie nie przerażała. Którego gniew mnie nie niszczył.

A teraz... teraz nie miałam pewności, gdzie się w związku z tym znalazłam.

Po kolana w kłopotach – chyba tak na dobry początek można by to określić.

Rozdział 43

Wiatr wył wokół Rhysa i mnie, gdy księżę przeskoczył z przestworzy nad jego dworem. Ale nie powitało nas Velaris.

Staliśmy nad oświetlonym blaskiem księżyca górskim jeziorem otoczonym sosnami, wysoko ponad światem. Opuściliśmy dwór tak samo, jak na niego przybyliśmy – dumni i budzący grozę. Dokąd Kasjan, Azriel i Mor udali się z kulą, nie wiedziałam.

Staliśmy sami na brzegu jeziora.

– Przepraszam – powiedział chrapliwym głosem Rhys.

Zamrugałam.

– Za co tak właściwie chcesz mnie przeproszać?

Ręce mu się trzęsły – pokłosie furii wywołanej tym, jak się do mnie zwrócił Keir, czym mi groził. Może Rhys zabrał mnie tu przed udaniem się do domu, by pomówić ze mną na osobności, zanim jego przyjaciele będą mogli nam przeszkodzić.

– Nie powinienem był pozwolić ci z nami iść. Zobaczyć tej strony nas wszystkich. Mnie.

Nigdy dotąd nie widziałam go tak bezradnego, tak... niewiedzącego, co powiedzieć.

– Nic mi się nie stało.

Nie wiedziałam, co myśleć o tym, co się właśnie stało. Między nami i z Keirem. Ale to był mój wybór. Odegrać tę rolę, założyć ten strój. Pozwalać mu się dotykać. Jednak...

– Wiedzieliśmy, czego ten dzień będzie wymagał od nas obojga – powiedziałam powoli. – Proszę... proszę, nie zaczynaj... chronić mnie. Nie w ten sposób.

Wiedział, co miałam na myśli. Chronił mnie pod Górą, ale ta pierwotna męska furia, która go popchnęła do okaleczenia Keira... Przez myśli przemknęło mi wspomnienie zniszczonej pracowni zachlapanej farbą.

– Nigdy – wychrypiał Rhys – *przenigdy* cię nie zamknę, nie zmuszę do zostania z tyłu. Ale gdy ci zagroził, gdy nazwał cię...

Dziwką. Tak samo nazywali jego. Syczeli to przez pięćdziesiąt lat. Słyszałam, jak Lucien rzucił mu to słowo w twarz. Rhys wypuścił drżący

oddech.

– Ciężko jest wyłączyć instynktowne odruchy.

Instynktowne. Tak jak... tak jak *ktoś inny* miał instynktowny odruch chronienia mnie, chowania przed światem.

– Zatem powinieneś się być lepiej do tego przygotować – nie wytrzymałam. – Zdawałeś się bawić całkiem nieźle, zanim Keir nie powiedział...

– *Zabiję każdego, kto cię skrzywdzi – warknął Rhys. – Zabiję ich i sprawię, że ich męki będą długotrwałe. – Zaczął dyszeć ciężko. – Proszę bardzo: znienawidź mnie... gardź mną za to.*

– Jesteś moim *przyjacielem*. – Głos mi się załamał na tym ostatnim słowie.

Nienawidziłam łez, które popłynęły mi po twarzy. Nawet nie wiedziałam, dlaczego płaczę. Może dlatego, że wtedy na tronie z nim, nawet jeśli tylko przez krótką chwilę, sprawiało to wrażenie czegoś prawdziwego. Choć zapewne prawdziwe nie było. Nie dla niego.

– Jesteś moim *przyjacielem* i rozumiem, że jesteś księciem. Rozumiem, że będziesz bronił swojego prawdziwego dworu i karał tych, którzy mu zagrożą. Ale nie mogę... Nie chcę, żebyś przestał mi mówić o różnych rzeczach, zapraszać mnie na wyprawy tylko dlatego, że mogłoby mi grozić niebezpieczeństwo.

Ciemność zafalowała i z jego pleców wystrzeliły skrzydła.

– Nie jestem nim – wyszeptał. – I *nigdy* nie będę nim, nie będę się zachowywał jak on. On cię zamknął i pozwalał zwiędnąć, umierać.

– On próbował...

– Przestań porównywać. *Przestań* mnie do niego porównywać.

Oniemiałam na te słowa. Zamrugalam.

– Myślisz, że nie wiem, jak powstają legendy? Jak *ta* historia będzie opowiadana? – Rhys przyłożył dłoń do swojej piersi. Jego twarz przybrała wyraz tak szczery, tak udręczony, jakiego jeszcze u niego nie widziałam. – Jestem mrocznym władcą, który wykradł narzeczoną wiosny. Jestem demonem, koszmarem i spotka mnie zły koniec. On jest zaś złotym księciem, bohaterem, który otrzyma cię jako swoją nagrodę za to, że nie zginął z powodu głupoty i arogancji.

„Wszystko, co kocham, zawsze w końcu tracę”. To mi powiedział

pod Górą.

Ale jego słowa tylko podsyciły moją złość, tylko otworzyły jamę strachu, tę ziejącą czeluść wewnątrz mnie.

– A co z moją opowieścią? – wysyczałam. – Co z *moją* nagrodą? Co z tym, czego *ja* chcę?

– A czego chcesz, Feyro?

Nie znałam odpowiedzi na to pytanie. Nie wiedziałam. Już nie.

– Czego *ty* pragniesz, Feyro?

Milczałam.

Roześmiał się gorzko, cicho.

– Tak myślałem. Może powinnaś kiedyś zastanowić się nad tym.

– Może i nie wiem, czego chcę, ale przynajmniej nie kryję prawdziwej siebie za maską – wypaliłam, kipiąc ze złości. – Przynajmniej pozwalałam innym zobaczyć mnie taką, jaką jestem: zepsutą, zdruzgotaną, złamaną. Tak. Robisz to, żeby ocalić swój lud. Ale co z twoimi pozostałymi maskami, Rhys? Dlaczego nie pokażesz swoim przyjaciółom twojej prawdziwej twarzy? Może tak jest łatwiej. Bo co by się stało, gdybyś kogoś do siebie dopuścił? Gdyby ktoś zobaczył *wszystko* i odszedł od ciebie? Trudno byłoby mieć o to pretensję, przecież nikt nie chciałby zawracać sobie głowę takim bałaganem.

Wzdrygnął się.

Najpotężniejszy książę w historii Prythianu wzdrygnął się. A ja wiedziałam, że ubodłam go mocno... i głęboko.

Zbyt mocno. I zbyt głęboko.

– Rhys.

– Wracajmy do domu.

To słowo zawisło między nami i zastanawiałam się, czy je cofnie – jednocześnie czekając, aż moje usta odwarkną, że to nie jest mój dom. Ale na myśl o bezchmurnym błękitnym niebie nad Velaris o zachodzie słońca, o migotaniu świateł miasta...

Zanim zdążyłam się zgodzić, chwycił mnie za dłoń, unikając mojego wzroku, i przeniósł nas na miejsce.

Wiatr wył głucho wokół, w zimnej i obcej ciemności.

Kasjan, Azriel i Mor istotnie czekali już na nas w miejskim domu. Życzyłam im dobrej nocy, podczas gdy oni rzucili się na Rhysanda, domagając się wyjaśnień, co takiego powiedział Keir.

Wciąż miałam na sobie swoją „sukienkę”, która w Velaris sprawiała wrażenie wyjątkowo wulgarnej, ale mimo to wyszłam do ogrodu, tak jakby blask księżyca i chłód mogły oczyścić moje myśli.

Chociaż jeśli miałabym być ze sobą szczerą... Czekałam na niego. To, co powiedziałam...

Zachowałam się okropnie. Rhys wyjawiał mi swoje tajemnice w zaufaniu, obnażył się przede mną. A ja mu je rzuciłam prosto w twarz.

Ponieważ wiedziałam, że go to zrani. I wiedziałam, że nie mówiłam tak naprawdę o nim.

Mijały minuty. Noc była na tyle chłodna, żeby przypomnieć, że wiosna nie wróciła jeszcze na dobre. Zadrżałam i roztarłam ramiona, obserwując wędrówkę księżyca. Wsłuchiwałam się w szum fontanny, w muzykę miasta... Nie przyszedł. Nie byłam nawet pewna, co bym mu powiedziała, gdyby się jednak zjawiał.

Wiedziałam, że on i Tamlin byli inni. Wiedziałam, że u Rhysanda gniew związany z chęcią chronienia mnie był uzasadniony, że ja bym zareagowała podobnie. Pałam żądzą krwi na najmniejszą wzmiankę o przejściach Mor, pragnęłam ich za to ukarać.

Dobrze znałam ryzyko. Wiedziałam, że będę siedzieć mu na kolanach, dotykać go, wykorzystywać go. Już od jakiegoś czasu go wykorzystywałam. I może powinnam mu powiedzieć, że nie... Nie chciałam ani nie oczekiwałam od niego niczego.

Może Rhysand potrzebował ze mną flirtować, droczyć się, by zająć czymś swoje myśli, odzyskać poczucie normalności – tak samo jak ja.

I może powiedziałam mu to, co powiedziałam, bo... bo pojęłam, że to ja mogę być tą osobą, która nikogo do siebie nie dopuszcza. A dziś, kiedy nim wstrząsnęło to, jaki ma na mnie wpływ... Coś w mojej piersi się skruszyło.

Byłam zazdrosna – o Kresejdę. Wtedy na barce byłam tak głęboko nieszczęśliwa, ponieważ to ja chciałam być tą, do której tak się uśmiechał.

I choć wiedziałam, że to niewłaściwe, to... Nie sądziłam, żeby

Rhys nazwał mnie dziwką, gdybym tego chciała – gdybym chciała... jego. Niezależnie od tego, jak mało czasu minęło od mojego rozstania z Tamlinem.

Nie nazwałoby mnie tak też żadne z jego przyjaciół. Nie zrobiliby tego, ponieważ oni sami byli nazywani podobnie, a nawet gorzej.

I nauczyli się żyć – i kochać – obok tego. Mimo tego.

Może więc nadszedł czas, żeby powiedzieć to Rhysowi. Żeby mu wytłumaczyć, że nie chciałam udawać. Nie chciałam też teraz udawać, że to tylko żart, sumienna realizacja planu, by przyciągnąć uwagę zebranych.

To będzie ciężkie i bałam się tego. Trudno będzie mi sobie z tym poradzić, ale... Chciałam spróbować – z nim. Spróbować... być czymś. Razem. Czy chodziłoby wyłącznie o seks, czy o coś więcej, czy o coś pomiędzy i poza tymi dwiema możliwościami, nie wiedziałam. Odkrylibyśmy to sami.

Zostałam uleczona – albo właśnie osiągałam ten stan – na tyle, żeby chcieć spróbować.

O ile on też był gotów spróbować.

O ile nie zechce odejść, kiedy powiem mu, że go pragnę.

Nie księcia, nie najpotężniejszego mężczyzny w dziejach Prythianu.

Po prostu... jego. Osoby, która wysłała mi muzykę wtedy w celi; która podniosła nóż w sali tronowej Amaranthy, żeby o mnie walczyć, gdy nikt inny się nie odważył; która potem walczyła dla mnie każdego dnia, nie pozwalając mi rozsypać się i rozplynać w nicości.

Zatem czekałam na niego w mroźnym, zalanym blaskiem księżyca ogrodzie.

Ale nie przyszedł.

Rhys nie zszedł na śniadanie. Nie było go także na lunchu. Nie było go w ogóle w domu.

Nawet napisałam do niego list na ostatniej kartce, której używaliśmy.

„Chcę z tobą porozmawiać”.

Czekałam trzydzieści minut na zniknięcie papieru.

Ale cały czas tkwił w mojej dłoni... aż cisnęłam go w ogień.

Byłam na tyle wkurzona, że ruszyłam na ulice, ledwo zauważając, że dzień był ciepły i słoneczny, a powietrze zdawało się pachnieć cytrusami, polnymi kwiatami i świeżą trawą. Teraz, kiedy mieliśmy już kulę, Rhys bez wątpienia skontaktuje się z królowymi. A te bez wątpienia będą zwlekać i marnować nasz czas, żeby tylko przypomnieć nam, że są ważne, że one też mają władzę.

Po części chciałam, żeby Rhys mógł skruszyć ich kości tak, jak to zrobił z Keirem.

Skierowałam się do mieszkania Amreny na drugim brzegu rzeki. Potrzebowałam dłuższego spaceru, żeby uporządkować myśli.

Zima istotnie ustąpiła już wiośnie. W połowie drogi szłam już z płaszczem przerzuconym przez ramię, a pod grubym kremowym swetrem skórę miałam lepką od potu.

Amrenę zastałam tak jak poprzednio: zgarbioną nad Księgą, z rozrzuconymi wokół papierami. Postawiłam krew na stole.

– Ach – powiedziała, nie podnosząc wzroku. – Powód, dla którego Rhys niemal odgryzł mi dziś rano głowę.

Oparłam się o stół i zmarszczyłam czoło.

– Dokąd się udał?

– Zapolować na tego, kto was wczoraj zaatakował.

Jeśli mieli jesionowe strzały... Spróbowałam uspokoić kąsający mnie niepokój.

– Sądzisz, że to mógł być ktoś z Dworu Lata?

Krwawy rubin wciąż leżał na podłodze, dalej służąc jako przycisk do papieru targanego wiatrem, który wlatywał do mieszkania od rzeki przez otwarte okna. Naszyjnik od Variana leżał obok łóżka. Tak jakby zasnęła, patrząc na niego.

– Może – odparła, sunąc palcem wzdłuż rzędu liter.

Musiała być naprawdę zajęta, skoro nawet nie spojrzała na krew. Rozważyłam zostawienie jej z pracą, ale po chwili dodała:

– Niezależnie od tego wydaje się, że nasi wrogowie śledzą magię Rhysa. A to oznacza, że potrafią go znaleźć, kiedy gdzieś skacze lub używa swojej mocy. – W końcu uniosła na mnie wzrok. – Opuszczacie

Velaris za dwa dni. Rhys chce, żebyście przenieśli się do jednego z obozów wojennych Ilyrów, z którego polecicie do ludzkich krain, kiedy odezwią się królowe.

– Dlaczego nie dzisiaj?

– Ponieważ jutro w nocy wypada Święto Spadających Gwiazd. Nasze pierwsze od pięćdziesięciu lat. Mieszkańcy oczekują, że Rhys będzie świętował razem ze swoim ludem.

– Co to jest Święto Spadających Gwiazd?

Oczy Amreny zaśniły.

– Poza granicami tej krainy świętuje się ten dzień jako Nynsar, święto nasion i kwiatów.

Niemal się wzdrygnęłam. Nie podejrzewałam, że od mojego przybycia tu minęło już tak wiele czasu.

– Ale Spadające Gwiazdy... – podjęła Amrena. – Można to zobaczyć tylko na ziemiach Dworu Nocy, tylko tu obchodzi się je zamiast hulanek Nynsaru. Resztę zobaczysz sama. Nie chcę ci psuć niespodzianki.

Cóż, to by wyjaśniało, dlaczego mieszkańcy sprawiali wrażenie, że szykują się do jakichś obchodów. Fae wszelkiego rodzaju wracali do domów z całymi naręczami wielokolorowych bukietów polnych kwiatów, wstążek i jedzenia. Ulice były zamiatane i myte, witryny sklepowe naprawiane zwinnymi, sprawnymi rękami.

– Czy potem jeszcze tu wrócimy? – zapytałam.

Znowu zaczęła studiować Księgę.

– Przez jakiś czas nie.

Poczułam nasilające się klucie w piersi. Dla istoty nieśmiertelnej „jakiś czas” musiał oznaczać... długo, bardzo długo.

Uznałam to za zachętę do wyjścia i skierowałam się ku drzwiom.

– Kiedy Rhys wrócił – odezwała się za moimi plecami Amrena – po Amarancie, był niczym duch. Udawał, że tak nie jest, ale nikogo nie oszukał. Dzięki tobie znowu ożył.

Jej słowa zawisły w powietrzu. Nie chciałam o tym myśleć, zwłaszcza gdy wszystkie dobre rzeczy, jakie zrobiłam – wszystkie dobre rzeczy, jakie zrobiliśmy dla *siebie nawzajem* – mogły zostać zniszczone przez to, co mu powiedziałam.

– Ma szczęście, że ma was wszystkich – powiedziałam.

– Nie – zaprotestowała łagodnym głosem; łagodniejszym, niż kiedykolwiek u niej słyszałam. – To my mamy szczęście, że go mamy, Feyro. – Odwróciłam się plecami do drzwi. – Znałam wielu książąt – kontynuowała Amrena, studiując uważnie zapisaną kartkę. – Okrutnych, przebiegłych, słabych, potężnych. Ale nigdy takiego, który by marzył. Nie tak, jak on marzy.

– Marzy o czym? – zapytałam szeptem.

– O pokoju. O wolności. O świecie zjednoczonym, kwitnącym. O czymś lepszym... dla nas wszystkich.

– Uważa, że zostanie zapamiętany jako czarny charakter.

Parsknęła.

– Ale zapomniałam mu powiedzieć – wyznałam cicho, otwierając drzwi – że czarnym charakterem jest zwykle ten, kto zamyka księżniczkę w zamku i wyrzuca klucz.

– Ach?

Wzruszyłam ramionami.

– To on mnie wypuścił na wolność.

„Jeśli przeniosłeś się gdzieś indziej, mogłeś przynajmniej dać mi klucze do tego domu – napisałam po powrocie z mieszkania Amreny. – Ciągle zostawiam otwarte drzwi, kiedy wychodzę. To się staje aż zbyt kuszące dla okolicznych włamywaczy”.

Bez odpowiedzi. List nawet nie zniknął.

Spróbowałam ponownie po śniadaniu następnego dnia – w poranek dnia Spadających Gwiazd.

„Kasjan powiedział, że siedzisz i użalasz się nad sobą w Domu Wiatru. Bardzo nieksiążęce zachowanie. Co z moim treningiem?”.

Ponownie bez odpowiedzi.

Poczucie winy i... i czymkolwiek było to drugie uczucie, zaczęły pulsować. Ledwo się powstrzymałam od podarcia kartki na strzępy i po drugim śniadaniu napisałam trzecią wiadomość.

„Czy to jest kara? Czy też członkowie Twojego wewnętrznego kręgu nie dostają drugich szans, gdy cię wkurzą? Jesteś okropnym

tchórzem”.

Właśnie wyszłam z wanny, wsłuchana w zgiełk przygotowań do rozpoczęcia święta o zachodzie słońca, kiedy spojrzałam na biurko, gdzie zostawiłam list.

Na moich oczach zniknął.

Nuala i Cerridwena pojawiły się, żeby pomóc mi się ubrać. Starłam się nie gapić cały czas na blat biurka i czekałam – czekałam i czekałam na odpowiedź.

Nie nadeszła.

Rozdział 44

Ale mimo listu, mimo nieporozumienia między nami, gdy spojrzałam godzinę później w lustro, nie mogłam uwierzyć w to, co w nim zobaczyłam.

W ostatnich tygodniach odczuwałam taką ulgę, że w ogóle mogłam przespać całą noc, że nie doceniłam faktu, że nie zwracałam ciągle jedzenia.

Rysy mojej twarzy się wypełniły, ciało się zaokrągliło. To, co zajęłoby człowiekowi wiele tygodni, zostało przyśpieszone cudem mojej nieśmiertelnej krwi. A suknia...

Nigdy dotąd nie miałam na sobie czegoś podobnego i wątpiłam, żebym kiedykolwiek miała założyć coś, co jej dorówna.

Wykonana z malutkich błękitnych klejnotów – tak bladych, że niemal białych – opinała się na każdej krągłości i każdym wcięciu, opadała aż do samej ziemi, na której rozlewała się niczym płynne światło gwiazd. Długie rękawy były obcisłe i kończyły się na nadgarstkach bransoletami z czystego diamentu. Dekolt lekko tylko odsłaniał obojczyki, ale jego skromność równoważyło to, jak suknia uwydatniała te części mojego ciała, którymi chyba każda kobieta lubiłaby się pochwalić. Opadające luźną falą na plecy włosy spięte po bokach dwoma grzebieniami ze srebra i diamentów sprawiały, że wyglądałam jak gwiazda, która właśnie spadła z nieba.

Rhysanda nigdzie nie było widać. Zebrałam się na odwagę i wyszłam na patio na dachu. Kamienie sukni podzwaniały i szeleściły na podłodze, gdy kroczyłam przez niemal całkowicie ciemny dom – wszystkie światła pogaszono lub przynajmniej przygaszono.

Tak samo było w całym mieście.

Na dachu stała uskrzydłona muskularna postać. Serce na chwilę zamarło mi w piersi.

Obrócił się, gdy uderzył mnie jego zapach. Poczułam bolesne ukłucie w sercu, gdy Kasjan gwizdnął przeciągle.

– Powinienem pozwolić, by Nuala i Cerridwena ubrały także mnie – powiedział.

Nie wiedziałam, czy powinnam się uśmiechnąć, czy skrzywić.

– Wyglądasz raczej dobrze mimo tego.

Tak było. Nie miał na sobie swojego skózanego pancerza, lecz czarną tunikę skrojoną tak, by podkreślić walory zaprawionego w bojach ciała. Czarne włosy miał porządnie uczesane i przygładzone, nawet skrzydła wyglądały na czystsze niż zwykle.

Kasjan wyciągnął ku mnie ramiona. Syfony były na swoim miejscu – spod eleganckich rękawów wylaniały się bezpalce metalowe rękawice.

– Gotowa?

Dotrzymywał mi towarzystwa przez ostatnie dwa dni, codziennie rano ze mną trenując. Podczas gdy uczył mnie posługiwania się ilyryjskim ostrzem – głównie rozczłonkowywania nim wrogów – rozmawialiśmy praktycznie o wszystkim: o naszych nędznych latach dzieciństwa, o polowaniu, o jedzeniu... O wszystkim poza Rhysandem.

Kasjan tylko raz wspomniał, że Rhys jest w Domu Wiatru. Zakładam, że mój wyraz twarzy po tej wzmiance był dla niego wystarczająco czytelny, bo nie wspomniał już więcej o księciu. Teraz szczerzył się do mnie.

– Z tymi wszystkimi klejnotami i koralikami możesz być za ciężka do poniesienia. Mam nadzieję, że ćwiczyłaś przeskakiwanie na wypadek, gdybym cię upuścił.

– Ale jesteś dowcipny.

Pozwoliłam mu pochwycić się w ramiona, po czym wystrzeliliśmy w niebo. Może i przeskakiwanie wciąż było dla mnie zbyt trudne, ale wiele bym dała za skrzydła. Rozłożyste, potężne skrzydła, żebym mogła latać tak jak oni. Żebym mogła ujrzeć świat i wszystko, co w sobie krył.

Pod nami gasły ostatnie światła. Nie świecił księżyc, po ulicach nie niosła się żadna muzyka. Cisza... pełna wyczekiwania.

Kasjan mknął przez milczącą ciemność ku rysującej się w oddali sylwetce Domu Wiatru. Dostrzegałam tłumy zebrane na licznych balkonach i tarasach, widoczne wyłącznie dzięki lekkiemu lśnieniu blasku gwiazd na ich włosach. Gdy się zbliżyliśmy, usłyszałam brzęk szkła i szum przyciszonych rozmów.

Kasjan postawił mnie na zatłoczonym tarasie przylegającym do jadalni. Zaledwie kilku zebranych fae obdarzyło nas spojrzeniem. Misy przytłumionego czarodziejskiego światła oświetlały stoły zastawione

jedzeniem i ciągnącymi się w nieskończoność rzędami zielonych butelek. Kasjan zniknął i wrócił, zanim zdążyłam zauważyć, że go nie ma, i wcisnął mi do ręki kieliszek musującego wina. Ani śladu Rhysanda.

Może miał zamiar unikać mnie przez całe przyjęcie.

Ktoś zawołał Kasjana z innej części tarasu. Ilyr poklepał mnie po ramieniu i oddalił się. Wysoki mężczyzna o twarzy skrytej w cieniu uściskał przedramię książęcego generała i błysnął białymi zębami w ciemności. Azriel stał obok nieznanego ze skrzydłami złożonymi ciasno na plecach, aby nikt ze świętujących nie wpadał na nie. On, Kasjan i Mor byli cały dzień bardzo małomówni – nie bez przyczyny. Rozejrzałam się za moimi pozostałymi...

Przyjaciółmi.

Słowo zadźwięczało mi w głowie. Czy tym właśnie byli?

Amreny nigdzie nie widziałam, ale dostrzegłam złotą czuprynę w tej samej chwili, kiedy Mor zobaczyła mnie, i już po chwili stałyśmy obok siebie. Miała na sobie śnieżnobiałą suknię składającą się właściwie jedynie z pasa jedwabiu eksponującego jej imponujące krągłości. Rzut oka nad jej ramieniem potwierdził moje podejrzenia: Azriel wpatrywał się bez zażenowania w jej odsłonięte plecy. Kasjan i towarzyszący im nieznanymi byli zbyt zajęci rozmową, aby dostrzec, co przyciągnęło uwagę naczelnego książęcego szpiega. Przez chwilę poczułam nieprzyjemne ssanie w żołądku na widok drapieżnego głodu wymalowanego na twarzy Azriela.

Pamiętałam to uczucie. Pamiętałam, jak to jest poddać się mu. Jak blisko tego punktu znalazłam się tamtej nocy.

– Już niedługo – rzuciła Mor.

– Niedługo do czego?

Nikt nie powiedział mi, czego mam się spodziewać, żeby nie psuć mi *niespodzianki* Święta Spadających Gwiazd.

– Do początku zabawy.

Potoczyłam wzrokiem po zebranych wokół nas fae...

– To nie jest zabawa?

Mor uniosła brew.

– Żadne z nas tak naprawdę nie dba o tę część. Kiedy się już

zacznie, sama zobaczysz. – Upiła łyk musującego wina. – Szałowa sukienka. Masz szczęście, że Amrena ślęczy na swoim stryszku. Pewnie by ją z ciebie zerwała i ukradła. Próżna smoczyca.

– Nie zamierza ani na chwilę oderwać się od Księgi?

– I tak, i nie. Twierdzi, że coś w Świącie Spadających Gwiazd ją niepokoi. Kto wie? Zapewne robi to, żeby się wyróżnić.

Jej słowa zdawały się dobiegać z oddali, a twarz miała dość napiętą.

– Jesteś... gotowa na jutro? – zapytałam cicho.

Jutro mieliśmy opuścić Velaris, aby nikt nie zauważył naszych działań w tej okolicy. Mor, jak mi przy śniadaniu oznajmił ze ściśniętym gardłem Azriel, miała wrócić na Dwór Koszmarów. Doglądać... swego chorego ojca.

To zapewne nie było najlepsze miejsce na omawianie tego, ale Mor tylko wzruszyła ramionami.

– Nie mam wyboru, muszę być gotowa. Udam się z wami do obozu, po czym ruszę w swoją drogę.

– Kasjan się ucieszy – zauważyłam.

Nawet jeśli to Azriel był tym, który bardzo się starał *nie* gapić na nią.

Mor parsknęła.

– Może.

Uniosłam brwi.

– Więc wy dwoje...

Kolejne wzruszenie ramionami.

– Raz. No, tak w zasadzie to nie do końca. Miałam siedemnaście lat, a on nie był nawet rok ode mnie starszy.

Kiedy wszystko się stało.

Ale nie dostrzegłam na jej twarzy żadnego cienia, gdy westchnęła ciężko.

– Na Kocioł, to było tak dawno temu. Odwiedziłam Rhysa na dwa tygodnie, gdy trenował w ich obozie wojennym, i zaprzyjaźniłam się z Kasjanem i Azrielem. Pewnego dnia Rhys musiał wrócić z matką na Dwór Nocy, a Azriel im towarzyszył, więc zostaliśmy sami z Kasjanem. I tamtej nocy od słowa do słowa... Chciałam, żeby to Kasjan był tym,

który to zrobi. To ja chciałam dokonać wyboru.

Trzecie wzruszenie ramionami. Zastanawiałam się, czy Azriel wolałby być tym, którego wybrała. Czy kiedykolwiek wyznał to Mor... albo Rhysowi. Czy żałował, że tamtej nocy go nie było, że Mor nie wzięła go pod uwagę.

– Rano wrócił Rhys, a kiedy dowiedział się, co zaszło... – Zaśmiała się pod nosem. – Staramy się nie mówić o tym incydencie. On i Kasjan... Nigdy wcześniej nie widziałam, żeby aż tak się bili. Mam nadzieję, że nigdy już tego nie zobaczę. Wiem, że Rhys nie był zły o moje dziewictwo, lecz o niebezpieczeństwo, w jakim postawiła mnie jego utrata. Azriel wściekał się o to jeszcze bardziej... chociaż pozwolił Rhysowi spuścić Kasjanowi manto. Wiedzieli, co moja rodzina zrobi mi za *zbrukanie się* bękarcim pomiotem pomniejszych fae. – Przesunęła dłoń po brzuchu, jakby wciąż czuła ból tamtego gwoźdźca. – Mieli rację.

– A więc ty i Kasjan... – powiedziałam, pragnąc zmienić temat, odejść od tej ciemności. – Nigdy potem się już nie zeszliście?

– Nie – odparła Mor i zaśmiała się cicho. – Tamtej nocy byłam zrozpaczona, szalona. Wybrałam go nie tylko z powodu jego dobroci, ale również dlatego, że swój pierwszy raz chciałam przeżyć z jednym z legendarnych ilyryjskich wojowników. W zasadzie to chciałam zalec z najlepszym ze wszystkich ilyryjskich wojowników. Wystarczyło mi jedno spojrzenie na Kasjana i już wiedziałam, że to on. Kiedy dostałam to, czego chciałam, po... wszystkim, nie podobało mi się, że ta sprawa stała się zadrą między nim a Rhysem, a nawet między nim a Azem, więc... nigdy więcej.

– I potem nie byłaś już nigdy z nikim więcej?

Nigdy z chłodnym pięknym pieśniarzem cieni, który tak bardzo starał się jej nie przyglądać z tęsknotą na twarzy?

– Miałam różnych kochanków – wyjaśniła Mor – ale... znudziłam się. Kasjan też miał kochanki, więc nie patrz na mnie, jakby to była ckliwa historia o nieodwzajemnionej romantycznej miłości. On po prostu pragnie tego, czego nie może dostać. Przez wieki irytowało go to, że odeszłam od niego i nigdy nie spojrzałam za siebie.

– Och, to go doprowadza do szału – powiedział Rhys z za moich pleców.

Aż podskoczyłam zaskoczona jego nagłym pojawieniem się.
Obszedł mnie z boku i stanął przede mną z szelmowskim uśmiechem. Skrzyżowałam ramiona.

– Znowu wyglądasz jak kobieta.

– Doprawdy umiesz prawić komplementy płci pięknej, kuzynie – zauważyła Mor i poklepała go po ramieniu, po czym dostrzegła jakąś swoją znajomą i poszła się z nią przywitać.

Starłam się nie patrzeć na Rhysa. Czarna marynarka była rozpięta pod szyją i odsłaniała białą koszulę pod spodem – również rozpiętą i odsłaniającą górną część tatuaży pokrywających jego pierś. Starłam się nie patrzeć – bez powodzenia.

– Długo jeszcze zamierzasz mnie ignorować? – zapytałam chłodno.

– Przecież tu jestem, czyż nie? Nie chciałbym, abyś ponownie nazwała mnie okropnym tchórzem.

Otworzyłam usta, ale poczułam, że chcę je opuścić same niewłaściwe słowa. Zamknęłam je więc i poszukałam wzrokiem Azriela, Kasjana czy kogokolwiek innego, kto mógłby chcieć ze mną porozmawiać. Zaczynałam się skłaniać ku podejściu do kogoś zupełnie nieznanego.

– Nie chodziło o to, żeby cię ukarać – powiedział schrypniętym głosem Rhys. – Po prostu... potrzebowałam czasu.

Nie chciałam odbywać tej rozmowy tutaj, z tyloma postronnymi osobami mogącymi nas usłyszeć. Wskazałam więc zebranych gości.

– Czy możesz mi powiedzieć, o co chodzi w tym... wszystkim?
Rhysand stanął za mną i parsknął.

– Spójrz w górę – powiedział mi do ucha.

Gdy go posłuchałam, wszystkie rozmowy wokół ucichły.

– Żadnej przemowy dla gości? – zapytałam pod nosem.

Bez skrępowania – chciałam, żeby między nami znowu nie było żadnego skrępowania.

– Dzisiaj nie chodzi o mnie, chociaż moja obecność została odnotowana i doceniona – odparł. – Dzisiaj chodzi o to.

I wskazał niebo...

Spadająca gwiazda przemknęła przez niebo, jaśniejsza i bliższa ziemi niż wszystkie inne, które widziałam w swoim życiu. Zebrani

goście i wszyscy w mieście w dole wiwatowali i wznosili kieliszki, kiedy przeleciała nad naszymi głowami. Wypili toast dopiero, gdy zniknęła za odległym horyzontem.

Cofnęłam się o krok, wpadając prosto na Rhysa... i szybko zrobiłam krok do przodu, oszołomiona jego żarem, zapachem i emanującą od niego mocą. Dość już narozrabialiśmy, będąc w podobnej bliskości na Dworze Koszmarów.

Kolejna gwiazda przemknęła po niebie, tańcząc i skacząc, tak jakby rozkoszowała się własnym migoczącym pięknem. Goniła ją kolejna, i następna, aż zza krzywizny horyzontu wystrzeliła cała ich brygada, tak jakby tysiąc łuczników wypuściło je z potężnych łuków.

Gwiazdy mknęły nad nami całym kaskadami, zalewając świat białoniebieskim światłem. Były niczym żywe fajerwerki. Oddech uwiązł mi w gardle; a one wciąż spadały i spadały.

Nigdy dotąd nie widziałam czegoś równie pięknego.

Gdy niebo było ich pełne, kiedy gwiazdy mknęły, tańczyły i płynęły przez świat, pojawiła się muzyka.

Gdziekolwiek kto stał, tam zaczynał tańczyć, kiwać się i wirować; niektórzy chwyтали się za ręce i kręcili, kręcili, kręcili w koło w rytm bębnów, smyczków i lśniących harf. Taniec zupełnie odmienny od ocierania się i popychania na Dworze Koszmarów – radosny i spokojny. Płynący z umiłowania dźwięku, ruchu i życia.

Pozostałam z Rhysandem na skraju tańczącego tłumu, dzieląc uwagę między obserwowanie gości na tarasie i przemykających nad nami gwiazd, które przelatowały niżej i niżej, aż przysięgłabym, że gdybym tylko wyciągnęła rękę, mogłabym ich dotknąć.

Dostrzegłam w tłumie Mor i Azriela – i Kasjana. Cała trójka tańczyła razem. Mor odchyliła głowę do tyłu i wyciągała ręce ku niebu, a blask gwiazd lśnił perłście na jej śnieżnobiałej sukni. Tańczyła, jakby to miał być jej ostatni taniec, zdawała się płynąć od Azriela do Kasjana, od Kasjana do Azriela, tak jakby ich trójka była jednym ciałem, jedną istotą.

Spojrzałam za siebie i spostrzegłam, że Rhys też im się przygląda z łagodnym wyrazem twarzy. Smutnym.

Rozdzieleni na pięćdziesiąt lat i połączeni ponownie – tylko po to,

żeby tak szybko znów cierpieć rozłąkę, żeby ponownie walczyć o swoją wolność.

Rhys spojrział mi w oczy.

– Chodź – powiedział. – Pokażę ci miejsce, z którego jest lepszy widok. Gdzie jest ciszej.

Podał mi rękę.

Ten żal, ten ciężar tkwiły w jego wzroku. Nie mogłam znieść jego widoku – tak jak nie mogłam znieść widoku trójki przyjaciół tańczących razem, tak jakby był to ostatni raz, kiedy będzie im to dane zrobić.

Rhys zaprowadził mnie na niewielki prywatny balkonik na górnym poziomie Domu Wiatru. Na tarasie pod nami wciąż grała muzyka, wszyscy nadal tańczyli, a nad nami przelatywały gwiazdy – bliskie i śmigłe.

Puścił moją rękę, a ja przysiadłam na balustradzie. Gdy spojrzałam w dół, szybko zmieniłam zdanie i odsunęłam się od brzegu o solidny krok.

Rhys zachichotał.

– Dobrze wiesz, że gdybyś spadła, pofatygowałbym się, żeby cię złapać, zanim byś uderzyła w ziemię.

– Ale dopiero gdy byłabym już bardzo bliska śmierci?

– Może.

Położyłam dłoń na balustradzie i wyciągnęłam szyję, aby lepiej widzieć przemykające nad nami gwiazdy.

– W ramach kary za to, co ci powiedziałam?

– Ja również powiedziałem trochę okropnych rzeczy – zamruczał.

– Nie miałam wtedy tego na myśli – powiedziałam szybko. –

Chodziło mi bardziej o siebie niż o ciebie. I przepraszam.

Zanim odpowiedział, przez chwilę obserwował gwiazdy.

– Ale miałaś rację. Trzymałem się od ciebie z dala, bo miałaś rację. Chociaż cieszy mnie, że moja nieobecność wydała ci się karą.

Żachnęłam się, ale byłam wdzięczna za tę dozę humoru – za sposób, w jaki zawsze zdołał mnie rozbawić.

– Jakies wieści o kuli lub królowych?

– Jeszcze nie. Czekamy, aż będą łaskawe nam odpowiedzieć.
Znów przez parę chwil milczeliśmy i przyglądaliśmy się gwiazdom.

– To nie są... to wcale nie są gwiazdy.

– Nie. – Rhys stanął obok mnie przy balustradzie. – Nasi przodkowie sądzili, że tak jest, ale... To tylko duchy odbywające swoją doroczną wędrówkę... dokądś. Dlaczego wybierają ten dzień, aby się tu pojawić, tego nie wie nikt.

Poczułam na sobie jego spojrzenie i oderwałam wzrok od przelatujących punktów. Światło i cień przemykały po jego twarzy. Wiwaty i muzyka dobiegające z miasta daleko, daleko w dole były ledwie słyszalne, zagłuszane przez hałasujący tłum zebrany w Domu Wiatru.

– Muszą ich być setki – zdołałam wykrztusić, wracając spojrzeniem do przemykających nad naszymi głowami kształtów.

– Tysiące – sprostował. – Będą tak przelatywały aż po świt. Przynajmniej taką mam nadzieję. Kiedy ostatnim razem dane mi było obserwować spadające gwiazdy, było ich z roku na rok coraz mniej.

Zanim Amarantha go uwięziła.

– Co się z nimi dzieje?

Zerknęłam na niego akurat w chwili, gdy wzruszał ramionami. Coś zadźwięczało mi w piersi.

– Chciałbym to wiedzieć. Ale mimo to ciągle wracają.

– Dlaczego?

– Dlaczego istoty lgną do innych istot? Może kochają miejsce, w które się udają, tak bardzo, że uznają podróż za wartą ryzyka. Może będą tak wracać, aż zostanie tylko jedna ostatnia gwiazda. Może ona będzie powtarzać tę podróż po kres czasów w nadziei, że kiedyś, pewnego dnia, jeśli będzie wracać wystarczająco często i wytrwale, jakaś inna gwiazda znów ją odnajdzie.

Spojrzałam na moje wino i zmarszczyłam czoło.

– To... bardzo smutna myśl.

– W rzeczy samej.

Rhys oparł przedramiona o balustradę wystarczająco blisko mnie, że mogłabym go dotknąć – gdybym się tylko odważyła.

Spowila nas spokojna, pełna cisza. Zbyt wiele słów – wciąż miałam w sobie zbyt wiele słów.

Nie wiem, ile czasu minęło, ale musiała to być dłuższa chwila, ponieważ gdy Rhys odezwał się ponownie, aż podskoczyłam.

– Każdego roku pod Górą, gdy nadchodził dzień Spadających Gwiazd, Amarantha nakazywała mi... obsługiwać się. Całą noc. Święto Spadających Gwiazd nie jest tajemnicą, także dla obcych. Nawet Dwór Koszmarów wypełza z Wykutego Miasta, aby obserwować niebo. Tak więc wiedziała... Wiedziała, co to dla mnie znaczyło.

Przestałam rejestrować odgłosy świętowania.

– Przykro mi.

Tylko tyle mogłam mu ofiarować.

– Przetrwiałem to dlatego, że wciąż uzmysławiałem sobie, że moi przyjaciele są bezpieczni, że Velaris jest bezpieczne. Nic innego nie miało znaczenia, dopóki przynajmniej miałem to. Mogła używać mojego ciała, jak tylko zapragnęła. Nie dbałem o to.

– Dlaczego zatem nie jesteś tam na dole z nimi? – zapytałam, chociaż w sercu zadrżałam z grozy wobec tego, co było jego udziałem.

– Oni nie wiedzą... co mi robiła w tę noc. Nie chcę im psuć święta.

– Nie sądzę, abyś im je zepsuł. Byliby szczęśliwi, że pozwalasz im unieść ten ciężar wspólnie z tobą.

– Tak samo jak ty pozwalasz innym pomóc sobie z twoimi problemami?

Patrzyliśmy na siebie bez słowa. Staliśmy tak blisko jedno drugiego, że oddychaliśmy tym samym powietrzem.

I może wszystkie te słowa ściśnięte we mnie... Może nie potrzebowałam ich w tej chwili.

Moje palce dotknęły jego. Był ciepły i silny – i cierpliwy, tak jakby chciał się przekonać, co jeszcze zrobię. I może to przez wino, ale powiodłam opuszką po jego skórze.

Gdy obróciłam się bardziej w jego stronę, coś oślepiającego i migoczącego wpadło wprost w moją twarz.

Zatoczyłam się do tyłu, krzycząc głośno, i zgięłam się w pół, osłaniając twarz przed światłem, które wciąż widziałam mimo zaciśniętych powiek.

Rhys zaśmiał się zaskoczony.

Zaśmiał się.

Kiedy tylko ustaliłam, że moje oczy nie zostały wypalone na wylot, obróciłam się gwałtownie do niego.

– Mogłam stracić wzrok! – wysyczałam i popchnęłam go.

Spojrzał na moją twarz i ponownie wybuchnął śmiechem.

Prawdziwym śmiechem – szczerym, rozbawionym i cudownym.

Wytarłam twarz i kiedy opuściłam dłonie, mogłam tylko na nie patrzeć oniemiała. Skórę pokrywały mi plamy bladozielonego światła – niczym ślady farby.

Rozpryśnięty gwiazdny duszek. Nie wiedziałam, czy powinnam czuć strach, czy rozbawienie. Czy też może odrazę.

Kiedy zaczęłam ścierać maź z twarzy, Rhys chwycił mnie za dłoń.

– Nie rób tego – wykrztusił, nie przestając się śmiać. – Wyglądasz, jakby twoje piegi się świeciły.

Rozdęłam z wściekłości nozdrza i chciałam popchnąć go jeszcze raz, nie dbając o to, że z moją nową siłą mogłam go przerzucić przez barierkę. Mógł przywołać swoje skrzydła. Poradzi sobie.

Zrobił unik w stronę balustrady, ale nie dość szybko, by uniknąć pikującej gwiazdy, która trafiła go prosto w policzek.

Odskoczył od barierki z głośnym przekleństwem. Zaniósłam się chrapliwym śmiechem. Nie zachichotałam, nie parsknęłam, lecz wręcz rechotałam.

I śmiałam się mocniej i mocniej, gdy dotknął dłonią twarzy i przyjrzał się jej.

Lśniący pył pokrywał całą lewą stronę jego twarzy.

Niebiańskie barwy wojenne – tak to wyglądało. Zaczynałam rozumieć, dlaczego nie chciał, bym wytarła swoją twarz.

Rhys przyglądał się swojej dłoni pokrytej gwiazdnym pyłem. Podeszłam do niego, przyglądając się lśnieniu i migotaniu na jego twarzy.

Zamarł, gdy ujęłam go za dłoń i narysowałam palcem na jej grzbiecie gwiazdę, bawiąc się światłem i cieniami, aż uzyskałam obraz jednego z duszków, które w nas uderzyły.

Zacisnął palce na mojej dłoni, uniosłam wzrok. Uśmiechał się do mnie. Z lśniącem pyłem na policzku wyglądał tak nieksiężęco, że również wyszczerzyłam zęby w uśmiechu.

Nie zdawałam sobie sprawy z tego, co zrobiłam, dopóki jego uśmiech nie zanikł i nie rozchylił lekko ust.

– Uśmiechnij się jeszcze raz – wyszeptał.

Nie uśmiechnęłam się do niego. Nigdy. Ani się w jego obecności nie roześmiałam. Pod Górą nigdy nie zrobiłam żadnej z tych rzeczy. A potem...

Ten mężczyzna przede mną... mój przyjaciel...

Za wszystko, co zrobił, nigdy nie obdarzyłam go uśmiechem. Nawet kiedy właśnie... Właśnie coś namalowałam. Na nim. Dla niego.

Chciałabym... chciałabym znów coś namalować.

Zatem uśmiechnęłam się do niego szeroko i bez skrępowania.

– Jesteś niesamowita – wyszeptał.

Powietrze było zbyt duszne, zbyt ściśnięte między naszymi ciałami, między naszymi złączonymi dłońmi.

– Jesteś mi winien dwie myśli – powiedziałam. – Za wtedy, kiedy byłam tu pierwszy raz. Powiedz mi, o czym myślisz.

– Chcesz wiedzieć, dlaczego nie chciałem z tobą rozmawiać ani się z tobą spotkać? Ponieważ byłem przekonany, że wyrzucisz mnie za drzwi. Po prostu... – Przeczesał dłonią włosy i zaśmiał się pod nosem. – Uznałem, że lepiej zrobię, jeśli schowam się przed tobą.

– Kto by pomyślał, że księżę Dworu Nocy mógłby się bać niepiśmiennej człeczyny? – powiedziałam miękkiem głosem.

Uśmiechnął się szeroko i szturchnął mnie łokciem.

– To była jedna myśl. Czas na kolejną.

Opuścił wzrok na moje usta.

– Chciałbym móc cofnąć tamten pocałunek spod Góry.

Czasem zapominałam o tamtym wydarzeniu, kiedy robił wszystko, by Amarantha nie domyśliła się, że Tamlin i ja byliśmy spleceni w uścisku w tamtym korytarzu. Pocałunek Rhysanda był brutalny, natarczywy, a jednak...

– Dlaczego?

Przeniósł spojrzenie na dłoń z moim malunkiem, tak jakby na to

łatwiej było mu patrzeć.

– Ponieważ nie sprawiłem, aby to było dla ciebie choć trochę przyjemne, i byłem zazdrosny i wkurzony, a do tego wiedziałem, że mnie nienawidzisz.

Wchodziliśmy na grząski grunt...

Nie. Szczerłość, to właśnie była ona. Szczerłość i zaufanie. Pierwszy raz się z tym spotykałam.

Rhys uniósł wzrok i spojrzał mi w oczy. Cokolwiek widniało na mojej twarzy, sądzę, że mogło się też odbijać w jego: głód, tęsknota, zaskoczenie.

Przełknęłam z trudem ślinę i narysowałam gwiazdnym pyłem jeszcze jedną linię na wewnętrznej stronie jego potężnego przegubu. Chyba przestał oddychać.

– Czy... czy chcesz ze mną zatańczyć? – zapytałam szeptem.

Milczał tak długo, że uniosłam wzrok, aby przyjrzeć się jego twarzy. Oczu mu lśniły srebrnym blaskiem.

– Chcesz zatańczyć? – zapytał chrapliwym głosem, obejmując dłonią moje palce.

Wskazałam brodą świętujących pod nami.

– Tam, na dole. Z nimi.

Tam, gdzie wzywała mnie muzyka, gdzie wzywało mnie *życie*. Gdzie powinnam, gdzie chciałam spędzić noc z przyjaciółmi. Nawet mimo wszystkich tych obcych dokoła.

Nie miałam nic przeciwko wyjściu z cienia. Nie miałam nawet nic przeciwko pozostawaniu w cieniu, dopóki tylko on był ze mną. Mój przyjaciel w tylu chwilach niebezpieczeństwa – który walczył o mnie nawet wtedy, kiedy nie robił tego już nikt inny, łącznie ze mną.

– Oczywiście, że z tobą zatańczę – powiedział z wciąż ściśniętym gardłem. – Będę tańczył całą noc, jeśli zechcesz.

– Nawet jeśli będę ci deptała po palcach?

– Nawet wtedy.

Nachylił się i musnął wargami mój rozgrzany policzek.

Przymknęłam oczy na ten szept pocałunku, na głód, który mógł strawić cały Prythian, który mnie trawił, kiedy Rhys cofnął usta. Wszędzie dokoła nas spadały gwiazdy, tak jakby świat istotnie się rozpadał.

Kiedy Rhys z powrotem się wyprostował, odrobiny gwiazdowego pyłu migotały na jego wargach. Spojrzałam na niego z zapartym tchem, a on posłał mi uśmiech. Taki, którego świat może już nigdy nie zobaczyć. Ten, który poświęcił dla dobra swojego ludu, swoich ziem.

– Bardzo... bardzo się cieszę, że cię poznałem, Feyro – powiedział łagodnie.

Zamrugałam, aby pozbyć się uczucia pieczenia w oczach.

– Chodź. – Pociągnęłam go za rękę. – Dołączmy do tańca.

Rozdział 45

W obozie wojskowym Ilyrów w północnych pasmach górskich było lodowato. W tej okolicy tchnienia wiosny były najwyraźniej jeszcze zdecydowanie za słabe, by przegonić zimę.

Mor przeniosła nas wszystkich, z Rhysandem i Kasjanem stojącymi po bokach.

Tańczyliśmy. Wszyscy razem. Nigdy wcześniej nie widziałam Rhysa takiego szczęśliwego: śmiejącego się z Azrielem, pijącego z Mor, sprzeczącą się z Kasjanem. Tańczyłam z każdym z nich i kiedy noc przeszła w świt, a muzyka przycichła i uspokoiła się, pozwoliłam Rhysowi wziąć mnie w ramiona i tańczyć ze mną, powoli, aż wszyscy goście poszli do swoich domów, aż Mor zasnęła na sofie w jadalni, aż złota tarcza słońca zalała Velaris swoim blaskiem.

Rhys zaniósł mnie przez róże, fiolety i szarości poranka z powrotem do swojego domu w mieście. Przez cały lot oboje milczeliśmy. Na koniec pocałował mnie w czoło i ruszył korytarzem do swojego pokoju.

Nie okłamywałam się co do powodów, dla których czekałam pół godziny, aby się przekonać, czy moje drzwi się otworzą. Albo czy chociaż usłyszę pukanie. Ale nic takiego się nie stało.

Wiele godzin później podczas drugiego śniadania siedzieliśmy przy stole z podkrążonymi oczami, ale uprzejmi wobec siebie nawzajem. Mor i Kasjan byli niecodziennie milczący i zamienili tylko parę słów z Amreną i Azrielem, którzy przyszli się z nami pożegnać. Amrena miała dalej pracować nad Księżą, aż zdobędziemy drugą jej połowę – o ile tak się stanie. Pieśniarz cieni wyruszał zebrać informacje, zając się swoimi szpiegami na pozostałych dworach i spróbować przedostać się na dwór ludzi. Zdołałam trochę z nimi porozmawiać, ale większość energii poświęcałam na *niepatrzenie* na Rhysanda oraz odganianie myśli o jego ciele przyciśniętym do mojego, kiedy tańczyliśmy długie godziny, albo o muśnięciu wargami mojej skóry.

Z ledwością zdołałam przez to zasnąć.

Zdrajczyni. Chociaż przecież zostawiłam Tamlina, nadal byłam zdrajczynią. Minęły dwa miesiące – tylko dwa. Według rachuby fae

odpowiadało to zapewne mniej niż jednemu dniu według rachuby ludzkiej.

Tamlin dał mi tak wiele, zrobił tyle dobrego dla mnie i mojej rodziny. A ja, proszę: pragnęłam innego mężczyzny, nawet jeśli nienawidziłam Tamlina za to, co zrobił, jak mnie zawiódł. *Zdrajczyni.*

To słowo odbijało się echem w mojej głowie, gdy stałam obok Mor, tuż za plecami Rhysa i Kasjana, i rozglądałam się po chłostanym wichrem obozie. Mor uścisnęła krótko Azriela, po czym go pożegnała. I mogłabym przysiąc, że jemu to w najmniejszym stopniu nie przeszkadzało – dopóki nie posłał mi ostrzegawczego spojrzenia. Wciąż bawiło mnie i oburzało podejrzenie, że wetknęłabym nos w *jego* sprawy. Doprawdy.

Ilyryjski obóz usytuowany był tuż pod szczytem porośniętej lasem góry. W jego obrębie znajdowała się tylko naga skała i błoto z topornymi, łatwymi do złożenia i przeniesienia namiotami rozstawionymi wokół dużych palenisk. W pobliżu skraju drzew postawiono tuzin trwałych budynków z szarego kamienia. Z ich kominów wydobywały się smugi dymu ulatującego ku zasnutemu chmurami niebu, czasem rozwiewane przez skrzydła przelatujących Ilyrów.

Po niebie śmigały sylwetki wielu uskrzydłonych mężczyzn – w drodze do innych obozów lub w trakcie ćwiczeń.

Na drugim końcu obozowiska, na skalistym obszarze kończącym się stromym urwiskiem, znajdowały się wydzielone ringi springowe. Stojaki z bronią stały pod gołym niebem. Na wysypanych kredą placach mężczyźni w różnym wieku ćwiczyli walkę kijami, mieczami, tarczami i włóczniami. Szybcy, śmiercionośni, brutalni. Żadnych skarg, żadnych okrzyków bólu.

Nie było tu ani odrobiny ciepła czy radości. Nawet domy pod lasem wyglądały bezosobowo, tak jakby używano ich jedynie jako schronień lub magazynów.

W takim właśnie miejscu dorastali Rhys, Azriel i Kasjan – z takiego miejsca Kasjan został wygnany, aby próbował przeżyć na własną rękę. Było tak zimno, że nawet zawinięta w podszyte futrem grube ubranie cała drżałam. Nie potrafiłam sobie wyobrazić dziecka bez

odpowiedniej odzieży lub schronienia przeżywającego tu noc, a co dopiero osiem lat.

Mor stała z bladą i ściągniętą twarzą.

– Nienawidzę tego miejsca – powiedziała cicho. Jej oddech zmienił się w parę w powietrzu przed nami. – Należałoby je spalić do gołej ziemi.

Kasjan i Rhys czekali w milczeniu, aż podejdzie do nich wysoki starszy mężczyzna o szerokich barkach w asyście pięciu ilyryjskich wojowników, ze złożonymi skrzydłami i dłońmi opartymi na rękojeści broni.

Mimo tego, że Rhys mógłby rozerwać ich umysły na strzępy, nie kiwając nawet palcem.

Na grzbietach dłoni nosili syfony różnych barw – mniejsze od kamieni Azriela i Kasjana i tylko po jednym. Nikt tu nie miał siedmiu jak moi przyjaciele, by zapanować nad swoją potężną mocą.

– Kolejna inspekcja? – zapytał idący na przędzie mężczyzna. – Twój pies... – Tu wskazał brodą Kasjana. – ...dopiero co tu był w zeszłym tygodniu. Dziewczęta trenują.

Kasjan skrzyżował ramiona.

– Nie widzę ich na ringach.

– Najpierw muszą skończyć prace kobiece – odparł mężczyzna, prostując plecy i lekko rozkładając skrzydła. – Kiedy skończą, mogą trenować.

Z ust Mor wyslizgnął się gardłowy pomruk. Ilyr obrócił się ku nam.

Zesztywniał. Mor posłała mu złowróżbny uśmiech.

– Witaj, lordzie Devlonie.

Zatem to był dowódca obozu.

Posłał jej pogardliwe spojrzenie i przeniósł wzrok na Rhysa.

Ostrzegawcze warknięcie Kasjana wprawiło mój żołądek w drżenie.

– Chociaż to zawsze prawdziwa przyjemność cię zobaczyć, Devlonie, przybywam w dwóch sprawach – odezwał się w końcu książę. – Po pierwsze: dziewczęta, jak Kasjan wyraźnie cię poinstruował, mają trenować *przed* innymi pracami, nie po. Zawołaj je na plac. Teraz.

Wzdrygnęłam się na siłę rozkazu pobrzmiewającą w jego głosie.

– Po drugie – kontynuował – zostaniemy tu przez pewien czas.

Opróżnij stary dom mojej matki. Nie potrzeba nam nikogo do pomocy. Sami sobie poradzimy.

– Ten dom zajmują moi najlepsi wojownicy.

– To ich z niego przenies – odparł lekko Rhysand. – I niech posprzątają po sobie, zanim go opuszczą.

Głos księcia Dworu Nocy, który rozkoszował się zadawaniem bólu, przed którym trzęśli się wrogowie.

Devlon spojrział na mnie spod przymrużonych powiek i pociągnął nosem. Zebrałam wszystkie siły, którymi jeszcze dysponowałam, aby nie odwrócić wzroku.

– Sprowadzasz tu kolejną taką... istotę? Sądziłem, że tamta była jedyną swojego rodzaju.

– Amrena – odparł przeciągłym głosem Rhys – przesyła pozdrowienia. Zaś co do *tej*... – Postarałam się nie wzdrygnąć pod jego spojrzeniem. – Jest moja – powiedział cicho, ale wystarczająco zjadliwie, aby Devlon i jego obstawa go usłyszeli. – I jeśli ktokolwiek choćby jej dotknie, straci rękę. A potem straci głowę. – Zebrałam się w sobie, aby nie zadrzeć. Kasjan i Mor niczego po sobie nie okazywali. – A kiedy Feyra z nim skończy – dodał Rhys z kpiącym uśmiechem – zmielę jego kości na proszek.

Niemal się roześmiałam. Ale wojownicy analizowali teraz zagrożenie, którym rzekomo byłam – i wyraźnie mieli więcej pytań niż odpowiedzi. Posłałam im niemrawy uśmiech, który widziałam setki razy u Amreny. Niech zachodzą w głowę, do czego jestem zdolna, jeśli się mnie sprowokuje.

– Ruszamy – zwrócił się książę do Kasjana i Mor, nie przejmując się nawet odprawieniem Devlona przed wyprawą w stronę lasu. – Wrócimy o zmroku. – Spojrział znacząco na kuzynkę. – Postaraj się trzymać z dala od kłopotów, proszę. Devlon nienawidzi nas najmniej ze wszystkich wodzów. Nie uśmiecha mi się szukanie dla nas nowego obozu.

Na Matkę nad nami, pozostali musieli być... nieprzyjemni, jeśli Devlon był najbardziej życzliwy ze wszystkich.

Mor mrugnęła nam obojgu.

– Postaram się.

Rhys tylko pokręcił głową.

– Sprawdź stan oddziału, a potem upewnij się, że dziewczyny ćwiczą tak, jak powinny – zwrócił się do Kasjana. – Jeśli Devlon i pozostali będą się sprzeciwiać, zrób to, co będzie konieczne.

Kasjan wyszczerzył zęby w uśmiechu, który zdradzał, że uczyni to z dziką przyjemnością. Był książęcym generałem... a mimo to Devlon nazwał go psem. Nie chciałam sobie nawet wyobrazić, jak musiało wyglądać jego dorastanie bez tej pozycji na książęcym dworze.

Na koniec Rhys spojrział na mnie spod przymkniętych powiek.

– Chodźmy.

– Czy masz wieści od moich sióstr?

Pokręcił głową.

– Nie. Azriel sprawdzi dzisiaj, czy otrzymały odpowiedź. My zaś... – Uśmiechnął się szelmowsko, a wiatr zmierzwił jego włosy. – My będziemy ćwiczyć.

– Gdzie?

Wskazał rozległy krajobraz wokół – zalesioną tundrę, o której kiedyś wspominał.

– Z dala od potencjalnych ofiar śmiertelnych.

Podał mi rękę i rozpostarł skrzydła, szykując się do lotu.

Ale ja słyszałam w głowie tylko dwa słowa, które wypowiedział chwilę wcześniej, odbijające się echem w rytm powtarzanego zarzutu „zdrajczyni, zdrajczyni”:

„Jest moja”.

Znów tkwiłam w ramionach Rhysa, przyciśnięta do niego. Trwała próba sił. Dla nas obojga. Wyczekiwaliśmy, aż to drugie pierwsze o tym wspomni.

Lecieliśmy nad najpiękniejszymi górami, jakie widziałam w całym swoim życiu – ośnieżonymi, nakrapianymi sosnami – w stronę ciągnących się za nimi pofalowanych równin.

– Szkolisz Ilyrki na wojowniczeki?

– Próbuję. – Rhys rozejrzał się po nieprzystępnej okolicy. – Dawno, bardzo dawno temu zabroniłem przycinania skrzydeł, ale... w bardziej konserwatywnych obozach, głęboko w górach, wciąż to robią. Kiedy Amarantha przejęła władzę, nawet ci bardziej postępowi wrócili do tego zwyczaju. Twierdzili, że robią to dla bezpieczeństwa ich kobiet. Przez ostatnie sto lat Kasjan próbował stworzyć w całości żeńską jednostkę bojową, aby dowieść, że kobiety mogą być przydatne na polu bitwy. Jak dotąd udało mu się wyszkolić trochę oddanych wojowniczek, ale mężczyźni tak bardzo utrudniają im życie, że wiele odeszło. Co zaś się tyczy szkolonych dziewcząt...

Westchnął z sykiem.

– To będzie długa droga. Ale Devlon jest jednym z niewielu, który bez sarkania pozwala dziewczynom trenować.

– Mnie to bardziej wyglądało na niewykonywanie rozkazów.

– W niektórych obozach ogłoszono, że jeśli przyłapią kobietę na treningu, zostanie uznana za niegodną małżeństwa. Nie mogę walczyć przeciwko takim przesądom. Musiałbym chyba wybić dowódców wszystkich obozów i osobiście wychować wszystkich ich potomków.

– A mimo wszystko twoja matka ich kochała, a wasza trójka nosi ich tatuaże.

– Pokryłem się nimi po części ze względu na matkę, a po części by oddać hołd braciom, którzy walczyli każdego dnia swojego życia o prawo do ich noszenia.

– Dlaczego pozwoliłeś Devlonowi odzywać się w ten sposób do Kasjana?

– Ponieważ wiem, kiedy powinienem wdawać się z nim w kłótnie, a także że Kasjan byłby na mnie bardzo zły, gdybym zmiażdżył umysł Devlona jak winogrono, podczas gdy on potrafi sobie doskonale sam z nim poradzić.

Przeszył mnie zimny dreszcz.

– Rozważałeś zrobienie tego?

– Owszem, właśnie teraz. Ale większość wodzów nigdy nie pozwoliłaby naszej trójce przystąpić do rytuału krwi. Devlon dopuścił do niego pół-Ilyra i dwóch bękartów. I uznał nasze zwycięstwo.

Obsypane świeżym śniegiem sosny zlewały się pod nami

w rozmytą smugę.

– Czym jest rytuał krwi?

– Tyle pytań jednego dnia.

Ścisnęłam jego ramię wystarczająco mocno, aby go zabolalo.

Zachichotał i podjął:

– Udajesz się bez broni w góry. Nie wolno używać magii, żadnych syfonów, skrzydła masz skrępowane. Żadnych zapasów czy ubrań poza tym, co masz na sobie. Ty i każdy inny Ilyr, który chce przestać być uważany za chłopca i zostać prawdziwym wojownikiem. Na początku tygodnia kilka setek wyrusza w góry. Nie wszyscy wracają.

Zaśnieżony krajobraz ciągnął się w nieskończoność, równie nieustępliwy jak władający nim wojownicy.

– Czy... zabijacie się nawzajem?

– Większość próbuje. Dla pożywienia i ubrań, z zemsty, z nienawiści między zwaśnionymi klanami. Devlon pozwolił nam przystąpić do rytuału... ale jednocześnie upewnił się, że Kasjan, Azriel i ja będziemy w różnych miejscach.

– I co się stało?

– Znaleźliśmy się. Przebijaliśmy się przez wrogów i parliśmy przez góry, aby do siebie dotrzeć. Okazało się, że wielu Ilyrów chciało dowieść, że są od nas silniejsi i sprytniejsi. Wyszło, że się mylili.

Zaryzykowałam spojrzenie na jego twarz. W czasie między uderzeniami serca zobaczyłam go oczami duszy: ochlapanego krwią, dzikiego, walczącego i zabijającego, aby dotrzeć do przyjaciół, aby ich ochronić i ocalić.

Rhys wylądował na polanie. Otaczające nas sosny były tak wysokie, że zdawały się pięścić podbrzusza ciężkich ołowianych chmur pchanych po niebie silnym wiatrem.

– Więc ty nie będziesz używał magii, ale ja tak? – zapytałam, robiąc kilka kroków w bok.

– Nasz wróg namierza moją moc. Ty jednak pozostajesz dla niego niewidoczna.

Skinał dłonią.

– Zobaczmy, co dały te twoje ćwiczenia.

Nie miałam na to ochoty.

– Kiedy... kiedy spotkałeś Tamlina po raz pierwszy?

Wiedziałam, co zrobił ojciec Rhysanda. Nie pozwalałam sobie zbyt wiele o tym myśleć.

Jak zabił ojca i braci Tamlina. I jego matkę.

Ale teraz, po zeszłej nocy, po Dworze Koszmarów... Musiałam wiedzieć.

Twarz Rhysa była maską cierpliwości.

– Pokaż mi coś, co robi na mnie wrażenie, a ci powiem.

Odpowiedzi... za magię.

– Wiem, w co pogrywasz... – urwałam na widok drgającego kącika jego ust. – Niech ci będzie.

Wyciągnęłam przed siebie dłoń złożoną w miseczkę i przywołałam ciszę do swoich żył, do swoich myśli.

Ciszę, spokój i ciężar, tak jakbym znajdowała się pod morskimi falami.

W mojej dłoni pojawił się uformowany z wody motyl. Zatrzepotał skrzydłami i zatańczył w powietrzu.

Rhys uśmiechnął się lekko, ale po chwili wszelki ślad rozbawienia zniknął z jego twarzy.

– Tamlin jest młodszy ode mnie – powiedział. – Urodził się, gdy rozpoczęła się wojna. Ale po wojnie, kiedy dorósł, spotykaliśmy się przy różnych oficjalnych okazjach. On... – Rhys zacisnął zęby. – Zdawał się przyzwoity, jak na syna księcia Prythianu. Lepszy od potomków Berona z Dworu Jesieni. Chociaż już jego bracia byli równie podli. A nawet gorsi. I wiedzieli, że Tamlin pewnego dnia odziedziczy tytuł. A ja, półkrwi Ilyr, który musiał dowieść swojej wartości, który musiał bronić swojej pozycji, widziałem dobrze, przez co on przechodził...

Zaprzyjaźniłem się z nim. Odszukiwałem go za każdym razem, kiedy udawało mi się opuścić obozy czy dwór. Może zrobiłem to z litości, ale... nauczyłem go pewnych ilyryjskich technik.

– Czy ktokolwiek o tym wiedział?

Uniósł brwi i spojrzał znacząco na moją dłoń.

Skrzywiłam się niechętnie i przywołałam wodne śpiewające ptaki, po czym pozwoliłam im fruwać po polanie, tak jak fruwały po komnacie łaźiebnej w pałacu Dworu Lata.

– Kasjan i Azriel wiedzieli – podjął swoją opowieść Rhys. – Moja rodzina wiedziała. I nie pochwałała tego. – Jego oczy załśniły, jakby były dwoma lodowymi odłamkami. – Ale ojciec Tamlina czuł się zagrożony z tego powodu. Z mojego powodu. A ponieważ był słabszy zarówno ode mnie, jak i od Tamlina, chciał dowieść całemu światu, że tak nie jest. Moja matka i siostra udawały się do ilyryjskiego obozu, aby się ze mną zobaczyć. Miałem się z nimi spotkać w pół drogi, ale byłem zajęty szkoleniem nowego oddziału i zdecydowałem się zostać.

Zaczęły zalewać mnie coraz to kolejne fale mdłości i pożałowałam, że nie mam o co się oprzeć.

– Ojciec Tamlina, jego bracia i sam najmłodszy dziedzic Dworu Wiosny wyruszyli w ilyryjską dzicz. Wiedzieli od Tamlina, czyli *de facto ode mnie*, gdzie będą moja matka i siostra, gdzie miałem się z nimi spotkać. Miałem tam być. Ale mnie nie było. A jednak oni i tak je zamordowali.

Zaczęłam kręcić głową, poczułam pieczenie w oczach. Nie wiedziałam, czy próbuję temu zaprzeczyć, wymazać to czy potępić.

– To powinienem był być ja – powiedział, a ja zrozumiałam... Zrozumiałam to, co Rhys powiedział tamtego dnia, kiedy płakałam na oczach Kasjana na ringu treningowym. – Włożyli ich głowy do skrzyń i spławili rzeką do najbliższego obozu. Ojciec Tamlina zatrzymał ich skrzydła jako trofea. Dziwię się, że nie widziałas ich przybitych do ściany gabinetu.

Czułam, że zaraz zwymiotuję. Że padnę na kolana i się rozpłaczę.

Ale Rhys spojrzał na latające wokół wodne stworzenia i zapytał:

– Co jeszcze?

Może to sprawiło zimno, może jego opowieść, ale w moich żyłach zaskrzypiał szron, a w sercu zawyła dzika pieśń zimowego wichru. I wtedy to poczułam – jak łatwo byłoby skakać między moim mocami, łączyć je ze sobą.

Wszystkie moje zwierzęta zatrzymały się w pół ruchu... i zamarły we wspaniale wyrzeźbione bryły lodu.

Jedno po drugim spadło na ziemię. I się roztrzaskało.

Były jednym. Pochodziły z tego samego mrocznego miejsca, tej samej beczasowej studni mocy. Kiedyś, dawno temu, zanim powstały

języki, kiedy świat był jeszcze młody.

– Gdy się o tym dowiedziałem, kiedy mój ojciec się o tym dowiedział... – kontynuował Rhys. – Nie byłem z tobą do końca szczery, gdy pod Górą powiedziałem ci, że mój ojciec zabił ojca i braci Tamlina. Wyruszyłem razem z nim. Pomagałem mu. Tamtej nocy przeskoczyliśmy na skraj ziem Dworu Wiosny, po czym przebyliśmy resztę drogi na piechotę. Aż do samej rezydencji. Zabiłem braci Tamlina, gdy tylko ich zobaczyłem. Pochwyciłem ich umysły i w ten sposób unieruchomiłem, pociąłem na kawałki, a na koniec stopiłem mózgi w czaszkach. Gdy dotarłem do sypialni księcia... był martwy. A mój ojciec... mój ojciec zabił też matkę Tamlina.

Nie mogłam przestać kręcić głową.

– Przyrzekł ją oszczędzić. Powiedział, że nie należymy do tych, którzy zrobiliby coś takiego. Ale mnie okłamał i to zrobił. A wtedy ruszył w stronę komnaty Tamlina.

Nie mogłam nabrać powietrza... Nie mogłam nabrać powietrza...

– Próbowałem go powstrzymać – ciągnął Rhys. – Nie słuchał mnie. Miał zamiar zabić także jego. A ja nie mogłem... Po śmierci ich wszystkich miałem dosyć. Nie dbałem o to, że Tamlin tam był, że pozwolił im zabić moją matkę i siostrę, że ruszył z nimi, aby mnie zabić, bo nie chciał ryzykować sprzeciwienia się im. Miałem już dosyć śmierci. Zatem zatrzymałem ojca tuż przed drzwiami. Próbował przebić się przeze mnie. Tamlin otworzył drzwi, zobaczył nas... zwęszył krew, która już wypływała na korytarz. Nie zdążyłem powiedzieć słowa, a Tamlin zabił mojego ojca jednym ciosem. Poczulem, jak moc przepływa we mnie. Widziałem też, jak moc jego ojca przepływa w niego. I tylko staliśmy tam i patrzyliśmy na siebie. Obaj stawaliśmy się nowymi książętami... wtedy uciekłem.

Zamordował rodzinę Rhysanda. Księżę, którego kochałam – zamordował rodzinę swojego przyjaciela. A kiedy zapytałam go, jak zginęła *jego* rodzina, powiedział mi tylko, że odpowiadał za to wrogowie. *Rhysand* to zrobił, a...

– O niczym ci nie powiedział.

– Ja... przepraszam – wyszeptałam przez ściśnięte gardło.

– Za co mnie przepraszasz?

– Nie wiedziałam. Nie wiedziałam, że on to zrobił...

A Rhys sądził, że go do niego porównuję – że porównuję *jego* do Tamlina, tak jakbym stawiała go za jakiś wzór...

– Dlaczego przestałaś? – zapytał, wskazując okruchy lodu zalegające na dywanie z sosnowych igieł.

Ci, których najbardziej kochał – zabici. Zaszlachtowani z zimną krwią. Zamordowani przez *Tamlina*.

Polana stanęła w ogniu.

Igły zniknęły, drzewa jęknęły, nawet Rhys zaklął, gdy płomienie przemknęły w powietrzu, spowiły moje serce i pożarły wszystko na swojej drodze.

Nic dziwnego, że zmusił Tamlina do błagania go na kolanach tego dnia, kiedy mnie zobaczył po raz pierwszy. Nic dziwnego, że wykorzystywał każdą okazję, aby go dręczyć. Może moja obecność tutaj była tylko...

Nie. Wiedziałam, że to nieprawda. Wiedziałam, że ściągnięcie mnie tu nie miało nic wspólnego z ich zaszłościami, chociaż bez wątpienia zakłócenie naszego ślubu sprawiło mu wielką przyjemność. Uratowanie mnie od tego ślubu tak właściwie.

– Feyro – powiedział Rhys, gdy ogień zgasł.

Ale wciąż tam był – skwierczący w moich żyłach. Obok lodu i wody.

I ciemności.

Wokół nas żarzyły się węgle, rozgrzany popiół unosił się w powietrzu. Dmuchałem kojącą ciemnością, lodem i wodą, tak jakby były wiatrem – wiejącym o świcie, oczyszczającym świat.

Moc nie należała do książąt Prythianu. Już nie.

Należała do mnie, tak jak ja należałam *tylko* do siebie i jak do mnie należało decydowanie o mojej przyszłości, kształtowanie jej.

Gdy odkryłam i opanowałam to, co otrzymałam od nich, mogłam te dary łączyć ze sobą – w coś nowego, coś należącego do wszystkich dworów i zarazem nienależącego do żadnego z nich.

Węgłe zasyczały, wygaszone tak całkowicie, że nie pozostała nawet strużka dymu.

Spojrzałam w oczy Rhysa, który z rozszerzonymi źrenicami

przyglądał się moim poczynaniom.

– Dlaczego nie powiedziałaś mi wcześniej? – wychrypiałam.

Widząc go, w ilyryjskiej zbroi, ze skrzydłami rozpostartymi na całą szerokość polanki, z rękojeścią miecza wystającą znad ramienia... – tam, w tej dziurze w mojej piersi... zobaczyłam obraz. Na pierwszy rzut oka przerażający, jak wcielenie zemsty i gniewu. Ale gdyby przyjrzeć się bliżej... obraz ukazałby prawdziwe piękno jego twarzy; skrzydła rozpostarte, nie by atakować, ale żeby mnie ponieść z dala od niebezpieczeństwa, żeby mnie osłonić.

– Nie chciałam, żebyś pomyślała, że staram się obrócić cię przeciwko niemu – powiedział.

Obraz – widziałam go. *Czułam* go. Chciałam go namalować.
Chciałam malować.

Nie czekałam, aż wyciągnie ku mnie dłoń, tylko od razu do niego podeszłam.

Uniosłam głowę, aby spojrzeć mu w twarz.

– Chcę cię namalować – oznajmiłam.

Łagodnie podniósł mnie z ziemi.

– Najchętniej nagiego – powiedział mi do ucha.

Rozdział 46

Było mi tak zimno, jakbym już nigdy więcej nie miała poczuć ciepła. Nawet w środku zimy w krainie śmiertelników potrafiłam się jakoś ogrzać, ale po niemal całkowitym wyczerpaniu moich zasobów magii tego popołudnia i buzujący ogień paleniska nie potrafił przegonić chłodu z moich kości. Czy wiosna kiedykolwiek docierała do tego przekłętego obozu?

– Wybierają takie miejsca – powiedział Kasjan z drugiej strony stołu upchniętego w rogu przedniej części kamiennego domu, przy którym pałaszowaliśmy gulasz z duszonej baraniny – żeby tylko najsilniejsi z nas przeżyli.

– Okropny lud – burknęła Mor nachylona nad glinianą miską. – Nie dziwię się Azowi, że nie chciał tu nigdy wracać.

– Zakładam, że trening dziewcząt przebiegł bez problemów – zapytał śpiewnie siedzący obok mnie Rhys.

Jego udo było tak blisko mojego, że czułam bijące z niego ciepło. Kasjan osuszył swój kufel piwa.

– Wyciągnąłem z jednej z nich, że nie miały żadnych ćwiczeń od dziesięciu dni. Najwyraźniej były wszystkie zbyt zajęte „kobiecyimi pracami”.

– Nie ma wśród nich urodzonych wojowniczek?

– Są, trzy – wtrąciła się Mor. – Trzy na dziesięć to nie jest taki zły wynik. Co do pozostałych, to ucieszę się, jeśli nauczą się choć samoobrony. Ale te trzy... Mają instynkt, pazur. To ich głupie rodziny chciały im podciąć skrzydła i przeznaczyć na rozród.

Wstałam od stołu i zaniiosłam miskę do zlewu powieszzonego na ścianie. Dom był prosty, ale mimo wszystko większy i w lepszym stanie od naszej starej chatki. Pierwsze pomieszczenie służyło za kuchnię, pokój dzienny i jadalnię. Do tylnej części prowadziło troje drzwi. Jedne wiodły do ciasnej łazienki, drugie do schowka, a trzecie były tylnym wyjściem, ponieważ – wedle słów Rhysa – żaden prawdziwy Ilyr nie zbudowałby domu z tylko jednym wejściem.

– O jakiej porze dnia zamierzasz jutro ruszyć do Wykutego Miasta? – zapytał Mor Kasjan. Pytanie zadał głosem na tyle cichym, że

zrozumiałam, że oto nadszedł zapewne czas, aby udać się na górę.

Mor poskrobała łyżką w dno swojej miski. Gulasz przyrządził najwyraźniej Kasjan – nie był nawet taki zły.

– Po śniadaniu. Przed. Nie wiem. Może po południu, kiedy wszyscy będą się dopiero budzili.

Rhys stał za mną z miską w dłoni i zasugerował ruchem ręki, żebym zostawiła swoją nieumytą w zlewie. Następnie wskazał głową strome, wąskie schody z tyłu domu. Ich szerokość pozwalała pomieścić tylko jednego Ilyra – kolejny środek bezpieczeństwa. Zerknęłam ostatni raz w stronę stołu i poszłam na górę.

Mor i Kasjan wpatrywali się w swoje puste miski, rozmawiając łagodnymi głosami – przynajmniej raz.

Z każdym kolejnym krokiem po schodach czułam Rhysa za swoimi plecami, bijący od niego żar, pulsowanie i falowanie jego mocy. W tym ciasnym miejscu jego zapach zalewał mnie całą, wzywał.

Na piętrze było ciemno, z jednym tylko małym oknem na końcu korytarza, przez które wpadał blask księżyca prześwitujący przez wąską szczelinę między otaczającymi nas sosnami. Tu było tylko dwoje drzwi. Rhys wskazał jedno z nich.

– Ty i Mor możecie spać dziś razem. Jeśli będzie za dużo paplała, po prostu powiedz jej, żeby się zamknęła.

Nie miałam zamiaru tego robić. Jeśli miała ochotę się wygadać, odciągnąć myśli od tego, co ją czekało jutro, i przygotować się na to, mogłam jej słuchać choćby do rana.

Położył dłoń na klamce drzwi do drugiego pokoju. Oparłam się o swoje drzwi, nie otwierając ich.

Byłoby tak łatwo zrobić trzy kroki dzielące mnie od niego.

Przesunąć dłońmi po jego piersi, przesunąć po tych pięknych wargach własnymi.

Przełknęłam ślinę, gdy obrócił się do mnie.

Nie chciałam myśleć o tym, co to znaczyło, co ja robiłam. Czym było to coś między nami.

Ponieważ sprawy między nim a mną nigdy nie układały się normalnie – od naszego pierwszego spotkania podczas Calanmai. Nie potrafiłam tak zwyczajnie odejść od niego wtedy, kiedy sądziłam, że jest

śmiertelnie groźny. Ale teraz...

„Zdrajczyńni, zdrajczyńni, zdrajczyńni...”.

Otworzył usta, ale ja już wślizgnęłam się do mojego pokoju i zamknęłam za sobą drzwi.

Marznący deszcz siąpił między gałęziami sosen, gdy kroczyłam przez mgłę w swojej ilyryjskiej skórzanej zbroi, uzbrojona w łuk, kołczan i noże, trzęsąca się jak zmokły pies.

Rhys szedł kilkaset stóp za mną i niósł nasze torby. Poleciliśmy daleko w zalesione równiny – dość, żeby musieć tu spędzić noc. Dość, by nikt i nic nie mógł zobaczyć tego, co Rhys określił mianem „wspaniałego wybuchu ognia i temperamentu”. Azriel nie przyniósł żadnych wieści od moich sióstr na temat decyzji królowych, zatem mieliśmy wystarczająco dużo czasu. Chociaż gdy Rhys informował mnie o tym rano, sprawiał wrażenie, jakby się gdzieś śpieszył. Przynajmniej nie będziemy musieli spać pod gołym niebem. Rhys zarzekał się, że jest tu coś w rodzaju zajazdu dla podróżnych.

Obróciłam się i spojrzałam w stronę podążającego za mną Rhysa. W pierwszej kolejności dostrzegłam jego potężne skrzydła. Mor wyruszyła, zanim zdążyłam się obudzić, a Kasjan był podczas śniadania bardzo podenerwowany i drażliwy... Tak bardzo, że chętnie wyszłam, gdy tylko skończyłam jeść owsiankę. Współczułam Ilyrom, którzy będą mieli tego dnia z nim do czynienia.

Rhys przystanął, gdy mnie prawie dogonił, i pomimo drzew i deszczu między nami zauważyłam, że uniosł brwi w niemym pytaniu – dlaczego się zatrzymałam. Nie rozmawialiśmy o Święcie Spadających Gwiazd czy Dworze Koszmarów – a ostatniej nocy, gdy wierciłam się w małym łóżku, podjęłam decyzję: zabawa i odciąganie uwagi. To nie wydawało się skomplikowane. Utrzymanie relacji wyłącznie na poziomie fizyczności... cóż, to nie sprawiało wrażenia specjalnej zdrady.

Uniosłam dłoń, dając Rhysowi znak, żeby został tam, gdzie jest. Po wczorajszym nie chciałam, żeby był zbyt blisko mnie, żeby go nie podpałiła. Albo gorzej. Ukłonił się teatralnie, a ja przewróciłam oczami i ruszyłam w stronę strumienia przed nami, szukając dogodnego miejsca

na ćwiczenie ognia Berona. *Mojego* ognia.

Z każdym krokiem czułam, jak Rhys pożera mnie wzrokiem. A może odczuwałam to przez naszą więź, gdy ocierał się o moją mentalną tarczę – dostrzegałam przebłycki głodu tak nienasyconego, że wysiłkiem było skupić się na czekającym mnie zadaniu i niewyobrażaniu sobie, jak by to było, czuć jego dłonie na moim ciele, pieszczące moje uda, przyciskające mnie do niego.

Przysięgłabym, że po drugiej stronie bariery poczułam pewne rozbawienie. Syknęłam i pokazałam mu nad ramieniem wulgarny gest, chociaż jednocześnie opuściłam nieco tarczę, tylko troszeczkę.

Rozbawienie przeistoczyło się w dziką radość – chwilę potem poczułam liźnięcie rozkoszy, które powędrowało w dół wzdłuż kręgosłupa. Niżej.

Twarz mi splonęła rumieńcem, a trzask gałązki pod moim butem zahuczał mi w uszach głośno niczym grom. Zazgrzytałam zębami. Grunt opadał ku szaremu bystremu strumieniowi, płynącemu zapewne od widniejących w oddali olbrzymich gór w śnieżnych czapach.

Dobrze... to miejsce się nadawało. Dobre źródło wody do gaszenia ewentualnych płomieni, które wymknęłyby mi się spod kontroli, mnóstwo otwartej przestrzeni. Wiatr wiał mi w plecy, pchając mój zapach na południe, w głąb lasu. Otworzyłam usta, aby powiedzieć Rhysowi, by nie podchodził do mnie.

Wiał wiatr, szumiały głośno strumienie, więc nic dziwnego, że nie słyszałam, jak mnie otaczają.

– Feyra.

Obróciłam się gwałtownie ze strzałą nałożoną na cięciwę i wycelowaną w stronę źródła głosu...

Czterech żołnierzy Dworu Wiosny wyszło spomiędzy drzew niczym zjawy. Byli uzbrojeni po zęby i patrzyli na mnie z szeroko otwartymi oczami. Dwóch znałam: Bron i Hart.

A między nimi stał Lucien.

Rozdział 47

Jeśli chciałam uciec, mogłam albo wybrać strumień, albo stawić im czoła. Ale Lucien...

Rude włosy miał związane z tyłu i swoim wyglądem nawet nie próbował pretendować do elegancji; miał na sobie tylko skórzany pancerz, miecze, noże... Jego metalowe oko omiatało mnie. Był blady.

– Tropiliśmy cię już ponad dwa miesiące – wyszeptał i przeniósł wzrok na las, strumień, niebo.

Rhys. Niech mnie Kocioł ocali. Rhys był zbyt daleko w tyle, a...

– Jak mnie znaleźliście?

Nie rozpoznawałam swojego spokojnego, chłodnego głosu. Ale... *tropili* mnie. Jakbym istotnie była zwierzyną.

Jeśli był tu Tamlin... Moja krew stała się zimniejsza od marznącego deszczu spływającego po mojej twarzy, wdzierającego się strużkami pod ubrania.

– Ktoś nam powiedział, że będziesz tutaj, ale szczęściu zawdzięczamy wychwycenie twojej woni na wietrze i... – Lucien postąpił krok w moją stronę.

Cofnęłam się. Tylko trzy stopy dzieliły mnie od strumienia.

Oko Luciena lekko się rozszerzyło.

– Musimy stąd zniknąć. Tamlin był... nie był sobą. Zabiorę cię prosto do...

– Nie – wydyszałam.

Chrapliwe słowo poniosło się przez deszcz, strumień, sosnowy las.

Czwórka żołnierzy wymieniła spojrzenia, popatrzyła na wymierzoną wciąż w ich stronę strzałę.

Lucien ponownie mi się przyjrzał.

I widziałam wyraźnie, co przykuwa teraz jego uwagę: ilyryjska zbroja. Zdrowa, zaróżowiona twarz, zaokrąglona sylwetka.

I zimna stal mojego spojrzenia.

– Feyro – powiedział i wyciągnął ku mnie rękę. – Wracajmy do domu.

Ani drgnęłam.

– Tamto miejsce przestało być moim domem w dniu, w którym

pozwoliłeś mi w nim zamknąć.

Twarz Luciena stężała.

– To był błąd. *Wszyscy popełniamy błędy. Jest mi przykro... bardziej, niż sądzisz. Tak jak i mnie.*

Postąpił kolejny krok w moją stronę i cofnęłam się jeszcze kilka cali.

Niezbyt wiele już mnie dzieliło od rwącego potoku poniżej.

Nagle przypomniałam sobie trening Kasjana, tak jakby wszystkie ćwiczenia, które kazał mi powtarzać każdego ranka, były siecią, która mnie wyłapała, gdy już opadałam bezwładnie w objęcia rosnącej paniki. Jeśli Lucien tylko mnie dotknie, przeskoczy stąd razem ze mną. Niezbyt daleko – nie był na tyle potężny, ale był szybki. Odskoczy o kilka mil, potem dalej i dalej, aż Rhys nie zdoła mnie dosięgnąć. On *wiedział*, że Rhys tu jest.

– Feyro – zwrócił się do mnie błagalnym tonem Lucien i zaryzykował kolejny krok z wyciągniętą cały czas w moją stronę ręką.

Skierowałam strzałę prosto w niego, cięciwa jęknęła.

Nigdy wcześniej nie zastanawiałam się nad tym, że chociaż Lucien miał za sobą przeszkolenie wojownika, Kasjan, Azriel, Mor i Rhys byli od niego o wiele lepsi. Kasjan mógł go zmieść z powierzchni ziemi jednym ciosem.

– Odłóż tę strzałę – zamruczał Lucien, tak jakby starał się oswoić dzikie zwierzę.

Za nim czwórka żołnierzy zbliżyła się szpalerem. Zaganiali mnie jak zwierzynę na polowaniu.

Maskotka i własność księcia.

– Nie. Dotykaj. Mnie.

– Nie rozumiesz, w jakim znaleźliśmy się bagnie, Feyro. *My... ja* ciebie potrzebuję w domu. Teraz.

Nie chciałam tego słuchać. Spojrzałam na strumień w dole i oceniłam swoje szanse.

To spojrzenie okazało się być kosztowne. Lucien skoczył ku mnie z wyciągniętą dłonią. Jedno dotknięcie, tylko tyle mu trzeba...

Nie byłam już księżącą maskotką.

I może świat powinien się dowiedzieć, że istotnie miałam kły.

Palec Luciena musnął rękaw mojej skórzanej kurty.

A ja stałam się dymem, popiołem i nocą.

Świat zamarł, wygiął się i oto Lucien leciał powoli tam, gdzie teraz nie było już nic, podczas gdy ja go ominęłam i rzuciłam się w stronę drzew za żołnierzami.

Zatrzymałam się i czas wznowił swój naturalny bieg. Lucien zachwiał się i zatrzymał w ostatniej chwili na krawędzi urwiska. Obrócił się gwałtownie z rozszerzoną źrenicą i dojrzał mnie stojącą za jego żołnierzami. Bron i Hart wzdrygnęli się i cofnęli. Przede mną.

I przed stojącym przy moim boku Rhysandem.

Lucien znieruchomiał. Przywołałam na twarz maskę lustrzanego lodu; nieczułą bliźniaczkę okrutnego rozbawienia wymalowanego na obliczu Rhysanda, który skubnął wystającą nitkę na swojej czarnej tunice.

Ciemne eleganckie ubranie – bez skrzydeł, bez skórzanej zbroi.

Czyste gładkie ubranie... Kolejna broń. Aby ukryć to, jak jest uzdolniony i potężny; aby ukryć to, skąd pochodził i co kochał. Broń warta magii, której użył, aby ją ukryć – nawet jeśli tym samym ryzykował wyśledzenie nas.

– Mały Lucien – powiedział miękkiem głosem Rhys. – Czy pierwsza dama Dworu Jesieni nigdy ci nie wyjaśniła, że kiedy kobieta mówi „nie”, ma na myśli „nie”?

– Ty złamasie – warknął Lucien i minął gwałtownym krokiem swoich żołnierzy, choć nie odważył się sięgnąć do broni. – Ty brudny, kurewski złamasie.

Warknęłam gardłowo.

Lucien strzelił ku mnie wzrokiem i zapytał ze stłumionym przerażeniem:

– Coś ty zrobiła, Feyro?

– Nie szukaj mnie już więcej – powiedziałam głosem równie miękkiem jak przed chwilą Rhysand.

– On nigdy nie przestanie cię szukać. Nigdy nie przestanie pragnąć, byś wróciła do domu.

Jego słowa były dla mnie niczym cios w brzuch – i tym właśnie miały być. Musiałam dać to po sobie poznać, bo Lucien dalej naciskał:

– Co on ci zrobił? Czy odebrał ci umysł i...

– Dość – przerwał mu Rhys, przechylając głowę na bok z tym swoim niewymuszonym wdziękiem. – Jesteśmy z Feyrą zajęci. Wracaj na swoje ziemie, zanim wysłę tam wasze głowy w ramach przypomnienia staremu przyjacielowi, co się dzieje, kiedy sługusy Dworu Wiosny zapuszczają się do mojego władztwa.

Krople marznącego deszczu wślizgnęły się po moim karku pod ubranie i spłynęły wzdłuż pleców.

Lucien był śmiertelnie blady.

– Pokazałaś, na co cię stać, Feyro... a teraz wracajmy do domu.

– Nie jestem dzieckiem, aby mnie przywoływać do porządku – wycodziłam przez zęby.

Tak właśnie mnie widzieli: jako potrzebującą chuchania i dmuchania, wyjaśniania, obrony...

– Uważaj, Lucienie – powiedział Rhysand, teatralnie przeciągając sylaby. – Bo jeszcze droga Feyra też zechce odesłać cię w kawałkach.

– Nie jesteśmy twoimi wrogami, Feyro – spróbował innego podejścia Lucien. – Rzeczy potoczyły się niewłaściwym torem, Iantha trochę przesadziła, ale to nie znaczy, że możesz odwracać się...

– Odwracać się? – wydyszałam.

Nawet Rhys znieruchomiał.

– To ty odwróciłeś się *ode mnie* – dodałam głośniejszym głosem. – Byłeś moim przyjacielem. A wybrałeś *jego*, wybrałeś posłuszeństwo wobec niego, chociaż dobrze widziałeś, co jego polecenia i zasady ze mną robią. Chociaż widziałeś, jak wędnę *dzień po dniu*.

– Nie masz *pojęcia*, jak trudne były te pierwsze miesiące – odwarknął Lucien. – Musieliśmy utrzymać wspólny front, a ja miałem dać przykład wszystkim innym członkom dworu.

– *Widziałeś*, co się ze mną dzieje. Ale zbyt się go bałeś, żeby naprawdę coś z tym zrobić.

To był strach. Lucien naciskał na Tamlina, ale tylko do pewnego momentu. Zawsze ostatecznie mu ustępował.

– Błagałam cię – powiedziałam ostro, niemal bez tchu. – Błagałam tyle razy, żebyś mi pomógł, żebyś mnie wydostał z tamtego domu, choćby na godzinę. A ty mnie zostawiałeś samą albo wpychałeś do

jednej komnaty z Ianthą, albo mówiłeś mi, żebym to przecierpiała.

– I jak rozumiem Dwór Nocy jest od tego o wiele lepszy? – zapytał zbyt cichym głosem.

Wtedy sobie przypomniałam – co miałam poznać, czego miałam doświadczyć. A także czego Lucien i inni nie mogli się nigdy dowiedzieć, nawet jeśli miałoby mnie to kosztować moje życie.

I zapłaciłabym tę cenę. Żeby zapewnić bezpieczeństwo Velaris, żeby zapewnić bezpieczeństwo Mor i Amrenie, i Kasjanowi, i Azrielowi, i... Rhysandowi.

Zwróciłam się do Luciena niskim, ledwo słyszalnym głosem, równie złowrogim co szpony, które pojawiły się na czubkach moich palców, równie złowrogim co cudowny ciężar między moimi łopatkami.

– Kiedy spędzasz tak wiele czasu uwięziony w ciemności, Lucienie, odkrywasz, że ciemność zaczyna patrzeć na ciebie.

Mgnienie zaskoczenia, dzikiego zachwytu po drugiej stronie mojej mentalnej tarczy. Zachwytu nad ciemnymi, błoniastymi skrzydłami, które wystawały znad moich ramion.

Każdy lodowaty pocałunek deszczu przeszywał mnie zimnym dreszczem. Czułe – te ilyryjskie skrzydła były takie czułe.

Lucien cofnął się o krok.

– Coś ty sobie zrobiła?

Uśmiechnęłam się do niego pod nosem.

– Ta ludzka dziewczyna, którą znałeś, umarła pod Górą. Nie mam zamiaru spędzić mojego nieśmiertelnego życia jako maskotka księcia.

Lucien zaczął kręcić głową.

– Feyro...

– Powiedz Tamlinowi – oznajmiłam, krzywiąc się na dźwięk jego imienia, na myśl o tym, co uczynił Rhysowi, jego rodzinie – że jeśli znów pośle kogokolwiek na te ziemie, wytropię ich co do jednego. I zademonstruję, czego dokładnie nauczyła mnie ciemność.

Na jego twarzy pojawiło się coś przypominającego szczery ból.

Nie dbałam o to. Tylko na niego patrzyłam – nieustępliwa, zimna i mroczna. Patrzyłam na stworzenie, którym sama mogłam się kiedyś stać, gdybym została na Dworze Wiosny, gdybym pozostała rozbita przez dziesięciolecia, wieki... aż bym się nauczyła po cichu kierować te

odłamki bólu na zewnątrz, rozkoszować się cierpieniem innych.

Lucien skinął głową na swoich podkomendnych. Bron i Hart – z rozszerzonymi oczami i trzęsący się na całym ciele – zniknęli razem z pozostałą dwójką.

Lucien został jeszcze przez chwilę; dzieliło nas tylko powietrze i deszcz.

– Nie żyjesz – zwrócił się miękkim głosem do Rhysanda. – Ty i cały ten twój przeklęty dwór.

Po chwili już go nie było. Wpatrywałam się w puste miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą stał, oczekując, wyczekując, nie zmieniając wyrazu twarzy, aż ciepły silny palec nie przesunął się wzdłuż krawędzi mojego prawego skrzydła.

Poczułam się... jakby mi ktoś popieścił oddechem ucho.

Zadrzałam, wyprężyłam się i wydałam z siebie zduszony okrzyk.

Zaraz potem Rhys stał przede mną i przyglądał się mojej twarzy, skrzydłom za moimi plecami.

– Jak? – zapytał.

– Zmiennokształtność – zdołałam wydusić z siebie, przyglądając się kroplom deszczu spływającym po jego opalonej na złoto twarzy.

Odwróciło to moje myśli od całego zajścia na tyle skutecznie, że szpony, skrzydła i falująca ciemność stopniowo zanikały, aż zostałam lekka i zimna tylko we własnej skórze.

Zmiennokształtność... w obliczu części historii, mężczyzny, o którym nie pozwalałam sobie pamiętać. Zmiennokształtność... dar od Tamlina, którego nie chciałam, nie potrzebowałam... aż do teraz.

Wyraz oczu Rhysa złagodniał.

– To było bardzo przekonujące przedstawienie.

– Dałam mu to, co chciał zobaczyć – mruknęłam pod nosem. – Powinniśmy znaleźć inne miejsce.

Kiwnął głową. Jego tunika i spodnie zniknęły, zastąpione znajomą skórzaną zbroją, skrzydłami, mieczem. Mój wojownik...

Nie mój.

– Coś nie tak? – zapytał i przygarnął mnie do siebie, aby zanieść mnie w inne miejsce na swoich skrzydłach.

Wtuliłam się w jego ciepło, chłonąc je z lubością.

– To, że to było takie proste, że czułam tak mało, irytuje mnie bardziej niż samo to zajście.

Może na tym polegał mój problem od samego początku. Może dlatego nie odważyłam się uczynić tego ostatniego kroku w noc Spadających Gwiazd. Miałam poczucie winy, ponieważ nie czułam się okropnie, nie do końca. Nie z powodu pożądania.

Po kilku potężnych uderzeniach wznieśliśmy się w górę między drzewami i teraz szybowaliśmy nisko nad lasem. Deszcz chłostał moją twarz.

– Wiedziałem, że sprawy źle stoją – powiedział Rhysand z tłumioną wściekłością, ledwie słyszalnie ponad mroźnymi ukąszeniami wiatru i deszczu – ale sądziłem, że Lucien, przynajmniej on, wstawi się za tobą.

– Też tak sądziłam – przyznałam ciszej, niż zamierzałam.

Uścisnął mnie delikatnie, a ja spojrzałam na niego przez deszcz, mrugając, by strząsnąć krople z rzęs. Choć raz patrzył na mnie, a nie na mijany w dole krajobraz.

– Do twarzy ci ze skrzydłami – powiedział i pocałował mnie w czoło.

Nawet deszcz przestał być taki lodowaty.

Rozdział 48

Pobliski „zajazd” okazał się być hałaśliwą karczmą z kilkoma pokojami na wynajem – zazwyczaj opłacanymi od godziny. Wszystkie były zajęte. Wszystkie poza malutkim, naprawdę maleńkim pokoikiem wydzielonym na strychu.

Rhys nie chciał, żeby ktokolwiek z fae wszelakiego rodzaju, Ilyrów i różnych innych istot tłoczących się w głównej sali na dole wiedział, kto się tu właśnie zatrzymał na noc. Nawet ja go ledwo rozpoznałam, ponieważ – bez pomocy magii, zmianą samej tylko mowy ciała – stłumił tę nieziemską moc i mógł uchodzić za zwykłego, bardzo przystojnego ilyryjskiego wojownika, psioczącego na konieczność wzięcia ostatniego wolnego pokoju, do którego prowadziły bardzo wąskie schody. Żadnego korytarza, żadnych innych pokoiów na strychu. Gdybym miała potrzebę skorzystać z łazienki, musiałabym zejść piętro niżej, gdzie... po rozważeniu zapachów i dźwięków dochodzących z pół tuzina znajdujących się tam pokoiów zdecydowałam się szybko skorzystać po drodze na górę i nie schodzić tam aż do rana.

Cały dzień igrania z wodą, ogniem, lodem i ciemnością w marznącym deszczu odcisnął na mnie tak poważne piętno, że nikt nawet na mnie nie spojrział, nawet najbardziej zapity i samotny gość jedynej karczmy w osadzie. W ogóle trudno było to nazwać osadą: zajazd, warsztat krawca, skład z mydłem i powidłēm oraz burdel. Wszystko nastawione na łowców, wojowników i podróżnych przemierzających te partie lasu w drodze na ziemię Ilyrów lub w przeciwnym kierunku. Albo po prostu mieszkańców tej okolicy – samotnych i ceniących sobie ten stan. To miejsce było zbyt małe i na zbyt wielkim odludziu, aby Amarantha czy jej sługusy zaprzęтали sobie nim głowę.

Szczerze mówiąc, nie dbałam o to, gdzie byliśmy, dopóki było tu sucho i ciepło. Rhys otworzył drzwi prowadzące do naszego pokoju na strychu i przepuścił mnie do środka.

Cóż, przynajmniej było tu sucho.

Dach był tak pochyły, że na drugą stronę łóżka trzeba było się przeczołgać po materacu, a sam pokój tak ciasny, że do maleńkiej szafy

upchniętej pod ścianą musiałam się przeciskać obok łóżka. Mogłabym usiąść na nim i bez trudu do niej sięgnąć.

Zaraz. Łóżko. *Jedno* łóżko.

– Prosiłem o dwa – powiedział Rhys, podnosząc dłonie w obronnym geście.

Oddech zamieniał się od razu w parę. Nie było tu nawet małego kominka. Nie było nawet dość miejsca, żebym mogła kazać Rhysowi spać na podłodze. Nie ufałam swojemu panowaniu nad ogniem, aby pokusić się o ogrzanie pomieszczenia. Zapewne spaliłabym całą tę ruderę do fundamentów.

– Jeśli nie możesz używać magii, będziemy musieli się nawzajem ogrzać – powiedziałam i natychmiast tego pożałowałam. – Plecy do pleców – wyjaśniłam i szybko dodałam, żeby zetrzeć mu ten głupawy wyraz z twarzy: – Musiałyśmy z siostrami dzielić jedno łóżko. Przywykłam.

– Spróbuję trzymać ręce przy sobie.

Zaschło mi nieco w ustach.

– Jestem głodna.

Przestał się uśmiechać.

– Zejdę na dół i zdobędę jakieś jedzenie, a ty się w tym czasie przebierz. – Uniosłam pytająco brwi, więc dodał: – Jakkolwiek doskonale potrafiłbym wtapiać się w tłum, moja twarz jest charakterystyczna. Wolę nie być tam zbyt długo, żeby ktoś mnie nie rozpoznał.

Wyciągnął ze swojego plecaka płaszcz i założył go. Specjalne fałdy ułożyły się na jego skrzydłach, których zniknięcia nie chciał ryzykować. Użył już swojej mocy wcześniej. Powiedział, że był to na tyle niewielki wydatek magii, że mógł przejść niezauważony, ale na wszelki wypadek nie będziemy w najbliższym czasie wracać do tamtej partii lasu.

Naciągnął kaptur na głowę, a ja podziwiałam cienie i grozę skrzydeł.

„Śmierć na śmigłych skrzydłach”. Tak zatytułuję obraz.

– Kocham, kiedy tak na mnie patrzysz – powiedział łagodnie.

Tembr jego głosu podgrzał mi krew w żyłach.

– Znaczy jak?

– Jakby moja moc nie była czymś, przed czym należy uciekać.

Jakbyś widziała mnie.

Dla mężczyzny, który dorastał, wiedząc, że był najpotężniejszym księciem w historii Prythianu, że mógł drzeć umysły na strzępy, jeśli nie zachowa ostrożności, że był sam – sam ze swoją mocą, ze swoim ciężarem – ten strach był najpotężniejszą bronią przeciwko wszystkiemu, co zagrażało jego ludowi... Dlatego ubodłam go do żywego, kiedy się kłóciliśmy po wydarzeniach na Dworze Koszmarów.

– Z początku się ciebie bałam.

W cieniu kaptura błysnęły białe zęby.

– Nie, nie bałaś się. Może byłaś nerwowa, ale nigdy się mnie nie bałaś. Wyczuwałem paniczne przerażenie u wystarczająco dużej liczby osób, aby dostrzec różnicę. Może dlatego nie potrafiłem trzymać się od ciebie z daleka.

Kiedy? Zanim zdążyłam zapytać, już zamknął za sobą drzwi i schodził po schodach.

Bardzo trudno było ściągnąć z siebie na wpół zamarznęte ubrania lepiące się do opuchniętej od deszczu skóry. Podczas przebierania się ciągle uderzałam to łokciem, to głową, to kolanem w pochyły sufit, ściany czy mosiężną nogę łóżka. W pokoju było tak zimno, że musiałam się przebierać na raty: najpierw zmieniłam przemoczoną koszulę na suchą, potem skórzane spodnie na podszyte miękką wełną, ociekające wodą skarpety na ręcznie robione na drutach podkolanówki. Kiedy wciągnęłam na siebie za duży sweter pachnący lekko Rhysem, usiadłam ze skrzyżowanymi nogami na łóżku i czekałam.

Mebel nie był mały, ale zdecydowanie niewystarczająco duży, abym mogła udawać, że nie będę spała obok niego. Zwłaszcza ze skrzydłami.

Deszcz bębnił w dach ledwie kilka cali od mojej głowy, wystukując równy rytm dla myśli, które pulsowały mi w głowie.

Kocioł jeden wiedział, co Lucien przekazywał Tamlinowi, najpewniej właśnie w tej chwili, jeśli nie kilka godzin temu.

Wysłałam Tamowi list... a on go zignorował. Tak jak zignorował lub odrzucił praktycznie wszystkie moje prośby, działając na podstawie

tego, co sam sobie ubzdurał, że będzie właściwe dla mojego dobra i bezpieczeństwa. A Lucien był gotowy zaprowadzić mnie do niego wbrew mojej woli.

Mężczyźni fae byli zaborczy i aroganccy – ale ci z Dworu Wiosny... było coś parszywego w ich postępowaniu. Byłam absolutnie pewna, że Kasjan mógłby mnie naciskać i sprawdzać granice mojej wytrzymałości, ale w chwili, w której powiedziałabym „nie”, przestałby. Tak samo wiedziałam, że gdybym... gdybym wiedła i usychała, a Rhys nic by z tym nie zrobił, Kasjan lub Azriel pomogliby mi. Zabraliby mnie dokądś – dokądkolwiek, gdzie potrzebowałabym się znaleźć – a Rhysem zajęliby się później.

Ale Rhys... On by nie mógł nie dostrzec tego, co się ze mną działo; nie byłby nigdy taki zaślepiiony, arogancki i zapatrzony tylko w siebie. Poznałby się na Iancie przy pierwszym spotkaniu. I rozumiałby, co to znaczy być więźniem, co to znaczy być bezbronnym i jak to jest zmagać się – każdego dnia – z potwornościami jednego i drugiego.

Pokochałam księcia, który pokazał mi wygody i cuda Prythianu. Pokochałam księcia, który zapewnił mi jedzenie, bezpieczeństwo i czas, abym mogła malować. Może gdzieś jakaś mała cząstka mnie zawsze będzie myślała o nim ciepło, ale... Amarantha złamała nas oboje. Albo też złamała mnie w taki sposób, że to, kim był on, i to, jaka teraz byłam ja, już do siebie nie pasowało.

Ale mogłam o tym zapomnieć. Mogłam to zaakceptować. Może przez pewien czas będzie ciężko, jednak... może w końcu się uda.

Rhys kroczył niemal bezgłośnie; zdradziło go tylko lekkie skrzypnięcie schodów. Wstałam, by otworzyć drzwi, zanim zdążył zapukać, i zobaczyłam go stojącego z tacą w obu dłoniach. Niósł na niej dwa stopy przykrytych naczyń, dwa kieliszki, dwie butelki wina i...

– Powiedz mi, że czuję gulasz.

Wciągnęłam powietrze nosem, odsunęłam się, aby go przepuścić, i zamknęłam drzwi, podczas gdy on stawiał ostrożnie tacę na łóżku.

Właśnie... tu nie było miejsca nawet na stolik.

– Gulasz z królika, jeśli wierzyć zapewnieniom kucharza.

– Przeżyłabym bez tej wiedzy – powiedziałam, a Rhys wyszczerzył

zęby w uśmiechu.

Ten uśmiech poruszył coś we mnie tak, że odwróciłam wzrok. Usiadłam ostrożnie obok tacy, aby nią nazbyt nie poruszyć. Podniosłam pokrywę z misek na samym szczycie stosów: potrawka.

– Co jest pod spodem?

– Placek mięsny. Nie odważyłem się zapytać, jakie mięso. – Zgromiłam Rhysa wzrokiem, ale on akurat się przeciskał obok łóżka w stronę szafy z plecakiem w ręce. – Nie krępuj się, jedz – powiedział. – Ja się najpierw przebiorę.

Istotnie też był cały przemoczony – musiał być zupełnie zmarznięty i odrętwiały.

– Powinieneś być się przebrać przed zejściem na dół.

Wzięłam łyżkę i zamieszałam gulasz. Westchnęłam z rozkoszą, gdy poczułam na zimnych policzkach pieszczotę ciepłych strużek pary.

Pokój wypełniło szuranie i plaskanie ściąganych mokrych ubrań. Staralam się nie myśleć o obnażonej złocistej piersi, o tatuażach. O twardych mięśniach.

– To ty trenowałaś cały dzień. W pełni zasłużyłaś na przyniesienie ci gorącego posiłku.

Spróbowałam. Mdłe, ale jadalne i – co najważniejsze – *gorące*. Jadłam w ciszy, nasłuchując szelestu zakładanych ubrań i starając się myśleć o zimnych kąpielach, jątrzących się ranach i grzybach między palcami u stóp – o czymkolwiek, tylko nie o jego nagim ciele tak blisko mnie... i o łóżku, na którym siedziałam. Nalałam sobie szklaneczkę wina, a potem napełniłam jego.

W końcu Rhys przecisnął się między łóżkiem i wystającym narożnikiem ściany ze skrzydłami złożonymi blisko przy ciele. Miał na sobie luźne cienkie spodnie i obcisłą koszulę wyglądającą na uszytą z najmniejszej bawełny.

– Jak ją założyłeś na skrzydła? – zapytałam, kiedy zajął się swoją potrawką.

– Plecy są uszyte z nachodzących na siebie płacht z ukrytymi guzikami... Ale zazwyczaj po prostu używam do tego magii.

– Wygląda na to, że w każdej chwili używasz wielu zaklęć jednocześnie.

Wzruszył ramionami.

– To mi pomaga złagodzić brzemień mocy. Magia potrzebuje ujścia, wyczerpania. Inaczej wzbiera we mnie, doprowadzając do szaleństwa. Dlatego nazywamy kamienie Ilyrów syfonami, bo pomagają im kanalizować moc i opróżnić jej zapasy w razie konieczności.

– Tak do prawdziwego szaleństwa?

Odstawiłam pustą miskę i zdjęłam przykrywkę z mięsa w cieście.

– Tak do prawdziwego szaleństwa. A przynajmniej tak mnie przestrzegano. Niemniej czuję to... czuję jego zew, jeśli zbyt długo nie używam swojej mocy.

– To okropne.

Kolejne wzruszenie ramionami.

– Wszystko ma swoją cenę, Feyro. Jeśli ceną za bycia dość silnym, by ochronić mój lud, jest konieczność zmagania się z tą samą mocą, która mi to umożliwia, to chętnie ją zapłacę. Amrena nauczyła mnie dość o utrzymywaniu magii w karchach. Dość, bym niezmiernie dużo jej zawdzięczał. W tym barierę, która chroni moje miasto.

Każdy z jego otoczenia był do czegoś przydatny, mógł zaoferować jakąś niezmiernie pożyteczną umiejętność. I byłam też ja... nic ponad dziwną hybrydę. Sprawiałam więcej kłopotów, niż przynosiłam korzyści.

– To nieprawda – powiedział.

– Nie czytaj mi w myślach.

– Nic nie poradzę na to, że czasem wykrzykujesz słowa przez naszą więź. Poza tym wszystko jest zwykle wypisane na twojej twarzy, jeśli się tylko wie, na co zwrócić uwagę. Co sprawia, że twój dzisiejszy występ tym bardziej zasługuje na podziw.

Odstawił swoją miskę, właśnie gdy skończyłam pałaszować mięso i przesunęłam się po łóżku w stronę poduszek, ściskając szklaneczkę wina w zmarzniętych dłoniach. Piłam i obserwowałam, jak Rhys je drugie danie.

– Sądziłeś, że pójdę z nim?

Zamarł z kolejnym kęsem uniesionym do ust, a po chwili opuścił widelec.

– Słyszałem każde słowo, które wymieniliście. Wiedziałem, że

dasz sobie radę sama, a jednak... – Włożył sobie do ust kawałek placka, przeżuł i przełknął. – A jednak uznałem, że gdybyś przyjęła jego propozycję, musiałbym sobie z tym poradzić. To byłby twój wybór.

Upiłam łyk wina.

– A gdyby mnie pochwycił siłą?

W jego oczach była tylko nieznosząca sprzeciwu wola.

– Wtedy rozdarłbym świat na strzępy, aby cię sprowadzić z powrotem.

Przeszył mnie zimny dreszcz. Nie mogłam oderwać od niego wzroku.

– Strzeliłabym do niego – wyszeptałam – gdyby spróbował cię skrzywdzić.

Nie przyznałam tego nawet sama przed sobą.

W oczach zalśnił mu dziwny błysk.

– Wiem.

Skończył jeść, odstawił tacę z pustymi już naczyniami w rogu pokoju, odwrócił się do mnie, dolał mi wina do pełna, po czym nalał też sobie. Był tak wysoki, że musiałam wychylić się i wyciągnąć rękę w jego stronę, aby nie uderzył głową w dach.

– Myśl za myśl – zaproponowałam. – Tylko proszę, bez żadnych ćwiczeń.

Zachichotał, opróżnił kieliszek i odstawił go na tacę. Potem przyglądał się, jak pociągam solidny łyk z mojego.

– Tak sobie myślę – powiedział, gdy oblizawałam dolną wargę – że gdy patrzę na ciebie, czuję się, jakbym umierał. Jakbym nie mógł zaczerpnąć oddechu. Myślę sobie, że pragnę cię tak bardzo, że przez sporą część czasu, gdy jestem przy tobie, nie mogę się skoncentrować, a ten pokój jest zbyt mały, abym mógł ci dać odpowiednią rozkosz. Zwłaszcza ze skrzydłami.

Serce na chwilę zamarło mi w piersi. Nie wiedziałam, co zrobić z rękami, nogami, twarzą. Dopiliśmy wino do końca i odstawiłam kieliszek na podłogę obok łóżka, usztywniając kręgosłup.

– A ja nie mogę przestać o tobie myśleć. Dzieje się tak już od dłuższego czasu. Było tak, nawet jeszcze zanim opuściłam Dwór Wiosny. I może jestem przez to zdradzieckim i załganym śmieciem,

ale...

– Nie jesteś – zaprzeczył z poważną twarzą.

Ale byłam. Przez te długie tygodnie między wizytami u Rhysa, marzyłam o tym, żeby się z nim zobaczyć. A kiedy Tamlin przestał odwiedzać moją sypialnię, nie przejęłam się tym. Tamlin odwrócił się ode mnie, ale ja też odwróciłam się od niego. I byłam z tego powodu załganym śmieciem.

– Powinniśmy pójść spać – wymamrotałam.

Przez dłuższą chwilę jedynym dźwiękiem w pokoju było bębnienie deszczu o dach.

– W porządku – powiedział.

Przezołgałam się po łóżku na część tuż pod pochyłym dachem i wślizgnęłam się pod koc. Zimny materiał owinał się wokół mnie niczym lodowata dłoń. Ale zadrzałam z zupełnie innego powodu, gdy materac się ugiął, koc poruszył i dwie świece stojące obok łóżka zgasły.

Ciemność uderzyła mnie w tej samej chwili, co ciepło bijące od jego ciała. Trudno było powstrzymać się od przesunięcia w jego stronę. Ale żadne z nas ani drgnęło.

Wpatrywałam się w mrok i wsłuchiwałam w rytm wybijany przez lodowaty deszcz, starając się wykraść jego ciepło.

– Dygoczesz tak mocno, że całe łóżko się trzęsie – powiedział.

– Mam mokre włosy – odparłam zgodnie z prawdą.

Rhys przez chwilę milczał. Po chwili materac jęknął i zapadł się bezpośrednio za mną, a ciepło Rhysanda zalało mnie całą.

– Nie obiecuj sobie za wiele – powiedział. – Tylko dzielę się ciepłem.

Skrzywiłam się na rozbawienie w jego głosie.

Jego szerokie dłonie wślizgnęły się pode mnie i nade mnie: jedna przylgnęła do mojego brzucha i przycisnęła mnie do jego twardego ciepła, druga zaś przesunęła się wzdłuż moich żeber i ramion, po czym objęła mnie i przycisnęła do jego piersi. Następnie splótł swoje nogi z moimi i cięższa, cieplejsza ciemność, pachnąca cytrusami i morzem, opadła miękko na nas.

Uniosłam dłoń ku tej ciemności i napotkałam miękki jedwabisty

materiał – jego skrzydło spowijające mnie jak kokon i ogrzewające. Przesunęłam po nim palcem; Rhys zadrzał i ścisnął mnie mocniej.

– Masz... bardzo zimny palec – wycedził przez zęby, a jego gorący oddech poczułam na moim karku.

Powstrzymałam uśmiech, chociaż jednocześnie odchyliłam głowę bardziej do tyłu, mając nadzieję, że ciepło jego oddechu znów popieści moją szyję. Przesunęłam palcem po skrzydle, drapiąc delikatnie paznokciem po jego gładkiej powierzchni. Rhys wyprężył się i rozcapierzył palce na moim brzuchu.

– Ty okrutna, wredna istoto – zamruczał i musnął nosem odsłoniętą skórę na mojej szyi. – Czy nikt nie nauczył cię dobrych manier?

– Nie wiedziałam, że Ilyrowie to takie wrażliwe dzidziusie – odparłam i przesunęłam drugim palcem po wewnętrznej stronie jego skrzydła.

Coś twardego napało na moje pośladki. Zalał mnie żar, a wszystkie mięśnie najpierw się naprężyły, a potem rozluźniły. Ponownie dotknęłam skrzydła, tym razem dwoma palcami, a Rhys zadrzał przyciśnięty do moich pleców.

Palce na moim brzuchu zaczęły powoli, leniwie krążyć. Zatoczył koło wokół mojego pępka; przysunęłam się do niego minimalnie, napierając na niego i wyginając się, aby jego druga dłoń mogła sięgnąć moich piersi.

– Łakoma – zamruczał, trzymając wargi tuż nad moją szyją. – Najpierw terroryzujesz mnie zimnymi dłońmi, a teraz chcesz... czego właściwie chcesz, Feyro?

„Więcej, więcej, więcej” – niemal go błagałam, gdy jego palce przesunęły się po krzywiznie moich piersi, a druga dłoń dalej leniwie gładziła mój brzuch, powoli – tak powoli – przesuwał się ku paskowi moich spodni i wzbierającemu pragnieniu poniżej.

Rhysand ukąsił mnie lekko w szyję w leniwej pieśczoście.

– Czego chcesz, Feyro?

Przygryzł płatek mojego ucha.

Zdusiłam okrzyk i wygięłam plecy w łuk, tak jakbym mogła w ten sposób przesunąć tę dłoń tam, gdzie jej pragnęłam. Wiedziałam, co Rhys chce, żebym odpowiedziała. Ale nie zamierzałam dać mu tej satysfakcji.

Jeszcze nie.

– Chcę czegoś, co odciągnie moje myśli – powiedziałam.

Brakowało mi tchu. – Chcę... się pobawić.

Jego ciało ponownie zeszywniało za mną.

Zastanawiałam się, czy może jednak nie przejrzał mojego kłamstwa, czy nie pomyślał... czy nie pomyślał, że to istotnie jest wszystko, czego od niego chcę.

Ale po chwili jego dłonie podjęły ponownie swoją wędrówkę.

– Zatem pozwól, że dam twoim myślom coś, czym mogłyby się zająć.

Wsunął dłoń w dekolt mojego swetra, pod materiał koszuli. Skóra o skórę, zgrubienia na jego dłoniach przesunęły się po mojej piersi i zatoczyły koło wokół sterczącego sutka, wydobywając ze mnie przeciągłe jęknięcie.

– Uwielbiam je – wyszeptał w mój kark, przesuwał dłoń do drugiej piersi. – Nawet nie wiesz, jak bardzo je uwielbiam.

Jęknęłam ponownie, gdy trącił knykciem sutek, i poddałam się jego dotykowi, błagając go bez słów. Był za mną twardy jak granit.

Poruszyłam pośladkami, wywołując łagodne, figlarne syknięcie.

– Przestań – warknął wprost w moją skórę. – Popsujesz *moją* zabawę.

Ani myślałam przestać. Zaczęłam więc się i sięgać za siebie, potrzebowałam chociaż go dotknąć, ale on tylko mlasnął językiem i silniej do mnie przylgnął, tak że nie miałam jak wcisnąć dłoni między nas.

– Chcę cię dotknąć pierwszy – powiedział głosem tak gardłowym, że ledwo go poznałam. – Tylko... pozwól mi się dotknąć.

Dla podkreślenia swoich słów przesunął dłonią po mojej piersi.

Jego prośba sprawiła wrażenie na tyle szczerzej, że przestałam, poddałam się mu, tej dłoni ponownie zataczającej leniwie koła na moim brzuchu.

„Nie mogę zaczerpnąć powietrza, kiedy na ciebie patrzę”.

„Pozwól mi się dotknąć”.

„Bo byłem zazdrosny i wkurzony...”.

„Jest moja”.

Odgoniłam te myśli, te kawałki, które mi dał.

Ponownie przesunął palec wzdłuż paska moich spodni, niczym kot bawiący się jedzeniem.

I jeszcze raz.

I jeszcze.

– Proszę – wykrztusiłam z siebie.

Uśmiechnął się z ustami przyciśniętymi do mojej szyi.

– A oto i twoje zapomniane dobre maniery.

Jego dłoń w końcu wsunęła się w spodnie. Pierwsze przesunięcie palcami wydobyło ze mnie głęboki jęk.

Parsknął z satysfakcją, gdy dotarł do wyczekującej go wilgoci, i krążył kciukiem w okolicach pachwiny, dręcząc mnie, ocierając się o wargi, ale nie docierając...

Drugą dłonią ścisnął delikatnie moją pierś, jednocześnie przesuwając kciuk dokładnie tam, gdzie go chciałam. Poruszyłam biodrami z głową już całkowicie opartą na jego ramieniu, dysząc ciężko, gdy trącił kciukiem...

Z gardła wyrwał mi się krzyk, a on się zaśmiał – nisko i łagodnie.

– Znaczy tak?

W odpowiedzi wydałam z siebie tylko jęk. „Więcej, więcej, więcej”.

Przesunął palce w dół, powoli i śmiało, prosto przez mój rdzeń, a każdy kawałek mojego ciała, moich myśli, mojej duszy zawęził się do uczucia jego palców, które trzymał nieruchomo, jak gdyby nigdzie się nie śpieszył, jak gdyby miał tyle czasu, ile by tylko zapragnął.

Drań.

– *Proszę* – jęknęłam ponownie i poruszyłam pośladkami dla podkreślenia swojej prośby.

Syknął głośno, gdy wsunął we mnie palec. Zaklął.

– Feyro...

Ale ja już się poruszałam na nim, a on przeklął ponownie i wypuścił powietrze w długim wydechu. Przycisnął usta do mojej szyi i z każdym pocałunkiem przesunął się wyżej, wyżej, coraz bliżej ucha.

Gdy wsunął we mnie drugi palec, wypełniając mnie tak całkowicie, że nie mogłam myśleć o niczym innym, że miałam trudności

z zaczerpnięciem tchu, jęknęłam tak głośno, że zagłuszyłam nawet deszcz.

– O, tak – wymruczał, krążąc ustami po moim uchu.

Miałam już dość, że tyle uwagi poświęcał mojej szyi i mojemu uchu. Obróciłam się tak, jak tylko zdołałam, i zobaczyłam, że patrzy na mnie, na swoją dłoń w moich spodniach, na moje ruchy na jego palcach.

Wciąż na mnie spoglądał, gdy pochwyciłam jego usta swoimi i ugryzłam go w wargę.

Jęknął i wepchnął palce głębiej. Mocniej.

Nie dbałam... nie dbałam w najmniejszym stopniu o to, czym byłam, kim byłam i gdzie byłam, poddając się mu całkowicie i otwierając szeroko usta. Jego język wdarł się do nich i poruszył w sposób, po którym poznałam, co potrafiłby zrobić, gdyby znalazł się między moimi nogami.

Jego palce wsuwały się i wysuwały, powoli i mocno, a cała moja jaźń zawężała się do tego uczucia, do tego napięcia we mnie rosnącego z każdym głębokim pchnięciem, każdym odbijającym się we mnie echem ruchem jego języka w moich ustach.

– Nie masz pojęcia, jak bardzo... – urwał i jęknął ponownie. – Feyro.

Dźwięk mojego imienia w jego ustach był moją zgubą. Pękła tama i deszcz pomknął wzdłuż mojego kręgosłupa. Krzyknęłam, a jego usta zakryły moje, tak jakby myślał, że zdoła pożreć dźwięk. Przesunął językiem po moim podniebieniu, a ja drżałam wokół niego, zaciskałam się mocno na nim. Zaklął jeszcze raz, dysząc ciężko, poruszając palcami w rytm ostatnich spazmów, aż opadłam bezwładnie, drżąc w jego ramionach.

Nie mogłam oddychać dość mocno, dość szybko, gdy Rhys wysunął palce i odchylił się, aby móc mi spojrzeć w oczy.

– Chciałem to zrobić na Dworze Koszmarów, kiedy poczułem, jaka jesteś wilgotna. Chciałem cię posiąść tam, na oczach wszystkich. Ale przede wszystkim chciałem zrobić to.

Nie odrywając swoich oczu od moich uniósł palce do ust i zaczął je ssać.

Zlizywać z nich mój smak.

Miałam ochotę pożreć go żywcem. Przesunęłam dłoń na jego pierś, aby pchnąć go na plecy, ale chwycił mnie za przegub.

– Kiedy będziesz mnie lizać – powiedział chrapliwym głosem – chcę być sam, z dala od wszystkich innych. Ponieważ kiedy będziesz mnie lizać, Feyro – powiedział, akcentując słowa drobnymi pocałunkami składanymi na mojej szczęce, na szyi – pozwolę sobie ryknąć tak głośno, że mój głos będzie zdolny skruszyć górę.

Momentalnie poczułam ponownie wilgoć między nogami, a on zaśmiał się bezgłośnie.

– A kiedy ja będę lizał *ciebie* – powiedział, obejmując mnie ramionami i przyciągając do siebie – chcę cię mieć rozłożoną na stole jako moją osobistą ucztę.

Zakwiliłam.

– Długo, bardzo długo myślałem nad tym, jak i gdzie chcę cię osiąść – powiedział Rhys w skórę mojej szyi.

Znów wsunął palce pod pasek moich spodni, ale zatrzymał je tuż za nim. Ich dom na ten wieczór.

– Nie chcę zrobić wszystkiego w jedną noc. Tym bardziej w pokoju, w którym nawet nie mogę cię pieprzyć opartej o ścianę.

Zadrzałam. Wciąż czułam jego twardość przyciśniętą do mnie. Musiałam go dotknąć, musiałam mieć całą jego imponującą długość we mnie...

– Śpij – powiedział.

Równie dobrze mógł mi kazać oddychać pod wodą.

Ale wtedy zaczął ponownie mnie gładzić – nie po to, by mnie pobudzić, lecz by ukoić – długimi delikatnymi ruchami po brzuchu, po bokach.

Sen ogarnął mnie szybciej, niż sądziłam.

I może to była zasługa wina, albo pokłósie rozkoszy, którą ze mnie wycisnęłam, ale tej nocy nie miałam ani jednego koszmaru.

Rozdział 49

Obudziłam się ciepła, wypoczęta i spokojna.

Bezpieczna.

Promienie słońca wlewały się do środka przez brudne okno i rozświetlały czerwień i złoto na ścianie skrzydła przed moimi oczami – gdzie były całą noc, osłaniając mnie przed zimnem.

Ramiona Rhysanda oplatały mnie, a on sam oddychał równo i głęboko. Wiedziałam, że dla niego spać snem tak głębokim i spokojnym jest również rzadkością.

To, co zrobiliśmy wieczorem...

Ostrożnie obróciłam się twarzą do niego. Jego ramiona zacisnęły się odrobinę mocniej, tak jakby chciał mnie w ten sposób powstrzymać od zniknięcia wraz z poranną mgłą.

Gdy oparłam głowę o jego rękę, miał już otwarte oczy. Leżeliśmy tak pod namiotem jego skrzydła i patrzyliśmy na siebie.

I zrozumiałam, że mogłabym z powodzeniem spędzić w ten sposób całą wieczność.

– Dlaczego zawarłeś ze mną tę umowę? – zapytałam cicho. – Czemu zażądałeś tygodnia z każdego miesiąca?

Zamrugął.

A ja bałam się sama przed sobą przyznać, czego oczekiwałam. Ale z pewnością nie tego, co po chwili powiedział.

– Ponieważ chciałem dać coś do zrozumienia Amarancie. Ponieważ chciałem wkurzyć Tamlina. I ponieważ musiałem utrzymać cię przy życiu w sposób, który nie zostałby uznany za miłosierny.

– Ach.

Mina mu stężała.

– Wiesz... wiesz, że nie ma niczego, czego bym nie zrobił dla mojego ludu, dla mojej rodziny.

A ja byłam pionkiem w tej grze.

Złożył skrzydła, a ja zamrugałam porażona jasnością rozmytego światła.

– Kąpiel czy bez kąpeli? – zapytał.

Wzdrygnęłam się na wspomnienie brudnej i śmierdzącej łazienki

piętro niżej. Nie uśmiechało mi się mycie w niej.

– Wolę się umyć w strumieniu – powiedziałam, tłumiąc wzbierające mdłości.

Rhys zaśmiał się cicho i stoczył z łóżka.

– No to zabierajmy się stąd.

Przez krótką chwilę zastanawiałam się, czy wszystkie wydarzenia z minionego wieczoru tylko mi się przyśniły. Po delikatnej, przyjemnej tkliwości między nogami wiedziałam, że nie, ale...

Może łatwiej będzie udawać, że nic się nie stało.

Alternatywa mogłaby okazać się dla mnie niemożliwa do zniesienia.

Lecieliśmy przez większość dnia, daleko na południe, w pobliże miejsca, gdzie zalesione równiny wznosiły się na spotkanie ilyryjskich gór. Nie rozmawialiśmy o minionej nocy. W zasadzie to nie rozmawialiśmy prawie w ogóle.

Kolejna polana. Kolejny dzień bawienia się moją mocą. Przywoływanie skrzydeł, przeskakiwanie, ogień, lód, woda i – teraz również – wiatr. Wichry i bryzy przemierzające szerokie doliny i pola pszenicy Dworu Dnia, aby potem porywać śnieg zalegający na najwyższych szczytach gór.

Czułam słowa wzbierające w nim z każdą mijającą godziną. Za każdym razem, gdy robiłam sobie przerwę, przyłapywałam go na obserwowaniu mnie. Na otwieraniu ust... i zamykaniu ich po chwili.

Przez pewien czas padało, po czym zrobiło się coraz zimniej i zimniej pod ciężkimi chmurami. Jeszcze ani razu nie zostaliśmy w lesie po zmroku i zastanawiałam się, jakie stwory mogą go przemierzać nocą.

Słońce już chyliło się ku zachodowi, gdy Rhys wziął mnie w ramiona i wzleciał ku chmurom.

Był tylko wiatr, ciepło potężnego Ilyra i grzmot jego mocarnych skrzydeł.

– O co chodzi? – zapytałam.

Nie odrywał wzroku od ciemnego sosnowego lasu przemykającego pod nami.

– Jest jeszcze jedna opowieść, którą musisz usłyszeć.

Czekałam. Nie powiedział nic więcej.

Położyłam dłoń na jego policzku – pierwszy czuły dotyk od samego rana. Jego skóra była zimna, a wzrok, który na mnie przeniósł, bez wyrazu.

– Nie odejdę... nie od ciebie – przyrzekłam cicho.

Spojrzenie mu złagodniało.

– Feyro...

Rhys ryknął z bólu i cały się wyprężył.

Poczułam uderzenie – poczułam oślepiający ból przez łączącą nas więź; ból, który przebił się przez moją tarczę. Poczułam wstrząs tuzina miejsc, w które ugodziły strzały wypuszczone z luków ukrytych wśród gałęzi drzew.

Po chwili już spadaliśmy.

Rhys trzymał mnie kurczowo, a jego magia wirowała wokół nas niczym czarny wiatr, przygotowując nas do przeskoczenia... bezskutecznie.

Bezskutecznie, ponieważ skrzydła przeszyły mu jesionowe strzały. Wytropili nas – wczoraj, tę odrobinę magii, której użył w spotkaniu z Lucieniem, w jakiś sposób *wytropili ją* i znaleźli nas nawet tak daleko...

Więcej strzał...

Rhys wyrzucił przed siebie swoją moc. Za późno.

Pociski darły jego skrzydła. Raniły nogi.

Chyba zaczęłam krzyczeć. Nie ze strachu, gdy mknęliśmy w dół na spotkanie ziemi, ale z obawy o niego – na widok krwi i zielonkawego połysku na grotach strzał. Nie tylko jesion, ale też trucizna...

Mroczny wiatr – jego moc – uderzyła mnie z wielką siłą i chwilę później leciałam daleko od Rhysanda, odepchnięta poza zasięg strzał, koziolkując w powietrzu...

Wściekły ryk Rhysa zatrzęsł lasem, górami w oddali. Ptaki zerwały się do lotu całymi stadami, umykając przed jego furją.

Uderzyłam w gęste gałęzie, moje ciało zawodziło z bólu, gdy przebijałam się przez drewno i igły. W dół i w dół...

„Skup się, skup się, skup się”.

Wyrzuciłam przed siebie falę tego twardego powietrza, które kiedyś osłoniło mnie przed szalem Tamlina. Wyrzuciłam je pode mnie jak sieć.

Zderzyłam się z niewidzialną ścianą tak twardą, że przez chwilę myślałam, że moja prawa ręka pęknie jak patyk.

Ale... przestałam lecieć między gałęziami.

W coraz głębszym mroku niemal nie mogłam dojrzeć znajdującego się trzydzieści stóp niżej gruntu.

Nie mogłam ufać, że ta tarcza utrzyma mnie w górze.

Ruszyłam w poprzek niej na czworakach, starając się nie patrzeć w dół i przeskoczyłam ostatnie kilka stóp dzielące mnie od grubej gałęzi sosny. Popelzłam pośpiesznie wzdłuż konara i uczepiłam się kurczowo pnia. Tkwiłam tak, dysząc ciężko, usiłując uporządkować myśli mimo bólu, przekonać samą siebie, że już nie grozi mi dalszy upadek.

Nasłuchiwałam – Rhysa, szumu jego skrzydeł, jego kolejnego ryku. Nic.

Ani śladu łuczników, na spotkanie których spadał. Od których odrzucił mnie daleko. Cała dygocząc, wbiłam paznokcie w korę i nasłuchiwałam.

Jesionowe strzały. Zatrute jesionowe strzały.

Las stawał się coraz ciemniejszy, drzewa zdawały się schnąć i przeistaczać w szkieletowe łupiny. Nawet ptaki zamilkły.

Wbiłam wzrok w swoją dłoń, w wytatuowane na niej oko, i posłałam w nie, przez łączącą nas więź, na oślepienie myśl. „Gdzie jesteś? Powiedz mi, a do ciebie przyjdę. Znajdę cię”.

Na drugim końcu więzi nie było czarnej jak atrament twardej ściany. Tylko nieskończony cień.

Jakieś istoty – wielkie, olbrzymie istoty – szeleściły w lesie.

„Rhysand”.

Bez odpowiedzi.

Zgasły ostatnie promienie światła.

„Rhysandzie, proszę”.

Żadnego dźwięku. A więź między nami... milcząca. Zawsze czułam, jak mnie chroni, uwodzi, śmieje się ze mnie po drugiej stronie mojej bariery. A teraz... wszystko zniknęło.

Z oddali dobiegło gardłowe wycie, niczym trące o siebie kamienie. Całe ciało pokryła mi gęsia skórka. Nigdy nie zostawaliśmy w tych lasach po zachodzie słońca.

Wzięłam kilka uspokajających oddechów i nałożyłam jedną z ostatnich strzał na cięciwę.

Na ziemi w dole coś smukłego i ciemnego przemknęło w ciemności. Ściółka leśna zachrzęściła pod olbrzymimi łapami uzbrojonymi w ostre jak igły pazury.

Coś zaczęło krzyczeć. Wysoko, w panice. Tak jakby było właśnie rozrywane na strzępy. Nie Rhys – coś innego.

Znów zaczęłam dygotać. Grot mojej strzały migotał, trzęsąc się razem ze mną.

„Gdzie jesteś, gdzie jesteś, gdzie jesteś...?”

„Pozwól mi się znaleźć, pozwól mi się znaleźć, pozwól mi się znaleźć”.

Zdjęłam strzałę z cięciwy. Nawet najmniejszy błysk światła mógł mnie wydać.

Ciemność była moim sprzymierzeńcem; ciemność mogła mnie osłonić.

Za pierwszym razem, gdy udało mi się przeskoczyć, pomógł mi gniew – tak samo za drugim razem.

Rhys był ranny. Oni go *skrzywdzili*. Strzelali do niego. A teraz... Teraz...

To nie gorący gniew przelewał się przeze mnie.

To było coś przedwiecznego, zamarzniętego i tak rozjuszonego, że wszystkie moje zmysły wyostrzyły się niczym brzytwa.

Gdybym chciała go wytropić, gdybym chciała dotrzeć w miejsce, gdzie go po raz ostatni widziałam... Stałabym się częścią ciemności.

Biegłam wzdłuż gałęzi, gdy coś przedarło się przez pobliskie krzaki, warcząc i sycząc. Jednak ja owinęłam się dymem i blaskiem gwiazd i przeskoczyłam z końca mojej gałęzi na konar sąsiedniego drzewa. Stwór pode mną zawył, ale ja już nie poświęcałam mu uwagi.

Byłam nocą. Byłam wiatrem.

Z drzewa na drzewo – przeskakiwałam tak szybko, że bestie krążące po ziemi między pniami drzew ledwie rejestrowały moją

obecność. A gdybym zdołała wykształcić pazury i skrzydła... Mogłam też zmienić swoje oczy.

Polowałam o zmroku dość często, aby zaobserwować, jak działają oczy zwierząt, jak lśnią.

Spokojna komenda sprawiła, że moje źrenice poszerzyły się, zmieniły i przez chwilę nic nie widziałam. Ponownie przeskoczyłam między drzewami, pobiegłam po grubym konarze i przeskoczyłam przez powietrze na następną gałąź...

Wylądowałam i nocny las się rozjaśnił. A istoty krążące po ziemi w dole... Nie patrzyłam na nie.

Nie, całą swoją uwagę skupiałam na przeskakiwaniu między drzewami, aż dotarłam na skraj miejsca, skąd nas zaatakowano, bez przerwy pociągając za więź, szukając znajomej ściany na jej drugim końcu. Wtem...

W gałęzi wysoko nade mną tkwiła wbita strzała. Przeskoczyłam na szeroki konar.

Gdy szarpnęłam za jesionowy promień, poczułam, jak moje nieśmiertelne ciało drży w zetknięciu z nim. Z ust wyrwał mi się cichy warkot.

Nie potrafiłam sobie przypomnieć, ile strzał trafiło Rhysa. Przed iloma mnie osłonił – własnym ciałem.

Włożyłam pocisk do kołczanu i ruszyłam dalej, zataczając krąg, aż dostrzegłam błysk grotu na zasłanej igliwiem ziemi.

Zdało mi się, że gdy przeskoczyłam w stronę, z której została wystrzelona strzała, pozostawiłam za sobą lśniąca warstewkę szronu. Znalazłam kolejną strzałę, i jeszcze jedną. Zbierałam wszystkie.

Aż znalazłam miejsce, w którym gałęzie było połamane i strzaskane. W końcu poczułam zapach Rhysa, a drzewa wokół mnie zalśniły od lodu, gdy dostrzegłam jego krew na konarach, na ziemi.

I wszędzie dokoła jesionowe strzały.

Tak jakby wpadł prosto w zasadzkę, tak jakby wypuścili w niego setki pocisków, zbyt szybkich, aby zdołał je wykryć czy ich uniknąć. Zwłaszcza gdy był rozproszony moją obecnością. Cały dzień.

Przeskakiwałam z miejsca na miejsce, aby nie pozostać zbyt długo w jednym położeniu na ziemi, żeby te krążące w okolicy stwory nie

zwęszyły mnie.

Udało mi się ustalić, że Rhys odniósł spore obrażenia wskutek upadku. I musieli go odciągnąć. W pośpiechu.

Próbowali zatrzeć ślad krwi, ale nawet bez jego myśli przemawiających do mnie potrafiłabym wszędzie poznać ten zapach. Wszędzie wyczułabym ten zapach.

Może i byli dobrzy w zacieraniu śladów, ale ja byłam lepsza od nich.

Kontynuowałam łowy, teraz z jesionową strzałą nałożoną na cięciwę, odczytując tropy.

Odciągały go co najmniej dwa tuziny napastników, chociaż w ataku brało udział jeszcze więcej. Pozostali przeskoczyli gdzie indziej, zostawiając tu tylko grupkę ciągnącą go w stronę gór – do kogoś, kto na niego czekał.

Poruszali się szybko. Zagłębiali się coraz bardziej w las, podążając ku uśpionym olbrzymom ilyryjskich gór. Cały szlak byłznaczony jego krwią. I to ona mówiła mi, że wciąż żyje. Był żywy, chociaż rany się nie zasklepiały... Jesionowe strzały dobrze się sprawdziły.

Jednego z podwładnych Tamlina powaliłam jednym celnie poślany takim pociskiem. Starłam się nie myśleć o tym, co cała ich chmara potrafiła zdziałać. Jego ryk bólu wciąż dudnił mi w uszach.

I przez tę bezlitosną nieugiętą wściekłość zdecydowałam, że jeśli Rhys okaże się martwy, jeśli jego ran nie będzie już można uleczyć... Nie dbałam o to, kim byli i dlaczego to zrobili.

Wszyscy zginą.

Część śladów oddzieliła się od głównej grupy – zapewne zwiadowcy wysłani na poszukiwanie miejsca na nocleg. Zwolniłam tempo kolejnych przeskoków, uważnie śledząc ich trop. Grupa rozdzieliła się na dwie mniejsze, tak jakby chcieli ukryć cel swojej wędrówki. Zapach Rhysa wyczuwałam na obu ścieżkach.

Jedni musieli zabrać jego ubranie. Wiedzieli, że będę ich tropiła, widzieli mnie z nim. Wiedzieli, że za nim ruszę. Pułapka – to była najpewniej pułapka.

Przystanąłam na konarze wysoko na drzewie rosnącym w miejscu, gdzie ślady się rozchodziły, i spojrzałam w dół. Jedna grupa ruszyła

dalej w góry. Druga poszła wzdłuż ich podnóża.

Góry były terenem Ilyrów – ryzykowałiby wykrycie przez jeden z patroli. Założyli zapewne, że nie posądzałabym ich o taką głupotę, by tam pójść. Założyli raczej, że podejrzewam ich o trzymanie się niestrzeżonego, niepatrolowanego lasu.

Rozważyłam możliwości, wężąc w obu kierunkach.

Zapomnieli o nikłym drugim zapachu, który był spleciony z jego wonią.

Nie chciałam o tym myśleć, gdy przeskakiwałam na wyścigi z wiatrem w stronę śladów prowadzących w góry. Nie chciałam myśleć o tym, że na Rhysie był jeszcze *mój* zapach, wciąż trzymający się go po minionej nocy. Rano zmienił ubranie, ale woń na jego skórze... Bez kąpieli wciąż tam była.

Zatem przeskakiwałam ku niemu, *ku sobie*. A gdy u stóp góry dojrzałam wąskie wejście do jaskini i dobiegający z niego ledwo zauważalny blask... Zatrzymałam się.

Trzasnął bicz.

Wszystkie słowa, myśli i uczucia błyskawicznie mnie opuściły. Kolejny trzask... i jeszcze jeden.

Przewiesiłam łuk przez ramię i wyciągnęłam drugą jesionową strzałę. Szybko związałam ze sobą oba promienie tak, że na obu końcach lśnił ostry grot. Powtórzyłam ten zabieg z kolejnymi dwoma pociskami. Gdy skończyłam, gdy przyjrzałam się bliźniaczym improwizowanym sztyletom w moich dłoniach, gdy ponownie trzasnął bicz...

Przeskoczyłam do jaskini.

Wybrali taką, która za wąskim wejściem rozszerzała się w przestronny, wijący się tunel. Obóz rozbili za zakrętem, aby uniknąć wykrycia.

Wartownicy przy wejściu – dwóch fae wysokiego rodu, których nie rozpoznawałam w zbrojach bez żadnych oznaczeń – nie zauważyli mnie.

Dwóch kolejnych patrolowało jaskinię i obserwowało wejście.

Pojawiłam się i zniknęłam, zanim zdążyli mnie zobaczyć.

Przeskoczyłam za róg, prześlizgując się przez czas, naginając go, i moje przystosowane do widzenia w nocy oczy zabolowały od nagłej jasności.

Przywróciłam swoje naturalne źrenice i przeskoczyłam między jednym

mrugnięciem a drugim, mijając kolejnych dwóch strażników.

A gdy zobaczyłam pozostałą czwórkę w głębi jaskini, niewielkie ognisko i to, co już mu zrobili... Naparłam na łączącą nas więź, niemal wybuchając płaczem, gdy natrafiłam na ścianę adamantu... Ale za nią niczego nie było. Tylko cisza.

Wykorzystali dziwne niebieskawe łańcuchy zamocowane do przeciwległych ścian jaskini, aby trzymać go w pozycji wyprostowanej z rozpostartymi ramionami. Wisiał na nich bezwładnie. Jego plecy przypominały poszatkowany połec mięsa. A skrzydła...

Wciąż tkwiły w nich jesionowe strzały. Siedem strzał.

Nie widziałam jego twarzy, tylko po krwi ściekającej mu po skórze mogłam się domyślać, że jeszcze żyje.

I to wystarczyło – wystarczyło, żebym wybuchnęła.

Przeskoczyłam do dwójki strażników trzymających bicze.

Pozostali krzyknęli, gdy przeciągnęłam swoimi improwizowanymi jesionowymi sztyletami w poprzek ich gardeł, głęboko i mocno, tak jak to robiłam niezliczenie wiele razy na polowaniu. Raz, dwa – i już leżeli na ziemi, a bicze znieruchomiały. Zanim inni strażnicy zdążyli mnie zaatakować, przeskoczyłam do tych stojących najbliżej mnie.

Krew trysnęła.

Przeskok, cios. Przeskok, cios.

Te skrzydła... te piękne potężne skrzydła...

Strażnicy strzegący wejścia do jaskini przybiegli na pomoc kompanom.

Zginęli jako ostatni.

Krew na moich rękach sprawiała wrażenie innej niż wtedy pod Górą. Tą... się rozkoszowałam. Krew za krew. Za każdą kroplę, którą utoczyli jemu.

Gdy zamilkły ostatnie echa ich krzyków, w jaskini zaległa cisza. Przeskoczyłam przed Rhysa, wsuwając zakrwawione jesionowe sztylety za pas. Ujęłam jego twarz w dłonie. Błada... zbyt blada.

Ale powieki minimalnie drgnęły i Rhys jęknął.

Nie mówiłam nic, tylko skoczyłam do utrzymujących go łańcuchów, starając się nie patrzeć na krwawe ślady dłoni, które na nim pozostawiłam. Łańcuchy sprawiały wrażenie wykonanych z lodu –

z czegoś gorszego od lodu. Były nienaturalne. Przewyciężyłam ból i odrazę, a także słabość, która nagle mnie uderzyła i przeszła silnym dreszczem, i uwolniłam jego przegub.

Upadł kolanami na skaliste podłoże tak gwałtownie, że aż się skrzywiłam, ale pośpieszyłam do drugiej ręki wciąż wyciągniętej w górę. Krew spływała po jego plecach, po torsie, zbierała się w dolinach między jego mięśniami.

– Rhys – wyszeptałam.

Niemal sama upadłam na kolana, gdy wyczułam mignięcie za mentalnymi tarczami, tak jakby ból i wyczerpanie osłabiły je do membrany cienkiej jak szyba w oknie. Jego skrzydła, podziurawione strzałami, pozostały rozpostarte – tak boleśnie sztywne, że ponownie skrzywiłam się odruchowo.

– Rhys, musimy przeskoczyć do domu.

Ponownie rozwarł nieco powieki.

– Nie... mogę – wykrztusił.

Ta trucizna na grotach strzał... zatem jego magia, jego siła... Ale nie mogliśmy tutaj zostać, gdy w okolicy była druga grupa napastników.

– Zaczekaj – powiedziałam i chwyciłam jego dłoń, po czym rzuciłam nas w noc i dym.

Przeskakiwanie było teraz dużo trudniejsze, tak jakby jego ciężar, cała jego moc ciążyły mi kulą u nogi. Przypominało to brnięcie przez błoto, ale skupiłam się na lesie, na jaskini za zasłoną mchu, którą wypatrzyłam wcześniej, gdy gasiłam pragnienie, ukrytej w zboczu rzecznej kotliny. Zajrzałam do niej i nie znalazłam niczego poza zbutwiały kolkami. Była bezpieczna, chociaż bardzo zawilgocona. Zawsze to lepsze od przebywania pod gołym niebem – nasza jedyna opcja.

Każda mila okupiona była olbrzymim wysiłkiem. Ale nie puszczałam jego ręki, z przerażeniem myśląc, że gdybym to zrobiła, pozostałbym gdzieś, gdzie mogłabym go już nigdy nie znaleźć, i... I dotarliśmy w końcu do celu, do tej małej jaskini, a on jęknął z niewyobrażalnego bólu, gdy upadliśmy na mokrą skałę.

– Rhys – zwróciłam się do niego błagalnym głosem, potykając się w mroku, nieprzeniknionej ciemności, ale z tymi stworami krążącymi po

lesie nie chciałam ryzykować rozpalenia ognia...

Był przemarznięty i wciąż krwawił.

Ponownie przekształciłam swoje oczy i na widok jego ran ścisnęło mnie w gardle. Ze śladów po biczach na jego plecach wciąż sączyła się krew, ale skrzydła...

– Muszę wyjąć te strzały.

Jęknął ponownie i zaparł się rękami o podłoże. Patrzenie na niego w takim stanie, niezdolnego nawet rzucić ironicznej uwagi czy posłać mi szelmowski uśmiezek...

Podeszłam do jego skrzydła.

– To zaboli.

Zacisnęłam zęby i przyjrzałam się strzałom tkwiącym w tej pięknej membranie. Trzeba było przełamać je na pół i wyciągnąć oba kawałki w przeciwną stronę.

Nie, nie przełamać. Będę musiała je przeciąć – powoli, ostrożnie, delikatnie, aby żadne odłamki czy zadry nie spowodowały jeszcze większych zniszczeń. Kto wie, co by się stało, gdyby w skrzydle została jesionowa drzazga?

– Zrób to – wydyszał chrapliwie.

Strzał było siedem: trzy w jednym skrzydle i cztery w drugim. Z jakiegoś powodu wyjęli te, które utkwily w jego nogach – te rany zdążyły się już częściowo zasklepić.

Krew skapywała na podłogę jaskini.

Wyjęłam nóż z pochwy na udzie, przyjrzałam się uważnie otworowi wlotowemu i łagodnie złapałam promień strzały. Syknął głośno. Znieruchomiałam.

– Zrób to – powtórzył i zaparł się o ziemię dłońmi zaciśniętymi w pięści aż do pobielenia knykci.

Przyłożyłam ząbkowaną część ostrza noża do strzały i poczęłam piłować najdelikatniej, jak tylko mogłam. Przesączone krwią mięśnie na jego grzbiecie poruszyły się i zeszywniały, a jego oddech stał się chrapliwy i nierówny. Zbyt powoli, robiłam to zbyt powoli. Ale jeśli będę piłowała gwałtowniej, mogę go skrzywdzić jeszcze bardziej, mogłabym uszkodzić to wrażliwe skrzydło.

– Czy wiedziałeś – powiedziałam, aby zagłuszyć odgłos piłowania

– że pewnego lata, gdy miałam siedemnaście lat, Elaina kupiła mi trochę farb? Miałyśmy akurat dość pieniędzy, aby móc sobie pozwolić na odrobinę zbytków, kupiła więc prezenty dla mnie i dla Nesty. Nie starczyło jej na kompletny zestaw, ale wręczyła mi czerwoną, niebieską i żółtą. Wykorzystałam je do ostatniej kropli, rozprowadzając je tak cienko, jak tylko mogłam, i namalowałam drobne dekoracje w naszej chacie.

Jego oddech zadrżał, gdy w końcu przepiłowałam promień strzały. Nie ostrzegłam go, co będę robić, i wyciągnęłam drugą połowę jednym płynnym ruchem.

Zaklął, cały się wyprężył, krew trysnęła z rany... i przestała płynąć.

Niemal odetchnęłam z ulgą. Zajął się kolejną strzałą.

– Pomalowałam stół, szafki, framugę drzwi... Miałyśmy w pokoju taką starą czarną komodę, po jednej szufladzie na każdą z nas. Nie potrzebowałyśmy więcej, bo i tak nie miałyśmy zbyt wielu ubrań.

Drugą strzałę przepiłowałam szybciej. Tym razem Rhys przygotował się na wyszarpięcie jej. Krew popłynęła, a po chwili rana się zasklepiła. Przeszłam do trzeciej.

– Na szufladzie Elainy namalowałam kwiaty – powiedziałam, piłując bez wytchnienia. – Drobne różyczki, begonie, irysy. A dla Nesty...

Końcówka strzały upadła ze stukiem na ziemię i szybko wyszarpiłam część z grotem.

Przyglądałam się, jak krew wypływa z rany i ustaje, jak Rhys powoli opuszcza skrzydło na ziemię, drżąc na całym ciele.

– Dla Nesty – podjęłam opowieść, przechodząc do drugiego skrzydła – namalowałam płomienie. Zawsze była zdenerwowana, ciągle płonęła. Sądzę, że szybko by się zaprzyjaźniły z Amreną. Sądzę, że jak na ironię polubiłaby Velaris. I sądzę, że Elaina... że Elainie też by się tam spodobało. Chociaż pewnie trzymałaby się Azriela, żeby mieć choć trochę spokoju.

Uśmiechnęłam się na tę myśl – na to, jak dobrze by ze sobą wyglądali. Jeśli małomówny wojownik przestałby się potajemnie podkochiwać w Mor. Wątpiłam w to. Azriel będzie kochał Mor, aż

pozostanie po nim jedynie smużka ciemności między gwiazdami.

Skończyłam z czwartą strzałą i przeszłam do piątej.

– Co namalowałaś dla siebie – wydyszał chrapliwie w skałę pod sobą.

Wyciągnęłam piątą strzałę i przeszłam do szóstej.

– Nocne niebo.

Znieruchomiał.

– Namalowałam gwiazdy, księżyc, chmury i po prostu bezkresne ciemne niebo. – Skończyłam z szóstą strzałą i zajęłam się kolejną. Przepiłowałam połowę promienia, zanim odezwałam się ponownie: – Nigdy nie wiedziałam, dlaczego właściwie to zrobiłam. Rzadko wychodziłam na dwór w nocy. Zwykle byłam tak zmęczona polowaniem, że chciałam się tylko położyć spać. Ale teraz się zastanawiam... – Wyciągnęłam siódmą i ostatnią strzałę. – Zastanawiam się, czy gdzieś w środku przeczuwałam, co na mnie czeka. Że nigdy nie będę łagodną ogrodniczką ani kimś płonącym jasnym płomieniem, ale że będę kimś cichym, wytrwałym i złożonym jak noc. Że wydam się piękna tym, którzy będą wiedzieli, na co zwrócić uwagę, a jeśli z lęku nie będą chcieli nawet spojrzeć... O tych nie dbam. Zastanawiam się, czy nawet w rozpacz i beznadziejności tak naprawdę nigdy nie byłam sama. Zastanawiam się, czy szukałam tego miejsca, was wszystkich.

Krew przestała płynąć i drugie skrzydło opadło na ziemię. Powoli rozcięcia po ciosach biczami zaczęły się zasklepiać. Obeszłam go dokoła. Klęczał pochylony nad ziemią, z dłońmi opartymi na skale.

Uniósł głowę. Przepelnione bólem oczy, blade wargi.

– Uratowałaś mnie – wychrypiał.

– Później mi wyjaśnisz, kim oni byli.

– Zasadzka – powiedział mimo to, szukając spojrzeniem śladów obrażeń na mojej twarzy. – Żołnierze Hybernii z przedwiecznymi łańcuchami otrzymanymi od samego króla, aby zneutralizować moją moc. Musieli wysledzić magię, której użyłem wczoraj... Przepraszam.

Słowa opuszczały bezładnie jego usta. Odsunęłam mu włosy z twarzy. To dlatego nie mogłam użyć łączącej nas więzi, przemówić bezpośrednio do jego myśli.

– Odpocznij – powiedziałam i odwróciłam się w stronę plecaka,

aby poszukać koca.

Będzie musiał wystarczyć. Rhys chwycił mnie za przegub dłoni, zanim zdołałam wstać. Miał zamknięte powieki. Świadomość wyrywała się z niego – zbyt szybko. Zbyt szybko i zbyt mocno.

– Ja ciebie też szukałem – wymamrotał. I stracił przytomność.

Rozdział 50

Leżałam obok niego, dając mu tyle ciepła, ile tylko mogłam, całą noc obserwując wejście do jaskini. Leśne bestie przechodziły pod nią w nieskończonej paradzie, a ich warknięcia i syki ucichły dopiero ze wsączającą się w świat szarością przedświt.

Gdy rozmyte promienie słońca pomalowały ściany jaskini, Rhys wciąż był nieprzytomny, a jego skóra cała się lepiała. Obejrzałam jego rany i odkryłam, że goiły się bardzo powoli i sączyła się z nich oleista wydzielina.

Gdy zaś przyłożyłam dłoń do jego czoła, aż zakląłam. Było gorące. Groty strzał zawierały truciznę. I ta trucizna pozostała w jego ciele.

Obóz Ilyrów znajdował się zbyt daleko, abyśmy zdołali do niego dotrzeć dzięki mojej mocy, wyczerpanej po wydarzeniach minionej nocy.

Jeśli użyli tych strasznych łańcuchów, by zneutralizować jego moc, jesionowych strzał, by go sprowadzić na ziemię, to ta trucizna...

Minęła godzina. Jego stan nie uległ poprawie. Jego złocista skóra była blada... coraz bledsza. Oddychał bardzo płytko.

– Rhys – przemówiłam do niego łagodnie.

Nie poruszył się. Spróbowałam nim potrząsnąć. Gdyby mógł mi powiedzieć, co to była za trucizna, może zdołałabym znaleźć coś, co by mu pomogło... Nie obudził się.

Około południa panika ścisnęła mi serce.

Nie miałam żadnej wiedzy na temat trucizn czy odtrutek. A tutaj, tak daleko od kogokolwiek... Czy Kasjan wyśledzi nas na czas? Czy Mor do nas przeskoczy? Raz po raz usiłowałam ocucić Rhysa.

Trucizna wciągnęła go głęboko w objęcia nieświadomości. Nie miałam zamiaru ryzykować oczekiwania na przybycie pomocy.

Nie miałam zamiaru ryzykować jego życie.

Owinęłam go więc w jak najwięcej warstw, chociaż zachowałam swój płaszcz, złożyłam pocałunek na jego czole i wyszłam z jaskini.

Znajdowaliśmy się zaledwie kilkaset jardów od miejsca mojego polowania minionej nocy. Staralam się nie patrzeć na ślady bestii, które tędy przechodziły, tuż nad nami. Olbrzymie, straszliwe ślady.

To, na co miałam zamiar zapolować, było od nich gorsze.

Bieżącą wodę miałam już pod ręką, zatem przygotowałam pułapkę nieopodal. Zastawiałam sidła dłońmi, którym nie pozwalałam na drzenie.

W środku pętli położyłam płaszcz – prawie nowy, kosztowny i przepiękny. I czekałam.

Godzinę. Dwie.

Już miałam zacząć składać obietnice Kotłowi, Matce, kiedy w lesie zaległa złowroga, jakże znajoma cisza.

Sunęła ku mnie; ptaki przerwały swój śpiew, wiatr przestał wzdychać między sosnami.

Gdy w lesie poniósł się echem głośny trzask, a zaraz po nim rozległ się ryk, który wwiercił mi się w uszy, założyłam strzałę na cięciwę i ruszyłam na spotkanie suriela.

Był równie przerażający, jakim go zapamiętałam:

Podarte łachmany ledwo okrywające ciało pokryte nie skórą, ale czymś, co wyglądało na twardą, zmatowiałą kość. Z pozbawionych warg ust straszyły zbyt wielkie zęby, a jego palce – długie i cienkie – stukały o siebie, badając płaszcz położony w środku sideł, tak jakby został tam zanieiony wiatrem.

– Feyra Wyzwolicielka – powiedział stwór, obracając się ku mnie, głosem brzęącym, jakby jednocześnie mówiło wiele istot.

Opuściłam łuk.

– Jesteś mi potrzebny.

Czas... miałam coraz mniej czasu. Czulałam to, te ponaglenia, bym się pośpieszyła, pulsujące wzdłuż więzi.

– Cóż za fascynujące zmiany przyniósł ten rok tobie... światu – powiedział suriel.

Rok. Tak, minął już ponad rok, odkąd po raz pierwszy przekroczyłam mur.

– Mam pytania – powiedziałam.

Uśmiechnął się, ukazując cały komplet przebarwionych, zbyt wielkich brązowych zębów.

– Masz dwa pytania.

Odpowiedź i zarazem rozkaz.

Nie miałam czasu, nie z Rhysem leżącym w jaskini w lesie, który mógł być pełny polujących na nas wrogów.

– Jaką truciznę nałożono na te strzały?

– Zgubę krwi – odparł suriel.

Nie znałam tej trucizny... nigdy o niej nawet nie słyszałam.

– Gdzie znajdę odtrutkę?

Stwór zaklekotał kościanymi palcami, tak jakby odpowiedź kryła się w tym dźwięku.

– W tym lesie.

Syknęłam i zmarszczyłam groźnie brwi.

– Proszę... proszę, odpowiadaj jaśniej. *Co* jest odtrutką?

Suriel przechylił głowę. Kość zalśniła w promieniach słońca.

– Twoja krew. Daj mu swoją krew, Wyzwolicielko. Jest przesycona darem leczenia księcia Świtu. Ocali go od gniewu zguby krwi.

– Tylko tyle? – nie dawałam za wygraną. – *Ile* tej krwi?

– Wystarczy kilka solidnych łyków. – Moją twarz owiał pusty, suchy wiatr, niepodobny do chłodnych powiewów pchających mgłę po lesie. – Pomogłem ci wtedy. Pomogłem i teraz. Uwolnisz mnie, zanim stracę cierpliwość, Wyzwolicielko.

Jakaś pierwotna pozostałość człowieka we mnie zadrżała, gdy spojrzałam na pętlę zaciśniętą wokół nóg stwora i utrzymującą go w miejscu. Może tym razem suriel pozwolił się złapać. I wiedział, jak się uwolnić – dowiedział się wtedy, gdy ocaliłam go od nag.

Próba... honoru. I przysługa. Za strzałę, którą wystrzeliłam rok temu, aby go uwolnić.

Założyłam jesionową strzałę na cięciwę, krzywiąc się na widok trucizny połyskującej na grocie.

– Dziękuję za pomoc – powiedziałam i przygotowałam się do ucieczki na wypadek, gdyby stwór się na mnie rzucił.

Przebarwione zęby suriela zastukały o siebie.

– Jeśli chcesz przyśpieszyć dochodzenie swojego towarzysza do zdrowia, to poza swoją krwią daj mu pędy rośliny o różowych kwiatach rosnącej na brzegu rzeki. Niech je żuje.

Wystrzeliłam strzałę w sidła, zanim na dobre przetrawiłam jego słowa.

Lina została przecięta. Wtedy dotarło do mnie znaczenie jednego ze słów, które właśnie usłyszałam.

Towarzysza.

– Co powiedziałaś?

Suriel wyprostował się na całą swoją wysokość, górując nade mną nawet mimo dzielącej nas odległości. Dotąd nie zdawałam sobie sprawy, że oprócz kości miał też takie mięśnie – potężne.

– Jeśli chcesz... – Stwór zawiesił głos i uśmiechnął się szeroko, ukazując niemal wszystkie te mocne brązowe zęby. – Zatem nie wiedziałaś.

– Wyrzucić to z siebie – wycedziłam przez zęby.

– Książę Dworu Nocy jest twoim towarzyszem.

Nie byłam pewna, czy pamiętałam o oddychaniu.

– Ciekawe – stwierdził suriel.

Towarzyszem.

Towarzyszem.

Towarzyszem.

Rhysand był moim towarzyszem.

Nie kochankiem, nie mężem, czymś więcej. Łączyła nas więź tak potężna, tak trwała, że była czczona ponad wszystkie inne. Rzadka, hołubiona.

Nie byłam towarzyszką Tamlina.

Lecz Rhysanda.

„Bo byłem zazdrosny i wkurzony...”.

„Jesteś moja”.

– Czy on wie? – zapytałam cicho przez ściśnięte gardło.

Suriel ścisnął materiał swojego nowego płaszcza w kościanych palcach.

– Tak.

– Od dawna?

– Tak. Odkąd...

– Nie. On może mi to powiedzieć... chcę to usłyszeć z jego ust.

Stwór przechylił głowę.

– Jesteś... rozmyta, czujesz zbyt wiele i zbyt szybko. Nie potrafię cię odczytać.

– W jaki sposób mogę być jego towarzyszką?

Towarzysze byli sobie równi – dopasowani, przynajmniej pod pewnymi względami.

– Jest najpotężniejszym księciem, który chodził po tym świecie. Ty jesteś... czymś nowym. Zostałaś stworzona przez wszystkich siedmiu książąt. Niepodobna do niczego innego. Czyż nie jesteście do siebie podobni właśnie dlatego? Czyż nie jesteście dopasowani?

Towarzyszem. I on to wiedział – *wiedział*.

Spojrzałam w stronę rzeki, jakbym mogła zobaczyć stąd jaskinię, w której spał Rhysand.

Gdy wróciłam wzrokiem w miejsce, gdzie stał suriel, jego już tam nie było.

Znalazłam roślinę o różowych kwiatach, wyrwałam ją z ziemi i wróciłam do jaskini.

Szczęśliwie Rhys był częściowo przytomny. Warstwy ubrań, którymi go przykryłam, leżały rozrzucone po kocu. Gdy weszłam do jaskini, uśmiechnął się do mnie blado.

Cisnęłam w niego pędem, obsypując nagi tors grudkami ziemi.

– Masz, żuj.

Zamrugął niezbyt przytomnie.

Towarzyszem.

Ale posłuchał mnie: przyjrzał się roślinie spod zmarszczonych brwi, po czym oderwał kilka liści i zaczął żuć. Przy przełykaniu skrzywił się. Zdarłam z siebie kurtę, podwinęłam rękaw i podeszłam do niego. Wiedział i ukrywał to przede mną.

Czy pozostali też wiedzieli? Domyślili się?

On... on mi obiecał, że nie będzie mnie okłamywał, że nie będzie przede mną niczego ukrywał.

A to... najważniejsza rzecz w moim nieśmiertelnym życiu...

Przecięłam sobie nożem skórę na przedramieniu, zatapiając ostrze głęboko w ciało, po czym opadłam przed nim na kolana. Nie czułam

bólu.

– Pij. *Teraz*.

Rhys ponownie zamrugał, uniósł pytająco brwi, ale nie dałam mu okazji na wyrażenie sprzeciwu, tylko chwyciłam go za potylicę, uniosłam ramię do jego ust i przycisnęłam jego twarz do mojej skóry.

Zawahał się, gdy dotknął ustami mojej krwi, aby po chwili rozsunąć wargi, oblizać skórę i zacząć ssać. Jeden solidny łyk. Dwa. Trzy.

Oderwałam rękę od jego ust – rana już zaczynała się zasklepić – i opuściłam rękaw.

– Nie wolno ci zadawać żadnych pytań – oznajmiłam.

Spojrzał na mnie z wyczerpaniem i bólem wypisanymi na twarzy, z moją krwią lśniąca na ustach. Po części nienawidziłam się za te słowa, za zachowywanie się w ten sposób, gdy on był ranny, ale nie zważałam na to.

– Masz tylko odpowiadać na moje. Nic więcej.

Wzrok zalała mu podejrzliwość, ale skinął głową, i włożył do ust kolejny kawałek rośliny i zaczął żuć.

Patrzyłam na niego z góry – na półkrwi Ilyra, którego dusza była nierozzerwalnie związana z moją.

– Od kiedy wiesz, że jestem twoją towarzyszką?

Znieruchomiał. Cały świat zamarł.

Przełknął.

– Feyro.

– Od kiedy wiesz, że jestem twoją towarzyszką?

– Czy... złapałaś suriela?

Miałam gdzieś, jak do tego doszedł.

– Powiedziałam, że nie wolno ci zadawać żadnych pytań.

Po jego twarzy przemknęła chyba panika. Włożył do ust kolejne kilka liści, tak jakby to miało natychmiast przywrócić mu pełnię sił i pomóc stawić temu czoła. Stawić czoła mnie. Rumieniec wracał już na jego policzki, możliwe że wskutek działania zawartej w mojej krwi magii leczącej.

– Podejrzewałem to przez jakiś czas – powiedział Rhys, przełykając ponownie. – Pewność uzyskałem, gdy Amarantha cię

zabijała. A kiedy staliśmy na tarasie na zboczu Góry, zaraz po tym, jak zostaliśmy uwolnieni, *poczułem*, jak więź między nami krzepnie. Sądzę, że gdy twoje nowe ciało zostało stworzone... więź związana z targiem, którego wtedy dobiliśmy, uległa wzmocnieniu. Spojrzałem wtedy na ciebie i siła tego uderzyła mnie jak obuchem.

Przypomniałam sobie: otworzył wtedy szeroko oczy, zatoczył się do tyłu, jakby był w szoku albo przerażony.

To zdarzyło się ponad pół roku temu.

Krew dudniła mi w uszach.

– Kiedy miałeś mi zamiar to powiedzieć?

– Feyro.

– *Kiedy miałeś mi zamiar to powiedzieć?*

– Nie wiem. Chciałem to zrobić wczoraj. Albo wtedy, kiedy zrozumiałaś, że nie chodzi już tylko o tamtą umowę z lochów pod Górą. Miałem nadzieję, że zrozumiesz to, gdy wezmę cię do łóżka, a...

– Czy pozostali wiedzą?

– Amrena i Mor tak. Azriel i Kasjan podejrzewają.

Twarz zapłonęła mi silnym rumieńcem. Wiedziały... one...

– Dlaczego mi nie powiedziałeś?

– Byłaś w nim zakochana. Zamierzałaś go poślubić. A potem... musiałaś znieść wszystko, co na ciebie spadło, i nie czułem, żeby to była właściwa chwila, by ci o tym mówić.

– Miałam prawo wiedzieć.

– Poprzedniej nocy powiedziałaś, że chcesz czegoś, co odciągnie twoje myśli, że chcesz *się zabawić*. A nie więzi godowej. Nie kogoś takiego jak ja... niepotrafiącego poradzić sobie z samym sobą.

A więc słowa, które rzuciłam mu w twarz po wydarzeniach na Dworze Koszmarów, cały czas go prześladowały.

– Przyrzekłeś... przyrzekłeś, że nie będzie między nami żadnych tajemnic, żadnych gier. *Przyrzekłeś*.

Czułam, jak coś w mojej piersi zapada się pod własnym ciężarem. Coś, co sądziłam, że odeszło już dawno temu.

– Wiem – powiedział Rhys; jego twarz odzyskała już swój blask. – Myślisz, że nie chciałem ci powiedzieć? Myślisz, że dobrze się czułem, słysząc, że potrzebujesz mnie tylko do rozrywki i zapomnienia? Myślisz,

że nie odchodziłem od zmysłów, że te dranie zdołały mnie zestrzelić, bo byłem zbyt zajęty zastanawianiem się, czy powinienem ci po prostu powiedzieć, czy też raczej dalej czekać... a może brać te ochłapy, które mi rzucałaś, i być za nie wdzięcznym? A może powinienem po prostu pozwolić ci odejść, żebyś nie musiała całe życie opędzać się od zabójców i ksiąząt polujących na ciebie tylko dlatego, że jesteś ze mną?

– Nie chcę tego słuchać. Nie chcę słyszeć twoich wyjaśnień, dlaczego uważałaś, że wiesz lepiej ode mnie, że sobie z tym nie poradzę...

– Nie powiedziałem tego...

– Nie chcę wysłuchiwać twoich wyjaśnień, dlaczego uznałaś, że należy mnie utrzymywać w nieświadomości, podczas gdy twoi przyjaciele wszystko wiedzieli, podczas gdy wy wszyscy decydowaliście, co jest dla mnie właściwe...

– Feyro...

– Zabierz mnie z powrotem do obozu. Teraz.

Dyszał ciężko, chrapliwie.

– Proszę.

Zbliżyłam się do niego i chwyciłam jego dłoń.

– Zabierz mnie tam *natychmiast*.

Wtedy ujrzałam w jego oczach ból i żal. Ujrzałam i zignorowałam, bo to coś w mojej piersi wiło się i pękało. Bo moje serce – moje *serce* – bolało tak bardzo, że dopiero teraz zorientowałam się, że w jakiś sposób zostało uleczone przez ostatnich parę miesięcy. Uleczone przez niego.

I teraz bolało.

Rhys wyczytał to wszystko – i więcej – z mojej twarzy. A ja na jego widziałam tylko cierpienie, gdy wyteżył resztki swoich sił i, jęcząc z bólu, przeniósł nas do obozu w górach.

Rozdział 51

Wylądowaliśmy na zamarzniętym błocie przed niewielkim kamiennym domem.

Chyba chciał nas przenieść do jego wnętrza, ale jego moc go zawiodła. W oknie domu dostrzegłam Kasjana – i Mor – jedzących śniadanie. Wytrzeszczyli oczy ze zdziwienia i pobiegli na wyścigi do drzwi.

– Feyro – jęknął Rhys i spróbował wstać, ale ramiona zatrzęśły się pod nim i upadł na ziemię.

Pozostawiłam go leżącego w błocie i ruszyłam szybkim krokiem w stronę domu.

Drzwi do domu stanęły otworem i po chwili Kasjan i Mor biegli ku nam ile sił, lustrując nas od stóp do głów. Gdy Kasjan zrozumiał, że jestem cała, puścił się pędem do Rhysa, który wciąż próbował się podnieść, teraz zupełnie umazany błotem, ale Mor... Mor dostrzegła wyraz mojej twarzy.

Podeszłam do niej zimna i zobojętniała.

– Zabierz mnie gdzieś daleko stąd – zażądałam. – Teraz, zaraz.

Musiałam stąd zniknąć – potrzebowałam czasu, żeby pomyśleć, potrzebowałam przestrzeni, spokoju i ciszy.

Mor wodziła wzrokiem między mną a Rhysem i przygryzła wargę.

– Proszę – powtórzyłam. Głos mi się załamał na tym jednym słowie.

Za moimi plecami Rhys ponownie wyjęczał moje imię.

Mor przyjrzała się ponownie mojej twarzy i chwyciła mnie za rękę.

Zniknęliśmy wśród wiatru i nocy.

Zaatakowało mnie jasne światło. Zamrugałam kilkakrotnie i rozejrzałam się po okolicy: wszędzie wokół były góry i śnieg, świeży i lśniący w południowym słońcu, tak czysty w porównaniu z pokrywającym mnie brudem.

Znajdowałyśmy się wysoko między szczytami. Około stu jardów od nas stała chata z bali przycupnięta między dwoma górnymi kłami gór osłaniającymi ją przed wiatrem. Okna były ciemne. Jak okiem sięgnąć nie widziałam wokół niczego innego.

– Dom jest obłożony zaklęciami ochronnymi, tak więc nikt nie może do niego przeskoczyć. W zasadzie to bez pozwolenia naszej rodziny nikt nie zdoła podejść bliżej niego, niż my jesteśmy teraz.

Mor zrobiła kilka kroków naprzód. Śnieg chrzęścił pod jej butami. Przy braku wiatru dzień był na tyle ciepły, że przypomniał mi o wiosnie, która wracała do świata, chociaż zapewne po zachodzie słońca będzie bardzo mroźnie.

Ruszyłam za nią. Coś zabrzączało na mojej skórze.

– Ty... możesz wejść – powiedziała Mor.

– Bo jestem jego towarzyszką?

Brnęła dalej przez śnieg teraz sięgający jej kolan.

– Odgadłaś to czy ci powiedział?

– Suriel mi powiedział. Kiedy go schwytałam, by się dowiedzieć, jakiego leku potrzebuję.

Zaklęła.

– Czy on... czy z nim wszystko w porządku?

– Będzie żył.

Nie pytała o nic więcej. A ja nie byłam w nastroju, żeby sama z siebie powiedzieć cośkolwiek więcej. Dotarliśmy do drzwi wejściowych. Mor otworzyła zamek skinieniem dłoni.

Główna izba o podłodze z desek z kuchnią po prawej i częścią dzienną ze skórzaną kanapą zarzuconą futrami po lewej, w głębi wąski korytarz prowadzący do dwóch sypialni i wspólnej łazienki. Nic poza tym.

– Wysyłali nas tutaj, gdy byliśmy młodszy, żebyśmy „sobie przemyśleli pewne sprawy” – wyjaśniła Mor. – Rhys przemycał mi książki i alkohol.

Skrzywiłam się na dźwięk jego imienia.

– Jest doskonale – powiedziałam przez ściśnięte gardło.

Mor machnęła ręką i na palenisku ożył ogień, zalewając ciepłem całe pomieszczenie. Na kuchennym blacie wylądowało jedzenie, coś zajęczało w rurach.

– Nie potrzebujesz opału – wyjaśniła. – Będzie płonąć tak długo, jak tu będziesz.

Uniosła brwi, jakby chciała zapytać, ile to potrwa.

Odwróciłam wzrok.

– Proszę, nie mów mu, gdzie jestem.

– Będzie próbował cię znaleźć.

– Powiedz mu, że nie chcę być znaleziona. Przez jakiś czas.

Mor przygryzła wargę.

– To nie jest moja sprawa...

– Zatem nic nie mów.

Nie spełniła mojej prośby.

– On chciał ci powiedzieć. I cierpiał, że nie może. Ale... Nigdy nie widziałam, żeby był taki szczęśliwy jak wtedy, kiedy był z tobą. I nie sądzę, żeby to miało cokolwiek wspólnego z tym, że jesteś jego towarzyszką.

– Mam to gdzieś.

Zamilkła, a ja wyczuwałam, jak wzbierają w niej kolejne słowa.

Powiedziałam więc:

– Dziękuję, że mnie tu przeniosłaś.

Uprzejma prośba, by sobie poszła.

Mor skinęła głową.

– Zajrzę do ciebie za trzy dni. W sypialniach są ubrania, a w łazience tyle gorącej wody, ile tylko zechcesz. W domu działają czary, które się tobą zajmą. Wystarczy życzenie lub słowo, a dostaniesz to, co chcesz.

Pragnęłam tylko samotności i ciszy, ale... gorąca kąpiel wydawała się być dobrym pomysłem na początek.

Mor wyszła z chaty, zanim zdołałam powiedzieć cokolwiek więcej.

Sama, bez żywej duszy w promieniu wielu mil, stałam w cichej chacie i patrzyłam przed siebie niewidzącym wzrokiem.

Część trzecia
Dom mgieł

Rozdział 52

W podłogę górskiej chaty wpuszczono głęboką wannę – wystarczająco dużą, by pomieścić Ilyra wraz ze skrzydłami. Wypełniłam ją wodą tak gorącą, że niemal parzyła skórę, nie dbając o to, jak działała magia tego domu – ważne było tylko to, że działała. Sycząc i krzywiąc się, weszłam do wanny.

Po trzech dniach bez kąpieli niemal się rozpłakałam pod wpływem rozkosznego ciepła czystej wody.

Nie było istotne, że kiedyś nie miałam okazji do kąpieli przez całe tygodnie, gdyż zorganizowanie odpowiedniej ilości gorącej wody w naszej rodzinnej chacie było zbyt kłopotliwe, żeby było warto to robić. Poza tym nie mieliśmy nawet porządnej wanny i trzeba było wielu wiader, by się doszorować.

Myłam się ciemnym mydłem pachnącym dymem i sosnami. Kiedy już byłam całkiem czysta, siedziałam i przyglądałam się parze snującej się między kilkoma świeczkami.

Towarzysz.

To słowo wygoniło mnie z kąpieli szybciej, niżbym chciała, i nie dawało mi spokoju, gdy wciągałam na siebie ubranie znalezione w szufladzie w sypialni: ciemne obcisłe spodnie, obszerny kremowy sweter, który zwisał mi do pół uda, i grube skarpety. Zaburczało mi w brzuchu i przypominałam sobie, że nie jadłam od wczoraj, bo...

Bo byłam ranna, odchodziłam od zmysłów – i niemal całkowicie oszalałam – kiedy mi go odebrali, kiedy zestrzelili go jak jakiegoś ptaka.

Działałam instynktownie, pędzona zakorzenioną gdzieś głęboko we mnie potrzebą chronienia go...

Tak głęboko we mnie...

Na drewnianym blacie kuchennym znalazłam pojemnik z zupą, który musiała sprowadzić Mor. Wyszukałam żeliwny garnek, w którym mogłam podgrzać posiłek. Świeży chrupki chleb leżał w pobliżu pieca. Zjadłam pół bochenka, czekając na zagrzanie się zupy.

Podejrzewał to, nawet zanim uwolniłam nas od Amaranthy.

Dzień mojego ślubu... Przerwał ceremonię, aby mnie uratować od popełnienia strasznego błędu, czy też z własnych pobudek? Dlatego że

byłam jego towarzyszką, byłam mu przeznaczona i nie mógł zaakceptować tego, bym związała się z kimś innym?

Zjadłam kolację w ciszy, mając za towarzystwo wyłącznie ogień trzaskający na palenisku.

Pod ciężkim ostrzałem myśli poczułam drgnienie ulgi.

Mój związek z Tamlinem był skazany na porażkę od samego początku. Odeszłam – tylko po to, by odnaleźć mojego towarzysza, zapisanego w gwiazdach. By udać się do niego.

Jeśli chciałam nam obojgu oszczędzić wstydu, plotek, jedynie... jedynie znalezienie prawdziwej miłości mogło to zapewnić.

Nie byłam załganym i zdradzieckim śmieciem. W żadnym wypadku. Nawet jeśli Rhys... Nawet jeśli wiedział, że byłam przeznaczoną mu towarzyszką.

Kiedy dzieliłam łożę z Tamlinem... przez długie miesiące... wiedział, że z nim sypiam, ale nie dał niczego po sobie poznać. A może było mu to obojętne.

Może nie chciał naszej więzi. Może miał nadzieję, że zniknie.

Zatem nie byłam Rhysowi niczego winna – nie miałam za co go przepraszać.

Ale on wiedział, że źle na to zareaguję. Że to mnie zrani bardziej, niż mi pomoże.

A gdybym wiedziała?

Gdybym miała świadomość, że to Rhys jest moim towarzyszem losu, podczas gdy ja kochałam Tamlina?

To nie tłumaczyło utrzymywania tego w tajemnicy. Nie usprawiedliwiało ostatnich tygodni, kiedy tak bardzo nienawidziłam się za pragnienie go... kiedy powinien był mi powiedzieć. Ale... Rozumiałam.

Pozmywałam naczynia, zmiotłam okruchy z niewielkiego stołu stojącego między kuchnią a częścią dzienną i wgramoliłam się do jednego z łóżek.

Jeszcze ostatniej nocy leżałam zwinięta obok niego, licząc jego oddechy, aby upewnić się, że jego płuca wciąż pracują. Noc wcześniej byłam w jego ramionach, z jego palcami między moimi nogami, z jego językiem w moich ustach. A teraz... Chociaż w chacie było ciepło,

pościel była zimna. A łóżko było duże... i puste.

Przez małe przeszklone okno patrzyłam na krajobraz zasypany śniegiem lśniącem niebieskawą poświatą w blasku księżyca. Wiatr jęczał przeciągle i gonił przed sobą wielkie błyszczące tumany.

Zastanawiałam się, czy Mor powiedziała mu jednak, gdzie jestem.

Czy naprawdę będzie mnie szukał.

Towarzysz.

Mój towarzysz.

Obudziło mnie słońce odbijające się od śniegu. Zmrużyłam oczy, aby nie oślepiła mnie jego jasność, i przeklełam się za niezasunięcie zasłon. Dopiero po chwili przypomniałam sobie, gdzie jestem – dlaczego leżę w chacie na odludziu głęboko w górach... nawet nie wiedziałam których.

Rhys kiedyś wspomniał o chacie w górach, którą Mor i Amrena spaliły do gołej ziemi podczas kłótni. Byłam ciekawa, czy chodziło mu o tę, czy ją potem odbudował. Wszystko było wygodne; noszące ślady zużycia, ale we względnie dobrym stanie.

Mor i Amrena wiedziały.

Nie mogłam się zdecydować, czy ich z tego powodu nienawidziłam.

Bez wątpienia to Rhys kazał im trzymać język za zębami, a one jedynie spełniły jego prośbę, ale...

Posłałam łóżko, zrobiłam sobie śniadanie, pozmywałam, a potem stanęłam na środku głównej izby.

Uciekłam.

Dokładnie tak jak Rhys się spodziewał, że ucieknę – powiedziałam mu, że każdy przy zdrowych zmysłach by od niego uciekł. Jak tchórz, jak idiotka zostawiłam go rannego w zamarzniętym błocie.

Zostawiłam go – dzień po tym, gdy powiedziałam mu, że nigdy go nie opuszczę.

Żądałam szczerości i przy pierwszej prawdziwej próbie nawet nie dałam mu szansy bycia ze mną szczerym. Nie dałam mu szansy zostania wysłuchanym.

„Widzisz mnie”.

Cóż, nie chciałam go widzieć. Może nie chciałam widzieć tego, co było tuż przede mną.

Zostawiłam go.

I może... może nie powinnam była tego robić.

W połowie dnia zaatakowała mnie nuda.

Ogromna, nieustępliwa nuda wywołana uwięzieniem w górskiej chacie, podczas gdy śnieg powoli topniał w ciepłym wiosennym powietrzu, przysłuchiwaniami się kap-kap, kapaniu wody z dachu.

Nuda rozpalila we mnie ciekawość – i gdy skończyłam przetrząsać wszystkie szuflady i szafy w obu sypialniach (ubrania, jakieś stare wstążki, noże i broń poutykane między nimi, tak jakby któreś z nich kiedyś je tu wsadziło i potem zapomniało), szafki w kuchni (jedzenie, przetwory, garnki, patelnie, poplamiona książka kucharska) i część dzienną (koce, trochę książek, więcej broni poukrywanej naprawdę *wszędzie*), poszłam do składziku.

Jak na górką chatę księcia dom był... nie pospolity, bo wszystko było wykonane i urządzone z wielką dbałością, ale... zwyczajny. Jak gdyby to było jedyne miejsce, gdzie każdy mógł przybyć, zalec na łózkach, na kanapie i być po prostu sobą, gotując, polując i sprzątając na zmianę...

Jak rodzina.

Dom sprawiał wrażenie zamieszkanego przez rodzinę – taką, jakiej na dobrą sprawę nigdy nie miałam, o jakiej nigdy nie ośmieliłam się marzyć. Jakiej przestałam się spodziewać, kiedy przywykłam do przestronności rezydencji Tamlina i życia w niej pod dyktando protokołu dyplomatycznego. Do bycia symbolem dla złamanego ludu, złotym posągiem wysokiej kapłanki i maskotką.

Gdy otworzyłam drzwi składziku, uderzyła mnie ściana zimnego powietrza, ale chwilę później zamigotały płomienie świec zapalone magią dbającą o przytulność chaty. Półki były wolne od kurzu (bez wątplenia także dzięki magii), za to pełne zapasów jedzenia, książek, sprzętu sportowego, plecaków, lin i – cóż za zaskoczenie! – jeszcze

większych ilości broni. Przejrzałam wszystko, te pozostałości dawnych i przyszłych przygód, i niemal je przeoczyłam, przechodząc tuż obok nich.

Pół tuzina puszek farb. Papier i kilka płócien. Pędzle, stare i z plamami kolorów pozostawionymi przez leniwe dłonie.

Były też inne akcesoria artystyczne – pastele, akwarele, coś, co wyglądało na węgiel do szkicowania, ale... Ja wpatrywałam się w puszki farb i pędzle.

Która z przebywających tu osób próbowała malować, tkwiąc tutaj w samotności – albo ciesząc się wypoczynkiem w gronie bliskich?

Gdy sięgałam po najbliższą z puszek i otwierałam wieko, wmawiałam sobie, że dłonie trzęsą mi się z zimna. Farba była wciąż świeża. Zapewne również dzięki magii chroniącej całe to miejsce.

Zajrzałam do ciemnego lśniącego wnętrza otwartego pojemnika: niebieska.

Zaczęłam zbierać potrzebne rzeczy.

Malowałam cały dzień.

A kiedy słońce zaszło, malowałam całą noc.

Kiedy umyłam ręce, twarz i szyję, księżyc zdążył już zniknąć z nieba. Rzuciłam się na łóżko w ubraniu i błyskawicznie osunęłam się w objęcia snu.

Zanim wiosenne słońce zdążyło wznowić swoje wysiłki roztapiania śniegu na okolicznych górach, byłam z powrotem na nogach – z pędzlem w dłoni.

Zrobiłam przerwę tylko po to, żeby zjeść. Słońce znów zachodziło wyczerpane spowodowanym uszczerbkiem w połaciach śniegu za oknem, kiedy ktoś zapukał w drzwi wejściowe.

Zamarłam cała pochlapana farbą – kremowy sweter był całkowicie zniszczony.

Pukanie powtórzyło się – lekkie, lecz nagłące. A potem...

– Proszę, nie bądź martwa.

Nie potrafiłam ocenić, czy poczułam w piersi ulgę, czy rozczarowanie, gdy otworzyłam drzwi i zobaczyłam Mor chuchającą

w dłonie.

Spojrzała na farbę na mojej skórze, na włosach. Na pędzel w mojej dłoni.

A potem na efekty moich starań.

Weszła z mroźnej wiosennej nocy, zamknęła za sobą drzwi i gwizdnęła cicho.

– Cóż, zdecydowanie nie próżnowałaś.

Mało powiedziane.

Pomalowałam praktycznie każdą powierzchnię w głównej izbie.

I nie polegało to tylko na tym, że ściany zyskały nowy kolor – dodałam wszędzie dekoracje, małe obrazki. Niektóre były dość proste: grupki sopli zwisały po obu stronach progu. Topniały w pierwsze oznaki wiosny, po czym rozkwitały pełnią letniego kwiecica, aby na koniec zblednąć i przeistoczyć się w jesienne liście. Na obrzeżu okrągłego stolika do kart pod oknem namalowałam kwiaty. Na stole jadalnianym – liście i trzaskający ogień.

Ale między tymi wszystkimi dekoracjami namalowałam ich. Tu i ówdzie Mor, Kasjan, Azriel, Amrena... i Rhys.

Mor podeszła do dużego paleniska, którego obudowę pomalowałam na czarno, z lśniącymi żyłkami złota i czerwieni. Z bliska wyglądało to po prostu jak ładnie pomalowany kamień. Ale z kanapy...

– Ilyryjskie skrzydła – stwierdziła. – Ech, teraz nigdy nie przestaną się przechwalać.

Potem podeszła do okna, które obramowałam przeplatającymi się pasmami złota, mosiądzu i brązu. Mor nawinęła kosmyk włosów na palec i przekrzywiła głowę.

– Ładnie – uznała, ponownie omiatając wzrokiem całą izbę.

Kiedy jej spojrzenie padło na ścianę nad drzwiami prowadzącymi do sypialń, skrzywiła się.

– Dlaczego – zapytała – są tam oczy Amreny?

Istotnie tuż nad framugą drzwi, na samym środku łuku, namalowałam parę świecących srebrnych oczu.

– Bo ona zawsze wszystko obserwuje.

Mor parsknęła.

– Tak nie może być. Namaluj obok moje oczy. Tak żeby

mężczyźni w tej rodzinie wiedzieli, że *obie* ich obserwujemy, kiedy następnym razem zjawią się tu, by pić na umór przez tydzień bez przerwy.

– Robią tak?

– Kiedyś robili. – Przed Amaranthą. – Co jesień cała trójka zamykała się tu na pięć dni i nic tylko pili i polowali, polowali i pili. A kiedy wracali do Velaris, wyglądali, jakby byli w połowie drogi do swoich grobów, ale szczerzyli się jak głupki. Moje serce raduje się, gdy wiem, że od tej pory będą musieli to robić ze mną i Amreną obserwującymi każdy ich ruch.

Uśmiech pociągnął w górę kąci moich ust.

– Czyja jest ta farba?

– Amreny – odparła Mor i przewróciła oczami. – Pewnego lata byliśmy tu całą piątką, a ona chciała się nauczyć malować. Zajmowała się tym przez jakieś dwa dni, po czym się znudziła i uznała, że woli polować na różne biedne stworzenia.

Zachichotałam cicho, po czym podeszłam do stołu, który mi służył za główną powierzchnię do mieszania i przygotowywania farb. I może świadczyło to o moim tchórzostwie, ale...

– Jakież wieści od moich sióstr? – zapytałam zwrócona do niej plecami.

Mor zaczęła przetrząsać szafki w poszukiwaniu jedzenia, albo żeby ustalić, czego mi trzeba.

– Nie, jeszcze nie – odpowiedziała przez ramię.

– Czy on... cierpi?

Pozostałam go w zamrzniętym błocie, rannego, wciąż pozbywającego się trucizny z organizmu. Próbowałam nie myśleć o tym podczas malowania.

– Nadal dochodzi do siebie, ale jest w porządku. Wkurzony na mnie oczywiście, ale może się ugryźć.

Połączyłam żółte złoto Mor z czerwienią, której używałam na ilyryjskich skrzydłach, i mieszałam je, aż uzyskałam intensywny pomarańcz.

– Dziękuję... że mu nie powiedziałaś, że tu jestem.

Wzruszyła ramionami.

Na kuchennym blacie zaczęło pojawiać się jedzenie: świeży chleb, owoce, pojemniki z czymś, czego zapach czułam przez całą kuchnię i co sprawiło, że niemal jęknęłam z głodu.

– Ale powinnaś z nim porozmawiać. Niech się męczy, bez dwóch zdań, ale... powinnaś go wysłuchać. – Mówiła, nie patrząc na mnie. – Rhys zawsze ma jakieś swoje powody i może jest arogancki jak nie wiem co, ale instynkt go zazwyczaj nie zawodzi. Popęlnia błędy, jednak... Powinnaś go wysłuchać.

– Jak przebiegła twoja wizyta na Dworze Koszmarów? – zapytałam, żeby nie dać po sobie poznać, że już się zdecydowałam wysłuchać wyjaśnień Rhysanda.

Zamarła na chwilę, a jej twarz stała się nienaturalnie dla niej blada.

– Bez problemów. To zawsze wspaniale móc zobaczyć moich rodziców. Jak możesz się domyślić.

– Jak rekonwalescencja twojego ojca?

Dodałam kobalt syfonów Azriela do pomarańczu i uzyskałam głęboki brąz.

Uśmiechnęła się ponuro.

– Powolna. Możliwe, że podczas mojej wizyty złamałam mu jeszcze kilka kości. Potem matka zakazała mi wstępu do ich prywatnych komnat. Taka szkoda.

Najbardziej pierwotna część mnie promieniała dziką rozkoszą na jej słowa.

– W rzeczy samej szkoda – powiedziałam.

Dodałam nieco mroźnej bieli, by rozjaśnić brąz, porównałam uzyskany kolor z barwą oczu, które właśnie na mnie spojrzały, chwyciłam stołek, stanęłam na nim i zaczęłam malować łuk nad drzwiami.

– Rhys często każe ci to robić? Znosić te wizyty?

Mor oparła się o kuchenny blat.

– W dniu, w którym został księciem, dał mi przyzwolenie na zabicie ich, kiedy tylko zechcę. Odwiedzam ich, udaję się na Dwór Koszmarów, aby... przypominać im o tym czasem. I żeby podtrzymać komunikację między oboma dworami, jakkolwiek napięte byłyby stosunki między nimi. Gdybym poszła tam jutro i zaszlachtowała swoich

rodziców, nawet by nie mrugnął. Może uznałby to za niedogodność, ale... sprawiłoby mu to przyjemność.

Skoncentrowałam się na plamce karmelowego brązu, którą namalowałam obok oczu Amreny.

– Przykro mi... z powodu wszystkiego, co musiałaś znieść.

– Dziękuję – odparła i podeszła do mnie, aby przyjrzeć się mojej pracy. – Odwiedzanie ich zawsze mnie męczy.

– Kasjan sprawiał wrażenie przejętego.

Kolejne wścibskie pytanie.

Wzruszyła ramionami.

– Kasjan, jak sądzę, również niezmiernie ucieszyłby się z możliwości rozszarpania całego tamtego dworu na strzępy. Poczawszy od moich rodziców. Może kiedyś pozwolę mu to zrobić w ramach prezentu. Jemu i Azrielowi. To byłby idealny dar na przesilenie.

– Powiedziałaś mi o swojej przygodzie z Kasjanem, ale czy ty i Azriel kiedykolwiek...? – zapytałam może zbyt swobodnie.

Zaśmiała się gardłowo.

– Nie. Z Azrielem? Po tamtym razie z Kasjanem przysięgam trzymać się z dala od przyjaciół Rhysa. Ale Azriel nie może narzekać na brak kochanek, już ty się o to nie martw. Radzi sobie lepiej od nas z utrzymywaniem ich w tajemnicy, ale... ma je.

– Więc gdyby kiedykolwiek wykazał zainteresowanie tobą...

– Problemem, w zasadzie, nie byłabym ja. Byłby nim on.

Mogłabym zrzucić z siebie całe ubranie, a on nawet by nie drgnął. Może i rzucił wyzwanie tym ilyryjskim złamasom i dowodził na każdym kroku, że się mylą, ale choćby Rhys go uczynił diukiem Velaris, on nadal będzie siebie postrzegał jako pozbawionego znaczenia bękarta, nie dość dobrego dla kogokolwiek. Zwłaszcza dla mnie.

– Ale... czy ty byłabyś zainteresowana?

– Dlaczego mnie wypytujesz o takie rzeczy? – zapytała głosem nagle ostrym, bardziej podejrzliwym, niż kiedykolwiek wcześniej u niej słyszałam.

– Wciąż próbuję zrozumieć, jakie właściwie stosunki panują między wami wszystkimi.

Parsknęła, a podejrzliwość zniknęła. Staralam się nie okazać zbyt

wielkiej ulgi.

– Mamy za sobą pięć wieków poplątanej historii. Powodzenia.

Miała rację. Skończyłam malować jej oczy – miodowy brąz obok rtęci Amreny.

– Namaluj oczy Azriela. Obok moich – powiedziała nagle Mor, prawie jakby odpowiadała na moje pytanie. – I Kasjana obok Amreny.

Uniosłam pytająco brwi.

Mor uśmiechnęła się niewinnie.

– Abyśmy wszyscy mogli pilnować ciebie.

Pokręciłam tylko głową i zeskoczyłam ze stołka, aby ustalić, jak mam namalować piwny kolor oczu.

– Czy to jest takie okropne? – zapytała cicho Mor. – Być jego towarzyszką? Należać do naszego dworu, do naszej rodziny, z całą tą poplątaną historią?

Wymieszałam farbę na małym talerzu. Kolory wirowały niczym tak wiele splecionych ze sobą żywotów.

– Nie – wyszeptałam. – Nie jest.

I uzyskałam swoją odpowiedź.

Rozdział 53

Mor została na noc i nawet namalowała kilka prostych patykowatych ludzików na ścianie obok drzwi do składziku. Trzy kobiety z absurdalnie długimi falistymi włosami przypominającymi jej czuprynę i trzech uskrzydlnych mężczyzn, których w jakiś sposób zdołała ukazać tak, że sprawiali wrażenie strasznie napuszonych i zarozumiałych. Wybuchalam śmiechem za każdym razem, gdy mój wzrok padał na jej malunek.

Wyszła po śniadaniu. Musiała przejść za tarczę blokującą przeskakowanie. Pomachałam jej odległej, trzęsącej się z zimna postaci, zanim rozplynęła się w powietrzu.

Wpatrywałam się w lśniące, białe połacie nadtopione już dość, aby tu i ówdzie przebijały łyse plamki pobielełej po zimie trawy sięgającej ku błękitnemu niebu i górskim szczytom. Wiedziałam, że lato musi kiedyś dotrzeć nawet do tej roztopiającej się krainy marzeń, ponieważ w chacie znalazłam wędki i sprzęt przeznaczony zdecydowanie do użytku w ciepłe dni, ale ciężko było sobie wyobrazić cały ten lód i śnieg zastąpione miękką trawą i polnymi kwiatami.

Przez krótką chwilę zobaczyłam się tam: biegnącą po łące drzemiącej pod cienką już warstwą śniegu, rozbryzgującą wodę w małych strumykach już przecinających zbocza, zajądającą się dorodnymi jagodami, podczas gdy słońce zachodziło za górami...

A potem wróciłabym do domu, do Velaris, gdzie bym w końcu weszła do dzielnicy artystów i zajrzała do tych sklepów i galerii, chłonęłabym ich wiedzę i może – może któregoś dnia – otworzyłabym własne studio. Nie po to, by sprzedawać swoje prace, ale by uczyć innych.

Może uczyłabym innych podobnych mnie: roztrzaskanych na drobne kawałki i starających się z tym walczyć, próbujących ustalić, kim są mimo mroku i bólu. A po każdym dniu wracałabym do domu wyczerpana, ale zadowolona – spełniona.

Szczęśliwa.

Wracałabym każdego dnia do tego domu w sercu miasta, do moich przyjaciół i ich opowieści o tym, jak minął dzień. Siadalibyśmy wszyscy

przy jednym stole i jedlibyśmy razem kolację.

A Rhysand...

Rhysand...

Byłby tam. Dałby mi pieniądze, abym mogła otworzyć swój sklep. A ponieważ nie miałam zamiaru pobierać opłat za lekcje, sprzedawałabym obrazy, by spłacić swój dług. Ponieważ zamierzałam go spłacić, nawet mimo tego że był moim towarzyszem.

A lato spędzałby tutaj, latając nad łąką, goniąc mnie przez niewielkie strumyki i pod górę porośniętego trawą górskiego stoku. Siadywałby ze mną pod gwiazdami i karmił dojrzałymi jagodami. I siedziałby przy tym stole w domu w Velaris, zanosił się śmiechem – już nigdy więcej nie byłby zimny, okrutny i ponury. Już nigdy więcej nie byłby czymś niewolnikiem, czyjąś dziwką.

A nocą... Nocą szlibyśmy na piętro razem, on opowiadałby mi szeptem o swoich przygodach, a ja relacjonowałabym – również szeptem – mój dzień i...

I proszę bardzo.

Przyszłość.

Taka, jaką widziałam dla siebie: jasna jak wschód słońca nad Sidrą. Kierunek, cel i zaproszenie do zobaczenia, co jeszcze nieśmiertelność może mi zaoferować. Nie wyglądała już tak beznadziejnie, nie była już taka pusta.

I będę walczyła do ostatniego tchu, by ją osiągnąć – by jej bronić.

Wiedziałam więc, co muszę zrobić.

Minęło pięć dni. Pomalowałam wszystkie pomieszczenia w chacie. Zanim Mor wróciła do obozu, przeskoczyła ze świeżym zapasem farby i taką ilością jedzenia, że choćbym się starała, nie zdołałabym wszystkiego zjeść.

Ale po pięciu dniach miałam już dosyć towarzystwa wyłącznie własnych myśli – dość czekania, dość topniejącego i skapującego z dachu śniegu.

Na szczęście tego wieczoru wróciła Mor i zaczęła łomotać do drzwi, głośno i niecierpliwie.

Godzinę wcześniej wzięłam kąpiel, podczas której musiałam zeskrobywać farbę z miejsc, w których nie wiedziałam, że można się nią ubrudzić, i moje włosy wciąż dosychały, gdy otworzyłam drzwi na oścież i wpuściłam do środka zimne powietrze.

Ale to nie Mor stała oparta o framugę.

Rozdział 54

Wpatrywałam się w Rhysa.

On wpatrywał się we mnie.

Policzki miał zaróżowione od mrozu, ciemne włosy zmierzwiłone i naprawdę wyglądał na *zmarzniętego*, gdy tak stał na wietrze ze skrzydłami przyciśniętymi ciasno do ciała.

I wiedziałam, że wystarczyłoby jedno moje słowo, a odleciałby z powrotem w zimną noc. Że wystarczyłoby, bym zamknęła drzwi, a on by odszedł, nie dobijałby się do skutku.

Pociągnął nosem, wciągając zapach farby dobiegający z wewnątrz, ale nie odrywał wzroku od moich oczu. Czekał.

Towarzysz.

Mój... towarzysz.

Ten piękny, silny, bezinteresowny mężczyzna... Który poświęcił i upodlił się dla dobra swojej rodziny, swojego ludu i nie uważał, że to wystarczy, by być dość dobrym dla kogoś innego... Azriel sądził, że nie zasługuje na kogoś takiego jak Mor. Pomyślałam, czy Rhys... czy w jakiś sposób nie czuł tego samego wobec mnie. Odsunęłam się na bok i przytrzymałam otwarte drzwi.

Przysięgłabym, że przez naszą więź poczułam drgnienie wszechogarniającej ulgi.

Rhys przyjrzał się rezultatom mojej pracy, chłonąc żywe kolory, które sprawiały, że cała chata ożywała.

– Namalowałaś nas – zauważył.

– Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko.

Przyjrzał się ścianie nad drzwiami prowadzącymi na korytarz.

– Azriel, Mor, Amrena i Kasjan – wyliczył, wodząc wzrokiem od jednych oczu do drugich. – Zdajesz sobie sprawę, że któreś z nich domaluje wąsy pod oczami tej osoby, która akurat danego dnia ją czy jego wkurzy?

Zacisnęłam usta, aby powstrzymać wkradający się na nie uśmiech.

– Och, Mor już przyrzekła to zrobić.

– A co z moimi oczami?

Przełknęłam ślinę. No dobra. Bez tańczenia wokół tematu.

Serce tłukło mi się w piersi tak mocno, że byłam pewna, że je słyszy.

– Bałam się je namalować.

Rhys obrócił się do mnie twarzą.

– Dlaczego?

Koniec podchodów, koniec owijania w bawełnę.

– Na początku dlatego, że byłam na ciebie wściekła, że mi tego nie powiedziałeś. Potem dlatego, że martwiłam się, że zbyt szybko bym się polubiła, a potem by się okazało, że ty... nie podzielasz mojego entuzjazmu. Potem dlatego, że bałam się, że gdybym je namalowała, zaczęłabym pragnąć twojej obecności tak mocno, że całe dni bym tylko się w nie wpatrywała. A to wydawało mi się beznadziejnym sposobem spędzania czasu.

Kąciki ust mu drgnęły.

– Istotnie.

Zerknęłam na zamknięte drzwi.

– Przyleciałeś tu.

Kiwnął głową.

– Mor nie chciała mi powiedzieć, gdzie jesteś, ale jest tylko kilka miejsc równie dobrze zabezpieczonych jak to tutaj. Ponieważ nie chciałem, żeby służusy Hybrydy wysłedziły mnie i trafiły za mną do ciebie, musiałem to zrobić w staroświecki sposób. Trochę to zajęło.

– Jak... się czujesz?

– Wróciłem do pełni zdrowia. Dość szybko, biorąc pod uwagę, że użyli kłatwy krwi. To dzięki tobie.

Unikałam jego spojrzenia. Ruszyłam do kuchni.

– Musisz być głodny. Podgrzeję coś.

Rhys się wyprostował.

– Ty... zrobisz mi jedzenie?

– Podgrzeję – powtórzyłam. – Nie umiem gotować.

Zdawało się nie robić mu to różnicy. Ale czymkolwiek to było, zaoferowanie mu jedzenia... Wlałam trochę zimnej zupy do rondla i rozpałam ogień.

– Nie znam zasad – powiedziałam zwrócona do niego plecami. – Musisz mi je zatem wyjaśnić.

Stał na środku chaty i obserwował każdy mój ruch.

– To... ważna chwila, kiedy kobieta oferuje swojemu towarzyszowi jedzenie – powiedział chrapliwie. – To sięga jeszcze bardzo dawnych czasów, kiedy nasi przodkowie byli prymitywnymi bestiami. Ale to wciąż ma znaczenie. Pierwszy raz ma znaczenie. Niektóre pary obchodzą to jak wielkie święto i organizują wielkie przyjęcie, aby kobieta mogła formalnie zaoferować swojemu towarzyszowi jedzenie... Tak się zazwyczaj dzieje wśród bogaczy. Ale to oznacza, że kobieta... akceptuje więź godową.

Wpatrywałam się w zupę.

– Powiedz mi... opowiedz mi wszystko.

Zrozumiał moją propozycję: opowiedz mi, podczas gdy będę gotowała, a ja na koniec zdecyduję, czy zaoferować to jedzenie.

Krzesło zaszurało na drewnianej podłodze, gdy siadał przy stole. Przez chwilę ciszę zakłócało tylko stukanie łyżki o rondel.

– Podczas wojny pięć wieków temu zostałem schwytany – powiedział w końcu. – Przez żołnierzy Amaranthy.

Przestałam mieszać, walcząc ze ssaniem w żołądku.

– Kasjan i Azriel byli w innych legionach, więc nie wiedzieli, że moje siły wraz ze mną dostały się do niewoli. I że dowódcy Amaranthy przetrzymywali nas przez całe tygodnie, torturując i zarzynając moich wojowników. Przybili moje skrzydła jesionowymi kołkami i spętali takimi samymi łańcuchami, jakie widziałas tamtej nocy w jaskini. Te łańcuchy są jednym z największych skarbów Hybernii. Wykonują je z kamienia wydobywanego z najgłębszych kopalń na ich wyspie, zdolnego zneutralizować moce fae wysokiego rodu. Nawet moje. Zatem rozciągnęli mnie między dwoma drzewami i bili, kiedy tylko naszła ich ochota. Chcieli, abym im powiedział, gdzie były główne siły Dworu Nocy. Wykorzystywali moich wojowników, ich śmierć i ból, by mnie złamać.

Ale ja wytrzymałem – powiedział ponuro – a oni byli zbyt głupi, by wiedzieć, że byłem Ilyrem i że wyznałbym im wszystko, co chcieli wiedzieć, gdyby tylko zagrozili mi jednym: odcięciem skrzydeł. Może miałem szczęście, ale nigdy tego nie zrobili. A Amarantha... Nie obchodziłem jej. Byłem po prostu kolejnym synalkiem jednego z książąt,

a Jurian właśnie zamordował jej siostrę. Dbała tylko o jedno, o dorwanie go w swoje ręce, o *zabicie* go. Nie wiedziała, że w każdej sekundzie, z każdym oddechem planowałem jej śmierć. Byłem gotów poświęcić dla tego celu własne życie, zabić ją za wszelką cenę, nawet jeśli miałyby to oznaczać rozdarcie skrzydeł, by się uwolnić. Obserwowałem strażników i nauczyłem się układu wart, wiedziałem więc, gdzie będzie. Wybrałem dzień, wybrałem godzinę. I byłem gotowy; byłem tak cholernie gotowy skończyć z tym i czekać na Kasjana, Azriela i Mor po drugiej stronie. Czułem tylko wściekłość i zarazem ulgę, że moich przyjaciół nie było tam ze mną. Ale tego dnia, kiedy zamierzałem zabić Amaranthę, stoczyć ostatnią walkę i dokonać żywota, właśnie wtedy ona starła się z Jurianem.

Zamilkł na chwilę i przełknął ślinę.

– Tkwiłem skuty łańcuchami w błocie, zmuszony przyglądać się ich walce. Musiałem patrzeć, jak Jurian padał pod ciosem, który przeznaczony był dla mnie. Tylko że... ona go masakrowała. Patrzyłem, jak wrywa mu oko, jak odrywa mu palec, a kiedy leżał już na ziemi, zaciągnęła go z powrotem do obozu. Potem przez całe dni słuchałem, jak powoli, metodycznie rozrywa go kawałek po kawałku. Jego krzykom nie było końca. Była tak skupiona na torturowaniu go, że nie wyczuła przybycia mojego ojca. W panice zabiła Juriana, żeby tylko nie został uwolniony, i uciekła. Tak więc ojciec mnie uwolnił i powiedział swoim ludziom, Azrielowi, żeby zostawić jesionowe kołki w moich skrzydłach jako karę za to, że dałem się złapać. Jak oznajmili mi uzdrowiciele, moje rany były na tyle poważne, że gdybym spróbował ruszyć do walki, zanim moje skrzydła w pełni się zaleczą, nigdy więcej nie mógłbym latać. Musiałem więc wrócić do domu i się kurować... podczas gdy toczono ostatnie bitwy wojny.

Zawarli Traktat, wybudowali Mur. Na Dworze Nocy już dawno zwróciliśmy wolność niewolnikom. Nie ufaliśmy ludziom na tyle, żeby powierzyć im nasze tajemnice. Zbyt szybko i zbyt często się mnożyli, żeby moi przodkowie zdołali zawsze panować nad umysłami ich wszystkich. Ale nasz świat i tak uległ zmianie. Wojna zmieniła nas wszystkich. Kasjan i Azriel wrócili odmienieni. Ja wróciłem odmieniony. Przybyliśmy tu, do tej chaty. Moje rany były wciąż na tyle

poważne, że musieli mnie tu we dwóch nieść. Byliśmy tu, gdy dotarły do nas wieści o ostatecznym brzmieniu Traktatu.

Zostali ze mną, gdy wylem do gwiazd na wieść, że Amarantha, po wszystkim, co zrobiła, po wszystkich okropieństwach, których się dopuściła, uniknie kary. Że król Hybernii również uniknie kary. Uznano, że zbyt wiele było już śmierci po obu stronach, żeby wszystkich osądzić i skazać. Nawet mój ojciec rozkazał mi zapomnieć o tym i budować przyszłość, w której wszyscy moglibyśmy żyć obok siebie. Ale nigdy nie wybaczyłem Amarancie tego, co zrobiła moim wojownikom. I nigdy tego nie zapomniałem. Ojciec Tamlina... był jej przyjacielem. I gdy *mój* ojciec go zabił, czułem tak cholerną satysfakcję, że być może doświadczyłem ułamka tego, co ona czuła, gdy mordowała moich żołnierzy.

Mieszałam zupełną drżącą ręką. Nie wiedziałam... nie podejrzewałam...

– Kiedy wieki później Amarantha wróciła, wciąż chciałem ją zabić. Najgorsze było to, że nawet nie wiedziała, kim jestem. Nie pamiętała tego książęcego synalka, którego trzymała w niewoli. Dla niej byłem tylko synem mężczyzny, który zabił jej przyjaciela. Byłem tylko księciem Dworu Nocy. Pozostali książęta dali się przekonać, że chciała pokoju i wznowienia wymiany handlowej. Tylko Tamlin jej nie ufał. Nienawidziłem go, ale znał Amaranthę osobiście i jeśli on jej nie ufał... Wiedziałem, że się nie zmieniła.

Zatem zaplanowałem zabicie jej. Nie powiedziałem o tym nikomu. Nawet Amrenie. Pozwoliłem Amarancie sądzić, że byłem zainteresowany handlem, sojuszem. Zdecydowałem się udać na przyjęcie urządzone pod Górą, na którym mieliśmy świętować naszą umowę handlową z Hybarnią... A kiedy byłaby już pijana, zamierzałem wślizgnąć się do jej myśli i zmusić do wyjawienia wszystkich kłamstw i zbrodni, których się dopuściła, po czym roztopić jej mózg, zanim ktokolwiek zdąży zareagować. Byłem gotów stoczyć wojnę z tego powodu.

Odwróciłam się i oparłam o kuchenny blat. Rhys patrzył na swoje dłonie, tak jakby czytał z nich swą opowieść.

– Ale ona kombinowała szybciej, działała szybciej. Została

wyszkolona, by przeciwdziałać moim umiejętnościom, i dysponowała potężnymi umysłowymi tarczami. Byłem tak zajęty drażeniem tunelu przez nie, że nie pomyślałem o zawartości swojego kieliszka. Nie chciałem, by Kasjan, Azriel czy ktokolwiek inny był świadkiem tego, co zamierzałem zrobić, zatem tego dnia byłem z nią sam i nikt nie powąchał płynu, zanim go wypilem.

I gdy czułem, jak moja moc jest mi wyrywana zaklęciem, które rzuciła, wznosząc toast, skorzystałem z niej ostatni raz i wymazałem pamięć o Velaris, zaklęciach ochronnych i wszystkim, co było dobre, z umysłów przedstawicieli Dworu Koszmarów – jedynych, którym pozwoliłem sobie towarzyszyć. Następnie postawiłem barierę wokół miasta i powiązałem ją z moimi przyjaciółmi, tak aby musieli tam pozostać, bo w przeciwnym razie ochronna bańka mogłaby prysnąć. Ostatnie strużki magii wykorzystałem, by wyjaśnić im w myślach, co się właśnie stało, i przestrzec, by trzymali się od tego z daleka. Po kilku sekundach cała moja moc należała już w pełni do Amaranthy.

Uniósł na mnie wzrok. Udręczony, ponury.

– Wyrznęła połowę Dworu Koszmarów, tak jak stali. Żeby mi pokazać, że może to zrobić. W imię zemsty za ojca Tamlina. A ja zrozumiałem... W tamtej chwili zrozumiałem, że zrobię wszystko, aby nie dopuścić jej ponownie do mojego dworu. Żeby nie patrzyła zbyt długo na to, kim byłem i co kochałem. Uznałem to więc za nową wojnę, nowy rodzaj bitwy. Tamtej nocy, kiedy ciągle zwracała na mnie uwagę, zrozumiałem, czego chce. Zrozumiałem, że nie chodzi jej o pieprzenie się ze mną, a o zemstę na duchu mojego ojca. Ale jeśli tego pragnęła, to właśnie miała dostać. Sprawilem, że błagała i krzyczała, wykorzystałem resztki moich mocy, żeby przeżywała taką rozkosz, by chciała więcej. Pragnęła więcej.

Przytrzymałam się blatu za mną, żeby nie osunąć się na ziemię.

– Potem rzuciła klątwę na Tamlina. I tak oto mój drugi wielki wróg stał się furtką, która mogła doprowadzić do uwolnienia nas wszystkich. Każdej nocy, którą spędzałem z Amaranthą, wiedziałem, że cały czas zastanawiała się, czy spróbuje ją zabić. Nie mogłem wykorzystać swoich mocy przeciwko niej, a przed fizycznymi atakami sama się zabezpieczyła. Ale przez pięćdziesiąt lat, kiedy tylko byłem w niej,

myślałem o odebraniu jej życia. Nie miała pojęcia. Najmniejszego. Ponieważ byłem tak dobry w tym, co robiłem, że uwierzyła, że mnie to też sprawia przyjemność. Zaczęła mi ufać... bardziej niż innym. Zwłaszcza gdy pokazałem jej, co potrafię zrobić z jej wrogami. I zrobiłem to z chęcią. Nienawidziłem siebie za to, ale zrobiłem to z chęcią. Po dziesięciu latach przestałem się łudzić, że kiedykolwiek jeszcze zobaczę moich przyjaciół czy mój lud. Zapomniałem, jak wyglądają ich twarze. I porzuciłem wszelką nadzieję.

Srebro zaśniło w jego oczach, ale zamrugał kilkakrotnie i zniknęło.

– Trzy lata temu – podjął cichym głosem – zacząłem mieć... sny. Początkowo były to tylko krótkie epizody, tak jakbym spoglądał przez cudze oczy. Ogień trzaskający na palenisku w ciemnej chacie. Stos siana w stodole. Kolonia królików. Obrazy były mgliste, jak przy patrzeniu przez przydymione szkło. Trwały krótko: przebłysk tu i tam, co parę miesięcy. Nie zwracałem na nie uwagi, dopóki za którymś razem nie ujrzałem dłoni... Pięknej ludzkiej dłoni. Trzymającej pędzel. Malującej... kwiaty na stole.

Serce zamarło mi w piersi.

– Wtedy pchnąłem w drugą stronę własną myśl. Wspomnienie nocnego nieba; obrazu, który przynosił mi radość, gdy potrzebowałem jej najbardziej. Bezkresnego nocnego nieba, gwiazd i księżyca. Nie wiedziałem, czy myśl dotrze do celu, ale i tak spróbowałem.

Chyba przestałam oddychać.

– Te sny... przebłyski życia tej osoby, tej kobiety... Hołubiłem je. Przypominały mi, że kiedyś na świecie panował pokój, że było na nim światło. Że było gdzieś miejsce, że była osoba, która była dość bezpieczna, by móc malować kwiaty na stole. Trwało to kilka lat, aż... To było rok temu. Spałem u boku Amaranthy i nagle wybudziłem się ze snu... ze snu, który był wyraźniejszy i jaśniejszy, tak jakby mgła została rozwiana. Ona... ty śniłaś. Byłem w twoim śnie, przyglądałem się, jak śnisz koszmar o jakiejś kobiecie podrywającej ci gardło, podczas gdy gonił cię bogge... Nie mogłem sięgnąć ku tobie, nie mogłem z tobą porozmawiać. Ale we śnie widziałaś nas. I zrozumiałem, że mgła prawdopodobnie była związana z murem i że ty... że byłaś już

w Prythianie.

Widziałem cię w twoich snach. Zbierałem te obrazy, analizowałem je raz po raz, usiłując ustalić, gdzie jesteś, kim jesteś. Ale dręczyły cię takie okropne koszmary, a stwory, które widziałem, należały do wszystkich dworów. Budziłem się wciąż czując twój zapach, który potem prześladował mnie przez cały dzień, przy każdym kroku. Aż pewnej nocy we śnie stałaś wśród zielonych wzgórz i spoglądałaś na niezapalone jeszcze ogniska przygotowane na Calanmai.

W głowie miałam całkowitą ciszę.

– Wiedziałem, że tylko w jednym miejscu obchody były organizowane z takim rozmachem. Znałem te wzgórza... i wiedziałem, że zapewne tam będziesz. Powiedziałem więc Amarancie...

Rhys przełknął ślinę.

– Powiedziałem jej, że chcę udać się do Dworu Wiosny na święto, żeby szpiegować Tamlina i zobaczyć, kto jeszcze się tam pojawi, by z nim spiskować. Pozostało już tak mało czasu, że zaczynała mieć paranoję, zaczynała wariować. Kazała mi przyprowadzić zdrajców przed jej oblicze. Obiecałem jej to.

Ponownie uniósł na mnie wzrok.

– Gdy dotarłem na miejsce, poczułem twój zapach. Podążyłem za nim i... znalazłem cię. Ludzką... tak całkowicie ludzką, odciąganą przez tych gównianych piktów, którzy chcieli... – Pokręcił głową. – Rozważyłem zabicie ich tam, gdzie stali, ale wtedy rzucili cię na ziemię, a ja po prostu... ruszyłem. Zacząłem mówić, nie wiedząc, jakich słów używam. Wiedziałem tylko tyle, że byłaś tam, że dotykałem cię i...

Wypuścił drżący oddech.

„Tutaj jesteś. Szukałem cię”.

Jego pierwsze słowa wypowiedziane do mnie – nie były kłamstwem, nie były groźbą, która miała odgonić tamtych fae.

„Dziękuję, żeście ją dla mnie znaleźli”.

Miałam dziwne uczucie, że świat ucieka spod moich stóp niczym piach zmywany z brzegu.

– Spojrzałaś na mnie – podjął swoją opowieść Rhys – i zrozumiałem, że nie masz najmniejszego pojęcia, kim jestem. Że podczas gdy ja widziałem twoje sny, ty nie widziałaś moich. Byłaś po

prostu... człowiekiem. Byłaś taka młoda, taka krucha i całkowicie mną niezainteresowana. Zrozumiałem, że jeśli zostanę tam zbyt długo, ktoś mógłby nas zobaczyć i donieść Amarancie, a wtedy ona by cię odszukała. Zacząłem więc odchodzić, sądząc, że ucieszysz się z możliwości pozbycia się mnie. Ale wtedy mnie zawołałaś, tak jakbyś nie mogła jeszcze pozwolić mi odejść, czy byłaś tego świadoma, czy nie. A ja wiedziałem... wiedziałem, że z jakiegoś powodu poruszamy się po grząskim gruncie. Wiedziałem, że nie wolno mi było więcej rozmawiać z tobą ani zobaczyć się z tobą, ani nawet o tobie pomyśleć.

Nie chciałem wiedzieć, dlaczego jesteś w Prythianie. Nie chciałem nawet wiedzieć, jak masz na imię. Ponieważ widzieć cię w snach to jedno, ale twarzą w twarz... Właśnie wtedy, gdzieś głęboko chyba wiedziałem, kim jesteś. Nie chciałem tego sam przed sobą przyznać, ponieważ jeśli była najmniejsza choćby szansa, że los wybrał cię na moją towarzyszkę... Zrobiliby ci takie rzeczy, Feyro, których nie da się opisać.

Zatem pozwoliłem ci odejść. Gdy zniknęłaś mi z oczu, powiedziałem sobie, że może... może Kocioł wykazał się miłosierdziem, nie okrucieństwem, że pozwolił mi cię zobaczyć. Ten jeden raz. Dar mający wynagrodzić mi to, co musiałem znieść. Kiedy byłaś już daleko, odszukałem tych trzech piktów. Wdarłem się do ich umysłów, przebudowałem ich życia, ich historię i zaciągnąłem przed oblicze Amaranthy. Zmusiłem do przyznania się do spisku i prób zwerbowania tamtej nocy nowych buntowników. Kazałem im skłamać i oświadczyć, że jej nienawidzą. Przyglądałem się, jak ich kroi na kawałki, wciąż żywych, zarzekających się, że są niewinni. Sprawilo mi to przyjemność, ponieważ wiedziałem, co chcieli ci zrobić. I wiedziałem, że byłoby to nic w porównaniu z tym, co Amarantha zrobiłaby tobie, gdyby cię znalazła.

Objęłam dłońmi szyję. „Miałem wtedy swoje powody, żeby się pojawić – powiedział mi pod Górą. – Nie myśl sobie, Feyro, że nic mnie to nie kosztowało”.

Rhys wpatrywał się w blat stołu.

– Nie wiedziałem – powiedział po chwili milczenia. – Że byłaś z Tamlinem. Że mieszkałaś na Dworze Wiosny. Amarantha wysłała mnie ponownie w dzień przesilenia letniego, ponieważ tak dobrze się

spisałem w noc Calanmai. Byłem gotowy wyzwać go, może nawet zetrzeć się z nim. Ale kiedy wszedłem do tamtej komnaty i poczułem znajomy zapach, lecz nigdzie cię nie widziałem... Kiedy zobaczyłem dodatkowy talerz i poczułem zakłęcie... Byłaś tam. Mieszkałaś w domu mojego drugiego najgorszego wroga. Jadłaś z nim. Cała ociekałaś jego zapachem. Patrzyłaś na niego, jakbyś... jakbyś go kochała.

Zacisnął mocno pięści.

– Wtedy uznałem, że muszę przestraszyć Tamlina. Musiałem przestraszyć ciebie, Luciena, ale głównie Tamlina. Ponieważ dostrzegłem też, w jaki sposób on patrzy na ciebie. Zatem to, co wtedy zrobiłem... – Zacisnął pobladłe wargi. – Wdarłem się do twojego umysłu i przytrzymałem go na tyle mocno, abyś to poczuła, abyś się przeraziła, aby sprawić ci ból. Zmusiłem Tamlina, by mnie błagał, tak jak Amarantha zmusiła mnie, aby wykazać mu jego bezsilność i udowodnić mu, że nie może cię ocalić. I modliłem się, żebym był wystarczająco przekonujący, żeby cię odesłał. Z powrotem do krainy ludzi, z dala od Amaranthy. Ponieważ ona by cię znalazła. Gdybyś przełamała klątwę, znalazłaby cię i zabiła.

Ale byłem tak samolubny... tak głupio samolubny, że nie mogłem odejść, nie poznawszy twojego imienia. A ty na mnie patrzyłaś, jakbym był potworem, zatem powiedziałem sobie, że to i tak nie miało znaczenia. Ale kiedy cię zapytałem, skłamałaś. Wiedziałem, że skłamałaś. Trzymałem twój umysł w dłoni, a ty miałaś dość czelności i okazałaś się na tyle przewidywająca, że skłamałaś mi prosto w oczy. Zatem ponownie odszedłem. Gdy tylko znalazłem się poza zasięgiem czyjegokolwiek wzroku, wymiotowałem tak długo, aż nie miałem już czym.

Wargi mi zadrżały. Zacisnęłam je mocno.

– Sprawdziłem raz. Żeby się upewnić, że cię nie ma. Byłem tam, kiedy plądrowali rezydencję Tamlina, żeby dopełnić mojego przedstawienia. Powtórzyłem Amarancie imię tamtej dziewczyny, sądząc, że je po prostu wymyśliłaś. Nie miałem pojęcia... Nie wiedziałem, że pośle swoich sługusów po Klarę. Ale gdybym przyznał się do kłamstwa... – Przełknął głośno ślinę. – Wdarłem się do głowy Klary, kiedy ją sprowadzili pod Górę. Odebrałem jej możliwość

odczuwania bólu i kazałem krzyczeć, kiedy tego od niej oczekiwali. A oni... robili jej te wszystkie rzeczy, a ja próbowałem jej zadośćuczynić, ale... Po tygodniu nie mogłem już im na to dłużej pozwalać. Nie mogłem już patrzeć, jak ją zamęczają. Dlatego też kiedy ją torturowali, wślizgnąłem się ponownie do jej myśli i zakończyłem to wszystko. Nie czuła bólu. Nie odczuła niczego z tego, co jej robili, nawet pod sam koniec. Ale... wciąż ją widzę. I moich ludzi. I innych, których zabiłem dla Amaranthy.

Po jego policzku spłynęły dwie szybkie i zimne łzy.

– Sądziłem, że po tym będzie już po wszystkim – podjął opowieść, nie ocierając łez. – Po śmierci Klary Amarantha wierzyła, że zabiła kochankę Tamlina. Byłaś więc bezpieczna, daleko stamtąd, mój lud też był bezpieczny, a Tamlin przegrał, więc... było po wszystkim. Było po nas. Ale wtedy... W dniu, w którym attor wprowadził cię do sali tronowej, stałem z tyłu w tłumie. I nigdy wcześniej ani później nie byłem tak przerażony, Feyro, kiedy słuchałem, jak dobijasz z nią targu. To był irracjonalny, głupi strach, przecież cię nie znałem. Nawet nie znałem twojego imienia. Ale pomyślałem o tych dłoniach malarki, o kwiatach, które widziałem, jak tworzyłaś. I jak Amarantha by się rozkoszowała miażdżeniem twoich palców. Musiałem stać i się przyglądać, kiedy attor i jego przydupasy cię maltretują. Musiałem znosić odrazę i nienawiść na twojej twarzy, gdy na mnie spjrzałaś, kiedy groziłem Lucienowi roztrzaskaniem jego umysłu. I wtedy... wtedy poznałem twoje imię. Usłyszeć, jak je wymawiasz... to było niczym odpowiedź na pytanie, które zadawałem przez pięćset lat.

Zdecydowałem, tam i wtedy, że będę walczył. Że będę walczył nieczysto, że będę zabijał, torturował i manipulował. Ale wiedziałem, że chcę walczyć. Jeśli istniała szansa na uwolnienie nas spod jarzma Amaranthy, byłaś nią ty. Pomyślałem... Pomyślałem, że Kocioł zsyłał mi twoje sny, aby mi przekazać, że ty jesteś tą, która nas ocali. Która ocali mój lud. Zatem obserwowałem twoją pierwszą próbę. Udawałem... zawsze udawałem tego, którego nienawidziłaś. Kiedy odniosłaś tak poważne rany w walce z czerwem... Znalazłem w tobie swój sposób. Sposób na rzucenie wyzwania Amarancie, na zasianie nasion nadziei w tych, którzy wiedzieli, jak należy odczytać tę wiadomość, na

utrzymanie cię przy życiu bez wzbudzania zbytnich podejrzeń. A także na odegranie się na Tamlinie... Na wykorzystanie go przeciwko Amarancie, tak, ale... Na odegranie się za moją matkę i siostrę, a także za... twoją miłość do niego. Kiedy dobijaliśmy targu, pałałaś do mnie taką nienawiścią... zrozumiałem, że doskonale odegrałem swoją rolę. Zatem zacisnąłem zęby i znosiłem to. Kazałem cię ubierać tak a nie inaczej, żeby Amarantha niczego nie podejrzewała. I kazałem ci pić to wino, żebyś nie pamiętała nic z tych nocnych okropieństw. A tej ostatniej nocy, kiedy zdybałem waszą dwójkę w korytarzu... Byłem zazdrosny. Zazdrosny o niego i wkurzony, że tę jedną szansę zrobienia czegoś niezauważenie wykorzystał nie na próbę wydostania cię, ale na próbę... Amarantha widziała tę zazdrość. Widziała mnie całującego ciebie, aby ukryć dowody, ale dostrzegła prawdziwy powód. Po raz pierwszy dostrzegła prawdziwy powód. Dlatego tamtej nocy, po zakończeniu przyjęcia, musiałem... jej służyć. Przetrzymywała mnie dłużej niż zwykle, usiłując wycisnąć ze mnie odpowiedzi. Ale ja powiedziałem jej to, co chciała usłyszeć: że nic dla mnie nie znaczysz, że jesteś ludzkim śmieciem, że chciałem cię tylko wykorzystać i porzucić. Po tym... chciałem się z tobą zobaczyć. Ten jeden ostatni raz. W cztery oczy. Pomyślałem, że może wyznam ci wszystko... ale kim bym się stał, za kogo ty mnie miałaś... Nie odważyłem się rozwiać tej mistyfikacji. Wtedy nadszedł dzień ostatniej próby i... Kiedy zaczęła cię torturować, coś pękło w sposób, którego nie potrafiłem wytłumaczyć, ale patrzenie, jak krwawisz i krzyczysz, zabiło mnie. Złamało mnie do końca. I zrozumiałem, gdy podniosłem ten nóż, aby ją zabić... Wtedy zrozumiałem, czym byłaś. Zrozumiałem, że byłaś moją towarzyszką, że byliśmy sobie przeznaczeni, ale ty kochałaś innego i właśnie zniszczyłaś samą siebie, żeby go ocalić. Zrozumiałem też... że było mi już wszystko jedno. Jeśli miałaś umrzeć, zamierzałem umrzeć razem z tobą. Nie mogłem przestać o tym myśleć, gdy krzyczałaś, gdy spróbowałem ją zabić: byłaś moją towarzyszką, moją towarzyszką, moją towarzyszką.

Zamilkł na chwilę.

– Ale wtedy złamała ci kark. – Łzy popłynęły po jego twarzy.

– I poczułem, jak umierasz – wyszeptał.

Po moich policzkach również spływały łzy.

– I ta piękna, cudowna istota, która pojawiła się w moim życiu, ten dar od Kotła... Odszedł. Pchany desperacją, uczepiłem się łączącej nas więzi. Nie tej z umowy – to było nic, to było jak pajęczyna. Uchwyciłem się naszej prawdziwej więzi i *pociągnąłem*, nakazałem ci trzymać się życia, zostać ze mną, ponieważ jeśli mogliśmy odzyskać wolność... Jeśli mogliśmy odzyskać wolność, to... Cała nasza siódemka była na miejscu. Mogliśmy cię sprowadzić z powrotem. Nawet gdybym musiał wtargnąć do umysłów ich wszystkich, żeby to osiągnąć. *Zmusiłbym* ich, żeby cię uratowali. – Dłonie mu się trzęsły. – Uwolniłaś nas swoim ostatnim tchnieniem, odzyskałem swoją moc... i owinąłem ją wokół tej więzi. Wokół więzi godowej. Czuję cię migoczącą tam, trzymającą się ostatkiem sił.

Dom. Na drugim końcu więzi był mój dom, tak powiedziała Rzeźbiącemu w Kościach. Nie Tamlin, nie Dwór Wiosny, lecz... Rhysand.

– Tak więc Amarantha została zabita i porozumiałem się ze wszystkimi książętami, umysł do umysłu, przekonując ich, by podeszli, by ofiarowali tę iskrę mocy. Nikt nie wyraził sprzeciwu. Chyba byli zbyt oszołomieni, żeby choć pomyśleć o odmowie. I... Znowu musiałem się przyglądać, jak Tamlin trzymał cię w objęciach. Całował. Chciałem wrócić do domu, do Velaris, ale musiałem zostać, dopilnować, żeby pewne działania zostały zapoczątkowane, upewnić się, że jesteś bezpieczna. Czekałem więc tak długo, jak tylko mogłem, po czym pociągnąłem lekko za tę więź. Ruszyłaś mnie szukać.

Prawie ci wtedy wyznałem prawdę, ale... Byłaś taka smutna. I zmęczona. I po raz pierwszy spojrzałaś na mnie, jakbym... jakbym był w twoich oczach coś wart. Zatem przyrzekłem sobie, że gdy ujrzę cię następnym razem, zwolnię cię z konieczności dotrzymania twojej części umowy. Ponieważ byłem samolubny i wiedziałem, że jeśli zrobiłbym to od razu, on by cię zamknął w złotej klatce i nigdy więcej już bym cię nie ujrzał. Kiedy chciałem się pożegnać... Chyba twoje odrodzenie jako fae sprawiło, że nasza więź się utrwaliła. Zdawałem sobie wcześniej sprawę z jej istnienia, ale wtedy *uderzyła* mnie całą swoją mocą; tak silnie, że spanikowałem. Wiedziałem, że jeśli bym został choć chwilę dłużej, nie zważając na konsekwencje, zabrałbym cię ze sobą. I wtedy

znenawidziłabyś mnie na wieczność. Doleciałem do Dworu Nocy, do czekającej na mnie Mor, i byłem tak roztrzęsiony, tak... oszalały, że powiedziałem jej wszystko. Nie widziałem jej pięćdziesiąt lat, a pierwsze moje słowa do niej brzmiały: „Ona jest moją towarzyszką”. A przez te trzy miesiące... przez trzy miesiące usiłowałem sobie wmówić, że lepiej ci będzie beze mnie. Usiłowałem sam siebie przekonać, że nienawidzisz mnie za wszystko, co zrobiłem. Ale czułem cię przez tę więź, przez twoje otwarte tarcze. Czułem twój ból, smutek, osamotnienie. Czułem, jak usiłujesz uciec z mroku Amaranthy, tak samo jak ja próbowałem. Słyszałem, że staniesz z nim na ślubnym kobiercu, i wmawiałem sobie, że jesteś szczęśliwa. Że powinienem pozwolić ci zaznać szczęścia, nawet jeśli miałyby to mnie zabić w środku. Nawet jeśli byłaś moją towarzyszką, to zasłużyłaś na to szczęście.

W dniu twojego ślubu miałem zamiar upić się do nieprzytomności z Kasjanem, który nie miał pojęcia, dlaczego chcę to zrobić, ale... Ale wtedy poczułem cię znowu. Poczułem twoją panikę i rozpacz; usłyszałem, jak błagasz kogoś, kogokolwiek, by cię ocalił. To przerwało tamę. Przeskoczyłem na ślub, ledwo pamiętając, kim miałem być, jaką rolę miałem odegrać. Widziałem tylko ciebie w tej głupiej sukni ślubnej... taką chudziutką... Taką wychudłą i bladą. I chciałem go za to zabić, ale musiałem cię wydostać. Musiałem powołać się na naszą umowę, ten jeden raz, aby cię stamtąd wyciągnąć, żeby upewnić się, że nic ci nie jest.

Rhys spojrział na mnie pustym wzrokiem.

– To mnie niszczyło, Feyro. Odsyłanie cię z powrotem.

Przyglądanie się, jak marniejesz, miesiąc po miesiącu. Konałem z powodu świadomości, że dzielisz z nim łożę. Nie tylko dlatego, że byłaś mi przeznaczona, ale też... – Spuścił wzrok, po czym znów na mnie spojrział. – Zrozumiałem... Zrozumiałem, że cię kocham, gdy podniosłem nóż, by zabić Amaranthę. Kiedy tu w końcu dotarłaś... Zdecydowałem się niczego ci nie mówić. Niczego. Postanowiłem nie zwalniać cię z naszej umowy, ponieważ twoja nienawiść była lepsza od twojej obojętności albo od... uczucia podobnego do mojego, które spowodowałyby, że pozwoliłbym sobie ciebie kochać, a ty zostałabyś mi odebrana. Tak jak to się stało z moją rodziną... z moimi przyjaciółmi.

Zatem niczego ci nie powiedziałem. Przyglądałem się, jak coraz bardziej więdniesz. Aż do tego dnia... tego dnia, kiedy cię zamknął na klucz. Gdyby wciąż był na miejscu, zabiłbym go. Ale zabierając cię wtedy, złamałem pewne bardzo, bardzo podstawowe zasady. Amrena powiedziała, że gdybym uzyskał od ciebie potwierdzenie, że jesteśmy sobie przeznaczeni, że łączy nas więź godowa, uchroniłoby to nas od kłopotów, ale... Nie mogłem tego na tobie wymusić. Nie mogłem cię też uwieść, przekonać podstępem, abyś zaakceptowała tę więź. Nawet jeśli dawało to Tamlinowi prawo do wypowiedzenia mi wojny. Przecież tyle już musiałaś przejść. Nie chciałem, żebyś pomyślała, że wszystko, co zrobiłem, było obliczone na zdobycie ciebie, żeby tylko utrzymać bezpieczeństwo swoich ziem. Ale nie mogłem... Nie mogłem przestać być przy tobie, kochać cię i pragnąć ciebie. Wciąż nie potrafię pozostawać z dala od ciebie przez dłuższy czas.

Odchylił się do tyłu i głęboko odetchnął.

Powoli obróciłam się do wrzącej już zupy i nalałam mu pełną miskę.

Obserwował każdy mój krok z kuchni do stołu, nie spuszczał wzroku z parującej miski w moich dłoniach.

Zatrzymałam się przed nim i spojrzałam na niego z góry.

– Kochasz mnie? – zapytałam.

Kiwnął głową.

Pomyślałam, że może miłość jest zbyt słabym słowem na określenie tego, co czułam, co dla mnie zrobił. Na opisanie tego, co ja czułam do niego.

Postawiłam przed nim miskę.

– To jedz.

Rozdział 55

Przyglądałam mu się, jak je. Każdej łyżce zupy unoszonej do ust. Jego spojrzenie wędrowało od miski do mojej twarzy.

Kiedy skończył, odłożył łyżkę na stół i przez chwilę się nie odzywał.

– Będiesz tak milcząca? – zapytał w końcu.

– Miałam zamiar powiedzieć ci, co zdecydowałam, gdy tylko zobaczyłam cię w wejściu.

Rhys obrócił się na krześle w moją stronę.

– A teraz?

Świadoma każdego oddechu, każdego ruchu, usiadłam mu na kolanach. Objął mnie delikatnie w biodrach, a ja studiowałam jego twarz.

– A teraz, Rhysandzie, chcę, żebyś wiedział, że ja też ciebie kocham. Chcę, żebyś wiedział... – Wargi mu zadrżały; otarłam łzę, która potoczyła się po jego policzku. – Chcę, żebyś wiedział – wyszeptałam – że jestem rozbita i dopiero się lecę, ale każdy kawałek mojego serca należy do ciebie. I jestem zaszczyczona, prawdziwie *zaszczyczona*, że los wybrał mnie na twoją towarzyszkę.

Objął mnie i przycisnął swoje czoło do mojego ramienia. Cały dygotał. Przeczesałam palcami jego jedwabiste włosy.

– Kocham cię – powtórzyłam. Nie odważyłam się wymówić tych słów w głowie. – I przeżyłabym każdą sekundę tego wszystkiego jeszcze raz, żeby móc cię odnaleźć. A jeśli nadejdzie wojna, stawimy jej czoła. Razem. Nie pozwolę, by odebrali ci mnie. I nie pozwolę też, żeby odebrali mi ciebie.

Uniósł wzrok. Jego twarz lśniła od łez. Tkwił nieruchomo, gdy nachyliłam się i scałowałam jedną z nich. Potem drugą. Tak jak kiedyś on scałowywał moje.

Kiedy moje usta były już od nich całe mokre i słone, odchylił się, żeby móc mi spojrzeć w oczy.

– Jesteś mój – wyszeptałam.

Jego ciało zadrżało, jakby miał nim wstrząsnąć szloch, ale chwilę potem jego wargi znalazły moje.

Pocałunek był łagodny, delikatny. Taki, jaki mógłby mi dać, gdybyśmy dostali czas i spokój na spotkanie w naszych dwóch tak różnych światach. Aby ubiegać się wzajemnie o swoje względy. Zarzuciłam mu ramiona na szyję i rozwarłam szerzej wargi. Wsunął mi język do ust i musnął mój. Towarzysz – mój związany przeznaczeniem towarzysz.

Poczułam, jak stwardniał, przez co jęknęłam mu do ust.

Ten dźwięk przerwał tamę, jaką wcześniej sam sobie postawił, i Rhysand zgarnął mnie płynnym ruchem, i położył na plecach na stole – wśród wszystkich farb i częściowo na nich.

Pocałował mnie mocniej, a ja oplotłam go nogami i przyciągnęłam bliżej. Oderwał wargi od moich ust i przeniósł je na szyję, gdzie przeciągnął zębami i językiem po mojej skórze, a jednocześnie wsunął dłonie pod mój sweter i wędrował nimi wyżej i wyżej, aż objął moje piersi. Wyprężyłam się pod jego dotykiem i uniosłam ręce, a on jednym ruchem ściągnął mi ubranie przez głowę.

Rhys odchylił się, żeby mi się przyjrzeć, nagiej od pasa w górę. Włosy i ręce miałam całe pobrudzone farbą, ale gdy nachylił się i zaczął ssać moją pierś, trąc językiem sutek, mogłam myśleć tylko o jego ustach.

Wsunęłam palce w jego włosy, a on oparł dłoń przy mojej głowie – na palecie farb. Zaśmiał się cicho, a ja się przyglądałam bez tchu, gdy tą właśnie dłonią zatoczył koło wokół mojej piersi, po czym przesunął ją niżej i namalował mi pod pępkiem strzałkę w dół.

– To na wypadek, gdybyś zapomniała, gdzie to się skończy.

Parsknęłam na niego – polecenie bez słów – a on ponownie się zaśmiał i przyłożył usta do mojej drugiej piersi. Naparł na mnie biodrami, drocząc się, drocząc tak straszliwie, że musiałam go dotknąć, musiałam choć poczuć go *więcej*. Miałam farbę na dłoniach, na ramionach, ale nie zwracałam na to najmniejszej uwagi i zaczęłam ściągać z niego ubranie. Przesunął się na tyle, aby mi to ułatwić, i po chwili broń i zbroja upadły ze stukiem na podłogę, odsłaniając to piękne wytatuowane ciało, potężne mięśnie i wystające teraz znad ramion skrzydła.

Mój towarzysz – mój towarzysz.

Wbił się ustami w moje wargi – jego naga skóra tak gorąca w zetknięciu z moją – a ja chwyciłam jego twarz, również na niej rozmazując farbę. Wtarłam ją w jego włosy, ozdabiając je pasmami błękitu, czerwieni i zieleni. Chwycił mnie w talii, a ja uniosłam biodra, aby łatwiej mógł ściągnąć ze mnie skarpety i spodnie.

Ponownie się cofnął, a ja warknęłam w proteście, ale już po chwili wciągnęłam łapczywie powietrze, gdy złapał mnie za uda i podciągnął na brzeg stołu, przez farbę, pędzle i kubki z wodą, zarzucił sobie moje nogi na ramiona po obu stronach tych pięknych skrzydeł i ukląkł przede mną.

Ukląkł na tych gwiazdach i górach wytatuowanych na jego kolanach. Nie ukloniłby się przed nikim i niczym...

Poza swoją towarzyszką. Kimś równym jemu.

Pierwszy ruch języka Rhysanda wlał ogień w moje żyły.

„Chcę mieć ciebie rozłożoną na stole jako moją osobistą ucztę”.

Warknął z aprobatą na mój jęk, na mój smak i ruszył na mnie z całą werwą.

Jedną ręką przyciskając moje biodra do blatu pracował nade mną długimi zamaszystymi pociągnięciami. A kiedy wsunął język do środka, sięgnęłam ramionami za głowę i ścisnęłam krawędź stołu, uchwyciłam się krawędzi świata, z którego czułam, że zaraz spadnę.

Teraz lizał i całował moje uda, a tam, gdzie przed chwilą były jego usta, wsunął palce i poruszał nimi we mnie, jednocześnie ssąc, co chwila drażniąc skórę zębami...

Wygięłam plecy w łuk, gdy orgazm przetoczył się przeze mnie, roztrzaskując moją świadomość na milion kawałków. A on cały czas mnie lizał, cały czas poruszał palcami.

– Rhys – wychrypiałam.

Teraz. Pragnęłam go teraz.

Ale on nie wstawał z kolan, ucztując na mnie, przyszpilając mnie do stołu drugą ręką.

Ponownie przekroczyłam granicę. I dopiero gdy dygotałam, niemal łkałam, wyczerpana z rozkoszy, Rhys wstał z podłogi.

Spojrzał na mnie – naga, pokrytą farbą, która teraz pokrywała też jego twarz i ciało – i posłał mi leniwy, zadowolony męski uśmiech.

– Jesteś *moja* – warknął i wziął mnie w ramiona.

Chciałam do ściany – chciałam, żeby mnie po prostu oparł o ścianę, ale on mnie zaniósł do pokoju, z którego korzystałam, i położył mnie na łóżku z ujmującą delikatnością.

Leżąc tak całkowicie naga, przyglądałam się mu, gdy rozpiął spodnie i w końcu uwolnił swoją imponującą długość. Na sam widok zaschło mi w ustach. Pragnęłam go, pragnęłam każdego cudownego cala we mnie, pragnęłam drapać jego plecy, aż nasze dusze zostaną przetopione w jedną.

Nie powiedział nic, tylko nasunął się nade mnie ze skrzydłami ciasno złożonymi przy ciele. Nigdy nie był w łóżku z kobietą z widocznymi skrzydłami. Ale ja byłam jego towarzyszką, wybraną mu przez przeznaczenie. Robił to tylko dla mnie.

A ja chciałam go dotknąć.

Uniosłam się, sięgnęłam nad jego ramieniem i pogładziłam potężny łuk jednego ze skrzydeł.

Rhys zadrżał, a ja obserwowałam drgania jego członka.

– Później się pobawisz – wychrypiał.

W rzeczy samej.

Jego usta odnalazły moje; pocałunek był otwarty i głęboki, zderzenie języków i zębów. Położył mnie na poduszkach, a ja splotłam nogi za jego plecami, uważając na skrzydła.

Chociaż przestałam na nie uważać, gdy trącił moje wrota. I zatrzymał się.

– *Później się pobawisz* – warknęłam, nie odrywając warg od jego ust.

Rhys zaśmiał się w sposób, który przeniknął mnie do szpiku kości, po czym wsunął się we mnie. I jeszcze raz. I jeszcze raz.

Z ledwością łapałam oddech, nie mogąc myśleć o niczym innym niż o miejscu, w którym nasze ciała były złączone. Zatrzymał się we mnie, żebym mogła lepiej się ułożyć. Otworzyłam oczy i napotkałam jego wzrok.

– Powtórz to – wymruczał.

Wiedziałam, o co mu chodziło.

– Jesteś mój – wyszeptałam.

Rhys wysunął się nieco i na powrót wsunął powolnym ruchem. Tak niemilosierdzie powolnym.

– Jesteś mój – jęknęłam cicho.

Ponownie wysunął się i wsunął.

– Jesteś mój.

Ponownie – tym razem szybciej, głębiej.

Wtedy to poczułam, więź między nami, niczym nierozzerwalny łańcuch, niemożliwy do zasłonięcia promień światła.

Z każdym zdecydowanym pchnięciem lśniła jaśniej, wyraźniej, mocniej.

– Jesteś mój – wyszeptałam, przeczesując dłońmi jego włosy, drapiąc plecy, gładząc skrzydła.

Mój przyjaciel w tylu niebezpieczeństwach.

Mój kochanek, który uleczył moją strzaskaną i znużoną duszę.

Mój towarzysz, który czekał na mnie wbrew wszelkiej nadziei, wbrew wszelkim przeciwnościom.

Poruszałam biodrami jednym rytmem z nim. Całował mnie cały czas, bez przerwy, aż nasze twarze były wilgotne od śliny. Każdy cał mojego ciała płonął i kurczył się, aż całkowicie straciłam kontrolę nad sobą.

– Kocham cię – wyszeptał.

Spełnienie runęło przez moje ciało, a on wbijał się we mnie mocnymi szybkimi ruchami, wyciskając ze mnie rozkosz, aż poczułam, zobaczyłam i zwęszyłam łączącą nas więź, aż nasze zapachy *połączyły się* w jeden i ja byłam jego, a on był mój; aż byliśmy początkiem, środkiem i końcem. Byliśmy pieśnią wyśpiewywaną od pierwszego zalażka światła na świecie.

Rhys zaryczał, gdy doszedł, wbijając się we mnie aż po nasadę. Na zewnątrz góry zadrżały, a pozostały jeszcze na nich śnieg zsunął się z nich kaskadą migoczącej bieli tylko po to, by zostać połkniętym przez wyczekującą poniżej noc.

Zapadła cisza przerywana jedynie naszym dyszeniem.

Ujęłam jego wymazaną farbą twarz w równie barwne dłonie i zmusiłam, by na mnie spojrział.

Jego oczy jaśniały niczym gwiazdy, które namalowałam kiedyś,

dawno temu.

Uśmiechnęłam się do niego i pozwoliłam więzi godowej lśnić jasno i wyraźnie między nami.

Nie wiedziałam, jak długo leżeliśmy, leniwie dotykając się nawzajem, tak jakbyśmy może istotnie mieli tyle czasu, ile byśmy tylko zapragnęli.

– Chyba zakochałem się w tobie – powiedział miękkim głosem Rhys, sunąc palcem wzdłuż mojego ramienia – w chwili, gdy zrozumiałem, że rozszczepiasz te kości, żeby zastawić pułapkę na czerwia. Albo może gdy się na mnie zamachnęłaś za sztydzenie z siebie. Tak bardzo przypominałaś mi wtedy Kasjana. Po raz pierwszy od dziesięcioleci miałem ochotę się *roześmiać*.

– Zakochałeś się we mnie – zapytałam bezbarwnym głosem – bo przypominałaś ci twojego przyjaciela?

Pstryknął mnie w nos.

– Zakochałem się w tobie, mądralo, bo byłaś jedną z nas. Bo się mnie nie bałaś i zdecydowałaś się przypieczętować swoje spektakularne zwycięstwo, ciskając tą kością w Amaranthę jak oszczepem. Poczulem wtedy ducha Kasjana obok siebie i przysięgłbym, że powiedział: „Jeśli się z nią nie ożenisz, durny fiucie, ja to zrobię”.

Zduśliłam śmiech i przesunęłam poplamioną farbą dłoń po jego wytatuowanym torsie. Farba... właśnie.

Oboje byliśmy nią pokryci. Podobnie jak i pościel.

Rhys podążył za moim wzrokiem i posłał mi arcyszelmowski uśmiech.

– Jak to się dobrze składa, że wanna jest dość duża dla nas obojga.

Krew się we mnie zagotowała i wstałam z łóżka, ale on był szybszy i pochwycił mnie w ramiona. Był cały pochlapany farbą, w farbie miał też całe włosy i te jego biedne piękne skrzydła... Były na nich odciski moich dłoni. Zaniósł mnie nagą do kąpieli – woda już leciała z kranu dzięki magii tej chaty.

Zszedł po schodkach. Ucho owiał mi syk rozkoszy. Sama też chyba cicho jęknęłam, gdy zanurzył mnie w gorącej wodzie.

Na kamiennym brzegu wanny pojawił się koszyk mydeł i olejków. Odepchnęłam się od niego, aby zanurzyć się głębiej. Para unosiła się między nami. Rhys wziął mydło pachnące sosnową żywicą i podał mi je, a zaraz potem szmatkę.

– Ktoś, jak się wydaje, pobrudził mi skrzydła.

Twarz zalał mi rumieniec, ale jednocześnie coś mnie ścisnęło w żołądku. Ilyrowie i ich skrzydła – takie wrażliwe.

Zakręciłam palcem, aby się obrócił. Posłusznie wykonał moje polecenie i rozpostarł te wspaniałe skrzydła tak, bym mogła odszukać plamy farby. Namydliłam szmatkę i ostrożnie, bardzo ostrożnie zaczęłam wycierać czerwień, błękit i fiolet.

Blask świec tańczył na niezliczonych białych bliznach – niemal niewidocznych poza drobnymi stwardnieniami na membranie. Rhys drżał z każdym przesunięciem mojej ręki z dłońmi zaciśniętymi na brzegu wanny. Zajrzałam mu przez ramię, aby sprawdzić dowody tej wrażliwości.

– Przynajmniej pogłoski o związku między rozpiętością skrzydeł a wielkością innych części ciała okazały się prawdziwe – powiedziałam.

Mięśnie na jego grzbiecie zagrały, gdy stłumił śmiech.

– Co za niewyparzony, złośliwy język.

Pomyślałam o wszystkich miejscach, w których chciałam użyć swojego języka, i zarumieniłam się trochę.

– Chyba zakochałam się w tobie już od jakiegoś czasu – wyznałam ledwie słyszalnie w szumie wody, nie przerywając mycia jego pięknych skrzydeł. – Ale w dniu Spadających Gwiazd wiedziałam już na pewno. Albo zbliżyłam się do tej wiedzy i tak się jej przestraszyłam, że nie chciałam się jej przyglądać z bliska. Byłam tchórzem.

– Miałaś bardzo poważne powody, by się tego wystrzeżać.

– Nie, to nieprawda. Może... dzięki Tamlinowi, tak. Ale to nie miało nic wspólnego z tobą, Rhys. Absolutnie nic. Nigdy nie bałam się konsekwencji bycia z tobą. Nawet gdyby polowali na nas wszyscy zabójcy świata... Byłoby warto. Ty jesteś tego wart.

Opuścił nieco głowę.

– Dziękuję – powiedział ochryple.

Serce mi wtedy pękło, z jego powodu; z powodu tych wszystkich

lat, przez które myślał coś zgoła przeciwnego. Pocałowałam jego nagi kark, a on sięgnął ręką za siebie, żeby pogłodzić palcem mój policzek.

Skończyłam ze skrzydłami i pociągnęłam go za ramię, aby się do mnie obrócił.

– Co teraz?

Bez słowa wziął ode mnie mydło i obrócił mnie, aby wyszorować mi delikatnie plecy.

– Decyzja należy do ciebie – powiedział Rhys. – Możemy wrócić do Velaris i poprosić kapłankę – nikogo w rodzaju Ianthy, masz moje słowo – aby zbadała i oficjalnie potwierdziła naszą więź godową. Moglibyśmy urządzić niewielkie przyjęcie, aby to uczcić. Kolację z naszymi... przyzwoitkami. Chyba że wolisz huczne przyjęcie, ale raczej oboje się zgodzimy, że żywimy do nich jednaką awersją.

Silnymi dłońmi zaczął masować napięte i obolałe mięśnie na moim grzbiecie. Jęknęłam z ulgi.

– Moglibyśmy też stanąć przed kapłanką i stać się mężem i żoną, nie tylko towarzyszami dzielącymi więź godową, jeśli chcesz mnie nazywać bardziej ludzkim określeniem.

– A jak ty mnie będziesz nazywać?

– Towarzyszką – odparł. – Chociaż nazywanie cię moją żoną również brzmi niezmiernie kusząco. – Masował kciukami mięśnie wzdłuż mojego kręgosłupa. – Albo, jeśli chcesz zaczekać, możemy nie robić żadnej z tych rzeczy. Jesteśmy związani nierozzerwalną więzią niezależnie od tego, czy wykrzyczymy to całemu światu, czy też zachowamy milczenie. Nie musisz się śpieszyć z decyzją.

Odwróciłam się.

– Pytałam o Juriana, króla, królowe i Kocioł, ale cieszę się, że mamy tyle różnych możliwości, jeśli chodzi o nasz związek. A także że zrobisz, co tylko zechcę. Najwyraźniej całkowicie już owinęłam cię wokół palca.

W jego oczach zatańczyło drapieżne rozbawienie.

– Okrutna, piękna istoto.

Parsknęłam. Pomysł, że uznawał mnie za choć trochę atrakcyjną...

– Jesteś piękna – powiedział. – W całym swoim życiu nie widziałem niczego piękniejszego od ciebie. Pomyślałem tak w chwili,

gdy cię ujrzałem po raz pierwszy w noc Calanmai.

To takie głupie, głupie, że piękno miało jakiegokolwiek znaczenie, ale... oczy mnie zapiekły.

– Co się świetnie składa – dodał – skoro pomyślałaś, że i ja jestem najpiękniejszym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek widziałaś. W ten sposób jesteśmy sobie równi.

Skrzywiłam się, a on się roześmiał. Przesunął dłonie na moją talię, po czym przyciągnął mnie do siebie. Usiadł na obrzeżu wanny, a ja usiadłam okrakiem na jego kolanach i bezwiednie zaczęłam gładzić jego muskularne ramiona.

– Jutro. – Twarz Rhysa stężała. – Jutro ruszamy do posiadłości twojej rodziny. Królowe przesłały wiadomość. Powrócą tam za trzy dni. Zamarłam.

– *Teraz mi to mówisz?*

– Coś odwróciło moją uwagę – odparł z błyskiem w oku.

To światło w jego oczach, ta cicha radość... Zaparły mi dech w piersiach. Przyszłość – mielibyśmy wspólną przyszłość. *Ja* miałabym przyszłość. *Życie*.

Jego uśmiech zamarł, a twarz przybrała wyraz jakby... uwielbienia? Wyciągnęłam obie dłonie, by jej dotknąć...

Wtedy zobaczyłam, że moja skóra jaśnieje.

Lekko, jakby wewnętrzne światło przeświecało na zewnątrz przez skórę. Ciepłe i białe światło, jak blask słońca – lub gwiazd. Pełne zachwyty oczy Rhysa spotkały moje, a jego palce przesunęły się wzdłuż mojego ramienia.

– Cóż, przynajmniej mogę się teraz chwalić, że sprawiłem, iż moja towarzyszka naprawdę jaśnieje szczęściem.

Roześmiałam się, a światło zaśniło nieco jaśniej. Rhys pochylił się i pocałował mnie delikatnie, a ja rozpląnąłam się, oplatając ramiona wokół jego szyi. Był już twardy jak skała, czułam go wyraźnie prężącego się dokładnie pode mną. Wystarczyłby jeden płynny ruch bioder i znalazłby się we mnie...

Ale Rhys podniósł się z wody, pozwalając jej ściekać z naszych ciał. Oplotłam nogi wokół jego pasa i pozwoliłam się zanieść z powrotem do sypialni. Pościel została w tym czasie zmieniona dzięki

magii tej chaty. Na mojej nagiej skórze sprawiała wrażenie ciepłej i gładkiej. Położył mnie na łóżku i wpatrywał się we mnie. Jaśniałam – lśniłam jasnym światłem jak gwiazda.

– Dwór Dnia? – zapytałam.

– Wszystko mi jedno – odparł szorstko i zdjął z siebie czar.

Kiedyś mi powiedział, że niewiele go kosztuje utrzymywanie tamy powstrzymującej go przed ujawnieniem swojej prawdziwej potęgi.

Teraz, gdy objawił się w pełnym majestacie, zdawał się wypełniać migotliwą hebanową mocą całe pomieszczenie, cały świat, całą moją duszę. Miał w sobie gwiazdy, wiatr i cienie, spokój i sny oraz trzymane w ryzach ślady koszmarów. Ciemność wypływała z niego jak strużki pary, kiedy wyciągnął dłoń i położył ją na jaśniejącej skórze mojego brzucha.

Prawdziwa dłoń nocy; przez cienie tu i ówdzie przebłyskiwało światło. Uniosłam się na łokciach, by go pocałować.

Dym i mgła.

Jęknęłam, czując jego smak, a on otworzył usta, pozwalając, by mój język musnął jego i otarł się o zęby. Wszystko, czym był, rozpostarł przede mną w oczekiwaniu, aż wybiorę.

Pragnęłam wszystkiego.

Chwyciłam jego ramiona, wciągając go na łóżko. Kiedy leżał już na plecach, zobaczyłam błysk protestu przeciwko przyciśniętym skrzydłom. Jednak ja tylko zamruczałam:

– Ilyryjski delikatniś.

I przesunęłam dłonią wzdłuż jego umięśnionego brzucha... i dalej.

Przestał protestować.

W mojej dłoni sprawiał wrażenie ogromnego – twardy jak stal, a jednocześnie tak jedwabisty, że po prostu musiałam z podziwem przesunąć palcem wzdłuż całej długości. Syknął, a jego członek zadrżał, kiedy pogładziłam kciukiem samą główkę. Uśmiechnęłam się pod nosem i zrobiłam to jeszcze raz.

Sięgnął po mnie, ale zastygł pod moim wzrokiem.

– Moja kolej – oznajmiłam.

Rhys obrzucił mnie leniwym męskim uśmiechem, po czym ułożył się z powrotem z dłonią wsuniętą pod głowę. Czekając.

Zarozumiały drań.

Nachyliłam się więc i wzięłam go w usta.

– O szlag – szczechnął krótko, kiedy od dotyku moich warg przeszył go dreszcz.

Roześmiałam się, nie przestając go obejmować ustami i przesuwając się dalej wzdłuż.

Dłonie miał zaciśnięte na prześcieradle do pobielenia knykcii, kiedy wodziłam po nim językiem, drażniąc lekko zębami. Jego jęk wlał ogień w moje żyły.

Szczerze zaskoczyło mnie, że całą minutę trwało, zanim mi przerwał.

W zasadzie to *skoczył* na mnie byłoby lepszym określeniem tego, co zrobił.

W jednej chwili miałam go w ustach, wodziłam językiem po szerokiej główce, a mgnienie oka później jego dłonie trzymały mnie w talii i przewracały na brzuch. Kolanami rozsunął moje nogi, jednocześnie unosząc biodra w górę, po czym jednym ruchem wszedł głęboko we mnie.

Jęknęłam w poduszki, czując każdy jego cudowny cal, i uniosłam się na przedramionach, wbijając palce z prześcieradła

Rhys się wysunął, po czym wbił we mnie z powrotem, a wieczność wybuchła przez moimi oczami. Przez myśl mi przebiegło, że chyba rozpadnę się w kawałki, nie mogąc mieć go dość.

– Spójrz tylko na siebie – szepnął, wciąż poruszając się we mnie i składając pocałunki wzdłuż kręgosłupa.

Zdołałam unieść się dość, by dojrzeć miejsce, w którym byliśmy połączeni – żeby zobaczyć swój słoneczny blask mieszający się i łączący z jego pulsującą ciemnością. Widok ten wstrząsnął mną tak bardzo, że natychmiast doszłam, wykrzykując jego imię.

Rhys przyciągnął mnie do siebie, jedną ręką obejmując moją pierś, a drugą drażniąc kłębuszek nerwów między moimi nogami. Nie potrafiłam powiedzieć, kiedy kończy się jeden orgazm, a zaczyna następny, kiedy wciąż i wciąż wchodził we mnie, wodząc jednocześnie wargami po mojej szyi, po uchu.

Myślałam, że od tego umrę. Z pragnienia go, z rozkoszy bycia

z nim.

Obrócił nas, wysuwając się tylko na tak długo, by położyć się na plecach i pociągnąć mnie na siebie.

Zobaczyłam mignięcie ciemności – błysk dawnego bólu, bliznę. Wtedy zrozumiałam, że on chce mnie tak, chciał skończyć w tej pozycji ze mną dosiadającą go.

Serce mi pękło. Pochyliłam się, by go pocałować, łagodnie i czule.

Kiedy nasze usta się spotkały, nasunęłam się na niego. Czułam go teraz znacznie głębiej i usłyszałam, jak szepcze moje imię między moimi wargami. Pocałowałam go znowu, i znowu, poruszając się na nim delikatnie. Później – będą inne okazje, by ujeżdżać go szybko i mocno. Teraz jednak... wolałam nie myśleć, czemu właśnie w tej pozycji chciał skończyć, bym wypędziła swoim światłem piętno ciemności.

Wiedziałam, że będę jaśnieć – dla niego. Dla mojej przyszłości, będę jaśnieć.

Wyprostowałam się więc, opierając dłonie na jego szerokim torsie, i wyzwoliłam wewnętrzne światło, pozwalając mu przegnać ciemność wraz ze wszystkim, co zostało mu wyrządzone, mojemu towarzyszowi, mojemu przyjacielowi.

Rhys warknął moje imię, jednocześnie wyrzucając w górę biodra. Gwiazdy zakręciły się wokół mnie, kiedy wbił się głęboko.

Światło, które ze mnie emanowało, mogło być światłem gwiazd, albo to było tylko moje wrażenie, wypaczone przetaczającym się przeze mnie spełnieniem. W tej samej chwili Rhys osiągał swój szczyt, wysapując raz po raz moje imię i przelewając we mnie swoją esencję.

Kiedy oboje skończyliśmy, pozostałam nadal na nim, wbijając palce w jego skórę i podziwiając go. Nas.

Pociągnął mnie lekko za wilgotne wciąż włosy.

– Musimy znaleźć sposób, żeby przytłumić to światło.

– Z łatwością mogę ukrywać cienie.

– Ach, ale one pojawiają się tylko, kiedy jesteś wściekła.

A ponieważ mam zamiar zrobić wszystko, byś była tak szczęśliwa, jak to tylko możliwe... obawiam się, że musimy znaleźć sposób na zamaskowanie tego cudownego blasku.

– Zawsze tylko myślisz i kalkulujesz.

Pocałował mnie w kącik ust.

– Nie masz pojęcia, o ilu rzeczach rozmyślałem, jeśli idzie o ciebie.

– Co przypomina mi twoją wzmiankę o ścianie.

Jego śmiech był jak zmysłowa obietnica.

– Następnym razem, Feyro, wezmę cię opartą o ścianę.

– Na tyle mocno, żeby obrazy pospadały.

Rhys parsknął śmiechem.

– Pokaż mi raz jeszcze, co potrafisz zrobić z tymi złośliwymi usteczkami.

Spełniłam jego prośbę.

Nie wypada porównywać, gdyż zakładam, że każdy księżę potrafiłby nie dać zasnąć kobiecie przez całą noc, ale Rhysand był... nienasycony. Udało mi się przespać tej nocy może godzinę, chociaż w sumie to i ja byłam temu w równej mierze winna.

Nie umiałam przestać, wciąż nie było mi dość jego smaku, tego uczucia, kiedy był we mnie. Więcej, więcej, więcej – aż sądziłam, że wyskoczę ze skóry z rozkoszy.

– To normalne – stwierdził Rhysand, przeżuwając chleb, kiedy jedliśmy przy stole śniadanie.

Ledwie udało nam się dobrnąć do kuchni. Wystarczyło, że podniósł się z łóżka, dając mi wspaniałą widok na swoje wspaniałe skrzydła, umięśnione plecy i piękne pośladki, a skoczyłam na niego.

Wylądowaliśmy na podłodze, gdzie Rhys poszarpał pazurami śliczny dywanik spod łóżka, podczas gdy ja go ujeżdżałam.

– Co jest normalne? – spytałam.

Prawie nie mogłam o nim myśleć bez wrażenia, że zaraz wybuchnę.

– Ta... żądza – odparł ostrożnie, jakby obawiał się, że źle dobrane słowa mogłyby sprawić, że na powrót rzucimy się na siebie, zanim w ogóle zdołamy się posilić. – Kiedy para zaakceptuje więź godową, jest to... obezwładniające. Redukuje nas to na powrót do bestii, którymi kiedyś byliśmy. Ma to zapewne coś wspólnego z uzyskaniem pewności, że kobieta zajdzie w ciążę. – Serce na chwilę zamarło mi w piersi. –

Niektóre pary nie opuszczały domu przez tydzień. Mężczyźni stają się tak porywczy, że w ogóle niebezpieczne byłoby dla nich przebywanie w miejscach publicznych. Widziałem rozsądnych i wykształconych fae roznoszących pomieszczenie w drzazgi, gdyż inny mężczyzna zbyt długo patrzył na ich towarzyszkę wkrótce po przypiecztowaniu więzi godowej.

Wypuściłam z sykiem powietrze. Przed oczami mignęło mi inne zdemolowane pomieszczenie.

– Chciałbym sądzić – powiedział Rhys, wiedząc dokładnie, co mnie dręczy – że mam więcej siły woli niż przeciętny mężczyzna, ale... miej dla mnie cierpliwość, Feyro. Jestem trochę poddenerwowany.

Kiedy to przyznał...

– Nie musisz opuszczać tego domu.

– Chciałbym zostać w tej sypialni i pieprzyć się z tobą, aż oboje będziemy obolali.

Byłam już znów gotowa na niego i znów go pragnęłam, ale... musieliśmy iść. Królowe. Kocioł. Jurian. Wojna.

– Jeśli chodzi o ciążę – zaczęłam.

Równie dobrze mogłabym nas oboje oblać wiadrem zimnej wody.

– My nie... nie biorę toniku. Nie brałam, znaczy.

Odłożył chleb.

– Chcesz z powrotem zacząć go brać?

Jeśli zaczęłabym dzisiaj, zniwelowałyby to skutki wszystkiego, co robiliśmy wczoraj, ale...

– Jeśli jestem towarzyszką księcia, to chyba oczekuje się ode mnie, że dam ci potomstwo, prawda? Więc może nie powinnam.

– Nie oczekuje się od ciebie, że dasz mi *cokolwiek* – parsknął. – Dzieci są rzadkie, to prawda. Bardzo rzadkie i bardzo cenne. Ale nie chcę, żebyś się na nie decydowała, zanim ty tego nie będziesz chciała. Zanim *oboje* nie będziemy tego chcieli. A teraz, z nadciągającą wojną z Hybernią... Przyznam, że przeraża mnie myśl, że moja towarzyszka może być w ciąży, podczas gdy otacza nas tyłu wrogów. Przeraża mnie, co mógłbym zrobić, gdybyś była w ciąży i groziłoby ci niebezpieczeństwo. Lub coś ci się stało.

Jakiś węzeł w mojej piersi rozsuptał się, choć jednocześnie

przeszył mnie dreszcz na myśl o tej mocy, tej furii, którą widziałam na Dworze Nocy, skierowanej przeciw światu.

– W takim razie zacznę go brać dzisiaj, gdy tylko wrócimy.

Wstałam od stołu na chwiejnych nogach i skierowałam się do łazienki. Musiałam się wykąpać – cała byłam pokryta nim, w ustach mimo śniadania wciąż czułam jego smak.

– Będę nieprawdopodobnie szczęśliwy, jeśli któregoś dnia zdecydujesz się obdarzyć mnie dziećmi – odezwał się łagodnie zza moich pleców Rhys. – Jeśli pozwolisz mi dzielić to z tobą.

Obróciłam się do niego.

– Chcę najpierw zasmakować życia – wyznałam. – Z tobą. Chcę zobaczyć różne rzeczy i przeżywać przygody. Chcę dowiedzieć się, co to znaczy być nieśmiertelną, być twoją towarzyszką, częścią twojej rodziny. Chcę być... gotowa na nie. I samolubnie chciałabym przez jakiś czas mieć cię tylko dla siebie.

Jego uśmiech był łagodny, słodki.

– Masz tyle czasu, ile tylko potrzebujesz. Nawet jeśli będę cię miał tylko dla siebie do końca wieczności, nie będę niczego żałował.

Zdołałam ledwie podejść do brzegu wanny, kiedy Rhys złapał mnie i zaniósł do wody, gdzie kochał się ze mną powoli i głęboko pośród unoszącej się z wody pary.

Rozdział 56

Rhys przeniósł nas do obozu Ilyrów. Nie zamierzaliśmy zostawać na tyle długo, by narazić się na niebezpieczeństwo – zresztą przy dziesięciu tysiącach ilyryjskich wojowników rozmieszczonych na okolicznych wzgórzach Rhys wątpił, by ktokolwiek był na tyle głupi, by nas tu zaatakować.

Ledwie zdążyliśmy pojawić się w błocie przed kamienną chatą, gdy zza naszych pleców dobiegł głos Kasjana.

– No, najwyższy czas.

Z gardła Rhysa wydobył się dziki, wściekły warkot, jakiego nie słyszałam nigdy wcześniej, złapałam go za rękę w chwili, kiedy zamierzał się już na Kasjana.

Ten tylko spojrzał na niego i się roześmiał.

Ale ilyryjscy wojownicy wystrzelili już w niebo, zabierając ze sobą kobiety i dzieci.

– Ciężka podróż?

Kasjan związał swoje ciemne włosy rzemykiem.

Rhys emanował teraz nienaturalnym spokojem, choć jeszcze przed chwilą warczał wściekle. A ponieważ nie uśmiechało mi się oglądanie zniszczonego obozu, rzuciłam:

– Kiedy wepchnie ci zęby do gardła, nie przychodź do mnie z płaczem, Kasjanie.

Ten tylko skrzyżował ramiona na piersi.

– Więc godowa troszkę cię uwiera, Rhys?

Rhys nie odpowiedział.

Kasjan parsknął.

– Feyra nie sprawia wrażenie nadmiernie zmęczonej. Może miałaby ochotę przejechać się jeszcze ze mną...

I wtedy wybuchnął.

Nagle zakłębiło się od skrzydeł, mięśni i kłapiących zębów, kiedy obaj tarzali się w błocie, okładając się pięściami, a...

A ja się zorientowałam, że Kasjan doskonale wiedział, co mówi i robi, kiedy zrzucił z siebie Rhysa, a ten nie użył swojej mocy zdolnej zrównać z ziemią okoliczne góry.

Widział zdenerwowanie w oczach Rhysa, a znając go dobrze, wiedział, że musi stępić je trochę, zanim ruszymy dalej.

Rhys również to wiedział. Dlatego właśnie przeniósł nas najpierw tutaj – a nie od razu do Velaris.

Był to naprawdę imponujący widok – dwóch Ilyrów walczących ze sobą, tarzających się w błocie i kamieniach, dyszących i plujących krwią. Żaden z pozostałych mieszkańców obozu nie odważył się wylądować.

Rozumiałam, że dopóki Rhys nie wylądował swojej frustracji albo nie opuści obozu, nie ośmielię się wrócić. Jeśli przeciętnemu mężczyźnie przystosowanie się zabierało tydzień... Ile czasu potrzebował Rhysand? Miesiąc? Dwa? Rok?

Kasjan roześmiał się, kiedy Rhys trafił go pięścią w twarz, rozbryzgując krew, po czym zamachnął się na niego i aż się skrzywiłam, kiedy głowa Rhysa odskoczyła na bok. Widziałam wcześniej Rhysa walczącego – eleganckiego i opanowanego – i widziałam go wściekłego, ale nigdy tak... dzikiego.

– Trochę im to jeszcze zajmie – odezwała się oparta o ścianę domu Mor. Przytrzymała otwarte drzwi. – Witaj w rodzinie, Feyro.

Pomyślałam wtedy, że były to chyba najpiękniejsze słowa, jakie kiedykolwiek usłyszałam.

Rhys i Kasjan spędzili godzinę na okładaniu się pięściami. Kiedy wrócili do środka, zakrwawieni i umorusani, jedno spojrzenie na mojego towarzysza wystarczyło, żebym zapragnęła jego zapachu i dotyku.

Kasjan i Mor błyskawicznie zniknęli, a Rhys, nie zaprzatając sobie głowy zdejmowaniem ze mnie wszystkich ubrań, usunął tylko niezbędne minimum, oparł mnie o blat stołu kuchennego i sprawił, że jęczałam jego imię na tyle głośno, aby usłyszeli je Ilyrowie wciąż krążący wysoko nad naszymi głowami.

Kiedy skończyliśmy, sztywność jego barków i zwinięte jak sprężyna napięcie w jego oczach zniknęły... Na odgłos pukania do drzwi Rhys wręczył mi wilgotną szmatkę, żebym się obmyła. Chwilę później całą czwórką przeskoczyliśmy do muzyki i świateł Velaris.

Do domu.

Słońce ledwo zaszło, kiedy weszłam z Rhysem, trzymając go za rękę, do jadalni w Domu Wiatru, gdzie czekali na nas siedzący już przy stole Mor, Azriel, Amrena i Kasjan.

Wstali jak jeden mąż. Spojrzeli na mnie.

I ukłonili się jednocześnie.

– Będziemy służyć i chronić – oświadczyła Amrena.

Każde z nich położyło dłoń na swoim sercu.

Czekali – na moją odpowiedź.

Rhys mnie nie ostrzegł, a ja zachodziłam w głowę, czy słowa, które mam teraz wypowiedzieć, mają płynąć z mojego serca, bez wyrachowania czy ukrytych podtekstów. Zdecydowałam, że tak właśnie powinno być.

– Dziękuję – powiedziałam, powstrzymując głos od drżenia. – Ale wolałabym, abyście przede wszystkim byli moimi przyjaciółmi, a dopiero potem służyli mi i mnie chronili.

– Jesteśmy – stwierdziła Mor i przymrużyła oko. – Ale będziemy ci służyć i cię chronić.

Twarz oblał mi rumieniec; uśmiechnęłam się do nich. Do... mojej rodziny.

– A teraz, skoro mamy to już za sobą – powiedział przeciągle zza moich pleców Rhys – czy możemy coś zjeść? Padam z głodu.

Amrena uśmiechnęła się krzywo i już otwierała usta, ale nie dał jej dojść do słowa.

– *Nie* mów tego, co właśnie chciałaś powiedzieć, Amreno.

Rhys spojrzał ostrzegawczo na Kasjana. Obaj wciąż byli posiniaczeni, ale szybko się leczyli.

– Chyba że chcesz jeść na dachu.

Amrena mlasnęła z irytacją i wskazała mnie ruchem głowy.

– Słyszałam, że w lesie wykształciłaś kły i zabiłaś trochę bestii z Hyberrnii. Dobra robota, dziewczyno.

– Raczej uratowała jego żaloszny tyłek – wtrąciła Mor, nalewając sobie wina. – Biedne Rhysiátko dało się złapać.

Wyciągnęłam swój kieliszek w stronę Mor, żeby mi również naląła.

– Istotnie trzeba na niego strasznie chuchać i dmuchać.

Azriel zakrztusił się winem i spojrzał mi w oczy – po raz pierwszy ciepłym wzrokiem. Wręcz łagodnym. Poczułam, jak Rhys sztywnieje na krześle obok, i szybko oderwałam spojrzenie od naczelnego szpiega.

Zerknęłam ukradkiem na Rhysa. Skruszone spojrzenie zdradzało, że jest mu przykro. I że z tym walczy. To było bardzo dziwne – fae wysokiego rodu z pierwotnymi i godowymi instynktami. Tak gryzące się z ich starożytnymi tradycjami i wykształceniem.

Wyruszyliśmy do krainy śmiertelników zaraz po kolacji. Mor niosła kulę, Kasjan zaś niósł ją; Azriel leciał tuż obok, a Rhys... Rhys ścisnął mnie mocno, oplatając mnie swoimi silnymi i niewzruszonymi ramionami. Milczeliśmy, mknąc nad ciemnymi wodami.

Zamierzaliśmy zdradzić królowym sekret, który tak długo utrzymywali w tajemnicy kosztem ogromnego cierpienia.

Rozdział 57

Wiosna w końcu zagościła w świecie ludzi. Krokusy i przebiśniegi wychylały swoje główki z rozmiękającej ziemi.

Tym razem przybyły tylko dwie królowe: najstarsza i złotowłosa. Jednak liczba strażników pozostała niezmienną.

Ponownie założyłam lekką suknię w kolorze kości słoniowej i koronę ze złotych piór; ponownie stałam obok Rhysanda, gdy królowe i ich strażę przeskoczyli do pokoju dziennego w rezydencji mojej ludzkiej rodziny.

Ale teraz Rhys i ja staliśmy, ściskając swoje dłonie, niewzruszeni, jak pieśń bez końca i początku.

Najstarsza królowa omiotła nas chytrym wzrokiem, spojrzała na nasze złączone dłonie, na korony, po czym usiadła bez czekania na zachętę i poprawiła fałdy szmaragdowej sukni. Złota królowa stała chwilę dłużej i przekrzywiła lekko głowę otoczoną wieńcem połyskliwych loków. Kąciki czerwonych warg drgnęły w górę i kobieta usiadła obok wiekowej władczyni.

Rhys ledwo skinął im głową.

– Doceniamy, że raczyliście poświęcić swój cenny czas na ponowne spotkanie z nami – powiedział.

Młodsza królowa lekko skłoniła głowę i przeniosła spojrzenie bursztynowych oczu na stojących za naszymi plecami Kasjana i Azriela po obu stronach rzędu okien oraz Elaine i Nestę między nimi, w ich najlepszych sukniach. Za szybami ogród Elaine rozkwitał pięknym kwieciem. Nesta stała wyprostowana jak struna.

Elaina przygryzała wargę.

Przy drugim boku Rhysa była Mor, tym razem w niebiesko-zielonej sukni przypominającej mi spokojne wody Sidry, z onyksową szkatułką z Veritas w opalonych dłoniach.

Stara królowa przyjrzała się nam wszystkim spod przymrużonych powiek i zachnęła się lekko.

– Po tym, jak zostałyśmy ostatnio tak poważnie znieważone... – sarknęła, rzucając ogniste spojrzenie Neście.

Moja siostra nie odwróciła wzroku i patrzyła na nią z ogniem

nieustępliwości w oczach. Stara kobieta cmoknęła głośno.

– Przez wiele dni rozważaliśmy zasadność ponownego spotkania. Jak widzicie, trzy z nas uznały te obelgi za niewybaczalne.

Łgała. Zwalić winę na Nestę, usiłować zasiać między nami ziarno niezgody za to, czego NESTA próbowała bronić...

– Jeśli to była najgorsza obelga, jaką kiedykolwiek usłyszeliście – odezwałam się zaskakująco spokojnym głosem – sądzę, że przeżyjecie prawdziwy wstrząs, kiedy nadejdzie wojna.

Usta młodszej z nich ponownie drgnęły, a oczy barwy bursztynu pojaśniały – lwica w ludzkiej skórze.

– Zatem zdobył twoje serce, Wyzwolicielko – zwróciła się do mnie łagodnie.

Patrzyłam jej w oczy bez słowa, gdy razem z Rhysem usiedliśmy na naszych krzesłach. Mor zajęła trzecie po drugiej stronie księcia.

– Nie sądzę – podjęłam – żeby było dziełem przypadku, że Kocioł pozwolił nam się spotkać w przededniu kolejnej wojny między naszymi ludami.

– Kocioł? Naszymi ludami? – Złota królowa obróciła na palcu pierścień z rubinem. – *Nasz* lud nie wzywa Kotła. *Nasz* lud nie posługuje się magią. Z mojego punktu widzenia jest *wasz* lud – i nasz. Wy jesteście niewiele lepsi od tych Dzieci Błogosławionych. – Uniosła zadbaną brew. – Co się z nimi dzieje, gdy przechodzą przez mur? – Skinęła głową na Rhysa, Kasjana i Azriela. – Czy stają się zwierzyną łowną? Czy też są wykorzystywani i odrzucani, starzeją się i niedołączają w samotności, podczas gdy wy cieszyacie się wieczną młodością? Co za szkoda... cóż za niesprawiedliwość, że ty, Wyzwolicielko, otrzymałaś to, o co ci głupcy bez wątpienia błagali. Nieśmiertelność, wieczną młodość... Co by zrobił książę Rhysand, gdybyś się zestarzała, podczas gdy on pozostałby taki sam?

– Czy te pytania dokądś prowadzą – zapytał spokojnym głosem Rhys – czy też zwyczajnie lubisz, królowo, słuchać własnego głosu?

Zachichotała cicho, po czym obróciła się z szelestem żółtej sukni do swojej starszej koleżanki. Ta jedynie wskazała pomarszczoną dłonią szkatułkę, którą Mor ścisnęła smukłymi palcami.

– Czy to jest dowód, o który prosiliśmy?

„Nie rób tego”. Serce zaczęło mi walić mocno. „Nie pokazuj im”.

– Czy moja miłość do księcia nie jest wystarczającym dowodem naszych dobrych zamiarów? – zapytałam, zanim Mor zdążyła choćby kiwnąć głową. – Czy obecność moich siostr nie przemawia do was dość wyraźnie? Na palcu młodszej z nich jest żelazny pierścionek zaręczynowy, a mimo to jest tu z nami.

Elaina sprawiała wrażenie, jakby walczyła z ochotą schowania dłoni w fałdach bladioróżowo-błękitnej sukni, ale wytrzymała dzielnie taksujące spojrzenia obu królowych.

– Rzekłabym, że to dowodzi jedynie jej głupoty – powiedziała szyderczo złota. – Zaręczyć się z mężczyzną nienawidzącym fae... i ryzykować swój związek poprzez bratanie się z wami.

– Nie waż się – syknęła cicho głosem ociekającym jadem Nesta – oceniać tego, o czym nie masz *najmniejszego* pojęcia.

Lwica złożyła dłonie na podołku.

– Żmija ponownie przemówiła. – Spojrzała na mnie z uniesionymi brwiami. – Z pewnością mądrze byście postąpili, gdybyście jej nie wpuścili na to spotkanie.

– Użyczyła nam swojego domu i ryzykuje swoją pozycją, abyśmy się mogli tu spotkać – powiedziałam. – Ma prawo wysłuchać naszych rozmów. Stać tu jako przedstawicielka ludzi zamieszkujących te ziemie. Obie mają do tego prawo.

Starucha nie dała młodszej dojść do słowa i ponownie machnęła pomarszczoną dłonią w stronę Mor.

– Pokaż nam zatem. Dowiedz, że nie mamy racji.

Rhys skinął lekko głową kuzynce. Nie... nie, to nie było właściwe. Pokazać im, ujawnić skarb, jakim było Velaris, jakim był mój dom...

„Wojna wymaga poświęceń – powiedział w moich myślach Rhys, przez tę wąską szczelinę, którą dla niego utrzymywałam. – Jeśli nie zaryzykujemy Velaris, możemy stracić Prythian... i nie tylko”.

Mor uchyliła wieko czarnej szkatułki.

Srebrna kula zaśniła jak gwiazda uwięziona w szkle.

– To jest Veritas – powiedziała głosem jednocześnie młodym i starym Mor. – Dar założyciela mojego rodu dla przyszłych pokoleń. Tylko kilka razy w historii Prythianu użyliśmy jej, ukazaliśmy światu jej

prawdę.

Wyjęła kulę z aksamitnego gniazda. Nie była większa od dojrzałego jabłka i mieściła się w pełni w jej złożonych dłoniach, tak jakby całe jej ciało, wszystko, czym była, stopiło się w jedno z artefaktem.

– Prawda jest niebezpieczna. Prawda jest wolnością. Prawda potrafi łamać, naprawiać i spajać. Veritas zawiera prawdę świata. Jestem Morrigan – powiedziała, a jej oczy sprawiały wrażenie, jakby nie była istotą z tego świata. Gęsia skórka pokryła mi całe ręce. – Wiecie, że mówię prawdę.

Położyła kulę na dywanie między nami. Obie królowe się pochylily.

– Żądacie dowodu na naszą dobroć, na czystość naszych intencji, abyście mogły zdecydować, że można powierzyć nam Księgę? – zapytał Rhys. Veritas zaczęła pulsować pajęczyną światła. – Jest na moich ziemiach pewne miejsce. Miasto pokoju. Sztuki. Dobrobytu. Ponieważ wątpię, byście odważyły się przekroczyć mur, albo by wasi strażnicy byli skłonni to zrobić, pokażę wam je. Udowodnię wam prawdziwość moich słów, ukażę to miejsce we wnętrzu kuli.

Mor wyciągnęła przed siebie rękę i z kuli wydobył się blady dym, który zasnuł podłogę, minął nasze nogi i połączył się z bijącym z Veritas światłem.

Królowe wzdrygnęły się, strażnicy przysunęli się bliżej z dłońmi na rękojeściach broni. Dym sunął dalej, bo był prawdą sączącą się z kuli, prawdą o Velaris, pochodzącą od Mor, od Rhysa. Z prawdy świata.

W szarawej poświacie pojawił się obraz.

To było Velaris widziane z lotu ptaka – widziane przez przelatującego nad nim Rhysa. Ledwie plamka na wybrzeżu, ale gdy obniżył lot, miasto i rzeka rosły w oczach, zaczęły tętnić życiem.

Obraz się przechylił, jakby to naprawdę Rhys tego ranka przelatywał tamtędy. Nad łodziami i nabrzeżem, nad domami, ulicami i teatrami. Nad Tęczą Velaris, tak kolorową i cudowną w nowym wiosennym słońcu. Nad mieszkańcami, radosnymi i troskliwymi, uprzejmymi i gościnnymi, machającymi do niego. Jeden po drugim ukazywały się obrazy Pałaców, restauracji, Domu Wiatru. Wszystko –

każdy zakamarek tego sekretnego, cudownego miasta. Mojego domu.

I przysięgłabym, że w tych obrazach była miłość. Nie potrafiłam wyjaśnić, w jaki sposób Veritas zdołała to przekazać, ale kolory... Rozumiałam kolory, światło, to, co sobą wyrażały, co kula w jakiś sposób zdołała wychwycić przez to połączenie ze wspomnieniami Rhysa.

Iluzja zniknęła, kolor, światło i dym zostały zassane z powrotem do wnętrza kuli.

– To jest Velaris – powiedział Rhys. – Przez pięć tysięcy lat utrzymywaliśmy je w tajemnicy przed kimkolwiek z zewnątrz. A teraz wy też o nim wiecie. To właśnie chronię plotkami, szeptami, strachem. Dlatego w wielkiej wojnie walczyłem po waszej stronie, aby potem rozpocząć swoje rzekome rządy terroru po objęciu tronu i dopilnować, aby legendy o nich dotarły do uszu wszystkich. Ale jeśli ceną za zapewnienie bezpieczeństwa mojemu miastu i jego mieszkańcom jest wzgarda całego świata, jestem gotów ją zapłacić.

Obie królowe wpatrywały się szeroko rozwartymi oczami w dywan, tak jakby wciąż widziały na nim miasto. Mor odchrząknęła. Złota królowa wzdrygnęła się, jakby Mor właśnie na nią zawarczała, i upuściła na ziemię haftowaną koronkową chusteczkę. Schyliła się, by ją podnieść, z lekko zaczerwienionymi policzkami.

Starucha uniosła wzrok na nas.

– Wasze zaufanie zostało... docenione.

Czekaliśmy.

Twarze ich obu przybrały ponury, niewzruszony wyraz. Cieszyłam się, że siedziałam, gdy starsza z nich w końcu odezwała się ponownie.

– Rozważymy to.

– Nie ma czasu na rozważania – zaprotestowała Mor. – Każdy stracony dzień zbliża nas do zniszczenia muru przez Hybarnię.

– Omówimy to z pozostałymi i powiadomimy was we właściwym czasie.

– Czy nie rozumiecie ryzyka, jakie podejmujecie? – Głos Rhysa pozbawiony był protekcyjności, lecz zabarwiony... jakby niedowierzaniem. – Potrzebujecie tego sojuszu w tym samym stopniu co my.

Stara królowa wzruszyła kruchymi ramionami.

– Czy sądziłeś, że poruszysz nas swoim listem, swoim błaganiem?

Skinęła głową na najbliższego strażnika, który sięgnął pod zbroję i wyjął złożony papier. Starucha przyjęła go od niego, rozłożyła i zaczęła czytać:

Piszę do Was nie jako księżę, ale jako mężczyzna zakochany w kobiecie, która kiedyś była człowiekiem. Piszę do Was, aby Was błagać o szybkie działanie. Aby uratować jej lud – i pomóc uratować mój. Piszę do Was, abyśmy pewnego dnia mogli wszyscy zaznać prawdziwego pokoju. Abym któregoś dnia mógł żyć w świecie, w którym kobieta, którą kocham, będzie mogła odwiedzać swoją rodzinę, nie bojąc się nienawiści czy odwetu. W lepszym świecie.

Opuściła list na kolana.

Rhys napisał go kilka tygodni temu... zanim przypieczętowaliśmy naszą więź godową. Nie było to żądanie spotkania, lecz wyznanie miłosne. Sięgnęłam ku niemu i ścisnęłam lekko jego dłoń. Rhys splótł swoje palce z moimi.

– Któż może orzec, czy to wszystko nie jest jakąś daleko posuniętą manipulacją? – zapytała stara królowa.

– Że co?! – wykrztusiła Mor.

Złota władczyni pokiwała głową.

– Wiele rzeczy się zmieniło od czasów wojny – zwróciła się do Mor. – Od waszych tak zwanych przyjaźni z naszymi przodkami. Może nie jesteś tą, za którą się podajesz. Może księżę zakradł się do naszych umysłów, abyśmy uwierzyły, że jesteś tą Morrigan.

Rhys milczał – wszyscy milczeliśmy. Aż Nesta odezwała się przesadnie miłym głosem:

– To są słowa wariatek. Aroganckich *głupców*.

Elaina ścisnęła dłoń Nesty, aby ją uciszyć, ale ta wyszła krok do przodu z twarzą pobielającą z wściekłości.

– Dajcie im Księgę.

Królowe zamrugały i zeszywniały.

– *Dajcie im Księgę* – niemal krzyknęła moja siostra.

– Nie – wysyczała najstarsza królowa.

Jej słowo odbiło się w mojej głowie wielokrotnym echem.

Ale Nesta nie dawała za wygraną, machnęła ręką, wskazując nas wszystkich, cały świat.

– Żyją tu niewinni ludzie. Tu, na tych ziemiach. Jeśli nie macie zamiaru nadstawić karku przeciwko siłom, które nam zagrażają, to przynajmniej dajcie im szansę podjęcia walki. Dajcie Księżę mojej siostrze.

Starucha fuknęła z irytacją.

– Może uda się przeprowadzić ewakuację...

– Potrzeba by było tysiąca okrętów – przerwała jej łamiącym się głosem Nesta. – Cała armada. Przeprowadziłam niezbędne obliczenia. Jeśli szykujecie się do wojny, nie wyślecie swoich statków po nas. Tkwimy tu bez szans na ucieczkę.

Starucha chwyciła wypolerowane podłokietniki krzesła i pochyliła się nieco.

– Zatem poproś jednego ze swoich uskrzydłonych mężczyzn, żeby poniósł cię przez morze, dziewczę.

Broda Nesty zadrgała.

– Proszę. – Chyba nigdy nie słyszałam tego słowa z jej ust. – Błagam... nie zostawiajcie nas samych.

Stara królowa pozostała niewzruszona. Nie mogłam znaleźć żadnych słów.

Pokazaliśmy im... my... zrobiliśmy wszystko. Nawet Rhys siedział milczący z nieodgadnioną twarzą.

Wtedy Kasjan podszedł do Nesty. Strażnicy drgnęli, gdy Ilyr przeszedł przez nich, tak jakby byli jedynie źdźbłami pszenicy na polu.

Przez długą chwilę przyglądał się mojej siostrze. Ona cały czas wpatrywała się w królowe oczami mokrymi od łez – łez gniewu i rozpaczy wywołanych ogniem, który tak gwałtownie zapłonął w jej sercu. Kiedy w końcu zauważyła Kasjana, spojrzała na niego.

– Pięćset lat temu – przemówił zachrypniętym głosem – walczyłem w bitwach toczonych niedaleko stąd. Walczyłem u boku ludzi i fae, moja krew mieszała się z ich krwią. Stanę ponownie do walki, Nesto Archeron, by bronić tego domu, by bronić twego ludu. Nie znam lepszego sposobu na zakończenie mojego istnienia niż w obronie tych,

którzy potrzebują tego najbardziej.

Po policzku mojej siostry spłynęła łza. Kasjan uniósł dłoń i otarł ją.

Nie wzdrygnęła się pod jego dotknięciem.

Nie wiedziałam czemu, ale spojrzałam na Mor.

Przyglądała się temu z otwartymi szeroko oczami. Nie z zazdrością, nie z irytacją, lecz... chyba z podziwem.

Nesta przełknęła ślinę i odwróciła się od Kasjana, który patrzył na nią jeszcze przez chwilę, po czym odwrócił się do królowych.

Bez żadnego znaku obie kobiety wstały.

– Czy to skarbów pragniecie? – zapytała Mor, również podnosząc się z krzesła. – Jeśli tak, podajcie swoją cenę.

Złota królowa parsknęła, a strażnicy otoczyli obie kobiety.

– Mamy wszystkie bogactwa, jakie są nam potrzebne. Wrócimy teraz do naszego pałacu, by naradzić się ze swoimi siostrami.

– Macie zamiar nam odmówić – nie dawała za wygraną Mor.

Złota królowa uśmiechnęła się półgębkiem.

– Być może.

Chwyciła zwiędłą dłoń staruchy.

Ta zaś uniosła wysoko głowę i powiedziała:

– Doceniamy wasz gest zaufania.

I zniknęły.

Mor zakłęła. Spojrzałam na Rhysa ze ściśniętym sercem, chcąc zapytać, czemu nie nalegał, czemu nie powiedział więcej...

Ale on patrzył na krzesło, na którym siedziała złota królowa.

A pod nim, wcześniej ukryta pod jej obszerną suknią, leżała szkatułka.

Szkatułka... którą musiała w jakiś sposób wyjąć i ukradkiem tam postawić, gdy się schyliła po swoją chustkę.

Rhys to widział. Przestał je przekonywać, żeby jak najszybciej stąd zniknęły.

Jak i gdzie ukryła tę ołowianą szkatułkę, było teraz moim najmniejszym zmartwieniem.

Większym był głos drugiej połowy Księgi, który wypełniał teraz całe pomieszczenie, śpiewał mi.

Życie, śmierć, odrodzenie

Słońce, księżyc, ciemność

Gnicie, rozkwit, kości

Witaj, moja słodka. Bądź pozdrowiona, pani nocy, księżniczko rozkładu. Witaj, groźna bestia i drżąca łania. Kochaj mnie, dotknij mnie, wyśpiewaj mnie.

Szaleństwo. Pierwsza połowa była zimna, przebiegła, a ta... ta była chaosem, entropią, bezprawiem, radością i rozpaczą.

Rhys podniósł szkatułkę i postawił ją na krześle złotej królowej. Nie potrzebował mojej mocy do jej otwarcia, ponieważ na nią nie rzucił zaklęcia żaden książę fae.

Uniósł wieko. Na złotym metalu Księgi leżała zapisana kartka.

Przeczytałam Twój list. O kobiecie, którą kochasz. Wierzę Ci. I wierzę w pokój.

W lepszy świat.

Jeśli ktokolwiek by zapytał, wykradłeś ją podczas spotkania.

Nie ufaj pozostałym. Szósta królowa nie zachorowała.

I tyle.

Rhys podniósł Księgę Tchnień.

„Światło, mrok, szarość, światło, mrok, szarość...”.

– Do was, drogie panie, należy wybór – zwrócił się do moich sióstr; Kasjan stał bardzo blisko Nesty – czy zostajecie tu, czy udajecie się z nami. Słyszałyście, jak wygląda sytuacja. Wiecie, jak ogromną operacją byłaby ewakuacja.

Spojrzał w szaro-błękitne oczy Nesty, a ta kiwnęła głową.

– Jeśli zdecydujecie się zostać, za godzinę pojawi się tu oddział moich żołnierzy, by strzec waszego domu. Jeśli zdecydujecie się zamieszkać w tym mieście, które im pokazałem, sugerowałbym szybkie

spakowanie się.

Nesta spojrzała na Elaine, która stała milcząca, z rozszerzonymi źrenicami. Herbata, którą przygotowała – najlepszy, najbardziej egzotyczny gatunek, jaki tylko można kupić – stała nietknięta na stole.

Przesunęła palcem po żelaznym pierścionku na jej palcu.

– To twój wybór – zwróciła się do niej Nesta z niespotykaną u niej łagodnością.

Dla niej była gotowa ruszyć do Prythianu.

Elaina przełknęła ślinę; była niczym łania schwyta w sidła.

– Ja... ja nie mogę. Ja...

Mój towarzysz skinął głową – uprzejmie. Ze zrozumieniem.

– Strażnicy będą tu cały czas, niewidoczni i niesłyszalni. Sami o siebie zadbają. Gdybyście zmieniły zdanie, jeden będzie czekał w tym pomieszczeniu każdego dnia w południe i o północy. Mój dom jest waszym domem. Jego drzwi będą dla was zawsze otwarte.

Nesta spojrzała na Rhysa, na Kasjana, na koniec na mnie. Twarz miała wciąż bladą z rozpacz, lecz... pochyliła głowę i zwróciła się do mnie:

– To dlatego namalowałaś gwiazdy na swojej szufladzie.

Rozdział 58

Błyskawicznie wróciliśmy do Velaris, bo podejrzewaliśmy, że królowe dość szybko zorientują się w zniknięciu Księgi. Zwłaszcza jeśli tajemnicza wzmianka o szóstej królowej sugerowała jakieś głębiej idące knowania.

Kilka minut później Amrena przyniosła drugą połowę i – nawet nie pytając o to, jak przebiegło spotkanie – zniknęła z obiema połowami w jadalni domu Rhysa i zamknęła za sobą drzwi. Czekaliśmy więc.

I czekaliśmy.

Minęły dwa dni.

Amrena wciąż nie rozszyfrowała treści Księgi.

Wczesnym popołudniem Rhys i Mor udali się na Dwór Koszmarów, by zwrócić Veritas Keirowi tak, by tego nie zauważył, a także by upewnić się, że rządca szykuje swoje oddziały. Kasjan przyniósł wieści, że ilyryjskie legiony były gotowe w obozach w całych górach i tylko czekały na rozkaz ruszenia na bitwę.

Którą – jak sobie uświadomiłam – prędzej czy później trzeba będzie stoczyć. Nawet jeśli dzięki Księdze zdołamy zneutralizować moc Kotła, nawet jeśli ja zdołam to zrobić i powstrzymać króla Hybernii przed wykorzystaniem artefaktu do strzaskania muru i całego świata, wciąż pozostawały mu zgromadzone armie. Może gdy poradzimy sobie z Kotłem, przeniesiemy walkę na jego teren.

Moje siostry się nie odzywały, żołnierze Azriela nie donieśli, że zmieniły zdanie. Do tego mój ojciec wciąż załatwiał interesy na kontynencie, handlując Matka wie jakimi towarami. Kolejna zmienna do uwzględnienia.

Nie mieliśmy też żadnych wieści od królowych. To o nich najczęściej myślałam. O dwulicowej złotookiej władczyni, która oprócz lwich barw nosiła też lwie serce.

Miałam nadzieję, że jeszcze ją spotkam.

Pod nieobecność Rhysa i Mor do domu wprowadzili się Kasjan i Azriel, którzy cały czas planowali naszą nieuchronną wyprawę do

Hybernii. Po pierwszej kolacji, kiedy Kasjan wydobyl *bardzo* starą butelkę wina z zapasów Rhysa, abyśmy mogli należycie uczcić przypieczerowanie naszej więzi godowej, pojęłam, że przybyli, by dotrzymać mi towarzystwa, bym nie musiała sama spożywać posiłków i... Ilyrowie przyjęli na siebie odpowiedzialność za moje bezpieczeństwo.

Potwierdził to Rhys tej nocy, kiedy napisałam do niego list, który chwilę potem zniknął na moich oczach. Najwyraźniej nie przeszkadzało mu, że jego wrogowie będą wiedzieli o jego obecności na Dworze Koszmarów. Jeśli siły Hybernii go tam wyśledzą... cóż, powodzenia.

Napisałam do niego: „Jak mam powiedzieć Kasjanowi i Azrielowi, że nie chcę ich ochrony? Samo towarzystwo mi nie przeszkadza, ale nie potrzebuję strażników”.

Odpisał: „Nie mów im niczego takiego. Wyznacz granice, jeśli posuną się w czymś za daleko, ale jesteś ich przyjaciółką – i moją towarzyszką. Będą instynktownie chcieli cię ochraniać. Jeśli ich wykopiesz z domu, będą siedzieli na dachu”.

Naskrobałam: „Wy, ilyryjskie samce, jesteście niemożliwi”.

Odpisał jedynie: „Dobrze zatem, że nadrabiamy imponującą rozpiętością skrzydeł”.

Mimo dzielącej nas odległości krew popłynęła mi szybciej i podkurczyłam odruchowo palce u stóp. Ledwo mogłam utrzymać pióro, by napisać: „Brakuje mi tej twojej imponującej rozpiętości w łóżku. We mnie”.

Odpowiedział: „To oczywiste”.

Syknełam i naskrobałam szybko: „Kanalnia”.

Niemal poczułam przez więź – naszą godową więź – jego śmiech. Napisał: „Kiedy wrócę, udamy się do tego sklepiku na drugim brzegu Sidry i przymierzysz dla mnie te koronkowe drobiazgi”.

Zasnęłam, myśląc o tym, marząc, by moja dłoń była jego dłonią, modląc się, by szybko skończył swoje sprawy na Dworze Koszmarów i do mnie wrócił. Wiosna rozkwitała na wzgórzach i szczytach otaczających Velaris. Chciałam szybować razem z nim nad żółtymi i fioletowymi kwiatami.

Następnego popołudnia Rhysa nadal nie było, Amrena wciąż

ślęczała nad Księżą, Azriel patrolował miasto i pobliskie wybrzeże, a Kasjan i ja – choć ciężko to sobie wyobrazić – kończyliśmy oglądać wczesnopopołudniowy koncert, na którym orkiestra grała jakąś pradawną, cenioną symfonię fae. Amfiteatr znajdował się na drugim brzegu Sidry i chociaż Kasjan zaproponował mi przeniesienie mnie powietrzem, wolałam spacer. Mimo że moje mięśnie wyraźnie protestowały po wyczerpującym porannym treningu.

Muzyka była cudowna – dziwna, ale mimo to cudowna. Powstała w czasach kiedy, jak mi zdradził Kasjan, ludzi jeszcze nawet nie było na świecie. Uważał melodię za enigmatyczną, zwichrowaną, ale... Słuchałam jak w transie.

Szliśmy z powrotem jednym z głównych mostów przerzuconych nad rzeką w milczeniu, jakie nie ciąży tylko między przyjaciółmi. Podrzuciliśmy więcej krwi Amrenie – która podziękowała i kazała nam się wynosić – a teraz zmierzaliśmy ku Pałacowi Nici i Klejnotów, gdzie chciałam kupić prezenty dla moich sióstr w ramach podziękowania za ich pomoc. Kasjan obiecał przekazać je następnemu zwiadowcy, który zostanie wysłany do nich po wieści. Zastanawiałam się, czy skorzysta z tej okazji i sam coś wyśle Neście.

Przystanąłam na środku marmurowego mostu. Kasjan zatrzymał się obok mnie, a ja obserwowałam przepływającą leniwie pod nami niebiesko-zieloną wodę. Czułam wątki prądu w dole mieszające pasma słonej i słodkiej wody, kołyszące się wodorosty porastające usiane omułkami dno, łaskotanie maleńkich stworzonek przemykających po kamieniach i mule. Czy Tarquin potrafił wyczuwać takie rzeczy? Czy spał w swoim pałacu na wyspie u wrót morza i we śnie pływał wraz z rybami?

Kasjan oparł przedramiona na szerokiej kamiennej balustradzie; jego czerwone syfony przypominały stawy żywych płomieni.

– To wiele dla mnie znaczyło; to, co obiecałeś wtedy mojej siostrze – powiedziałam, pewnie dlatego, że byłam trochę wścibska i lubiłam wtykać nos w nie swoje sprawy.

Kasjan wzruszył ramionami z szelestem skrzydeł.

– Zrobiłbym to dla każdego.

– Dla niej też to wiele znaczyło.

Zmrużył swoje piwne oczy, ale ja udawałam, że od niechcienia obserwuję rzekę.

– Nesta jest inna niż większość ludzi – wyjaśniłam. – Udaje twardą i bezwzględną, ale moim zdaniem to tylko fasada. Tarcza... z rodzaju tych, którymi Rhys odgradza swoje myśli od innych.

– Tarcza przed czym?

– Przed uczuciami. Sądzę, że Nesta odczuwa wszystko za mocno, widzi zbyt wiele. Widzi i czuje dosłownie wszystko. I to ją spala. Utrzymywanie tej ściany pomaga jej uniknąć zalanania przez uczucia, daje jej dystans.

– Sprawia wrażenie, jakby poza Elainą mało co ją obchodziło.

Spojrzałam mu w oczy, spróbowałam odczytać uczucia z tej przystojnej, opalonej twarzy.

– Nigdy nie będzie taka jak Mor – powiedziałam. – Nigdy nie będzie kochała swobodnie i obdarowywała swoimi względami każdego, kogo spotka na swej drodze. Ale tych kilkoro, o których dba... Sądzę, że dla nich Nesta rozdarłaby świat na dwoje. Rozdarłaby siebie samą. Między mną a nią są pewne... zaszłości. Ale Elaina... – Uśmiechnęłam się kącikiem ust. – Nesta nigdy nie zapomni, Kasjanie, że zaoferowałeś się bronić Elainy. Bronić jej ludu. Dopóki żyje, będzie pamiętała o tym geście.

Wyprostował się i postukał knykциями o gładki marmur.

– Dlaczego mi to mówisz?

– Po prostu... pomyślałam, że powinieneś to wiedzieć. Na przyszłość, kiedy znów się z nią spotkasz, a ona cię wkurzy. Co się z pewnością jeszcze zdarzy. Wiedz jednak, że głęboko w sercu odczuwa wdzięczność i może po prostu nie potrafi tego powiedzieć. Ale to uczucie, to serce, tam jest.

Zawahałam się, czy dalej na niego naciskać, ale wtedy przepływająca pod nami rzeka zmieniła się.

Nie była to fizyczna zmiana, ale... drżenie w prądzie wody, w dnie, w ruchu przemykających po nim stworzonek. Niczym kropla atramentu wpuszczona do wody.

Kasjan wyostrzył czujność, a ja przyjrzałam się rzece, jej obu brzegom.

– Co to, do cholery, jest? – wymamrotał pod nosem.

Postukał palcem w jeden syfon, potem w drugi.

Patrzyłam z niedowierzaniem, jak łuskowa zbroja zaczęła się rozwijać z jego rękawic i obejmować jego ramiona, zastępując rękawy tuniki. Warstwa po warstwie pokrywała go niczym druga skóra. Wspięła się na jego barki, gdzie pojawiły się dodatkowe syfony, po czym objęła szyję i spłynęła na tors i plecy. Zamrugałam. Pancierz pokrywał już jego nogi, potem stopy.

Niebo było bezchmurne, a ulice pełne głosów i życia.

Kasjan rozglądał się czujnie, obracając się powoli dokoła.

Powierzchnia wody pode mną pozostawała gładka, ale czułam, jak w środku rzeka się burzy, jakby próbowała uciec od...

– Od morza – wyszeptałam.

Kasjan spojrzał wzdłuż rzeki, ku wysokim klifom w oddali, ku spienionym falom w miejscu, gdzie Sidra spotykała się z oceanem.

I właśnie tam, na horyzoncie, widniała smuga czerni. Poruszała się szybko – z każdą chwilą pokrywając więcej nieba.

– Powiedz mi, że to są ptaki – powiedziałam.

Moc zalała mi żyły; zacisnęłam dłoń w pięści, nakazując jej spokój, usiłując nad nią zapanować...

– Żaden z ilyryjskich patroli nie powinien wiedzieć o tym miejscu... – stwierdził, jakby to była odpowiedź na moją prośbę. Strzelił wzrokiem w moją stronę. – Wracamy do domu, teraz.

Smuga czerni rozdzieliła się i rozpadła na niezliczone małe postacie. Zbyt duże jak na ptaki. O wiele zbyt duże.

– Musisz wszczać alarm... – zaczęłam mówić, ale mieszkańcy już to zrobili. Niektórzy wskazywali niebo, inni krzyczeli.

Kasjan sięgnął ku mnie, ale ja odskoczyłam. Lód zatańczył na czubkach moich palców, w mojej krwi wył wicher. Zdejmę ich jednego po drugim...

– Sprowadź tu Azriela i Amrenę...

Ciemne sylwetki dotarły do klifów. Niezliczone stwory o długich kończynach, niektóre niosące żołnierzy... Inwazja.

– Kasjan.

Ale on już ścisnął ilyryjski miecz, bliźniacze ostrze tego na jego

plecach. W drugiej dłoni załśnił nóż bojowy. Podał mi je oba.

– Wracaj do domu: teraz.

Nie miałam najmniejszego zamiaru tego robić. Skoro wróg nadciągał powietrzem, mogłam wykorzystać swoją moc: zamrozić ich skrzydła, spopielić ich, połamać ich kości. Nawet jeśli było ich tak wielu, nawet jeśli...

Mknęli tak szybko, jakby niósł ich wściekły wiatr. Napastnicy dotarli do zewnętrznego skraju miasta... i wystrzelili krocie strzał prosto w krzyczących wniebogłosy mieszkańców biegających po ulicach w poszukiwaniu schronienia. Przyjęłam od niego broń. Chłodny metal rękojeści zasyczał w zetknięciu z moimi dłońmi rozgrzanymi niczym brzuch kowalskiego pieca.

Kasjan uniósł rękę nad głowę. Z syfonu wystrzeliło czerwone światło, które pomknęło w górę i utworzyło ścianę na niebie nad miastem, na wprost nadciągających wrogów.

Zazgrzytał zębami i jęknął, gdy skrzydlaty legion wpadł z impetem na jego tarczę. Tak jakby czuł każde uderzenie.

Przejrzysta czerwona bariera przesunęła się dalej, odrzucając ich do tyłu...

Przyglądaliśmy się w niemym przerażeniu, jak stwory rzuciły się wprost na tarczę z wyciągniętymi przed siebie rękami...

To nie byli pierwsi lepsi fae. Wzbierająca we mnie magia zaskwierczała i zgasła na ich widok.

Każdy z nich wyglądał jak attor.

Wszyscy mieli długie kończyny, szarą skórę, węzowe pyski i ostre jak brzytwa zęby. I gdy legion attorów przebił się przez tarczę Kasjana, jakby była zrobiona z pajęczyny, na ich patykowatych szarych ramionach dostrzegłam rękawice z tego samego lśniącego w słońcu niebieskawego kamienia, z którego wykonano łańcuchy krępujące Rhysa w jaskini.

Kamienia, który łamał i odpierał magię. Prosto z przeklętego skarbcza króla Hybernii.

Jeden po drugim przebili się przez barierę.

Kasjan wysłał im na spotkanie kolejną ścianę. Niektóre ze stworów oderwały się od głównej grupy i pomknęły ku obrzeżom miasta,

bezbronnym poza tarczą Ilyra. Żar, który wzbierał w moich dłoniach, rozpląnął się w lepki pot.

Ludzie krzyczeli, uciekali. A ja miałam pewność, że ta tarcza nie wytrzyma...

– *Ruszaj!* – ryknął Kasjan.

Pomknęłam przed siebie ze świadomością, że został na moście prawdopodobnie tylko ze względu na mnie, że potrzebował pomocy Azriela i Amreny, że...

Wysoko nad nami trójka napastników uderzyła w czerwoną kopułę nad miastem. Drapali ją, rozrywali warstwa po warstwie swoimi kamiennymi rękawicami.

To właśnie zajmowało króla przez te wszystkie miesiące – kompletowanie arsenału. Gromadzenie broni do walki z magią, do walki z fae wysokiego rodzaju, którzy na niej polegają...

W barierze pojawiła się dziura i Kasjan obalił mnie na ziemię, przycisnął do marmurowej balustrady i osłonił skrzydłami. Jego nogi były równie niewzruszone jak rzeźbiony kamień za moimi plecami...

Krzyki na moście, syczący śmiech, a potem...

Plaśnięcie i trzask.

– Szlag – zaklął Kasjan. – *Szlag!*

Postąpił krok do przodu, a ja wyskoczyłam zza niego, aby zobaczyć, co się stało, kto to był...

Na marmurowym moście krew lśniła i migotała w słońcu jak rubiny.

Na jednej z wysokich kunsztownych latarni stojących po obu stronach mostu...

Jej ciało było mocno wygięte od upadku, jakby właśnie doznawała spazmów rozkoszy.

Złote włosy zostały ścięte do skóry. Złote oczy – wylupione.

Targały nią ostatnie drgawki. Metalowy słup latarni przebijał na wylot smukłą kibić, metal nad nią spływał krwią.

Ktoś w pobliżu zwymiotował, po czym rzucił się do ucieczki.

A ja nie mogłam oderwać wzroku od złotej królowej. Ani od attora, który przeleciał przez dziurę, jaką zrobił w tarczy Kasjana, i przysiadł na szczycie zakrwawionej latarni.

– Pozdrowienia od królowych śmiertelników – wysyczał. – I od Juriana.

Potem zerwał się do lotu – szybko i zwinnie – i ruszył prosto w stronę dzielnicy teatrów, z której dopiero co wyszliśmy.

Kasjan przycisnął mnie do bruku mostu, po czym skoczył za attorem. Po chwili zatrzymał się i odwrócił się do mnie.

– *Biegnij* – wychrypiałam.

– Wracaj do domu. Już.

To było ostatnie polecenie – i zarazem pożegnanie. Po tych słowach wystrzelił w niebo w pogoni za attorem, który już zdążył zniknąć wśród wypełnionych krzykiem ulic.

Nade mną w czerwonej tarczy pojawiały się coraz to kolejne dziury i skrzydlate stwory wdzierały się do środka, rzucając między budynki żołnierzy Hybernii, których przeniosły przez morze.

Żołnierzy różnych kształtów i rozmiarów – pomniejszych fae.

Złota królowa otwierała i zamykała usta jak ryba wyrzucona na ląd. Uratować ją, pomóc jej...

Moja krew. Mogłabym...

Postąpiłam krok. Jej ciało zwiotczało.

Gdzieś w środku, gdzie gnieździła się we mnie moja moc, poczułam, jak jej śmierć przemyka chyłkiem.

Cisza, która mnie na chwilę ogarnęła, wybuchła krzykami, uderzeniami skrzydeł, świstem i stukiem strzał.

Zaczęłam biec. Pomknęłam na mój brzeg Sidry, do naszego domu. Nie ufałam sobie na tyle, aby spróbować przeskakiwania – ledwo mogłam myśleć w zalewie paniki ujadającej w mojej głowie. Miałam minuty, jeśli tyle, zanim dotrą do mojej ulicy. Minuty, aby tam dotrzeć i zaprowadzić jak najwięcej osób do środka. Dom był obłożony zaklęciami ochronnymi. Nikt nie mógł się dostać do środka, nawet te stwory.

Fae mijały mnie w pełnym pędzie, mknąc ku schronieniu, do przyjaciół, rodziny. Dotarłam do końca mostu, do stromeego zbocza wzgórza...

Żołnierze Hybernii byli już na szczycie, na obu Pałacach, śmiejąc się z krzyków fae, z ich błagań, gdy wdzielali się do domów i wyciągali

mieszkańców na ulice. Krew spływała po bruku wąskimi rzekami.

To one za to odpowiadały. Królowe... wydały to miasto sztuki, muzyki i wspaniałej kuchni na pastwę tych... potworów. Król musiał wykorzystać Kocioł, aby przełamać chroniące je zaklęcia.

Potężny wybuch zagrział na drugim brzegu. Wstrząs był tak silny, że upadłam na ziemię, wypuściłam miecz i nóż i zdarłam sobie skórę na dłoniach o kamienie bruku. Przewróciłam się na plecy i spojrzałam w stronę rzeki. Zerwałam się na równe nogi i skoczyłam po broń.

Kasjan i Azriel lecieli już obaj nad miastem. A gdzie się skierowali, skrzydlate stwory umierały. Wystrzelili strzały czerwonego i niebieskiego światła, a te tarcze...

Bliźniacze tarcze czerwieni i błękitu stopiły się w jedno, skwiercząc, sycząc, i taranowały pozostałą część powietrznych napastników. Ciała i skrzydła w strzępach, stopione kości...

Z nieba posypały się dłonie otoczone kamieniem. Same dłonie. Uderzały w dachy, wpadały z pluskiem do rzeki. Wszystko, co po nich pozostało – co dwóch ilyryjskich wojowników zdołało wspólnie pokonać.

Ale niezliczone zastępy zdążyły już wylądować. Zbyt wielu. Dachy były rozrywane, drzwi roztrzaskiwane, coraz liczniejsze krzyki rozlegały się wszędzie i nagle cichły...

Oni tu nie przybyli po to, by złupić miasto. Oni tu przybyli, by wszystkich wybić.

A przede mną, ledwie kilka przecznic dalej, Tęcza Velaris była skąpana we krwi.

Tam skupili się attor i jego pobratymcy.

Tak jakby królowe powiedziały im, gdzie uderzyć, która część Velaris będzie najbardziej bezbronna. Bijące serce miasta.

Ogień wzbijał się górę, czarny dym plamił niebo...

Gdzie był Rhys, gdzie był mój towarzysz...?

Za rzeką ponownie huknął grom.

Ale to nie był Kasjan ani Azriel. Kto inny bronił tamtej części miasta. Amrena.

Gdzie wskazała swoimi smukłymi dłońmi, tam żołnierze spadali,

jakby zawodziły ich skrzydła. Uderzali z impetem w bruk ulic, rzucali się, dławili, uderzali rękami wokół, krzyczeli – tak jak krzyczeli mieszkańcy Velaris.

Obróciłam głowę ku Tęczy, tak niedalekiej – pozostawionej bez ochrony. Bezbronnej.

Ulica przede mną była pusta, jedyna bezpieczna droga przez piekło.

Kobieta krzyknęła gdzieś w dzielnicy artystów. I wiedziałam już, gdzie biec.

Obróciłam ilyryjski miecz w ręce i przeskoczyłam do płonącej i zakrwawionej Tęczy.

To był mój dom. To był mój lud.

Jeśli mam zginąć, broniąc ich, tego niewielkiego skrawka świata, gdzie kwitła sztuka...

Niech tak będzie.

I oto stałam się ciemnością, cieniem i wiatrem.

Przeskoczyłam na skraj Tęczy, gdy pierwsi hybernijscy żołnierze minęli dalszy róg i wylali się na nadrzeczny bulwar, niszcząc kawiarnie, w których wypoczywałam i się śmiałam. Nie dostrzegli mnie, dopóki nie było już za późno.

Dopóki mój miecz nie zaczął rozplątywać ich czaszek, jedna po drugiej.

Sześciu padło na bruk i zatrzymałam się u stóp Tęczy, spoglądając w górę na ogień, krew i śmierć... Zbyt wielu. Zbyt wielu żołnierzy.

Nie dam im rady, nigdy nie zdołam zabić ich wszystkich...

Ale wtedy ujrzałam smukłą młodą kobietę o zielonej skórze ze starą zardzewiałą rurą uniesioną nad głową. Broniła dostępu do swojego sklepika... do swojej galerii. Ludzie stłoczeni w środku płakali.

Przed nimi, śmiejąc się z niecodziennej obrończyni i kawałka metalu w jej dłoni, krążyło pięciu skrzydlatych żołnierzy. Zabawiali się jej kosztem, szydzili z niej.

Ale ona stała dzielnie. Jej twarz ani drgnęła. Wokół niej leżały zniszczone obrazy i strzaskana ceramika. Kolejni żołnierze lądowali, rozlewali się po ulicach, wyrzynali mieszkańców...

Z drugiego brzegu rzeki dobiegł kolejny huk. Amrena, Kasjan czy

Azriel – nie wiedziałam.

Rzeka.

Trzech żołnierzy dostrzegło mnie. Ruszyli w moją stronę.

Ale ja biegłam szybciej – z powrotem do rzeki u stóp wzgórza, ku śpiewającej Sidrze.

Dotarłam na wybrzeże, spojrzałam na splamioną krwią wodę i tupnęłam potężnie.

Jakby w odpowiedzi Sidra wzniosła się w powietrze.

Poddałam się pulsującej mocy w moich kościach, w mojej krwi, w moim oddechu. Stałam się Sidrą, przedwieczną i głęboką. I nagięłam ją do swojej woli.

Uniosłam miecz i nóż, nakazałam rzece wznieść się wyżej, kształtowałam ją, formowałam.

Gdy obróciłam się twarzą do nadbiegających żołnierzy Hybernii, ci stanęli jak wryci.

Zza moich pleców wystrzeliły wodne wilki.

Napastnicy obrócili się i pierzchli.

Ale moje wilki były od nich szybsze. Ja również byłam szybsza i biegłam z nimi w samym środku watahy.

Kolejne wilki wypadały ze wściekłym warczeniem z Sidry – równie wielkie jak ten, którego kiedyś zabiłam – i rozlewały się po ulicach, mknąc w górę wzgórza.

Przebiegłam pięć kroków, kiedy czoło watahy dopadło żołdaków dręczących właścicielkę galerii.

Siedem kroków, kiedy wilki ich powaliły i zalały im gardła wodą, topiąc ich...

Dotarłam do najeźdźców i moje ostrze zaśpiewało, gdy odcinałam im po kolei głowy.

Kobieta załkała, gdy mnie rozpoznała, wciąż z uniesioną zardzewiałą rurą. Ale kiwnęła mi głową – tylko raz.

Pobiegłam dalej, zatracając się wśród moich wodnych wilków. Część żołnierzy uciekała w niebo, bijąc panicznie skrzydłami, wycofując się.

W odpowiedzi moim wilkom wyrosły skrzydła i szpony i oto zamiast leśnych drapieżników mknęły sokoły, jastrzębie i orły.

Uderzały w ciała żołnierzy, w ich zbroje, wszystko pokrywając wodą. Gdy umykający wrogowie zorientowali się, że woda nie wdarła im się do płuc, zaprzestali ucieczki i zanieśli się śmiechem.

Uniosłam w górę dłoń i zacisnęłam ją w pięść.

Woda pokrywająca ich skrzydła, zbroję, twarze... zamieniła się w lód.

Lód tak zimny, jaki istniał przed nastaniem światła, zanim słońce zaczęło ogrzewać ziemię. Lód z krainy spowitej zimą, z tych zakamarków mojej duszy, która nie czuła litości, która nie miała współczucia dla tych stworów po tym, co zrobiły i dalej robiły mojemu ludowi.

Zamarznięte na kość tuziny skrzydlatych wojowników spadły na ziemię. I roztrzaskały się na bruku.

Moje wilki szalały wokół mnie, szarpiąc, topiąc i polując. A ci, którzy im umknęli, którzy uciekli w przestworza – zamarzali i rozbijali się o ziemię; zamarzali i rozbijali. Aż ulice były zasłane lodem, wnętrzościami i połamanymi kawałkami skrzydeł oraz kamieni.

Aż krzyki mojego ludu ustały, a krzyki najeźdźców rozbrzmiewały pieśnią w mojej krwi. Jeden z żołnierzy wzniósł się nad budynki pomalowane na jasne kolory... Znałam go.

Attor bił panicznie skrzydłami, a krew niewinnych pokrywała jego szarą skórę i kamienne rękawice. Posłałam w jego stronę wodnego orła, ale wróg był szybszy, zwinniejszy.

Uniknął i orła, i sokoła, i jastrzębia. Wzbijał się coraz wyżej i wyżej, wymachując ramionami, jakby mu to pomagało przedzierać się przez powietrze. Coraz dalej ode mnie, od mojej mocy – od Kasjana i Azriela utrzymujących rzekę i większą część miasta, od Amreny wykorzystującej swoją mroczną moc do ściągania na ziemię tak wielu bez widocznych obrażeń.

Żadne z moich przyjaciół nie dostrzegło attora – sunącego w górę, płynącego ku chmurom, na wolność.

Miał zamiar polecieć z powrotem do Hybernii – do króla. Zdecydował się tu przylecieć, by ich poprowadzić. Z czystej złośliwości. A ja miałam pewność, że ta złota królowa o sercu lwicy wiele wycierpiała w jego rękach. Tak jak Klara.

„Gdzie jesteś?”

Głos Rhysa zabrzmiał w mojej głowie, jakby dobiegał z oddali, od strony tej wąskiej szczeliny w mojej tarczy.

„GDZIE JESTEŚ?”

Attor uciekał. Z każdym uderzeniem serca wzbijał się wyżej i wyżej...

„GDZIE...”

Wsunęłam miecz i nóż za pas i podniosłam dwie strzały leżące na ulicy. Wystrzelone w mój lud. Jesionowe strzały pokryte znajomą zielonkawą trucizną. Zgubą krwi.

„Jestem tam, gdzie powinnam być” – odpowiedziałam Rhysowi.

A potem przeskoczyłam wysoko w górę.

Rozdział 59

Przeskoczyłam na dach pobliskiego budynku z jesionową strzałą w każdej dłoni i rozejrzałam się w poszukiwaniu attora. Był wysoko nade mną, bijąc skrzydłami...

„FEYRO”.

Odcięłam się potężną tarczą z adamantu od tego głosu, od niego. Nie teraz. Nie w tej chwili.

Na skraju postrzegania czułam go łomoczącego w moją barierę. Ryczącego na nią.

Ale nawet on nie mógł jej sforsować.

Attor był *mój*.

W oddali potężna ciemność pożerała świat, mknąc ku mnie, ku Velaris. Żołnierze, którzy stanęli jej na drodze, nie pojawili się już ponownie.

Mój towarzysz. Wcielenie śmierci. Triumfująca noc.

Poszukałam wzrokiem attora i oto był, mknący w stronę morza, w stronę Hybernii, wciąż jeszcze nad miastem.

Przeskoczyłam i zarzuciłam swoją świadomość ku niemu niczym sieć, włócznią umysłu godząc w inny umysł, używając tej nici niczym liny prowadzącej mnie przez czas, świat i wiatr...

Uczepiłam się oleistej smugi jego niegodziwości, koncentrując swoją jaźń na jej rdzeniu. Sercu zepsucia i plugastwa.

Gdy wyłoniłam się z wiatru i cienia, znalazłam się tuż nad attorem.

Gdy na niego wpadłam, wrzasnął i wykrzywił skrzydła. A ja wbiłam w każde z nich po zatrutej jesionowej strzale. Prosto w główny mięsień.

Attor wyprężył się z bólu, a jego rozwidlony język przeciął powietrze między nami. Miasto w dole było niewyraźne z powodu wysokości, Sidra przypominała mały strumyk.

Między kolejnymi uderzeniami serca owinęłam się wokół attora i przemieniłam w żywy płomień palący wszystko, czego dotknęłam; stałam się niezniszczalna jak adamantowa ściana w mojej głowie.

Wrzeszcząc wniebogłosy, attor miotał się w moim uścisku – ale jego skrzydła przebite strzałami, mój unieruchamiający chwyt...

Runęliśmy bezwładnie w dół.

Prosto na spotkanie świata. W krew i ból. Wiatr atakował nas zaciekle.

Attor nie mógł się uwolnić z mojego płomiennego uścisku. Ani nie mógł się pozbyć zatrutych strzał ze swoich skrzydeł. Kaleczyły go. Swąd jego przypalanej skóry podrażnił mój nos.

Gdy tak spadaliśmy, wydobyłam zza pasa sztylet.

Ciemność pochłaniająca horyzont zbliżyła się – jakby mnie dostrzegła.

Jeszcze nie.

Jeszcze nie.

Skierowałam czubek sztyletu w kościstą wydłużoną klatkę piersiową attora.

– To za Rhysa – wysyczałam do spiczastego ucha stwora.

Dłoń mi zadrżała od oporu stawianego stali przez kość.

Srebrzysta krew ogrzała mi palce. Attor wrzasnął.

Wyszarpnęłam ostrze. Krew trysnęła, ochlapując mi twarz.

– To za Klarę.

Ponownie wbiłam sztylet, tym razem przekręcając go w ranie.

W dole można było już rozróżnić poszczególne budynki. Sidra spływała czerwienią, ale niebo było puste – wolne od żołnierzy. Tak jak i ulice.

Attor wrzeszczał i syczał, przeklinał i błagał. Wyszarpnęłam sztylet.

Rozróżniałam już poszczególnych mieszkańców, ich kształty. Ziemia pędziła nam na spotkanie. Attor miotał się tak gwałtownie, że ledwo utrzymywałam go w swoim gorącym jak piec kowalski uścisku. Przypalona skóra odrywała się płatami i zostawała w powietrzu za nami.

– A to – wydyszałam, nachylając się, aby wymówić te słowa wprost do jego ucha, do jego przegniłej duszy, i wbiłam sztylet po raz trzeci, rozkoszując się pękającą kością i rozcinanym mięsem. – To jest za mnie.

Mogłam policzyć kamienie w bruku. Widziałam Śmierć przyzywającą nas z otwartymi ramionami.

Trzymałam usta blisko jego ucha, jak kochanka, a nasze odbicie

w kałuży stawało się coraz wyraźniejsze.

– Do zobaczenia w piekle – wyszeptałam i zostawiłam sztylet wbity w jego bok.

Wiatr wzburzył krew pokrywającą bruk, gdy byliśmy ledwie cale nad ulicą.

Przeskoczyłam w dal, pozostawiając attora samego.

Usłyszałam trzask i plaśnięcie, już przenikając przez świat, napędzana moją mocą i impetem spadania. Pojawiłam się kilka stóp dalej – ciało dłużej od umysłu dostosowywało się do sytuacji.

Nogi się pode mną ugięły i zatoczyłam się do tyłu na ścianę pomalowanego na różowo budynku. Uderzyłam w nią z taką siłą, że pozostawiłam w tynku solidne wgniecenie.

Dyszałam i cała dygotałam. A na ulicy przede mną – połamane i rozpaćkane na bruku... leżały poskręcane skrzydła attora. Poza nimi pozostały tylko skrawki pancerza, pokruszona kość i przypalone ciało.

Fala ciemności – moc Rhysanda – w końcu dotarła na mój brzeg rzeki.

Nikt nie krzyczał na widok nakrapianej gwiazdami kaskady nocy pochłaniającej wszelkie światło.

Wydawało mi się, że słyszę stłumione stękanie i drapanie, tak jakby ciemność szukała żołnierzy poukrywanych w Tęczy, aż w końcu...

Fala zniknęła. Błysnęło światło słońca.

Chrzęst butów przede mną, huk i szept potężnych skrzydeł.

Dłoń na mojej twarzy unosząca brodę, gdy wpatrywałam się i wpatrywałam w rozprasowane resztki attora. Fiołkowe oczy spotkały moje.

Rhys. Rhys tu był.

A... a ja...

Nachylił się. Czoło miał mokre od potu, oddychał nierówno. Delikatnie złożył pocałunek na moich ustach.

Aby przypomnieć nam obojgu. Kim byliśmy, czym byliśmy. Moje lodowe serce stopniało, ogień w moich wnętrznościach ugaszony kosmykiem mroku, woda wypływała z moich żył i wracała do koryta

Sidry.

Rhys się odsunął i przesunął kciukiem po moim policzku.
Mieszkańcy płakali. Lamentowali.

Ale nie krzyčili już w przerażeniu. Skończyły się rozlew krwi
i zniszczenie.

– Feyra Wyzwolicielka, obrończyni Tęczy – wymruczał mój
towarzysz.

Objęłam go rękami w pasie i załkałam.

I chociaż jego miasto zawodziło, księżę Dworu Nocy tulił mnie, aż
w końcu zdołałam spojrzeć na ten skąpany we krwi nowy świat.

Rozdział 60

Velaris jest bezpieczne – powiedział Rhys w środku ciemnej nocy.
– Zaklęcia ochronne, które zniszczył Kocioł, zostały odtworzone.

Aż do tej chwili nie spoczęliśmy ani na moment. Przez godziny pracowaliśmy wraz z pozostałymi przy życiu mieszkańcami: leczyliśmy, łataliśmy, rozwiązywaliśmy tysiące problemów. A teraz, kiedy ponownie zebraliśmy się wszyscy w jednym miejscu, zegar wybił trzecią nad ranem.

Nie wiedziałam, w jaki sposób Rhys mógł jeszcze stać oparty o obudowę kominka w pokoju dziennym. Pótleżałam niemal całkowicie odrętwiała na kanapie obok Mor. Obie byłyśmy całe pokryte brudem i krwią. Podobnie jak pozostała czwórka.

Twarz Kasjana – rozpartego na fotelu zbudowanym z myślą o skrzydłach Ilyrów – była cała posiniaczona. Leczyła się powoli, po czym poznałam, że w tych minutach, kiedy bronił miasta całkiem sam, wyczerpał większość swojej mocy. Ale w jego piwnych oczach wciąż żarzyły się węgle gniewu.

Amrena nie wyglądała wiele lepiej. Szare ubranie drobnej kobiety wisiało na niej praktycznie całe w strzępach. Skóra pod nim była blada jak śnieg. Na wpół śpiąc na kanapie naprzeciwko nas, opierała się o ramię Azriela, który co i rusz posyłał w jej stronę zaniepokojone spojrzenia, nie zważając na krew wciąż sączącą się z jego ran. Niebieskie syfony na jego pobliznionych dłoniach pozostawały uśpione, matowe. Całkowicie puste.

Gdy pomagałam ocalałym w Tęczy zająć się rannymi, policzyć zabitych i poczynić pierwsze naprawy, Rhys co jakiś czas do mnie zaglądał, wciąż odtwarzając zaklęcia ochronne. Podczas jednej z krótkich przerw powiedział mi, że Amrena zrobiła, co należy, na swoim brzegu rzeki.

Dzięki swojej mrocznej mocy tworzyła iluzje bezpośrednio w umysłach najeźdźców. Byli przekonani, że wpadli do Sidry i toną; że lecieli tysiąc stóp wyżej i zanurkowali w stronę miasta – aby spaść na ulicę i roztrzaskać sobie czaszki o bruk. W przypadku tych bardziej okrutnych, bardziej niegodziwych, nasłała na nich ich własne koszmary

i nie odpuszczała, aż z przerażenia umarli na atak serca.

Niektórzy wpadli do rzeki i utonęli, krztusząc się własną krwią. Niektórzy po prostu zniknęli.

– Może i Velaris jest bezpieczne – odparł Kasjan, nawet nie próbując podnieść głowy opartej na zagłówku fotela – ale na jak długo? Dzięki tym oślizgłym królowym Hybernia wie o tym miejscu. Komu jeszcze sprzedadzą tę informację? Ile czasu minie, zanim pozostałe dwory przyjdą tu węszyć? Albo zanim król Hyberнии ponownie użyje Kotła, aby rozbić nasze zaklęcia?

Rhys zamknął oczy i milczał cały spięty. Widziałam ciężar odpowiedzialności napierający na tę ciemnowłosą głowę.

– Jeśli wszyscy wyruszymy do Hyberнии zniszczyć Kocioł – dodałam, chociaż nie chciałam dokładać jeszcze więcej do tego ciężaru – kto będzie bronił miasta?

Cisza. Grdyka Rhysa zatańczyła.

– Ja zostanę – zadeklarowała Amrena.

Kasjan już otworzył usta, aby zaprotestować, ale Rhys bardzo powoli uniósł wzrok na swoją prawą rękę. Amrena nie odwróciła oczu.

– Jeśli Rhys musi się udać do Hyberнии – dodała – ja jestem jedyną, która zdołałaby utrzymać miasto do przybycia posiłków. Dzisiaj daliśmy się zaskoczyć. Dość poważnie. Gdy ruszycie, będziemy lepiej przygotowani. Nowe zaklęcia, które zbudowaliśmy, nie ulegną im tak łatwo.

Mor westchnęła.

– No to co teraz robimy?

– Śpimy – powiedziała Amrena. – Jemy.

– A potem się mścimy – dodał Azriel głosem ochrypłym od bitewnego szału.

Rhys nie przyszedł do łóżka.

Gdy wyszłam z kąpieli, pozostawiając wodę mętną od brudu i krwi, wciąż nigdzie go nie widziałam.

Spróbowałam wyczuć łączącą nas więź i podreptałam po schodach na górę, chociaż moje obolałe sztywne nogi wyraźnie protestowały.

Siedział na dachu w ciemności. Swoje wspaniałe skrzydła położył płasko na dachówkach.

Wślizgnęłam się mu na kolana i objęłam ramionami za szyję.

Wpatrywał się w otaczające nas miasto.

– Tak mało światła. Tak mało światła pali się tej nocy.

Nie podążyłam za jego wzrokiem. Wodziłam oczami po rysach jego twarzy, po czym przesunęłam kciukiem po jego ustach.

– To nie jest twoja wina – powiedziałam cicho.

Spojrzał mi w oczy, ledwo widoczne w panującym mroku.

– Nie jest? Podaliśmy im to miasto na tacy. Powiedziałem, że jestem gotów zaryzykować, ale... Nie wiem, kogo teraz bardziej nienawidzę: króla, tych królowych czy samego siebie.

Odgarnęłam mu włosy z twarzy. Chwycił moją dłoń i unieruchomił ją.

– Odcięłaś mnie – wyszeptał. – Ty... odgradziłaś się ode mnie. Całkowicie. Nie mogłem się w żaden sposób przedostać.

– Przepraszam.

Rhys zaśmiał się gorzko.

– Przepraszasz? Bądź dumna. Ta tarcza... To, co zrobiłaś attorowi... – Pokręcił głową. – Mogłaś zginąć.

– Masz zamiar mnie za to zbesztać?

Zmarszczył brwi, a po chwili oparł głowę na moim ramieniu.

– Jak mógłbym cię besztać za stanięcie w obronie mojego ludu? Mam ochotę cię ochrzanić, owszem, za to, że nie wróciłaś do domu, ale... Zdecydowałaś się walczyć za nich. Za Velaris. – Pocałował mnie w szyję. – Nie zasługuję na ciebie.

Poczułam ukłucie w sercu. On naprawdę tak myślał – naprawdę w to wierzył. Odgarnęłam kolejny kosmyk włosów.

– Zasługujemy na siebie nawzajem – powiedziałam, a moje słowa były jedynymi dźwiękami w cichym, ciemnym mieście. – I zasługujemy na szczęście.

Rhys zadrżał, a potem odszukał ustami moje wargi. Pozwoliłam mu położyć się na dachu i kochaliśmy się pod gwiazdami.

Amrena rozszyfrowała Księgę następnego popołudnia. Nie miała dla nas dobrych wieści.

Siedzieliśmy przy stole w domu Rhysa, do którego pośpieszyliśmy oderwani od napraw, przy których pracowaliśmy w pocie czoła po krótkim śnie.

– Aby zneutralizować moc Kotła – powiedziała zamiast powitania – musisz dotknąć Kotła i wypowiedzieć te słowa.

Wypisała je dla mnie na kartce.

– Jesteś tego pewna? – zapytał Rhys.

Wciąż miał nieco mętny wzrok po wczorajszym wysiłku, leczeniu i całodziennym pomaganiu ocalałym mieszkańcom miasta.

Amrena syknęła.

– Staram się nie poczytać tego za obrazę, Rhysandzie.

Mor wepchnęła się między nich i przyjrzała obu połowom Księgi Tchnień.

– Co się stanie, kiedy złączymy obie części ze sobą?

– Nie rób tego – powiedziała krótko Amrena.

Gdy obie połowy leżały tak blisko siebie, ich głosy zlewały się, śpiew i syczenie, zło, dobro i szaleństwo; mrok, światło i chaos.

– Jeśli to zrobisz – wyjaśniła pod pytającym spojrzeniem Rhysa – falę mocy odczują wszyscy w najdalszych zakątkach świata i najgłębszych dziurach w ziemi. Zwrócisz na siebie uwagę nie tylko króla Hybernii, ale też wrogów o wiele starszych i groźniejszych. Istot, które śpią od bardzo dawna... i których nie należy budzić.

Wzdrygnęłam się lekko. Rhys położyła mi dłoń na plecach.

– Zatem ruszamy teraz – zdecydował Kasjan.

Twarz miał całkowicie wyleczoną, ale trochę kulał od rany, którą ukrył pod skórzanymi spodniami. Wskazał brodą Rhysa.

– Ponieważ ty nie możesz przeskakiwać, bo cię wyśledzą, Mor i Az zabiorą nas wszystkich do celu, Feyra rozbije Kocioł i od razu wrócimy. Załatwimy wszystko i uciekniemy, zanim ktokolwiek nas zauważy.

A król Hybernii będzie miał nowy garnek kuchenny.

Przełknęłam ślinę.

– Może go trzymać w dowolnej części zamku.

– Wiemy, gdzie go przechowuje – wtrącił się Kasjan.

Zamrugałam.

– Udało się nam zawęzić możliwe położenie Kotła do dolnych poziomów – wyjaśnił Azriel. Zapewne dzięki jego szpiegom; przygotowywali tę wyprawę przez wszystkie te miesiące. – Każdy cal zamku i otaczające go ziemie są doskonale strzeżone, ale można przejść niezauważenie. Ustaliliśmy dokładny czas, kiedy niewielka grupa może wejść i wyjść, szybko i cicho, i zniknąć, zanim się zorientują, co się dzieje.

– *Ale* król Hybernii może wyczuć obecność Rhysa w chwili, gdy tylko przybędziemy – wciąła się Mor. – Jeśli Feyra potrzebuje czasu na zneutralizowanie Kotła, a my nie wiemy, *ile* tego czasu będzie potrzebowała, wiele w ten sposób ryzykujemy.

– Wzięliśmy to pod uwagę – odparł Kasjan. – Dlatego ty i Rhys przeniesiecie nas nad morze niedaleko wybrzeża, a potem my polecimy, a on zostanie.

No tak, będą musieli mnie przenieść, bo wciąż nie opanowałam tej sztuki na większych odległościach. A przynajmniej bez wielu przystanków po drodze.

– Co zaś się tyczy zaklęcia – ciągnął dalej Kasjan – to musimy podjąć to ryzyko.

Zapadła cisza. Wszyscy czekaliśmy na decyzję Rhysa. Mój towarzysz studiował moją twarz z rozszerzonymi źrenicami.

– To jest dobry plan – naciskał Azriel. – Król nie zna naszych zapachów. Zniszczymy Kocioł i ulotnimy się, zanim się zorientuje... To go zaboli bardziej niż ta krwawa i bezpośrednia droga, którą rozważaliśmy, Rhys. Pokonaliśmy ich wczoraj, więc kiedy dostaniemy się do jego zamku...

Istotnie na jego zazwyczaj łagodnej twarzy tańczyła żądza zemsty.

– Pozostawimy kilka przypomnień, że poprzednią cholerną wojnę wygraliśmy z konkretnego powodu.

Kasjan pokiwał głową z ponurą miną. Nawet Mor się nieco rozpogodziła.

– Prosisz mnie – odezwał się w końcu zdecydowanie zbyt spokojnym głosem Rhys – żebym pozostał na zewnątrz, podczas gdy moja towarzyszka uda się do jego twierdzy?

– Tak – odparł z równym spokojem Azriel; Kasjan przesunął się ledwo zauważalnie między nich dwóch. – Jeśli Feyra nie zdoła łatwo lub szybko zneutralizować mocy Kotła, możemy go wykraść. A gdy skończymy go rozbijać w drobne kawałeczki, odeślemy draniowi resztki. Tak czy owak, Feyra wezwie cię przez więź, kiedy skończymy. Wtedy ty i Mor przeniesiecie nas z powrotem. Nie zdołają cię namierzyć dość szybko, jeśli zjawisz się tylko po to, by nas zabrać.

Rhysand w końcu opadł obok mnie na kanapę i westchnął przeciągle.

Przesunął wzrok na mnie.

– Jeśli chcesz to zrobić, to zrobimy to, Feyro.

Gdybym nie była już w nim zakochana, mogłabym go pokochać tylko za to – że nie nalega, żebym została, nawet jeśli przez to kipiał z emocji; że nie zamyka mnie gdzieś po tym, co się wydarzyło wczoraj.

Wtedy zrozumiałam, wtedy naprawdę pojęłam, jak źle byłam traktowana wcześniej, skoro tak mało mi było trzeba do szczęścia – skoro przyznana mi wolność sprawiała wrażenie przywileju, a nie przyrodzonego prawa.

Oczy Rhysa pociemniały, a ja wiedziałam, że odczytał moje myśli.

– Chociaż jesteś moją towarzyszką – powiedział – wciąż pozostajesz niezależną osobą. To ty decydujesz o swoim losie, to ty podejmujesz decyzje. Nie ja. Wybrałaś wczoraj. Będziesz wybierała każdego dnia. Zawsze.

Możliwe, że rozumiał to tylko dlatego, że on też był bezradny i pozbawiony prawa wyboru, też był zmuszany do robienia strasznych rzeczy, też był trzymany pod kluczem. Splotłam swoje palce z jego i ścisnęłam jego dłoń. Razem – razem odnajdziemy nasz spokój, naszą przyszłość. Razem będziemy o nią walczyć.

– Ruszajmy do Hybernii – zdecydowałam.

Godzinę później byłam już w połowie drogi w górę schodów, kiedy zorientowałam się, że wciąż nie mam pojęcia, do którego pokoju powinnam się udać. Odkąd wróciliśmy z chaty w górach, udawałam się do swojej sypialni, ale... co z jego pokojem?

Tamlin utrzymywał oddzielne komnaty dla siebie, ale sypiał w mojej. I teraz założyłam... założyłam, że będzie tak samo.

Prawie dotarłam do swoich drzwi, kiedy usłyszałam zza siebie głos Rhysanda.

– Możemy korzystać z twojego pokoju, jeśli chcesz, ale... –
Opierał się o framugę otwartych drzwi do swojej sypialni. – Twój albo mój, ale odtąd mieszkamy oboje w jednym. Po prostu powiedz mi, czy mam przenieść swoje ubrania, czy twoje. Jeśli nie masz nic przeciwko.

– Nie chcesz... nie chcesz mieć własnego pokoju?

– Nie – powiedział wprost. – Chyba że ty tak chcesz. Potrzebuję cię, żebyś mnie broniła przed wrogami swoimi wodnymi wilkami.

Parsknęłam. Kazał mi w kółko powtarzać tę część mojej opowieści. Wskazałam brodą jego sypialnię.

– Ty masz większe łóżko.

I tak oto decyzja zapadła.

Gdy weszłam, moje ubrania już tam były – w drugiej szafie, która teraz stała obok tej z jego rzeczami. Przez chwilę stałam i patrzyłam na olbrzymie łóżko, aby potem rozejrzeć się po wolnej przestrzeni wokół.

Rhys zamknął drzwi i podszedł do biurka, na którym stała niewielka szkatułka. Podniósł ją i wręczył mi bez słowa.

Serce mi załomotało, gdy uniosłam wieczko. Gwiazdzisty szafir załśnił w blasku świec, tak jakby w kamieniu zaklęto jednego z duszków ze Święta Spadających Gwiazd.

– Pierścień twojej matki?

– Dała mi go, aby mi przypomnieć, że zawsze będzie przy mnie, nawet w najgorszym okresie treningu. A kiedy osiągnąłem pełnoletniość, odebrała mi go. W jej rodzinie był cenioną pamiątką, przez wiele pokoleń przekazywaną z matki na córkę. Moja siostra jeszcze nie przyszła na świat, więc matka nie miała go komu przekazać, ale... Przekazała go Tkaczce. I powiedziała mi, że gdybym miał kiedyś pojąć żonę albo zawiązać więź godową, to moja wybranka musi być wystarczająco sprytna lub dość silna, żeby go odebrać. Bo jeśli nie będzie miała żadnej z tych cech, nie przeżyje związku ze mną. Przynależę matce, że ewentualna potencjalna narzeczona czy towarzyszka przejdzie tę próbę... No i tak sobie tam leżał przez wieki.

Twarz spłonęła mi rumieńcem.

– Powiedziałeś, że to jest coś cennego...

– Bo jest. Dla mnie i mojej rodziny.

– Zatem ta wyprawa do Tkaczki...

– Była nieodzowna, żebyśmy mogli się przekonać, czy potrafisz wykrywać te przedmioty. Ale... Ten konkretny wybrałem z czystego egoizmu.

– Chcesz mi powiedzieć, że zdobyłam pierścień ślubny, zanim mnie w ogóle zapytałeś, czy chcę za ciebie wyjść?

– Może.

Przechyliłam głowę na bok.

– Czy... czy chcesz, żebym go nosiła?

– Tylko jeśli ty tego chcesz.

– Gdy udamy się do Hybernii... Powiedzmy, że sprawy potoczą się źle. Czy ktokolwiek będzie potrafił dostrzec, że łączy nas więź godowa? Czy mogą to wykorzystać przeciwko tobie?

Furia zapłonęła na chwilę w jego spojrzeniu.

– Jeśli zobaczą nas razem i wyczują zapach nas obojga, zorientują się.

– A jeśli pojawię się sama z pierścieniem ślubnym Dworu Nocy...

Warknął miękko.

Zamknęłam szkatułkę i pozostawiłam pierścionek w środku.

– Gdy już zneutralizujemy Kocioł, chcę to wszystko zrobić.

Ogłosić zawiązanie więzi, wziąć ślub, zorganizować głupie przyjęcie i zaprosić wszystkich do Velaris...

Rhys odebrał szkatułkę z moich dłoni i postawił na nocnym stoliku, po czym poprowadził mnie do łóżka.

– A jeśli chciałbym pójść jeszcze krok dalej?

– Zamieniam się cała w słuch – wymruczałam, gdy położył mnie na materacu.

Rozdział 61

Nigdy wcześniej nie byłam tak obwieszona stalą. Miałam broń przytroczoną w każdym możliwym miejscu, schowaną w butach i ukrytą w kieszeniach. Do tego oczywiście ilyryjski miecz zamocowany wzdłuż pleców.

Zaledwie kilka godzin temu czułam tak wszechogarniające szczęście po tak strasliwym strachu i żalu. Zaledwie kilka godzin temu byłam w jego ramionach, gdy się kochaliśmy.

A teraz Rhysand, mój towarzysz, mój książę i mój partner, stał przy mnie w sieni. Mor, Azriel i Kasjan byli uzbrojeni i gotowi, cała trójka w tych dziwnych łuskowych zbrojach. Wszyscy zachowywaliśmy pełne niepokoju milczenie.

– Król Hybernii jest stary, Rhys, bardzo stary – powiedziała Amrena. – Nie przebywajcie tam zbyt długo.

Głos przy mojej piersi wyszeptał: „Witaj, cudowna, paskudna kłamczucho”.

Dwie połowy Księgi Tchnień tkwiły w osobnych kieszeniach mojej skórzanej kurty. W jednej z nich było zapisane przez Amrenę zaklęcie, które miałam wypowiedzieć. Choć przeczytałam je z tuzin razy, nie odważyłam się wymówić słów na głos.

– Załatwimy całą sprawę, zanim zdążysz za nami zatęsknić – zapewnił ją Rhysand. – Dobrze strzeż Velaris.

Amrena przyjrzała się moim rękawicom, mojej broni.

– Przy Kotle – powiedziała – Księga zda się niewiniątkiem. Jeśli zaklęcie nie zadziała albo jeśli nie zdołacie go poruszyć, *uciekajcie*.

Kiwnęłam głową. Ostatni raz potoczyła wzrokiem po nas wszystkich.

– Bezpiecznego lotu.

Uznałam, że to jest maksimum troski, jaką potrafi okazać.

Zwróciliśmy się do Mor, która stała z otwartymi ramionami, czekając na mnie. Kasjan i Rhys mieli przeskoczyć z Azrielem. Mój towarzysz miał zostać nad morzem, kilka mil od brzegu, po czym Ilyrowie mieli odnaleźć mnie i Mor.

Ruszyłam w jej stronę, ale Rhys zagroził mi drogę z poważną

miną. Stanęłam na palcach i pocałowałam go.

– Nic mi nie będzie. Nikomu z nas nic się nie stanie.

Patrzył mi w oczy w czasie pocałunku, a gdy oderwałam usta od jego warg, spojrzął na Kasjana.

Ilyr się pokłonił.

– Własnym życiem, książę. Będę ją chronił, choćbym miał zginąć.

Rhys spojrzął na Azriela. Ten kiwnął głową i również się uklonił.

– Choćbyśmy obaj mieli zginąć – powiedział.

To zdawało się zadowolić mojego towarzysza, który spojrzął na koniec na Mor.

Kiwnęła głową.

– Znam swoje zadania – powiedziała.

Zastanawiałam się, jakie one były i dlaczego mi ich nie zdradzili, ale nie miałam czasu na zbyt długie rozmyślenia, bo Mor chwyciła moją dłoń.

Zniknęłyśmy, zanim zdążyłam się pożegnać z Amreną.

Zniknęłyśmy... i mknęłyśmy w dół ku czarnym falom morza.

Ciepłe ciało zderzyło się ze mną i pochwyciło mnie, zanim zdążyła mnie ogarnąć panika i zanim odruchowo przeskoczyłam gdzieś indziej.

– Spokojnie – powiedział Kasjan i skręcił w prawo.

Spojrzałam w dół i ujrzałam Mor wciąż spadającą. Po chwili zniknęła.

Ani śladu, ani mgnienia obecności Rhysa w pobliżu czy za nami. Nieco z przodu Azriel mknął niczym śmigły cień nad czarną wodą. Ku temu ciemnemu lądowi, do którego się zbliżaliśmy.

Ku Hybernii.

Nie było widać żadnych świateł. Wyspa sprawiała wrażenie... starej. Tak jakby była pajakiem czekającym w swojej sieci już od bardzo, bardzo dawna.

– Byłem tu dwukrotnie – mruknął Kasjan. – Za każdym razem tylko odliczałem minuty do odlotu.

W pełni go rozumiałam. Przed nami wyrosła ściana białych jak kość klifów, za którymi rozciągały się trawiaste równiny dochodzące do

stóp jałowych wzgórz. Poza tym czułam głównie wszechogarniającą nicość.

Amarantha wolała zabić wszystkich swoich niewolników zamiast ich uwolnić. Była tu dowódczynią – jedną z wielu. Jeśli te oddziały, które zaatakowały Velaris, stanowiły tylko przednią straż... Przełknęłam ślinę i poruszyłam palcami w rękawicach.

– To jego zamek, tam przed nami – powiedział przez zaciśnięte zęby Kasjan, skręcając nieco w bok.

Za cyplem powitał nas wcięty w klif, wychodzący na morze, smukły, podniszczony zamek z murami z białego kamienia.

Nie był to wspaniały marmur ani elegancki piaskowiec, ale... dziwnie blade kamień. Koloru kości. Z tuzin wysokich wież drapało nocne niebo. W oknach i drzwiach balkonowych migotało kilka świateł. Na murach nie było ni żywej duszy, żadnych patroli.

– Gdzie są wszyscy?

– Zmiana warty. – To dlatego lecieliśmy właśnie teraz. – U stóp klifu są niewielkie morskie wrota. Mor będzie tam na nas czekała. To wejście najbliższe dolnych poziomów.

– Zakładam, że nie może nas przenieść do środka?

– Zbyt wiele zaklęć ochronnych, aby ryzykować czekanie, aż się przez nie przebije. Rhys mógłby to zapewne zrobić. Ale z nim spotkamy się pod wrotami w drodze powrotnej.

Zaschło mi nieco w ustach. Schowana nad moim sercem Księga powiedziała: „Do domu... zabierz mnie do domu”.

Istotnie wyczuwałam go. Z każdą kolejną stopą naszego lotu, szybciej i szybciej, tak nisko nad falami, że piana morska razila mnie chłodem aż po szpik kości, wyczuwałam go.

Starożytny... okrutny. Odpowiadający tylko przed samym sobą.

Kocioł. Nie musieli ustalać, w której części zamku jest trzymany. Nie miałam wątpliwości, że będzie mnie do niego ciągnęło. Zadrżałam.

– Spokojnie – powtórzył Kasjan.

Pomknęliśmy ku podnóżu klifu, ku morskim wrotom wychodzącym na skalny taras. Mor czekała na nas z obnażonym mieczem. Wrota były już otwarte.

Kasjan odetchnął, ale Azriel dotarł do niej pierwszy, lądując

zwinnie i bezgłośnie, po czym natychmiast wszedł do zamku, by sprawdzić korytarz za wrotami.

Mor czekała na nas. Gdy lądowaliśmy, patrzyła cały czas na Kasjana. Nie odezwali się do siebie ani słowem, ale spojrzenie, które wymienili, trwało zbyt długo, aby było przypadkowe. Zastanawiałam się, co wykryli dzięki swojemu przeszkoleniu, dzięki swoim wyczulonym zmysłom.

Korytarz był ciemny i cichy. Uderzenie serca później pojawił się Azriel.

– Strażnicy unieszkodliwieni.

Krew pokrywała ostrze jego noża – jesionowego noża. Spojrzenie zimnych oczu Aza napotkało moje.

– Szybko.

Nie musiałam się koncentrować, żeby wyczuć Kocioł i drogę do miejsca, w którym był ukryty. Szarpał za każdy mój oddech, ciągnąc mnie w swoje mroczne objęcia.

Za każdy razem, gdy docieraliśmy do rozwidlenia korytarzy, Kasjan i Azriel odchodzili na boki i zazwyczaj wracali z coraz bardziej zakrwawionymi ponurymi twarzami, po czym bezgłośnie mnie ponaglali.

Szykowali się całymi tygodniami, korzystając z licznych źródeł informacji, którymi dysponował Azriel, aby ta misja przebiegało zgodnie z precyzyjnie ułożonym planem. Jeśli będę potrzebowała więcej czasu, niż przewidzieli, jeśli nie zdołamy poruszyć Kotła... cały ich wysiłek mógł pójść na marne. Ale te śmierci... Nie, one mi zupełnie nie przeszkadzały.

Tutejsi fae... oni skrzywdzili Rhysa. Zabrali ze sobą narzędzia, żeby go ogłuszyć i unieruchomić. Wysłali tamten legion, aby zniszczył moje miasto i wyrznął w pień jego mieszkańców.

Szliśmy w dół przez pradawne lochy. Kamień ścian był ciemny i poplamiony. Mor trzymała się mojego boku i nieustannie rozglądała się wkoło. Ostatnia linia obrony.

Pojęłam, że jeśli coś by się stało Kasjanowi i Azrielowi, na nią

spadało zadanie wydostania mnie na zewnątrz za wszelką cenę.
I odstawienie do Prythianu.

Ale w korytarzach nie napotkaliśmy nikogo – ja nie napotkałam, ponieważ Ilyrowie zajęli się wszystkimi. Ze swojego zadania wywiązywali się śpiewająco. Natrafiliśmy na kolejne schody prowadzące w dół, w dół, w dół...

Wskazałam je, walcząc ze wzmagającymi się nudnościami.
– Tam. Jest tam.

Kasjan ruszył schodami z obnażonym, pokrytym zakrzepłą krwią mieczem.

Mor i Azriel starali się wręcz nie oddychać, dopóki z dołu nie dobiegł cichy gwizd Kasjana.

Mor położyła dłoń na moich plecach i zesliśmy w mrok.

„Dom – westchnęła Księga Technień. – Dom”.

Kasjan stał w okrągłym pomieszczeniu głęboko pod zamkiem. Nad jego ramieniem unosiła się kula czarodziejskiego światła.

A na samym środku, na niewielkim podeście stał Kocioł.

Rozdział 62

Kocioł był brakiem i obecnością. Ciemnością i... miejscem, skąd pochodziła ciemność.

Ale nie życiem. Nie radością, nie światłem ani nadzieją.

Był wielkości może niezbyt dużej wanny, wykuty z ciemnego żelaza. Jego trzy nogi – które król zrabował ze splądrowanych świątyń – przypominały pokryte cierniami poskręcane gałęzie.

Nigdy w życiu nie widziałam czegoś tak obrzydliwego – i tak pociągającego.

Mor całkiem pobladła.

– Śpiesz się – powiedziała do mnie. – Mamy tylko kilka minut.

Azriel rozejrzał się po pomieszczeniu, spojrzął na schody, którymi tu przyszliśmy, na Kocioł, na jego nogi. Ruszyłam w stronę podestu, ale zagroził mi drogę ręką.

– Posłuchajcie.

Wyteżyliśmy słuch.

To nie były słowa. Ale tętnienie.

Jakby przez tę salę przepływała krew. Jakby w Kotle biło serce.

„Podobieństwo przyciąga podobieństwo”. Postąpiłam naprzód.

Mor była tuż za mną, ale nie powstrzymała mnie, gdy wchodziłam na podest.

W Kotle była tylko atramentowa wirująca czerń.

Może z niego wziął początek cały wszechświat.

Azriel i Kasjan stężeli, gdy położyłam dłoń na brzegu naczynia. Ból – ból, ekstaza, potęga i słabość, wszystkie te uczucia przepłynęły przeze mnie jednocześnie. Wszystko, co było, i wszystko, czego nie było. Ogień i lód, światło i mrok, powódź i susza.

Mapa całego stworzenia.

Wróciłam do siebie i przygotowałam się do odczytania zaklęcia.

Papier drżał, gdy wyciągnęłam go z kieszeni. Gdy moje palce musnęły schowaną w niej połowę Księgi.

„Kłamczucho o słodkim języku, pani o wielu twarzach...”.

Z jedną dłonią na Księdze Tchnień i drugą na Kotle wyszłam poza swoje ciało. Przez moją krew przemknęła błyskawica, jakbym była

wbitym w ziemię piorunochronem.

„Tak, teraz to dostrzegasz, księżniczko padliny... wiesz, co musisz zrobić...”.

– Feyro – mruknęła ostrzegawczo Mor.

Ale moje usta były mi obce, moje wargi mogły równie dobrze być w samym Velaris, a Kocioł i Księga przepływały przeze mnie, porozumiewały się.

„Druga z nas – wysyczała Księga. – Wyjmij drugą... połącz nas, uwolnij nas”.

Wyjęłam Księgę z kieszeni, położyłam w zgięciu ramienia i sięgnęłam po drugą.

„Cudowne dziewczę, piękny ptak... taka słodka, taka hojna...”.

„Razem, razem, razem”.

– Feyro. – Głos Mor zabrzmiał ponad śpiewem obu połów.

Amrena się myliła. Gdy były oddzielnie, ich moc była również rozplątana – zbyt słaba, by stawić czoła otchłani potęgi Kotła. Ale razem... Tak, gdy będą razem, wypowiedziane przeze mnie zaklęcie podziała.

Gdy będzie cała, przestanę być kanałem między nimi, a stanę się ich panią. Nie było sposobu na poruszenie Kotła – musiałam to zrobić teraz.

Gdy Mor zrozumiała, co właśnie zamierzam zrobić, rzuciła się w moją stronę z głośnym przekleństwem.

Zbyt wolno.

Położyłam drugą połowę Księgi na pierwszej.

Bezglębna fala mocy zatkała mi uszy, wstrząsnęła szpikiem kości.

I nic.

Gdzieś z oddali dobiegł głos Mor:

– Nie możemy ryzykować...

– Daj jej chwilę – nie pozwolił jej skończyć Kasjan.

Byłam Księgą i Kotłem, dźwiękiem i ciszą.

Byłam żywą rzeką, przez którą jedno płynęło do drugiego, wirując i kotłując się, wkoło i wkoło, przepływ bez końca ani początku.

Zaklęcie... słowa...

Spojrzałam na trzymaną w dłoni kartkę, ale moje oczy nie

widziały, moje wargi nie chciały się poruszyć.

Nie byłam narzędziem, nie byłam pionkiem. Nie będę kanałem dla ich mocy, nie będę pachółkiem tych przedmiotów...

Nauczyłam się zaklęcia na pamięć. Mogłam je wymówić, wyszeptać, pomyśleć...

Z otchłani pamięci wydobyłam i uformowałam pierwsze słowo. Brnęłam ku niemu, sięgałam, do tego jednego słowa, dzięki któremu połączyłabym się na powrót ze swoim ciałem, z tym, kim byłam...

Silne dłonie szarpnęły mnie i pociągnęły w tył.

Mgliste światło i omszały kamień wlały się we mnie, całe pomieszczenie wirowało, a ja łapczywie łapałam oddech. Spojrzałam i dostrzegłam Azriela potrząsającego mną z oczami otwartymi tak szeroko, że widziałam prawie całe białko. Co się stało, co...

Ze strony schodów dobiegł odgłos kroków. Azriel błyskawicznie przepchnął mnie za siebie i uniósł zakrwawiony miecz.

To otrzeźwiło mnie na tyle, że poczułam coś mokrego i ciepłego ściekającego mi po wargach i brodzie. Krew... krwawiłam z nosa.

Kroki zabrzmiały głośniejsze i moi przyjaciele przyszykowali broń. Po ostatnich stopniach zszedł energicznym krokiem przystojny brunet. Człowiek... płatki jego uszu były zaokrąglone. Ale jego oczy...

Znałam kolor tych oczu. Przez trzy miesiące wpatrywałam się w jedno z nich uwięzione w kryształach.

– Biedny głuptasie – zwrócił się do mnie.

– Jurian – wyszeptałam.

Rozdział 63

Oceeniłam odległość dzielącą moich przyjaciół od Juriana, porównałam swój miecz z bliźniaczymi ostrzami skrzyżowanymi na jego plecach. Kasjan postąpił krok ku zbliżającemu się wojownikowi.

– Ty – warknął.

Jurian parsknął kpiąco.

– Awansowałaś, jak widzę? Moje gratulacje.

Poczułam, jak śmiga ku nam. Niczym fala nocy i gniewu Rhys pojawił się obok mnie. Księga momentalnie zniknęła. Poruszał się tak szybko, gdy mi ją odbierał i wsuwał za poję swojej kurty, że ledwie to zarejestrowałam.

Gdy tylko metal opuścił moje dłonie... Matko nad nami, co się stało? Zawiodłam, całkowicie ich zawiodłam, zostałam tak beznadziejnie przytłoczona jej mocą...

– Nieźle się trzymasz, Jurianie – powiedział Rhys, podchodząc do boku Kasjana i niby od niechcienia stając między mną a wojownikiem sprzed wieków. – Jak na trupa.

– Gdy cię widziałem ostatnim razem – odparował kpiąco Jurian – wygrzewałaś łożo Amaranthy.

– Ach, zatem pamiętasz – powiedział w lekkim zamyśleniu Rhysand, podczas gdy mnie zalała wściekłość. – Ciekawe.

Jurian przeniósł wzrok na Mor.

– Gdzie jest Miriam?

– Nie żyje – odparła bezbarwnym głosem zapytana.

Kłamstwo, które było powtarzane już od pięciuset lat.

– Utonęła razem z Drakonem w Morzu Erytryjskim.

Niewzruszona twarz księżniczki koszmarów.

– Łżesz – powiedział śpiewnie Jurian. – Zawsze strasznie łągałaś, Morrigan.

Azriel warknął w sposób, którego nigdy u niego jeszcze nie słyszałam.

Jurian zignorował go. Pierś zaczynała mu falować.

– *Dokąd zabraliście Miriam?*

– Z dala od ciebie – wydyszała Mor. – Zabrałam ją do księcia

Drakona. Łączy ich więź godowa, wzięli ślub tej samej nocy, kiedy zabiłeś Clythię. Nigdy więcej o tobie już nie pomyślała.

Gniew wykrzywił jego smagłą twarz. Jurian – bohater legionów ludzi... który zdążył zmienić się w potwora równie odrażającego jak te, z którymi walczył.

Rhys sięgnął za siebie i chwycił moją dłoń. Widzieliśmy już dość. Ponownie złapałam brzeg Kotła, nakazując mu posłuszeństwo, udanie się razem z nami. Przygotowałam się na wiatr i ciemność.

Ale one nie nadeszły.

Mor chwyciła dłonie Kasjana i Azriela... i tkwili w miejscu.

Jurian uśmiechnął się.

– Nowa sztuczka? – zapytał Rhysand i mocniej ścisnął moją dłoń.

Dawny ludzki bohater wzruszył ramionami.

– Zostałem wysłany, by czymś was zająć, podczas gdy on pracował nad zaklęciem. – Jego uśmiech stał się drapieżny. – Nie opuście tego zamku, chyba że on wam pozwoli. Albo w kawałkach.

Krew zastygła mi w żyłach. Kasjan i Azriel ugięli kolana i przyjęli postawy bojowe, ale Rhys tylko przekrzywił głowę. Poczułam, jak jego mroczna moc wzbiera i wzbiera, jakby chciał zmiażdżyć Juriana jednym ruchem.

Ale nic się nie stało. Nie poczułam nawet drobnego powiewu nakrapianego nocą wiatru.

– Ach, jeszcze to – powiedział Jurian. – Nie pamiętasz? Może zapomniałeś. Dobrze, że tam byłem, świadomy każdej chwili, Rhysandzie. Ona wykradła *jego* księgę czarów, by odebrać wam wasze moce.

Wewnątrz mnie, niczym klucz przekręcany w zamku, stopiony rdzeń mocy zwyczajnie... się zatrzymał. Ta nić, która łączyła ją z moimi myślami, z moją duszą, została przecięta... nie, ściśnięta tak mocno przez jakąś niewidzialną dłoń, że nic nie mogło nią przepłynąć.

Sięgnęłam do umysłu Rhysa, poszukałam naszej więzi...

I wpadłam na twardą ścianę. Nie z adamantu, lecz z jakiegoś obcego nieczułego kamienia.

– Dopilnował – ciągnął Jurian, podczas gdy ja waliłam w tę wewnętrzną ścianę i bezskutecznie usiłowałam przywołać moje dary –

żeby ta konkretna księga wróciła do niego. Nie potrafiła skorzystać z połowy tych podlejszych zaklęć. Czy wiesz, jak to jest nie móc zasnąć, nie móc pić, jeść, oddychać ani *czuć* przez pięćset lat? Czy potrafisz sobie wyobrazić, jak to jest być zawsze świadomym, zmuszonym do obserwowania wszystkiego, co ona robiła?

To go doprowadziło do szaleństwa – dręczyło jego duszę, aż całkowicie postradał zmysły.

Stąd ten ostry błysk w jego oku.

– Nie mogło to być takie złe – stwierdził Rhys, a ja wiedziałam, że cały czas napiera każdą uncją swojej woli na to zaklęcie, które nas więziło, krępowało – skoro teraz służysz jej władcy.

Błysk aż zbyt białych zębów.

– Twoje męki będą długotrwałe i bezdenne.

– Brzmi obiecująco – rzucił Rhys, obracając nas w stronę schodów. Nieme polecenie, byśmy uciekali.

Ale wtedy na schodach pojawił się ktoś inny.

Znałam go – głęboko w szpiku kości. Długie do ramion czarne włosy, rumiana twarz, ubrania stanowiące ukłon raczej w stronę użyteczności niż przepychu. Był zaskakująco przeciętnego wzrostu, ale umięśniony jak ktoś młody.

Jego rysy – człowieka w okolicy czterdziestki... niespecjalnie przystojnego. Odwracające uwagę od bezdennych, płonących nienawiścią czarnych oczu.

– Zastawienie na was tej pułapki było tak proste – powiedział król Hybernii – że jestem nieco rozczarowany, iż jej nie przejrzeście.

Szybciej, niż którekolwiek z nas zdołało zareagować, Jurian wystrzelił z ukrytej dotąd kuszy jesionowy bełt, który przebił na wylot pierś Azriela.

Mor wrzasnęła.

Nie mieliśmy wyboru – musieliśmy ruszyć za królem.

Grot jesionowego bełtu był pokryty zgubą krwi, która według słów władcy Hybernii płynęła tam, gdzie on kazał. Gdybyśmy stawili opór, gdybyśmy nie zechcieli pójść za nim po schodach, trucizna trafiłaby do

jego serca. A bez możliwości skorzystania z magii, przeskoczenia...

Gdybym jakoś zdołała dotrzeć do Azriela, dała mu się napić mojej krwi... Ale to by trwało zbyt długo i wymagało zbyt wielu ruchów.

Kasjan i Rhys nieśli Azriela między sobą. Jego krew ciągnęła się za nimi czerwoną smugą po krętych schodach.

Staralam się w nią nie wchodzić. Za mną szła Mor, pochód zamykał Jurian. Kuzynka Rhysa cała dygotała – próbowała się opanować, ale cała się trzęsła, gdy patrzyła na lotki bełtu wystające spomiędzy skrzydeł Azriela.

Żadne z nas nie odważyło się zaatakować króla Hybernii idącego przodem. Wcześniej pstryknięciem palców sprawił, że Kocioł zniknął, i spojrzał na mnie z ukosa.

Wiedzieliśmy, że nie blefuje. Wystarczyłby jeden ruch z ich strony, żeby Azriel umarł.

Teraz korytarze zamku zapełniły się strażnikami. I dworzanami. Fae wysokiego rodu i innymi stworami – nie wiedziałam, czym właściwie są – uśmiechającymi się, jakbyśmy mieli stanowić ich następny posiłek. Oczy wszystkich były martwe. Puste.

W zamku nie było żadnych mebli, żadnych dzieł sztuki. Tak jakby był szkieletem jakiegoś potężnego stwora.

Drzwi prowadzące do sali tronowej stały otworem. Wzdrygnęłam się. Sala tronowa – ta sala tronowa, w której Amarantha dawała upust zamięłowaniu do publicznych pokazów okrucieństwa. Kule czarodziejskiego światła pełgały wzdłuż białych jak kość ścian. Okna wychodziły na wzburzone morze daleko w dole.

Król wszedł na podest wykuty z jednego olbrzymiego ciemnego szmaragdu, na którym stał tron złożony z kości... Poczułam, jak krew odpłynęła mi z twarzy. Ludzkie kości. Zbrązowiałe i wyglądzone od upływu lat.

Stanęliśmy przed nim, z Jurianem łypiącym na nas za naszymi plecami. Drzwi zatrzasnęły się za nami.

– Teraz, skoro dotrzymałem swojej części umowy – powiedział król, nie zwracając się do nikogo w szczególności – oczekuję, że ty dotrzymasz swojej.

Z cieni koło bocznych drzwi wynurzyły się dwie osoby.

Zacząłam kręcić głową, tak jakbym mogła rozwiać widok Luciena i Tamlina wkraczających w krąg światła.

Rozdział 64

Rhysand stał nieruchomy jak sama śmierć. Kasjan warknął. Wiszący między nimi Azriel spróbował bezskutecznie unieść głowę.

Wpatrywałam się w Tamlina – w tę twarz, którą tak mocno kochałam i której tak mocno nienawidziłam – który zatrzymał się dobre dwadzieścia stóp od nas.

Przez pierś miał przerzucony swój pas z nożami – teraz dostrzegłam, że były to ilyryjskie noże myśliwskie.

Złote włosy ściał krócej, niż pamiętałam, a twarz miał wymizerowaną. Zaś jego zielone oczy... Rozszerzone i lustrujące mnie od stóp do głów. Odnotowujące moją skórzaną zbroję, ilyryjski miecz, noże, sposób, w jaki stałam z moimi przyjaciółmi – moją rodziną.

Współpracował z królem Hybernii.

– Nie – wyszeptałam.

Ale Tamlin poważyl się zbliżyć jeszcze o krok, wpatrując się we mnie, jakbym była duchem. Lucien, z wizgiem metalowego oka, zatrzymał go, kładąc mu dłoń na ramieniu.

– Nie – powtórzyłam, tym razem głośniej.

– Jaka była cena? – zapytał łagodnym głosem stojący obok mnie Rhysand.

Drapałam i uderzałam w ścianę rozdzielającą nasze umysły; pchałam i szarpałam tę pięść dławiącą moją magię.

Tamlin go zignorował i spojrzał na króla.

– Masz moje słowo.

Król się uśmiechnął.

Postąpiłam krok w stronę Tamlina.

– *Coś ty zrobił?*

– Dobiliśmy targu – odezwał się ze swojego tronu król. – Oddam mu ciebie, a on zgodzi się przepuścić moje wojska przez swoje ziemie. A potem udostępni mi je jako bazę na czas niszczenia tego śmiesznego muru.

Pokręciłam głową. Posłałam Lucienowi błagalne spojrzenie, ale on tylko odwrócił wzrok.

– Oszalałeś – wysyczał Kasjan.

Tamlin wyciągnął rękę w moją stronę.

– Feyro.

Rozkaz – jakbym była nie lepsza od przywoływanego psa.

Ani drgnęłam. Musiałam się oswobodzić, musiałam odzyskać tę cholerną moc...

– Niezmiernie trudno jest cię złapać – powiedział król, wskazując mnie palcem. – Oczywiście ustaliliśmy też, że będziesz pracować dla mnie, gdy już wrócisz do domu swojego męża, ale... Narzeczonego czy męża? Nie mogę sobie przypomnieć.

Lucien wodził wzrokiem między nami wszystkimi z coraz bledszą twarzą.

– Tamlinie – mruknął.

Ale książe Dworu Wiosny nie opuścił wyciągniętej ku mnie ręki.

– Zabieram cię do domu.

Cofnęłam się o krok, w stronę Rhysanda i Kasjana wciąż podtrzymujących Azriela.

– Ach, jest jeszcze jedno. Jeszcze jedna rzecz, której chciałem – ciągnął król. – No, której Jurian chciał. Dwie pieczenie na jednym ogniu. Śmierć księcia Dworu Nocy i dowiedzenie się, kim są jego przyjaciele. Szczerze mówiąc, doprowadziło to Juriana do szaleństwa, że przez te pięćdziesiąt lat nigdy tego nie wyjawiał. Zatem teraz już wiesz, Jurianie. I możesz z nimi uczynić, co tylko zapragniesz.

Stojący wokół mnie przyjaciele stali sztywno – sprężeni jak do skoku. Nawet Azriel delikatnie przesunął zakrwawioną, pobliznioną dłoń w stronę jednego ze swych ostrzy. Kałuża jego krwi sięgała już moich butów.

– Nigdzie z tobą nie idę – powiedziałam spokojnie i wyraźnie, patrząc na Tamlina.

– Będziesz inaczej śpiewać, moja droga – wtrącił król – kiedy wywiążę się z ostatniej części naszej umowy.

Strach ścisnął mi żołądek.

Król skinął głową na moją lewą rękę.

– Zerwę więź między waszą dwójką.

– Błagam – wyszeptałam.

– Jakże inaczej Tamlin miałby w pełni odzyskać swoją

oblubienicę? Nie może mieć żony, która raz w miesiącu ucieka do innego mężczyzny.

Rhys zachował milczenie i mocniej ścisnął ramię Azriela.

Obserwował, analizował, badał blokadę jego mocy. Na myśl, że ta cisza między naszymi duszami mogłaby być trwała...

Głos mi się załamał, gdy zwróciłam się do Tamlina, wciąż na przeciwległym końcu półkola, które tworzyliśmy przed podestem.

– Nie rób tego. Nie pozwól mu na to. Powiedziałam ci... przecież ci powiedziałam, że wszystko jest ze mną w porządku. Że odeszłam...

– Nie wszystko było w porządku – warknął Tamlin. – Wykorzystał tę więź, żeby tobą manipulować. Jak myślisz, dlaczego tak często znikalem? Szukałem sposobu, by cię *uwolnić*. A ty *odeszłaś*.

– Odeszłam, bo w twoim domu bym *umarła!*

Król Hybernii cmoknął głośno.

– Nie tego oczekiwałaś, hmm?

Tamlin warknął na niego, ale potem ponownie wyciągnął rękę w moją stronę.

– Chodź ze mną do domu. Ale już.

– Nie.

– Feyro.

Nieznoszący sprzeciwu rozkaz.

Rhys ledwie oddychał – prawie się nie ruszał.

I zrozumiałam... zrozumiałam, że chciał w ten sposób ukryć swój zapach. Nasz zapach. Naszą więź godową.

Jurian trzymał już w ręku obnażony miecz i patrzył na Mor, tak jakby ją chciał zabić pierwszą. Gdy Azriel dostrzegł to spojrzenie, jego pobladła twarz wykrzywiła się od wściekłości. Kasjan, wciąż podtrzymujący przyjaciela, powiódł wzrokiem po wszystkich zebranych, oceniając, szykując się do walki, do obrony.

Przestałam uderzać w tę pięść zaciśniętą na mojej mocy i zaczęłam ją głaskać, łagodnie, czule.

„Jestem fae i niefae, wszystkim i niczym – powiedziałam krępującemu mnie zakłęciu. – Nie możesz mnie utrzymać. Jestem taka jak ty – prawdziwa i nieprawdziwa, niczym więcej ponad zebrane razem smugi mocy. Nie możesz mnie utrzymać”.

– Pójdę z tobą – zwróciłam się łagodnym głosem do Tamlina, do Luciena przestępującego z nogi na nogę – jeśli puścicie ich wolno. Pozwólcie im odejść.

„Nie możesz mnie utrzymać”.

Tamlin wykrzywił twarz w gniewie.

– To potwory. To...

Nie dokończył i ruszył w moją stronę, aby mnie pochwycić. Aby mnie wyciągnąć stąd, a potem z pewnością razem ze mną przeskoczyć do Prythianu.

„Nie możesz mnie utrzymać”.

Pięść zaciśnięta na mojej mocy rozluźniła się. I zniknęła.

Tamlin skoczył, by przebyć ostatnie kilka stóp jednym susem. Tak szybko... zbyt szybko...

Stałam się mgłą i cieniem.

Przeskoczyłam poza zasięg jego ramion. Król zaśmiał się cicho, gdy Tamlin zatoczył się, ledwo łapiąc równowagę.

I poleciał w tył, gdy pięść Rhysanda trafiła go prosto w twarz.

Dyszac ciężko, cofnęłam się prosto w objęcia mojego towarzysza, który objął mnie ramieniem w talii. Pokrywająca go krew Azriela wsiąkała w plecy mojej skórzanej zbroi. Za naszymi plecami Mor skoczyła, aby zastąpić Rhysa, i zarzuciła sobie ramię Azriela na barki.

Ale ta ściana ohydneho kamienia wciąż trwała w moich myślach, wciąż blokowała moc Rhysanda.

Tamlin wstał, otarł krew sączącą się z nosa i wycofał do Luciena, który stał cały czas w tym samym miejscu, teraz z ręką na rękojeści miecza.

Gdy mój niegdysiejszy ukochany zbliżył się do przyjaciela, zawahał się. Chwilę później twarz pobieląa mu z furii.

I zrozumiałam, że Tamlin pojął wszystko – zanim król wybuchnął śmiechem.

– Nie do wiary. Twoja narzeczona odeszła od ciebie, po czym znalazła swojego towarzysza. Wygląda na to, że Matka ma zwichrowane poczucie humoru. I cóż za uzdolnienia... powiedz mi, dziewczę: w jaki sposób rozplątałaś to zaklęcie?

Zignorowałam go. Ale na widok nienawiści w oczach Tamlina

nogi się pode mną ugięły.

– Przykro mi – powiedziałam szczerze.

Tamlin wpatrywał się w Rhysanda z niemal zwierzęcym wyrazem twarzy.

– Ty – warknął. Jego głos mógłby należeć do zwierzęcia. – *Co ty jej zrobiłeś?*

Drzwi za naszymi plecami stanęły otworem i włali się przez nie żołnierze. Niektórzy przypominali attora. Inni wyglądali jeszcze gorzej. Wbiegało ich coraz więcej i więcej, wypełniając salę, blokując drogi wyjścia w akompaniamencie szczęku zbroi i broni.

Mor i Kasjan, z Azrielem zwisającym bezwładnie między nimi z przymkniętymi oczami, przyjrzeni się uważnie wszystkim żołnierzom, ich broni, obmyślając najlepszą strategię ucieczki.

Obróciliśmy się z Rhysem w stronę Tamlina.

– Nie pójdę z tobą – burknęłam. – A nawet gdybym poszła... Ty tchórzliwy, bezmózgi *durniu!* Sprzedałeś nas *jemu!* Czy ty wiesz, do czego on chce wykorzystać Kocioł?

– Och, zamierzam go wykorzystać do bardzo wielu rzeczy – wtrącił król.

I Kocioł pojawił się między nami.

– A zacznę już teraz.

„Zabij go, zabij go, zabij go”.

Nie potrafiłam orzec, czy ten głos należał do mnie, czy do Kotła. Zresztą było to bez różnicy. Puściłam wodze mojej nocy.

Błyskawicznie wykształciłam szpony i skrzydła, otoczyłam się cieniami, wodą i ogniem...

Po chwili wszystko zniknęło, stłumione, gdy ta niewidzialna dłoń ponownie ścisnęła moją moc – tak mocno, że aż się zatchnęłam.

– Ach – powiedział król i głośno cmoknął. – To. Spójrz tylko na siebie. Dziecię wszystkich siedmiu dworów. Tak podobna i zarazem niepodobna do wszystkich. Jak Kocioł wręcz mruży w twojej obecności. Zamierzałaś go wykorzystać? Zniszczyć? Z tą Księżą mogłabyś zrobić, cokolwiek byś tylko zechciała.

Zachowałam milczenie. Król wzruszył ramionami.

– Wkrótce wszystko mi powiesz.

– Nie dobijałam z tobą żadnego targu. Na nic się nie zgadzałam.

– Nie, ale twój pan to zrobił, zatem będziesz mu posłuszna.

Wypełnił mnie kipiący szał.

– Jeśli mnie stąd zabierzesz – wysyczałam w stronę Tamlina – jeśli rozdzielisz mnie z moim towarzyszem, *zniszczę cię*. Zniszczę twój dwór i wszystko, co jest ci bliskie.

Tamlin zacisnął mocno usta.

– Nie wiesz, co mówisz – odparł krótko.

Lucien się wzdrygnął.

Król skinął na strażników stojących przy bocznych drzwiach, przez które weszli moi dawni przyjaciele.

– Istotnie, nie wie. – Straże otworzyły drzwi. – Nie będzie żadnego niszczenia.

Przez drzwi weszła grupa ludzi – *kobiet*.

Cztery kobiety. Cztery ludzkie kobiety. Pozostałe cztery królowe.

– Ponieważ – dodał król, gdy do sali wkroczyli strażnicy królowej, ciągnąc coś między sobą – za chwilę sama zrozumiesz, Feyro Archeron, że posłuszeństwo leży w twoim najlepszym interesie.

Cztery królowe spojrzały na nas z wyższością i nienawiścią. Nienawiścią.

Następnie rozstały się i przepuściły swoich gwardzistów.

W moje serce wlał się strach, jakiego jeszcze nigdy nie zaznałam, gdy żołnierze pociągnęli przed króla Hybernii moje siostry – związane i zakneblowane.

Rozdział 65

To było piekło. Jakiś nowy rodzaj koszmaru. Nawet się uszczypnęłam, aby spróbować się obudzić.

Ale wciąż tam były – w swoich nocnych koszulach; poszarpanych i brudnych jedwabiach i koronkach.

Elaina szlochała cicho, jej knebel był przesiąknięty łzami. Nesta, z włosami w takim nieładzie, jakby walczyła niczym żbik, dyszała ciężko i potoczyła wzrokiem po wszystkich, a na koniec spojrzała na Kocioł.

– Popełniłeś bardzo poważny błąd – zwrócił się do obejmującego mnie Rhysa król. – W dniu, w którym zacząłeś szukać Księgi. Nie potrzebowałem jej. W zupełności mi wystarczało, że jest ukryta. Ale w chwili, w której twoi ludzie zaczęli węszyć... Pomyślałem, że ktoś będzie lepszym pośrednikiem między mną a światem ludzi niż mój świeżo odrodzony przyjaciel Jurian? Dopiero co, po wielu miesiącach, doszedł do siebie po procesie odtwarzania ciała i bardzo chciał zobaczyć, jak teraz wygląda jego dawny dom. Ogromnie się ucieszył na możliwość dłuższych odwiedzin na kontynencie.

Istotnie królowe uśmiechnęły się do niego – i skłoniły głowami. Rhys ścisnął mnie mocniej w niemym ostrzeżeniu.

– Dzielny, przebiegły Jurian, który tak wiele wycierpiał pod koniec wojny, teraz jest moim sojusznikiem. Pomaga mi przekonać te oto królowe, aby wsparły mnie w moich dążeniach. Za odpowiednią cenę, oczywiście, ale to nie ma znaczenia. Dla nich mądrzej było współpracować ze mną, z moimi ludźmi, niż pozwolić wam, potworom Dworu Nocy, rządzić i zabijać. Jurian słusznie ostrzegł ich królewskie wysokości, że spróbujesz odebrać im Księgę; że będziesz je karmił kłamstwami o miłości i dobru, podczas gdy on widział *na własne oczy*, czy raczej oko, do czego jest zdolny książę Dworu Nocy. Bohater ludzkiej armii, odrodzony w ramach gestu dobrej woli wobec śmiertelników. Nie mam zamiaru atakować kontynentu, chcę z nimi współpracować. Dzięki mojej mocy ich dwór był ukryty przed *wścibskimi* oczami. W ten sposób dostrzegli niewątpliwe zalety współpracy ze mną. – Posłał kpiący uśmiezek Azrielowi, który ledwo

mógł unieść głowę, by odplacić mu tym samym. – Podziwiam próby przedostania się do ich świętego pałacu, pieśniarzu cieni. Oczywiście był to doskonały dowód dla ich królewskich wysokości, że wasz dwór nie jest tak przyjaźnie nastawiony, jak to przedstawialiście.

– Kłamco – wysyczałam i zwróciłam się do królowych, odważając się odejść od Rhysa tylko o krok. – Oni wszyscy *kłamią*. A jeśli nie wypuścicie moich sióstr, *wyrznię*...

– Słyszycie groźby? Język, jakim posługują się na Dworze Nocy? – zapytał król śmiertelnych królowych, których straże otaczały nas teraz półkolem. – *Wyrznię, zróbcie, jak chcemy, albo...* Oni pragną odbierać życie. Ja pragnę je dawać.

– Zatem pokaż nam – zwróciła się do niego najstarsza królowa, nie zważając na mnie, na moje słowa. – Dowiedz prawdziwości tego daru, o którym mówiłeś.

Rhysand przyciągnął mnie z powrotem do siebie.

– Postępujesz głupio – powiedział cicho do królowej.

– Czyżby? – zapytał król. – Czemuż miałyby poddawać się starości i towarzyszącym jej chorobom, kiedy ja mogę jej zaoferować o wiele więcej? – Wskazał mnie machnięciem ręki. – Wieczną młodość. Czy zaprzeczysz korzyściom? Śmiertelna królowa zyska możliwość rządzenia po kres czasów. Oczywiście, jest pewne ryzyko... przemiana może być... kłopotliwa. Ale osoba o silnej woli może ją przeżyć.

Najmłodsza królowa, ta o ciemnych włosach, uśmiechnęła się lekko. Arogancja młodości i zgorzknienie starości. Tylko dwie pozostałe, te ubrane w biel i czerń, zdawały się wahać, przysunęły się bliżej siebie, bliżej swoich strażników.

– Pokaż nam – zażądała z wysoko uniesioną głową najstarsza królowa. – Udowodnij, że to jest możliwe, że to jest bezpieczne.

Wtedy, w moim rodzinnym domu, mówiła o wiecznej młodości, wytykała mi ją. Dwulicowa *suka*.

Król pokiwał głową.

– Jak myślisz, dlaczego poprosiłem moją bliską przyjaciółkę Ianthę, aby ustaliła, z kim Feyra Archeron chętnie spędziłaby wieczność?

Przerażenie wypełniło mi uszy dudniącą ciszą. Spojrzałam na

królowe z pytaniem bez wątpienia malującym się na twarzy.

– Och, najpierw spytałem o to je – wyjaśnił król. – Ale uznały to za zbyt... niewłaściwe, by zdradzać dwie młode, oszukiwane kobiety.

Iantha nie miała takich zahamowań. Uznaj to za mój prezent ślubny dla was obojga – dodał, spoglądając na Tamlina, którego twarz stężała.

– Słucham?

Król przekrzywił głowę.

– Sądzę – mówił dalej, rozkoszując się każdym słowem – że wysoka kapłanka chciała ci to powiedzieć dopiero po twoim powrocie, ale czy nigdy jej nie zapytałeś, *dlaczego* uważała, że mógłbym nie dotrzymać naszej umowy? Dlaczego miała tak wiele zastrzeżeń? Przez całe tysiąclecia księżęta zmuszali wysokie kapłanki do padania przed nimi na kolana. A przez te lata, które spędziła na obcym dworze... ta kobieta ma taki otwarty umysł. Gdy się spotkaliśmy, gdy odmalowałem przed nią obraz Prythianu wolnego od księżąt, którym kapłanki mogłyby władać dzięki swojej przenikliwości i mądrości... Nie trzeba jej było długo przekonywać.

Miałam ochotę zwymiotować. Tamlin, trzeba mu to było oddać, też sprawiał takie wrażenie.

Lucienowi zrzęda mina.

– Sprzedała... sprzedała rodzinę Feyry. Tobie.

Opowiedziałam Iancie wszystko o moich siostrach. Poprosiła mnie o to. Pytała, kim były, gdzie mieszkały. A ja byłam taka głupia, taka rozbita... Wyjawiłam jej wszystko ze szczegółami.

– Sprzedała? – Król parsknął. – Czy też uratowała z oków nieuchronnej śmierci? Iantha zasugerowała, że obie były kobietami o silnej woli, tak jak ich siostra. Bez wątpienia przeżyją przemianę. I dowiodą naszym królowym, że to *jest* możliwe. Jeśli tylko przetrwają.

Serce zamarło mi w piersi.

– *Nawet się nie waż...*

– Sugerowałbym zebranie się w sobie – nie dał mi dokończyć król. Wtem w sali rozpętało się piekło.

Moc – biała, nieskończona i odrażająca – uderzyła w nas z wielką siłą.

Zanim zdążyłam cokolwiek zrobić, Rhysand zasłonił mnie swoim

ciałem i padliśmy oboje na posadzkę, a on krzyknął z bólu, gdy magia króla uderzyła w niego.

Kasjan skręcił ciało i rozpostarł szeroko skrzydła, zasłaniając Azriela.

Jego skrzydła... jego skrzydła...

Wrzask Kasjana, gdy membrana była rwana na strzępy szponami czystej magii, był najstraszniejszym dźwiękiem, jaki kiedykolwiek słyszałam. Mor rzuciła się do niego, ale było za późno.

Rhys błyskawicznie się zerwał, tak jakby chciał się rzucić na króla, ale ten uderzał w nas swoimi zaklęciami raz po raz. Rhys upadł ciężko na kolana.

Moje siostry wrzeszczały przez kneble. Krzyk Elainy... ostrzeżenie. Ostrzeżenie przed...

Przed Tamlinem biegnącym ku mnie od mojej teraz odsłoniętej prawej strony. Aby mnie w końcu pochwycić.

Cisnęłam w niego nożem – najmocniej, jak zdołałam.

Musiał rzucić się na podłogę, aby go uniknąć. Gdy wstał, cofnął się, widząc drugi nóż gotowy w mojej dłoni, wpatrując się rozszerzonymi oczami we mnie, w Rhysa, jakby istotnie potrafił dostrzec więź godową między nami.

Obróciłam się i dostrzegłam napierających żołnierzy, rozdzielających nas. Obróciłam się w drugą stronę i zobaczyłam Kasjana i Azriela leżących na ziemi, Juriana śmiejącego się szyderczo z krwi tryskającej z okaleczonych skrzydeł pierwszego z nich...

Zostały tylko strzępy zwisające z kości.

Rzuciłam się do niego. Moja krew. Może wystarczy, aby...

Mor, klęcząca dotąd przy Kasjanie, rzuciła się na króla z okrzykiem czystej furii.

Posłał w jej stronę falę mocy. Uchyliła się przed nią, poprawiła chwyt na nożu i...

Azriel wrzasnął z bólu.

Stała jak wryta. O stopę od tronu. Nóż upadł z brzękiem na posadzkę.

Król wstał.

– Jesteś naprawdę potężną królową – wydyszał.

Mor się cofała. Krok za krokiem.

– Cóż za zdobycz – dodał król, pożerając ją spojrzeniem swoich czarnych oczu.

Leżący na podłodze w kałuży własnej krwi Azriel uniósł głowę z oczami przepelnionymi wściekłością i bólem.

– *Nawet nie próbuj jej dotykać* – warknął.

Mor spojrzała na Azriela – z jej oczu bił najprawdziwszy strach. Strach... i coś jeszcze. Nie zatrzymała się, dopóki ponownie nie uklękła przy nim i nie przycisnęła dłoni do jego rany. Azriel syknął, ale po chwili objął jej zakrwawione palce swoimi.

Rhys stanął między mną a królem, podczas gdy ja opadłam na kolana przed Kasjanem. Szarpnęłam rękaw skórzanej zbroi zakrywający moje przedramię...

– Pierwszą wrzucie tę ładniejszą – zakomenderował król, zapomniawszy już o Mor.

Obróciłam się w miejscu – jeden z królewskich gwardzistów pochwycił mnie od tyłu.

W mgnieniu oka Rhys był przy mnie, ale wtedy Azriel wrzasnął i wyprężył się – trucizna króla robiła swoje.

– Proszę – odezwał się król. – Powstrzymaj się od wprowadzania głupich pomysłów w życie, Rhysandzie. – Uśmiechnął się do mnie. – Jeśli którekolwiek z was spróbuje mi przeszkodzić, pieśniarz cieni umrze. Szkoda skrzydeł tego drugiego brutala. – Ukłonił się szyderczo moim siostram. – Panie, wieczność czeka. Udowodnijcie ich królewskim wysokościach, że Kocioł jest bezpieczny dla... osób o silnej woli.

Pokręciłam głową, niezdolna do złapania oddechu, do znalezienia jakiegoś wyjścia...

Elaina dygotała i łkała, gdy ciągnęli ją do przodu. W stronę Kotła. Nesta zaczęła się wyrywać trzymającym ją żołnierzom.

– Stój – zażądał Tamlin.

Król ani myślał go posłuchać.

Stojący obok księcia Dworu Wiosny Lucien położył dłoń na rękojeści miecza.

– Przerwij to.

Nesta wyzywała strażników, króla, a Elaina posuwała się krok po

kroku w stronę Kotła. Król skinął dłonią i ten czarny płyn wypełnił naczynie po brzegi.

„Nie, nie”.

Królowe tylko się przyglądały z kamiennymi twarzami. A Rhys i Mor, rozdzieleni ode mnie przez żołnierzy, nie śmieli nawet poruszyć mięśniem.

– Na to się nie umawialiśmy – rzucił w stronę króla Tamlin. – Przerwij to natychmiast.

– Mam to gdzieś – odparł krótko król.

Tamlin rzucił się w stronę tronu, tak jakby chciał rozerwać siedzącego na nim mężczyznę na strzępy.

Rozgrzana do białości magia uderzyła w niego i cisnęła nim na posadzkę. Spętała go.

Tamlin szarpnął obrożę światła na swojej szyi, pęta na przegubach dłoni. Jego złota moc rozblęła – ale bez skutku. Szarpnęłam pięść wciąż ściskającą moją magię, drapałam w nią raz po raz...

Lucien zrobił krok naprzód, gdy strażnicy trzymający Elaine unieśli ją w górę. Zaczęła ich kopać i szlochać, zaparła się stopami o brzeg Kotła, jakby mogła go odepchnąć, przewrócić.

– *Dość!*

Lucien rzucił się w stronę Elainy, do Kotła.

Moc króla jego również spętała. Leżąc na posadzce obok Tamlina, z jedynym zdrowym okiem rozwartym szeroko, Lucien miał dość przyzwoitości, żeby wyglądać na przerażonego, wodząc wzrokiem między Elainą a księciem.

– Proszę – zwróciłam się błagalnym głosem do króla, który nakazał gestem wrzucenie Elainy do czarnej wody. – Błagam, zrobię wszystko, dam ci, cokolwiek zechcesz.

Zerwałam się na nogi, odsunęłam od leżącego twarzą do ziemi Kasjana i spojrzałam na królowe.

– Proszę was... nie potrzebujecie kolejnego dowodu, ja jestem dowodem na to, że to działa. Jurian jest dowodem, że to jest bezpieczne.

– Jesteś złodziejką i oszustką – odparła najstarsza królowa. – Spiskowałaś z naszą siostrą. Powinna cię spotkać taka sama kara jak ją. Uznaj to za wielkoduszny dar.

Stopa Elainy dotknęła wody i moja siostra wrzasnęła – jej krzyk przerażenia dotknął mnie tak głęboko, że zaczęłam łkać.

– Błagam – zwróciłam się do nich.

Nesta wciąż walczyła, wciąż wrzeszczała przez knebel.

Elaina, dla której Nesta byłaby gotowa zabić, kraść i sprzedać swoje ciało. Elaina, tak łagodna i słodka Elaina, która miała poślubić syna wielmoży nienawidzącego fae...

Strażnicy wrzucili moją siostrę do Kotła.

Mój krzyk wciąż rozbrzmiewał w sali, gdy głowa Elainy zniknęła pod powierzchnią.

Nie wypłynęła.

W ciszy brzmiały już tylko krzyki Nesty. Kasjan podpełzł ku niej na oślep, jęcząc z bólu.

Król Hyberrnii skłonił się lekko królowym.

– Patrzcie.

Rhys, od którego wciąż oddzielała mnie ściana gwardzistów, zacisnęła pięści. Ale nie poruszył się, Mor również nie odważyła się drgnąć – wszak król mógł w każdej chwili zakończyć życie Azriela.

Wtedy, jakby pchnięty niewidzialną dłonią, Kocioł przechylił się na bok.

Chlusnęło z niego więcej wody, niż wydawało się, że mogłoby pomieścić. Czarnej, spowitej dymem wody.

I na kamieniach posadzki wylądowała Elaina, jakby wyrzucona przez fale morskie na brzeg.

Jej nogi były takie blade... takie delikatne. Nie pamiętałam, kiedy po raz ostatni widziałam je nagie.

Królowe podeszły bliżej. Żyła, musiała żyć, musiała chcieć żyć...

Elaina wzięła oddech, uniosła smukły tułów, jej przemoczona koszula nocna była niemal przejrzysta.

A gdy uniosła się na łokciach, wciąż zakneblowana, gdy obróciła głowę, by na mnie spojrzeć...

Nesta zaczęła ponownie wyć.

Błada skóra zaczęła świecić. Jej twarz w jakiś sposób stała się jeszcze piękniejsza – nieskończenie piękna, a jej uszy... Spomiędzy mokrych włosów wystawały spiczaste uszy.

Królowe nabrały głośno powietrza. Przez chwilę mogłam myśleć tylko o ojcu. O tym, co by zrobił, co by powiedział, gdyby jego najukochańsza córka stanęła przed nim z twarzą fae.

– Zatem możemy to przeżyć – wyszeptała ciemnowłosa najmłodsza królowa z jaśniejącymi oczami.

Upadłam na kolana – strażnicy mnie nie podtrzymali – i załkałam.

Co on zrobił, co on zrobił...

– Teraz sekutnica, jeśli bylibyście tak mili – zaordynował król Hybernii.

Obróciłam głowę w stronę Nesty, która zamilkła. Kocioł stanął ponownie stabilnie na nogach.

Kasjan dźwignął się, szybko opadł bezwładnie na podłogę, ale jego dłoń jeszcze drgnęła, przesunęła się po podłodze...

W stronę Nesty.

Elaina wciąż drżała na mokrych kamieniach. Jej koszula nocna lepiła się do ud, drobne piersi były w pełni widoczne przez przesiąkniętą wodą materiał.

Strażnicy zachichotali.

Lucien warknął na króla, walcząc z magią ściskającą mu gardło:

– *Nie zostawiaj jej tak na cholernej podłodze...*

Błysnęło światło, rozległo się głośne drapnięcie i po chwili Lucien szedł ku Elaine wolny od magicznych pęt. Tamlin nadal leżał skrupowany na posadzce, teraz dodatkowo z kneblem ze lśniącego białego światła w ustach. Oczy wbijał w Luciena, który...

Który zdjął kurtę i przyklęknął przy Elaine. Odsunęła się od okrycia, od niego...

Strażnicy ciągnęli Nestę w stronę Kotła.

Zrozumiałam, że istnieją różne rodzaje tortur.

Były te, które ja musiałam znosić; były te, które musiał znosić Rhys.

I były też takie.

Tortura, której Rhys tak usilnie próbował uniknąć przez pięćdziesiąt lat. Koszmary, które go nieustannie prześladowały. Nie móc się poruszyć, nie móc walczyć... móc się tylko przyglądać, jak ci, których kochasz, są męczeni. Napotkałam wzrok mojego towarzysza.

Fiołkowe oczy lśniły cierpieniem – gniewem, winą i nieskończonym bólem. Lustrzane odbicie moich.

Nesta walczyła na każdym kroku.

Nie mieli z nią łatwej roboty. Drapała, kopała, rzucała się.

Ale to nie wystarczyło.

To było za mało, aby ją ocalić.

Przyglądałam się, jak unoszą ją w górę. Elaina trzęsa się na posadzce z kurtą Luciena na ramionach. Nie spojrzała na Kocioł za sobą, gdy wierzgające nogi Nesty uderzyły o wodę.

Kasjan ponownie spróbował się poruszyć. Jego poszarpane skrzydła drgnęły, chlapiąc krwią; mięśnie zadrżały. W reakcji na krzyki Nesty, na jej szal, otworzył oczy, zamglone i niewidzące. Jakby w odpowiedzi na jakiś zew w jego krwi w związku ze złożoną jej obietnicą. Ale ból ponownie odebrał mu siły.

Nesta tkwiła w wodzie po ramiona. Rzucała się, rozchlapując wodę. Miotła się, wrzeszczała wściekle, nie poddawała się.

– Wepchnijcie ją pod wodę – wysyczał król.

Żołnierze nie bez wysiłku pchnęli jej smukłe ramiona w dół. Jej złocistą głowę.

Gdy już prawie wepchnęli ją całą pod wodę, rzuciła się ostatni raz, wyciągając długie blade ramię.

Z obnażonymi zębami Nesta wskazała króla Hybernii wyprostowanym palcem.

Jeden palec. Klątwa i potępienie.

Obietnica.

I gdy głowa Nesty znalazła się już pod wodą, gdy ręka została siłą wepchnięta do Kotła, król otrzeźwiał i sprawiał nawet wrażenie lekko zaniepokojonego.

Ciemna woda kołysała się przez chwilę. Potem tafla znieruchomiała.

Zwymiotowałam na podłogę.

Strażnicy w końcu pozwolili Rhysandowi przyklęknąć przy mnie w rosnącej kałuży krwi Kasjana, pozwolili mi przytulić się do niego, gdy Kocioł po raz kolejny się przechylił.

Woda chlusnęła, a Lucien odciągnął Elainę na bok. Magiczne

okowy zniknęły z przegubów i szyi Tamlina razem z kneblem. Zerwał się błyskawicznie na nogi i zawarczał na króla. Nawet ucisk pięści na moim umyśle rozluźnił się i zamienił w lekką pieszczotę. Tak jakby wiedział, że wygrał.

Nie dbałam o to. Dla mnie liczyła się tylko Nesta leżąca plackiem na posadzce.

Wiedziałam, że była inna.

Jakkolwiek Elaina została stworzona na nowo... Nesta była inna.

Nawet zanim wzięła pierwszy wdech – czułam to.

Tak jakby Kocioł... został zmuszony oddać więcej, niż chciał. Tak jakby Nesta walczyła nawet pod powierzchnią tej czarnej wody i zdecydowała, że jeśli ma zostać zaciągnięta do piekła, to przynajmniej zabierze Kocioł ze sobą.

Tak jakby ten palec, który wycelowwała w króla Hybernii, był teraz obietnicą doprowadzenia do jego śmierci.

Nesta nabrała powietrza. Gdy spojrzałam na siostrę, na jej spotęgowane piękno, na jej uszy... Gdy Nesta spojrzała na mnie...

Furia. Moc. Spryt.

Po chwili jej oczy przygasły, a twarz wykrzywiła się w grymasie przerażenia i głębokiego wstrząsu. Ale to jej nie zatrzymało. Była wolna.

Zerwała się na nogi, zatoczyła się lekko, nieprzyzwyczajona do nieco dłuższych i smuklejszych kończyn, zerwała knebel z ust...

I staranowała Luciena, wyrwała Elainę z jego objęć, i wrzasnęła do niego, gdy upadał na plecy:

– *Nie dotykaj jej!*

Stopy Elainy ślizgały się na mokrej podłodze, ale Nesta trzymała ją w pionie i wodziła dłońmi po twarzy, ramionach, włosach...

– Elaino, Elaino, Elaino – łkała.

Kasjan ponownie spróbował się podnieść w odpowiedzi na głos Nesty, która trzymała swoją młodszą siostrę i powtarzała w kółko jej imię przez łyzy.

Ale Elaina patrzyła nad jej ramieniem.

Na Luciena – po którego wyrazie twarzy poznałam, że w końcu to do niego dotarło.

Ciemne piwne oczy spojrzały w jedno rdzawobrunatne i jedno

metalowe.

Nesta wciąż płakała, wciąż kipiała gniewem, wciąż lustrowała Elainę od stóp do głów...

Dłonie Luciena opadły bezwładnie wzdłuż jego boków.

Głos mu się łamał, gdy wyszeptał do Elainy:

– Jesteś moją towarzyszką.

Rozdział 66

Nie dopuszczałam do siebie znaczenia słów Luciena.

Za to Nesta obróciła się do niego gwałtownie.

– Nie jest niczym takim – oznajmiła i pchnęła go ponownie.

Lucien nie drgnął ani o cal. Twarz miał bladą jak sama śmierć i tylko wpatrywał się w Elaine. Moja młodsza siostra nie odezwała się ani słowem, a żelazny pierścień lśnił blado na jej palcu.

– Ciekawe – mruknął pod nosem król Hybernii. – Niezmiernie ciekawe. – Zwrócił się do królowych. – Widzicie teraz? Pokazałem wam nie raz, ale dwa razy, że przemiana jest bezpieczna. Która z was chciałaby ją przejść pierwsza? Może wy też dostaniecie przystojnego wielmożę fae za towarzysza.

Najmłodsza królowa wystąpiła naprzód, wodząc już wzrokiem po zebranych mężczyznach fae. Tak jakby mogła sobie któregoś wybrać.

Król zachichotał.

– Niech tak będzie.

Zalała mnie fala wściekłości tak gwałtownej, że nie mogłam nad nią zapanować. W sercu miałam tylko jedną pieśń – zew bojowy. Zaraz ich pozabijam. Zaraz ich *wszystkich* pozabijam...

– Jeśli tak chętnie dobijasz targów – odezwał się nagle Rhys, wstając z ziemi i przyciągając mnie do siebie – to może ja też jednego z tobą dobiję.

– Ach?

Rhys wzruszył ramionami.

Nie. Koniec z targami, koniec z układami – ani jednego poświęcenia więcej. Koniec z oddawaniem siebie kawałek po kawałku.

Koniec.

A gdyby król odmówił, gdybym mogła tylko się przyglądać, jak moi przyjaciele umierają...

Nie mogłam tego zaakceptować. Nie mogłabym tego znieść... to by było już zbyt wiele.

A co do Rhysa, rodziny, którą znalazłam... Nie potrzebowali mnie – nie tak naprawdę. Tylko do zneutralizowania Kotła.

A ja ich zawiodłam. Tak jak zawiodłam swoje siostry, których

życie właśnie z mojej winy legło w gruzach...

Pomyślałam o tym pierścionku czekającym na mnie w domu. Pomyślałam o pierścionku na palcu Elainy, podarowanym przez mężczyznę, który teraz zapewne będzie na nią polował tak długo, aż ją zabije. Jeśli Lucien w ogóle pozwoli jej odejść.

Pomyślałam o wszystkim, co chciałam namalować – czego nigdy nie zrobię.

Ale dla nich – dla mojej rodziny, zarówno z krwi, jak i z wyboru, dla mojego towarzysza... Pomysł nie wydawał się już taki przerażający.

Zatem przestałam się bać.

Opadłam na kolana, targana torsjami, chwyciłam się oburącz za głowę, zazgrzytałam zębami i załkałam, płakałam i dyszałam, rwałam włosy z głowy...

Pięść zaklęcia nie zdążyła ponownie mnie pochwycić i przemknęłam obok niej.

Rhys wyciągnął do mnie rękę, ale ja wyzwoliłam swoją moc. Błysk białego czystego światła, wszystkiego, co uchowało się przed czarami króla. Błysk światła przeznaczony tylko dla Rhysa, tylko z jego powodu. Miałam nadzieję, że zrozumie.

Światło wypełniło całą salę, zgromadzeni żołnierze cofnęli się z głośnym sykiem.

Nawet Rhys zamarł – a król i królowe wpatrywali się we mnie z otwartymi ustami. Również moje siostry i Lucien obrócili się i gapili na mnie.

A tam, głęboko w świetle Dnia... Dojrzałam ją. Oczyszczającą czystą moc. Wyzwolicielka – potrafiłam wyzwolić od każdej klątwy, każdego zaklęcia. Światło przeniknęło przez wszystko, co fizyczne, ukazując mi węzły zaklęć i czarów, ukazując mi drogę ucieczki... Płonęłam jaśniej, szukając, szukając...

Zakotwiczone głęboko w kościanych murach zamku zaklęcia ochronne były silne.

Wysłałam kolejną falę tego oślepiającego światła – sztuczka dla odwrócenia uwagi – podczas gdy przecinałam pradawne arterie zaklęć zamku.

Teraz musiałam już tylko odegrać swoją rolę.

Światło przygasło, a ja leżałam zwinięta na posadzce z głową oplecioną rękami.

Cisza. Całkowita cisza. Wszyscy tylko patrzyli na mnie w milczeniu.

Nawet wspartemu o ścianę Jurianowi zrzęda mina.

A ja opuściłam dłonie i nie spuszczałam wzroku z Tamlina, chwytając łapczywie powietrze, mrugając intensywnie. Potem potoczyłam wzrokiem wkoło, spojrzałam na krew, na Dwór Nocy, na koniec ponownie na księcia Dworu Wiosny.

– Tamlin? – wyszeptałam.

Nawet nie drgnął. Za jego plecami król wpatrywał się we mnie rozszerzonymi oczami. Czy wiedział, że rozerwałam jego zaklęcia i utorowałam drogę na zewnątrz? Czy wiedział, że zrobiłam to celowo? To nie było moim zmartwieniem – jeszcze nie.

Zamrugałam ponownie, tak jakbym próbowała uporządkować myśli.

– Tamlin?

Spojrzałam na swoje dłonie, na krew. Kiedy uniosłam wzrok na Rhysa, gdy zobaczyłam moich przyjaciół z ponurymi twarzami, moje przemoczone do suchej nitki nieśmiertelne siostry...

Na twarzy Rhysa rysowały się tylko szok i niezrozumienie, gdy odpełzałam od niego rozpaczliwie.

Od nich. Do Tamlina.

– Tamlin – wykrztusiłam z siebie ponownie jego imię.

Lucien wytrzeszczył zdrowe oko i przesunął się między mnie a Elaine. Obróciłam się twarzą do króla Hybernii.

– Gdzie... – Spojrzałam ponownie na Rhysanda. – Coś ty mi zrobił – wydyszałam niskim, gardłowym głosem. Cały czas cofałam się do Tamlina. – *Coś ty zrobił?*

„Zabierz je stąd. Zabierz stąd moje siostry”.

„Proszę – błagam, zaufaj mi. – Proszę...”.

W naszej więzi nie było żadnego dźwięku, żadnej tarczy, żadnego błysku uczucia. Moc króla zablokowała ją zbyt skutecznie. Nie mogłam nic na to poradzić, nawet ja – Wyzwolicielka.

Rhys wsunął dłonie do kieszeni.

– Jak zdołałaś się uwolnić? – zapytał miękkim głosem.

– Co? – syknął Jurian, odpychając się od ściany i ruszając ku nam szybkim krokiem.

Obróciłam się do Tamlina i zignorowałam rysy, zapach i strój, które wszystkie sprawiały wrażenie niewłaściwych. Przyglądał się mi podejrzliwie.

– Nie pozwól mu znowu mnie zabrać, nie pozwól mu... nie pozwól...

Gdy świadomość tego, co zamierzałam zrobić, uderzyła mnie z pełną mocą, nie zdołałam powstrzymać łkania.

– Feyro – powiedział łagodnie Tamlin.

I wtedy zrozumiałam, że wygrałam.

Załkałam głośniej.

„Zabierz stąd moje siostry – błagałam Rhysa przez naszą milczącą więź. – Rozerwałam dla was zaklęcia otaczające zamek – dla was wszystkich. Zabierz je stąd”.

– Nie pozwól mu mnie zabrać – załkałam ponownie. – Nie chcę tam wracać.

Spojrzałam na Mor – na łzy płynące potokami po jej twarzy, na podtrzymywanego przez nią Kasjana – i wiedziałam, że zrozumiała, o co mi chodzi. Łzy zniknęły, w oczach pozostało tylko współczucie dla Kasjana. Przybrała pełną nienawiści i przerażenia maskę i odwróciła się do Rhysanda.

– Coś ty zrobił tej dziewczynie? – wycodziła.

Rhys przekrzywił głowę.

– Jak to zrobiłaś, Feyro?

Miał na sobie tyle krwi. Ostatnie przedstawienie – to było ostatnie przedstawienie, jakie właśnie mieliśmy odegrać we dwójkę.

Pokręciłam głową. Królowe cofnęły się, a ich strażę odgrodziły je od nas murem stali.

Tamlin przyglądał mi się uważnie. Tak samo jak Lucien.

Zwróciłam się do króla. Uśmiechał się. Tak jakby wiedział.

– Przerwij więź – zażądałam.

Rhysand poblądł i znieruchomiał.

Podbiegłam do tronu i opadłam na kolana przed nim, nie zważając

na głośne protesty nóg.

– Przerwij więź. Naszą umowę, więź... godową. On... on mnie zmusił, przymusił mnie do złożenia przysięgi...

– Nie – zaprotestował Rhysand.

Zignorowałam go, chociaż serce mi pękło, chociaż wiedziałam, że nie chciał tego powiedzieć...

– Zrób to – błagałam króla i jednocześnie modliłam się w duszy, żeby nie zauważył zniszczonych zaklęć ochronnych, tych drzwi, które rozwarłam na oścież. – Wiem, że potrafisz. Po prostu... uwolnij mnie. Uwolnij mnie od tego.

– *Nie* – powtórzył głośniejszym głosem Rhysand.

Tamlin wodził wzrokiem między nami dwojgiem. Spojrzałam na niego, na księcia, którego kiedyś kochałam.

– Mam już dość – wyszeptałam. – Dość śmierci, dość zabijania.

Załkałam przez zaciśnięte zęby. Zmusiłam się do spojrzenia na moje siostry.

– *Mam już dość. Zabierz mnie do domu i pozwól im odejść.*

Powiedz mu, że to jest część umowy, i pozwól im odejść. Ale dość już zabijania... proszę.

Kasjan powoli, okupując bólem każdy ruch, uniósł głowę na tyle, aby móc spojrzeć na mnie ponad poszarpanym skrzydłem. I w jego przesłoniętych cierpieniem oczach dostrzegłam to – zrozumienie.

Dwór Snów. Należałam do dworu snów. I marzycieli.

I dla ich snów... dla ich marzeń... dla tego, na co pracowali, dla czego się poświęcali... Mogłam to zrobić.

„Zabierz stąd moje siostry” – przekazałam Rhysowi po raz ostatni, wysyłając słowa w tę dzielącą nas kamienną ścianę.

Spojrzałam na Tamlina.

– Już dość.

Zielone oczy spojrzały w moje – żal i czułość, które w nich dostrzegłam, były najbardziej odrażającym widokiem w całym moim życiu.

– Zabierz mnie do domu.

– Puść ich wolno, zerwij więź i miejmy już to za sobą – zwrócił się bezbarwnym tonem do króla Tamlin. – Jej siostry idą z nami.

Przekroczyłeś już zbyt wiele granic.

Jurian zaczął protestować, ale król kazał mu zamilknąć.

– W porządku – powiedział.

– Nie – powiedział Rhys jeszcze raz.

– *Gównu* mnie obchodzi, czy jest twoją towarzyszką – wycedził w jego stronę Tamlin. – *Gównu* mnie obchodzi, czy twoim zdaniem masz do niej prawo. Ona jest *moja*! I któregoś dnia odpłacę ci za cały ból, który jej zadałeś, za całe cierpienie, za całą rozpacz. Pewnego dnia, kiedy może uzna, że chce cię zabić, z ogromną przyjemnością jej na to pozwolę.

„Odejdź, po prostu odejdź. Zabierz moje siostry ze sobą”.

Rhys wpatrywał się we mnie.

– Nie rób tego.

Cofałam się tak długo, aż oparłam się plecami o Tamlina, aż jego dłonie, ciepłe i ciężkie, spoczęły na moich ramionach.

– Zrób to – zwrócił się do króla książę Dworu Wiosny.

– Nie – zaprotestował ostatni raz łamiącym się głosem Rhys.

Ale król wskazał na mnie. A ja zaczęłam krzyczeć.

Tamlin trzymał mnie za ramiona, a ja wrzeszczałam, darłam się wniebogłosy od bólu, który rwał mnie w piersi, który palił moją lewą rękę.

Rhysand leżał na posadzce, rycząc, i zdało mi się, że chyba wymówił moje imię, wyryczał je, podczas gdy ja się rzucałam i łkałam. Byłam rozdzierana na kawałki, umierałam, umierałam...

Nie. Nie. Nie chciałam tego, nie chciałam...

Potężny trzask zabrzmiał w moich uszach.

I świat pękł na dwoje, gdy nasza więź została przecięta.

Rozdział 67

Zemdlałam.

Gdy odzyskałam przytomność, zorientowałam się, że minęła zaledwie chwila. Mor odciągała Rhysa, który leżał na podłodze, ciężko dysząc, z dzikim spojrzeniem, ciągle to zaciskając kurczowo, to rozwierając palce...

Tamlin zerwał rękawicę z mojej lewej dłoni.

I ujrzał gładką skórę. Bez tatuażu.

Szlochałam i łkałam, a on objął mnie mocno. Każdy cal jego ramion wydał mi się odrażający. Jego zapach mnie dusił.

Mor puściła kołnierz Rhysanda, a on podpełzł – *podpełzł* do Azriela i Kasjana, nurzając dłonie w ich krwi, tarzając się w niej, gdy sunął cal po calu ku nim. Jego chrapliwy oddech przeszył mnie – moją duszę – na wskroś...

Król tylko machnął w jego stronę dłonią.

– Możesz odejść, Rhysandzie. Zabrałem truciznę z ciała twojego przyjaciela. Za to skrzydła drugiego, obawiam się, są raczej w kiepskim stanie.

„Nie walcz, nie mów nic – błagałam go w myślach, gdy dotarł do swoich braci. – Zabierz moje siostry. Zniszczyłam zaklęcia”.

Cisza.

Spojrzałam – tylko raz – na Rhysanda, Kasjana, Mor i Azriela.

Wszyscy patrzyli na mnie. Z twarzami zakrwawionymi, zimnymi i wykrzywionymi gniewem. Ale pod tymi maskami... Wiedziałam, że pod nimi płonie miłość. Że rozumieli łzy, które popłynęły z moich oczu, gdy pożegnałam się z nimi bezgłośnie.

A potem Mor, szybka niczym żmija, przeskoczyła do Luciena. Do moich sióstr. Pojęłam, że zrobiła to, by pokazać Rhysowi, co zrobiłam; by pokazać, że utorowałam im drogę ucieczki...

Uderzyła przyjaciela Tamlina otwartą dłonią w pierś, chwyciła moje siostry za ręce i zniknęła. Od ryku Luciena aż zadrżały ściany.

Echa jeszcze nie umilkły, gdy Rhys skoczył, chwycił Azriela i Kasjana i nawet się na mnie nie obejrzał, tylko przeskoczył poza zamek.

Król zerwał się na równe nogi, kipiąc złością, wrzeszcząc na swoich gwardzistów, na Juriana, że nie zatrzymali moich sióstr. Żądał odpowiedzi na temat zaklęć ochronnych zamku...

Ledwo go słyszałam. W głowie miałam tylko ciszę. Tak wszechogarniającą ciszę w miejscu, gdzie kiedyś były mroczny śmiech i szelmowskie rozbawienie. Chłostane wiatrem pustkowie.

Lucien kręcił głową, dyszał ciężko i obrócił się ku nam.

– Odzyskaj ją! – krzyknął do Tamlina, zagłuszając pomstowanie króla.

Była jego towarzyszką – odchodził od zmysłów, pragnąc bronić tego, co do niego należało.

Tamlin go zignorował. Podobnie jak ja. Ledwo mogłam ustać na nogach, ale zdołałam obrócić się do króla, który opadł z powrotem na swój tron i zacisnął dłonie na poręczach aż do pobielenia knykci.

– Dziękuję – wyszeptałam, kładąc na piersi dłoń, tak bladą, tak białą. – Dziękuję.

Ale on tylko zwrócił się do królowych stojących w bezpiecznej odległości od całego zamieszania.

– Zaczynajcie.

Królowe spojrzały po sobie, na swoich oniemiałych strażników i ruszyły z szelestem sukni w stronę Kotła z coraz szerszymi uśmiechami. Niczym wilki krążące wokół swojej ofiary. Jedna z nich warknęła coś do innej, oskarżając ją o popchnięcie. Król wymamrotał coś do nich pod nosem, ale nawet nie starałam się tego dosłyszeć.

Jurian podszedł do Luciena wśród wzmagającego się rwetesu, śmiejąc się bezgłośnie.

– Wiesz, co ilyryjskie bękarty robią z ładnymi kobietami? Nie będziesz już miał swojej towarzyszki. A przynajmniej nie w takim stanie, żeby ci się do czegokolwiek przydała.

Lucien odpowiedział mu warknięciem godnym najdzikszej bestii.

Splunęłam pod nogi dawnego bohatera ludzi.

– Bodaj piekło cię pochłonęło, ty odrażający sukinsynu.

Tamlin ścisnął mocniej moje ramiona. Lucien obrócił się do mnie. Metalowe oko zazgrzytało i zwęziło się. Pielęgnowany od stuleci rozsądek dał o sobie znać.

Nie wpadłam w panikę po porwaniu moich sióstr.

– Odzyskamy ją – powiedziałam cicho.

Ale Lucien wciąż przyglądał mi się podejrzliwie. Zbyt podejrzliwie.

– Zabierz mnie do domu – zwróciłam się do Tamlina.

Wtedy król, przekrzykując kłóące się królowe, zawołał:

– Gdzie ona jest?!

Wolałam jego rozbawiony arogancki ton od tego zimnego i agresywnego, który przeciął właśnie salę.

– Ty... to *ty* miałaś mieć Księżę Tchnień – zwrócił się do mnie władca Hybernii. – Czuję ją tu, w...

Cały zamek zadrżał, gdy zrozumiał, że nie ma jej w kieszeni mojej skórzni.

– Twój błąd – powiedziałam krótko.

Rozdął nozdrza. Nawet morze daleko pod nami zdało się cofnąć przed gniewem, od którego pobladła jego zarumieniona twarz. Ale chwilę później zamrugął i wściekłość zniknęła bez śladu.

– Kiedy odzyskam Księżę, oczekuję cię tutaj – wycedził do Tamlina.

Owiała mnie moc pachnąca bzem, cedrem i zielonymi kielkami. Gotowa nas przenieść – przez zaklęcia, o zniszczenie których nadal mnie nawet nie podejrzewali.

Zwróciłam się zatem do króla, do Juriana, do zgromadzonych królowych, które stały już przy samym Kotle i sprzeczały się, która wejdzie pierwsza.

– Osobiście podpalę pod wami stosy za to, co zrobiliście moim siostrom.

Chwilę potem już nas nie było.

Rozdział 68

Rhysand

Uderzyłem w podłogę domu i w tym samym momencie dłonie Amreny znalazły się na skrzydłach Kasjana, aby ocenić uszkodzenia. Potem przeniosły się na dziurę w piersi Azriela.

Nawet jej moc nie była w stanie pomóc im obu. Nie, potrzebowaliśmy dla nich prawdziwego uzdrowiciela. I to szybko, ponieważ jeśli Kasjan straciłby skrzydła... wiem, że wołałby umrzeć. Każdy Ilyr by wołał.

– Gdzie ona jest? – chciała wiedzieć Amrena.

„Gdzie ona jest, gdzie ona jest, gdzie ona jest”.

– Zabierz stąd Księżę – poleciłem, upuszczając obie części na podłogę.

Nie znośłem ich dotykać, całej ich rozpaczy, szaleństwa i radości. Amrena zignorowała polecenie.

Mor się nie pojawiła – odstawiała Nestę i Elainę w miejsce, które uznała za najbezpieczniejsze.

– Gdzie ona jest? – ponowiła pytanie Amrena, przykładając dłoń do zmasakrowanych pleców Kasjana.

Wiedziałem, że nie ma na myśli Mor.

Wtedy, jakby przywołana naszymi myślami, pojawiła się moja kuzynka – dysząc ciężko. Padła na podłogę obok Azriela i trzęsącymi się, pokrytymi zaschniętą krwią rękami wyrwała z jego piersi strzałę, a jego krew szeroką strugą zalała dywan. Przycisnęła palce do rany i rozbłysło pod nimi światło, kiedy jej moc wiązała na powrót i leczyła kości, mięśnie i żyły.

– Gdzie ona jest? – warknęła po raz kolejny Amrena.

Nie mogłem zdobyć się na wypowiedzenie tych słów.

Toteż Mor powiedziała je za mnie, wciąż klęcząc przy Azrielu. Obaj moi bracia byli wciąż szczęśliwie dla nich nieprzytomni.

– Tamlin zaoferował królowi możliwość wolnego przemarszu przez swoje ziemie i nasze głowy na srebrnej tacy w zamian za złapanie Feyry, zerwanie więzi i doprowadzenie jej z powrotem na Dwór Wiosny. Jednak Iantha zdradziła Tamlina: powiedziała królowi, gdzie znajdzie

siostry Feyry. Król rozkazał doprowadzić je razem z królowymi – żeby udowodnić, że ma możliwość uczynienia ich nieśmiertelnymi. Wrzucił je do Kotła. Nie byliśmy w stanie nic zrobić, kiedy zostały przemienione, miał nas w garści.

Srebrzyste oczy utkwily we mnie swe spojrzenie.

– Rhysand.

– Byliśmy bez wyjścia i Feyra o tym wiedziała – zdołałem wyksztusić. – Udała więc, że wyzwala się spod kontroli, jaką według Tamlina sprawowałem nad jej umysłem. Udała, że... nas nienawidzi. I poprosiła go, by zabrał ją do domu, ale tylko jeśli ustanie rzeź. Jeśli wszyscy odejdziemy wolno.

– A więź? – wydyszała Amrena.

Krew Kasjana wciąż lśniła na jej dłoniach, kiedy powoli zasklepiła jego rany.

– Poprosiła króla o zerwanie więzi – wyjaśniła Mor. – Zgodził się.

Myślałem, że umieram; że moja pierś naprawdę rozpląta się na dwoje.

– To niemożliwe – stwierdziła Amrena. – Taka więź *nie może* zostać zerwana.

– Król twierdził, że może tego dokonać.

– W takim razie król jest głupcem – warknęła Amrena. – Taka więź *nie może* zostać zerwana.

– Nie może – potwierdziłem.

Obie na mnie spojrzały.

Oczyściłem myśli, moje strzaskane serce – pękające na myśl o tym, ile moja towarzyszka zrobiła, ile poświęciła dla mnie i mojej rodziny. Dla swoich sióstr. Ponieważ nie sądziła... nie sądziła, że to ona jest kluczowa dla wszystkiego. Nawet po tym wszystkim, czego dokonała.

– Król zerwał więź powstałą, kiedy zawarliśmy umowę pod Górą. Nielatwe zadanie, nie był jednak w stanie odróżnić jej od więzi godowej.

– Czy... czy Feyra wie... – zaczęła Mor.

– Tak – szepnąłem. – A teraz moja towarzyszka znajduje się w rękach wroga.

– Idź po nią, zabierz ją stamtąd – syknęła Amrena. – *Natychmiast.*

– Nie – zaprotestowałem, nienawidząc tego słowa.

Gapiły się na mnie, a ja chciałem ryknąć na widok pokrywającej je krwi, na widok moich nieprzytomnych i cierpiących braci leżących na dywanie przed nimi.

– Nie słyszałaś, co Feyra mu powiedziała? – zwróciłem się do kuzynki. – Obiecała go zniszczyć: od środka.

Twarz Mor pobladła, a jej magia zaśniła jaśniej na piersi Azriela.

– Ona poszła do tego domu, by go zniszczyć – wyszeptała. – By ich wszystkich zniszczyć.

Skinąłem głową.

– Jest teraz naszym szpiegiem... w bezpośrednim kontakcie ze mną. Co robi król Hybernii, gdzie się udaje, jakie są jego plany: ona to wszystko będzie wiedziała. I przekaże to mnie.

Ponieważ między nami – delikatna i leciutka, ukryta tak, by nikt jej nie mógł znaleźć... – między nami ciągnęła się smużka barw i radości, światła i cieni – jej smużka. Nasza więź.

– To twoja towarzyszka – wsiadła na mnie Amrena. – Nie twój szpieg. *Zabierz ją stamtąd.*

– To moja towarzyszka. I mój szpieg – odparłem cicho. – Jak również księżna Dworu Nocy.

– Co? – zapytała niemal bezgłośnie Mor.

Pogładziłem palcem umysłu naszą ukrytą obecnie głęboko, głęboko w nas więź.

– Jeśli zdjęliby jej drugą rękawicę, zobaczyliby na prawej ręce drugi tatuaż. Taki sam jak ten pierwszy. Wykonany uprzedniej nocy, kiedy wymknęliśmy się, znaleźliśmy kapłankę i zaprzysiągłem ją na swoją księżną.

– Nie... nie małżonkę księcia? – wyrzuciła z siebie Amrena, mrugając intensywnie.

Nie widziałem jej zaskoczonej... od stuleci.

– Nie małżonkę księcia, nie żonę. Feyra jest teraz księżną Dworu Nocy.

Równą mi pod każdym względem. Będzie nosiła moją koronę, zasiadała obok mnie na tronie. Nie zepchnięta do tyłu, nie z przeznaczeniem do rozrodu, planowania przyjęć i wychowania dzieci. Moja królowa.

Jakby w odpowiedzi szmer miłości przebiegł po więzi. Zdławiłem w sobie ulgę, która omal nie strzaskała odgrywanej przeze mnie maski spokoju.

– Chcesz mi powiedzieć – wydusiła z siebie Mor – że moja księżna znajduje się teraz pośród wrogów? – W jej przepełnionym bólem głosie pobrzmiwała niebezpiecznie spokojna nuta.

– To właśnie chcę powiedzieć – odparłem i spojrzałem na krew krzepnącą na skrzydłach Kasjana pod dotykiem Amreny.

Magia Mor w końcu sprawiła, że Azriel przestał tak mocno krwawić. Na tyle, żeby przeżył do przybycia uzdrowiciela.

– Chcę powiedzieć – powtórzyłem, czując, jak moja moc na powrót wzbiera i ociera się już o skórę i kości, pragnąc wydostać się na zewnątrz – że twoja księżna zdecydowała się poświęcić coś z siebie dla swego dworu i że ruszymy, kiedy nadejdzie odpowiedni czas.

Być może – w jakiś sposób – pomocne będzie to, że Lucien okazał się towarzyszem Elainy. Znajdę sposób. A wtedy pomogę mojej towarzyszce rozerwać Dwór Wiosny, Ianthę, te śmiertelne królowe i króla Hybernii na strzępy. Powoli.

– A do tego czasu? – zapytała Amrena. – Co z Kotłem, co z Księżą?

– Do tego czasu – odparłem, wpatrując się w drzwi, jakbym spodziewał się, że zobaczę ją przechodzącą przez nie, roześmianą, żywą i piękną – będziemy toczyli wojnę.

Rozdział 69

Feyra

Tamlin przeniósł nas na żwir podjazdu.

Zapomniałam już, jak tu było cicho.

Jak ciasno. Pusto.

Wiosna była w pełnym rozkwicie – powietrze przepelniał zapach róż.

Wciąż było uroczo. Ale dostrzegłam tam też drzwi wejściowe, za którymi mnie zamknął. Okna, w które waliłam pięściami, próbując się wydostać. Śliczne, porośnięte różami więzienie.

Uśmiechnęłam się jednak – mimo pękającej z bólu głowy.

– Nie sądziłam, że to jeszcze kiedykolwiek zobaczę – powiedziałam przez łzy.

Tamlin tylko wpatrywał się we mnie, jakby nie do końca w to wierzył.

– Ja również myślałem, że nigdy nie wrócisz.

„Więc nas sprzedałeś. Sprzedałeś z tego powodu każdą niewinną istotę w tej krainie. Wszystko po to, by mnie odzyskać”.

Miłość – miłość mogła być zarówno lekiem, jak i trucizną.

Jednak właśnie miłość płonęła mi w piersi. Tuż obok więzi, której król Hybernii nie zdołał nawet zadrasnąć, ponieważ nie miał pojęcia, jak głęboko i jak daleko musiałby sięgnąć, by ją rozerwać. By rozłączyć mnie i Rhysanda.

Jednak i tak bolało – rozerwanie więzi naszej umowy bolało jak diabli – ale Rhys odegrał swoją rolę bezbłędnie. Jego przerażenie było nie do podważenia. Zawsze świetnie razem graliśmy.

Nie wątpiałam w niego ani przez chwilę i nie powiedziałam nic poza „tak”, kiedy zabrał mnie poprzedniej nocy do świątyni, bym złożyła swoją przysięgę.

Jemu, Velaris, Dworowi Nocy.

A teraz... delikatna łagodna pieszczota posłana wzdłuż więzi, ukryta pod nicością, tam gdzie wcześniej przebiegała więź naszej umowy. Posłałam w drugą stronę szmer uczucia, pragnąc móc go dotknąć, przytulić, śmiać się razem z nim.

Nie pozwoliłam jednak, by żadne z tych uczuć odmalowało się na mojej twarzy. Żadne oprócz cichej ulgi, kiedy wsparłam się o Tamlina z ciężkim westchnieniem.

– Mam wrażenie, jakby to był jakiś zły sen, jakiś koszmar. Ale... Ale pamiętam ciebie. I kiedy znów cię dzisiaj ujrzałam, spróbowałam się z tego wyrwać, zwalczyć to, ponieważ wiedziałam, że to może być moja jedyna szansa, i...

– W jaki sposób wyzwoliłaś się spod jego kontroli? – dobiegło zza nas beznamienne pytanie Luciena.

Tamlin zawarczał ostrzegawczo.

Zapomniałam, że tu był. Towarzysz mojej siostry. Pomyślałam, że Matka ma jednak poczucie humoru.

– Pragnęłam tego... nie wiem jak. Po prostu pragnęłam wyrwać się spod jego władzy i tak się stało.

Wpatrywaliśmy się w siebie, dopóki Tamlin nie przesunął kciukiem po moim ramieniu.

– Czy... nic ci nie jest?

Powstrzymałam się, by się nie zjeżyć. Wiedziałam, o co mu chodzi. Jakby Rhysand mógł zrobić coś takiego komukolwiek...

– Ja... nie wiem – wymamrotałam. – Nie... nie pamiętam nic takiego.

Metalowe oko Luciena zwęziło się, jakby był w stanie wyczuć kłamstwo.

Ale ja spojrzałam na Tamlina i musnęłam ręką jego usta. Nagą niczym niepokrytą skórą.

– Jesteś prawdziwy – powiedziałam. – Uwolniłeś mnie.

Wiele mnie kosztowało powstrzymanie się od wykształcenia szponów i wydrapania mu oczu. Zdrajca... kłamca. Morderca.

– Sama się uwolniłaś – szepnął Tamlin, po czym wskazał gestem dom. – Odpocznij... a potem pomówimy. Ja... muszę znaleźć Ianthę. I wyjaśnić jej kilka rzeczy bardzo, ale to bardzo dobitnie.

– Ja... tym razem chciałbym przy tym być – powiedziałam z wahaniem, kiedy próbował zagonić mnie z powrotem do tego pięknego więzienia. – Już więcej... Już więcej mnie nie odsuwaj od wszystkiego. Żadnych więcej strażników. Proszę. Mam ci tyle o nich do powiedzenia.

Są to tylko fragmenty, urywki, to prawda, ale... mogę pomóc. Możemy odzyskać moje siostry. Pozwól mi pomóc.

„Pomogę – wyprowadzić cię w pole. Pomogę – sprowadzić ciebie i twój dwór na kolana, po czym zniszczyć Juriana i te podstępne, zdradzieckie królowe. A potem rozerwę Ianthę na małe kawałeczki i zakopię tak głęboko, że nikt ich nigdy nie znajdzie”.

Tamlin przyjrzał się uważnie mojej twarzy, ale ostatecznie skinął głową.

– Zaczniemy od początku. Teraz wszystko będzie inaczej. Kiedy cię nie było, zrozumiałem... że się myliłem. Tak bardzo się myliłem, Feyro. I przepraszam.

Za późno. Tak cholernie za późno. Jednak wsparłam głowę na jego ramieniu, a on objął mnie w tali i poprowadził w stronę domu.

– To nie ma znaczenia. Teraz jestem w domu.

– Na zawsze – obiecał.

– Na zawsze – powtórzyłam, rzucając okiem za siebie, gdzie na zwirowanym podjeździe wciąż stał Lucien.

Poczułam na sobie jego spojrzenie. Twarz miał jak z kamienia. Jak gdyby przejrzał każde moje kłamstwo. Jak gdyby wiedział o drugim tatuażu, ukrytym pod rękawicą i zaklęciem, które na nim utrzymywałam.

Jakby wiedział, że wpuścił lisa do kurnika. I nie mógł nic z tym zrobić.

Nie, jeśli chciał jeszcze kiedykolwiek zobaczyć swoją towarzyszkę – Elaine.

Posłałam mu słodki, senny uśmiech. Nasza gra się rozpoczęła.

Dotarliśmy do marmurowych schodów prowadzących do rezydencji.

I tak oto nieświadomy niczego Tamlin wprowadził księżną Dworu Nocy do samego serca swojego władztwa.

Podziękowania

Chciałabym podziękować następującym osobom, dzięki którym moje życie jest pasmem szczęścia:

Mojemu mężowi Joshowi: to dzięki Tobie przetrwałam ten rok. (Choć również wiele lat wcześniej, ale ten w szczególności). Brak mi słów, by opisać, jak bardzo Cię kocham i jak jestem wdzięczna za wszystko, co dla mnie robisz. Za niezliczone posiłki, które gotowałeś, żebym nie musiała przerywać pisania; za setki naczyń, które po nich pozmywałeś, żebym mogła wrócić do mojego gabinetu i dalej pisać; za godziny spędzone na spacerach z psem, zwłaszcza tych porannych, żebym mogła dłużej pospać... To dzięki Tobie ta książka mogła stać się rzeczywistością. Dziękuję Ci za noszenie mnie, kiedy byłam zbyt zmęczona, za ocieranie moich łez, kiedy było mi ciężko na sercu, i za towarzyszenie mi w niezliczonych przygodach na całym świecie.

Annie, która co prawda nie może tego przeczytać, ale i tak zasługuje na wspomnienie: każda chwila z Tobą to cenny dar. Dziękuję ci za to, że w mojej dość samotnej pracy ani przez chwilę nie czułam się osamotniona. Za śmiech, radość i miłość, które wniosłaś do mojego życia. Kocham Cię, szczeniaczku.

Susan Dennard, mojej Siostrze Splotów i *anam cara*: na pewno się powtarzam, ale *dziękuję Ci* za bycie przyjaciółką, na którą warto czekać, i za wszystkie wspaniałe, pełne zabawy chwile, które razem przeżyłyśmy.

Alex Bracken, Erin Bowman, Lauren Billings, Christinie Hobbs, Victorii Aveyard, Jennifer L. Armentrout, Genie Showalter i Claire Legrand: jestem szczęściarą, mogąc nazywać Was swoimi przyjaciółkami. Uwielbiam Was wszystkie.

Mojej agentce, Tamar Rydzinski: co ja bym bez Ciebie zrobiła? Od samego początku byłaś moją opoką, moją gwiazdą przewodnią i moją wróżką chrzestną. Siedem książek później nadal nie znajduję słów, by wyrazić swoją wdzięczność.

Mojej redaktorce, Cat Onder: współpraca z Tobą nad tymi książkami to najjaśniejszy punkt mojej kariery. Dziękuję Ci za mądrość, dobroć i wybitne umiejętności redakcyjne.

Fenomenalnej ekipie z Bloomsbury z całego świata oraz CAA – Cindy Loh, Cristinie Gilbert, Jonowi Cassirowi, Kathleen Farrar, Nigelowi Newtonowi, Rebecce McNally, Natalie Hamilton, Sonii Palmisano, Emmie Hopkin, Ianowi Lambowi, Emmie Bradshaw, Lizzy Mason, Courtney Griffin, Erice Barmash, Emily Ritter, Grace Whooley, Eshani Agrawal, Nickowi Thomasowi, Alice Grigg, Elise Burns, Jenny Collins, Linette Kim, Beth Eller, Diane Aronson, Emily Klopfer, Melissie Kavonic, Donnie Mark, Johnowi Candellowi, Nicholasowi Churchowi, Adibie Oemar, Hermionie Lawton, Kelly de Groot i całej ekipie od zarządzania prawami za granicą – to zaszczyt Was znać i móc z Wami pracować. Dziękuję, że pomogliście moim marzeniom się ziścić.

Cassie Homer: Dziękuję za *wszystko*. Jesteś absolutnie cudowna.

Mojej rodzinie (a zwłaszcza rodzicom): Kocham Was jak na księżyc i z powrotem.

Louisse Ang, Nicoli Wilksinson, Elenie Yip, Sashy Alsberg, Vilmie Gonzalez, Damaris Cardinali, Aleksie Santiago, Rachel Domingo, Jamiemu Millerowi, Alice Fanchiang i The Maas Thirteen: Wasza szczodrość, przyjaźń i wsparcie mają dla mnie niesamowite znaczenie.

I wreszcie – moim czytelnikom: jesteście najwspanialszy. Naprawdę najwspanialszy. Nic z tego nie byłoby możliwe bez *Was*. Dziękuję Wam z głębi serca za wszystko, co zrobiliście dla mnie i moich książek.

Przekład: Jakub Radzimiński

Redakcja: Magdalena Adamska

Korekta: Anna Jagiełło, Magdalena Marciniak, Agata Tyrka

Projekt okładki: John Candell and Katie Everson

Ilustracje wykorzystane na okładce: Figure illustration © 2016 by
Adrian Dadich

Background illustration © 2016 by Mick Wiggins

Mapa: © Kelly de Groot 2016

Skład i łamanie: Dariusz Ziach

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.

00-391 Warszawa, al. 3 Maja 12

tel./faks (22) 646 05 10, 828 98 08

biuro@gwfoksal.pl

www.gwfoksal.pl

ISBN 978-83-280-4296-4

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / Grupa Wydawnicza
Foksal Sp. z o.o.
i Michał Latusek / Virtualo Sp. z o.o.

virtualo

